

**KEN  
FOLLETT**  
NA SKRZYDŁACH  
ORŁÓW



KEN FOLLETT

# NA SKRZYDŁACH ORŁÓW

(On Wings of Eagles)

Tłumaczył Robert Stażyński



Wydanie polskie: 1990

Wydanie oryginalne: 1983

*I jakom was nosił niby na skrzydłach orłów,  
i przywiodłem was do siebie.*

*Exodus 19, 4*

## UCZESTNICY ZDARZEŃ

### DALLAS

**Ross Perot** - prezes zarządu korporacji Electronic Data Systems, Dallas, Teksas

**Merv Stauffer** - prawa ręka Perota

**T. J. Marquez** - wicedyrektor EDS

**Mitch Hart** - były dyrektor EDS, mający znajomości w Partii Demokratycznej

**Tom Walter** - dyrektor finansowy EDS

**Tom Luce** - założyciel firmy prawniczej Hughes i Hill w Dallas

**Bill Gayden** - dyrektor EDS World, zagranicznej filii EDS

**Mort Meyerson** - wicedyrektor EDS

### TEHERAN

**Paul Chiapparone** - kierownik irańskiego oddziału EDS;

**Ruthie Chiapparone** - jego żona

**Bill Gaylord** - zastępca Paula;

**Emily Gaylord** - żona Billa

**Lloyd Briggs** - drugi zastępca Paula

**Rich Gallagher** - asystent Paula d/s administracyjnych;

**Cathy Gallagher** - żona Richa;

**Buffy** - jej pies

**Paul Bucha**, poprzedni kierownik irańskiego oddziału EDS, obecnie zamieszkały w Paryżu

**Bob Young** - kierownik oddziału EDS w Kuwejcie

**John Howell** - prawnik z firmy Hughes i Hill

**Keane Taylor** - kierownik Banku Omran

## **GRUPA**

**ppłk Arthur D. Bull Simons** - dowódca

**Jay Coburn** - zastępca dowódcy

**Ron Davis** - zwiadowca

**Ralph Boulware** - strzelec

**Joe Poche** - kierowca

**Clenn Jackson** - kierowca

**Pat Sculley** - osłona

**Jim Schwebach** - osłona i materiały wybuchowe

## **IRAŃCZYCY**

**Abolhasan** - zastępca Lloyda Briggsa i najstarszy rangą irański urzędnik w EDS

**Majid** - asystent Jaya Coburna;

**Fara** - córka Majida

**Rashid, Sejjed, „Motocyklista”** - wyszkoleni inżynierowie

**Cholam** - pracownik, podwładny Jaya Coburna

**Hosain Dadgar** - sędzia śledczy

## AMBASADA USA W TEHERANIE

**William Sullivan** - ambasador

**Charles Naas** - radca ambasady, zastępca Sullivana

**Lou Goeltz** - konsul generalny

**Bob Sorenson** - urzędnik ambasady

**Ali Jordan** - Irańczyk zatrudniony w ambasadzie

**Barry Rosen** - attache prasowy

## ISTAMBUŁ

**Mr. Fish** - właściciel biura podróży

**Ilsman** - pracownik MIT, agent wywiadu tureckiego

**„Charlie Brown”** - tłumacz

## WASZYNGTON

**Zbigniew Brzeziński** - doradca prezydenta USA d/s bezpieczeństwa narodowego

**Cyrus Vance** - sekretarz stanu

**David Newsom** - podsekretarz w Departamencie Stanu

**Henry Precht** - naczelnik Wydziału Irańskiego w Departamencie Stanu

**Mark Ginsberg** - łącznik Białego Domu i Departamentu Stanu

**Admirał Tom Moorer** - poprzedni Szef Połączonych Sztabów Marynarki, Lotnictwa i Wojsk Lądowych

*Jest to prawdziwa opowieść o ludziach oskarżonych o niepopetnione przestępstwa, którzy postanowili sami dojść sprawiedliwości.*

*Kiedy cała sprawa skończyła się, uwikłani w nią ludzie zostali oczyszczeni przez sąd ze wszystkich stawianych im zarzutów. W swej opowieści nie relacjonuję przebiegu procesu, ale ponieważ w jego toku dowiedziono niewinności bohaterów książki, włączyłem do niej specjalny „DODATEK”, zawierający fragmenty sentencji i uzasadnienia wyroku.*

*W mojej opowieści pozwoliłem sobie nieco rozminąć się z prawdą.*

*Niektórym osobom nadałem pseudonimy albo przezwiska, aby ochronić je przed zemstą rządu irańskiego. Są to: Majid, Fara, Abolhasan, Mr. Fish, Głębokie Gardło, Rashid, Motocyklista, Mehdi, Malek, Gholam, Sejjed oraz „Charlie Brown”. Wszystkie pozostałe nazwiska są prawdziwe.*

*Ponadto, odtwarzając rozmowy sprzed trzech lub czterech lat, ludzie na ogół nie są w stanie dokładnie przypomnieć sobie wszystkich użytych wtedy słów; zresztą wierny zapis rozmowy, ze wszystkimi gestami, przerwami i nie dokończonymi zdaniami, wyglądałby w druku niezrozumiale. Toteż dialogi w książce są częściowo wymyślone, a częściowo zaś zrekonstruowane. Jednakże zapis każdej rozmowy przedstawiłem przynajmniej jednemu z uczestników - w celu dokonania poprawek i zatwierdzenia ostatecznej wersji.*

*Wierzę, że poza tymi dwoma wyjątkami każde słowo mojej opowieści jest prawdziwe. Nie jest to „beletryzacja”, choć nie jest to także „książka faktograficzna”. Niczego nie wymyśliłem. Wszystko, o czym przeczytacie, wydarzyło się naprawdę.*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### 1.

Zacząło się to wszystko piątego grudnia 1978 roku.

Jay Coburn, szef personelu oddziału irańskiego korporacji EDS, siedział głęboko zatroskany w swoim biurze w najlepszej dzielnicy Teheranu.

Biuro mieściło się w dwupiętrowym betonowym budynku znanym jako „Bukareszt” (ponieważ znajdował się na skrzyżowaniu z ulicą Bukareszteńską). Coburn urzędował na pierwszym piętrze, w dużym, jak na amerykańskie standardy pokoju. Był tam parkiet, eleganckie drewniane biurko, na ścianie wisiał portret szacha. Siedząc tyłem do okna, przez szklane drzwi Coburn obserwował przestronne pomieszczenia biurowe, w których jego pracownicy siedzieli przy telefonach i maszynach do pisania. Drzwi miały zasłony, ale Coburn nigdy ich nie zaciągał.

Było zimno. Zawsze było zimno: tysiące Irańczyków strajkowało, miasto cierpiało na brak prądu i prawie codziennie wyłączano ogrzewanie na kilka godzin.

Coburn był wysokim, barczystym mężczyzną: pięć stóp jednaście cali wzrostu i dwieście funtów wagi. Jego rudobrazowe włosy były krótko przycięte i starannie zaczesane z przedziałkiem. Chociaż



skończył dopiero trzydzieści dwa lata, wyglądał na czterdziestkę. Dopiero z bliska widać było, że jest znacznie młodszy. Jego przystojną, szeroką, szczerą, uśmiechniętą twarz zdobił wyraz świadczący o przedwczesnej dojrzałości człowieka, który musiał zbyt szybko dorastać.

Przez całe życie Coburn dźwigał na barkach ciężar odpowiedzialności. Jako chłopiec pracował w kwiaciarni ojca. W wieku dwudziestu lat był pilotem helikoptera w Wietnamie. Potem został mężem i ojcem. A teraz był szefem personelu, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo stu trzydziestu jeden amerykańskich pracowników i ich dwustu dwudziestu krewnych, w mieście, którym rządziła przemoc.

Dzisiaj, tak jak każdego dnia, Coburn wydzwaniał po całym Teheranie, próbując się dowiedzieć, gdzie toczyły się walki, gdzie wybuchną następne zamieszki i jakie są prognozy na najbliższe dni.

Przynajmniej raz dziennie telefonował do ambasady USA, W ambasadzie mieściło się biuro informacji czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzwonili tam z całego miasta Amerykanie, żeby zawiadomić o demonstracjach i zamieszkach, ambasada zaś ogłaszała, której dzielnicy należy unikać. Ale kiedy chodziło o prognozy na przyszłość, na ambasadę, zdaniem Coburna, niewiele można było liczyć. Na cotygodniowych odprawach, na które sumiennie uczęszczał, ciągle mu powtarzano, że Amerykanie powinni jak najradyziej wychodzić na ulicę i za wszelką cenę unikać tłumów. Niemniej jednak stwierdzano, że szach utrzymuje się u władzy i ewakuacja na razie nie jest zalecana. Coburn rozumiał ich: gdyby ambasada amerykańska przyznała oficjalnie, że tron szacha się chwieje, szach upadłby na pewno. Ale pracownicy ambasady byli tak ostrożni, że nie podawali właściwie żadnych informacji. Niezadowolona z ich działalności grupa amerykańskich biznesmenów w Teheranie założyła własną sieć informacyjną. Największym amerykańskim przedsiębiorstwem w mieście było „Bell Helicopter”, którego filią w Iranie kierował emerytowany generał - major Robert N. Mackinnon. Dysponował on pierwszorzędnym wywiadem i dzielił się każdą zdobytą wiadomością.

Coburn znał również kilku oficerów wywiadu w jednostce wojskowej USA i często do nich dzwonił.

Dzisiaj miasto było stosunkowo spokojne. Nie było żadnych większych demonstracji. Ostatnie poważne zamieszki miały miejsce trzy dni wcześniej, drugiego grudnia, w pierwszy dzień strajku generalnego. Podano wówczas, że w walkach ulicznych zginęło kilkuset ludzi. Według informacji Coburna, spokój miał trwać aż do dziesiątego grudnia, muzułmańskiego święta Ashura.

Coburn martwił się o święto Ashura. Muzułmańskie zimowe święta w niczym nie przypominały Bożego Narodzenia. Był to dzień żałoby i postu po śmierci wnuka Proroka, Husejna, dzień pokuty za grzechy. Na ulice wyjdą ogromne procesje, a co gorliwsi wyznawcy będą się biczować. W takiej atmosferze łatwo mogło dojść do wybuchu hysterii i nasilenia przemocy.

Tego roku, jak obawiał się Coburn, przemoc mogła skierować się przeciw Amerykanom.

Wiele niebezpiecznych zdarzeń przekonało go, że nastroje antyamerykańskie szybko przybierają na sile. Wsunęto mu pod drzwi kartkę z napisem: „Jeśli zależy ci na życiu i majątku, wynoś się z Iranu”. Podobne ostrzeżenia otrzymali jego przyjaciele. Na ścianie domu Coburna ktoś napisał: „Tutaj mieszkają Amerykanie”. Tłum demonstrantów przewrócił autobus, który dowoził jego dzieci do amerykańskiej szkoły. Innych pracowników EDS wygwizdano na ulicach, a ich samochody zostały zniszczone. Pewnego strasznego popołudnia Irańczycy z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej - największego klienta EDS - wpadli w szal, zaczęli wybijać okna i palić portrety szacha. Urzędnicy EDS przebywający w budynku musieli zabarykadować się w biurze, dopóki tłum się nie rozszedł.

Dla Coburna jednak najbardziej złowróbnym znakiem była zmiana, jaka dokonała się w zachowaniu jego gospodarza.

Podobnie jak większość Amerykanów w Teheranie, Coburn wynajmował połowę piętrowego domu: wraz z żoną i dziećmi zajmował piętro, podczas gdy rodzina gospodarza mieszkała na

parterze. Kiedy Coburnowie wprowadzili się w marcu tego roku, gospodarz zajął się nimi życzliwie. Obie rodziny zaprzyjaźniły się. Coburn, który dyskutował z gospodarzem o religii, dostał od niego w prezencie angielski przekład Koranu, córka gospodarza zaś czytała ojcu na głos „Biblię” Coburna. Podczas weekendów razem wyjeżdżali na wycieczki. Scott, siedmioletni synek Coburna, wraz z synami gospodarza grywał na ulicy w piłkę. Pewnego weekendu Coburn dostał rzadkiego przywileju uczestnictwa w muzułmańskim weselu. Było to fascynujące. Mężczyźni i kobiety przez cały dzień przebywali oddzielnie, więc Coburn i Scott poszli z mężczyznami, a Liz - żona Coburna i ich trzy córki - z kobietami. Coburn w ogóle nie zobaczył panny młodej.

Z końcem lata wszystko się zmieniło. Skończyły się wspólne wycieczki. Gospodarz zakazał swym synom bawić się ze Scottem na ulicy. Stopniowo urwały się wszelkie kontakty pomiędzy rodzinami. Gospodarz surowo zabronił dzieciom rozmawiać z rodziną Coburna, nawet w granicach domu i podwórza.

Gospodarz wcale nie zaczął nagle nienawidzić Amerykanów. Pewnego wieczoru udowodnił, że nadal troszczy się o Coburnów. Na ulicy wybuchła strzelanina: jeden z synów gospodarza był na dworze po godzinie policyjnej i w chwili, gdy przełaził przez mur otaczający podwórze, żołnierze otworzyli do niego ogień. Coburn i Liz oglądali całe to zajście z werandy na swym piętrze. Liz bardzo się wystraszyła. Gospodarz przyszedł wtedy na górę, żeby ich uspokoić i opowiedzieć, co się stało. Widocznie jednak czuł, że dla własnego bezpieczeństwa nikt nie powinien przyłapać go na przyjaznych stosunkach z Amerykanami. Wiedział, skąd wiatr wieje. Dla Coburna był to następny zły znak.

Do uszu Coburna dotarła także pogłoska, jakoby w meczetach i na bazarach mówiono o świętej wojnie przeciwko Amerykanom, która miała rozpocząć się w święto Ashura. Święto zaczynało się już za pięć dni, a jednak Amerykanie w Teheranie byli zadziwiająco spokojni.

Coburn pamiętał, kiedy wprowadzono godzinę policyjną: nie

przeszkadzało im to wcale w comiesięcznych rozgrywkach pokerowych. Po prostu on i koledzy z EDS zabierali ze sobą żony i dzieci, kładli je spać, po czym grali aż do rana. Przywykli już do odgłosów strzałów. Najcięższe walki toczyły się w starej, południowej części miasta, gdzie znajdował się bazar, a także w okolicach uniwersytetu; ale od czasu do czasu strzały rozlegały się wszędzie. W końcu wszyscy dziwnie na to zobojętnieli. Przerywano rozmowy i kontynuowano je, gdy strzelanina cichła, całkiem jak w Stanach, kiedy po niebie przelatują odrzutowce. Zupełnie jakby nie potrafili sobie wyobrazić, że to oni mogą stać się celem strzałów.

Coburn nie był pod tym względem przewrażliwiony. Strzelano do niego wiele razy. W Wietnamie pilotował bojowe helikoptery wspomagające piechotę oraz jednostki transportowe, lądujące na polach bitew z ładunkiem ludzi i sprzętu. Zabijał i widział, jak inni zabijali. W tamtych czasach armia nadawała odznaczenia lotnicze za każde dwadzieścia pięć godzin lotów bojowych; Coburn wrócił do kraju z trzydziestoma dziewięcioma takimi medalami. Otrzymał również dwa Krzyże Lotnicze, Srebrną Gwiazdę oraz kulę w łydke - najmniej chronioną część ciała pilota helikoptera. W ciągu tych lat przekonał się, że nieźle trzymał się w akcji, gdy nie miał czasu na strach, ale już po wszystkim, kiedy wracał z akcji i przypominał sobie, przez co przeszedł, za każdym razem trzęsły się pod nim kolana.

Co najdziwniejsze, był wdzięczny losowi za to doświadczenie. Dojrzał szybko, a dzięki przejściom wojennym uzyskał przewagę nad swymi rówieśnikami w życiu cywilnym. Nabrał również zdrowego respektu dla odgłosów strzelaniny. Większość jego kolegów i ich żony nie podzielała tych poglądów. Za każdym razem, kiedy rozważano projekt ewakuacji, odrzucali ten pomysł. Zbyt wiele swego czasu, pracy i dumy zainwestowali w irański oddział korporacji EDS i nie chcieli wyjeżdżać. Ich żony zrobiły z wynajętych mieszkań prawdziwe ogniska rodzinne i poczyniły już przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Dzieci miały swe szkoły, swych przyjaciół, swoje rowery i swych czworonożnych ulubieńców. Z pewnością - wmawiali sobie wszyscy -

jeśli tylko będziemy siedzieć cicho, to kłopoty nie staną się naszym udziałem.

Coburn próbował przekonać Liz, aby zabrała dzieci do Stanów, nie tylko dla ich bezpieczeństwa. Tłumaczył, że przecież może nadejść taki dzień, że będzie musiał ewakuować trzysta pięćdziesiąt osób za jednym zamachem, a wówczas nie chciałby, żeby niepokój o rodzinę przeszkadzał mu skoncentrować się na tym zadaniu. Liz jednak nie zgodziła się na wyjazd.

Westchnął na wspomnienie Liz. Była żywa i zabawna, wszyscy ją lubili, ale nie bardzo nadawała się na żonę szefa. EDS sporo wymagała od pracowników: jeśli trzeba było pracować całą noc, żeby skończyć robotę, pracowało się całą noc. Liz była oburzona. Dawniej, w Stanach, kiedy Coburn zajmował się rekrutacją nowych pracowników i jeździł po całym kraju, nieraz od poniedziałku do piątku nie było go w domu. Liz nie cierpiała takiego trybu życia. W Teheranie była szczęśliwa, ponieważ co wieczór miała męża w domu. Jeśli on zamierza tu zostać, to ona również - oświadczyła. Dzieciom też się tu podobało. Po raz pierwszy mieszkały za granicą i fascynował je odmienny język oraz kultura Iranu. Najstarsza Kim, jedenastolatka, była zbyt zarozumiała, żeby się przestraszyć. Ósmioletnia Kristi trochę się niepokoiła, ale zawsze była przewrażliwiona i skłonna do wyolbrzymiania niebezpieczeństw. Natomiast siedmioletni Scott i czteroletnia Kelly byli za mali, żeby rozumieć, co im grozi.

Zostali więc i czekali, aż sytuacja poprawi się - lub pogorszy.

Rozmyślenia Coburna przerwało pukanie do drzwi. Wszedł Majid. Był to niski, krępy mężczyzna z bujnym wąsem, około pięćdziesiątki. Majid był niegdyś bogaty. Jego plemię posiadało dużo ziemi, ale straciło wszystko na skutek reformy rolnej w latach sześćdziesiątych. Obecnie Majid był zastępcą Coburna do spraw administracyjnych i użerał się z irańską biurokracją. Mówił płynnie po angielsku i był wyjątkowo zaradny. Coburn bardzo go lubił; kiedy przyjechał do Iranu z rodziną, Majid bardzo im pomógł.

- Wejdz - powiedział Coburn. - Siadaj. Co cię gnębi?

- Chodzi o Farę.

Coburn kiwnął głową. Fara, córka Majida, pracowała razem z ojcem. Do jej obowiązków należało pilnowanie, żeby wszyscy Amerykanie zatrudnieni w firmie mieli zawsze ważne wizy i zezwolenia na pobyt.

- Jakies kłopoty? - zagadnął Coburn.

- Policja kazała jej wyjąć z akt dwa amerykańskie paszporty i nie mówić o tym nikomu.

Coburn zmarszczył brwi.

- Konkretnie, czyje paszporty?

- Paula Chiapparone'a i Billa Gaylorda.

Paul był szefem Coburna, kierownikiem oddziału irańskiego korporacji EDS. Bill był jego zastępcą i kierował największym przedsięwzięciem EDS, kontraktem z Ministerstwem Zdrowia.

- Co, u diabła, tu się dzieje?! - zdumiał się Coburn.

- Farze grozi wielkie niebezpieczeństwo - oświadczył Majid. - Kazano jej nikomu o tym nie mówić. Przyszła do mnie po radę. Oczywiście, powiedziałem ci, ale obawiam się, że Fara będzie miała poważne kłopoty.

- Czekaj, zacznijmy od początku - zaproponował Coburn. - Jak to się stało?

- Dziś rano miała telefon z policji, z wydziału wiz pobytowych, z sekcji amerykańskiej. Kazali jej przyjść do biura. Powiedzieli, że chodzi o Jamesa Nyfelera. Myślała, że to zwykła formalność. Przyjechała o wpół do dwunastej i zgłosiła się do kierownika sekcji amerykańskiej. Najpierw poprosił ją o paszport i zezwolenie na pobyt pana Nyfelera. Wyjaśniła mu, że pana Nyfelera nie ma już w Iranie. Potem zapytał o Paula Buchę. Powiedziała, że pana Buchy również nie ma w kraju.

- Naprawdę?

- Tak.

„Bucha był w Iranie, ale Fara mogła o tym nie wiedzieć” - pomyślał Coburn. Bucha miał zezwolenie na pobyt stały, wyjechał i natychmiast wrócił. Nazajutrz miał lecieć do Paryża.

Majid mówił dalej:

- Urzędnik powiedział wtedy: „Zakładam, że pozostali dwaj też wyjechali”? Fara zobaczyła u niego na biurku cztery teczki i zapytała, o jakich dwóch chodzi. Odpowiedział, że o pana Chiapparone’a i pana Gaylorda. Wyjaśniła, że właśnie tego ranka odebrała zezwolenie na pobyt pana Gaylorda. Urzędnik kazał jej przynieść paszporty i zezwolenia na pobyt panów Gaylorda i Chiapparone’a. Miała to zrobić po cichu, żeby nie wywoływać podejrzeń.

- Co mu odpowiedziała? - zapytał Coburn.

- Że nie może dzisiaj przynieść paszportów. Kazał jej zgłosić się z dokumentami jutro rano. Powiedział, że jest za to osobiście odpowiedzialna i przekazał jej te instrukcje przy świadkach.

- To nie ma sensu - stwierdził Coburn.

- Jeśli dowiedzą się, że Fara ich nie posłuchała...

- Pomyślimy, jak ją zabezpieczyć - przerwał Coburn. Zastanawiał się, czy Amerykanie mają obowiązek okazywać paszporty na żądanie. On sam pokazywał paszport, kiedy miał drobny wypadek samochodowy, ale później dowiedział się, że nie musiał tego robić.

- Nie powiedzieli, po co im potrzebne te paszporty?

- Nie.

Bucha i Nyfeler byli poprzednikami Chiapparone’a i Gaylorda. Czy to było wytłumaczenie? Coburn nie miał pojęcia. Wstał.

- Przede wszystkim musimy zdecydować, co Fara ma powiedzieć na policji jutro rano - oznajmił. - Pomówię z Paulem Chiapparone i zaraz wracam.

\* \* \*

Paul Chiapparone siedział w swoim gabinecie na parterze. On także miał biurko, parkiet i portret szacha na ścianie, i również był głęboko zatroskany.

Paul był to trzydziestodwuletni mężczyzna średniego wzrostu, z lekką nadwagą - lubił bowiem dobrze zjeść. Ze swoją

oliwkową cerą i gęstymi czarnymi włosami wyglądał jak typowy Włoch. Jego praca polegała na stworzeniu sprawnego, nowoczesnego systemu ubezpieczeń społecznych w prymitywnym kraju. Nie było to łatwe.

Na początku lat siedemdziesiątych Iran miał podstawowy system ubezpieczeń społecznych. System ten nie zapewniał jednak sprawnego potrącania składek i stwarzał tak duże możliwości defraudacji, że jeden człowiek mógł kilkakrotnie pobierać zasiłek na tę samą chorobę. Kiedy szach postanowił wydać część swoich dochodów z nafty, wynoszących dwadzieścia miliardów dolarów rocznie, by stworzyć państwo dobrobytu, EDS otrzymała kontrakt. EDS kierowała już programem służby zdrowia i opieki społecznej w kilku stanach USA, ale w Iranie trzeba było zaczynać od zera. Musieli wydrukować książki ubezpieczeniowe dla trzydziestu dwóch milionów Irańczyków, zorganizować potrącanie składek z poborów oraz przyznawanie zasiłków. Cały ten system, kierowany przez komputery, stanowił specjalność EDS.

Paul doszedł do wniosku, że różnica pomiędzy zainstalowaniem systemu przetwarzania danych w Stanach a zrobieniem tego w Iranie była taka sama, jak pomiędzy podgrzaniem zupy z puszki a przygotowaniem jej z naturalnych produktów. Często było to denerwujące. Irańczycy nie mieli rzutkości amerykańskich biznesmenów i z reguły sami stwarzali problemy zamiast je rozwiązywać. W centrali EDS w Dallas, w Teksasie, ludzie nie tylko dokonywali rzeczy niemożliwych, ale wszystko musiało być zrobione „na wczoraj”. Tutaj, w Iranie, wszystko było niemożliwe i każdą sprawę odkładano do jutra. *Fardah* - tłumaczone jako „jutro” - w praktyce oznaczało: „kiedyś w przyszłości”.

Paul znał tylko jedną metodę pokonywania trudności: ciężką pracę i determinację. Nie był geniuszem. W dzieciństwie nauka przychodziła mu ciężko, ale gdy jego ojciec, Włoch, z typową dla imigrantów wiarą w wykształcenie wypchnął go na studia, Paul ukończył je z dobrymi wynikami. Późniejszą karierę zawdzięczał wyłącznie swemu uporowi.



Pamiętał jeszcze początki działalności EDS w Stanach w latach sześćdziesiątych, kiedy każdy nowy kontrakt mógł zadecydować o sukcesie lub porażce. Z jego pomocą EDS zdobyła powodzenie i stała się jedną z najbardziej dynamicznych firm na świecie. Paul był pewien, że operacja irańska również zakończy się sukcesem, zwłaszcza kiedy Jay Coburn, prowadzący program rekrutacyjno - szkoleniowy, dostarczy więcej Irańczyków na kierownicze stanowiska.

Mylił się jednak całkowicie i dopiero teraz zaczynał rozumieć dlaczego.

Kiedy w sierpniu 1977 roku przyjechał z rodziną do Iranu, petrodolarowa koniunktura już się skończyła. Rząd cierpiał na brak funduszy. Tego roku ustawa przeciw inflacji zwiększyła liczbę bezrobotnych, a właśnie wtedy na skutek nieurodzaju do miast zaczęło napływać coraz więcej głodujących wieśniaków. Despotyczną władzę szacha osłabiła polityka amerykańskiego prezydenta Jimmy'ego Cartera, głoszącego ochronę praw człowieka. Nadszedł czas politycznych niepokojów.

Z początku Paul nie interesował się zbytnio polityką lokalną. Wiedział o głosach niezadowolenia, ale głosy takie odzywały się niemal w każdym kraju na świecie, szach zaś z pozoru mocno dzierżył ster władzy. Paul, podobnie jak reszta świata, nie docenił znaczenia tego, co wydarzyło się w pierwszej połowie 1978 roku.

Siódmego stycznia gazeta „Etelaat” opublikowała ordynarną napaść na wygnanego ajatollacha nazwiskiem Chomeini, oskarżając go między innymi o homoseksualizm. Następnego dnia w leżącym osiemdziesiąt mil od Teheranu mieście Qom, głównym ośrodku nauczania religijnego w kraju, rozwścieczeni studenci teologii na znak protestu rozpoczęli strajk okupacyjny, który policja i wojsko krwawo stłumiły. Podczas dwudniowych zamieszek zginęło siedemdziesięciu ludzi. Po czterdziestu dniach duchowieństwo zgodnie z tradycją muzułmańską zorganizowało żałobną procesję dla uczczenia pamięci zabitych. Podczas niej doszło do dalszych rozruchów stłumionych przemocą. W czterdzieści dni później miała miejsce kolejna procesja... Odbywały się

one przez całe sześć miesięcy i ofiar w ludziach było coraz więcej.

Patrząc wstecz, Paul domyślał się, że marsze te nazywano „procesjami żałobnymi” tylko po to, żeby obejść zarządzenie szacha, zakazujące demonstracji politycznych. Ale w owym czasie nie miał pojęcia, że na jego oczach rodzi się potężny i jak najbardziej polityczny ruch. Nikt tego nie dostrzegał.

W sierpniu 1978 roku Paul wyjechał na urlop do Stanów. (To samo zrobił ambasador USA w Iranie, William Sullivan). Paul uwielbiał wszystkie sporty wodne i wybrał się ze swoim kuzynem Joe Porrecą na wycieczkę wędkarską do Ocean City w New Jersey. Żona Paula, Ruthie, oraz córki Karen i Ann Marie pojechały do Chicago odwiedzić rodziców Ruthie. Paul był trochę zaniepokojony, ponieważ irańskie Ministerstwo Zdrowia nie zapłaciło dotąd rachunku EDS za czerwiec. Ale Irańczycy nie po raz pierwszy spóźniali się z zapłatą, toteż Paul pozostawił sprawę w rękach swojego zastępcy, Billa Gaylorda. Był całkowicie przekonany, że Bill wyciągnie od nich pieniądze.

Podczas pobytu Paula w USA z Iranu nadeszły złe wiadomości. Siódmego września wprowadzono prawo wojenne, a następnego dnia żołnierze zabili ponad stu ludzi demonstrujących na placu Jaleh w centrum Teheranu.

Kiedy rodzina Chiapparone wróciła do Iranu, panowała tam zupełnie inna atmosfera. Po raz pierwszy Paul i Ruthie usłyszeli w nocy strzały na ulicach. Przestraszyli się: nagle zrozumieli, że kłopoty Irańczyków oznaczają również kłopoty dla nich. Rozpoczęły się strajki. Wciąż odcinano dopływ elektryczności, posiłki jadano przy świecach, a Paul musiał nakładać w biurze płaszcz, żeby nie zmarznąć. Coraz trudniej było otrzymać pieniądze w banku, więc Paul zorganizował w biurze kantor wymiany dla pracowników. Kiedy kończył się olej do pieca centralnego ogrzewania, Paul chodził po ulicach, dopóki nie znalazł cysterny i nie przekupił kierowcy, żeby podjechał do domu i napełnił zbiorniki.

Kłopoty w pracy były o wiele poważniejsze. Minister zdrowia i opieki społecznej, doktor Sheikholeslamizadeh, został aresztowany na

mocy 5 artykułu prawa wojennego, który pozwalał prokuratorowi uwięzić każdego bez podania powodu. W więzieniu przebywał również wiceminister Reza Neghabat, z którym Paul dotąd ściśle współpracował. Ministerstwo nadal nie zapłaciło czerwcowego rachunku ani też następnych, toteż obecnie było winne EDS ponad cztery miliony dolarów.

Przez dwa miesiące Paul próbował odzyskać te pieniądze. Osoby, z którymi poprzednio załatwiał sprawy, zniknęły. Ich następcy zazwyczaj nie odpowiadali na jego telefony. Czasami ktoś obiecywał, że zbada sprawę i zadzwoni później. Paul przez tydzień daremnie wyczekiwał na telefon i w końcu dzwonił jeszcze raz, żeby się dowiedzieć, że człowiek, z którym poprzednio rozmawiał, nie pracuje już w ministerstwie. Odwoływano umówione spotkania. Zadłużenie rosło co miesiąc o 1,4 miliona dolarów. 14 listopada Paul napisał do dr Heidargholi Emrani, wiceministra kierującego Organizacją Ubezpieczeń Społecznych, zawiadamiając go formalnie, że jeżeli ministerstwo nie zapłaci w ciągu miesiąca, EDS przerwie pracę. Szef Paula, dyrektor EDS World, powtórzył tę groźbę czwartego grudnia podczas osobistego spotkania z dr Emrani. To było wczoraj.

Jeśli EDS się wycofa, załame się cały irański system ubezpieczeń społecznych. A jednak coraz wyraźniej widać było, że kraj zbankrutował i po prostu nie mógł płacić swych rachunków. Paul zastanawiał się, co teraz robi doktor Emrani?

Wciąż jeszcze myślał o tym, gdy Jay Coburn przyniósł mu odpowiedź.

\* \* \*

Z początku do Paula nie dotarło, że próba kradzieży jego paszportu mogła świadczyć o zamiarze zatrzymania go, a zatem i EDS, w Iranie. Kiedy Coburn przedstawił mu fakty, Paul zapytał:

- Po co, u diabła, to zrobili?

- Nie wiem. Majid nie wie, Fara też nie.

Paul popatrzył na niego. Obaj mężczyźni zaprzyjaźnili się w ciągu ostatnich miesięcy. Przed resztą pracowników Paul udawał pewność siebie, ale z Coburnem rozmawiał szczerze i często zasięgał jego rady, gdy byli sami, pytał Jaya, co naprawdę myśli.

- Przede wszystkim - odezwał się Coburn - musimy coś zrobić z Farą. Ona może mieć kłopoty.

- Będzie musiała coś im odpowiedzieć.

- Wykazać chęć współpracy?

- Niech im powie, że Nyfeler i Bucha wyjechali...

- Już im to powiedziała.

- Może na dowód pokazać ich wizy wyjazdowe.

- No tak - mruknął Coburn z powątpiewaniem - ale oni teraz interesują się raczej tobą i Billem.

- Może im powiedzieć, że nie trzymamy paszportów w biurze.

- Oni pewnie wiedzą, że to nieprawda... Fara dawniej zanosila im paszporty.

- Niech powie, że kierownicy nie muszą trzymać paszportów w biurze.

- To może zrobić.

- Powinna wymyślić jakąś przekonującą historyjkę, dlaczego nie była w stanie wypełnić ich polecenia.

- Dobrze. Omówię to z nią i z Majidem. - Coburn myślał przez chwilę. - Wiesz, Bucha ma rezerwację na jutrzejszy samolot. Może po prostu wyjechać.

- Chyba powinien, skoro i tak myślą, że już go tu nie ma.

- Mógłbyś zrobić to samo.

Paul zastanowił się. Może rzeczywiście powinien wyjechać. Co wtedy zrobią Irańczycy? Pewnie będą próbowali zatrzymać kogoś innego.

- Nie - powiedział. - Jeśli mamy wyjechać, ja zrobię to ostatni.

- Więc mamy wyjechać? - podchwycił Coburn.

- Sam nie wiem.

Już od tygodni zadawali sobie to pytanie codziennie. Coburn opracował plan ewakuacji, taki, który można byłoby zrealizować w każdej chwili. Paul wahał się i ciągle nie podejmował decyzji. Wiedział, że główny szef w Dallas żądał jego wyjazdu. Ale to oznaczało porzucenie przedsięwzięcia, nad którym Paul pracował tak ciężko przez ostatnie sześć miesięcy.

- Nie wiem - powtórzył. - Zadzwonię do Dallas.

\* \* \*

Tej nocy, kiedy Coburn leżał w łóżku obok Liz, pogrążony we śnie, zadzwonił telefon.

Coburn po omacku podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Mówi Paul.

- Cześć. - Coburn zapalił światło i spojrzał na zegarek. Była druga w nocy.

- Zaczynamy ewakuację - oznajmił Paul.

- W porządku.

Coburn odłożył słuchawkę i usiadł na brzegu łóżka. Właściwie doznał ulgi. Czekają go dwa czy trzy dni gorączkowej krzątaniny, ale potem przynajmniej będzie miał pewność, że ludzie, o których bezpieczeństwo tak długo się martwił, są z powrotem w Stanach, daleko od tych zwariowanych Irańczyków.

W myślach przebiegł plan, który przygotował na tę okoliczność. Najpierw musiał zawiadomić sto trzydzieści rodzin, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wyjadą z kraju. Podzielił całe miasto na sektory, każdy sektor otrzymał dowódcę: wystarczyło do nich zadzwonić, a zawiadomią wszystkie rodziny. Przygotował ulotki, z których ewakuowani dowiedzą się, gdzie iść i co robić. Musiał tylko wypełnić blankiety, wpisać daty, godziny i numery lotów, a następnie powielić je i doręczyć odbiorcom.

Wybrał młodego, energicznego i zaradnego irańskiego inżyniera, Rashida, przydzielając mu zadanie opiekowania się mieszkaniem, samochodami oraz zwierzętami domowymi pozostawionymi przez wyjeżdżających Amerykanów. Wszystko to można było odesłać do kraju później, drogą morską. Wyznaczył niewielką grupę, która miała załatwić bilety na samolot i zorganizować transport na lotnisko.

Wreszcie przeprowadził z kilkoma osobami próbną ewakuację na małą skalę.

Próba wypadła zadowalająco.

Coburn ubrał się i zaparzył kawę. W ciągu paru najbliższych godzin i tak nie mógł nic zrobić, ale zdenerwowanie nie pozwalało mu zasnąć.

O czwartej rano zadzwonił do kilku członków grupy transportowej, obudził ich i kazał zgłosić się do niego w „Bukareszcie” zaraz po godzinie policyjnej.

Godzina policyjna zaczynała się o dziewiątej wieczorem i kończyła o piątej rano. Przez godzinę Coburn siedział paląc papierosy, pijąc mnóstwo kawy i przeglądając swoje notatki.

Kiedy zegar z kukulką w hallu wybił piątą, Coburn stał już przy frontowych drzwiach, gotów do wyjścia.

Na dworze była gęsta mgła. Coburn wszedł do samochodu i ruszył w stronę „Bukaresztu”, wlokąc się w tempie piętnastu mil na godzinę.

Trzy przecznice dalej z mgły wyskoczyło pół tuzina żołnierzy. Stanęli półkolem przed maską samochodu, celując z karabinów w przednią szybę.

- Cholera jasna! - zaklął Coburn.

Jeden z żołnierzy nie zdążył załadować broni. Próbował wepchnąć magazynek tyłem. Magazynek nie wchodził. Żołnierz upuścił go i przykląkł na jedno kolano, macając po ziemi w poszukiwaniu zguby. Coburn roześmiałby się na ten widok, gdyby nie był taki przestraszony.

Oficer wrzasnął coś do Coburna w *farsi*. Coburn opuścił szybę, pokazał oficerowi swój zegarek i powiedział:

- Już po piątej.

Żołnierze naradzili się. Oficer wrócił i zażądał od Coburna dowodu

tożsamości.

Coburn czekał niespokojnie. To był najgorszy dzień, by zostać aresztowanym. Czy oficer uwierzy, że to jego zegarek spóźnia się, a zegarek Coburna chodzi dobrze?

Wreszcie żołnierze odsunęli się, a oficer machnięciem ręki kazał Coburnowi jechać.

Coburn westchnął z ulgą i powoli ruszył. Taki właśnie był Iran.

## 2.

Grupa transportowa Coburna zabrała się do roboty: rezerwowała miejsca w samolotach, zamawiała autobusy dowożące ludzi na lotnisko i powielala ulotki na fotokopiarkach. O dziesiątej rano Coburn zebrał w „Bukareszcie” dowódców sektorów i kazał im dzwonić do ewakuowanych rodzin.

Dla większości zarezerwował bilety na lot PanAmem do Istambułu w piątek, ósmego grudnia. Pozostali - w tym Liz Coburn z czwórką dzieci - polecą Lufthansą do Frankfurtu tego samego dnia.

Gdy tylko potwierdzono rezerwacje, dwaj wyżsi urzędnicy z centrali EDS, Merv Stauffer i T. J. Marquez, wyjechali z Dallas do Istambułu, żeby powitać ewakuowanych, umieścić ich w hotelach i zorganizować następny etap ich podróży do kraju.

W ciągu dnia plan uległ nieznacznej zmianie. Paul nadal nie miał ochoty zostawiać swej pracy. Zaproponował, żeby niewielka część personelu - około dziesięciu starszych urzędników - pozostała na miejscu i pilnowała biura na wypadek, gdyby sytuacja w Iranie się unormowała i EDS mogła podjąć normalną działalność. Dallas wyraziło zgodę. Wśród ochotników, którzy zgłosili się, by zostać, był sam Paul, jego zastępca Bill Gaylord, Jay Coburn i prawie wszyscy członkowie jego grupy transportowej. Dwie osoby zostały na miejscu wbrew własnej woli: Carl i Vicki Commons. Vicki była w dziewiątym miesiącu

cięży. Zamierzali wyjechać po urodzeniu się dziecka.

W piątek rano zespół Coburna, z kieszeniami wypchanymi banknotami o nominale 10000 rialów (około 140 dolarów) na łapówki, praktycznie opanował całą sekcję lotniska Mehrabad w zachodnim Teheranie. Ludzie Coburna wypisywali bilety za kontuarem linii PanAmu, asystowali przy kontroli paszportów w sali odlotów i kręcili się przy wózkach z bagażem. Samolot był przepełniony, jednak dzięki łapówkom wszyscy pracownicy EDS dostali miejsca na pokładzie.

Były dwa wyjątkowo trudne momenty. Żona pracownika EDS posiadająca paszport australijski nie mogła otrzymać wizy wyjazdowej, ponieważ wszystkie urzędy irańskie wydające wizy strajkowały. Jej mąż i dzieci nie potrzebowali wiz, mieli paszporty amerykańskie. Kiedy mąż dotarł do biurka kontroli dokumentów, podał swój paszport i paszporty dzieci wraz z sześcioma czy siedmioma innymi paszportami. Podczas gdy strażnicy usiłowali je posortować, ludzie z EDS w kolejce zaczęli się pchać i narobili zamieszania. Kilku z grupy Coburna awanturowało się głośno przy biurku, udając rozgniewanych opóźnieniem. W całym tym zamęcie kobieta z australijskim paszportem przeszła przez salę odlotów nie zatrzymywana.

Inna rodzina z EDS adoptowała irańskie dziecko i nie zdążyła jeszcze wyrobić mu paszportu. Dziecko, zaledwie kilkumiesięczne, zasnęło na rękach matki.

Żona innego pracownika EDS, Kathy Marketos, o której mówiono, że odważy się na wszystko, wzięła śpiące dziecko pod pachę, zakryła je narzuconym luźno płaszczem przeciwdeszczowym i zaniósła do samolotu.

Niemniej jednak upłynęło wiele godzin, zanim pasażerowie zajęli miejsca na pokładzie. Oba loty były opóźnione. Na lotnisku nie można było dostać nic do jedzenia, a ewakuowani byli bardzo głodni, więc tuż przed godziną policyjną grupa Coburna wyruszyła na miasto, wykupując całą żywność, jaka im wpadła w ręce.

Ogłosili do cna kilka stoisk *kuche* - były to uliczne stragany, na których sprzedawano słodycze, owoce i papierosy - oraz odkupili od



smażalni Kentucky Fried Chicken cały zapas bułek. Kiedy wrócili na lotnisko i w sali odlotów rozdzielili żywność pomiędzy pracowników EDS, o mało nie zlinczował ich tłum innych głodnych pasażerów, czekających na te same loty. W drodze powrotnej z miasta dwóch członków grupy zatrzymano za pogwałcenie godziny policyjnej, ale żołnierz, który ich aresztował, pobiegł za innym uciekającym samochodem; ludzie z EDS odjechali, kiedy żołnierz strzelał w drugą stronę.

Samolot do Istambułu odleciał tuż po północy. Samolot do Frankfurtu, opóźniony o trzydzieści jeden godzin, odleciał następnego dnia.

Coburn i większość ludzi z jego grupy spędzili noc w „Bukareszcie”. W domach nikt na nich nie czekał.

Podczas gdy Coburn kierował ewakuacją, Paul usiłował dowiedzieć się, kto i dlaczego chciał skonfiskować jego paszport.

Zastępca administracyjny Paula, Rich Gallagher, był młodym Amerykaninem, który nieźle sobie radził z irańską biurokracją. Gallagher należał do tych, którzy na ochotnika zgodzili się pozostać w Teheranie. Jego żona Cathy została również. Miała dobrą posadę w jednostce wojskowej USA w Teheranie. Gallagherowie nie chcieli wyjeżdżać. W dodatku nie mieli dzieci, o które musieliby się martwić - martwili się tylko o pudła imieniem Buffy.

Tego samego dnia, kiedy Farze polecono przynieść paszporty - piątego grudnia - Gallagher złożył wizytę w ambasadzie amerykańskiej wraz z człowiekiem, którego paszportu również zażądano od Fary, Paulem Bucha. Bucha nie pracował już w Iranie, ale bawił w mieście przejazdem.

Spotkali się z konsulem generalnym Lou Goeltzem. Goeltz, doświadczony dyplomata, był tęgim, łysiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce z wianuszkami siwych włosów, przypominającym z wyglądu świętego Mikołaja. Towarzyszył mu irański pracownik ambasady, Ali Jordan.

Goeltz poradził, żeby Bucha złapał swój samolot. Fara powiedziała

policji - w dobrej wierze - że nie ma go w Iranie, a oni widocznie jej uwierzyli. Bucha miał wszelkie szansę wymknąć się niepostrzeżenie.

Goeltz zaproponował również, że przechowa paszporty i zezwolenia pobytowe Paula oraz Billa. Wówczas, jeśli policja formalnie zażąda wydania tych dokumentów, EDS będzie mogła odesłać ich do ambasady.

Tymczasem Ali Jordan skontaktuje się z policją i spróbuje się dowiedzieć, o co, u diabła, im chodzi.

Jeszcze tego samego dnia dokumenty przekazano do ambasady.

Następnego ranka Bucha odleciał. Gallagher zadzwonił do ambasady. Ali Jordan rozmawiał z generałem Biglari z Departamentu Policji w Teheranie. Biglari oznajmił, że Paul i Bill są zatrzymani w kraju i zostaną aresztowani, jeśli spróbują wyjechać.

Gallagher zapytał, z jakiego powodu.

Są zatrzymani jako „koronni świadkowie dochodzenia”, tyle dowiedział się Jordan.

- Jakiego dochodzenia? Jordan nie wiedział.

Paul, wysłuchawszy sprawozdania Gallaghery, był równie zdumiony, co zaniepokojony. Nie uczestniczył w żadnym wypadku drogowym, nie był zamieszany w żadne przestępstwo, nie miał żadnych powiązań z CIA... Kogo lub czego dotyczyło dochodzenie? EDS? Czy też dochodzenie było zwykłym pretekstem, żeby zatrzymać w Iranie Paula i Billa, którzy kierowali komputerowym systemem ubezpieczeń społecznych?

Policja poszła na jedno ustępstwo. Ali Jordan oświadczył, że policja ma prawo skonfiskować zezwolenia na pobyt, które należały do rządu irańskiego, ale nie paszporty, stanowiące własność rządu USA. Generał Biglari przyznał mu rację.

Nazajutrz Gallagher i Ali Jordan poszli na posterunek policji, żeby przekazać dokumenty generałowi Biglari. Po drodze Gallagher zapytał Jordana, czy jego zdaniem Paul i Bill mogą zostać oskarżeni o jakieś przestępstwo.

- Bardzo wątpię - odpowiedział Jordan.

Na posterunku policji generał ostrzegł Jordana, że ambasada poniesie pełną odpowiedzialność, jeśli Paul i Bill jakimś sposobem uciekną z kraju - na przykład na pokładzie amerykańskiego samolotu wojskowego.

Następnego dnia - ósmego grudnia, w dzień ewakuacji - Lou Goeltz zadzwonił do EDS. Dowiedział się przez swoją wtyczkę w irańskim Ministerstwie Sprawiedliwości, że dochodzenie, którego koronnymi świadkami mieli być Paul i Bill, dotyczyło oskarżenia o korupcję wobec uwięzionego ministra zdrowia, doktora Sheikholeslamizadeha.

Dowiedziawszy się wreszcie, o co chodzi, Paul doznał pewnej ulgi. Na szczęście mógł powiedzieć policji prawdę: EDS nie dawała łapówek. Wątpił zresztą, czy ktokolwiek je wręczał. Urzędnicy irańscy byli z reguły skorumpowani, ale dr Sheik - jak w skrócie nazywał go Paul - wydawał się ulepiony z innej gliny.

Z wykształcenia chirurg ortopeda, miał chłonny umysł oraz imponujące zdolności organizacyjne. W Ministerstwie Zdrowia otaczał się młodymi, zdolnymi menedżerami, którzy potrafili pokonywać biurokratyczne trudności. Projekt EDS był tylko częścią jego ambitnego planu: dr Sheik chciał, żeby irańska służba zdrowia dorównała amerykańskiej. Paul nie przypuszczał, żeby taki człowiek mógł brać łapówki.

Paul nie miał się czego bać - o ile informacje wtyczki Goeltza były prawdziwe. Ale czy na pewno były? Dr Sheik został aresztowany przed trzema miesiącami. Byłby to dziwny zbieg okoliczności, gdyby Irańczycy przypomnieli sobie o Paulu i Billu akurat wtedy, gdy Paul zagroził przerwaniem przez EDS pracy, jeśli ministerstwo nie zapłaci rachunków.

Po ewakuacji pozostali w Iranie pracownicy EDS przeprowadzili się do dwóch domów i święto Ashura - 10 i 11 grudnia - spędzili na grze w pokera. W jednym domu grano wysoko, a w drugim nisko. Paul i Bill grali wysoko. Dla bezpieczeństwa zaprosili dwóch „ochroniarzy” znajomych Coburna z wojskowego wywiadu - którzy mieli broń. Przy stolikach nie pozwalano na noszenie broni, toteż „ochroniarze”

pozostawili ją w hallu.

Wbrew oczekiwaniom święto Ashura minęło stosunkowo spokojnie: miliony Irańczyków wzięły udział w antyrządowych demonstracjach na terenie całego kraju, ale aktów przemocy było niewiele.

Kiedy święto się skończyło, Paul i Bill ponownie zaczęli się zbierać do wyjazdu, spotkała ich jednak przykra niespodzianka. Na początek, poprosili Lou Goeltza z ambasady, aby zwrócił im paszporty. Goeltz oznajmił, że w takim razie będzie musiał poinformować o tym generała Biglari, czyli innymi słowy uprzedzić policję, że Paul i Bill planują ucieczkę.

Goeltz twierdził, że przyjmując paszporty uprzedził pracowników EDS, że taki właśnie układ zawarł z policją. Widocznie jednak powiedział to bardzo cicho, gdyż nikt sobie tego nie przypominał.

Paul był wściekły. Dlaczego Goeltz w ogóle musiał zawierać jakiś układ z policją? Nie musiał im mówić, co zrobił z amerykańskimi paszportami. Przecież, na miłość boską, nie wysłano go tutaj, żeby pomagał policji! Ambasada miała pomagać Amerykanom, nie?

Czy Goeltz mógłby machnąć ręką na tę głupią umowę i zwrócić im paszporty po cichu albo przynajmniej zawiadomić policję dopiero wtedy, kiedy Paul i Bill będą już bezpieczni w domu? Absolutnie wykluczone - oświadczył Goeltz. Gdyby naraził się policji, wszyscy mieliby kłopoty, a on sam musiał troszczyć się o pozostałe dwanaście tysięcy Amerykanów przebywających w Iranie. Poza tym nazwiska Paula i Billa umieszczono na czarnej liście ochrony lotniska i gdyby nawet mieli wszystkie dokumenty w porządku, kontrola paszportowa nigdy by ich nie przepuściła.

Gdy do Dallas dotarła wiadomość, że Paul i Bill na dobre utknęli w Iranie, EDS i prawnicy rozpoczęli energiczną akcję. Nie mieli już tak dobrych kontaktów w Waszyngtonie jak dawniej, za czasów administracji republikanów, ale zostało tam jeszcze paru ich przyjaciół. Rozmawiali z Bobem Straussem, głównym arbitrem od spornych spraw w Białym Domu, który przypadkiem pochodził z Teksasu. Z admirałem Tomem Moorerem, byłym Szefem Połączonych Sztabów Marynarki,

Lotnictwa i Wojsk Lądowych, który znał wielu generałów kierujących obecnie wojskowym rządem w Iranie. Z Richardem Helmsem, byłym dyrektorem CIA i poprzednim ambasadorem USA w Iranie. Na skutek nacisku, jaki EDS wywierała na Departament Stanu, ambasador amerykański w Iranie William Sullivan poruszył sprawę Paula i Billa na spotkaniu z premierem Iranu, generałem Azhari.

Nic nie pomogło.

Minęło trzydzieści dni - termin, jaki Paul dał Irańczykom na zapłacenie długu. 16 grudnia Paul przesłał doktorowi Emrani formalne wypowiedzenie kontraktu. Ale jeszcze nie zrezygnował do końca. Zaproponował, żeby kilku już ewakuowanych urzędników wróciło do Teheranu, okazując tym gotowość EDS do ponownego nawiązania rozmów z ministerstwem. Niektórzy z nich, ośmieleni spokojnym przebiegiem święta Ashura, sprowadzili nawet swe rodziny.

Ani ambasada, ani pracownicy EDS w Teheranie nie mogli się dowiedzieć, kto wydał rozkaz zatrzymania Paula i Billa. Informację tę zdobył w końcu od generała Biglari Majid, ojciec Fary. Dochodzenie prowadził sędzia śledczy Hosain Dadgar, urzędnik średniego szczebla w prokuraturze, zatrudniony w wydziale, który zajmował się przestępstwami administracyjnymi i posiadał bardzo szerokie uprawnienia. Dadgar kierował śledztwem w sprawie dr Sheika, uwięzionego byłego ministra zdrowia.

Skoro ambasada nie potrafiła przekonać Irańczyków, żeby wypuścili Paula i Billa z kraju i nie mogła też oddać im paszportów, to czy nie mogłaby przynajmniej załatwić, żeby ten Dadgar przesłuchał ich jak najszybciej i zwolnił jeszcze przed Bożym Narodzeniem? Boże Narodzenie niewiele znaczy dla Irańczyków - odpowiedział Goeltz - ale Nowy Rok, to co innego, spróbuję więc – dodał - załatwić przesłuchanie przed Nowym Rokiem.

W drugiej połowie grudnia ponownie wybuchły zamieszki. Pracownicy EDS natychmiast opracowali plan drugiej ewakuacji. Trwał strajk generalny. Eksport ropy, główne źródło dochodów rządu, został całkowicie wstrzymany, co zredukowało do zera szansę EDS na

otrzymanie zapłaty. Tak niewielu Irańczyków zgłaszało się do pracy w ministerstwie, że ludzie z EDS nie mieli nic do roboty i Paul odesłał połowę z nich do Stanów na święta.

Paul spakował bagaże, zamknął dom i przeniósł się do hotelu Hiltona, gotów do wyjazdu przy pierwszej sposobności.

Miasto huczało od pogłosek. Jay Coburn wyławiał najbardziej interesujące i przekazywał Paulowi. Najbardziej niepokojącą wiadomość przekazała Bunny Fleischaker, Amerykanka mająca przyjaciół w Ministerstwie Sprawiedliwości. Bunny pracowała dawniej dla EDS w Stanach i chociaż w Teheranie zajmowała się czymś innym, nadal utrzymywała kontakty z firmą. Zadzwoiła do Coburna, żeby mu powiedzieć, że Ministerstwo Sprawiedliwości zamierza aresztować Paula i Billa.

Paul przedyskutował to z Coburnem. Ambasada USA nie potwierdziła wiadomości. Zgodzili się obaj, że ambasada z pewnością ma lepsze rozeznanie niż Bunny Fleischaker. Postanowili nie podejmować żadnych działań.

Paul spędził spokojnie Wigilię z kilkoma kolegami w domu Pata Sculleya, młodego kierownika z EDS, który z własnej woli wrócił do Teheranu. Żona Sculleya, Mary, wróciła razem z nim i to ona przygotowała wigilijną kolację. Paul tęsknił za Ruthie i dziećmiakami.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu odezwała się ambasada. Udało im się zorganizować spotkanie Paula i Billa z sędzią śledczym Hosainem Dadgarem. Spotkanie miało się odbyć następnego ranka, 28 grudnia, w budynku Ministerstwa Zdrowia przy alei Eisenhowera.

Bill Gaylord wszedł do gabinetu Paula parę minut po dziewiątej z filiżanką kawy. Ubrany był w tradycyjny strój EDS: garnitur, białą koszulę, dyskretny krawat i czarne półbuty.

Bill, podobnie jak Paul, był krępy, średniego wzrostu mężczyzną w wieku trzydziestu dziewięciu lat, ale na tym kończyło się podobieństwo. Paul miał ciemną cerę, gęste brwi, duży nos i głęboko osadzone oczy, w zwykłym ubraniu często brano go za Irańczyka, dopóki nie otworzył ust i nie przemówił po angielsku z nowojorskim

akcentem. Bill miał płaską, okrągłą twarz i bardzo jasną cerę. Wyglądał na typowego Anglika.

Mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj byli rzymskimi katolikami, chociaż Bill był bardziej pobożny. Obaj lubili dobrze zjeść. Obaj odbywali praktykę inżynierską przy systemach komputerowych i podjęli pracę w EDS w połowie lat sześćdziesiątych. Bill w 1965, a Paul w 1966 roku. Obaj zrobili świetne kariery w EDS, ale Paul piastował wyższe stanowisko niż Bill, chociaż rozpoczął pracę rok później. Bill znał na wylot działalność służby zdrowia i świetnie umiał kierować ludźmi, lecz nie był tak dynamiczny i zawzięty jak Paul. Bill musiał zawsze wszystko starannie przemyśleć i zaplanować. Paul nigdy nie martwił się o Billa podczas ważnych wystąpień : Bill przygotowywał sobie każde słowo.

Dobrze im się razem pracowało. Kiedy Paul zanadto się śpieszył, Bill powstrzymywał go i zmuszał do zastanowienia. Kiedy Bill zbyt zagłębiał się w szczegóły, Paul ponaglał go do działania.

Zawarli znajomość jeszcze w Stanach, ale tak naprawdę dobrze poznali się w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy. Kiedy Bill w marcu przybył do Teheranu, mieszkał u Paula, dopóki nie przyjechała jego żona, Emily, z dziećmi. Paul czuł się za niego odpowiedzialny: byłoby wstyd, gdyby Bill miał tu w Iranie kłopoty. Bill najbardziej ze wszystkich przejmował się zamieszkami i strzelaniną - może dlatego, że był tu od niedawna, a może z natury skłonny był martwić się. Kłopoty z paszportami potraktował znacznie poważniej niż Paul. Pewnego razu zaproponował nawet, aby obaj pojechali pociągiem do północno - wschodniego Iranu i przekroczyli granicę rosyjską. Nikt nie będzie przecież podejrzewał dwóch amerykańskich biznesmenów o zamiar ucieczki do Związku Radzieckiego.

Poza tym Bill bardzo tęsknił za Emily i dziećmi. Paul czuł się tu trochę winny, ponieważ to on ściągnął Billa do Iranu.

Ale ich kłopoty zbliżały się do końca. Dzisiaj spotkają się z panem Dadgarem i otrzymają z powrotem paszporty. Bill miał rezerwację na jutrzejszy samolot. Emily zamierzała wydać powitalne przyjęcie w

sylwestra. Wkrótce wszystko to minie jak zły sen.

Paul uśmiechnął się do Billa.

- Możemy jechać?

- W każdej chwili.

- Zabierzmy Abolhasana.

Paul podniósł słuchawkę telefonu. Abolhasan był najstarszym rangą Irańczykiem zatrudnionym w EDS i uczył Paula irańskich metod prowadzenia interesów. Był synem wybitnego prawnika, ożenił się z Amerykanką i bardzo dobrze mówił po angielsku. Między innymi zajmował się tłumaczeniem kontaktów EDS na język *farsi*. Dzisiaj miał być tłumaczem Paula i Billa podczas spotkania z Dadgarem.

Zjawił się natychmiast w gabinecie Paula. Trzej mężczyźni wyruszyli. Nie zabrali ze sobą adwokata. Ambasada powiadomiła ich, że spotkanie to będzie zwykłą formalnością. Zabranie adwokata byłoby nie tylko bezcelowe, ale mogłoby urazić Dadgara i obudzić w nim podejrzenie, że Paul i Bill coś ukrywają. Paul chciał, żeby ktoś z ambasady był obecny podczas spotkania, ale Lou Goeltz odrzucił ten pomysł: wysłanie przedstawiciela ambasady na takie spotkanie byłoby sprzeczne z normalnym trybem postępowania. Goeltz poradził jednak Paulowi i Billowi, żeby wzięli ze sobą dokumenty potwierdzające datę ich przyjazdu do Iranu, oficjalne stanowiska oraz zakres obowiązków.

Podczas gdy samochód przedzierał się przez zatłoczone jak zwykle ulice Teheranu, Paul był nieco przygnębiony. Cieszył się wprawdzie, że wraca do domu, ale radość tę zatruchiła świadomość porażki. Przyjechał przecież do Iranu, aby stworzyć tu filię EDS, a tymczasem musiał zwinąć interes. Jakkolwiek by na to patrzeć, pierwsza zagraniczna inwestycja firmy okazała się niewypałem. Nie było winą Paula, że irańskiemu rządowi zabrakło pieniędzy, niezbyt go to jednak pocieszało. Wymówki nie usprawiedliwią klęski.

Przejechali obsadzoną drzewami aleję Eisenhowera, szeroką i prostą, jak amerykańskie autostrady, skręcając na dziedziniec przed kwadratowym dziewięciopiętrowym budynkiem, odsuniętym od ulicy i pilnowanym przez żołnierzy z karabinami. Był to Urząd Ubezpieczeń



Spółecznych, podległy Ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej. Tutaj miał powstać załączek nowego irańskiego państwa dobrobytu. Tutaj rząd irański i EDS pracowały ramię w ramię, żeby stworzyć system ubezpieczeń społecznych. EDS zajmowała całe szóste piętro - tam również był gabinet Billa.

Paul, Bill oraz Abolhasan pokazali przepustki i weszli. Korytarze były puste i brudne, w budynku było zimno: znowu wyłączono ogrzewanie. Skierowano ich do gabinetu pana Dadgara.

Dadgar siedział za szarym stalowym biurkiem w małym pokoju o brudnych ścianach. Na biurku leżały notes i pióro. Przez okno Paul widział centrum informatyczne, które EDS budowała w pobliżu.

Abolhasan przedstawił wszystkich. Przy biurku Dadgara siedziała na krześle Iranka: nazywała się Nourbash i była tłumaczką Dadgara.

Wszyscy usiedli na zniszczonych metalowych krzesłach. Podano herbatę. Dadgar zaczął mówić w języku *farsi*. Głos miał cichy, raczej niski i całkowicie pozbawiony intonacji. Czekać na tłumaczenie Paul przyglądał mu się. Dadgar był niskim, krępy męczyzną około pięćdziesiątki i z niewyjaśnionych powodów przypominał Paulowi Archiego Bunkera. Miał ciemną cerę i włosy zaczesane do przodu, jakby chciał ukryć łysinę. Nosił wąsy i okulary, ubrany był w ciemny garnitur.

Gdy Dadgar skończył, Abolhasan powiedział:

- Ostrzega, że ma prawo was aresztować, jeśli uzna wasze odpowiedzi za niezadowalające. Jeśli o tym nie wiedzieliście, możecie odłożyć przesłuchanie, żeby dać adwokatom czas na zebranie kaucji.

Paul był zdumiony tym oświadczeniem, ale przeanalizował je szybko, jak każdą inną handlową decyzję. „OK - pomyślał - w najgorszym razie facet nam nie uwierzy i będzie chciał nas aresztować, ale nie jesteśmy mordercami, wyjdziemy za kaucją w ciągu dwudziestu czterech godzin. Otrzymamy zakaz opuszczania kraju, będziemy musieli spotkać się z adwokatami i wyjaśnić sprawę, ale teraz jesteśmy w niewiele lepszej sytuacji”.

Popatrzył na Billa.

- Jak sądzisz?

Bill wzruszył ramionami.

- Goeltz mówił, że to zwykła formalność. Dadgar wspomniał o kaucji chyba po to, żeby przypomnieć nam o naszych prawach.

Paul przytaknął.

- Z pewnością nie chcemy odkładać przesłuchania.

- Więc skończmy z tym.

Paul odwrócił się do pani Nourbash.

- Proszę powiedzieć panu Dadgarowi, że żaden z nas nie popełnił przestępstwa i nie jesteśmy zamieszani w przestępstwo, mamy więc pewność, że nie zostaniemy o nic oskarżeni. Dlatego chcielibyśmy zakończyć to dzisiaj, żeby wrócić do domu.

Pani Nourbash przetłumaczyła.

Dadgar oświadczył, że chciałby najpierw przesłuchać Paula na osobności. Billy ma wrócić za godzinę. Bill wyszedł.

\* \* \*

Bill poszedł do swojego gabinetu na szóstym piętrze. Podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer „Bukaresztu” i poprosił Lloyda Briggsa. Briggs był w firmie trzeci w hierarchii po Paulu i Billu.

- Dadgar mówi, że ma prawo nas aresztować - poinformował go Bill.  
- Może będziemy musieli złożyć kaucję. Zadzwoń do miejscowych adwokatów i dowiedz się, co to znaczy.

- Jasne - powiedział Briggs. - Gdzie jesteś?

- W moim gabinecie w ministerstwie.

- Zadzwonię do ciebie.

Bill odłożył słuchawkę i czekał. Groźba aresztowania była wręcz śmieszna - mimo powszechnej korupcji panującej w nowoczesnym państwie irańskim EDS nigdy nie dawała łapówek, żeby zdobyć kontrakt. A nawet gdyby były jakieś łapówki, Bill nie mógł z tym mieć nic wspólnego; zajmował się dostarczaniem produktu, a nie walką o rynek.

Biggs odezwał się po paru minutach.

- Nie masz się o co martwić - oświadczył. - Nie dalej jak w zeszłym tygodniu facet oskarżony o morderstwo wyszedł za kaucją półtora miliona rialów. Bill przeliczył szybko: dwadzieścia tysięcy dolarów. EDS chyba mogła tyle zapłacić. Od paru tygodni trzymali w sejfie zapas gotówki, zarówno z powodu strajku banków, jak i na wypadek ewakuacji.

- Ile mamy w sejfie?

- Około siedmiu milionów rialów plus piętnaście tysięcy dolarów. „A więc - pomyślał Bill - nawet jeśli zostaniemy aresztowani, będziemy mogli od razu wpłacić kaucję”.

- Dzięki - powiedział. - Trochę mi ulżyło.

\* \* \*

Na dole Dadgar zapisał imię i nazwisko Paula, datę i miejsce urodzenia, nazwę uczelni, staż pracy przy komputerach oraz kwalifikacje. Obejrzał również dokładnie dokument oficjalnie mianujący Paula kierownikiem irańskiego oddziału korporacji Electronic Data Systems. Następnie kazał Paulowi opowiedzieć, w jaki sposób EDS uzyskała kontrakt z Ministerstwem Zdrowia. Paul głęboko zaczerpnął powietrza.

- Przede wszystkim chciałbym przypomnieć, że w okresie, kiedy zawierano kontrakt, nie było mnie w Iranie, dlatego nie dysponuję informacjami z pierwszej ręki. Postaram się jednak opowiedzieć wszystko, co mi wiadomo w tej sprawie.

Pani Nourbash przetłumaczyła. Dadgar skinął głową.

Paul mówił dalej, powoli, starannie dobierając słowa, aby ułatwić tłumaczenie.

- W roku 1975 pracownik EDS Paul Bucha dowiedział się, że ministerstwo poszukuje firmy komputerowej wyspecjalizowanej w problematyce ubezpieczeń zdrowotnych oraz opieki społecznej. Paul

Bucha przyjechał do Teheranu, spotkał się z oficjalnymi przedstawicielami ministerstwa i ustalił rodzaj oraz zakres zleconych prac. Powiedziano mu, że ministerstwo otrzymało już oferty od Louis Bergera i Company, Marsha i MacClennana, ISIRAN-u, UNIVAC-u, piątej zaś propozycji oczekują od firmy Cap Gemini Sogeti. Bucha oświadczył, że EDS jest najlepszą firmą komputerową w Stanach Zjednoczonych, wyspecjalizowaną właśnie w tego rodzaju obsłudze służby zdrowia. Zaproponował przeprowadzenie badań wstępnych za darmo. Oferta została przyjęta.

Kiedy Paul czekał na przetłumaczenie, zauważył, że pani Nourbash mówiła krócej od niego, a Dadgar zapisał jeszcze mniej. Zaczął mówić wolniej i znacznie częściej robił przerwy.

- Ministerstwo widocznie zainteresowało się propozycją EDS, ponieważ zleciło nam wykonanie szczegółowych badań na sumę dwustu tysięcy dolarów. Rezultaty tych badań przedstawiliśmy w październiku 1975 roku. Ministerstwo przyjęło naszą ofertę i rozpoczęło negocjacje. Do sierpnia 1976 roku uzgodniono warunki kontraktu.

- Czy wszystko było załatwiane uczciwie? - zapytał Dadgar za pośrednictwem tłumaczki.

- Absolutnie uczciwie - odparł Paul. - Trzy miesiące trwało uzyskanie wszelkich potrzebnych zezwoleń od rozmaitych urzędów państwowych, z dworem szacha włącznie. Nie pominięto żadnego etapu. Kontrakt wszedł w życie z końcem roku.

- Czy cena była wygórowana?

- Kontrakt przewidywał maksymalny zysk w wysokości dwudziestu procent przed odliczeniem podatku, co stanowi przeciętną przy kontraktach tej wielkości, zarówno tutaj, jak i w innych krajach.

- A czy EDS wypełniło zobowiązania zawarte w kontrakcie? To był temat, w którym Paul orientował się najlepiej.

- Tak, wypełniliśmy zobowiązania.

- Mógłby pan przedstawić dowód?

- Oczywiście. Kontrakt przewidywał, że mam spotykać się z przedstawicielami ministerstwa w określonych odstępach czasu, żeby

zdać sprawę z postępu robót. Te spotkania się odbyły i w aktach ministerstwa znajdują się protokoły.

W kontrakcie ustalono procedurę składania zażaleń przez ministerstwo, w przypadku gdyby EDS nie wypełniło swych zobowiązań. Procedurą tą nigdy się nie posłużono.

Pani Nourbash przetłumaczyła, ale Dadgar nic nie zapisał. „Na pewno już o tym wie” - pomyślał Paul.

- Proszę wyjrzeć przez okno - dodał. - To jest nasze centrum informatyczne. Proszę je obejrzeć. W środku są komputery. Proszę ich dotknąć. One pracują. Produkują informacje. Proszę przeczytać wydruki. Te informacje są wykorzystywane.

Dadgar zrobił krótką notatkę. Paul zastanawiał się, o co mu właściwie chodzi. Następne pytanie brzmiało:

- Jakie mieliście powiązania z grupą Mahviego?

- Kiedy przyjechaliśmy do Iranu, na samym początku uprzedzono nas, że musimy mieć irańskich wspólników, żeby robić tu interesy. Grupa Mahviego to nasi wspólnicy. Spotykamy się z nimi od czasu do czasu, ale mają oni niewiele wspólnego z naszą pracą. Głównie dostarczają nam miejscowych pracowników.

Dadgar zapytał, dlaczego dr Towliati, pracownik ministerstwa, był na liście płac EDS. Czy nie występowała tu sprzeczność interesów?

Wreszcie padło jakieś bardziej sensowne pytanie. Paul rozumiał, że funkcja Towliatiego mogła się wydać sprzeczna z przepisami. Łatwo jednak mógł to wyjaśnić.

- W kontrakcie zobowiązaliśmy się zapewnić ministerstwu pomoc wyspecjalizowanych konsultantów, którzy wiedzą, jak najlepiej wykorzystać nasze urządzenia. Dr Towliati jest takim konsultantem. Pracował przy przetwarzaniu danych i zna się zarówno na amerykańskich, jak i na irańskich sposobach prowadzenia interesów. Jest opłacany bardziej przez EDS niż przez ministerstwo, ponieważ pensje w ministerstwie są zbyt niskie, żeby skusić człowieka jego kalibru. Jednakże ministerstwo zobowiązane jest zwrócić nam koszty jego zatrudnienia, co ustalono w kontrakcie, więc właściwie nie my mu

płacimy.

Dadgar ponownie zrobił krótką notatkę. „Wszystkie te informacje mógł znaleźć w aktach - pomyślał Paul. - Może właśnie tak zrobił”.

- Dlaczego jednak dr Towliati podpisuje faktury? - zapytał Dadgar.

- To proste - odparł Paul. - Nie podpisuje i nigdy nie podpisywał. On tylko informuje ministra, że pewne zadanie zostało wykonane. Czasami dokumentacja jest zbyt skomplikowana technicznie, aby laik mógł dokonać weryfikacji. - Paul uśmiechnął się. - Dr Towliati traktuje bardzo poważnie swój zakres obowiązków, jest naszym najsurowszym krytykiem i z reguły zadaje mnóstwo kłopotliwych pytań, zanim potwierdzi wykonanie zadania. Czasami żałuję, że jest nieprzekupny.

Pani Nourbash przetłumaczyła. Paul rozważał: „O co właściwie chodzi Dadgarowi? Najpierw pyta o okoliczności zawarcia kontraktu, co nastąpiło przed moim przyjazdem, potem zaś interesuje się grupą Mahwiego i doktorem Towliatim, jakby to było ogromnie ważne. Może Dadgar sam nie wie, czego szuka... Może po prostu strzela na oślep, w nadziei, że trafi na coś sprzecznego z przepisami. Jak długo będzie się ciągnąć ta farsa?”

\* \* \*

Bill stał na korytarzu. Było mu chłodno, więc nałożył płaszcz. Ktoś przyniósł mu herbatę i Bill popijając ją grzał ręce o szklanekę. W budynku było nie tylko zimno, ale i ciemno.

Bill od razu spostrzegł, że Dadgar bardzo różni się od przeciętnego Irańczyka. Zachowywał się gburowato, był oziębły i naburmuszony. Ambasada twierdziła, że Dadgar był życzliwie usposobiony wobec Paula i Billa. On jednak miał odmienne wrażenie.

Bill był ciekaw, co ten człowiek knuje? Myślał intensywnie: „Może próbuje ich zastraszyć? Może naprawdę zamierza ich aresztować? Tak, czy inaczej spotkanie nie przebiegało zgodnie z tym, co mówiono im w ambasadzie. Chyba niesłusznie poradzono, aby nie zabierali ze sobą

adwokatów lub przedstawicieli ambasady. Być może, ambasada po prostu nie chciała się w to mieszać. Jakkolwiek by było razem z Paulem byli teraz zdani sami na siebie. Chociaż zapowiadał się niezbyt przyjemny dzień, w końcu jednak będą mogli wreszcie wrócić do domu". Patrząc przez okno, Bill spostrzegł, że w alei Eisenhowera powstało jakieś zamieszanie. Nieco dalej dysydenci zatrzymywali przejeżdżające samochody i przyklejali do przednich szyb plakaty z Chomeinim. Żołnierze pilnujący gmachu ministerstwa zatrzymywali samochody i zdzierali plakaty. Szybko wpadli w nastrój bojowy. W jednym z samochodów rozbili przednie światła, potem wybili szybę w następnym, jak gdyby chcieli pokazać kierowcom, kto tu rządzi. Wreszcie wyciągnęli jakiegoś kierowcę z samochodu i zaczęli go okładać razami.

Następnym samochodem, który zwrócił ich uwagę, była pomarańczowa teherańska taksówka. Przejechała bez zatrzymania - co nikogo nie powinno dziwić - niemniej jednak żołnierze wpadli we wściekłość i pobiegli za nią strzelając.

I taksówka, i ścigający ją żołnierze zniknęli Billowi z oczu.

Żołnierze zakończyli wreszcie swój ostry wypad i powrócili na posterunek przed frontem gmachu ministerstwa, na otoczony murem dziedziniec. Incydent ów, będący dziwną mieszaniną dziecinady i brutalności, był esencją tego, co działo się w Iranie. Cały kraj staczał się w przepaść. Szach stracił kontrolę, a rebelianci zdecydowani byli wypędzić go albo zabić. Bill żałował tych ludzi w samochodach, niewinnych ofiar zbiegu okoliczności, które bezradnie mogły tylko czekać na poprawę sytuacji. „Skoro nawet Irańczycy nie są już bezpieczni – pomyślał - Amerykanom grozi jeszcze większe niebezpieczeństwo. Musimy wydostać się stąd za wszelką cenę”.

Dwaj Irańczycy przebywający w tym samym korytarzu, widzieli też te rozróbki przy alei Eisenhowera. Podobnie jak Bill, wydawali się nimi przerażeni.

Ranek minął, nadeszło popołudnie. Bill otrzymał następną szklanekę herbaty i kanapkę. To miał być lunch. Myślał o tym, co działo się w

pokoju przesłuchań. Nie dziwiło to, że długo czeka: w Iranie słowa: „za godzinę” oznaczały w praktyce mniej więcej to samo co „kiedyś, później”. W miarę jednak, jak mijał dzień, Bill niepokoił się coraz bardziej. Czyżby Paul miał jakieś kłopoty?

Dwaj Irańczycy sterczeli beczynn timer na korytarzu przez całe popołudnie. Nie robili nic, po prostu byli. Bill nie miał zielonego pojęcia, kim są. Nie zamienił z nimi ani słowa.

Chciał, żeby czas skoczył do przodu. Miał przecież rezerwację na jutrzejszy samolot. Emily z dziećmi była w Waszyngtonie, gdzie mieszkali jej rodzice i teściowie. Planowali dla niego wielkie przyjęcie w sylwestra. Nie mógł doczekać się, kiedy ich znowu zobaczy.

Powinien był wyjechać z Iranu już wtedy, gdy zaczęły się bombardowania. Jedna z bomb spadła wówczas na dom dziewczyny, którą Bill znał ze studiów w Waszyngtonie. Dziewczyna ta wyszła za dyplomatę z ambasady amerykańskiej. Bill o tym z nimi rozmawiał. Wprawdzie nikt nie został ranny, ale było to straszne.

„Powinienem być ostrożniejszy i już wtedy wyjechać” - pomyślał. Drzwi otworzyły się. Wszedł Abolhasan i powiedział:

- Bill! Pozwól, proszę.

Bill spojrzał na zegarek. Była piąta. Wszedł.

- Zimno tu - stwierdził siadając.

- Na tym krześle szybko robi ci się ciepło - odparł Paul z wymuszonym uśmiechem. Bill zerknął na niego: Paul nie wyglądał na osobę z dobrym samopoczuciem.

Dadgar, zanim zaczął przesłuchiwać Billa, wypił szklanek herbaty i zjadł kanapkę. Przyglądając mu się Bill pomyślał: „Uważaj - ten facet chce złapać nas w pułapkę, aby nie pozwolić nam wyjechać do kraju”.

Przesłuchanie się rozpoczęło. Bill podał swoje nazwisko, datę i miejsce urodzenia, wykształcenie, staż i kwalifikacje. Dadgar zadawał pytania i zapisywał odpowiedzi z twarzą pozbawioną wyrazu. „On jest jak maszyna” - pomyślał Bill.

Zacynał rozumieć, dlaczego przesłuchanie Paula trwało tak długo. Każde pytanie trzeba było przetłumaczyć z *farsi* na angielski, każdą zaś



odpowieź z angielskiego na *farsi*. Pani Nourbash tłumaczyła, a Abolhasan wtrącał objaśnienia i poprawki.

Dadgar spytał Billa, czy EDS wywiązała się z kontraktu z ministerstwem zdrowia. Bill odpowiedział obszernie i szczegółowo, chociaż temat był zarówno skomplikowany, jak i wybitnie specjalistyczny. Był przekonany, że pani Nourbash nie rozumie z tego ani słowa. W każdym razie nikt nie mógł wyrobić sobie zdania o całym projekcie na podstawie kilku ogólnych pytań. „Co to za idiotyzmy - zastanawiał się Bill. - Dlaczego Dadgar siedział przez cały dzień w lodowato zimnym pokoju i zadawał głupie pytania? Doszedł do wniosku, że widać był to jakiś orientalny rytuał. Dadgar musiał rozwodnić swój raport, zbadać wszystkie szczegóły i w ten sposób z góry zabezpieczyć się przed ewentualnym oskarżeniem, jeśli pozwoli im wyjechać. W najgorszym razie mógł ich zatrzymać jeszcze przez jakiś czas w Iranie. Tak czy owak, była to tylko kwestia czasu”.

Oboje - Dadgar i pani Nourbash - wydawali się wrogo nastawieni. Przesłuchanie coraz bardziej przypominało krzyżowy ogień pytań. Dadgar oświadczył, że raporty o postępach robót składane przez EDS były sfałszowane i EDS posłużyła się nimi, żeby wydostać od ministerstwa zapłatę za nie wykonaną pracę. Bill przypomniał, że przedstawiciele ministerstwa, którzy byli najlepiej poinformowani, nigdy nie wspominali, jakoby raporty były niedokładne. Jeśli EDS nie wykonała zadania, gdzie są skargi? Dadgar może to sprawdzić w aktach ministerstwa.

Dadgar zapytał o dr Towliatiego i kiedy Bill wyjaśnił jego rolę, pani Nourbash, która zabrała głos, zanim jeszcze Dadgar się odezwał, oznajmiła, że wyjaśnienie jest nieprawdziwe.

Padło jeszcze wiele rozmaitych pytań, w tym jedno kompletnie niezrozumiałe:

„Czy EDS zatrudnia jakichś Greków?” Bill zaprzeczył, zastanawiając się, co to ma do rzeczy. Dadgar wydawał się zniecierpliwiony. Być może miał nadzieję, że zeznania Billa będą sprzeczne z zeznaniami Paula. Teraz, rozczarowany, zwiększył tempo. Zadawał pytania pospiesznie i

niedbale, nie żądał objaśnień ani nie stawiał dodatkowych pytań. Przesłuchanie zakończył po godzinie.

Pani Nourbash powiedziała:

- Proszę teraz podpisać się przy każdym pytaniu i odpowiedzi w notesie pana Dadgara.

- Ależ to jest w *farsi*. Nie rozumiemy ani słowa! - zaprotestował Bill. „To podstęp - pomyślał. - Podpiszemy przyznanie się do morderstwa, szpiegostwa czy innej zbrodni wymyślonej przez Dadgara”.

Tu wtrącił się Abolhasan:

- Przejrzę notatki i sprawdzę.

Paul i Bill czekali, aż Abolhasan przejrzy notes. Wyglądało to na bardzo pobieżne sprawdzenie. Wreszcie Abolhasan odłożył notes na biurko.

- Radzę wam podpisać - stwierdził.

Bill czuł, że nie powinien podpisywać - ale nie miał wyboru. Jeśli chciał wrócić do domu, musiał podpisać.

Spojrzał na Paula. Paul wzruszył ramionami.

- Chyba lepiej podpiszmy - powiedział.

Po kolei przekartkowali notes i wpisali swoje nazwiska pod niezrozumiałymi zawijaszami w języku *farsi*.

Kiedy skończyli, w pokoju panowała napięta atmosfera. „Teraz – pomyślał Bill - z pewnością powie nam, że możemy wracać do domu”.

Dadgar zebrał papiery w schludny stosik, rozmawiając przez parę minut z Abolhasanem. Potem wyszedł z pokoju. Abolhasan odwrócił się do Paula i Billa z ponurą miną.

- Jesteście aresztowani - oznajmił.

Serce w Billu zamarło. Nici z samolotu, nici z Waszyngtonu, Emily, sylwestrowego przyjęcia...

- Wyznaczono kaucję w wysokości dziewięćdziesięciu milionów tomanów, sześćdziesiąt za Paula i trzydzieści za Billa.

- Jezusie! - jęknął Paul. - Dziewięćdziesiąt milionów tomanów to... Abolhasan przeliczył na skrawku papieru.

- Niecałe trzysta milionów dolarów.

- Żartujesz! - zawołał Bill. - Trzynaście milionów? Kaucja za mordercę wynosi dwadzieścia tysięcy!

- On pytał - ciągnął Abolhasan - czy jesteście gotowi złożyć kaucję. Paul parsknął śmiechem.

- Powiedz mu, że nie mam tyle przy sobie, będę musiał wstąpić do banku. Abolhasan nic nie odpowiedział.

- On na pewno żartuje - oświadczył Paul.

- On nie żartuje - zaprzeczył Abolhasan.

Nagle Bill poczuł zalewającą go wściekłość - na Dadgara, na Lou Goeltza, na cały ten przeklęty świat. Dali się nabrać. Wpadli prosto w pułapkę. Przyszli tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli, na spotkanie zorganizowane przez ambasadę amerykańską. Nie zrobili nic złego i nikt nie miał cienia dowodu przeciwko nim, a jednak wylądowali w więzieniu - i co gorsza, w irańskim więzieniu! Abolhasan powiedział:

- Każdy z was ma prawo do jednej rozmowy telefonicznej. Zupełnie jak w telewizyjnych kryminałach - jedna rozmowa, a potem za kratki. Paul podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Poproszę Lloyda Briggsa. Mówi Paul Chiapparone... Lloyd? Nie mogę przyjść dzisiaj na obiad. Idę do więzienia.

Bill pomyślał: „Paul chyba jeszcze w to nie uwierzył”. Paul słuchał przez chwilę, po czym powiedział:

- Może na początku zadzwoń do Gaydena.

Bill Gayden, noszący nazwisko podobne do nazwiska Billa Gaylorda, był dyrektorem EDS World i bezpośrednim przełożonym Paula. „Jak tylko ta wiadomość dotrze do Dallas - pomyślał Bill - ci irańscy dowcipnisie przekonają się, że EDS nie da sobie w kaszę dmuchać”.

Z kolei on zajął miejsce przy telefonie. Połączył się z ambasadą USA i poprosił konsula generalnego.

- Goeltz? Mówi Bill Gaylord. Właśnie nas aresztowano i wyznaczono kaucję w wysokości trzynastu milionów dolarów.

- Jak to się stało?

Chłodny, opanowany głos Goeltza rozwścieczył Billa do reszty.

- To pan zorganizował to spotkanie i to pan nam powiedział, że później będziemy mogli wyjechać!

- Na pewno, jeśli nie zrobiliście nic złego...

- Co to znaczy jeśli? - wrzasnął Bill.

- Postaram się jak najszybciej przysłać kogoś do więzienia - obiecał Goeltz. Bill odłożył słuchawkę.

Weszli dwaj Irańczycy, ci sami, którzy przez cały dzień sterczeli na korytarzu. Bill zauważył, że obaj są wysocy i potężnie zbudowani. Domyślił się, że to policjanci w cywilu.

- Dadgar powiedział - odezwał się Abolhasan - że nie trzeba zakładać wam kajdanek.

- Serdeczne dzięki - warknął Paul.

Bill nagle przypomniał sobie opowieści o torturowaniu więźniów w więzieniach szacha. Wyśilkciem woli odpędził tę myśl.

- Może chcecie mi oddać teczki i portfele? - zapytał Abolhasan. Podali mu je. Paul zatrzymał sto dolarów.

- Czy wiesz, gdzie jest więzienie? - zapytał Abolhasana.

- Zabierają was do tymczasowego aresztu w Ministerstwie Sprawiedliwości przy ulicy Khayyam.

- Wracaj zaraz do „Bukaresztu” i przekaz to wszystko Lloydowi Briggsowi.

- Tak jest.

Jeden z policjantów w cywilu przytrzymał otwarte drzwi. Bill popatrzył na Paula. Paul wzruszył ramionami. Wyszli.

Pod eskortą policjantów zeszli po schodach i wsiedli do małego samochodu.

- Chyba będziemy musieli spędzić parę godzin w więzieniu - odezwał się Paul. - Trochę potrwa, zanim ambasada i EDS przysła ludzi, żeby nas wyciągnąć za kaucją.

- Może już tam na nas czekają - optymistycznie zauważył Bill. Wyższy z policjantów usiadł za kierownicą. Jego kolega zajął miejsce obok, z przodu. Wyjechali z dziedzińca na aleję Eisenhowera i przyspieszyli. Nagle z największą szybkością skręcili pod prąd w

wąską, jednokierunkową uliczkę. Bill przytrzymał się oparcia przedniego fotela.

Samochód lawirował pomiędzy nadjeżdżającymi z przeciwka pojazdami, których kierowcy trąbili i wygrażali pięściami.

Jechali w kierunku południowym, zbaczając lekko na wschód. Bill próbował odgadnąć, co czeka ich w więzieniu. Czy będą tam ludzie z EDS albo z ambasady, żeby wynegocjować zmniejszenie kaucji i zabrać ich do domu? „Na pewno ambasada oburzona jest tym, co zrobił Dadgar - myślał. - Z pewnością ambasador Sullivan zażądał aby natychmiast ich uwolniono. Przecież to świństwo wsadzić do więzienia dwóch Amerykanów, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa i wyznaczyć kaucję trzynastu milionów dolarów”. Cała ta sytuacja była - jego zdaniem - wręcz śmieszna.

Tylko że kiedy w milczeniu wyglądali przez okna samochodu zastanawiając się, co będzie dalej, wcale nie było im do śmiechu.

W trakcie jazdy Bill zobaczył coś, co przestraszyło go jeszcze bardziej.

W północnej części miasta, gdzie mieszkali i pracowali Amerykanie, uliczne walki były stosunkowo rzadkim zjawiskiem, ale tutaj - co Bill dopiero teraz sobie uświadomił - musiały trwać nieprzerwanie. Na ulicach dymiły czarne wraki podpalonych autobusów. Setki demonstrantów brały udział w rozruchach wrzeszcząc, śpiewając, podkładając ogień i budując barykady. Nastolatki rzucały „koktajle Mołotowa” - butelki z benzyną owinięte płonącymi szmatami - na przejeżdżające samochody, celując w całkiem przypadkowe wozy. „My możemy być następni” - pomyślał Bill. Słyszał strzały, ale w ciemnościach nie widział, kto do kogo strzela. Kierowca przez cały czas jechał z maksymalną szybkością. Co chwila okazywało się, że ulicę blokuje tłum, barykada lub płonący samochód. Kierowca zawracał, nadal ignorując światła uliczne, w samobójczym tempie omijał przeszkody zaułkami. „Nie dojedziemy tam żywi” - pomyślał Bill. W końcu sięgnął ręką do różańca, który miał w kieszeni.

Bill miał wrażenie, że ta jazda trwa całą wieczność.

Nagle samochód wjechał na koliste podwórze i zatrzymał się. Potężnie zbudowany kierowca wysiadł bez słowa i zniknął w budynku.

Ministerstwo Sprawiedliwości zajmowało cały gmach. W ciemnościach - żadna z ulicznych latarni nie działała - Bill zobaczył niewyraźny zarys czteropiętrowego budynku. Po dziesięciu lub piętnastu minutach znajomy kierowca wyszedł, usiadł za kierownicą i objechał gmach dookoła. Bill domyślił się, że kierowca zarejestrował swych więźniów w biurze od frontu.

Na tyłach budynku samochód przejechał krawężnik i zatrzymał się na chodniku przed stalową, dwuskrzydłową bramą w wysokim ceglany murze. Po prawej, tam gdzie mur się kończył, widać było niewyraźne zarysy jakiegoś parku lub ogrodu. Kierowca wysiadł. Ktoś otworzył judasza w stalowych drzwiach. Nastąpiła krótka wymiana zdań w *farsi*. Potem drzwi otworzono. Kierowca gestem nakazał Paulowi i Billowi opuścić samochód.

Weszli do środka.

Bill rozejrzał się wokół. Znaleźli się na niewielkim podwórzu. Wokół stało dziesięciu czy piętnastu strażników, uzbrojonych w automaty. Bill zobaczył przed sobą kolistą podjazd. Stały na nim samochody osobowe i ciężarówki. Po lewej stronie przy ceglany murze stał niewielki parterowy budynek. Po prawej były następne stalowe drzwi.

Kierowca podszedł do nich i zapukał. Znowu zamieniono przez judasza parę zdań w *farsi*. Uchylono drzwi, Paul i Bill weszli do środka.

Znaleźli się w małej poczekalni z biurkiem i paroma krzesłami. Bill na próżno się rozglądał: nie było adwokatów, przedstawicieli ambasady ani pracowników EDS, którzy wyciągnęliby ich z więzienia. „Jesteśmy zdani na siebie – pomyślał - a to zaczyna wyglądać niebezpiecznie”.

Za biurkiem stał strażnik. W rękę trzymał długopis i plik formularzy. Zapytał o coś w *farsi*. Paul odgadł sens pytania.

- Paul Chiapparone - powiedział i przeliterował swoje nazwisko. Wypełnianie formularzy zabrało prawie godzinę. Sprowadzono więźnia znającego angielski, żeby pomógł w tłumaczeniu. Paul i Bill podali swoje daty urodzenia, teherańskie adresy i numery telefonów. Spisano

także posiadane przez nich przedmioty. Odebrano im pieniądze, każdy z nich otrzymał tylko dwa tysiące rialów - około trzydziestu dolarów.

Zabrano ich do przyległego pokoju i kazano się rozebrać. Zostali tylko w spodenkach. Przeszukano ubrania i zrewidowano ich samych. Paulowi nakazano ubrać się z powrotem, Bill musiał zaczekać. Było bardzo zimno, tutaj też ogrzewanie nie działało. Nagi i drżący Bill zastanawiał się, co będzie dalej. Widocznie byli jedynymi Amerykanami w więzieniu. Przypominał sobie wszystkie okropności, jakie kiedykolwiek czytał lub słyszał o więzieniach. „Jak potraktują ich strażnicy? Jak się zachowają pozostali więźniowie? Z pewnością zaraz ktoś przyjdzie i wypuści go na wolność” - myślał Bill.

- Czy mogę nałożyć płaszcz? - zapytał strażnika. Strażnik nie zrozumiał.

- Płaszcz - powtórzył Bill i pokazał gestami, o co mu chodzi. Strażnik podał mu płaszcz.

Nieco później wszedł następny strażnik i nakazał Billowi ubrać się. Odprowadzono ich do poczekalni. Jeszcze raz Bill rozejrzał się szukając adwokatów i przyjaciół. Jeszcze raz doznał rozczarowania.

Przeprowadzono ich przez poczekalnię. Kolejne drzwi były otwarte. Zeszli po schodach do podziemi.

Było tam zimno, ciemno i brudno. Kilka cel wypełniali sami Irańczycy. Smród moczu był tak silny, że Bill zacisnął usta i oddychał płytko przez nos. Strażnik otworzył drzwi do celi numer 9. Paul i Bill weszli do środka.

Szesnaście nie ogolonych twarzy wytrzeszczyło na nich oczy z natrętną ciekawością. Paul i Bill odpowiedzieli przerażonym spojrzeniem.

Drzwi celi zatrzęsnęły się.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### 1.

Jak dotąd życie traktowało Rossa Perota wyjątkowo łaskawie. Rankiem 28 grudnia 1978 roku siedział przy śniadaniu w swojej górskiej chacie w Vail, w stanie Colorado. Śniadanie podawał kucharz Holly.

Przycupnięta na zboczu i na wpół ukryta w osikowym lesku chata z okrągłaków miała sześć sypialni, pięć łazienek, salon o powierzchni trzydziestu stóp kwadratowych oraz pokój odnowy biologicznej z basenikiem Jacuzzi przed kominkiem. Był to tylko wakacyjny domek.

Ross Perot był bogaty.

Założył EDS z kapitałem tysiąca dolarów, obecnie zaś akcje firmy - z których połowa wciąż należała do niego - przedstawiały wartość kilkuset milionów. Był jedynym właścicielem „Petrus Oil and Gas Company”, dysponującej setkami milionów kapitału. Posiadał również sporo nieruchomości w Dallas. Trudno dokładnie określić, ile miał pieniędzy - wszystko zależało od sposobu liczenia - ale z pewnością więcej niż pięćset milionów i chyba mniej niż miliard.

W powieściach ludzie fantastycznie bogaci są zawsze chciwi, żądni władzy, znerwicowani, znienawidzeni i nieszczęśliwi - zawsze nieszczęśliwi. Perot rzadko czytywał powieści. Był szczęśliwy.



Nie uważał, że to pieniądze dały mu szczęście. Wierzył w potęgę pieniądza, w kapitał i zyski, bo to stanowiło siłę napędową gospodarki amerykańskiej. Cieszyły go rozmaite zabawki, które można było kupić za pieniądze - motorówki, salonki i helikoptery, ale nigdy też nie marzył, żeby tarzać się w stertach studolarowych banknotów. Marzył tak naprawdę o czymś innym: chciał stworzyć kwitnące przedsiębiorstwo i zatrudniać tysiące ludzi. Teraz jednak miał przed oczami swoje największe marzenie, które urzeczywistniło się. Jego rodzina ciepło ubrana szykowała się na narty. Oto dwudziestoletni Ross Junior, i jeśli nawet w całym Teksasie był lepszy od niego chłopiec, Perot jeszcze go nie spotkał. Oto cztery - cztery, ni mniej, ni więcej - córki: Nancy, Suzanne, Carolyn i Katherine. Wszystkie zdrowe, śliczne i szykowne. Perot czasami powiadał dziennikarzom, że miarą sukcesów życiowych są dla niego dzieci. Jeśli wyrosną na porządnym obywateli, którym leży na sercu dobro kraju, wówczas uzna, że nie zmarnował życia. Dziennikarze zwykle odpowiadali: „Do diabła, ja panu wierzę, ale jeśli napiszę coś takiego w artykule, czytelnicy pomyślą, że zostałem przekupiony!” A Ross na to: „To nie moje zmartwienie. Powiedziałem panu prawdę, a pan niech napisze, co uważa”. Dzieci były właśnie takie, jakich sobie życzył, przynajmniej na razie. Rozpieszczone, wychowane w luksusie, lecz wcale nie zepsute. Zakrawało to na cud.

Za dziećmi biegała z biletami na wyciąg, z wełnianymi skarpetkami i olejkami do opalania osoba za ten cud odpowiedzialna: Margot Perot. Margot była piękna, inteligentna, wytworna i pełna wdzięku. Była przy tym wszystkim wspaniałą matką. Gdyby chciała, mogłaby wyjść za Johna Kennedy’ego, Paula Newmana, księcia Rainiera lub Rockefellera. Tymczasem zakochała się w Rossie Perocie z Texarkany w stanie Teksas: pięć stóp siedem cali wzrostu, złamany nos, pustki w kieszeni i mnóstwo marzeń. Przez całe życie Perot wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Teraz, w wieku czterdziestu ośmiu lat, mógł sobie powiedzieć, że najszcześniejszym wydarzeniem w jego życiu było spotkanie Margot.

Był szczęśliwym człowiekiem i miał szczęśliwą rodzinę, lecz tegoroczne święta nie były dla nich radosne. Matka Perota umierała.

Miała raka kości. W Wigilię potknęła się i upadła. Nie był to upadek niebezpieczny, ale ponieważ nowotwór osłabił jej kości, złamała biodro i trzeba ją było odwieźć do szpitala Baylor w Dallas.

Siostra Perota, Bette, spędziła tę noc przy matce. W dzień Bożego Narodzenia Perot, Margot i piątka dzieci załadowali prezenty do furgonetki i pojechali do szpitala. Babcia była w tak dobrym nastroju, że wszyscy bardzo przyjemnie spędzili dzień. Nie chciała jednak, aby odwiedzili ją nazajutrz; wiedziała przecież, że zamierzali iść na narty i nalegała, żeby nie zmieniali planów z powodu jej choroby. Margot z dziećmi wyjechała do Vail 26 grudnia, Perot jednak został.

Kłótnia, która nastąpiła, niczym się nie różniła od tych batalii, jakie Perot staczał z matką w dzieciństwie. Lulu May Perot była drobna i niewysoka - ledwie cal czy dwa powyżej pięciu stóp wzrostu - ale zahartowana przy tym jak sierżant piechoty morskiej. Powiedziała Perotowi, że pracowała ciężko i potrzebuje wypoczynku. On oświadczył, że jej nie opuści. W końcu wtrącili się lekarze: ostrzegli, że nie powinien się opierać, jeśli nie chce jej zaszkodzić. Następnego dnia Perot przyłączył się do rodziny w Vail. Lulu May po raz kolejny zwyciężyła.

Jako chłopiec również musiał jej ustępować. Pewnego razu nie pozwoliła mu pojechać na obóz skautowski. W Texarkanie właśnie trwała powódź, skauci zaś zamierzali rozbić obóz w pobliżu zalanych terenów i przez trzy dni chcieli pomagać ekipom ratowniczym. Mały Ross postanowił pojechać za wszelką cenę, matka jednak uważała, że był za młody - zamiast pomagać, byłby tylko ciężarem. Ross prosił i groził, ale ona jedynie uśmiechała się ze słodyczą i powtarzała: „nie”.

Wreszcie wymógł na niej ustępstwo: pozwoliła mu pojechać i pomóc w rozbijaniu namiotów pierwszego dnia, ale wieczorem miał wrócić do domu. Niewiele na tym zyskał, lecz nie potrafił się jej przeciwstawić. Wystarczyło, że wyobraził sobie scenę powrotu. Kiedy pomyślał, że będzie musiał tłumaczyć się przed matką z nieposłuszeństwa, skóra na nim cierpła.

Nigdy go nie biła. Nie pamiętał nawet, żeby kiedyś na niego

krzyknęła. Nie rządziła za pomocą strachu. Jasnowłosa, niebieskooka i słodka, spętała go - i jego siostrę, Bette - więzami miłości matczynej. Patrzyła im prosto w oczy i mówiła, co mają robić, oni zaś po prostu nie mogli się zdobyć na sprawienie jej zawodu.

Nawet kiedy Ross miał dwadzieścia trzy lata i coraz rzadziej przyjeżdżał do domu, wypytywała go: „Z kim masz dzisiaj randkę? Dokąd idziesz? O której wrócisz?” A po powrocie do domu zawsze musiał ucałować ją na dobranoc. W tym czasie kłócili się już rzadko i niezbyt gwałtownie, ponieważ Ross tak głęboko przesiąkł jej zasadami, że przyjął je za własne. Odtąd Lulu May rządziła rodziną niczym monarcha konstytucyjny, który dzierży insygnia władzy i powagą swego stanowiska sankcjonuje decyzje rządu.

Ross odziedziczył po niej nie tylko zasady. Odziedziczył również jej żelazną wolę. On też miał zwyczaj patrzeć ludziom prosto w oczy. Poślubił kobietę podobną do matki. Jasnowłosa i niebieskooka Margot miała tę samą słodczy charakteru.

Ale Margot nie rządziła Perotem.

Lulu May miała już osiemdziesiąt trzy lata. Perot wiedział, że wszyscy muszą kiedyś umrzeć, ale nie potrafił pogodzić się z tym. Matka wciąż odgrywała ważną rolę w jego życiu. Nie kierowała nim już, ale podtrzymywała go na duchu. Zachęcała do założenia EDS i w pierwszych latach pełniła funkcję głównego księgowego firmy oraz dyrektora zarządu. Perot mógł z nią rozmawiać o swoich problemach. Radził się jej w grudniu 1969 roku, kiedy rozpoczął kampanię na rzecz ujawnienia losów jeńców wojennych w Wietnamie Północnym. Zamierzał polecieć do Hanoi, lecz koledzy z EDS ostrzegali go, że ten nierozważny krok może wywołać spadek akcji firmy. Perot stanął przed moralnym dylematem: czy ma prawo narażać akcjonariuszy na straty, nawet z takiego powodu? Zadał to pytanie matce. Odpowiedziała bez wahania: „Niech sprzedadzą akcje”. Jeńcy umierali, i to było ważniejsze niż cena akcji EDS.

Perot w końcu sam podjąłby taką decyzję. Matka wcale nie musiała nim kierować. Bez niej byłby takim samym człowiekiem i postępowałby

tak samo. Po prostu będzie za nią tęsknił. Będzie za nią bardzo tęsknił.

Ale Perot był człowiekiem czynu. Dzisiaj już nie mógł nic dla niej zrobić. Dwa lata temu, kiedy miała wylew, w niedzielne popołudnie przewrócił do góry nogami całe Dallas, żeby znaleźć najlepszego neurochirurga i ściągnąć go do szpitala.

W sytuacjach kryzysowych potrafił działać. Ale jeśli nie mógł nic zrobić, potrafił przestać o tym myśleć i zająć się czymś innym. Nie zepsuje więc i teraz świąt rodzinie, snując się z posępną miną. Przyłączy się do zabawy i będzie się cieszył wraz z nimi.

Rozmyślenia te przerwał telefon. Perot wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę.

- Ross Perot - powiedział.

- Ross, tu Bill Gayden.

- Cześć, Bill.

Gayden wstąpił do firmy w 1967 roku, pamiętał więc dawne czasy. Na swój sposób był typem komiwojażera: był jowialny, ot - brat łąta. Lubił pożartować, wypić, zapalić i zagrać w pokera. Był również genialnym finansistą, czarodziejem w interesach i dlatego Perot zrobił go dyrektorem EDS World. Gayden miał niespożyte poczucie humoru, potrafił opowiadać dowcipy w najgorszych sytuacjach, teraz jednak jego głos brzmiał ponuro.

- Ross, mamy problem.

To było hasło EDS: Mamy problem. Oznaczało złe nowiny. Gayden mówił dalej:

- Chodzi o Paula i Billa.

Perot dokładnie wiedział, o czym mowa. Fakt, że jego dwóm pracownikom najwyższego szczebla w Iranie zabroniono wyjazdu, nie wróżył nic dobrego. Wciąż o tym pamiętał, nawet kiedy jego matka leżała umierająca.

- Dzisiaj mieli ich wypuścić?

- Aresztowano ich.

Zapieкло go w dołku, poczuł pierwszy objaw narastającego gniewu.

- Słuchaj, Bill, zapewniono mnie, że pozwolą im wyjechać z kraju

natychmiast po przesłuchaniu. Chcę wiedzieć, jak to się stało.

- Po prostu wsadzili ich do więzienia.

- Pod jakim zarzutem?

- Nie podali zarzutów.

- Na jakiej podstawie prawnej?

- Nie powiedzieli.

- Co mamy robić, żeby ich wyciągnąć?

- Ross, wyznaczono kaucję w wysokości dziewięćdziesięciu milionów tomanów. To jest dwanaście milionów siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Dwanaście m i l i o n ó w?!

- Właśnie.

- Jak to się stało, do diabła?

- Ross, rozmawiałem pół godziny przez telefon z Lloydem Briggsem próbując dowiedzieć się. Rzecz w tym, że on też nic nie rozumie.

Perot umilkł. Dyrektorzy EDS nie powinni stawiać mu pytań, tylko udzielać odpowiedzi. Gayden nigdy nie odważyłby się dzwonić, gdyby wszystkiego nie sprawdził. W tej chwili Perot nie mógł z niego wyciągnąć nic więcej. Gayden po prostu nie miał żadnych informacji.

- Przyślij do biura Toma Luce'a. - powiedział Perot. - Zadzwoń do Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo. Cholera jasna, nie życzę sobie, żeby siedzieli w więzieniu.

\* \* \*

Margot nadstawiła uszu, kiedy usłyszała, że Ross powiedział: „cholera”. Nigdy nie przeklinał, zwłaszcza przy dzieciach. Kiedy wyszedł z kuchni, twarz miał spokojną. Jego oczy były błękitne jak Ocean Lodowaty i równie zimne. Znała to spojrzenie. To nie był zwykły gniew. Ross nie miał zwyczaju marnować energii na wybuchy złego humoru. Jego spojrzenie wyrażało nieugiętą stanowczość. Oznaczało, że

Ross podjął decyzję i poruszy niebo i ziemię, żeby postawić na swoim. Po raz pierwszy dostrzegła w nim tę siłę i zdecydowanie, kiedy poznali się w Akademii Marynarki w Annapolis... czy to naprawdę było dwadzieścia pięć lat temu?

Ta właśnie cecha wyróżniała go z tłumu, stawiała ponad masą ludzką. Och, miał również inne zalety, był inteligentny, zabawny, potrafił każdego oczarować, ale wyróżniał się siłą woli. Kiedy miał ten wyraz oczu, nic na świecie nie mogło go powstrzymać. Był jak rozpędzona lokomotywa.

- Irańczycy wsadzili Paula i Billa do więzienia - oznajmił.

Margot natychmiast pomyślała o ich żonach. Znała je obie od lat. Ruthie Chiapparone była małą, pogodną, uśmiechniętą kobietką z grzywą jasnych włosów. Wyglądała bezbrinnie i wzruszająco, mężczyźni zawsze chcieli się nią opiekować. Ciężko to przeżyje. Emily Gaylord była twardsza, przynajmniej z pozoru. Szczupła, jasnowłosa Emily była energiczna i odważna. Będzie pewnie chciała wsiąść w samolot i osobiście uwolnić Billa z więzienia. Różnica pomiędzy tymi dwiema kobietami uwidaczniała się nawet w sposobie ubierania: Ruthie nosiła zazwyczaj miękkie, luźne suknie, podczas gdy Emily wołała modne fasony i jaskrawe kolory. Emily będzie ukrywać cierpienie.

- Wracam do Dallas - oświadczył Ross.

- Zaczyna się zamieć - ostrzegła Margot patrząc na wirujące w powietrzu płatki śniegu. Wiedziała, że traci czas: żadna zamieć go teraz nie powstrzyma. Wiedziała, że Ross nie usiedzi długo za biurkiem w Dallas, kiedy dwaj jego ludzie są w irańskim więzieniu. „On nie poleci do Dallas - pomyślała - on poleci do Iranu”.

- Wezmę Landrovera - uspokoił ją. - Spróbuję złapać samolot w Denver. Margot opanowała lęk i uśmiechnęła się wesoło.

- Jedź ostrożnie, dobrze? - poprosiła.

Perot siedział zgarbiony nad kierownicą Landrovera. Prowadził ostrożnie. Doga była oblodzona. Śnieg gromadził się na dolnej krawędzi przedniej szyby, utrudniając pracę wycieraczek. Perot zerknął na drogę. Denver leżało w odległości stu sześciu mil od Vail. Miał czas, żeby pomyśleć.

Ciągle był wściekły.

Nie chodziło o to, że Paul i Bill siedzieli w więzieniu. Siedzieli w więzieniu, ponieważ pojechali do Iranu, a pojechali do Iranu, ponieważ on ich tam posłał.

Od miesięcy martwił się sytuacją w Iranie. Pewnego dnia, po nie przespanej nocy, przyszedł do biura i powiedział: „Zaczynamy ewakuację. Jeśli się mylę, stracimy tylko koszt trzystu czy czterystu biletów na samolot. Zróbcie to zaraz”. Był to jeden z rzadkich przypadków, kiedy jego polecenia nie zostały wypełnione. Wszyscy zwlekali, i w Dallas, i w Teheranie. Nie mógł ich winić. Zabrakło mu zdecydowania. Gdyby postawił sprawę twardo, przeprowadziliby ewakuację tego samego dnia. Ale był zbyt miękki, zaś następnego dnia zażądano oddania paszportów.

Wiele zawdzięczał Paulowi i Billowi. Zaciągnął poważny dług wobec ludzi, którzy rzucili na szalę swoje kariery, żeby wstąpić do EDS, kiedy była małą, początkującą firmą. Niejeden raz wyszukiwał właściwego człowieka, rozmawiał z nim, przedstawiał mu perspektywy i proponował pracę - a tamten po przedyskutowaniu sprawy z rodziną dochodził do wniosku, że EDS była po prostu za mała, żeby opłaciło się ryzykować.

Paul i Bill nie tylko zaryzykowali, urabiali sobie ręce po łokcie, żeby ryzyko się opłaciło. Bill zaprojektował podstawowy system komputerowy do kierowania programami służby zdrowia i opieki społecznej, który zastosowano później w wielu stanach i który stworzył podwaliny działalności EDS. Bill pracował w nadgodzinach, spędzał

weekendy poza domem i w tamtych czasach przewędrował z rodziną cały kraj. Paul był równie oddany firmie: kiedy brakowało ludzi i gotówki, wykonywał pracę trzech inżynierów. Perot pamiętał jeszcze ich pierwszy nowojorski kontrakt z Pepsi - Colą. Pamiętał, jak Paul na piechotę przyszedł podczas śnieżycy z Manhattanu przez most Brooklyński, przekradł się przez linie pikiet - fabryka strajkowała - i przystąpił do pracy.

Perot musiał uwolnić Paula i Billa. Był im to winien.

Musiał skłonić rząd Stanów Zjednoczonych, żeby posługując się całym swoim autorytetem, wywarł nacisk na Irańczyków.

Niegdyś Ameryka poprosiła Perota o pomoc, a on poświęcił trzy lata życia i sporo pieniędzy kampanii na rzecz jeńców wojennych. Teraz nadeszła kolej, żeby on poprosił o pomoc Amerykę.

Wrócił myślą do roku 1969 i szalejącej wówczas wojny w Wietnamie. Kilku jego przyjaciół z Akademii Marynarki zginęło lub poszło do niewoli: Bill Leftwich, wspaniały człowiek, dobry i uczciwy, poległ na polu walki w wieku trzydziestu dziewięciu lat, a Bill Lawrence był jeńcem w Wietnamie Północnym. Perot nie mógł patrzeć spokojnie, jak jego kraj, najwspanialszy kraj na świecie, przegrywa wojnę przez brak zdecydowania. A jeszcze gorzej czuł się widząc, jak miliony Amerykanów protestują - nie bez racji - że ta wojna jest niesprawiedliwa i nie powinna zostać wygrana. Potem, pewnego dnia w 1969 roku, Perot spotkał małego Billy'ego Singletona, który nawet nie wiedział, czy jeszcze ma ojca. Ojciec Billy'ego zaginął w akcji w Wietnamie, zanim zdążył zobaczyć własnego syna. Nie wiadomo było, czy poległ, czy dostał się do niewoli. Serce się krajało.

Perot, kiedy coś go poruszyło, nie miał zwyczaju siedzieć z założonymi rękami. Zaczynał działać.

Dowiedział się, że ojciec Billy'ego nie był wyjątkiem. Setki żon i dzieci nie wiedziały, czy ich mężowie i ojcowie zostali zabici, czy tylko trafili do niewoli. Wietnamczycy nie chcieli podać nazwisk jeńców argumentując, że nie obowiązuje ich Konwencja Genewska, ponieważ Stany Zjednoczone nigdy formalnie nie wypowiedziały im wojny.



Co gorsza, wielu jeńców umierało na skutek brutalnego traktowania. Prezydent Nixon planował „zwietnamizowanie” wojny i wycofanie się po trzech latach, ale do tego czasu, według raportów CIA, połowa jeńców mogła umrzeć. Nawet jeśli ojciec Billy’ego Singletona jeszcze żył, mógł nie dożyć końca wojny.

Perot postanowił coś zrobić.

EDS miała za czasów administracji Nixona dobre kontakty z Białym Domem. Perot pojechał do Waszyngtonu i rozmawiał z doradcą prezydenta do spraw zagranicznych, Henrym Kissingerem. Kissinger wymyślił plan.

Wietnamczycy utrzymywali, przynajmniej dla celów propagandowych, że nie mają żadnych zatargów z obywatelami amerykańskimi - tylko z rządem USA. Co więcej, wobec reszty świata starali się zaprezentować w roli Dawida walczącego z Goliatem. Wyglądało na to, że przywiązują dużą wagę do opinii publicznej. Podając do wiadomości, w jaki sposób traktują jeńców oraz ujawniając nazwiska tych jeńców można było ich skompromitować, twierdził Kissinger. W tym celu należy przeprowadzić międzynarodową kampanię prasową na rzecz jeńców oraz ich rodzin.

Kampania musi być sfinansowana ze źródeł prywatnych, żeby nikt nie podejrzewał powiązań z rządem, chociaż w rzeczywistości będzie szczegółowo kontrolowana przez ekipę z Białego Domu i Departamentu Stanu.

Perot podjął wyzwanie. Zresztą nigdy nie mógł się oprzeć wyzwaniu. Jego nauczycielka w jedenastej klasie, niejaka pani Duck, szybko to odkryła. „Wielka szkoda - powiedziała pani Duck - że nie jesteś równie inteligentny, jak twoi przyjaciele”. Młody Perot upierał się, że jest równie inteligentny jak oni. „Więc dlaczego oni mają lepsze stopnie?” Po prostu oni interesują się szkołą, a ja nie, odparł Perot. „Każdy może tak powiedzieć - odparła pani Duck. - Zajrzyj jednak do dziennika: twoi przyjaciele zdobywają dobre stopnie, a ty tego nie potrafisz”. Perot został zapędzony w kozi róg. Obiecał pani Duck, że przez następne sześć tygodni będzie dostawał same piątki. Dostawał

same piątki nie tylko przez sześć tygodni, ale do końca szkoły. Owa spostrzegawcza pani Duck odkryła jedyny sposób manipulowania Perotem: należało rzucić mu wyzwanie.

Podjąwszy wyzwanie Kissingera, Perot udał się do firmy J. Waltera Thompsona, największej agencji reklamowej świata i wyjaśnił im, co chce zrobić. Zaproponowali, że opracują plan kampanii w ciągu trzydziestu do sześćdziesięciu dni i przedstawią rezultaty po upływie roku. Perot wyśmiał ich: chciał zacząć dziś i widzieć rezultaty jutro. Wrócił do Dallas i zebrał niewielki zespół pracowników EDS, którzy zaczęli dzwonić do wydawców gazet i zamieszczać w prasie proste, niewymyślne, własnoręcznie zredagowane ogłoszenia.

Otrzymali całe stosy listów.

Dla Amerykanów opowiadających się za wojną sposób traktowania jeńców wojennych stanowił kolejny dowód podłości Wietnamczyków. Dla przeciwników wojny sprawa jeńców była jeszcze jednym powodem, żeby wycofać się z Wietnamu. Tylko najbardziej zatwardziali dysydenci zignorowali kampanię. W 1970 roku FBI poinformowała Perota, że Viet Cong zlecił „Czarnym Panterom” zamordowanie go. W tym zwariowanym okresie pod koniec lat sześćdziesiątych taka wiadomość nikogo specjalnie nie dziwiła. Perot wynajął ochroniarzy. Rzeczywiście, parę tygodni później oddział ludzi sforsował ogrodzenie wokół siedemnastoakrowej posiadłości Perota w Dallas. Przegoniły ich złe psy. Rodzina Perota, włącznie z jego nieugiętą matką, nie chciała nawet słyszeć, żeby miał przerwać kampanię ze względu na ich bezpieczeństwo.

Największy rozgłos Perot zdobył w grudniu 1969 roku, kiedy wynajął dwa samoloty i poleciał do Hanoi wioząc obiady świąteczne dla jeńców wojennych. Oczywiście nie pozwolono mu wylądować, ale w sezonie ogórkowym wywołał ogromne międzynarodowe zainteresowanie tą sprawą. Wydał dwa miliony dolarów, obliczył jednak, że podobna reklama kosztowałaby go sześćdziesiąt milionów. Ankieta agencji Gallupa zaś wykazała później, iż stosunek większości Amerykanów do Wietnamu Północnego stał się zdecydowanie wrogi.

W roku 1970 Perot użył mniej spektakularnych metod. W całych Stanach Zjednoczonych zachęcano grupki ludzi, aby rozpoczęły własne kampanie na rzecz jeńców wojennych. Zebrano fundusze, żeby wysłać przedstawicieli do Paryża na spotkanie z przebywającą tam wówczas delegacją Wietnamu Północnego. Organizowano maratony telewizyjne i budowano repliki klatek, w których trzymani byli jeńcy. Wysłano tak wiele listów protestacyjnych do Hanoi, że poczta w Wietnamie Północnym nie wytrzymała przeciążenia. Perot prowadził agitację w kraju, przemawiając wszędzie, gdzie go zaproszono. Spotkał się z północnowietnamskimi dyplomatami w Laosie i przywiózł ze sobą spis jeńców przebywających w Wietnamie Północnym, napisane przez nich listy oraz film pokazujący warunki ich życia. Zabrał również ze sobą na miejsce pracownika agencji Gallupa i razem sprawdzali wyniki ankiety.

Akcja odniosła skutek. Amerykańscy jeńcy wojenni nie doznawali już tak złego traktowania, zaczęły do nich docierać paczki oraz listy, północni Wietnamczycy zaś stopniowo ujawniali ich nazwiska. Co najważniejsze, jeńcy dowiedzieli się o kampanii od żołnierzy amerykańskich świeżo wziętych do niewoli - i wiadomość ta ogromnie podniosła ich na duchu.

Osiem lat później, jadąc w śnieżnej zamieci do Denver, Perot przypomniał sobie jeszcze jeden rezultat kampanii: fakt ten podówczas tylko go irytował, teraz jednak mógł się okazać ważny i cenny. Rozgłos wokół sprawy jeńców wojennych oznaczał również nieunikniony rozgłos wokół osoby Rossa Perota. Perot stał się powszechnie znaną osobistością. Pamiętano go w kołach rządowych, a zwłaszcza w Pentagonie. W skład waszyngtońskiego komitetu kontrolującego przebieg kampanii wchodził admirał Tom Moorer, wówczas szef Połączonych Sztabów Marynarki, Lotnictwa i Wojsk Lądowych, Alexander Haig, wówczas doradca Kissingera, obecnie głównodowodzący siłami NATO, William Sullivan, wówczas zastępca sekretarza stanu, obecnie zaś ambasador USA w Teheranie, oraz sam Kissinger.

Ci ludzie pomogą Perotowi dotrzeć do rządu, dowiedzieć się, o co

tu chodzi i uzyskać szybką pomoc. Perot zadzwoni również do Richarda Helmsa, który dawniej był dyrektorem CIA i ambasadorem USA w Teheranie. Zadzwoni do Kermita Roosevelta, syna Teddy'ego, zamieszanego w zamach stanu zorganizowany przez CIA w 1953 roku, kiedy to CIA ponownie osadziła szacha na tronie...

„Ale co będzie - pomyślał - jeżeli nic z tego nie wyjdzie?”

Miał zwyczaj planować swoje posunięcia na parę kroków naprzód.

Co będzie, jeśli administracja Cartera nie potrafi lub nie zechce mu pomóc?

„Wówczas - pomyślał - będę musiał zorganizować im ucieczkę z więzienia”.

Jak się do tego zabrać? Nigdy się tym nie zajmowali. Od czego zacząć? Kto mógłby im pomóc?

Pomyślał o zatrudnionych w EDS Mervie Staufferze i T. J. Marquezie oraz swojej sekretarce Sally Walther. Byli oni głównymi organizatorami kampanii na rzecz jeńców wojennych. Telefoniczne załatwienie skomplikowanych spraw na odległość to był dla nich chleb z masłem, ale zorganizowanie ucieczki z więzienia? I kto wykona to zadanie? Od 1968 roku werbownicy EDS dawali pierwszeństwo weteranom z Wietnamu - politykę tę wprowadzono ze względów patriotycznych i kontynuowano, ponieważ Perot przekonał się, że weterani często wyrastają na pierwszorzędnym biznesmenów. Ale teraz ci ludzie, niegdyś sprawni, szczupli, świetnie wyszkoleni żołnierze, zamienili się w otyłych urzędników z zadyszka, posługujących się zrećzniej telefonem niż bronią. A kto zaplanuje i poprowadzi akcję?

Wyszukiwanie najlepszych ludzi było specjalnością Perota. Chociaż zrobił wspaniałą karierę o własnych siłach, jedną z największych w historii Ameryki, nie był wcale najlepszym na świecie ekspertem od komputerów ani najlepszym biznesmenem, ani nawet najlepszym dyrektorem. W jednym jednak był dobry: potrafił wybrać właściwego człowieka, dostarczyć mu środków oraz motywacji, a następnie pozwolić mu samodzielnie wykonać zadanie.

Teraz, kiedy dojeżdżał do Denver, zadawał sobie pytanie: „Kto jest

najlepszym na świecie specjalistą od uwalniania więźniów?”

Potem przypomniał sobie Bulla Simonsa.

Żywa legenda armii amerykańskiej, pułkownik Arthur D. Simons potocznie zwany Bullem - „Bykiem” trafił na pierwsze strony gazet w listopadzie 1970 roku, kiedy z drużyną komandosów przeprowadził nalot na obóz jeniecki w Son Tay, dwadzieścia trzy mile od Hanoi, próbując uwolnić amerykańskich jeńców wojennych. Operacja była dobrze zaplanowana i wykonana, ale opierała się na błędnych danych wywiadu: jeńców przeniesiono gdzie indziej i nie było ich w Son Tay. Akcję uznano powszechnie za nieudaną, co zdaniem Perota było bardzo niesprawiedliwe. Zaproszono go na spotkanie z uczestnikami akcji w Son Tay, aby podbudował ich morale informacją, że oto znalazł się przynajmniej jeden amerykański obywatel, który docenił ich odwagę. Perot spędził cały dzień w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Tam też poznał pułkownika Simonsa.

Patrząc przez przednią szybę, Perot wyobraził sobie postać Simonsa na tle wirujących płatków śniegu. Wysoki mężczyzna, prawie sześć stóp wzrostu, z barami niedźwiedzia, o krótko przyciętych siwych włosach i krzaczastych, wciąż czarnych brwiach. Po obu stronach wielkiego nosa biegły głębokie bruzdy aż do kąćków ust, nadające jego twarzy wiecznie gniewny wyraz. Miał wielką głowę, duże uszy, mocną szczękę i najpotężniejsze ręce, jakie Perot widział w życiu. Ten człowiek wyglądał, jakby wyciosano go z jednego bloku granitu.

Spędziwszy z nim dzień Perot pomyślał: „Świat pełen jest imitacji, ale ten facet jest prawdziwy”.

Tego dnia i w następnych latach Perot sporo się dowiedział o Simonsie. Największe wrażenie zrobił na nim stosunek podwładnych Simonsa do swego dowódcy. Simons przypominał mu Vince’a Lombardi, legendarnego trenera „Green Bay Packers”: wywoływał w podwładnych uczucia oscylujące pomiędzy strachem, szacunkiem, podziwem i uwielbieniem. Był postacią imponującą i miał gwałtowne usposobienie - ciągle przeklinał i potrafił wrzasnąć na żołnierza: „Rób, co ci każę, sukinsynu, bo inaczej rozwalę ci łeb!” - ale to nie wystarczało,

żeby podbić serca sceptycznych, zaprawionych w boju komandosów. U Simonsa pod twardą powłoką kryło się twarde wnętrze.

Ulubioną rozrywką podwładnych Simonsa było opowiadanie o jego wyczynach. Chociaż zbudowany był jak byk, jego przezwisko nie wzięło się z tego, tylko zgodnie z legendą pochodziło od pewnej żołnierskiej gry zwanej „zagroda byka”. Wykopywano głęboki na sześć stóp dół, do którego wchodził jeden człowiek. Istotą zabawy było ustalenie, ilu ludzi potrzeba, żeby wyciągnąć tego człowieka z dołu. Simons uważał, że to głupia zabawa, ale pewnego razu namówiono go, żeby wziął w niej udział. Żeby go wyciągnąć, potrzeba było piętnastu ludzi. Kilku z nich spędziło noc w szpitalu z połamanymi palcami, rozkwaszonymi nosami i głębokimi ranami od ugryzień. Od tego właśnie czasu Simonsa nazywano Bykiem.

Perot dowiedział się później, że ta historyjka była mocno naciągana. Simons uczestniczył w zabawie niejednemu raz, zwykle wystarczało czterech ludzi, żeby go wyciągnąć. I nikt nigdy nie miał połamanych kości. Simons po prostu należał do takich, o których opowiadano legendy. Zasłużył na lojalność swoich podwładnych nie dzięki pokazom brawury, ale dzięki rzetelnym wojskowym umiejętnościom.

Z nieskończoną cierpliwością planował drobiazgowo każdą akcję. Był ostrożny, jedno z jego stałych powiedzeń brzmiało: „Nie musimy aż tak ryzykować”. Chlubił się też tym, że nie stracił w akcji ani jednego człowieka.

Podczas wojny w Wietnamie Simons dowodził operacją „Biała Gwiazda”. Dotarł do Laosu ze stu siedmioma ludźmi i zorganizował dwanaście batalionów spośród członków plemienia Mao do walki z Wietnamczykami. Jeden z batalionów przeszedł na stronę wroga, biorąc do niewoli część „Zielonych Beretów” Simonsa. Simons wylądował helikopterem w obrębie umocnień, gdzie zajmował pozycję zdradziecki batalion. Na widok Simonsa laotański pułkownik wystąpił naprzód, stanął na baczność i zaszalutował. Simons kazał mu natychmiast uwolnić jeńców, zapowiadając, że w przeciwnym razie wezwie bombowce i zniszczy cały batalion. Pułkownik uwolnił jeńców. Simons zabrał ich ze

sobą, a potem i tak wezwał bombowce. Po trzech latach Simons wrócił z Laosu ze wszystkimi stu siedmioma ludźmi. Perot nigdy nie sprawdzał wiarygodności tej legendy. Podobała mu się właśnie w takiej wersji.

Po raz drugi Perot spotkał Simonsa po wojnie wietnamskiej. Perot praktycznie przejął na własność pewien hotel w San Francisco i wydał trzydniowy bankiet dla powracających jeńców wojennych oraz uczestników akcji w Son Tay. Kosztowało go to ćwierć miliona dolarów, ale przyjęcie było wystrzałowe. Przyszli: Nancy Reagan, Clint Eastwood i John Wayne. Perot nigdy nie zapomniał spotkania Johna Wayne'a z Bullem Simonsem. Wayne ze łzami w oczach uściśnął rękę Simonsa i powiedział: „Pan jest tym człowiekiem, którego gram w filmach”.

Przed rozpoczęciem przeglądu defilady Perot poprosił Simonsa, aby porozmawiał ze swoimi komandosami i ostrzegł ich przed reakcją demonstrantów.

- W San Francisco aż za często odbywają się antywojenne demonstracje - powiedział Perot. - Pan nie wybrał tych komandosów dla ich pięknych oczu. Jeśli któryś się zdenerwuje, może złamać jakiemuś biedakowi kark i później będzie tego żałował.

Simons popatrzył na Perota. Po raz pierwszy Perot doświadczył wówczas na sobie „spojrzenia Simonsa”. Poczuł się jak największy głupiec na świecie. Żałował, że w ogóle otworzył usta. Pragnął się zapaść pod ziemię.

- Już z nimi rozmawiałem - oznajmił Simons. - Nie będzie żadnych kłopotów.

Tego weekendu i później Perot poznał Simonsa lepiej i odkrył inne cechy jego charakteru. Simons potrafił być czarujący, kiedy zechciał. Oczarował Margot, żonę Perota, a dzieci przepadały za nim. W rozmowach ze swoimi ludźmi posługiwał się żołnierską gwarą pełną niecenzuralnych wyrażen, ale zabierając głos na bankietach czy konferencjach prasowych, przemawiał zdumiewająco płynnie. Na studiach wybrał jako główny przedmiot dziennikarstwo. Niekiedy przejawiał prostackie upodobania, pochłaniał tony westernów i lubił muzykę dyskotekową, według określenia jego synów, ale czytywał

również dużo książek niebeletrystycznych i miał wszechstronne zainteresowania. Wypowiadał się na temat sztuki i historii równie łatwo, jak na temat wojny i rodzajów broni.

Perot i Simons, dwie silne, władcze osobowości, unikali konfliktów w ten sposób, że trzymali się od siebie z daleka. Nigdy się nie zaprzyjaźnili. Perot, w przeciwieństwie do Margot, nigdy nie mówił Simonsowi po imieniu: Art. Podobnie jak większość ludzi Perot nigdy nie wiedział, co Simons myśli, dopóki sam mu tego nie powiedział. Perot pamiętał pierwsze spotkanie z Simonsem w Fort Bragg. Przed wejściem na mównicę zapytał Lucille, żonę Simonsa: „Jaki jest naprawdę pułkownik Simons?” Lucille odpowiedziała: „Och, to taki duży pluszowy niedźwiadek”. Perot powtórzył to w swoim przemówieniu. Uczestnicy akcji w Son Tay zrywali boki ze śmiechu. Simons nawet się nie uśmiechnął.

Perot nie wiedział, czy ten nieprzenikniony człowiek zgodzi się uwolnić dwóch pracowników EDS z irańskiego więzienia. Czy Simons był wdzięczny za przyjęcie w San Francisco? Być może. Po tym przyjęciu Perot sfinansował wyprawę Simonsa do Laosu w poszukiwaniu zaginionych w akcji żołnierzy amerykańskich, którzy nie wrócili razem z jeńcami wojennymi. Po powrocie z Laosu Simons w obecności grupy urzędników EDS wyraził się następująco: „Perot jest człowiekiem, któremu trudno odmówić”.

Wjeżdżając na lotnisko w Denver, Perot zastanawiał się, czy teraz, po sześciu latach, Simons nadal uważa go za człowieka, któremu trudno odmówić.

Ale to była ostateczność. Perot zamierzał najpierw użyć wszelkich legalnych sposobów.

Wszedł do budynku, kupił bilet na następny lot do Dallas, a potem znalazł telefon. Zadzwoił do EDS i poprosił T. J. Marqueza, jednego z najwyższych rangą pracowników. Nazywano go T. J., a nie Tom, ponieważ w EDS było wielu innych Tomów.

- Chcę, żebyś znalazł mój paszport - polecił mu Perot - i załatwił mi wizę irańską.



- Ross, uważam to za najgorszy pomysł z możliwych - oświadczył T. J.

T. J. zawsze gotów był się sprzeczać do upadłego, gdyby mu pozwolono.

- Nie zamierzam z tobą dyskutować - uciął Perot. - To ja namówiłem Paula i Billa, żeby tam pojechali, więc teraz muszę ich wyciągnąć.

Odwiesił słuchawkę i ruszył do sali odlotów. Tak czy owak, miał zepsute święta.

T. J. czuł się lekko urażony. Jako stary przyjaciel Perota i wicedyrektor EDS nie był przyzwyczajony, żeby traktowano go jak chłopca na posyłki. Perot miał tę wadę, że kiedy go poniosło, nadeptywał ludziom na odciski nie zważając, że zadaje im ból. Był człowiekiem wyjątkowym, ale nie był świętym.

## 2.

Ruthie Chiapparone również miała zepsute święta.

Zamieszkała w domu swoich rodziców, jednopiętrowym budynku liczącym sobie osiemdziesiąt pięć lat, na południowo-wschodnich obrzeżach Chicago. Podczas ewakuacji z Iranu w pośpiechu zostawiła prawie wszystkie prezenty gwiazdkowe dla swoich dwóch córek, jedenastoletniej Karen i pięcioletniej Ann Marie, ale wkrótce po przyjeździe do Chicago wybrała się na zakupy ze swoim bratem Billem. Rodzina zrobiła wszystko, żeby uprzyjemnić jej święta. Siostra i trzech bracia przyjechali z wizytą, a Karen i Ann Marie dostały mnóstwo zabawek. Wszyscy jednak pytali o Paula.

Ruthie potrzebowała Paula. Była delikatną, niezaradną kobietą, pięć lat młodszą od męża - miała trzydzieści cztery lata - i kochała go po części dlatego, że mogła schronić się w jego mocnych ramionach, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Przez całe życie ktoś się nią opiekował. W dzieciństwie, kiedy jej matka szła do pracy - ojciec Ruthie,

kierowca ciężarówki, zarabiał niewiele - Ruthie przebywała pod opieką starszego rodzeństwa siostry i dwóch braci.

Kiedy po raz pierwszy spotkała Paula, nie zwrócił na nią uwagi.

Była sekretarką pułkownika. Paul pracował w tym samym budynku przy przetwarzaniu danych dla wojska. Ruthie często schodziła do kantyny po kawę dla pułkownika. Jej przyjaciółki znały kilku młodych oficerów. Przysiadła się do nich na pogawędkę. Paul siedział obok i nie zwracał na nią uwagi, więc ona też ignorowała go przez jakiś czas. Później ni stąd, ni zowąd Paul zaprosił ją na randkę. Spotykali się przez półtora roku, a potem się pobrali.

Ruthie nie chciała jechać do Iranu. W przeciwieństwie do większości żon z EDS, podekscytowanych perspektywą zamieszkania za granicą. Ruthie była pełna obaw. Nigdy nie wyjeżdżała ze Stanów Zjednoczonych - najwyżej na Hawaje - toteż Bliski Wschód wydawał jej się miejscem dziwnym i strasznym. Paul zabrał ją na tydzień do Iranu w czerwcu 1977 roku, mając nadzieję, że jej się tam spodoba. Nie zdołał jednak rozwiązać jej obaw. W końcu Ruthie zgodziła się wyjechać, ale tylko ze względu na jego pracę.

Potem polubiła jednak Iran. Mieszkańcy byli dla niej mili, środowisko Amerykanów było zżyte, kwitło tam życie towarzyskie, dzięki pogodnemu usposobieniu zaś, Ruthie spokojnie znosiła niezliczone codzienne kłopoty związane z życiem w tym prymitywnym kraju. Brak przecież tam było supermarketów, pralkę zaś nie sposób było naprawić w terminie krótszym niż sześć tygodni.

Ten wyjazd był dziwny. Lotnisko przepełnione, tłok niewiarygodny. Rozpoznała wprawdzie wielu Amerykanów, ale większość w tłumie stanowili irańscy uchodźcy. „Nie chce wyjeżdżać stąd w ten sposób! Dlaczego Paul mnie stąd wyrzuca? Co on wyprawia?” - pomyślała. Leciła samolotem z Emily, żoną Billa Gaylorda. Zatrzymały się w Kopenhadze i spędziły noc w lodowato zimnym pokoju hotelowym, gdzie okna się nie domykały. Dzieci musiały spać w ubraniach. Kiedy Ruthie wróciła do Stanów, zadzwonił do niej Ross Perot i opowiedział o kłopotach z paszportami. Nie całkiem zrozumiała, o co chodzi.

W ten przygnębiający dzień Bożego Narodzenia, gdy tak dziwnie było spędzać święta z dziećmi bez ojca - Paul zadzwonił z Teheranu.

- Mam dla ciebie prezent - oznajmił.
- Czy masz bilet na samolot? - spytała z nadzieją.
- Nie. Kupiłem ci dywan.
- To miło.

Paul opowiedział jej, że spędził Wigilię wraz z Patem i Mary Sculleyami. Czyjaś inna żona przygotowała kolację wigilijną, a on patrzył, jak czyjeś inne dzieci rozpakowują gwiazdkowe prezenty.

Dwa dni później dowiedziała się, że Paul i Bill mają wyznaczone nazajutrz spotkanie z człowiekiem, który był odpowiedzialny za zatrzymanie ich w Iranie. Po tym spotkaniu będą mogli wyjechać.

Spotkanie wyznaczono na dzisiaj, 28 grudnia. W południe Ruthie zaczęła się zastanawiać, dlaczego nikt z Dallas jeszcze do niej nie zadzwonił. Teheran miał osiem i pół godziny wyprzedzenia czasowego wobec Chicago: może już jest po wszystkim? O tej porze Paul z pewnością pakuje walizkę przed powrotem do domu.

Zadzwoniła do Dallas i rozmawiała z Jimem Nyfelerem, pracownikiem EDS, który w czerwcu wyjechał z Teheranu.

- Jak poszło spotkanie? - zapytała go.
- Nie najlepiej, Ruthie...
- Co to znaczy - „nie najlepiej”?
- Zostali aresztowani.
- Zostali aresztowani? Żartujesz!
- Ruthie, Bill Gayden chce z tobą mówić.

Ruthie czekała przy telefonie. Paul aresztowany? Dlaczego? Za co? Przez kogo?

Gayden, dyrektor EDS World i szef Paula, podniósł słuchawkę.

- Halo, Ruthie.
- Bill, co to wszystko ma znaczyć?
- Sami nie rozumiemy - odparł Gayden. - Tutejsza ambasada zorganizowała spotkanie. Miała to być zwykła formalność, przecież nie oskarżono ich o żadne przestępstwo... Potem, około szóstej trzydzieści

miejscowego czasu, Paul zadzwonił do Lloyd'a Briggsa i powiedział mu, że idzie do więzienia.

- Paul jest w więzieniu?

- Ruthie, nie martw się tak bardzo. Zespół adwokatów pracuje nad tą sprawą, wciągnęliśmy też Departament Stanu, a Ross już tu jedzie z Colorado. Na pewno wyjaśnimy wszystko za parę dni. To tylko kwestia dni, naprawdę.

- Dobrze - powiedziała Ruthie. Była oszołomiona. To nie miało sensu. Jej mąż w więzieniu? Jak to możliwe? Pożegnała się z Gaydenem i odłożyła słuchawkę.

Co tam się stało?

\* \* \*

Emily Gaylord, gdy widziała męża po raz ostatni, rzuciła w niego talerzem. Spędziła święta w domu swojej siostry, Dorothy, w Waszyngtonie. Rozmawiając z Dorothy i jej mężem Timem o sposobach wydostania Billa z więzienia, przez cały czas nie mogła zapomnieć o tym talerzu.

Zdarzyło się to w ich domu w Teheranie. Pewnego wieczoru na początku grudnia przyszedł do domu i powiedział, że Emily z dziećmi mają wyjechać do Stanów następnego dnia. Bill i Emily mieli czworo dzieci: piętnastoletnią Vicky, dwunastoletnią Jackie, dziewięcioletnią Jenny i sześciolatniego Chrisa. Emily zgodziła się odesłać dzieci, ale sama wolała zostać. Sądziła, że może nie potrafi pomóc Billowi, ale przynajmniej będzie przy nim.

- To wykluczone - oświadczył Bill. - Emily wyjeżdża jutro. Ruthie Chiapparone poleci tym samym samolotem. Wszystkie pozostałe żony i dzieci pracowników EDS będą ewakuowane dzień czy dwa później.

Emily nie chciała słyszeć o i n n y c h żonach. Ona zostanie z mężem.

Pokłócili się. Emily wściekała się coraz bardziej. Wreszcie nie wytrzymała, złapała talerz i rzuciła w męża.

Była pewna, że on nigdy tego nie zapomni. W ciągu osiemnastu lat ich małżeństwa zachowała się tak po raz pierwszy. Bywała dotąd bardzo nerwowa, pobudliwa, gwałtowna - ale nigdy agresywna.

Łagodny, opanowany Bill nie zasłużył na takie traktowanie...

Poznali się, kiedy miała dwanaście lat, on zaś czternaście. Nienawidziła go wtedy. Bill kochał się w jej najlepszej przyjaciółce, Cookie, dziewczynie wyjątkowo atrakcyjnej. Przez cały czas gadał tylko o tym, z kim Cookie się spotyka, czy Cookie wyjdzie z domu, czy rodzice pozwalają Cookie na to lub tamto... Rodzeństwo Emily bardzo lubiło Billa. Emily nie mogła go unikać, ponieważ ich rodziny należały do tego samego zamiejskiego klubu, a brat Emily grywał z Billem w golfa. W końcu, kiedy Cookie dawno już została zapomniana, jej brat namówił Billa, żeby zaprosił Emily na randkę. I nagle, chociaż przez tyle lat byli sobie obojętni, zakochali się w sobie do szaleństwa.

Bill studiował wówczas inżynierię lotniczą w odległym o dwieście czterdzieści mil Blacksburgu, w stanie Wirginia. Przyjeżdżał do domu na wakacje i od czasu do czasu na weekend. Oboje nie mogli znieść rozstania, więc chociaż Emily miała dopiero osiemnaście lat, postanowili się pobrać.

Było to udane małżeństwo. Oboje wychowali się w tym samym środowisku w Waszyngtonie, oboje pochodzili z zamożnych katolickich rodzin. Rozsądne, spokojne, logiczne usposobienie Billa równoważyło pobudliwość nerwową Emily. Oboje wiele przeszli w ciągu tych osiemnastu lat. Jedno dziecko stracili z powodu urazu mózgu, Emily zaś trzykrotnie przechodziła poważne operacje. Te ciężkie przeżycia bardzo ich zbliżyły.

I teraz spadł na nich nowy cios: Bill siedział w więzieniu.

Emily nic jeszcze nie mówiła matce. Brat matki, wuj GUS, zmarł tego samego dnia i matka była już dostatecznie przygnębiona. Emily nie mogła rozmawiać z nią o Billu. Rozmawiała jednak z Dorothy i z Timem.

Szwagier Emily, Tim Reardon, był prokuratorem generalnym w Departamencie Sprawiedliwości i miał rozległe stosunki. Ojciec Tima

był asystentem d/s administracyjnych prezydenta Johna F. Kennedy'ego, sam zaś Tim pracował dla Teda Kennedy'ego. Tim znał także osobiście Thomasa P. O'Neill, przewodniczącego Izby Reprezentantów oraz Charlesa Mathiasa, senatora z Marylandu. Wiedział o kłopotach z paszportami, ponieważ Emily opowiedziała mu wszystko, jak tylko przyjechała do Waszyngtonu. Zdążył już omówić to z Rossem Perotem.

- Mogę napisać list do prezydenta Cartera i poprosić Teda Kennedy'ego, żeby doręczył go osobiście - powiedział Tim.

Emily przytaknęła, ale zupełnie nie potrafiła się skupić. Zastanawiała się, co teraz robi Bill.

\* \* \*

Paul i Bill siedzieli w celi numer dziewięć, przemarznięci i odrętwiali, nie wiedząc, co będzie dalej.

Paul czuł się zupełnie bezbronny: biały Amerykanin w służbowym garniturze, znający ledwie parę słów w *farsi*, otoczony tłumem ludzi wyglądających na bandytów i morderców. Nagle przypomniał sobie, że w więzieniach często gwałcą mężczyzn. Zastanawiał się ponuro, jak poradzi sobie w takiej sytuacji.

Paul popatrzył na Billa. Twarz miał bladą i pełną napięcia.

Jeden ze współwięźniów odezwał się do nich w *farsi*. Paul zapytał:

- Czy ktoś tu zna angielski?

Z celi po drugiej stronie korytarza jakiś głos zawołał:

- Ja mówię po angielsku.

Nastąpiła głośnie, niezrozumiała pośpieszna wymiana zdań, a potem tłumacz zawołał:

- Za co was zamknęli?

- Nic nie zrobiliśmy - odparł Paul.

- O co jesteście oskarżeni?

- O nic. Jesteśmy zwykłymi amerykańskimi biznesmenami, mamy

żony i dzieci i nie wiemy, dlaczego nas uwięziono.

Odpowiedź została przetłumaczona. Znowu szybka rozmowa w *farsi*. Wreszcie tłumacz powiedział:

- Ten, który ze mną rozmawia, jest szefem waszej celi, bo siedzi tu najdłużej.

- Rozumiemy - mruknął Paul.

- Powie wam, gdzie macie spać.

W trakcie rozmowy napięcie zmalało. Paul rozejrzał się dookoła. Betonowe ściany, niegdyś pomalowane na pomarańczowo, teraz miały barwę brudu. Prawie całą betonową podłogę pokrywało coś w rodzaju cienkiego chodnika lub maty. Dookoła stało sześć piętrowych prycz, każda potrójna. Najniższym pościeleniem był po prostu cienki materac rozłożony na podłodze. Pomieszczenie oświetlała pojedyncza, słaba żarówka. Do wentylacji służył zakratowany otwór w ścianie, napływało przezeń lodowate nocne powietrze. Cella była bardzo zatłoczona.

Po chwili drzwi celi numer 9 otworzyły się. Stojący w nich strażnik gestem nakazał Paulowi i Billowi wyjść.

„To jest to - pomyślał Paul. - Teraz nas wypuszczą. Dzięki Bogu, że nie musimy spędzić nocy w tej okropnej celi”.

Strażnik zaprowadził ich do niewielkiego pokoju na górze. Pokazał na ich buty.

Zrozumieli, że mają je zdjąć.

Strażnik podał każdemu z nich parę plastikowych pantofli.

Gorzko rozczarowany Paul zrozumiał, że ich nie wypuszczą. Jednak będzie musiał spędzić tę noc w celi. Pomyślał z gniewem o pracownikach ambasady: to oni właśnie zorganizowali spotkanie z Dadgarem, to oni przecież poradzili Paulowi, aby nie brał adwokata, to oni w końcu zapewniali go, że Dadgar jest „życzliwie nastawiony”... Ross Perot mawiał: „Niektórzy ludzie nie potrafią zorganizować nawet partii ping-ponga”. To doskonale pasowało do pracowników ambasady. Po prostu byli do niczego. „Skoro popełnili tyle błędów - pomyślał Paul - to chyba powinni zjawić się tu dzisiaj, żeby nas wyciągnąć”.

Nałożyli plastikowe pantofle i z powrotem zeszli za strażnikiem do

podziemia.

Pozostali więźniowie układali się do snu na pryczach, zawijając się w cienkie wełniane koce. Szef celi gestem pokazał Paulowi i Billowi, gdzie mają spać: Bill na środkowej pryczy, Paul na dole, gdzie od podłogi dzielił go tylko cienki materac.

Położyli się. Nie zgaszono światła, ale żarówka była tak słaba, że nikomu to nie przeszkadzało. Po jakimś czasie Paul przyzwyczaił się do smrodu w celi, nie mógł jednak wytrzymać zimna. Betonowa podłoga, otwarty wywietrznik i brak ogrzewania sprawiały, że w pomieszczeniu było prawie tak samo chłodno, jak na dworze. „Jeżeli przestępcy skazani są na takie warunki - pomyślał Paul - to mają okropne życie. Cieszę się, że nie jestem przestępcą. Jedna taka noc wystarczy aż nadto”.

### 3.

Po przylocie Ross wziął taksówkę z miejscowego lotniska Dallas - Fort Worth do centrali EDS na Forest Lane 7171. W bramie opuścił szybę, żeby strażnik mógł zobaczyć jego twarz. Potem znowu oparł się wygodnie, podczas gdy samochód jechał krętą ćwierćmilową drogą dojazdową przez park. Niegdyś mieścił się tu podmiejski klub, a na terenie parku było pole golfowe. W głębi wznosił się sześciopiętrowy biurowiec centrali EDS. Obok wybudowano potężny bunkier zawierający ogromne komputery oraz setki mil taśmy magnetycznej.

Perot zapłacił kierowcy, wszedł do budynku, wjechał windą na czwarte piętro i wszedł do narożnego gabinetu Gaydena.

Gayden siedział za biurkiem. Jak zwykle wyglądał niechlujnie, mimo że ubierał się zgodnie z wymogami EDS. Był bez marynarki, miał rozluźniony krawat, rozpięty górny guzik koszuli i zmierzwione włosy. Z kącika ust zwisał mu papieros. Na widok Perota wstał.

- Jak się czuje twoja matka, Ross?

- Jest dobrej myśli, dziękuję.



- To dobrze. Perot usiadł.

- No więc, co zrobiliście w sprawie Paula i Billa? Gayden podniósł słuchawkę telefonu.

- Ściągnę tu T. J. - powiedział. Wykręcił numer T. J. Marqueza.

- Ross przyjechał... Tak. W moim gabinecie. Odłożył słuchawkę i powiedział:

- Zaraz tu będzie. Hmm... Telefonowałem do Departamentu Stanu. Kierownikiem wydziału irańskiego jest jakiś facet nazwiskiem Henry Precht. Najpierw nie chciał ze mną rozmawiać. W końcu powiedziałem jego sekretarce: „Jeśli facet nie zadzwoni do mnie w ciągu dwudziestu minut, to ja zadzwonię do CBS, ABC i NBC i za godzinę Ross Perot opowie na konferencji prasowej, że dwaj Amerykanie siedzą w irańskim więzieniu, a ojczyzna nie chce im pomóc”. Odezwał się po pięciu minutach.

- Co powiedział? Gayden westchnął.

- Ross, oni tam na górze uważają, że jeśli Paul i Bill siedzą w więzieniu, to musieli zrobić coś złego.

- Ale co oni mają zamiar zrobić?

- Skontaktują się z ambasadą, rozpatrzą sprawę, zwyczajne ple-ple.

- No to trzeba będzie wziąć do galopu tego Prechta - rzucił ze złością Perot.

- Tom Luce się zajmie tym.

Luce, młody przedsiębiorczy prawnik, był założycielem firmy Hughes i Hill w Dallas, która załatwiała większość prawnych spraw EDS. Przed laty Perot zaangażował Luce'a jako doradcę EDS. Uważał, że może polegać na tym młodym człowieku, ponieważ Luce tak samo jak Perot opuścił wielką firmę, żeby założyć własny interes, i przez jakiś czas ledwie wiązał koniec z końcem. Firma Hughes i Hill rozwijała się równie szybko jak EDS. Perot nigdy nie żałował tej decyzji.

- Luce jest tu gdzieś w biurze - oznajmił Gayden. - A Tom Walter?

- Też.

Walter, wysoki południowiec o rozwlekłym sposobie mówienia, był dyrektorem finansowym EDS i prawdopodobnie najinteligentniejszym

człowiekiem w firmie.

- Chcę, żeby Walter zajął się sprawą kaucji - oświadczył Perot. - Wolałbym nie płacić, ale zapłacę, jeśli będzie trzeba. Walter ma ustalić, w jakiej formie dokonamy wpłaty. Założę się, że tamci nie przyjmą kart kredytowych.

- OK - powiedział Gayden.

- Cześć, Ross! - zawołał jakiś głos za plecami Perota. Perot obejrzał się i zobaczył T. J. Marqueza.

- Cześć, Tom.

T. J. był wysokim, szczupłym, przystojnym czterdziestoletnim mężczyzną w typie hiszpańskim: oliwkowa cera, krótkie, kędzierzawe, czarne włosy i szeroki uśmiech ukazujący mnóstwo białych zębów. Był pierwszym pracownikiem zatrudnionym przez Perota i stanowił żywy dowód na to, że Perot miał niesamowity dar dobierania właściwych ludzi. Obecnie pełnił funkcję wicedyrektora EDS, a jego osobisty udział w firmie wynosił miliony dolarów. „Bóg był dla nas łaskawy” - mawiał T. J. - Perot wiedział, że rodzice T. J. musieli ciężko pracować, żeby posłać syna na studia. Ich poświęcenie opłaciło się. Perot cieszył się z błyskawicznych sukcesów EDS między innymi dlatego, że mógł dzielić triumf z ludźmi takimi jak T. J.

T. J. usiadł i zaczął szybko mówić:

- Zadzwoń do Claude'a.

Perot kiwnął głową. Claude Chapplelear był doradcą prawnym firmy.

- Claude przyjaźni się z Matthew Nimetzem, zastępcą Vance'a, sekretarza stanu. Pomyślałem sobie, że mógłby skłonić Nimetza do rozmowy z samym Vance'em. Nimetz oddzwonił po paru minutach. Chce nam pomóc. W imieniu Vance'a wyśle depeszę do ambasady amerykańskiej w Teheranie i popędzi im kota. Poza tym napisze w sprawie Paula i Billa osobistą notatkę do Vance'a.

- Dobrze.

- Dzwoniliśmy również do admirała Moorera. Jest już wprowadzony w sprawę, ponieważ radziliśmy się go, kiedy wynikiły

kłopoty z paszportami. Moorer będzie rozmawiał z Ardeshirem Zahedim. Zahedi jest nie tylko ambasadorem irańskim w Waszyngtonie, ale również szwagrem samego szacha. Teraz jest w Iranie... podobno to on sprawuje władzę. Moorer poprosił Zahediego, żeby poręczył za Paula i Billa. W tej chwili przygotowujemy depeszę do Zahediego na adres Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Kto nad tym pracuje?

- Tom Luce.

- Dobrze, mamy więc: sekretarza stanu, kierownika wydziału irańskiego, ambasadę i irańskiego ambasadora - podsumował Perot. - Świetnie. Teraz zastanówmy się, co jeszcze możemy zrobić.

- Tom Luce i Tom Walter mają na jutro wyznaczone spotkanie z admirałem Moorerem w Waszyngtonie - oznajmił T. J. - Moorer doradził także, abyśmy zadzwonili do Richarda Helmsa. Gdy odszedł z CIA, był ambasadorem w Iranie.

- Zadzwonię do Helmsa - obiecał Perot. - Zadzwonię też do Ala Heiga i Henry'ego Kissingera. Chcę, żebyście obaj zajęli się ewakuacją wszystkich naszych ludzi z Iranu.

- Ross, nie jestem pewien, czy to konieczne... - zaczął Gayden.

- Żadnych dyskusji, Bill - uciął Perot. - Zabierzcie się do tego od razu. Lloyd Briggs musi tam zostać i dopilnować spraw na miejscu - on jest szefem, póki Paul i Bill są w więzieniu. Wszyscy pozostali wracają do domu.

- Nie możesz ich zmusić do powrotu, jeśli sami tego nie chcą - stwierdził Gayden.

- Kto nie chce wracać?

- Rich Gallagher, jego żona...

- Wiem. OK, zostają Briggs i Gallagher. Nikt więcej. - Perot wstał. - Zaczynam telefonować.

Wjechał windą na szóste piętro i przeszedł przez pokój sekretarki. Sally Walther siedziała za biurkiem. Pracowała tu od lat i brała udział w kampanii na rzecz jeńców wojennych oraz przyjęciu w San Francisco. Na tym przyjęciu zresztą zarzuciła sieci na jednego z uczestników akcji

w Son Tay i połów okazał się udany - kapitan Udo Walther został jej mężem.

- Zadzwoń do Henry'ego Kissingera, do Aleksandra Heiga i do Richarda Helmsa - polecił jej Perot.

Wszedł do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem. Gabinet o ścianach wyłożonych boazerią, z kosztownymi dywanami i półkami cennych książek, wyglądał jak wiktoriańska biblioteka w jakimś angielskim dworcu wiejskim. Perot zgromadził tu rozmaite pamiątki oraz ulubione dzieła sztuki. Margot udekorowała dom obrazami impresjonistów, ale w biurze wołał sztukę amerykańską: oryginalne obrazy Normana Rockwella oraz rzeźby z brązu Frederica Remingtona w stylu Dzikiego Zachodu. Okna wychodziły na dawne pole golfowe.

Perot nie wiedział, gdzie Henry Kissinger spędza święta. Mogło trochę potrwać, zanim Sally go znajdzie. Miał czas do namysłu. Kissinger nie był jego bliskim znajomym. Będzie więc potrzebował całej swojej zręczności, żeby w trakcie krótkiej rozmowy telefonicznej zainteresować Kissingera całą sprawą i zdobyć jego życzliwość.

Telefon na biurku zabrzączał i Sally zawołała:

- Henry Kissinger do pana. Perot podniósł słuchawkę.

- Ross Perot.

- Łączę z Henrym Kissingerem. Perot czekał.

Kissingera nazywano niegdyś najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Znał osobiście szacha. Ale czy będzie pamiętał Rossa Perota? Kampania na rzecz jeńców wojennych była wielkim wydarzeniem, ale przedsięwzięcia Kissingera były znacznie większe: pokój na Bliskim Wschodzie, odprężenie pomiędzy Chinami a Związkiem Radzieckim, zakończenie wojny w Wietnamie...

- Tu Kissinger - rozległ się znajomy, głęboki głos. Mówił z akcentem stanowiącym dziwaczną mieszaninę niemieckich spółgłosek i amerykańskich samogłosek.

- Doktorze Kissinger, mówi Ross Perot. Jestem biznesmenem z Dallas w stanie Teksas...

- Do diabła, Ross, wiem, kim pan jest - przerwał mu Kissinger. Serce

Perota zabiło mocniej. Kissinger mówił przyjaznym, niemal prywatnym tonem. Wspaniale! Perot zaczął mu opowiadać o Paulu i Billu: o tym, jak zgodzili się na spotkanie z Dadgarem, i o tym, jak Departament Stanu zostawił ich na łasce losu. Perot zapewnił Kissingera, że byli niewinni, że nie oskarżono ich o żadne przestępstwo i że Irańczycy nie przedstawili cienia dowodu przeciwko nim.

- To są moi ludzie, ja ich tam wysłałem i muszę ich uwolnić - zakończył.

- Zobaczę, co będę mógł zrobić - odparł Kissinger. Perot nie posiadał się z radości.

- Jestem panu bardzo wdzięczny.

- Przyślijcie mi krótkie sprawozdanie zawierające wszystkie szczegóły.

- Dostarczymy to panu dzisiaj.

- Zadzwońę później, Ross.

- Dziękuję panu. Połączenie zostało przerwane.

Perot czuł się wspaniale. Kissinger pamiętał go, rozmawiał z nim przyjaźnie i obiecał pomóc. Chciał dostać sprawozdanie - EDS wysła je dzisiaj...

Nagła myśl uderzyła Perota. Nie miał pojęcia, skąd dzwonił Kissinger - mógł być w Londynie, w Meksyku, w Monte Carlo...

- Sally?

- Tak, proszę pana?

- Czy dowiedziałaś się, gdzie jest Kissinger?

- Tak, proszę pana.

\* \* \*

Kissinger był w Nowym Jorku, w swoim dwupoziomowym apartamencie, który mieścił się w wytwornym bloku mieszkalnym zwanym River House przy Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej ulicy. Okna apartamentu wychodziły na East River.

Kissinger dobrze pamiętał Rossa Perota. Uważał, że człowiek ten jest jak nie oszlifowany diament. Kissinger popierał jego działalność, dotyczącą głównie pomocy dla jeńców wojennych. Perot dzielnie sobie poczynił podczas swej kampanii, chociaż czasami irytował Kissingera, żądając rzeczy niemożliwych. Teraz zaś ludzie Perota siedzieli w więzieniu.

Kissinger chętnie wierzył, że byli niewinni. Iran znajdował się w przededniu wojny domowej, prawo i sprawiedliwość niewiele tam teraz znaczyły. Zastanawiał się, jak pomóc Perotowi. Chciał mu pomóc: to była słuszna sprawa. Nie zajmował już stanowiska w rządzie, ale nadal miał wielu przyjaciół. Postanowił, że gdy tylko otrzyma sprawozdanie z Dallas, zadzwoni do Ardeshira Zahediego.

\* \* \*

Po rozmowie z Kissingerem Perot nabrał otuchy. „Do diabła, Ross, wiem, kim pan jest”. To było warte więcej niż pieniądze. Jedynym pożytkiem ze sławy było to, że czasami pomagała w załatwieniu ważnych spraw. Wszedł T. J.

- Mam twój paszport - powiedział. - Jest też wiza irańska, uważam jednak Ross, że nie powinienes jechać. Wszyscy pracujemy nad tą sprawą, ale ty jesteś najważniejszy. Nie wiem, co zrobimy, jeżeli nie będziemy mogli skontaktować się z tobą w Teheranie albo na pokładzie samolotu, kiedy trzeba będzie powziąć jakąś zawodniczą decyzję.

Ross zapomniał już zupełnie o podróży do Teheranu. Wszystko, co usłyszał w ciągu ostatniej godziny, utwierdziło go w przekonaniu, że nie będzie to konieczne.

- Może masz rację - odpowiedział T. J. Marquezowi. - Może wystarczą negocjacje. Mamy kilka możliwości i któraś z nich na pewno się sprawdzi. Nie jadę do Teheranu. Na razie.

#### 4.

Henry Precht był chyba najbardziej udręczonym człowiekiem w Waszyngtonie.

Długoletni pracownik Departamentu Stanu wyróżniał się zamiłowaniem do filozofii i sztuk pięknych oraz dziwnym poczuciem humoru. Osobiście kierował amerykańską polityką w Iranie przez większą część 1978 roku, podczas gdy jego poprzednicy aż do czasów prezydenta Cartera interesowali się wyłącznie zawartym w Camp David porozumieniu pomiędzy Egiptem a Izraelem.

Od początku listopada, kiedy w Iranie naprawdę zaczęło się robić gorąco, Precht pracował przez siedem dni w tygodniu od ósmej rano do dziewiętej wieczorem. A tym cholernym Teksasńczykom wydaje się, że nie ma nic lepszego do roboty, tylko gadać z nimi przez telefon!

Rzecz w tym, że kryzys irański nie był jedynym zmartwieniem Prechta. Tutaj, w Waszyngtonie, toczyła się cicha wojna pomiędzy Cyrusem Vance'em, sekretarzem stanu i szefem Prechta, a Zbigniewem Brzezińskim, doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Vance, podobnie jak prezydent Carter, wierzył, że amerykańska polityka zagraniczna powinna odzwierciedlać amerykańskie ideały. Obywatele Ameryki wierzyli w wolność, sprawiedliwość i demokrację, dlatego nie chcieli popierać dyktatorów. Szach Iranu był dyktatorem, organizacja „Amnesty International” określiła irański system prawny jako najgorszy na świecie, Międzynarodowa Komisja Prawników zaś potwierdziła wiele raportów o systematycznym stosowaniu tortur w więzieniach szacha. Ponieważ to CIA osadziła szacha na tronie, a Stany Zjednoczone utrzymywały go przy władzy, amerykański prezydent, który tyle mówił o prawach człowieka, musiał coś zrobić.

W styczniu 1977 roku Carter dał do zrozumienia, że Ameryka przestanie pomagać państwu o dyktatorskim sposobie sprawowania

rządów. Ale nie postępował konsekwentnie: tego samego roku odwiedził Iran i obsypał szacha pochwałami. Mimo wszystko Vance wierzył w politykę obrony praw człowieka.

Zbigniew Brzeziński nie wierzył. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wierzył w siłę. Szach był sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych, dlatego należało go poprzeć. Oczywiście, wypadało również nakłonić go, żeby przestał torturować ludzi, lecz jeszcze nie teraz. Władza szacha jest zagrożona: nie czas na liberalizm.

A kiedy przyjdzie na to czas? - zapytywała frakcja Vance'a. Szach miał mocną pozycję przez prawie dwadzieścia lat swoich rządów, ale nigdy nie przejawiał skłonności do ich unowocześniania. Na to Brzeziński odpowiedział: „Pokażcie mi chociaż jeden nowoczesny rząd w tym rejonie świata”.

Niektórzy członkowie administracji Cartera uważali, że jeśli Ameryka nie będzie broniła wolności i demokracji, nie ma w ogóle sensu prowadzić polityki zagranicznej. Był to pogląd nieco skrajny, ale jego zwolennicy podpierali się przekonującym argumentem: Irańczycy i tak mieli dość szacha i zamierzali się go pozbyć bez względu na to, co myśli się w Waszyngtonie.

Bzdury, mówił Brzeziński. Poczytajcie historię. Rewolucje zwyciężały, kiedy władze szły na ustępstwa. Upadały, kiedy rząd miażdżył rebeliantów żelazną pięścią. Czterystutysięczna armia irańska z łatwością zdławi każde powstanie. Frakcja Vance'a - włącznie z Henrym Prechtem - nie zgadzała się z teorią rewolucji Brzezińskiego. Zagrożeni dyktatorzy idą na ustępstwa tylko dlatego, że rebelianci dysponują siłą. Co więcej, zwolennicy Vance'a nie wierzyli, że irańska armia liczy czterysta tysięcy. Trudno było uzyskać dokładne dane, wiadano jednak, że żołnierze dezertują w tempie około ośmiu procent stanu liczebnego na miesiąc, a w zamęcie totalnej wojny domowej nierzadko całe oddziały przechodzą na stronę rebeliantów.

Obie waszyngtońskie frakcje otrzymywały informacje z różnych źródeł.

Brzeziński słuchał Ardeshira Zahediego, szwagra i



najpotężniejszego zwolennika szacha w Iranie. Vance słuchał ambasadora Sullivana. Depesze Sullivana nie zawierały tytułu informacji, ilu Waszyngton sobie by życzył - może dlatego, że sytuacja w Iranie była cokolwiek niejasna. Jednak od września w raportach ambasady przeważał pogląd, że los szacha jest przesądzony.

Brzeziński oświadczył, że Sullivan jest panikarzem i nie można mu ufać. Stronnicy Vance'a z kolei twierdzili, że Brzeziński ma zwyczaj strzelać do pośłańca, który przynosi złe wiadomości.

W rezultacie Stany Zjednoczone nie zrobiły nic. Departament Stanu przygotował projekt depeszy do ambasadora Sullivana, polecając mu, aby pilnie nakłonił szacha do stworzenia koalicji rządowej, opartej na zasadach demokratycznych. Brzeziński depeszę zniszczył. Innym razem Brzeziński zadzwonił do szacha i zapewnił go o poparciu prezydenta Cartera. Szach poprosił o depeszę z potwierdzeniem tej wiadomości. Departament Stanu depeszy nie wysłał. Obie strony przepuszczały do prasy informacje, żeby nawzajem sobie zaszkodzić, tak że cały świat wiedział o tym, iż waszyngtońską politykę wobec Iranu paraliżują tarcia wewnętrzne.

W tej sytuacji Precht nie miał najmniejszej ochoty użerać się z bandą Teksaszczyków, którym wydawało się, że tylko oni jedyni mają problem.

Poza tym sądził, że bardzo dobrze wie, skąd się wzięły kłopoty EDS. Na pytanie, czy EDS ma swojego przedstawiciela w Iranie, odpowiedziano mu: tak, to pan Abolfath Mahvi. To wyjaśniało wszystko. Mahvi był znanym w Teheranie pośrednikiem, nazywanym dzięki swoim machlojkom z dostawcami wojskowymi „królem pięciu procent”. Chociaż miał rozległe stosunki w wyższych sferach, szach na pewien czas umieścił go na czarnej liście ludzi, którym zabroniono prowadzenia interesów w Iranie. To właśnie dlatego EDS była podejrzana o korupcję. Precht miał szczerzy zamiar zrobić wszystko, co w jego mocy. Nakłonił ambasadę w Teheranie, żeby rozpatrzyła sprawę. Może ambasador Sullivan potrafi przycisnąć Irańczyków, żeby wypuścili Paula i Billa. Ale rząd Stanów Zjednoczonych w żadnym przypadku nie mógł zlekceważyć pozostałych zarzutów stawianych

przez Irańczyków. Rząd popierał obecny reżim i nie zamierzał jeszcze bardziej go osłabiać groźbą zerwania stosunków dyplomatycznych z powodu dwóch uwięzionych biznesmenów, zwłaszcza kiedy w Iranie nadal przebywało dwanaście tysięcy obywateli amerykańskich, o których Departament Stanu musiał się troszczyć. Była to pożałowania godna sytuacja, ale Chiapparone i Gaylord będą musieli niestety trochę pocierpieć.

Henry Precht chciał dobrze, jednakże w sprawie Paula i Billa, podobnie jak Lou Goeltz, popełnił błąd w założeniach. W rezultacie najpierw mylnie ocenił problem, a następnie przyjął obronną postawę wobec EDS. Precht postąpił tak, jak gdyby dochodzenie, w którym Paul i Bill mieli odgrywać role świadków, było legalnym dochodzeniem w sprawie oskarżenia o przekupstwo, a nie bezczelnym aktem szantażu. Goeltz, wychodząc z tego samego założenia postanowił współpracować z generałem Biglari. Precht natomiast popełnił ten sam błąd: sprawy Paula i Billa nie potraktowano jako bezprawnego porwania obu Amerykanów. Przekupny czy nie, Abolfath Mahvi nie zarobił na kontrakcie EDS z ministerstwem ani grosza. Co więcej, EDS na początku miała poważne kłopoty, ponieważ odmówiła wręczenia Mahviemu łapówki.

Przebieg wydarzeń był następujący: Mahvi pomógł EDS uzyskać pierwszy niewielki kontrakt w Iranie - opracowanie systemu kontroli dokumentów dla marynarki irańskiej. EDS obiecała Mahviemu jedną trzecią zysków, ponieważ dowiedziała się, że zgodnie z prawem musi mieć miejscowego wspólnika. Kiedy dwa lata później zakończono prace, EDS uczciwie wypłaciła Mahviemu czterysta tysięcy dolarów.

Ale kiedy prowadzono negocjacje dotyczące kontraktu z ministerstwem, Mahvi był na czarnej liście. Niemniej jednak przed podpisaniem umowy Mahvi, gdy już na czarnej liście nie figurował - zażądał, żeby kontrakt oddano spółce akcyjnej należącej do niego i EDS.

EDS odmówiła. Wprawdzie Mahvi zarobił przy kontrakcie z marynarką irańską, ale w sprawie umowy z ministerstwem nie kiwnął nawet palcem.

Mahvi twierdził, że to jego nazwisko przetarło drogi EDS w dwudziestu czterech urzędach państwowych, które musiały wyrazić zgodę na podpisanie umowy z ministerstwem. Ponadto oświadczył, że pomógł EDS uzyskać ulgi podatkowe przewidziane w kontrakcie. Utrzymywał, że EDS otrzymała te korzystne warunki tylko dlatego, że Mahvi spędzał czas z ministrem finansów w Monte Carlo.

EDS nie prosiła go o pomoc i nie uwierzyła w jego zapewnienia. Poza tym Perotowi nie podobala się taka „pomoc”, jakiej udzielają w Monte Carlo.

Irański adwokat EDS złożył skargę do premiera i Mahvi został skarcony za domaganie się łapówek. Miał jednak tak wielkie wpływy, że minister zdrowia odmówił podpisania kontraktu, dopóki EDS nie dogada się z Mahvim.

EDS odbyła z Mahvim serię burzliwych rozmów. W dalszym ciągu kategorycznie odmawiała dzielenia się z nim zyskiem. Wreszcie osiągnięto porozumienie, pozwalające zachować twarz: spółka akcyjna działająca jako podwykonawca EDS zatrudni wszystkich irańskich pracowników EDS. W rzeczywistości owa spółka akcyjna nie zarobiła żadnych pieniędzy, ale to wyszło na jaw później. Na razie Mahvi zgodził się na kompromis i podpisano kontrakt z ministerstwem.

Tak więc EDS nie wręczała łapówek i rząd irański o tym wiedział; ale nie wiedzieli Henry Precht i Lou Goeltz. W konsekwencji, obaj mieli niewłaściwy stosunek do Paula i Billa. Obaj poświęcili tej sprawie sporo czasu, ale nie nadawali jej pierwszorzędного znaczenia. Kiedy wojowniczy prawnik EDS, Tom Luce, potraktował ich jak głupców i niedołęgów, oburzyli się i oświadczyli, że nic nie robią, jeśli Tom nie przestanie się ich czepiać.

Precht w Waszyngtonie i Goeltz w Teheranie byli najważniejszymi osobami zajmującymi się tą sprawą. Żaden z nich nie był głupcem. Żaden nie był też niedołęgą. Ale obaj popełnili błędy, obaj nabrali uprzedzeń do EDS i w tych pierwszych, decydujących dniach żaden z nich nie potrafił pomóc Paulowi i Billowi.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### 1.

Strażnik otworzył drzwi celi, rozejrzał się i skinął na Paula i Billa. Nadzieje Billa odżyły. Teraz ich wypuszczą.

Wstali i poszli ze strażnikiem na górę. Dobrze było znowu zobaczyć światło dnia. Wyszli na zewnątrz i przeszli przez podwórze do małego, parterowego budyneczku przy bramie. Świeże powietrze pachniało niebiańsko.

To była koszmarna noc. Bill leżał na cienkim materacu i drzemał niespokojnie, budząc się za najlżejszym poruszeniem któregoś ze współwięźniów i rozglądając się lękliwie w mdłym świetle jedynej żarówki. Wiedział, że nadszedł ranek, tylko dzięki wejściu strażnika, niosącego szklanki z herbatą i kromki razowego chleba na śniadanie. Bill nie czuł głodu. Odmówił różaniec.

Teraz pomyślał, że jego modlitwy zostały wysłuchane.

W parterowym budynku mieścił się pokój odwiedzin, umeblowany prostymi stołami i krzesłami. Czekало tam dwóch ludzi. Bill rozpoznał jednego z nich: był to Ali Jordan, Irańczyk, który pracował z Lou Goeltzem w ambasadzie. Jordan uściśnął im dłonie i przedstawił swego towarzysza, Boba Sorensona.

- Przynieśliśmy wam trochę rzeczy - powiedział Jordan. - Maszynkę

do golenia na baterie... Będziecie musieli używać jej na spółkę i trochę ubrań.

Bill spojrzał na Paula. Paul wpatrywał się w dwóch przedstawicieli ambasady z taką miną, jakby zaraz miał wybuchnąć.

- Nie zamierzacie nas stąd zabrać? - spytał.

- Obawiam się, że nie możemy.

- Przecież to wy nas tu wpakowaliście, do cholery! Bill powoli usiadł, zbyt przygnębiony, żeby się złościć.

- Bardzo nam przykro, że tak się stało - powiedział Jordan. - Dla nas było to kompletne zaskoczenie. Powiedziano nam, że Dadgar jest do was przychylnie usposobiony... Ambasada przygotowuje bardzo poważny protest.

- Ale co zrobiliście, żeby nas stąd wyciągnąć?

- Musicie działać zgodnie z prawem miejscowym. Wasi adwokaci...

- Jezu Chryste! - jęknął Paul z niesmakiem.

- Poprosiliśmy ich, żeby przenieśli was do lepszych części więzienia - oznajmił Jordan.

- Serdeczne dzięki. Sorenson zabrał głos:

- Ehm, czy potrzebujecie jeszcze czegoś?

- Niczego nie potrzebuję - odparł Paul. - Nie zamierzam tu długo zostać.

- Chciałbym dostać krople do oczu - wtrącił Bill.

- Dopilnuję tego - obiecał Sorenson.

- To chyba na razie wszystko - powiedział Jordan. Spojrzał na strażnika. Bill wstał.

Jordan powiedział do strażnika coś w *farsi*, strażnik gestem nakazał Billowi i Paulowi wyjść.

Znowu szli przez podwórze. „Jordan i Sorenson są drugorzędnymi pracownikami ambasady - rozmyślał Bill. - Dlaczego Goeltz nie przyszedł? Wyglądało to tak, jakby ambasada uważała, że EDS powinna sama się troszczyć o swoich pracowników. Wysyłając Jordana i Sorensona ambasada dawała do zrozumienia Irańczykom, że interesuje się sprawą, a jednocześnie zawiadamiała Paula i Billa, że raczej nie

powinni liczyć na pomoc rządu USA. Ambasada wołałaby o nas zapomnieć” - pomyślał Bill ze złością.

W głównym budynku strażnik otworzył drzwi, których dotąd nie przekraczali. Drzwi prowadziły z poczekalni na korytarz. Po prawej były trzy biura, po lewej okna wychodzące na podwórze. Doszli do następnych drzwi, wykonanych z grubej blachy. Strażnik otworzył je kluczem i wprowadził ich do środka.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył Bill, był telewizor.

Kiedy się rozejrzał, poczuł się trochę lepiej. Ta część więzienia była bardziej cywilizowana od podziemi, stosunkowo czysta i jasna, z szarymi ścianami i szarym chodnikiem. Drzwi cel stały otworem, toteż więźniowie mogli swobodnie spacerować po korytarzu. Przez okna wpadało dzienne światło.

Szli dalej przez główny hall. Po prawej mieli dwie cele, a po lewej pomieszczenie wyglądające na łazienkę. Bill nie mógł się już doczekać kąpieli po spędzonej w podziemiu nocy. Zerkając przez ostatnie drzwi po prawej strone, zobaczył półki pełne książek. Potem strażnik skręcił w lewo i poprowadził ich długim, wąskim korytarzem do ostatniej celi.

Tam zobaczyli znajomego.

Był to Reza Neghabat, minister zarządzający Organizacją Ubezpieczeń Społecznych w Ministerstwie Zdrowia. Paul i BUL znali go dobrze i współpracowali z nim, zanim został aresztowany we wrześniu tego roku. Z zapalem uścisnęli mu dłoń. Bill doznał ulgi na widok znajomej twarzy. Wreszcie ktoś mówiący po angielsku.

Neghabat był zdumiony.

- Dlaczego jesteście tutaj? Paul wzruszył ramionami.

- Właśnie miałem nadzieję, że pan nam to wyjaśni.

- Ale o co jesteście oskarżeni?

- O nic - odparł Paul. - Wczoraj przesłuchiwał nas pan Dadgar, urzędnik, który prowadzi śledztwo pańskiego byłego ministra, doktora Sheika. Aresztował nas. Bez zarzutów, bez oskarżenia. Podobno mamy być koronnymi świadkami.

Bill rozejrzał się dookoła. Po obu stronach celi stały dwie potrójne

prycze i takie same dwie przy oknie. Razem osiemnaście posłań, podobnie jak w podziemiach: cienkie piankowe materace i szare wełniane koce. Dolną pryczę zastępował rozłożony na podłodze materac. Jednakże tutaj kilku więźniów miało również prześcieradła. Okno, umieszczone na wprost drzwi, wychodziło na podwórze. Bill widział trawę, drzewa i kwiaty, a także zaparkowane samochody, należące przypuszczalnie do strażników. Widział również niski budynek, gdzie przed chwilą rozmawiali z Jordanem i Sorensonem.

Neghabat przedstawił Paula i Billa współlokatorom z celi. W porównaniu z więźniami na dole wydawali się pełni życzliwości i całkiem niegroźni. Kilka prycz było wolnych - cela nie była tak zatłoczona, jak poprzednia - więc Paul i Bill wybrali sobie łóżka na obu stronach drzwi. Bill miał pryczę środkową, ale Paul znowu musiał spać na podłodze.

Neghabat pokazał im też sąsiednie pomieszczenia. Obok ich celi mieściła się kuchnia wyposażona w stoły i krzesła, gdzie więźniowie mogli parzyć kawę i herbatę albo po prostu spędzić czas na pogawędce. Pokój ten, nie wiadomo dlaczego, nazywano Chattanooga. Dalej, na samym końcu korytarza, znajdowały się zaryglowane drzwi. Była to kantyna - jak wyjaśnił Neghabat - czasami można było w niej kupić mydło, ręczniki i papierosy.

Wracając długim korytarzem minęli swoją celę - numer 5 - oraz dwie inne, zanim dotarli do hallu. Pokój, do którego Bill wcześniej zajrzał, stanowił połączenie biblioteki i pomieszczenia dla strażników, z książkami nie tylko w języku *farsi*, ale także po angielsku. Dalej były dwie następne cele. Naprzeciwko znajdowały się łazienka z prysznicami, umywalkami i toalety. Toalety były w stylu perskim - pusta kabina z dziurą pośrodku. Bill musiał pożegnać się z marzeniami o prysznicu: jak zwykle, brakowało ciepłej wody.

Za stalowymi drzwiami - jak oznajmił Neghabat - znajdował się niewielki gabinet używany przez dochodzącego lekarza i dentystę. Biblioteka była przez cały czas otwarta i co wieczór włączano telewizor, programy nadawano oczywiście w języku *farsi*. Dwa razy w tygodniu

więźniów z tego oddziału wypuszczano na podwórze, gdzie przez pół godziny spacerowali w kółko. Golenie było obowiązkowe. Strażnicy pozwalali zapuszczać wąsy, ale nie brody.

Po drodze spotkali jeszcze dwóch znajomych. Jednym z nich był dr Towliati, konsultant techniczny ministerstwa, o którego wypytywał Dadgar. Drugim zaś był Hussein Pasha, zajmujący się finansami w kierowanej przez Neghabata Organizacji Ubezpieczeń Społecznych.

Paul i Bill ogolili się elektryczną maszynką przyniesioną przez Jordana i Sorensona. Potem nadeszło południe i pora obiadowa. W ścianie korytarza znajdowała się zasłonięta kotarą nisza. Stamtąd więźniowie wyjęli matę z linoleum, którą rozłożyli na podłodze, oraz trochę tandetnych naczyń. Posiłek składał się z gotowanego ryżu z odrobiną jagnięcia, chleba, jogurtu oraz herbaty lub Pepsi - Coli. Jedli, siedząc na podłodze z podwiniętymi nogami. Dla Paula i Billa, dwóch smakoszy, był to bardzo nędzny obiad. Jednakże Bill stwierdził, że odzyskał apetyt, może dzięki temu, że było tu dość czysto.

Po obiedzie mieli następnych gości: adwokatów irańskich. Prawnicy nie wiedzieli, dlaczego Paul i Bill zostali aresztowani, nie wiedzieli, co będzie dalej, nie wiedzieli też, w czym mogą pomóc. Była to bezsensowna, przygnębiająca rozmowa. Paul i Bill nie ufali im za grosz, ponieważ ci sami adwokaci zapewniali Lloyda Briggsa, że kaucja nie przekroczy dwudziestu tysięcy dolarów. Rozmowa nie wniosła nic nowego ani nie dodała im otuchy.

Paul i Bill spędzili resztę popołudnia w pokoju zwanym Chattanooga na pogawędce z Neghabatem, Towliatim i Pashą. Paul szczegółowo zrelacjonował swoją rozmowę z Dadgarem. Każdy z Irańczyków koniecznie chciał wiedzieć, czy podczas przesłuchania wymieniono jego nazwisko. Paul poinformował doktora Towliati, że jego nazwisko padło w związku z podejrzeniem o sprzeczność interesów. Towliati oznajmił, że Dadgar przesłuchiwał go dokładnie tak samo przed aresztowaniem. Paul przypomniał sobie także, że Dadgar pytał go o wykaz, który sporządził Pasha. Była to zwykła formalność wymagana dla celów statystycznych i nikt nie rozumiał, co w tym



nadzwyczajnego.

Neghabat miał własną teorię na temat przyczyny aresztowania ich wszystkich:

- Szach zrobił z nas kozłów ofiarnych, żeby pokazać narodowi, że rozprawił się z korupcją. Ale wybrał resort, w którym korupcji nie było. U nas nie ma się czego przyczepić, tylko że jeśli teraz nas wypuści, straci twarz. Gdyby zamiast tego przyjrzał się dokładnie gospodarce budowlanej, znalazłby, czego chciał: niewiarygodną korupcję...

To wszystko było bardzo mętne. Neghabat po prostu szukał racjonalnego wytłumaczenia. Natomiast Paul i Bill chcieli wiedzieć dokładnie, kto zarządził czystkę, dlaczego wybrano Ministerstwo Zdrowia, o c o ich podejrzewano i k i m byli informatorzy, którzy donieśli na osoby przebywające obecnie w więzieniu. Neghabat nie wykręcał się od odpowiedzi - on po prostu tego nie wiedział. Jego mętny sposób mówienia był typowo perski: zapytajcie Irańczyka, co jadł na śniadanie, a zacznie wam wyjaśniać swoją filozofię życiową.

O szóstej wrócili do celi na kolację. Była obrzydliwa - wymieszane resztki z obiadu ugniecione na papkę, chleb i herbata.

Potem oglądali telewizję. Neghabat tłumaczył wiadomości. Szach zaproponował przywódcy opozycji, Shahpour Bakhtiarowi, utworzenie rządu cywilnego w miejsce generałów, którzy rządili Iranem od listopada. Neghabat wyjaśnił, że Shahpour jest naczelnikiem plemienia Bakhtiarów i nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z reżimem szacha. W każdym razie tylko od ajatollaha Chomeiniego zależało, czy rząd Bakhtiara położy kres zamieszkom.

Szach zaprzeczył również pogłoskom, jakoby zamierzał wyjechać z kraju. Zdaniem Billa, całkiem nieźle to brzmiało. Jeśli Bakhtiar zostanie premierem, szach wprawdzie utrzyma się przy władzy, ale przynajmniej rebelianci będą wreszcie mieli udział w rządzeniu własnym krajem.

O dziesiątej wyłączyli telewizor i więźniowie powrócili do cel. Współlokatorzy Paula i Billa zawiesili na pryczach ręczniki i rozmaite szmaty, zasłaniając się przed światłem. Tutaj, tak samo jak na dole,

palilo się ono przez całą noc. Neghabat doradził Paulowi i Billowi, aby poprosili odwiedzających o przyniesienie ręczników i prześcieradeł.

Bill owinął się cienkim wełnianym kocem, ułożył na pryczy i usiłował zasnąć.

„Widocznie posiedzimy tu przez jakiś czas - pomyślał z rezygnacją. - Musimy sobie jakoś radzić. Nasz los spoczywa w rękach innych ludzi”.

## 2.

Ich los spoczywał w rękach Rossa Perota, którego nadzieje rozwiały się doszczętnie w ciągu następnych dwóch dni.

Początkowo nadchodziły dobre wiadomości. Kissinger zadzwonił w piątek, 29 grudnia, żeby powiedzieć, że Ardeshir Zahedi dopilnuje zwolnienia Paula i Billa. Najpierw jednak urzędnicy ambasady muszą odbyć dwa spotkania: jedno z ludźmi z Ministerstwa Sprawiedliwości, drugie z przedstawicielami dworu szacha. Spotkania te miał zorganizować osobiście zastępca ambasadora w Teheranie, poseł Charles Naas.

W Waszyngtonie Henry Precht z Departamentu Stanu również rozmawiał z Zahedim. Szwagier Emily Gaylord, Tim Reardon, spotkał się z senatorem Kennedym. Admirał Moorer wykorzystał swoje znajomości w irańskim rządzie wojskowym. Jedynym niewypałem okazał się Richard Helms, były ambasador USA w Teheranie: przyznał otwarcie, że jego dawni przyjaciele nie mają już żadnych wpływów.

EDS zasięgnęła porady u trzech niezależnych od siebie prawników irańskich. Jeden z nich był Amerykaninem, wyspecjalizowanym w reprezentowaniu amerykańskich przedsiębiorstw w Teheranie. Pozostali dwaj byli Irańczykami: jeden miał znajomości w kołach rządowych, drugi zaś - związany był blisko z opozycją. Wszyscy trzej zgodzili się, że Paula i Billa uwięziono bezprawnie i że kaucja jest astronomiczna. Amerykanin, John Westberg, oświadczył, iż najwyższa

kaucja, o jakiej słyszał w Iranie, wynosiła sto tysięcy dolarów. Nasuwał się wniosek, że urzędnik, który nakazał aresztowanie Paula i Billa, nie miał do tego żadnych podstaw.

Na miejscu w Dallas dyrektor finansowy EDS, przeciągający słowa południowiec Tom Walter, pracował nad tym, żeby EDS mogła w razie konieczności złożyć kaucję w wysokości 12 750 000 dolarów. Adwokaci poinformowali go, że istnieją trzy sposoby zapłacenia kaucji: gotówka, list kredytowy wystawiony na irański bank albo weksel pod zastaw majątku EDS w Iranie. EDS nie miała w Teheranie majątku takiej wartości - komputery należały właściwie do ministerstwa - a ponieważ irańskie banki strajkowały i w kraju panował zamęt, niemożliwe było przekazanie takiej sumy gotówką. Toteż Walter przygotowywał list kredytowy. T. J. Marquez, który reprezentował EDS przed komisją inwestycyjną, ostrzegł Perota, że przedsiębiorstwo nie może legalnie zapłacić takiej sumy, jeśli wygląda to na okup. Perot zrećźnie ominął tę przeszkodę: zapłaci z własnych pieniędzy.

Perot miał szczerą nadzieję, że wyciągnie Paula i Billa z więzienia posługując się jedną z trzech metod: użyje prawnych środków, zastosuje nacisk polityczny albo zapłaci kaucję.

Potem zaczęły nadchodzić złe wiadomości.

Irańscy adwokaci zmienili taktykę. Teraz twierdzili, że uwięzienie Paula i Billa to „rozgrywka na wysokim szczeblu”, mająca „poważne represje polityczne”, więc „lepiej trzymać się z daleka”. Amerykanin John Westberg został poproszony przez swoich irańskich współników, żeby nie zajmował się tą sprawą, ponieważ wówczas firma ściągnie na siebie niełaskę wpływowych osobistości. Najwyraźniej prowadzący dochodzenie Hosain Dadgar miał jednak powody, żeby aresztować Paula i Billa.

Prawnik Tom Luce oraz dyrektor finansowy Tom Walter pojechali do Waszyngtonu i w towarzystwie admirała Moorera złożyli wizytę w Departamencie Stanu. Spodziewali się, że odbędą naradę z Henrym Prechtem i opracują razem energiczną kampanię na rzecz uwolnienia Paula i Billa. Ale Henry Precht potraktował ich ozięble. Podał im rękę -

nie mógł tego uniknąć, skoro byli w towarzystwie byłego Szefa Połączonych Sztabów Marynarki Lotnictwa i Wojsk Lądowych - ale zamiast zaprosić na naradę, przekazał ich podwładnemu. Podwładny zakomunikował im, że wysiłki Departamentu Stanu spełzły na niczym: ani Ardeshir Zahedi, ani Charlie Naas nie zdołali uzyskać zwolnienia Paula i Billa.

Tom Luce, który nie odznaczał się cierpliwością, wpadł we wściekłość. Departament Stanu ma obowiązek chronić Amerykanów przebywających za granicą, oświadczył, a do tej pory Departament Stanu nie zrobił nic, poza wpakowaniem Paula i Billa do więzienia! Przeciwnie, odpowiedziano mu: Departament Stanu zrobił już tyle, że znacznie przekroczył zakres swoich obowiązków. Jeśli Amerykanie za granicą popełniają przestępstwa, podlegają miejscowemu wymiarowi sprawiedliwości. Wyciąganie ludzi z więzienia nie należy do obowiązku Departamentu Stanu. Przecież, argumentował Luce, Paul i Bill nie popełnili żadnego przestępstwa - zostali porwani i zażądano za nich okupu w wysokości trzynastu milionów dolarów! Ale nic nie wskórał. On i Tom Walter wrócili do Dallas z pustymi rękami.

Poprzedniego dnia, późnym wieczorem, Perot zadzwonił do ambasady amerykańskiej w Teheranie i zapytał Charlesa Naasa, dlaczego jeszcze nie doszło do spotkania z osobistościami wymienionymi przez Kissingera i Zahediego. Odpowiedź była prosta: osoby te starannie Naasa unikały. Nazajutrz Perot jeszcze raz zadzwonił do Kissingera i poinformował go o tym fakcie. Kissinger był zmartwiony: było mu przykro, ale nic więcej nie mógł zrobić. Obiecał jednak, że spróbuje jeszcze raz porozmawiać z Zahedim.

Kolejna zła nowina dopełniła kieski. Tom Walter razem z irańskimi prawnikami próbował uzgodnić warunki zwolnienia Paula i Billa za kaucją: na przykład, czy będą musieli obiecać, że wrócą do Iranu na dalsze przesłuchania, czy też można będzie przesłuchać ich za granicą? Ani jedno, ani drugie, odpowiedziano mu. Jeśli zostaną zwolnieni z więzienia, nadal będą musieli pozostać w Iranie.

Tymczasem nadszedł sylwester. Od trzech dni Perot mieszkał w

biurze, sypiał na podłodze i żywił się kanapkami z serem. Nie miał po co wracać do domu - Margot z dziećmi była ciągle w Vail - a z powodu 9, 5 - godzinnej różnicy czasu pomiędzy Teksasem a Iranem często odbierał ważne telefony w środku nocy. Opuszczał biuro tylko po to, aby odwiedzić matkę, która wyszła już ze szpitala i przechodziła rekonwalescencję w swoim domu w Dallas. Nawet będąc z nią, mówił ciągle o Paulu i Billu. Matka bardzo się interesowała całą sprawą.

Tego wieczoru Perot nabrał ochoty na gorący posiłek, postanowił więc rzucić wyzwanie pogodzie - w Dallas szalała zamieć - i pojechać parę ulic dalej do restauracji rybnej.

Wyszedł z budynku tylnymi drzwiami i wsiadł do furgonetki. Margot miała Jaguara, ale Perot wolał samochody nie rzucające się w oczy.

Zastanawiał się, czy Kissinger zachował jakieś wpływy w Iranie lub gdzie indziej. Zahedi i pozostali irańscy znajomi Kissingera mogli już zostać odsunięci, podobnie jak przyjaciele Richarda Helmsa. Władza szacha wisiała na włosku.

Z drugiej strony, cała ta grupa może wkrótce potrzebować przyjaciół w Ameryce, dlatego powinni cieszyć się, że mają okazję wyświadczyć Kissingerowi przysługę.

W trakcie kolacji Perot poczuł nagle na ramieniu czyjąś ciężką dłoń. Tubalny głos zawołał:

- Ross, co ty tu robisz sam w sylwestra?

Perot obejrzał się i zobaczył Rogera Staubacha, zawodnika drużyny „Kowboje z Dallas”, absolwenta Akademii Marynarki z tego samego rocznika i starego przyjaciela.

- Cześć, Roger! Siadaj.

- Jestem z rodziną - wyjaśnił Staubach. - U nas w domu z powodu zamieci wyłączyli ogrzewanie.

- No to ja przyprowadź.

Staubach przywołał rodzinę, po czym zapytał:

- Jak się czuje Margot?

- Dziękuję, dobrze. Jest z dziećmi na nartach w Vail. Ja musiałem

wrócić. Mamy poważne kłopoty. - Opowiedział Staubachom wszystko o Paulu i Billu.

Wracał do biura w lepszym nastroju. Jest jeszcze na świecie nieco porządných ludzi.

Znowu przypomniał mu się pułkownik Simons. Ze wszystkich planów uwolnienia Paula i Billa, które przygotował, zorganizowanie ucieczki z więzienia było najbardziej czasochłonne: Simons będzie potrzebował ludzi, sprzętu, treningu...

A jednak Perot nie zaczął przygotowań. Ta możliwość wydawała mu się tak odległa, że odsunął ją od siebie: skoro rokowania zapowiadały się pomyślnie, nie musiał brać pod uwagę rozwiązania skrajnego. Perot nie był jeszcze gotów, żeby zadzwonić do Simonsa, wolał poczekać na rezultat kolejnej rozmowy Kissingera z Zahedim. Ale mógł chyba przygotować dla Simonsa to i owo.

W biurze natknął się na Pata Sculleya. Sculley, absolwent West Point, był chudym, nerwowym mężczyzną o chłopięcym wyglądzie. Miał trzydzieści jeden lat. Był kierownikiem robót w Teheranie i został ewakuowany ósmego grudnia. Wrócił po święcie Ashura, a potem znowu wyjechał, kiedy Paul i Bill zostali aresztowani. Obecnie miał za zadanie pilnować, żeby Amerykanie pozostający w Teheranie - Lloyd Briggs, Rich Gallagher z żoną, Paul i Bill - mieli codziennie zarezerwowane miejsca w samolocie na wypadek, gdyby Paula i Billa zwolniono. Sculleyowi towarzyszył Jay Coburn, który kierował ewakuacją, a potem, 22 grudnia, przyjechał do domu, żeby spędzić z rodziną Boże Narodzenie, Coburn miał już wracać do Teheranu, kiedy otrzymał wiadomość o aresztowaniu Paula i Billa, został więc w Dallas i organizował drugą ewakuację. Ten krępy, opanowany mężczyzna miał trzydzieści dwa lata, a wyglądał na czterdziestkę. Pewnie dlatego, myślał Perot, że Coburn przez osiem lat był pilotem bojowym helikopterów w Wietnamie. A jednak Coburn często się uśmiechał - powolnym, niespiesznym uśmiechem, który zaczynał się od błysku humoru w oczach, a najczęściej kończył donośnym rechotem.

Perot lubił obu tych mężczyzn i ufał im. Takich jak oni nazywał

swoimi orłami. Ambitni, z inicjatywą, wykonywali każde zadanie i nie wykręcali się od roboty. Motto EDS brzmiało: „Orły nie żyją w stadach - każdego trzeba było długo szukać”. Jedną z tajemnic powodzenia Perota była jego zasada, że należy wyszukiwać takich ludzi, a nie siedzieć i czekać, aż sami się zgłoszą.

Perot zwrócił się do Sculleya:

- Myślisz, że zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić dla Paula i Billa? Sculley odpowiedział bez wahania:

- Nie.

Perot przytaknął. Ci młodzi ludzie nigdy nie obawiali się otwarcie rozmawiać z szefem. Dlatego, między innymi, byli orłami.

- Jak myślicie, co powinniśmy zrobić?

- Powinniśmy uwolnić ich siłą - odparł Sculley. - Wiem, że to dziwnie brzmi, ale poważnie obawiam się, że jeśli tego nie zrobimy, mogą zostać zabici.

Perot wcale nie uważał, że to dziwnie brzmiało. Podobne obawy przeżywał w duchu od trzech dni.

- Jestem tego samego zdania - oświadczył. Zobaczył zdziwienie na twarzy Sculleya.

- Chcę, żebyście obaj ułożyli spis pracowników EDS, którzy mogą w tym pomóc - kontynuował. - Będziemy potrzebowali ludzi, którzy znają Teheran, mają pewne doświadczenie wojskowe - zwłaszcza w akcjach specjalnych oraz są stuprocentowo lojalni i godni zaufania.

- Zaraz się do tego zabierzemy - zapewnił z entuzjazmem Sculley. Zadzwoił telefon i Coburn podniósł słuchawkę.

- Cześć, Keane! Gdzie jesteś?... Zaczekaj chwilę. - Zakrył rękę słuchawką i spojrzał na Perota.

- Keane Taylor jest we Frankfurcie. Jeżeli chcemy przeprowadzić taką akcję, powinniśmy go włączyć.

Ross przytaknął. Taylor, były sierżant piechoty morskiej, był następnym z jego orłów. Wytworny, elegancko ubrany, mierzący sześć stóp i dwa cale wzrostu Taylor był cokolwiek drażliwy, dlatego też stanowił idealny obiekt dowcipów.

- Powiedz mu, żeby wracał do Teheranu - polecił Perot. - Ale nie mów dlaczego.

Pozbawiona wieku twarz Coburna powoli rozjaśniła się uśmiechem.

- Nie będzie tym zachwycony.

Sculley sięgnął przez biurko i włączył głośnik, żeby wszyscy mogli usłyszeć, jak Taylor się wścieka. Coburn powiedział do słuchawki:

- Keane, Ross chce, żebyś wrócił do Iranu.

- Po jaką cholerę?! - wrzasnął Taylor. Coburn zerknął na Perota. Perot potrząsnął głową.

- No, jest kupa roboty, trzeba uporządkować różne sprawy administracyjne...

- Powiedz Perotowi, że nie zamierzam tam wracać z powodu jakichś administracyjnych bzdur!

Sculley zaczął się śmiać.

- Keane - powiedział Coburn - jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać.

- Keane, mówi Ross - odezwał się Perot.

- Och... Hmm... Cześć, Ross.

- Wysłałam cię tam, żebyś zrobił coś bardzo ważne go.

- Aha.

- Rozumiesz, co mówię?

Nastąpiła długa przerwa, a potem Keane powiedział: - Tak jest.

- Dobrze.

- Zaraz wyjeżdżam.

- Która tam jest godzina? - zapytał Perot.

- Siódma rano.

Perot spojrział na swój zegarek. Była północ.

Rozpoczął się rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewięty.

Taylor siedział na brzegu łóżka w hotelowym pokoju we Frankfurcie i rozmyślał o swojej żonie.

Mary przebywała w Pittsburgu z dziećmi, Mike'em i Dawn. Mieszkała u brata Taylora. Taylor zadzwonił do niej z Teheranu przed wyjazdem i powiedział, że wraca do domu. Bardzo się ucieszyła. Zrobili



plany na przyszłość: powrócą do Dallas, wyślą dzieci do szkoły...

Teraz musiał zadzwonić i powiedzieć jej, że jednak nie wraca do domu. Mary przestraszy się.

Do diabła, on sam był przestraszony.

Pomyślał o Teheranie. Nie pracował przy przedsięwzięciu dla Ministerstwa Zdrowia, ale kierował mniejszym zamówieniem - skomputeryzowaniem staroświeckiego, ręcznego systemu księgowości w Banku Omran. Pewnego dnia, jakieś trzy tygodnie temu, przed budynkiem zebrał się tłum - Bank Omran należał do szacha. Taylor odesłał swoich ludzi do domu. On i Glenn Jackson mieli wyjść ostatni. Zaryglowali drzwi i poszli w kierunku północnym. Kiedy skręcili za rogiem na główną ulicę, wpadli prosto w tłum. W tej samej chwili żołnierze otworzyli ogień i rozpoczęli natarcie.

Taylor i Jackson schronili się w bramie. Ktoś otworzył drzwi i wrzasnął na nich, żeby weszli do mieszkania. Weszli - ale zanim ich wybawca zdążył zamknąć drzwi, do środka wepchnęła się czwórka demonstrantów ściganych przez pięciu żołnierzy.

Taylor i Jackson przykleili się do ściany i patrzyli, jak żołnierze biją demonstrantów pałkami i kolbami karabinów. Jednemu z bitych udało się uciec. Miał niemal oddarte dwa palce u ręki; krew zalała całe szklane drzwi. Wydostał się na ulicę, ale zaraz upadł. Pozostałych trzech wywlekli żołnierze. Jeden był cały zakrwawiony, ale przytomny, dwaj pozostali nieprzytomni lub martwi.

Taylor i Jackson zostali tam, dopóki ulica nie opustoszała. Irańczyk, który ich uratował, powtarzał ciągle: „Uciekajcie, póki możecie”.

„A teraz” - myślał Taylor - muszę powiedzieć Mary, że przed chwilą zgodziłem się tam wrócić”.

Żeby zrobić coś bardzo ważne go.

Oczywiście chodziło o Paula i Billa. A jeśli Perot nie mógł o tym mówić przez telefon, widocznie planował jakąś tajną, a może nawet nielegalną akcję.

Właściwie Taylor był zadowolony, mimo że bał się irańskiego motłochu. Przed wyjazdem z Teheranu rozmawiał przez telefon z Emily

Gaylord, żoną Billa. Przysięgł jej, że nie wróci bez Billa. Potem przyszło polecenie z Dallas, że wszyscy oprócz Biggsa i Gallaghery mają wyjechać. Taylor musiał złamać przysiężenie. Teraz otrzymał inne polecenie, więc mimo wszystko dotrzyma słowa danego Emily.

„No cóż - pomyślał - nie mogę się już wycofać. Lepiej zamówię sobie bilet na samolot”. Podniósł słuchawkę telefonu.

\* \* \*

Jay Coburn dobrze pamiętał, kiedy po raz pierwszy zobaczył Perotą w akcji. Nie zapomni tego do końca życia.

Zdarzyło się to w 1971 roku. Coburn pracował w EDS niecałe dwa lata. Mieszkał w Nowym Jorku i zajmował się rekrutowaniem nowych pracowników. Tego roku w małym, katolickim szpitalu przyszedł na świat Scott. Poród przebiegał prawidłowo i z początku Scott wydawał się normalnym, zdrowym dzieckiem.

W dzień po porodzie, kiedy Coburn odwiedził żonę, Liz powiedziała, że tego ranka nie przyniesiono jej Scotta na karmienie. Coburn najpierw nie zwrócił na to uwagi. Po paru minutach weszła jakaś kobieta i powiedziała:

- To są zdjęcia pani dziecka.

- Nie przypominam sobie, żeby robiono jakieś zdjęcia - odparła Liz. Kobieta pokazała jej zdjęcia.

- Nie, to nie jest moje dziecko.

Kobieta przez chwilę wydawała się zmieszana, a potem zawołała:

- Och, prawda, przecież pani dziecko jest chore!

Wówczas po raz pierwszy Coburn i Liz usłyszeli o jakiejś chorobie.

Coburn poszedł zobaczyć jednodniowego Scotta i przeżył okropny wstrząs. Dziecko leżało pod namiotem tlenowym, dysząc ciężko. Było całkiem sine. Lekarze zebrali się przy nim na konsylium.

Liz dostała hysterii, a Coburn zadzwonił do ich domowego lekarza i kazał mu przyjść do szpitala. Potem już tylko czekał.

Coś tu nie pasowało. Jak to możliwe, żeby w szpitalu nie powiedziano matce, że jej nowo narodzone dziecko umiera? Coburn nic nie rozumiał.

Zadzwoił do Dallas i poprosił swojego szefa, Gary'ego Griggsa.

- Gary, sam nie wiem, po co do ciebie dzwonię, ale nie mam pojęcia, co robić. - I wyjaśnił sytuację.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Griggs.

Po chwili w słuchawce rozległ się nieznajomy głos.

- Jay?

- Tak.

- Mówi Ross Perot.

Coburn widział Perota dwa czy trzy razy, ale nigdy nie pracował bezpośrednio z nim. Wątpił, czy Perot w ogóle go pamięta. EDS zatrudniała wówczas ponad tysiąc pracowników.

- Cześć, Ross.

- Słuchaj, Jay, potrzebuję paru informacji. - Perot zaczął zadawać pytania: Jaki jest adres szpitala? Jak się nazywają lekarze? Jaką postawili diagnozę? Ogłupiały Coburn odpowiadał i jednocześnie myślał: „czy Perot w ogóle wie, kim jestem?”

- Zaczekaj chwilę, Jay. - Krótka przerwa. - Połączę cię z doktorem Urschelem, który jest moim przyjacielem i najlepszym kardiochirurgiem w Dallas.

Po chwili Coburn odpowiadał na kolejne pytania lekarza.

- Niech pan nic nie robi - zakończył Urschel. - Porozmawiam z tamtejszymi lekarzami. Niech pan zostanie przy telefonie, żebyśmy nie stracili z panem kontaktu.

- Dobrze, proszę pana - odpowiedział oszołomiony Coburn. Znowu odezwał się Perot.

- Wszystko jasne? Jak się czuje Liz?

„Skąd on u diabła zna imię mojej żony” - zastanawiał się Coburn.

- Nie za dobrze - odpowiedział. - Jest tu nasz lekarz, dał jej środki uspokajające.

Podczas gdy Perot pocieszał Coburna, doktor Urschel poganiał

personel szpitala. Przekonał ich, żeby przenieśli Scotta do Centrum Medycznego Uniwersytetu Nowy Jork. Po chwili Scott i Coburn jechali karetką pogotowia do miasta.

Utknęli w korku w tunelu Midtown.

Coburn wyskoczył z karetki, przebiegł ponad milę do kasy opłat drogowych i przekonał urzędnika, żeby zablokował wszystkie pasma ruchu oprócz tego, na którym stała karetka.

Kiedy dotarli do Centrum Medycznego, przed budynkiem czekało już na nich dziesięć czy piętnaście osób. Wśród nich znajdował się najlepszy na wschodnim wybrzeżu kardiochirurg, który przyleciał z Bostonu w tym czasie, w jakim karetka dojechała na Manhattan.

Scotta pospiesznie wniesiono do środka, a Coburn podał lekarce kopertę ze zdjęciami rentgenowskimi, zabranymi z poprzedniego szpitala. Lekarka zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

- A gdzie reszta?

- To wszystkie - odpowiedział Coburn.

- To są wszystkie zdjęcia?!

Nowe prześwietlenie wykazało, że Scott oprócz wady serca, miał również zapalenie płuc. Najpierw wyleczono zapalenie płuc, a potem operowano wadę serca.

I Scott przeżył. Wyrósł na zdrowego, silnego chłopca, pływał, grał w piłkę i wspinał się na drzewa. A Coburn zrozumiał, za co ludzie szanują Rossa Perota. Upór Perota, jego zwyczaj koncentrowania się wyłącznie na jednej sprawie i ignorowania wszelkich przeszkód w dążeniu do wytkniętego celu miały swoje złe strony. Per ot potrafił ranić uczucia innych bez skrępowań. Dzień czy dwa po aresztowaniu Paula i Billa wszedł do pokoju, kiedy Coburn rozmawiał przez telefon z Lloydem Briggsem w Teheranie, Coburn mówił takim tonem, jakby wydawał polecenia. Perot jednak żywił niezłomne przekonanie, że ludzie z centrali nigdy nie powinni rozkazywać ludziom działającym w terenie, tamci bowiem najlepiej znali sytuację. Perot bezlitośnie zbeształ Coburna w obecności wszystkich osób przebywających w pokoju.

Perot miał również inne wady. Kiedy Coburn pracował w dziale

personalnym, firma przyznawała co roku komuś tytuł „Najlepszego werbownika”. Nazwiska zwycięzców były wyryte na tablicy pamiątkowej. Zwyczaj ten praktykowano przez wiele lat i zdarzało się, że któryś ze zwycięzców porzucał firmę. Perot wymagał wówczas, aby nazwisko dezertera usunięto z tablicy. Coburn uważał to za dziwactwo. No więc, facet odszedł. I co z tego? Kiedyś, w przeszłości zdobył tytuł „Najlepszego werbownika”, więc po co zmieniać historię? To, że ktoś chce pracować gdzie indziej, Perot traktował jednak jako osobistą zniewagę.

Wady Perota wynikały bezpośrednio z jego zalet. Jego wrogi stosunek do ludzi opuszczających firmę, świadczył tylko o głębokiej lojalności wobec pracowników. Szorstki, nierzadko brutalny, swym sposobem bycia podkreślał ogromną energię i zdecydowanie. Dzięki temu powstała EDS. Coburn wybaczał łatwo Perotowi wszelkie wady.

Wystarczyło, że popatrzył na Scotta.

\* \* \*

- Proszę pana - odezwał się w słuchawce głos Sally - dzwoni Henry Kissinger.

Perot ożywił się. Czyżby Kissinger załatwił sprawę z Zahedim w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? A może dzwoni, aby zawiadomić o porażce?

- Ross Perot.

- Łączę z Henrym Kissingerem, proszę zaczekać. Po chwili Perot usłyszał znajomy głęboki głos.

- Halo, Ross?

- Tak. - Perot wstrzymał oddech.

- Otrzymałem wiadomość, że pańscy ludzie będą zwolnieni jutro o dziesiątej rano czasu teherańskiego.

Perot wydał długie westchnienie ulgi.

- Doktorze Kissinger, to najlepsza wiadomość od wielu dni. Nie

wiem, jak panu dziękować.

- Szczegóły zostaną ustalone dzisiaj przez oficjalnych przedstawicieli ambasady amerykańskiej i irańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To tylko formalność, zapewniono mnie, że pańscy ludzie wyjdą na wolność.

- To po prostu wspaniale. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pańską pomoc.

- Nie ma za co.

\* \* \*

W Teheranie była właśnie dziewiąta trzydzieści rano, a w Dallas - północ. Perot siedział w biurze i czekał. Prawie wszyscy poszli do domu, żeby nareszcie wypaść się we własnych łóżkach, uradowani na myśl, że kiedy się obudzą, Paul i Bill będą już na wolności. Perot pozostał w biurze, żeby dopilnować wszystkiego do końca.

W Teheranie Lloyd Briggs czekał w „Bukareszcie”, jeden zaś z irańskich pracowników przebywał w okolicy więzienia. Gdyby Paul i Bill pokazali się, Irańczyk miał zadzwonić do Briggsa, a Briggs - do Perota.

Teraz, gdy kryzys dobiegał końca, Perot miał czas zastanowić się, gdzie popełnił błąd; oto czwartego grudnia, kiedy postanowił ewakuować wszystkich swoich ludzi z Iranu, był za mało stanowczy, pozwolił im ociągać się i zgłaszać sprzeciwy, dopóki nie zrobiło się za późno.

Jednak podstawowym i największym błędem, było otwarcie filii w Iranie. Widział to teraz wyraźnie. Zgadzał się wtedy ze swoimi specjalistami od marketingu oraz z wielu amerykańskimi biznesmenami, że konserwatywny, prozachodni, bogaty w ropę Iran może stanowić wspaniałe możliwości. Perot nie dostrzegał ukrytych napięć, nie wiedział nic o ajatollahu Chomeinim i nie mógł przewidzieć, że pewnego dnia w Stanach dojdzie do władzy prezydent

dość naiwny, żeby uparcie stosować amerykańskie wzorce postępowania w kraju leżącym na Bliskim Wschodzie.

Perot rzucił okiem na zegarek. Przed pół godziną minęła północ. Paul i Bill z pewnością właśnie wychodzą z więzienia.

Dobre nowiny przekazane przez Kissingera potwierdził telefon od Davida Newsona, zastępcy Cyrusa Vance'a w Departamencie Stanu. Paul i Bill wychodzili na wolność w nieodpowiednim momencie. Dzisiaj znowu nadeszły złe wiadomości z Iranu. Bakhtiar, nowy premier szacha, został odrzucony przez Front Narodowy, partię obecnie umiarkowanie opozycyjną. Szach ogłosił, że wybiera się na urlop. Amerykański ambasador William Sullivan doradził rodzinom wszystkich zatrudnionych w Iranie Amerykanów powrót do kraju, ambasady zaś kanadyjskie i brytyjskie poszły za jego przykładem. Ale lotnisko zamknięto z powodu strajku i setki kobiet z dziećmi znalazły się w trudnej sytuacji. Nie dotyczyło to jednak Paula i Billa. Perot jeszcze z czasów kampanii na rzecz jeńców wojennych miał przyjaciół w Pentagonie. Zapewne Paul i Bill przylecą do kraju odrzutowcem wojskowym.

O pierwszej w nocy Perot zadzwonił do Teheranu. Nie było żadnych wiadomości. „No nic - pomyślał - przecież wiadomo, że Irańczycy nie mają poczucia czasu”.

Tak naprawdę kłopot polegał na tym, że EDS nie wręczała łapówek ani w Iranie, ani gdzie indziej. Perot nie cierpiał przekupstwa. Każdy nowy pracownik firmy otrzymywał kodeks postępowania EDS, wydany w postaci dwunastostronicowej książeczki. Perot napisał ją osobiście. „Pamiętajcie - pisał - że prawo federalne oraz prawo większości stanów nie zezwala na dawanie prezentów urzędnikom państwowym w celu uzyskania wpływu na decyzje rządowe. Ponieważ zdarza się, że trudno udowodnić brak takich intencji, nie wolno nigdy dawać pieniędzy, ani żadnych wartościowych przedmiotów urzędnikom państwowym, tak federalnym i stanowym, jak i zagranicznym. Stwierdzenie, że prawo nie zabrania podobnych praktyk, jest niewystarczające. Należy się zawsze głębiej zastanowić nad aspektem moralnym. Czy możesz całkowicie

ufać partnerowi w interesach, postępującemu tak samo, jak ty? Odpowiedź musi brzmieć: TAK". Na ostatniej stronie książeczki znajdował się formularz, który pracownik musiał wypełnić na dowód, że otrzymał i przeczytał kodeks postępowania EDS.

Wówczas gdy EDS rozpoczynała swą działalność w Iranie, purytańskie zasady Perota umocniły się jeszcze bardziej na skutek skandalu Lockheeda. Daniel J. Haughton, prezes Towarzystwa Lotniczego Lockheeda, zeznał przed komisją senacką, że Lockheed, aby sprzedać za granicę swoje samoloty co roku wydawał na łapówki miliony dolarów. To żenujące przedstawienie, jakie Haughton odegrał przed komisją, napełniło Perota niesmakiem. Wijąc się jak piskorz Haughton tłumaczył, że to nie były łapówki, lecz „opłaty za wyświadczone przysługi”. W konsekwencji zgodnie z Międzynarodową Ustawą o Korupcji ustalono, że wręczanie łapówek za granicą jest według prawa Stanów Zjednoczonych przestępstwem.

Perot zadzwonił do Toma Luce'a i kazał mu osobiście dopilnować, żeby EDS nigdy nie wręczała łapówek. Podczas negocjacji z irańskim Ministerstwem Zdrowia Luce naraził się wielu pracownikom EDS, poddając ich natrętnym i drobiazgowym przesłuchaniom, w czasie których powątpiewał w ich dobrą wolę.

Perot nie potrzebował pieniędzy. I tak zarabiał miliony. Nie musiał szukać za granicą łatwych okazji. „Jeżeli za granicą trzeba dawać łapówki, żeby zrobić interes - mówił - to nie będziemy robić tam interesów”.

Swe zasady postępowania miał głęboko zakorzenione. Jego francuscy przodkowie którzy przyjechali do Nowego Orleanu, założyli sieć punktów handlowych wzdłuż wybrzeży Red River. Jego ojciec, Gabriel Ross Perot, handlował bawełną. Było to zajęcie sezonowe, toteż Ross senior spędzał wiele czasu z synem, rozmawiając z nim o interesach. „Nie chodzi o to - mawiał - żeby tylko raz kupić bawełnę od farmera. Musisz traktować go uczciwie, zdobyć jego zaufanie i zaprzyjaźnić się z nim, tak żeby sam chciał sprzedawać ci bawełnę rok po roku. Dopiero wtedy robisz interes”. Łapówki po prostu do tego nie



pasowały.

O pierwszej trzydziści Perot jeszcze raz zadzwonił do biura EDS w Teheranie. Nadal nie było żadnych wiadomości.

- Zadzwonź do więzienia albo pošlij tam kogoś - poleciał Briggsowi. - Dowiedz się, kiedy ich wypuszczą.

Zaczynał się niepokoić.

„Co mam robić, jeśli nic z tego nie wyjdzie? - pomyślał. - Jeżeli złożę kaucję, stracę trzynaście milionów dolarów, zaś Paul i Bill w dalszym ciągu nie będą mogli wyjechać z Iranu. Inne legalne sposoby wydostania ich z więzienia natrafiają na przeszkodę wzniesioną przez irańskich prawników: skoro sprawa jest polityczna, to nie ma żadnego znaczenia, że Paul i Bill są niewinni. Naciski polityczne jednak, jak dotąd nic nie dały. Ani ambasada amerykańska w Teheranie, ani Departament Stanu w Waszyngtonie nie były w stanie pomóc. W dodatku, jeśli Kissinger nic na to nie poradzi, będzie to kres wszelkich nadziei. Co wówczas pozostanie? Przemoc”.

Zadzwonił telefon. Perot porwał za słuchawkę:

- Ross Perot.

- Tu Lloyd Briggs.

- Wypuścili ich?

- Nie.

Zrobiło mu się słabo.

- Co się stało?

- Rozmawialiśmy z więzieniem. Nie otrzymali polecenia, aby zwolnić Paula i Billa.

Perot przymknął oczy. Stało się najgorsze. Nawet Kissinger nie potrafił im pomóc. Westchnął.

- Dziękuję, Lloyd.

- Co robimy dalej?

- Nie wiem - odpowiedział Perot. A jednak wiedział... Pożegnał się z Briggsem i odłożył słuchawkę.

Nie zamierzał przyznać się do klęski. Kolejna zasada jego ojca brzmiała: „dbaj o ludzi, którzy dla ciebie pracują”. Perot jeszcze

pamiętał, gdy w niedzielę całą rodziną jechali dwadzieścia mil samochodem tylko po to, żeby odwiedzić starego Murzyna, który kiedyś kosił im trawnik, upewnić się, że jest zdrowy i ma co jeść. Ojciec Perota zatrudniał czasami ludzi, których nie potrzebował, tylko po to, aby dać im pracę. Rok w rok, samochód Perota zawoził czarnych robotników na jarmark. Każdy z nich dostawał trochę pieniędzy na drobne wydatki oraz wizytówkę Perota na wypadek, gdyby ktoś się czepiał. Perot zapamiętał jednego Murzyna, który pojechał towarowym pociągami do Kalifornii i gdy został aresztowany za włóczęgostwo, pokazał wizytówkę ojca Perota. Szeryf powiedział: „Nie obchodzi mnie, czym jesteś czarnuchem i tak pójdiesz do więzienia”. Zadzwoił jednak do Rossa seniora, ten zaś wysłał przekazem pieniądze na bilet powrotny. „Byłem w Kalifornii i wróciłem” - powiedział ów Murzyn, gdy zjawił się w Texarkanie, Ross senior zaś dał mu tę samą pracę.

Ojciec Perota nie znał się na prawach obywatelskich. Sądził po prostu, że drugiego człowieka trzeba traktować przyzwoicie. To, że miał niezwykle rodziców, Perot zrozumiał dopiero, kiedy dorósł.

Ojciec nigdy nie zostawiłby swoich pracowników w więzieniu. Perot też ich nie zostawi.

Podniósł słuchawkę telefonu.

- Połącz mnie z T. J. Marquezem.

Była druga nad ranem, ale T. J. nie powinien był się dziwić: przecież nieraz Perot budził go w środku nocy. Usłyszał nieco zaszpany głos:

- Halo?

- Tom, sprawa nie wygląda dobrze.

- Dlaczego?

- Nie wypuścili ich. W więzieniu powiedzieli, że nie mają takiego rozkazu.

- Szlag by trafił!

- Tam, w Iranie, jest coraz gorzej. Czy oglądałeś dziennik?

- Jasne.

- A nie przyszło ci do głowy, że już czas na Simonsa?

- Sądzę, że tak.

- Czy masz jego telefon?
- Nie, ale mogę się dowiedzieć.
- To zrób to - polecił Perot.

### 3.

Bull Simons zaczynał wariować.

Zastanawiał się, czy nie podpalić domu. Był to stary drewniany budynek.

Spłonie przecież jak garść patyków i to będzie koniec wszystkiego. Dom ten był dla Simonsa piekłem - jednak takim piekłem, którego Simons nie chciał porzucić, wiązały go z nim bowiem wspomnienia czasów, gdy piekło to było rajem.

To Lucille wybrała to miejsce. Zobaczyła kiedyś ogłoszenie w jakimś czasopiśmie i oboje przylecieli z Fort Bragg w Karolinie Północnej, na Florydę, aby obejrzeć tę posiadłość. W nędznej, brudnej miejscowości Red Bay, na czterdziestoakrowej zalesionej działce stał walący się dom. Było tam jednak spore jezioro z okoniami...

Lucille była zachwycona.

- W 1971 roku Simons powinien był odejść na emeryturę. Przez dziesięć lat był pułkownikiem, akcja zaś w Son Tay stanowiła jego ostatnią szansę awansu na generała. Nie bardzo, wprawdzie pasował do Klubu Generałów: zawsze był oficerem rezerwy, nie ukończył żadnej prestiżowej uczelni w rodzaju West Point, stosował niezbyt konwencjonalne metody i nie potrafił podlizywać się właściwym osobom na przyjęciach w Waszyngtonie. Wiedział za to, że był cholernie dobrym żołnierzem, a jeśli to nie wystarczało - no cóż, widocznie był tylko dobrym żołnierzem. Tak więc odszedł na emeryturę i nigdy tego nie żałował.

Tutaj, w Red Bay, spędził najszcześniejsze lata swego życia. Od początku małżeństwa razem z Lucille znosili okresy rozłąki. Trwały one

nieraz i rok. Tak było, kiedy Simons wyjeżdżał do Wietnamu, Laosu i Korei. Odkąd przeszedł na emeryturę, nie rozstawali się ani na chwilę. Simons zajął się hodowlą świń. Nie znał się wcale na rolnictwie, ale tego, co mu było potrzebne, dowiedział się z książek. Sam wybudował chlewnię. A gdy już rozkręcił hodowlę, przekonał się, że poza karmieniem świń miał niewiele do roboty, spędzał więc czas nad swoją kolekcją broni, liczącą sto pięćdziesiąt egzemplarzy. W końcu otworzył mały warsztat rusznikarski. Naprawiał tam sąsiadom strzelby, a także wyrabiał własną amunicję. Niemal codziennie, on i Lucille wędrowali przez las do jeziora trzymając się za ręce. Czasami łowili razem okonie. Nieraz, wieczorem, po kolacji, Lucille znikwała w sypialni, jak gdyby przygotowywała się na randkę, a potem wychodziła w szlafrocuku, z ciemnymi włosami przewiązanymi czerwoną wstążką. Siadała mu wtedy na kolanach...

Te wspomnienia zawsze poruszały go do głębi. Nawet chłopcy, jakoś wydorośleli w tych szczęśliwych latach. Harry, młodszy, pewnego dnia wrócił do domu i powiedział: „Tato, wpadłem w nałóg, jestem uzależniony od heroiny i kokainy, potrzebuję twojej pomocy”. Simons niewiele wiedział o narkotykach. Raz palił marihuanę w gabinecie lekarskim w Panamie. Swego czasu zrobił swoim chłopcom wykład o narkomanii, ot po prostu żeby im opowiedzieć, jak to jest. O heroinie jednak wiedział tylko tyle, że zabija ludzi. A jednak pomógł Harry’emu, zmuszając go do pracy na świeżym powietrzu przy budowie chlewów. Nie wyleczył go od razu. Harry kilkakrotnie uciekał z domu do miasta, żeby zdobyć działkę, niemniej jednak zawsze wracał. W końcu - przestał jeździć do miasta. Simons w tym okresie bardzo zbliżył się do Harry’ego. Nigdy wszak nie potrafił zaprzyjaźnić się tak z Bruce’em, swym starszym synem. Nie musiał przynajmniej martwić się o tego chłopca. Chłopca? Bruce skończył już trzydziestkę i był równie uparty, jak ojciec. Bruce odkrył Jezusa i był zdecydowany nawrócić całą resztę świata - poczynając od pułkownika Simonsa. Simons po prostu, wyrzucił go z domu. Aczkolwiek inne młodzieńcze pasje Bruce’a - entuzjastycznie przyjmowane - narkotyki lub Cing, czyli powrót do

natury - przeminęły, niemniej jednak Jezus pozostał. W końcu Bruce ustatkował się. Został pastorem niewielkiego kościołka gdzieś w mroźnej północno - wschodniej Kanadzie.

Tak czy inaczej, Simons przestał martwić się o chłopców. Wychował ich tak, jak najlepiej potrafił: na dobre i złe. Obaj byli dorośli i już nie potrzebowali jego troski. On opiekował się Lucille.

Lucille była piękna. Wysoka, posągowo zbudowana kobieta, która uwielbiała nosić wielkie kapelusze. Gdy siedziała za kierownicą ich czarnego „Cadillaka”, wyglądała niezwykle imponująco. Ale tak naprawdę wcale nie była taka. Była łagodna, uległa i kochająca. To ona, potrzebowała w życiu kogoś, kto podjąłby za nią decyzję, komu mogłaby ślepo zaufać. Tego kogoś znalazła w osobie Arta Simonsa. On z kolei, poza nią świata nie widział. Byli już małżeństwem od trzydziestu lat, gdy odszedł na emeryturę. Przez cały ten czas Simons nigdy nie interesował się innymi kobietami. Kiedyś rozdzielał ich tylko jego zawód, wymagał jednak częstych wyjazdów. Teraz to się skończyło. Simons powiedział Lucille:

„Moje życie to ty”.

Spędzili razem siedem cudownych lat. Lucille zmarła na raka 16 marca 1978 roku.

I Bull Simons załamał się zupełnie.

Podobno każdy człowiek ma określony próg wytrzymałości. Simons uważał do tej pory, że akurat jego to nie dotyczy. Teraz - dowiedział się, że nie ma racji. Śmierć Lucille złamała go. Zabił wielu ludzi i wiele razy widział, jak inni umierają, dotąd jednak nie rozumiał znaczenia słowa „śmierć”. Przez trzydzieści siedem lat byli razem - a teraz nagle ona odeszła.

Odtąd życie straciło dla niego sens. Nic nie miało znaczenia. Simons, który skończył sześćdziesiąt lat, nie wiedział teraz, po co ma żyć dalej. Nie dbał o siebie. Żywił się zimnym jedzeniem z puszek i nie przycinał włosów. Karmił swoje świnię - jak w pacierzu - codziennie za piętnaście czwarta, chociaż doskonale wiedział, że nie ma żadnego znaczenia, o której godzinie to robi. Przygarniał bezdomne psy i wkrótce miał w

domu trzynaście kundli, które obgryzały meble i paskudziły na podłogę.

Wiedział, że znajduje się na krawędzi szaleństwa. I tylko żelazna samodyscyplina, która od dawna była jego drugą naturą, utrzymywała go przy zdrowych zmysłach. Kiedy po raz pierwszy wpadł na pomysł, żeby podpalić dom, był wytrącony z równowagi i dokładnie zdawał sobie z tego sprawę. Postanowił, że zaczeka jeszcze rok i zobaczy, jak będzie się wtedy czuł.

Wiedział o tym, że Stanley - jego brat - martwi się o niego. Stan próbował go nakłonić, żeby wziął się w garść. Proponował mu wykłady, namawiał go nawet do wstąpienia do armii izraelskiej. Simons był z pochodzenia Żydem, uważał się jednak za Amerykanina. Nie chciał wyjeżdżać do Izraela. Nie potrafił wziąć się w garść. Mógł tylko żyć z dnia na dzień, jak dotąd.

Nigdy nie potrzebował niczyjej opieki. Po co? Przeciwnie, potrzebował kogoś, kim mógłby się opiekować. Robił to przez całe swoje życie. Opiekował się Lucille, opiekował się swoimi podwładnymi. Nikt nie mógł go wyratować z tego, co czuł, ponieważ to on zawsze ratował innych. Dlatego właśnie mógł pojednać się z Harrym, ale nie potrafił zaprzyjaźnić się z Bruce'm, Harry wpadł w nałóg i przyszedł do niego po ratunek, Bruce natomiast chciał uratować Arta Simonsa, nawracając go na prawdziwą wiarę. Dowodząc operacjami wojskowymi Simons nigdy nie tracił z oczu nadrzędnego celu: przyprowadzić swoich ludzi z powrotem całych i zdrowych. Akcja w Son Tay mogła być wspaniałym ukoronowaniem jego kariery, gdyby tylko w obozie byli jeńcy czekający na ratunek.

I tak naprawdę Bull Simons mógł uratować się tylko wtedy, gdy musiał ratować kogoś innego.

Zdarzyło się to o drugiej w nocy, 2 stycznia 1979 roku. Obudził go telefon.

- Bull Simons? - Głos jakby był znajomy.

- Tak.

- Mówi T. J. Marquez z EDS w Dallas.

Simons szybko skojarzył: EDS, Ross Perot, kampania na rzecz jeńców wojennych, przyjęcie w San Francisco...

- Cześć, Tom - powiedział.

- Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie szkodzi. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Mamy dwóch ludzi uwięzionych w Teheranie. Wygląda na to, że nie będziemy mogli ich wyciągnąć przy użyciu środków konwencjonalnych. Czy zechcesz nam pomóc?

Czy zechce?

- Do diabła, tak - odparł Simons. - Kiedy zaczynamy?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### 1.

Ross Perot wyjechał z EDS i skręcił w lewo, w Forest Lane, potem zaś w prawo na Autostradę Centralną. Jechał do hotelu Hiltona na Central i Mockingbird. Miał właśnie poprosić siedmiu ludzi, aby zaryzykowali swoje życie.

Sculley i Coburn sporządzili właściwą listę. Obaj znajdowali się na pierwszych miejscach. Wytypowali jeszcze pięć osób.

Iluz to amerykańskich prezesów korporacji w dwudziestym wieku poprosiło siedmiu swoich pracowników, aby zorganizowali ucieczkę z więzienia? Zapewne żaden.

Podczas tej nocy Coburn i Sculley zadzwonili do pozostałych pięciu, którzy po swoim pospiesznym wyjeździe z Teheranu przebywali z przyjaciółmi i krewnymi rozproszeni po całych Stanach Zjednoczonych. Każdy z nich usłyszał tylko, że Perot chce się z nim zobaczyć dzisiaj w Dallas. Przywykli już do telefonów o północy oraz nagłych wezwań - to był styl pracy Perota - i zgodzili się przyjechać.

Kiedy przybyli do Dallas, starano się trzymać ich z daleka od centrali EDS i skierowano do hotelu Hiltona. Większość z nich powinna już być na miejscu i czekać na Perota.

Zastanawiał się, jaka będzie ich reakcja, gdy powie im, że chce, aby



wrócili do Teheranu i uwolnili z więzienia Paula i Billa.

Byli dobrymi, lojalnymi wobec niego ludźmi, ale lojalność wobec pracodawcy zazwyczaj nie oznacza konieczności ryzykowania życia. Niektórzy z nich mogą odnieść wrażenie, że cały ten pomysł ratowania Paula i Billa przy użyciu siły jest szaleństwem. Inni mogą pamiętać o swoich żonach i dzieciach i odmówić dla ich dobra. Byłoby to zupełnie zrozumiałe.

„Nie mam prawa prosić ich o to - pomyślał. - Muszę uważać, żeby nie wywierać na nich żadnego nacisku. Żadnych komiwojażerskich sztuczek, Perot - tylko szczerość. Muszą zrozumieć, że mogą swobodnie powiedzieć: „Nie, szefie.

Dziękuję, niech pan na mnie nie liczy” „.. Ilu z nich zgłosi się na ochotnika?

Perot przypuszczał, że jeden z całej piątki.

Gdyby tak się stało, pewnie straciłby kilka dni na zebranie całego zespołu i mogłoby się okazać, że ostatecznie znaleźliby się w nim ludzie, którzy nie znają Teheranu.

A co będzie, jeżeli nikt się nie zgłosi?

Zjechał na parking Hiltona i wyłączył silnik.

\* \* \*

Jay Coburn rozejrzył się wokoło. Oprócz niego znajdowało się w pokoju jeszcze czterech mężczyzn: Pat Sculley, Glenn Jackson, Ralph Boulware i Joe Poche. Dwóch kolejnych było w drodze: Jim Schwebach jechał z Eau Claire w Wisconsin, a Ron Davis z Columbus w stanie Ohio.

To na pewno nie jest „Parszywa Dwunastka”.

W garniturach, białych koszulach, stonowanych krawatach, krótko ostrzyżeni, gładko ogoleni i dobrze odżywieni, wyglądali na tych, kim byli w istocie: zwyczajnych amerykańskich pracowników szczebla kierowniczego. Trudno było sobie wyobrazić ich jako oddział

najemników.

Coburn i Sculley sporządzili osobne listy, ale nazwiska tych pięciu mężczyzn znalazły się na obu. Każdy z nich pracował w Teheranie, większość była w zespole ewakuacyjnym Coburna. Każdy mógł się wykazać doświadczeniem wojskowym bądź jakąś istotną dla operacji umiejętnością. Każdemu z nich Coburn ufał bez reszty.

W czasie kiedy Sculley telefonował do nich wczesnym rankiem tego dnia, Coburn sięgnął do akt personalnych i założył wszystkim teczki. Zgromadził tam, takie dane jak: wiek, wzrost, waga, stan cywilny oraz znajomość Teheranu. Kiedy przyjechali do Dallas, każdy wypełnił następną ankietę, dotyczącą doświadczenia wojskowego, ukończonych szkół wojskowych, przebytych szkoleń strzeleckich i innych specjalnych umiejętności. Teczki te były przeznaczone dla pułkownika Simonsa, który podążał z Red Bay. Ale przed jego przybyciem Perot musiał zadać tym ludziom pytanie, czy w ogóle mają zamiar zgłosić się na ochotnika.

Na spotkanie z Perotem Coburn wynajął trzy sąsiadujące ze sobą pokoje. Tylko środkowy pokój miał być wykorzystany - pokoje po obu stronach zostały wynajęte, aby uniknąć podsłuchu.

Przypominało to film o melodramatycznej, sensacyjnej fabule.

Coburn przyglądał się pozostałym mężczyznom, zastanawiając się, o czym myślą. Jeszcze nie mówił im, o co chodzi, ale pewnie już się tego sami domyślili. Nie mógł zorientować się, o czym myśli Joe Poche. Nikt nigdy nie był w stanie tego dokonać. Niski, spokojny, trzydziestodwuletni Poche doskonale kontrolował swoje emocje. Mówił zawsze cicho i spokojnie, jego twarz zazwyczaj pozbawiona była wyrazu. Przez sześć lat służył w wojsku i brał udział w walkach w Wietnamie jako dowódca baterii haubic. Strzelał zadowolająco prawie z każdej broni palnej, jaka znajdowała się w armii, a w Wietnamie dla zabicia czasu trenował strzelanie z pistoletu kal. 0. 45. Jako pracownik EDS spędził w Teheranie dwa lata. Początkowo projektował system rejestracji - program komputerowy zawierający nazwiska osób, którym przysługiwały zasiłki na opiekę zdrowotną. Później został programistą odpowiedzialnym za wprowadzenie zbiorów danych, które tworzyły

bazę całego systemu. Coburn znał go jako człowieka rozważnego, myślącego logicznie, który nie zgodzi się na udział w żadnym planie czy przedsięwzięciu dopóty, dopóki nie przeanalizuje go dokładnie i nie przemyśli powoli i starannie wszystkich jego konsekwencji. Poczucie humoru i intuicja nie stanowiły jego silnej strony, były nią natomiast: myślenie i cierpliwość.

Ralph Boulware, jeden z dwóch czarnych mężczyzn na liście, był o całe pięć cali wyższy od Pocheo. Miał pucołowatą twarz, małe, rozbiegane oczy i mówił bardzo szybko. Sześć lat spędził w lotnictwie jako technik, zajmując się zespolonymi komputerami pokładowymi i radarowymi systemami bombowców. W Teheranie był zaledwie dziewięć miesięcy. Zaczął tam jako kierownik przygotowania danych i szybko otrzymał awans na stanowisko kierownika centrum. Coburn znał go dobrze i bardzo lubił. W Teheranie popijali razem. Ich dzieci bawiły się wspólnie, a żony zaprzyjaźniły ze sobą. Boulware kochał swoją rodzinę, kochał swoich przyjaciół, kochał swoją pracę, kochał swoje życie. Cieszył się życiem bardziej niż ktokolwiek, kto Coburnowi przychodził na myśl, może z wyjątkiem Rossa Perota. Boulware był również wyjątkowo niezależnie myślącym facetem. Nigdy nie miał najmniejszego problemu z wypowiedaniem tego, co myśli. Podobnie, jak wielu czarnych, którym powiodło się w życiu, był nieco przewrażliwiony i lubił podkreślać, że nie pozwoli sobą komenderować. W Teheranie, podczas święta Ashura, kiedy ostro grał w pokera z Coburnem i Paulem, wszyscy dla bezpieczeństwa nocowali w gmachu, tak jak poprzednio uzgodniono. Wszyscy - poza Boulwarem. Nie było żadnej dyskusji, żadnych oświadczeń - Boulware po prostu poszedł do domu. Kilka dni później uznał, że praca, którą wykonuje w Teheranie, nie rekompensuje podejmowanego przezeń ryzyka i powrócił do Stanów. Nie należał do ludzi, którzy biegną wraz ze stadem tylko dlatego, że stado biegnie. Skoro uznał, że stado podąża w złym kierunku, opuszczał je. Był największym sceptykiem spośród wszystkich członków grupy zebranych w Hiltonie. Jeżeli ktokolwiek z nich miał wyszydzić pomysł odbicia więźniów, to tym kimś mógł się

okazać właśnie Boulware.

Glenn Jackson najmniej z nich wszystkich wyglądał na najemnika. Łagodny, w okularach, nie miał doświadczenia wojskowego, ale był zapalonym myśliwym i świetnym strzelcem. Dobrze znał Teheran, pracował tam bowiem dla Bell Helicopter oraz dla EDS. „Jackson jest zbyt prostolinijnym, szczerym i uczciwym gościem - pomyślał Coburn - żeby go sobie wyobrazić działającego podstępem i przemocą, czego może wymagać odbicie więźniów”. Był baptystą, pozostali - katolikami poza Pochem, który nie zadeklarował żadnego wyznania. Baptysci znani byli z tego, że grzmocili raczej Biblią w pulpit, niż pięścią w zęby. Coburn zastanawiał się, jak Jackson da sobie radę.

Te same wątpliwości miał w stosunku do Pata Sculleya. Sculley miał dobrą opinię wojskową - służył pięć lat i pod koniec w stopniu kapitana został instruktorem komandosów. Nie miał jednak doświadczenia bojowego. Agresywny w interesach, był jednym z inteligentniejszych i bardziej rzutkich przedstawicieli młodej kadry kierowniczej EDS. Podobnie jak Coburn, Sculley był niepoprawnym optymistą, o ile jednak sposób bycia Coburna utemperowała wojna, o tyle Sculley pozostał młodzieńczo naiwny. „Gdy zaczniesz robić się gorąco - zastanawiał się Coburn - czy Sculley okaże się wystarczająco twardy, aby sobie poradzić?”

Z dwóch ludzi, którzy jeszcze nie przybyli, jeden nadawał się do uwalniania więźniów w najwyższym stopniu, drugi zaś - chyba w najmniejszym.

Jim Schwebach wiedział o walce więcej, niż Coburn o komputerach. Spędził w wojsku jedenaście lat, służył w 5 Grupie Sił Specjalnych w Wietnamie, prowadząc ten sam rodzaj działań komandoskich, w których specjalizował się Bull Simons (tajne operacje za liniami nieprzyjaciela). Miał nawet więcej odznaczeń od Coburna. Ponieważ spędził w wojsku tak wiele czasu, mimo swoich trzydziestu pięciu lat zajmował wciąż dosyć niskie stanowisko. Kiedy wyjechał do Teheranu, był inżynierem systemów szkoleniowych, Coburn jednak, widząc, że jest człowiekiem dojrzałym, na którym można polegać, zrobił go na czas

ewakuacji szefem grupy. Przy wzroście zaledwie pięć stóp i sześć cali Schwebach w sposób charakterystyczny dla wielu niskich ludzi chodził wyprostowany, z lekko zadartym podbródkiem i odznaczał się niepokorną bojowością, która dla najmniejszego chłopaka w całej klasie bywa jedynym środkiem obrony. Bez względu na rezultat, Schwebach zawsze pozostanie na pierwszej linii, rwąc się do walki i kombinując, jakby tu dołożyć jeszcze raz. Coburn podziwiał go za to, że powodowany najgłębiej pojmovanym patriotyzmem, zgłosił się ochotniczo do dalszej służby w Wietnamie. „W czasie walki - pomyślał Coburn - Schwebach byłby ostatnim facetem, którego chciałbym wziąć do niewoli. Na miejscu nieprzyjaciela, wolałbym tego małego drania zabić na miejscu. Inaczej ani chybi narobiłby kłopotów”.

Mimo wszystko, zadziorność Schwebacha nie rzucała się w oczy. Wyglądał bardzo zwyczajnie, tak że na dobrą sprawę prawie się go nie zauważało. W Teheranie mieszkał najdalej ze wszystkich na południe, w dzielnicy, w której nie spotykało się innych Amerykanów. Mimo to, często chodził ulicami ubrany w swoją wytartą bluzę wojskową, niebieskie dżinsy i włóczkową czapkę, nie zaczepiany przez nikogo. Potrafił mieszać się z tłumem składającym się z dwóch osób - była to umiejętność, która może być użyteczna przy uwalnianiu więźniów.

Drugim nieobecnym z listy był Ron Davis. Najmłodszy z nich wszystkich, miał trzydzieści lat, był synem biednego, czarnego agenta ubezpieczeniowego i zrobił szybką karierę w białym świecie korporacyjnej Ameryki. Niewielu spośród tych, którzy podobnie jak on zaczęli od produkcji, osiągnęło szczeble kierownicze w pionie obsługi klientów. Perot był z Davisa szczególnie dumny: „Kariera Rona przypomina start rakiety księżycowej” - mawiał. Podczas półtorarocznego pobytu w Teheranie, kiedy pracował pod kierunkiem Keane’a Taylora, nie w ramach kontraktu ministerstwa, lecz przy mniejszym, odrębnym przedsięwzięciu skomputeryzowania, należącego do szacha Banku Omran, Davis nauczył się dobrze *farsi*. Był wesoły, nonszalancki, zawsze trzymały się go dowcipy. Stanowił jakby młodzieńczą wersję Richarda Pryora, lecz bez jego demonstracyjnego

chamstwa. Coburn uważał go za najbardziej szczerego człowieka na liście. Davis bez trudu umiał się otworzyć i mówić o swoich uczuciach czy życiu osobistym.

Z tego też powodu Coburn obawiał się, że jest także najmniej odporny. Z drugiej strony jednak ta zdolność mówienia innym ludziom prawdy o samym sobie mogła być oznaką dużej wewnętrznej siły i pewności siebie.

Bez względu na to, jak wyglądała prawda o emocjonalnej odporności Davisa, fizycznie był twardy jak skała. Nie miał wprawdzie doświadczenia wojskowego, ale za to posiadał czarny pas w karate. Pewnego razu w Teheranie zaatakowało go trzech mężczyzn usiłując obrabować. W ciągu paru sekund rozłożył ich wszystkich. Karate Davisa, podobnie jak zdolność niezwracania na siebie uwagi Schwebacha, mogło przydać się.

Podobnie jak Coburn, wszyscy zebrani w pokoju hotelowym byli po trzydziestce.

Wszyscy byli żonaci.

I wszyscy mieli dzieci.

Drzwi otworzyły się i wszedł Perot.

Ścisnął im ręce mówiąc: „Jak się masz?” i „Cieszę się, że cię widzę!” - w taki sposób, jakby się rzeczywiście cieszył. Wspominał imiona ich żon i dzieci. „Ma podejście do ludzi” - pomyślał Coburn.

- Schwebach i Davis jeszcze nie przyjechali - poinformował Coburn.

- W porządku - odparł Perot siadając. - Zobaczę się z nimi później. Jak tylko przyjadą, przyślij ich do mojego biura.

Milczał przez chwilę.

- Powiem im dokładnie to samo, co mam zamiar powiedzieć wam. Znowu umilkł, jakby zbierając myśli. Potem zmarszczył brwi i zmierzył ich twardym spojrzeniem.

- Potrzebuję ochotników do realizacji przedsięwzięcia, które może wiązać się z narażeniem życia. Na razie nie mogę powiedzieć wam, o co chodzi, choć zapewne możecie się tego domyślać. Chcę, żebyście przez pięć albo dziesięć minut - nie więcej - przemyśleli to, a potem wrócili

pojedynczo i porozmawiali ze mną. Przemyślcie to dobrze. Jeżeli uznacie, z jakiegokolwiek bądź powodu, że nie chcecie się w to mieszać, powiedzcie mi. Nikt poza mną o tym się nie dowie.

Jeżeli zdecydujecie zgłosić się, powiem wam więcej. A teraz idźcie i pomyślcie. Wszyscy wstali i kolejno, jeden po drugim, wyszli z pokoju.

\* \* \*

Mogłem się zabić na Autostradzie Centralnej - pomyślał Joe Poche. Doskonale wiedział, co to było za niebezpieczne przedsięwzięcie: mieli wydostać Billa i Paula z więzienia.

Podejrzewał to już od wpół do trzeciej rano, kiedy w domu teściowej w San Antonio obudził go telefon Pata Sculleya. Sculley, najbardziej nieudolny kłamca na świecie, powiedział: „Ross prosił, żebym zadzwonił do ciebie. Chce, żebyś był rano w Dallas i zaczął pracę nad badaniami w Europie”.

- Do diabła, Pat - odpowiedział Poche. - Dzwonisz do mnie o wpół do trzeciej rano, żeby mi powiedzieć, że Ross chce, żebym pracował nad badaniami w Europie?

- To dość ważne. Musimy wiedzieć, kiedy możesz tu być.

„OK - pomyślał z rezygnacją Poche - pewnie to coś takiego, o czym nie może mówić przez telefon”.

- Mam pierwszy samolot chyba około szóstej albo siódmej rano.

- Wspaniale.

Poche zarezerwował telefonicznie miejsce w samolocie i wrócił do łóżka. Kiedy nastawiał budzik na piątą rano, powiedział żonie:

- Nie wiem, o co tu chodzi, ale bardzo bym chciał, żeby choć raz ktoś był ze mną szczerzy.

W gruncie rzeczy domyślał się, w czym rzecz, i jego podejrzenia potwierdziły się jeszcze tego samego dnia, kiedy Ralph Boulware spotkał go na dworcu autobusowym przy Goit Road i zamiast do EDS, zawiózł go do hotelu, odmawiając po drodze jakichkolwiek wyjaśnień.

Poche lubił przemyśleć wszystko dokładnie i miał dużo czasu, aby rozważyć pomysł odbicia Paula i Billa z więzienia. Sprawiał mu on przyjemność, cholerną przyjemność. Przypominały mu się dawne czasy, kiedy w całym EDS zatrudnionych było zaledwie trzy tysiące osób i kiedy rozmawiali o wyznaniu „Wiary”. Było to ich słowo, obejmujące całe mnóstwo postaw i przekonań co do tego, jak firma powinna postępować z pracownikami. Ostatecznie wszystko sprowadzało się wtedy do jednego: EDS dbało o swoich ludzi. Dopóki pracujesz dla firmy z maksymalnym wysiłkiem, dopóty znajdziesz w niej oparcie na dobre i na złe: kiedy chorujesz, gdy masz osobiste albo rodzinne kłopoty, kiedy wpakujesz się w jakiekolwiek tarapaty... . Zupełnie jak w rodzinie. Poche, chociaż o tym nie mówił, dobrze czuł się w tym układzie. W ogóle niewiele mówił o swoich uczuciach.

EDS zmieniło się od tamtych dni. Kiedy pracuje tu dziesięć, zamiast trzech tysięcy osób, atmosfera rodzinna nie może być tak silna. Nikt już nie mówił o wyznaniu „Wiary”. Ale ona wciąż była, dowodziło tego choćby to spotkanie. I mimo iż jego twarz jak zwykle nic nie wyrażała, Joe Poche był zadowolony. Oczywiście, że pojedą tam i wyciągną przyjaciół z mamra. Pochemu wystarczyło do szczęścia tylko to, że mógł brać w tym udział.

\* \* \*

Wbrew oczekiwaniom Coburna, Ralph Boulware wcale nie wyszydził pomysłu oswobodzenia Paula i Billa. Sceptyczny, niezależny w poglądach Boulware zapalił się do tego, jak wszyscy.

On również domyślił się, o co chodzi i podobnie jak Pochemu, dopomógł mu w tym fakt, że Sculley zupełnie nie potrafił kłamać w przekonujący sposób. Boulware przebywał wraz z rodziną u przyjaciół w Dallas. W Nowy Rok obijał się właściwie bez celu i żona zapytała go, dlaczego nie poszedł do biura. Odpowiedział, że nie ma tam nic do roboty. Nie dała się jednak na to nabrać. Mary Boulware była



jedyną osobą na świecie, która mogła zmusić Ralpha do czegokolwiek. Ostatecznie poszedł więc do biura. Tam natknął się na Sculleya.

- Co się stało? - spytał Boulware.

- Och, nic specjalnego - odparł Sculley.

- Co robisz?

- Przede wszystkim załatwiam rezerwacje biletów lotniczych. Sculley sprawiał dość dziwne wrażenie, Boulware znał go dobrze - w Teheranie jeździli razem rano do pracy - i instynktownie wyczuł, że Sculley nie mówi prawdy.

- Coś jest nie tak - rzekł Boulware. - Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje, Ralph!

- Jak wygląda sprawa Paula i Billa?

- Wykorzystują wszystkie kanały, żeby ich wyciągnąć. Kaucja wynosi trzysta milionów dolarów i musimy dostarczyć te pieniądze...

- Chrzanisz. Tam się rozleciał cały system państwowy i prawny. Nie ma już żadnych kanałów. Co macie zamiar zrobić?

- Słuchaj, nie łam tym sobie głowy.

- Czyż nie macie zamiaru spróbować ich stamtąd wyciągnąć? Sculley nie odpowiedział.

- Słuchaj, możecie na mnie liczyć - powiedział Boulware.

- Co chcesz przez to powiedzieć - „na mnie liczyć”?

- Przecież to oczywiste, że coś zamierzacie. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie bawmy się w ciuciubabkę. Po prostu możecie na mnie liczyć.

- OK.

To była dla niego prosta decyzja. Paul i Bill byli jego przyjaciółmi i równie dobrze to Boulware mógł teraz tkwić w mamrze. A wtedy spodziewałby się, że przyjaciele przybędą wyciągnąć go stamtąd.

Był jeszcze jeden powód. Boulware cholernie lubił Pata Sculleya. Do diabła, wręcz go kochał. Był również bardzo wobec niego opiekuńczy. Według Boulware'a, Sculley na dobrą sprawę nie orientował się, że cały ten świat pełen jest zepsucia, zbrodni i grzechu.

Widział to, co chciał widzieć - kurę w każdym garnku. „Chevroleta” przed każdym domem, świat dobrych mamus i szarlotkę. Jeżeli Sculley miał brać udział w oswobodzeniu więźniów, to Boulware będzie musiał nim zaopiekować się. Może to dość dziwne uczucie, jeżeli wziąć pod uwagę, że dotyczyło człowieka mniej więcej w jego wieku, ale tak właśnie sprawy się miały. Boulware rozmyślał o tym przez cały Nowy Rok i wciąż czuł to samo. Dlatego też wrócił do pokoju hotelowego i powiedział Perotowi te same słowa, co Sculleyowi:

Może pan na mnie liczyć.

\* \* \*

Glenn Jackson nie bał się umrzeć.

Wiedział, co go czeka po śmierci, i nie obawiał się. Jeśli Pan zechce przywołać go do domu swego - cóż, jest gotów.

Niemniej jednak niepokoił się o los swojej rodziny. Dopiero co została ewakuowana z Iranu i przebywała obecnie u jego matki we wschodnim Teksasie. Nie miał jeszcze czasu, aby rozejrzeć się za jakimś mieszkaniem. Jeżeli zaangażuje się w tę sprawę, nie zdoła zwolnić się na trochę dla uporządkowania spraw rodzinnych, wszystko spadnie na Carolyn. Będzie musiała sama odbudować życie całej rodziny w Stanach. Będzie musiała znaleźć dom, załatwić szkołę dla Cheryl, Cindy i Glenna juniora, kupić albo wypożyczyć meble...

Samodzielność nie stanowiła silnej strony Carolyn. Wszystko to nie przyjdzie jej łatwo.

Poza tym, była już na niego wściekła. Tego ranka przyjechała z nim do Dallas, ale Sculley powiedział mu, żeby odesłał ją do domu. Nie pozwolono jej zamieszkać w Hiltonie razem z mężem. To ją rozzłościło.

Ale Paul i Bill również mieli rodziny.

„Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego”. Tak mówiła Biblia, i to dwukrotnie: Księga Kapłańska rozdział 19, wers 18 i Ewangelia według św. Mateusza, rozdział 19, wers 19.

„Gdybym to ja siedział w więzieniu w Teheranie - pomyślał Jackson - z pewnością miłowałbym kogoś, kto by coś dla mnie uczynił”.  
Dlatego też zgłosił się.

\* \* \*

Sculley dokonał wyboru parę dni wcześniej.

Zanim Perot zaczął mówić o udzieleniu pomocy, Sculley już przeprowadził dyskusję na ten temat. Po raz pierwszy sprawa wypłynęła nazajutrz po aresztowaniu Paula i Billa, tego dnia, kiedy Sculley odleciał z Teheranu razem z Joem Pochem i Jimem Schwebachem. Sculley czuł się przygnębiony tym, że zostawiali Paula i Billa, tym bardziej że Teheran w ciągu ostatnich kilku dni stał się miastem niezwykle niebezpiecznym. W dzień Bożego Narodzenia dwóch Afganów, przyłapanych na kradzieży na bazarze, natychmiast powiesili, a próbującemu przepchać się bez kolejki do stacji benzynowej taksówkarzowi, żołnierz wpakował kulę w łeb. A co, jak już zaczną, będą wyprawiać z Amerykanami? Wolał o tym nie myśleć.

W samolocie Sculley siedział obok Jima Schwebacha. Obaj doszli do wniosku, że życie Paula i Billa jest w niebezpieczeństwie. Schwebach, który miał doświadczenie w tajnych, komandoskich akcjach, przyznał mu rację w tym, że kilku zdecydowanych na wszystko Amerykanów mogłoby uwolnić dwóch ludzi z irańskiego więzienia.

\* \* \*

Sculley poczuł się więc przyjemnie zaskoczony, kiedy trzy dni później Perot powiedział: - Myślałem o tym samym.

Sculley wpisał swoje nazwisko na listę.

Nie potrzebował czasu, aby to przemyśleć. Zgłosił się.

Sculley wpisał na listę również Coburn, nie mówiąc mu o tym.

Aż do tej chwili beztroski, żyjący z dnia na dzień Coburn, nawet nie pomyślał o tym, że również mógłby zostać włączony do zespołu. Ale Sculley miał rację - Coburn chciał jechać.

„Lizie to się nie spodoba” - pomyślał.

Westchnął. Ostatnimi czasy jego żonie nie podobało się wiele rzeczy. „Czepia się” - pomyślał. Nie podobało się jej, kiedy był w wojsku, nie podobały się jego zainteresowania, które go jej zabierały, nie podobało jej się, że pracuje dla szefa, który bez wahania dzwonił do niego o każdej porze dnia i nocy, aby zlecić mu jakieś specjalne zadanie.

Nigdy nie żył w taki sposób, w jaki by sobie tego życzyła, i pewnie było już za późno, aby zaczynać wszystko od nowa. Jeżeli teraz pojedzie do Teheranu, żeby ratować Paula i Billa, Liza może go z tego powodu znienawidzi. Ale jeżeli tego nie zrobi, najprawdopodobniej znienawidzi za to sam siebie.

„Przepraszam, Lizo” - pomyślał. Znowu zaczyna się.

\* \* \*

Jim Schwebach przybył późnym popołudniem i usłyszał od Perota to samo. Schwebach miał niezwykle rozwinięte poczucie obowiązku. Swego czasu chciał zostać księdzem, ale dwa lata w seminarium zniechęciło go do zorganizowanych form religijności. Spędził jedenaście lat w wojsku i zgłosił się ochotniczo do dalszej służby w Wietnamie, powodowany również tym samym poczuciem obowiązku. W Azji widział wielu ludzi, którzy wykonywali swoje obowiązki źle, i wiedział, że on swoje spełniał dobrze. „Jeżeli wycofam się z tego – pomyślał - ktoś inny przyjdzie na moje miejsce i na pewno spaprze robotę. W rezultacie, ktoś może stracić rękę, nogę albo i życie. Zostałem wyszkolony i jestem w tym dobry. A poza tym jestem im to winien”.

O uwolnieniu Paula i Billego myślał właściwie tak samo. Był jedynym członkiem proponowanego składu, który robił już coś takiego. Potrzebowali go.

A poza tym lubił to. Miał żyłkę do walki. Być może z powodu swojego niskiego wzrostu. Walka była jego powołaniem, czuł wtedy, że żyje. Zgłosił się bez wahania.

Nie mógł doczekać się, kiedy zaczną.

\* \* \*

Ron Davis, drugi czarny na liście i jednocześnie najmłodszy z nich wszystkich, wahał się.

Przybył do Dallas wczesnym wieczorem i natychmiast przywieziono go do centrali EDS na Forest Lane. Nigdy dotąd nie zetknął się z Perotem, ale rozmawiał z nim przez telefon z Teheranu podczas ewakuacji. Przez kilka dni utrzymywali wtedy łączność telefoniczną między Teheranem i Dallas przez całą dobę. Ktoś musiał spać w Teheranie ze słuchawką przy uchu i obowiązek ten często spadał na Davisa. Pewnego razu sam Perot podszedł do telefonu.

- Ron, wiem, że macie tam paskudną sytuację i w pełni doceniamy, że tam jesteś. Czy mógłbym teraz coś dla ciebie zrobić?

Davis był zaskoczony. Robił to samo, co jego przyjaciele i nie oczekiwał jakichś specjalnych podziękowań. Miał jednak jedno szczególne zmartwienie.

- Moja żona jest w ciąży - powiedział Perotowi. - Gdybym mógł pana prosić, żeby ktoś do niej zadzwonił i powiedział, że u mnie wszystko jest w porządku i będę w domu najszybciej, jak to możliwe. Byłbym panu bardzo zobowiązany. Davis z zaskoczeniem dowiedział się później od Marvy, że Perot nie polecił nikomu, aby do niej zadzwonił - zatelefonował sam.

Teraz, przy pierwszym spotkaniu z Perotem, Davis ponownie był pod jego wrażeniem. Perot serdecznie uścisnął mu rękę i powiedział: - Cześć, Ron, jak się masz? - zupełnie jakby przyjaźnili się od lat.

Mimo to jednak, słuchając przemowy Perota o „zagrożeniu życia”, Davis miał wątpliwości. Chciał wiedzieć coś więcej o operacji

ratunkowej. Z radością dopomógłby Paulowi i Billowi, ale chciał mieć pewność, że cała akcja będzie dobrze, profesjonalnie zorganizowana.

\* \* \*

Perot powiedział mu o Bullu Simonsie i to przeważyło szalę. Perot by z nich po prostu dumny.

Zgłosili się wszyscy, co do jednego.

Siedział w swoim biurze. Na zewnątrz było ciemno. Czekał na Simonsa. Uśmiechnięty Jay Coburn, chłopięcy Pat Sculley, Joe Poche - człowiek z żelaza, Ralph Boulware - wysoki, czarny i sceptyczny, łagodny Glenn Jackson, zabijaka Jim Schwebach, zgrywus Ron Davis.

Co do jednego!

Był z nich dumny i jednocześnie wdzięczny, ciężar bowiem, który brali na swoje barki, bardziej należał do niego, niż do nich.

Pod każdym względem był to udany dzień. Simons natychmiast zgodził się przyjechać i pomóc. Paul Walker, pracownik służby bezpieczeństwa EDS, który przypadkowo służył z Simonsem w Laosie, w środku nocy wskoczył do samolotu i poleciał do Red Bay, żeby zaopiekować się świniami i psami Simonsa. I siedmiu młodych kierowników, którzy natychmiast rzucili wszystko i zgodzili się polecieć do Iranu, aby uwolnić kolegów z więzienia.

Teraz byli za hallem w sali konferencyjnej EDS i czekali na Simonsa, który przyjechał już do Hiltona i poszedł z T. J. Marquezem i Mervem Staufferem na obiad.

Perot myślał o Staufferze. Ten czterdziestoletni ekonomista, krępy, w okularach, był jego prawą ręką. Doskonale przypominał sobie ich pierwsze spotkanie, kiedy rozmawiał ze Staufferem. Merv, podówczas absolwent jakiegoś college'u z Kansas, ubrany w tanią marynarkę i spodnie wyglądał jak chłopak prosto z farmy. A do tego nosił białe skarpetki.

W rozmowie Perot możliwie najłagodniej wytłumaczył mu, że białe

skarpetki nie są właściwym szczegółem garderoby podczas urzędowego spotkania.

Ale skarpetki były jedynym błędem Stauffera. Wywarł na Perocie wrażenie człowieka sprytnego, twardego, dobrze zorganizowanego i przywykłego do ciężkiej pracy.

W miarę upływu lat Perot zorientował się, że Stauffer miał jeszcze więcej zalet. Doskonale orientował się w szczegółach - coś, czego brakowało Perotowi. Nie sposób było zbić go z tropu. I był wspaniałym dyplomatą. Kiedy EDS wywalczyła kontrakt, niejednokrotnie oznaczało to konieczność przejmowania istniejących już działów, opracowania danych wraz z personelem. Często powodowało to komplikacje. Ludzie ze zrozumiałych względów byli drażliwi, nieufni i niechętni. Merv Stauffer - spokojny, uśmiechnięty, skłonny do pomocy, mówiący łagodnie i w równie łagodny sposób stanowczy - umiał ugłaskać ich, jak nikt inny.

Od końca lat sześćdziesiątych pracował bezpośrednio z Perotem. Specjalizował się w podchwytywaniu mglistych, zwariowanych pomysłów, rodzących się w niespokojnej wyobraźni Perota, dokładnym ich analizowaniu, a następnie nadawaniu im kształtu i puszczaniu w ruch całej skomplikowanej maszynerii. Niekiedy dochodził do wniosku, że pomysł jest zły - i kiedy Stauffer tak twierdził - Perot zaczynał myśleć, że być może pomysł istotnie jest zły.

Miał ogromny zapał do pracy. Nawet wśród „pracoholików” z szóstego piętra Stauffer był kimś wyjątkowym. Nie tylko pracował nad tym, co Perot wymarzył sobie w łóżku poprzedniej nocy, ale również nadzorował jego spółkę nieruchomości ziemskich i towarzystwo naftowe, zarządzał jego inwestycjami i majątkiem.

„Najlepszym sposobem udzielenia pomocy Simonsowi - uznał Perot - będzie przydzielenie mu Merva Stauffera”.

Zastanawiał się, czy Simons się zmienił. Od ich ostatniego spotkania minęło wiele lat. To było podczas bankietu. Simons opowiedział mu następującą historię.

W czasie rajdu na Son Tay śmigłowiec Simonsa wylądował w

niewłaściwym miejscu. Był to umocniony obiekt bardzo podobny do obozu jenieckiego, ale odległy od niego o jakieś czterysta jardów. Znajdowały się tam baraki pełne śpiących żołnierzy wroga. Rozbudzeni hałasem i rakietami oświetlającymi wyskakiwali z baraków, rozespani, na wpół ubrani, ale uzbrojeni. Simons stał przed drzwiami z zapalonym cygarem w ustach, obok niego zaś stał potężnie zbudowany sierżant. Ktokolwiek pojawiał się w drzwiach, widząc żarzący się koniuszek cygara Simonsa, stawał niezdecydowany. Wtedy Simons strzelał. Sierżant odrzucał ciało na bok. Potem czekali na następnego.

Perot nie mógł powstrzymać się od pytania:

- Ilu ludzi pan zabił?

- Chyba około siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu - odparł Simons beznamiętnie.

Simons był wspaniałym żołnierzem, ale obecnie hodował świnię. Czy wciąż jest równie sprawny? Miał sześćdziesiąt lat i przeszedł zawał serca jeszcze przed Son Tay. Czy wciąż ma tak samo jasny umysł? Czy wciąż jest tak znakomitym dowódcą?

Będzie chciał pełnej kontroli nad akcją odbicia więźniów, co do tego Perot miał całkowitą pewność. Pułkownik zrobi to po swojemu albo nie zrobi wcale. Perota w zupełności to urzędują. Taki był jego styl: wynajmował do pracy najlepszego z możliwych, a potem pozwalał mu działać. Ale czy w tym Simons wciąż był jeszcze najlepszym na świecie?

Z sekretariatu dobiegły go odgłosy rozmowy. Przyjechali. Wstał. Do pokoju wszedł Simons wraz z T. J. Marquezem i Mervem Staufferem.

- Witam, pułkowniku Simons - powiedział Perot.

Nigdy nie używał przezwiska Simonsa - „Byk” - uważał to za staromodne.

- Hallo, Ross - odparł Simons, ściskając mu dłoń.

Uścisk miał mocny. Ubrany był niedbale, w spodnie koloru khaki. Rozpięty kołnierzyk koszuli pozwalał dostrzec mięśnie jego potężnego karku. Wydawał się starszy: na jego twarzy pojawiło się więcej zmarszczek, w ostrzyżonych na jeża, dłuższych niż kiedykolwiek włosach - więcej siwizny. Robił jednak wrażenie człowieka twardego i w



dobrej formie. Ciągłe miał ten sam głęboki, z lekką chrypką palacza, głos o słabym, lecz wyraźnym akcencie nowojorskim. Pod pachą miał przygotowane przez Coburna teczki z danymi ochotników.

- Usiądźmy - powiedział Perot. - Czy wszyscy są po obiedzie?

- Byliśmy u Dusty'ego - odparł Stauffer.

- Kiedy ostatni raz sprawdzano, czy w tym pokoju nie ma podsłuchu? - wtrącił Simons.

Perot uśmiechnął się. Simons był jeszcze ostry, tak jak się spodziewał. Sprawny fizycznie. Dobrze.

- Nigdy nie sprawdzano, pułkowniku - odpowiedział.

- Od tej pory chcę, żeby każdy pokój był codziennie sprawdzany.

- Dopilnuję tego - oświadczył Stauffer.

- Jeżeli będzie pan czegokolwiek potrzebował, pułkowniku - oznajmił Perot - proszę powiedzieć Mervowi. A teraz porozmawiamy chwilę o interesach. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że zechciał pan tu przybyć, aby nam pomóc i chcielibyśmy zaproponować pewną rekompensatę...

- Niech pan nawet o tym nie myśli - burknął Simons.

- Ale...

- Nie chcę zapłaty za wyciąganie Amerykanów z kłopotów - stwierdził Simons. - Nigdy dotąd nie czerpałem z tego żadnych korzyści i teraz też nie mam zamiaru.

Simons był urażony. Jego niezadowolenie zdawało się wypełniać cały pokój. Perot wycofał się szybko. Simons należał do tych nielicznych ludzi, których traktował z całą ostrożnością.

„Stary wojownik nie zmienił się ani na jotę - pomyślał. - Dobrze”.

- Grupa oczekuje w sali konferencyjnej. Widzę, że ma pan teczki, ale zdaję sobie sprawę, że chciałby pan dokonać własnej oceny tych ludzi. Wszyscy znają Teheran i wszyscy mają albo doświadczenie wojskowe, albo takie umiejętności, które mogą okazać się potrzebne. W końcu jednak ostateczny dobór ludzi należy do pana. Jeżeli z jakiegoś powodu nie spodobają się panu, zdobędziemy innych. Od tej pory dowództwo należy do pana.

Perot miał nadzieję, że Simons nikogo nie odrzuci, ale musiał zostawić mu możliwość wyboru. Simons wstał.

- No to zabierajmy się do pracy. - Wyszedł razem ze Staufferem. T. J. pozostał jeszcze przez chwilę.

- Jego żona zmarła - powiedział cicho.

- Lucille? - Perot nie słyszał o tym. - Strasznie mi przykro.

- Rak.

- Czy wiesz, jak to przyjął? T. J. skinał głową.

- Źle.

Gdy T. J. wyszedł, do pokoju wkroczył dwudziestoletni syn Perota, Ross junior. Dzieci Perota często wpadały do biura, teraz jednak, gdy w sali konferencyjnej odbywała się tajna narada, Perot byłby szczęśliwy, gdyby syn wybrał sobie inny, bardziej odpowiedni moment. Ross junior musiał zobaczyć Simonsa w hallu. Chłopak już go spotykał wcześniej i wiedział, kim był. „Teraz też - pomyślał Perot - z pewnością zorientował się, że jedynym powodem bytności Simonsa tutaj może być próba zorganizowania akcji”.

Ross usiadł i powiedział:

- Cześć, tato. Odwiedziłem babcię.

- To dobrze - odparł Perot. Popatrzył na jedynaka z miłością. Ross junior był wysoki, barczysty, ale szczupły i o wiele przystojniejszy od swojego ojca. Dziewczyny krążyły wokół niego jak ćmy wokół świecy - fakt, że był spadkobiercą olbrzymiej fortuny, był tylko jednym z powodów jego atrakcyjności. Traktował je w taki sam sposób, jak wszystko: z nienagannymi manierami i z dojrzałością ponad swój wiek.

- Słuchaj - rzekł Perot. - Chciałbym, abyśmy doszli w pewnej sprawie do porozumienia. Mam zamiar żyć sto lat, ale gdyby coś mi się stało, proszę cię, żebyś porzucił szkołę, wrócił do domu i zaopiekował się swoją matką i siostrami.

- W porządku - odparł Ross. - Nie martw się tym.

- A gdyby coś przydarzyło się twojej matce - ciągnął Perot - chciałbym, żebyś zamieszkał w domu i wychował swoje siostry. Wiem, że będzie to dla ciebie trudne, ale wolałbym nie powierzać tego obcym

ludziom. Będą potrzebować ciebie. Liczę na to, że zamieszkasz razem z nimi i dopilnujesz ich właściwego wychowania...

- Tato, zrobiłbym tak, nawet gdybyś mi tego nie mówił.

- To dobrze.

Chłopiec wstał. Perot podszedł i odprowadził go do drzwi. Ross niespodziewanie objął ojca i powiedział: - Kocham cię, tato. - Perot ścisnął go mocno. Zdziwił się, gdy zobaczył łzy w oczach syna. Ross wyszedł.

Perot usiadł. Te łzy w końcu nie powinny były go zaskoczyć. Perotowie byli bardzo zżyłą rodziną, Ross zaś był naprawdę wrażliwym chłopcem.

Właściwie Perot nie planował wyjazdu do Teheranu, ale wiedział, że skoro jego ludzie mają tam ryzykować życiem, powinien być w pobliżu. Ross junior również o tym wiedział.

Perot był pewien, że cała rodzina go poprze. Margot mogłaby wprowadzić powiedzieć: „Ryzykujesz życiem dla swoich podwładnych, a co z nami?” Nigdy jednak tak by nie postąpiła. Przez całą kampanię w sprawie jeńców wojennych, kiedy pojechał do Wietnamu i Laosu, kiedy próbował polecieć do Hanoi, kiedy rodzina przebywała pod ścisłą ochroną osobistą, nigdy nie usłyszał żadnej skargi ani pytania: „A co z nami?” Wręcz przeciwnie, zawsze byli z nim, gdy robił to, co uważał za swój obowiązek.

Kiedy tak siedział, rozmyślając, do gabinetu weszła Nancy, jego najstarsza córka.

- Witaj, tatuśku - powiedziała. Zawsze go tak nazywała.

- Małenka Nań ! Chodź tu!

Okrążyła biurko i usiadła mu na kolanach.

Perot uwielbiał Nancy. Drobna, lecz silna osiemnastolatka, blondynka, przypominała matkę. Stanowcza i uparta jak Perot, równie dobrze nadawała się na szefa, jak jej brat.

- Przyszłam pożegnać się. Wracam do Vanderbit.

- Zajrzysz do babci?

- Oczywiście.

- Dobra dziewczynka.

Była pełna wigoru, podniecona perspektywą powrotu do szkoły, nieświadoma napięcia i toczących się tu, na szóstym piętrze, rozmów o śmierci.

- Jak zapatrujesz się na sprawę dodatkowych funduszy? - zapytała.

Perot uśmiechnął się pobłaźliwie i wyciągnął portfel. Jak zwykle nie mógł się jej oprzeć.

Schowała pieniądze, ucisnęła go, cmoknęła w policzek, zeskoczyła mu z kolan i wybiegła z gabinetu, lekceważąc cały świat.

Tym razem, to Perot miał łzy w oczach.

\* \* \*

To przypomina zjazd weteranów - pomyślał Jay Coburn.

Stała teherańska załoga czekała w sali konferencyjnej na Simonsa, wspominając Iran i ewakuację. Ralph Boulware trajkotał z prędkością karabinu maszynowego. Joe Poche siedział w zamyśleniu i wyglądał na równie ożywionego, jak ponury robot. Glenn Jackson mówił coś o karabinach. Jim Schwebach uśmiechał się po swojemu krzywym uśmiezkiem, sprawiając wrażenie, że wie coś, o czym nikt inny nie wie. Pat Sculley opowiadał o rajdzie na Son Tay. Wszyscy już wiedzieli, że mają się spotkać z legendarnym Bykiem Simonsem. Sculley, kiedy był instruktorem komandosów, studiował jego słynny rajd i wiedział wszystko o drobiazgowym rozplanowaniu tej akcji, upartych próbach oraz o tym, że Simons nie utracił ani jednego ze swoich pięćdziesięciu dziewięciu ludzi.

Drzwi otworzyły się i ktoś powiedział: - Wstać! Odsunęli krzesła i wstali.

Coburn rozejrzał się.

Wszedł Ron Davis uśmiechając się od ucha do ucha.

- Niech cię cholera, Davis! - zawołał Coburn i wszyscy roześmiali się, widząc że Ron ich nabrał. Davis obszedł pokój, ściskając wszystkim

ręce.

Taki właśnie był: wieczny zgrywus.

Coburn patrzył na nich i zastanawiał się, czy zmienia się, gdy staną w obliczu niebezpieczeństwa. Walka była czymś przedziwnym. Nie sposób było przewidzieć, jak się zachowają ludzie. Człowiek, którego na przykład uważałeś za najdzielniejszego, załamie się, ten zaś, o którym myślałeś, że ucieknie, będzie twardy jak skała.

Coburn do końca życia nie zapomni, co walka zrobiła z nim samym.

Kryzys przyszedł w kilka miesięcy po przybyciu do Wietnamu. Pilotował śmigłowiec desantowy zwany nagusem, gdyż pozbawiony był jakiegokolwiek uzbrojenia. Sześciokrotnie tego dnia wylatywał ze strefy działań bojowych z kompletem wojska na pokładzie. To był dobry dzień : nie strzelano do niego ani razu.

Podczas siódmego lotu stało się inaczej.

Seria pocisków 12, 75 mm trafiła maszynę i zniszczyła wał napędowy śmigła sterującego.

Gdy wirnik nośny śmigłowca się obraca, kadłub maszyny ma naturalną tendencję do obracania się w tym samym kierunku. Zadaniem śmigła sterującego jest temu przeciwdziałać. Gdy za to śmigło sterujące stanie, śmigłowiec zaczyna wirować.

Natychmiast po starcie, gdy maszyna znajduje się zaledwie kilka stóp nad ziemią, pilot może dać sobie radę bez śmigła sterującego. Po prostu może wylądować, zanim wirowanie nie stanie się zbyt szybkie. Potem, gdy maszyna znajdzie się na wysokości przelotowej i osiągnie już normalną prędkość, opór aerodynamiczny kadłuba jest wystarczająco silny, by zapobiec wpadnięciu w ruch obrotowy. Śmigłowiec Coburna był jednak na wysokości 150 stóp w sytuacji najgorszej z możliwych - leciał już zbyt wysoko, by można było szybko wylądować, ale jeszcze nie dość szybko, by strugi powietrza, opływające kadłub, stabilizowały go.

Zwykle w takich przypadkach można było awaryjnie wyłączyć silnik i lądować za pomocą autorotacji. Coburn znał to z teorii i w szkole pilotów ćwiczył nieraz wszystkie rutynowe czynności. Wykonał je teraz

instynktownie, jednak było już za późno. Maszyna zbyt gwałtownie wpadła w rotację.

Po kilku sekundach był tak oszołomiony, że stracił orientację. Nic nie mógł zrobić, aby osłabić impet zderzenia z ziemią. Śmigłowiec opadł na prawą płożę o czym dowiedział się później) i jedna z łopat wirnika wygięła się w dół pod wpływem uderzenia. Przebiła kadłub i rozwalila głowę drugiemu pilotowi. Facet zgiął na miejscu.

Coburn poczuł zapach paliwa i odpiął pasy. Dopiero gdy poleciał na górę, zorientował się, że wisiał do góry nogami. Wydostał się jednak z maszyny i jedynymi obrażeniami, jakie wtedy odniósł, było kilka pękniętych kręgów szyjnych. Jego mechanik pokładowy również ocalał.

Załoga była przypięta, lecz siedmiu żołnierzy z tyłu - nie. Śmigłowiec nie miał drzwi i siła odśrodkowa, która powstała podczas wirowania maszyny, wyrzuciła ich ze śmigłowca na wysokości ponad stu stóp. Zginęli wszyscy.

Coburn miał wówczas dwadzieścia lat.

Kilka tygodni później, został postrzelony w łydkę, najmniej chronioną część ciała pilota śmigłowca. Siedzi on wprawdzie w opancerzonym fotelu, ale ma nie osłonięte nogi.

Już przedtem był zły, ale w tym momencie wściekł się do ostateczności. Dość miał już występowania w roli celu. Zażądał od dowódcy odkomenderowania go do pilotowania śmigłowca szturmowego, tak by mógł załatwić paru tych gnojków na dole, którzy próbowali go zabić.

I dopiął swego. To był właśnie ten moment, odkąd uśmiechnięty Jay Coburn przekształcił się w opanowanego, pozbawionego emocji żołnierza zawodowego. Nie nawiązał w wojsku żadnych bliskich przyjaźni. Kiedy ktoś w jego jednostce został ranny, wzruszał tylko ramionami i mówił: „Cóż, w końcu za to dostał dodatek frontowy”. Podejrzewał, wprawdzie, że koledzy uważali go za nawiedzonego.

Było mu to zupełnie obojętne. Kiedy pilotował śmigłowce szturmowe, czuł się szczęśliwy. Za każdym razem, gdy zapinał pasy, wiedział, że startuje tylko po to, aby zabijać lub być zabitym. Kiedy

oczyszczał teren przed nacierającą piechotą, zdawał sobie sprawę, że poszkodowanymi będą niewinni cywile, kobiety i dzieci, jednak po prostu przestawał zastanawiać się i otwierał ogień.

Po jedenastu latach, kiedy to wspominał, myślał tylko o jednym: „Byłem bydlakiem”.

Schwebach i Poche, dwóch najcichszych ludzi w tym pokoju, mogłoby go zrozumieć: po prostu byli tam i wiedzieli, jak było. A cóż pozostali? T. Sculley, Boulware, Jackson i Davis. Jeśli akcja zacznie się sypać - pomyślał znowu Coburn - jak ci faceci dadzą sobie radę?

Drzwi otworzyły się i wszedł Simons.

## 2.

Zapadła cisza, gdy Simons stanął za stołem.

„Ależ to wielki sukinsyn” - pomyślał Coburn.

W ślad za Simonsem weszli T. J. Marquez i Merv Stauffer i usiedli przy drzwiach.

Simons rzucił w kąt czarną, plastikową walizeczkę, opadł na krzesło i zapalił niewielkie cygaro.

Był ubrany niedbale, w koszuli bez krawata i luźnych spodniach. Jak na pułkownika włosy miał dość długie. „Wygląda bardziej na farmera, niż na żołnierza” - pomyślał Coburn.

- Jestem pułkownik Simons - oznajmił.

Coburn spodziewał się, że pułkownik oświadczy im: „Jestem tu dowódcą. Słuchajcie mnie i róbcie to, co każe. Oto mój plan”.

Zamiast tego, Simons zaczął zadawać pytania.

Chciał wiedzieć wszystko o Teheranie: o pogodzie, ruchu ulicznym, o tym, z czego zbudowane są budynki, jacy ludzie chodzą po ulicach, ilu jest tam policjantów i jak są uzbrojeni.

Interesował go każdy szczegół. Powiedzieli mu, że poza gliniarzami z drogówki wszyscy policjanci są uzbrojeni. Jak ich odróżnić? Mają białe

czapki. Powiedzieli mu, że są tam taksówki niebieskie i pomarańczowe. Czym się różnią? Niebieskie taksówki mają stałe trasy i stałe taryfy. Pomarańczowe taksówki teoretycznie poruszały się wszędzie, ale zazwyczaj, gdy podjeżdżały do krawężnika, w środku siedzi już pasażer, kierowca zaś pyta: dokąd chce się jechać. Jeżeli kierunek zgadza się z jego trasą, można wsiąść. Należało wtedy zapamiętać sumę wybitą dotychczas i przy wysiadaniu zapłacić różnicę. Zwyczaj ten był stałym źródłem kłótni z taksówkarzami.

Simons zapytał też, w którym miejscu - dokładnie - znajduje się więzienie. Merv Stauffer wyszedł, aby poszukać planu miasta. Jak wyglądają te budynki? Joe Poche i Ron Davis przypomnieli sobie, że przejeżdżali nieraz obok nich. Poche naszkicował je.

Coburn usiadł i przyglądał się Simonsowi. Uzmysłował sobie, że grzebanie w pamięci ludzi było tylko połową tego, o co pułkownikowi chodziło. Od lat sam zajmował się rekrutacją personelu dla EDS i bez trudu rozpoznawał dobrą technikę prowadzenia wywiadu. Simons oceniał każdego człowieka, obserwował jego reakcję, sprawdzał też jego zdrowy rozsądek. Podobnie jak werbownik, zadawał wiele otwartych pytań, po to, by następnie spytać: „Dlaczego?” W ten sposób pozwalał ludziom odkryć się, przechwalać, gadać głupstwa albo okazywać niepokój.

Coburn zastanawiał się też, czy Simons odrzuci któregoś z nich. W pewnej chwili pułkownik zapytał:

- Który z was jest gotów zginąć wykonując to zadanie? Nikt nie odpowiedział.

- W porządku - stwierdził Simons. - Nie wziąłbym nikogo, kto miałby zamiar zginąć.

Dyskusja ciągnęła się godzinami. Simons przerwał ją tuż po północy. Było oczywiste, że wiedzieli o więzieniu zbyt mało, by przystąpić do opracowywania planu uwolnienia. Coburn otrzymał zlecenie zdobycia w ciągu nocy dokładniejszych informacji. W tym celu musiał wykonać kilka telefonów do Teheranu.

- Czy możesz - dodał Simons - wypytać ludzi o więzienie w taki



sposób, by nie zorientowali się, po co ci to potrzebne?

- Będę dyskretny - odrzekł Coburn.

- Musimy znaleźć bezpieczne miejsce, w którym moglibyśmy wszyscy się spotkać. - Simons zwrócił się do Merva Stauffera. - Takie, które nie jest powiązane z EDS.

- Co pan myśli o hotelu?

- Tam są zbyt cienkie ściany. Stauffer zastanawiał się przez chwilę.

- Ross ma mały domek nad jeziorem Grapevine, niedaleko portu lotniczego Dallas - Fort Worth. Przy tej pogodzie nie będzie tam nikogo, kto by chciał pływać lub łowić ryby. Jestem tego pewny.

Simons nie wydawał się przekonany.

- Czy nie byłoby najlepiej - dodał Stauffer - gdyby pojechał pan tam jutro rano i sam wszystko obejrzał?

- Dobra - Simons wstał. - Jak na razie, zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Zaczęli się rozchodzić.

Kiedy wychodzili z pokoju, Simons poprosił Davisa o kilka słów na osobności.

- Nie jesteś wcale taki znowu dobry Davis. Ron Davis spojrzał na Simonsa ze zdziwieniem.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że jesteś dobry? - nacierał Simons. Davisa zatkało. Przez cały ten wieczór pułkownik był uprzejmy, rozsądny, i mówił spokojnie. A teraz zachowywał się, jakby chciał draki. Co się stało?

Ron pomyślał o swoich umiejętnościach i trzech rabusiach, których załatwił w Teheranie. Powiedział jednak tylko: „Nie uważam się za twardego faceta”. Simons zachowywał się tak, jakby tego nie dosłyszał.

- To twoje karate jest diabła warte przeciwko pistoletowi.

- Nie sądzę.

- W tym zespole nie potrzeba żadnych czarnych cwaniaków rwących się do bijatyki.

Davis zaczął orientować się, o co tu chodzi. „Spokojnie” - pomyślał.

- Nie zgłosiłem się dlatego, że chcę walczyć z ludźmi, panie pułkowniku, Ja...

- Tak? To po co zgłosiłeś się?

- Dlatego, że znam Paula i Billa, ich żony i dzieci. I chcę pomóc. Simons skinął głową, pozwalając mu odejść.

- Dobra, zobaczymy się jutro.

Davis zastanawiał się, czy oznacza to, że zdał egzamin.

\* \* \*

Po południu następnego dnia, 3 stycznia 1979 roku, wszyscy spotkali się w letniskowym domku Perota na brzegu jeziora Grapevine.

Jak przewidział Merv Stauffer dwa czy trzy sąsiednie domy sprawiały wrażenie pustych. Dom Perota oddzielało od sąsiadów kilka akrów trudnego, zalesionego terenu, zaś otaczające go trawniki zbiegały aż do samego brzegu jeziora. Był to drewniany, całkiem mały budynek. Nawet hangar, w którym cumowały motorówki Perota, był w końcu większy.

Drzwi domu były zamknięte. Okazało się, że nikt wcześniej nie pomyślał o kluczach. Schwebach otworzył wytrychem zamek w oknie i weszli do środka. Był tam salon, kilka sypialni, kuchnia i łazienka. Całość utrzymana była w błękitno - białej pogodnej tonacji umeblowana skromnie.

Zasiedli w salonie, z mapami, szkicownikami, mazakami i papierosami. Coburn złożył meldunek. W nocy rozmawiał z Majidem i dwoma czy trzema innymi ludźmi z Teheranu. Uzyskanie szczegółowych informacji o więzieniu i udawanie zarazem, iż jest się tylko umiarkowanym tym zainteresowanym było trudne, Jay sądził jednak, że udało się.

Dowiedział się, że więzienie stanowi część zespołu budynków Ministerstwa Sprawiedliwości. Wejście było na tyłach, zaraz zaś za nim było podwórko, oddzielone od ulicy dwunastostopniowym ogrodzeniem z żelaznych prętów. Podwórko było miejscem, gdzie spacerowali więźniowie. Był to najwyraźniej - słaby punkt tego gmachu.

Simons zgodził się z tym. Z meldunku Coburna wynikało, że trzeba było poczekać na moment spaceru, następnie przedostać się przez ogrodzenie, a potem porwać Billa i Paula, przerzucić ich na zewnątrz i wydostać się z Iranu.

Przeszli do szczegółów.

W jaki sposób pokonają ogrodzenie? Użyją drabin, czy staną jeden drugiemu na ramionach?

Postanowili, że podjadą furgonetką i użyją jej dachu jako platformy. Podróżowanie furgonetką, nie zaś samochodem osobowym, miało jeszcze jedną zaletę: podczas jazdy, zarówno tam, jak i z powrotem - nikt nie mógł zajrzeć do środka.

To było ważne.

Ustalono, że Poche, najlepiej znający ulice Teheranu, będzie prowadzić samochód.

Jak postąpią ze strażnikami? Nie mieli zamiaru nikogo zabijać. Nie czuli wrogości ani do zwykłych Irańczyków z ulicy, ani do strażników. W końcu nie było to ich winą, że bezpodstawnie uwięziono Paula i Billa. Gdyby jednak doszło do zabójstwa, powstałby taki alarm, że ucieczka z Iranu stałaby się co najmniej ryzykowna.

Ale przecież strażnicy nie zawahają się przed otwarciem ognia.

Najlepszym sposobem - stwierdził Simons - będzie połączenie zaskoczenia, oszołomienia i szybkości działania.

Będą mieli przewagę zaskoczenia. Przez kilka sekund strażnicy nie zdołają się zorientować, o co chodzi.

Potem jednak będą musieli zrobić coś, co zmusi strażników do szukania osłony. Ogień z broni śrutowej będzie najlepszym wyjściem. Dubeltówka ma duży płomień wylotowy i robi dużo huku, zwłaszcza na ulicy między zabudowaniami.

To spowoduje, że strażnicy, zamiast zaatakować grupę, instynktownie przejdą do obrony. To pozwoli zyskać jeszcze kilka sekund.

Przy należytej szybkości działania, powinno to wystarczyć. Powinno - ale nie musi.

Podczas, gdy plan nabierał rumieńców, pokój wypełniał się kłębamii dymu tytoniowego. Simons siedział i palił swoje małe cygara - jedno po drugim. Słuchał i zadawał pytania, prowadził dyskusję. „To szalenie demokratyczna armia” - pomyślał Coburn. W miarę jak plan coraz bardziej ich wciągał jego przyjaciele zapominali o swoich żonach i dzieciach, hipotekach, kosiarkach do trawy i samochodach. Zapominali także o tym, jak horrendalny był sam pomysł oswobodzenia więźniów. Davis przestał się wygłupiać, Sculley utracił swój chłopięcy wygląd - był już bardziej skupiony i opanowany; Poche - jak zwykle - chciał dyskutować o wszystkim w nieskończoność. Boulware - ten jak zazwyczaj był po prostu sceptyczny. Z popołudnia zrobił się wieczór. Postanowili, że furgonetka wjedzie na chodnik koło żelaznego ogrodzenia. Ten sposób parkowania nie był w Teheranie niczym zaskakującym - powiedzieli Simonsowi. Simons siedzieć będzie na przednim siedzeniu, obok Jima, z dubeltówką, ukrytą pod płaszczem. Po zatrzymaniu samochodu wyskoczy i stanie przed furgonetką. W tym samym momencie przez tylne drzwi samochodu wyjdzie Ralph Boulware, również ze strzelbą ukrytą pod płaszczem.

Do tego momentu nic nie będzie wskazywało na to, że dzieje się coś niezwykłego.

Kiedy Simons i Boulware będą już gotowi do otworzenia ognia osłaniającego, Ron Davis wyjdzie z furgonetki, wejdzie na dach, przejdzie z niego na ogrodzenie, następnie zaś zeskoczy na podwórko. Do wykonania tego zadania wybrano właśnie Davisa, ponieważ był najmłodszy i najbardziej sprawny fizycznie, skok zaś - z wysokości dwunastu stóp - był niewątpliwie trudny.

Coburn przedstawił się przez ogrodzenie za Davisem. Jay być może nie był w najlepszej kondycji, za to Paul i Bill znali go znakomicie. Gdy tylko go ujrzą, domyśla się z pewnością, że przybywa im z pomocą.

Następnie, Boulware opuści drabinę na podwórze. Jeżeli do tej pory będą wystarczająco szybcy, będzie sprzyjać im moment zaskoczenia, w tym momencie jednak strażnicy mogą zareagować. Wówczas Simons i

Boulware wystrzela w powietrze.

Strażnicy padną zapewne plackiem na ziemię, więźniowie, ogarnięci paniką, zaczną biegać w kółko, a uczestnicy akcji zyskają jeszcze kilka sekund.

A co będzie, jeżeli nastąpi kontrakcja na zewnątrz więzienia? - zapytał Simons. - Ze strony policji, żołnierzy, sił rewolucyjnych albo po prostu ogarniętych duchem obywatelskim przechodniów?

Postanowiono, że dwóch ludzi będzie pilnować skrzydeł, po jednym na każdym końcu ulicy. Przyjadą samochodem kilka sekund przed furgonetką. Będą uzbrojeni w pistolety. Ich zadaniem będzie zatrzymać każdego, kto zechciałby przeszkodzić w uwolnieniu więźniów. Wyznaczono do tego Jima Schwebacha i Pata Sculleya. Coburn był pewien, że Schwebach nie zawaha się zastrzelić człowieka w razie potrzeby, Sculley zaś, choć nigdy w życiu do nikogo nie strzelał, w czasie dyskusji był tak opanowany, że Coburn pomyślał, iż będzie on w równym stopniu bezwzględny.

Glenn Jackson będzie prowadził samochód. Myśl o tym, że Glenn, baptysta, strzelałby do ludzi, nawet nikomu nie przyszła do głowy.

W tym samym momencie, w zamieszaniu panującym na podwórzu, Davis zapewni bezpośrednią osłonę, obezwładniając najbliższych strażników, podczas gdy Coburn wyłuska Paula i Billa z tłumu i skieruje ich do drabinki. Potem zeskoczą z ogrodzenia na dach furgonetki, a stamtąd na ziemię, po czym ukryją się w samochodzie. Za nimi podążą Coburn i Davis.

- Hej, to ja ryzykuję najwięcej ze wszystkich - odezwał się Davis. - Do diabła: pierwszy w środku i ostatni na zewnątrz. Najdłużej w akcji...

- Nie marudź - rzucił Boulware. - Co dalej?

Simons wróci na przednie siedzenie furgonetki, Boulware wskoczy do tyłu i zamknie drzwi, Poche zaś odjedzie z maksymalną prędkością.

Jackson zabierze do samochodu Swebacha i Sculleya z ich stanowisk na skrzydłach, po czym pojedzie w ślad za Pochem.

Podczas odwrotu, Boulware będzie mógł strzelać przez tylne okienko furgonetki, Simons zaś - trzymać pod ogniem drogę od przodu.

Natomiast każdym poważniejszym pościgiem zajmą się Sculley i Schwebach, jadący samochodem osobowym.

Następnie, w umówionym miejscu porzuca furgonetkę i przesiada się do kilku wozów. Spotkają się potem w bazie lotniczej Doshen Toppeh, na przedmieściach Teheranu. Stamtąd odleca z Iranu odrzutowcem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych: Perot będzie musiał to jakoś załatwić.

Pod koniec wieczoru mieli już zarys planu nadającego się do realizacji.

Zanim się rozstali Simons uprzedził, aby z nikim nie rozmawiać o akcji: ani ze swoimi żonami, ani nawet między sobą. Każdy z nich będzie musiał wymyśleć sobie dobrą legendę, dlaczego za jakiś tydzień wyjedzie ze Stanów. A poza tym - dodał Simons, patrząc na pełne popielniczki i zaokrąglone brzuchy - każdy z nich powinien opracować własny program ćwiczeń, który poprawi mu kondycję. Oswobodzenie więźniów przestało już być szalonym pomysłem zrodzonym w głowie Rossa Perota. Było po prostu czymś realnym.

\* \* \*

Jay Coburn był jedynym, który na serio podjął próbę wprowadzenia żony w błąd.

Wrócił do Hiltona i zadzwonił do Liz.

- Cześć, kochanie.

- Cześć, Jay! Gdzie jesteś?

- W Paryżu...

Joe Poche również zadzwonił do żony z Hiltona.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Jestem w Dallas.

- Co robisz?

- Pracuję w EDS, oczywiście.

- Joe, EDS w Dallas dzwoniła do mnie, żeby się dowiedzieć, gdzie

jesteś!

Poche zorientował się, że ktoś, nie wtajemniczony w całą akcję, próbował się z nim skontaktować. - Nie pracuję przecież z tymi facetami, tylko bezpośrednio z Rossem. Ktoś zapomniał kogoś powiadomić, ot wszystko.

- A nad czym pracujecie?

- To dotyczy pewnych spraw związanych z Paulem i Billem.

- Och...

Kiedy Boulware wrócił do domu swoich przyjaciół, u których zatrzymała się jego rodzina, jego córki, Stacy Elaine i Kesja Nicole, już spały. - Jak ci poszło? - spytała żona.

„Planowałem ucieczkę z więzienia” - pomyślał Boulware. Ale odpowiedział - W porządku.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- No, ale co robiłeś?

- Nic szczególnego.

- Jak na kogoś, kto robił „nic szczególnego”, byłeś dość zajęty. Dzwoniłam do ciebie dwa albo i trzy razy, odpowiadało mi, że nie potrafią cię znaleźć.

- Byłem i tu, i tam. Hej, wiesz co? Chyba napiłbym się piwa. Mary Boulware była ciepłą, otwartą kobietą, która brzydziła się fałszem. Była też inteligentna. Ale wiedziała także o tym, że Ralph miał ściśle określone poglądy na temat zadań męża i żony. Poglądy te mogły być staroświeckie, ale w tym małżeństwie zdawały egzamin. Jeżeli w jego pracy było coś, o czym nie chciał jej mówić, to cóż, nie będzie mu wierzyć dziury w brzuchu.

- Piwo raz, już podaję - powiedziała.

Jim Schwebach nie próbował oszukać swojej żony, Racheli. Już się domyśliła. Kiedy Schwebach przeprowadził pierwszą rozmowę z Patem Sculleyem, Rachelę zapytała:

- Kto to był?

- Pat Sculley z Dallas. Chcą, żebym do nich przyjechał i popracował nad badaniami w Europie.

Rachela знаła Jima prawie dwadzieścia lat - zaczęli chodzić ze sobą, kiedy on miał szesnaście, a ona osiemnaście lat - i potrafiła czytać w jego myślach.

- Chcą tam wrócić, żeby wyciągnąć tych facetów z więzienia - powiedziała.

- Rachela - oparł Schwebach bez przekonania - przecież wiesz, że jestem już poza tymi sprawami. Nie zajmuję się tym więcej.

- Ale masz się tym zająć...

Pat Sculley nie potrafił przekonywająco kłamać nawet swoim kolegom, a co dopiero swojej żonie. Opowiedział Racheli wszystko.

Ross Perot również powiedział Margot wszystko.

I nawet Simons, który nie miał żony, wierzącej mu dziurę w brzuchu, złamał zasady bezpieczeństwa i opowiedział wszystko swojemu bratu Stanleyowi w New Jersey...

W równym stopniu niemożliwe okazało się utrzymanie w tajemnicy planu oswobodzenia wobec innych członków wyższej kadry kierowniczej EDS. Pierwszym, który domyślił się wszystkiego, był Keane Taylor, były żołnierz piechoty morskiej, wysoki, popędliwy i dobrze ubrany. Perot zawrócił go z Frankfurtu z powrotem do Teheranu.

Od Nowego Roku, kiedy Perot powiedział: „Wysyłam cię tam, żebyś zrobił coś bardzo ważnego”, Taylor był pewien, że przygotowywana jest tajna operacja. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, aby domyślić się, kto ją przygotowuje.

Pewnego dnia, dzwoniąc z Teheranu do Dallas, zapytał o Ralpha Boulware.

- Nie ma go tutaj - usłyszał.

- Kiedy wróci?

- Nie wiemy dokładnie.

Taylor, który źle znosił czyjąś głupotę, podniósł głos:

- No, to dokąd wyjechał?!

- Nie wiemy dokładnie.

- Co to znaczy, że nie wiecie dokładnie?



- Jest na urlopie.

Taylor znał Boulware'a od lat. To właśnie Taylor dał mu sposobność wykazania się na kierowniczym stanowisku. Popijali razem. Wielokrotnie Taylor, strzelając z Ralphem porannego klina rozglądał się wokoło i uzmysławiał sobie, że jest jedynym białym w barze pełnym czarnych. W takie noce doczołgiwali się razem do domu tego, który mieszkał bliżej i witająca ich nieszczęśliwa jedyna żona dzwoniła do drugiej, mówiąc: „W porządku, są tutaj”.

Tak, Taylor znał dobrze Boulware'a i trudno mu było uwierzyć, że Ralph mógłby pojechać na urlop, podczas gdy Paul i Bill wciąż tkwili w mamrze.

Następnego dnia zapytał o Pata Sculleya i otrzymał równie wymijającą odpowiedź.

Boulware i Sculley na urlopie, podczas gdy Paul i Bill są uwięzieni? Bzdura.

Następnego dnia zapytał o Coburna. Ta sama historia.

To zaczęło nabierać sensu: Coburn był z Perotem, kiedy Perot wysyłał Taylora z powrotem do Teheranu. Coburn, szef personelu, główny organizator ewakuacji, byłby najwłaściwszym człowiekiem do przygotowania tajnej operacji.

Taylor i Rich Gallagher, inny pracownik EDS, który przebywał jeszcze w Teheranie, zaczęli sporządzać listę.

Boulware, Sculley, Coburn, Ron Davis, Jim Schwebach i Joe Poche - wszyscy byli „na urlopie”.

Grupa ta miała parę cech wspólnych.

Kiedy Paul Chiapparone przyjechał po raz pierwszy do Teheranu, przekonał się że działania EDS nie były zorganizowane zgodnie z jego wymaganiami. Wszystko było zbyt swobodne, zbyt przypadkowe, zbyt perskie. Nie dotrzymywano terminów kontraktu z ministerstwem. Paul sprowadził z EDS grupę specjalną złożoną z kilku twardych, kutyh na cztery nogi facetów i wspólnie doprowadzili interes do porządku. Taylor sam był jednym z twardzieli Paula. Podobnie Bill Gaylord. I Coburn, i Sculley, Boulware i wszyscy ci, którzy byli obecnie „na

urlopie”.

Był jeszcze jeden wspólny element. Wszyscy byli członkami „teherańskiej rzymskokatolickiej, niedzielnej szkoły pokerowej” EDS. Podobnie jak Paul i Bill, jak sam Taylor, wszyscy byli katolikami, z wyjątkiem Pochego (i Glenna Jacksona, jedyne go członka grupy ratowniczej, którego Taylor nie zdołał rozpoznać).

W każdą niedzielę spotykali się w Misji Katolickiej w Teheranie. Po mszy jechali do domu jednego z nich na przekąskę. I podczas gdy żony szykowały jedzenie, a dzieci bawiły się - mężczyźni grali w pokera.

Nie ma nic lepszego od pokera, aby odkryć prawdziwy charakter mężczyzny. Jeżeli, jak zaczęli podejrzewać Taylor i Gallagher, Perot poprosił Coburną, by zorganizował grupę całkowicie zaufanych ludzi, to na pewno wybrał ich spośród członków szkoły pokerowej.

- Urlop! Niech mi nie gadają głupot! - oznajmił Taylor Gallagherowi.  
- To jest grupa ratownicza.

- Rankiem, 4 stycznia grupa ratownicza wróciła do domku nad jeziorem. Ponownie przeanalizowano cały plan operacji.

Simons z bezbrzeżną cierpliwością omawiał każdy szczegół i zdecydowany był przygotować się na wszelkie możliwe przeszkody, jakie ktokolwiek mógł wymyślić. Bardzo mu w tym pomagał Joe Poche, który niezmordowanie zadawał pytania. Było to nieco męczące - przynajmniej dla Coburny, ale było też niezwykle twórcze i przyczyniło się do ulepszenia scenariusza akcji.

Po pierwsze, Simons był niezadowolony z przyjętej koncepcji osłony skrzydeł grupy. Pomyślał, że Schwebach i Sculley, niscy, choć groźni, po prostu strzelali do każdego, kto spróbuje interweniować, był zbyt prymitywny. Byłoby lepiej, gdyby jakaś dywersja odwróciła uwagę znajdujących się w pobliżu policjantów czy żołnierzy. Schwebach zaproponował podpalenie samochodu na ulicy prowadzącej z więzienia. Simons nie był pewien, czy to wystarczy - chciał wysadzić w powietrze cały budynek. W każdym razie, Schwebachowi powierzono zaprojektowanie bomby zegarowej.

Pomyśleli też o pewnych niewielkich środkach ostrożności, które

mogłyby dopomóc im oszczędzić jedną czy dwie sekundy, kiedy będą najbardziej odsłonięci. Simons wysiadzie z furgonetki w pewnej odległości od więzienia i podejdzie do ogrodzenia. Jeżeli wszystko będzie w porządku, da znak ręką, aby podjechać.

Innym słabym punktem planu było wyjście z furgonetki i wdrapanie się na dach samochodu. Opuszczanie wozu i wspinaczka na dachy pochłaniały bezcenne sekundy. A poza tym, czy Paul i Bill, po tygodniach spędzonych w więzieniu, zdołają wspinać się po drabinie i zeskoczyć na dach furgonetki?

Przedyskutowano wszelkie możliwe rozwiązania - dodatkową drabinę, materace na ziemi, uchwyty na dachu - w końcu jednak wszyscy zaakceptowali pomysł najprostszy: w dachu wytną otwór i tamtędy wyjdą, a potem wrócą do środka. Dla wygody skaczących do tej dziury położy się na podłodze wozu materac, który zamortyzuje lądowanie.

Podczas odwrotu powinni byli zmienić wygląd. Planowali, że w Teheranie będą ubrani w dżinsy i kurtki, zaczynali również zapuszczać brody i wąsy, aby zwracać tam na siebie mniejszą uwagę. W furgonetce natomiast będą mieli garnitury oraz elektryczne maszynki do golenia i przed zamianą miejsc w samochodach, wszyscy ogolą się i zmienią ubrania.

Ralph Boulware, jak zwykle niezależny, nie chciał występować w dżinsach i kurtce. W garniturze, białej koszuli i krawacie czuł się swobodnie, szczególnie w Teheranie, gdzie dobre, zachodnie ubranie było świadectwem przynależności do uprzywilejowanej grupy społecznej. Simons ze spokojem wyraził zgodę. Najważniejsze, stwierdził, aby każdy z nich czuł się dobrze i pewnie podczas przeprowadzania akcji.

W bazie lotniczej Doshen Toppeh, z której mieli zamiar odlecieć odrzutowcem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, były amerykańskie i irańskie samoloty oraz amerykański i irański personel. Amerykanie, oczywiście, będą się ich spodziewać, co będzie jednak, jeśli wartownicy irańscy przy bramie wjazdowej zaczną robić kłopoty?

Postanowili, że wszyscy będą mieli sfalszowane legitymacje wojskowe. Niektóre z żon pracowników EDS pracowały w Teheranie dla wojska i miały jeszcze swoje dokumenty tożsamości. Merv Stauffer zdobędzie taką jedną legitymację na wzór.

Coburn zauważył, że przez cały czas Simons wciąż był w bardzo minorowym nastroju. Palił jedno za drugim swoje cygaro (Boulware powiedział mu: „Nie martw się, że cię zastrzelą, umrzesz na raka płuc!”) i właściwie tylko zadawał pytania. Planowanie miało charakter dyskusji. Wszyscy brali w nim udział, decyzje też podejmowano wspólnie. Coburn zauważył jednak, że pomimo to z każdą chwilą zaczyna coraz bardziej szanować Simonsa. Ten facet był mądry, inteligentny, pracowity i obdarzony wyobraźnią. Miał również poczucie humoru.

Coburn zauważył, że inni również zaczynali dopasowywać się do Simonsa. Jeżeli ktokolwiek zadał głupie pytanie, Simons odpowiadał ostro. W rezultacie, zastanawiali się przed zadaniem pytania i starali się przewidzieć jego reakcję. Tym - sposobem zmuszał ich, aby myśleli tak jak on.

Raz, podczas drugiego dnia pobytu w domku nad jeziorem, odczuli w pełni jego niezadowolenie. Jak można było przewidzieć, rozzłościł go Ron Davis.

Tworzyli wesołą paczkę i Davis był pierwszym komikiem wśród nich. Coburn pochwalał to: śmiech pozwalał zmniejszyć napięcie nerwowe, towarzyszące takiej akcji. Przypuszczał, że Simons podziela jego zdanie. Ale raz Davis przeciągnął strunę.

Simons trzymał pudełko cygar na podłodze obok swojego fotela, w kuchni zaś miał pięć pudełek. Davis, który zaczynał lubić Simonsa i nie robił z tego tajemnicy, powiedział ze szczerą troską: „Pułkowniku, pali pan zbyt dużo cygar, to panu szkodzi”.

Zamiast odpowiedzi - otrzymał „Spojrzenie Simonsa”. Ron jednak zlekceważył ostrzeżenie.

Kilka minut później poszedł do kuchni i schował pięć pudełek cygar w zmywarce do naczyń.

Kiedy Simons skończył pierwsze pudełko, zaczął szukać pozostałych i nie mógł ich znaleźć. Nie mógł pracować bez tytoniu. Kiedy ostatecznie miał już wsiąść do samochodu i pojechać do sklepu, Davis otworzył zmywarę, mówiąc: Pańskie cygara są tutaj.

- No to je sobie zatrzymaj, do cholery! - warknął Simons i odjechał. Gdy wrócił z nowymi pięcioma pudełkami, powiedział do Davisa:

- Te są moje. Trzymaj swoje cholerne łapy z daleka od nich. Davis poczuł się jak dziecko, które postawiono do kąta. Był to pierwszy i ostatni dowcip, jaki zrobił pułkownikowi Simonsowi.

Podczas gdy trwała dyskusja, Jim Schwebach siedział na podłodze i próbował zrobić bombę.

Przemycenie bomby albo nawet tylko jej części składowych przez irańską odprawę celną mogło być jednak niebezpieczne.

- Nie będziemy podejmować takiego ryzyka - oznajmił Simons, w związku z tym Schwebach musiał opracować urządzenie, które dałoby się złożyć z części dostępnych w Teheranie.

Pomysł wysadzenia budynku zarzucono - był zbyt ambitny i mógł pociągnąć za sobą ofiary wśród niewinnych ludzi. Tak więc jako element odwracający uwagę, musiał wystarczyć podpalony samochód. Schwebach wiedział, w jaki sposób sporządzić namiastkę napalmu z benzyny, płatków mydlanych i odrobiny oliwy. Główny problem stanowiły - zegar i zapalnik. W Stanach Zjednoczonych użyłby budzika elektronicznego i modelarskiego silniczka rakietowego, w Teheranie jednak musiał posłużyć się mechanizmami bardziej prymitywnymi.

Schwebacha cieszyło to wyzwanie. Lubiał grzebać się w rozmaitych mechanizmach. Jego hobby stanowił paskudny „Oldsmobile Cutlass”, rocznik 1973, ze zdjętą karoserią, który startował, jak pocisk karabinowy.

Zaczął eksperymentować ze staroświeckim, mechanicznym budzikiem, w którym młoteczek uderzał w dzwonek. Przymocował zapalną fosforową do młoteczka i kawałek papieru ściernego do dzwonka. Zapalnik pocierała o papier ścierny i powodowała zapłon detonatora.

System ten okazał się nieco zawodny: pozostali członkowie grupy kpili i pękali ze śmiechu za każdym razem, gdy zapalka jednak nie zapaliła się.

Ostatecznie Schwebach wybrał ten najstarszy z możliwych mechanizmów czasowych - świecę.

Spalił początkowo świecę, aby ustalić, jak długo to trwa, potem odciął taki jej kawałek, który powinien był spalić się w ciągu piętnastu minut.

Następnie oskrobał główki kilku staroświeckich zapalek fosforowych, sproszkował materiał zapalający i zawinął go w kawałek aluminiowej folii kuchennej. Potem przymocował folię do podstawy świecy. Kiedy świeca wypaliła się do końca, nagrzała folię aluminiową i sproszkowane główki zapalek eksplodowały. Spód foliowego pakietu był cieńszy i dlatego siła eksplozji kierowała się w dół.

Świeca, z tym przymocowanym do podstawy prymitywnym, ale niezawodnym detonatorem, została osadzona w szyjce plastikowego bidonu wielkości piersiówki i wypełnionego zgalaretowaną benzyną.

- Zapalamy świecę i odchodzimy spacerkiem - powiedział Schwebach, kiedy zakończył już swą robotę. - Po piętnastu minutach mamy mały śliczny pożarek.

I uwaga wszystkich policjantów, żołnierzy, rewolucjonistów albo przechodniów, a być może i niektórych strażników więziennych, skupi się na płonącym na ulicy w odległości trzystu jardów od więzienia samochodzie, podczas gdy Ron Davis i Jay Coburn przeskakiwać będą przez płot podwórka więziennego.

Tego dnia wyprowadzili się z Hiltona. Coburn spał w domku nad jeziorem, pozostali zaś uczestnicy akcji zatrzymali się w Airpot Marina, skąd było bliżej do jeziora Grapevine. Wszyscy, oprócz Ralpha Boulware, który uparł się, że będzie jeździł do domu, do rodziny.

Następne cztery dni spędzili na treningach, zakupie wyposażenia i ćwiczeniach strzeleckich, powtarzając elementy planu odbicia więźniów i dalej go doskonaląc.

Strzelby mogli nabyć i w Teheranie, ale jedynym rodzajem amunicji

dozwolonym przez szacha był kaczy śrut. Ponieważ Simons doskonale przerabiał amunicję, postanowili przemycić do Iranu własny śrut.

Kłopot z zamianą drobnego śrutu na gruby polegał na tym, że w mniejszą łuskę mieściło się go stosunkowo mniej. Amunicja taka dawała dużą siłę przebicia, ale niewielki rozrzut. Postanowili użyć śrutu nr 2, który przy strzale raził więcej, niż jednego człowieka, a przy tym miał dostateczną siłę przebicia, aby rozbić przednią szybę ścigającego ich samochodu.

W przypadku, gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót, każdy z członków zespołu miał być uzbrojony w Walthera PPK z kaburą. Merv Stauffer zlecił Bobowi Snyderowi, szefowi służby bezpieczeństwa EDS, a zarazem człowiekowi, który dobrze wiedział, kiedy nie należy zadawać pytań, zakupienie tych Waltherów w sklepie z artykułami sportowymi Raya w Dallas. Do Schwebacha należało wymyślenie sposobu przemytu pistoletów do Iranu.

Stauffer dowiedział się, które z portów lotniczych w Stanach nie przeprowadzają fluoroskopii wysyłanego bagażu. Jednym z nich było lotnisko imienia Kennedy'ego.

Schwebach zakupił dwie walizy Vuittona, głębsze, niż normalne, z wzmocnionymi narożnikami i twardymi bokami. Wraz z Coburnem, Davisem i Jacksonem w stolarni domu Perota w Dallas spróbowali różnych wariantów zamontowania w walizach podwójnego dna.

Schwebach przekonany był, że przy przenoszeniu pistoletów przez irańską kontrolę celną w walizkach z podwójnymi dnami nie napotkają żadnych trudności. „Jeżeli wie się, w jaki sposób pracują celnicy - powiedział - na pewno nie zostanie się zatrzymanym”. Reszta członków grupy nie podzielała jednak tej pewności. W przypadku, gdyby niosącego walizkę zatrzymano i znaleziono pistolety, miał powiedzieć, że walizka nie należy do niego. Wróciłby wtedy do miejsca odbioru bagażu, a tam oczywiście znajdowałaby się identyczna waliza, ale wypełniona osobistymi rzeczami i bez pistoletów.

Kiedy grupa znajdzie się już w Teheranie, mieli porozumieć się telefonicznie z Dallas. Coburn był całkowicie pewien, że Irańczycy

podsluchują rozmowy telefoniczne. Dlatego też opracowano kod, mający zabezpieczyć tajność. Był on dość prosty. GR oznaczało A, GS - B, GT - C i tak dalej, aż do GZ, które oznaczało I. Następnie HA znaczyło J, HB - K, aż do HR, które znaczyło Z. Cyfry od jednego do dziewięciu oznaczone były od IA do II; U oznaczało zero.

Mogli zastosować wprawdzie alfabet wojskowy, w którym A nazywane jest Alfa, B - Bravo, C - Charlie i tak dalej.

Aby zyskać na czasie, kodować miano tylko kluczowe słowa. Zdanie „Jest w EDS” będzie więc brzmiało „Jest w Golf Viktor Hotel Kilo Golf Uniform”. Sporządzono tylko trzy kolejne kopie klucza kodu. Simons dał jedną z nich Mervowi Staufferowi mającemu pełnić rolę skrzynki kontaktowej w Dallas. Dwie pozostałe otrzymali; Jay Coburn i Pat Sculley, którzy - choć nie powiedziano im tego oficjalnie - stali się zastępcami Simonsa. Kod miał zapobiec przypadkowemu przeciekowi spowodowanemu przez rutynowy podsłuch telefoniczny - jednak jako ludzie komputerów, wiedzieli o tym lepiej, niż ktokolwiek inny - że taki prosty kod literowy może zostać złamany przez eksperta w kilka minut.

W celu dodatkowego zabezpieczenia, niektóre popularne słowa były zastępowane przez specjalne grupy kodowe. I tak, Paul był AG, Bill - AH, Ambasada Amerykańska - GC, Teheran zaś AU. Perota nazywano prezesem, pistolety - taśmami, więzienie oznaczało „Centrum Danych”, Kuwejt zaś - „Naftowe Miasto”. Istambuł miał być „Sanatorium”, atak zaś na więzienie - Planem „A”. Wszyscy to musieli zapamiętać. Gdyby kogoś pytano o kod, miał odpowiedzieć, że służy skracaniu wiadomości przesyłanych teleksem. Kodowa nazwa akcji brzmiała „Operacja Hotfoot” - „Na żywo”. Był to pomysł Rona Davisa, skrót tekstu: „Pomóż twym dwóm przyjaciółom w Teheranie „HOTFOOT”. Simons zgodził się na ten kryptonim. „Używano go w wielu akcjach - powiedział - i po raz pierwszy jest użyty we właściwy sposób”.

Atak na więzienie ćwiczyli przynajmniej z setkę razy.

Na terenie otaczającym domek nad jeziorem Grapevine, Schwebach i Davis przybili belkę pomiędzy dwoma drzewami na wysokości dwunastu stóp. Miała zastępować płot więzienny. Merv Stauffer



przyprowadził im furgonetkę pożyczoną od służby bezpieczeństwa EDS.

Raz po razie Simons podchodził do „płotu” i dawał znak ręką. Poche podjeżdżał furgonem i zatrzymywał się. Boulware wyskakiwał z tyłu, Davis wdrapywał się na dach i przesadzał ogrodzenie. - Coburn za nim Boulware wlaził na dach i opuszczał drabinę na „podwórko”. „Paul” i „Bill” - grali ich Schwebach i Sculley, którzy nie musieli próbować swoich ról przy ubezpieczaniu skrzydeł - wchodzili po drabinie i przez płot, za nimi Coburn i na końcu Davis. Wszyscy wskakiwali potem do furgonetki i Poche odjeżdżał pełnym gazem.

Czasami zamieniali się rolami, aby móc dublować się. Ustalili stopień ważności zadań, gdyby któryś z nich odpadł - na skutek zranienia albo z jakiegoś innego powodu - wiedzieli bez namysłu, kto ma zająć czyje miejsce. Schwebach i Sculley odgrywając role Paula i Billa niekiedy udawali chorych i wtedy trzeba było transportować ich po drabinie i przez ogrodzenie.

Wszystkie te próby wykazały, że sprawność fizyczna przynosi istotne korzyści. Davis potrafił wspiąć się tam i z powrotem na płot w półtorej sekundy, dwukrotnie tylko dotykając drabiny. Żaden z nich nie był w stanie powtórzyć tego wyniku nawet w przybliżeniu.

Pewnego razu Davis zrobił to nieco za szybko i wylądował na zmarzniętej ziemi, nadwerężając przy tym ramię. Kontuzja nie była groźna, ale podsunęła Simonsowi pewien pomysł. Davis pojedzie do Teheranu z ręką na temblaku i będzie miał przy sobie woreczek z grochem do ćwiczeń rehabilitacyjnych. W woreczku będzie także śrut nr 2.

Simons rejestrował czas akcji od momentu, w którym furgonetka zatrzyma się przy ogrodzeniu, aż do chwili kiedy ruszy z miejsca. Pod koniec treningu, według jego stopera, przeprowadzali całą akcję w niespełna trzydzieści sekund.

Strzelanie z Waltherów PPK ćwiczyli na strzelnicy publicznej Garland. Szefowi strzelnicy powiedzieli, że są pracownikami służb bezpieczeństwa z całego kraju, odbywającymi kurs w Dallas i zanim

będą mogli wrócić do domów, muszą odbyć praktykę strzelecką. Nie uwierzył im, zwłaszcza kiedy pojawił się tam T. J. Marquez, wyglądający w swoim czarnym płaszczu i kapeluszu na bossa mafijnego z filmu i z bagażnika swojego czarnego „Lincolna” wyciągnął dziesięć Waltherów PPK i pięć tysięcy sztuk amunicji.

Niebawem wszyscy strzelali dobrze, oprócz Davisa. Simons zasugerował, aby strzelał leżąc, bo taką pozycję zajmie na podwórku, i okazało się, że Ron radzi sobie o wiele lepiej.

Na zewnątrz było straszliwie zimno i kiedy tylko nie strzelali, siedzieli wszyscy w małym baraczk, próbując się ogrzać, wszyscy - oprócz Simonsa, który przez cały dzień przebywał na zewnątrz, zupełnie jakby był z kamienia.

Nie był z kamienia. Kiedy pod koniec dnia wsiadł do samochodu Merva Stauffera, powiedział: „Jezu Chryste, ale zimno”.

Zaczął im dogadywać, że są mięczakami. Ciągłe tylko gadają o tym, gdzie mają ochotę pójść coś zjeść i co by zamówili - powiedział. Gdyby on był głodny, otworzyłby puszkę. Śmiał się, kiedy widział, że któryś celebryta drinka. Kiedy on jest spragniony, napełnia kubek wodą i wypija jednym haustem. „Nie po to nalewałem, żeby się temu przyglądać” mówił przy takiej okazji. Zademonstrował im pewnego razu, jak potrafi strzelać - każdy pocisk siedział w środku tarczy. Kiedyś Coburn zobaczył go bez koszuli: muskulatura Simonsa byłaby imponująca nawet u kogoś o dwadzieścia lat młodszego.

Było to całe przedstawienie pod tytułem „Twardy facet”. Co ciekawe jednak, żaden z nich nigdy się z tego nie śmiał. W przypadku Simonsa była to prawda.

\* \* \*

Pewnego wieczoru w domku nad jeziorem pokazał im najlepszy sposób, w jaki można szybko i cicho zabić człowieka.

Zamówił, a Merv Stauffer zakupił dla każdego z nich krótki

obosieczny nóż.

- Wygląda na niewielki - powiedział Davis przyglądając się nożowi.  
- Czy jest wystarczająco długi?

- Owszem. Chyba, że chcesz go naostrzyć, kiedy wyjdzie z drugiej strony - odparł Simons.

Pokazał im dokładnie, w którym miejscu znajduje się nerka. - Jedno pchnięcie - dokładnie tutaj - jest śmiertelne - powiedział, wskazując miejsce na plecach małego Glenna Jacksona.

- Czy nie będzie krzyczał"? - spytał Davis.

- To tak bardzo boli, że nawet nie piśnie.

W czasie pokazu Simonsa wszedł Merv Stauffer i stał teraz z otwartymi ustami w drzwiach, trzymając pod każdym ramieniem papierowe torby od McDonalda. Simons zobaczył go i powiedział:

- Spójrzcie na niego - nie może wydobyć głosu, chociaż jeszcze go nikt nie dziabnął.

Merv roześmiał się i zaczął rozdzielać żywność.

- Wiecie, o co zapytała mnie dziewczyna w zupełnie pustej restauracji McDonalda, kiedy poprosiłem ją o trzydzieści hamburgerów i trzydzieści porcji frytek?

- O co?

- O to, co zawsze. „Na wynos, czy na miejscu?”

\* \* \*

Simons uwielbiał pracować na zamówienia prywatne.

W wojsku, zawsze jednym z największych problemów było zaopatrzenie. Nawet kiedy planował rajd na Son Tay, operację, którą był osobiście zainteresowany sam prezydent, odniósł wrażenie, że musiał wypełnić sześć kwestionariuszy i uzyskać akceptację dwunastu generałów, za każdym razem, kiedy potrzebował nowego ołówka. A potem, kiedy cała papierkowa robota została już wykonana, okazywało się, że przedmiotów tych nie ma na składzie albo że dostarczą je po

czterech miesiącach, a nawet - i to było najgorsze - kiedy zamówiony materiał już był, okazywało się, że jest do niczego. Dwadzieścia dwa procent zamówionych przez niego spłoniek nie odpaliło. Próbował zdobyć celowniki noktowizyjne dla swoich komandosów. Dowiedział się wtedy, że wojsko poświęciło siedemnaście lat na próby opracowania takiego celownika, ale do 1970 roku w armii było zaledwie sześć ręcznie wykonanych prototypów. A potem po prostu wyszukał doskonały celownik noktowizyjny produkcji brytyjskiej, który można było zakupić w Armalite Corporation za 49 dolarów i 50 centów. Te właśnie celowniki wzięli ze sobą do Wietnamu uczestnicy rajdu na Son Tay.

W EDS nie trzeba było wypełniać kwestionariuszy ani uzyskiwać akceptacji, w każdym razie Simons nie musiał tego robić. Informował Merva Stauffera, czego potrzebuje, i Stauffer mu to dostarczał, zazwyczaj tego samego dnia. Poprosił o dziesięć Waltherów PPK oraz dziesięć tysięcy sztuk amunicji i otrzymał je. Dostał wybór kabur, zarówno prawo - jak i leworęcznych tak, aby każdy mógł wybrać sobie taką, z którą czuł się najlepiej. Dostarczono mu zestawy do przeładowywania amunicji śrutowej do dwudziestek, szesnastek i dwunastek, ciepłą odzież dla wszystkich członków grupy, w tym również płaszcze, koszule, skarpety i wełniane kominiarki. Pewnego dnia poprosił o sto tysięcy dolarów gotówką. Dwie godziny później T. J. Marquez przyjechał do domku nad jeziorem z pieniędzmi w kopercie.

Różniło się to od wojska jeszcze pod innymi względami. Jego ludzie nie byli żołnierzami, których można zmusić do posłuszeństwa, ale jednymi z najinteligentniejszych członków młodej kadry kierowniczej Stanów Zjednoczonych. Od samego początku wiedział, że nie może po prostu objąć dowództwa. Musiał pozyskać ich zaufanie.

Ci ludzie posłuchają rozkazu, jeżeli się z nim zgodzą. Jeżeli nie, zaczną dyskutować. Było to jednak dobre w sali konferencyjnej, ale nie do przyjęcia na polu walki.

Byli również wrażliwi. Kiedy po raz pierwszy mówili o podpaleniu samochodu w celu odwrócenia uwagi, któryś z nich zaprotestował, mówiąc, że mogą zostać poszkodowani niewinni przechodnie. Simons

szydził z ich skautowskiej moralności, z tego, że obawiają się stracić swoje odznaki honorowe, do każdego z nich zwracał się per Jack Armstrong - przyrównując ich do bohatera słuchowisk radiowych, który krążył po świecie walcząc ze zbrodnią i przeprowadzając przez ulicę starsze panie, zbyt dobrego, by był prawdziwy.

Mieli także skłonność do zapominania o powadze tego, co robili. Było zawsze sporo żartów i wybryków, zwłaszcza ze strony młodego Rona Davisa. Pewna doza humoru w grupie przydawała się w czasie niebezpiecznej misji, ale od czasu do czasu Simons ostrą uwagą był zmuszony przywoływać ich do porządku.

Przez cały czas dawał im wszystkim okazję do wycofania się. Znowu zawołał do siebie Rona Davisa i zapytał:

- Będziesz pierwszy za ogrodzeniem. Czy nie masz w związku z tym jakichś zastrzeżeń?

- Nie.

- To dobrze, bo w przeciwnym razie nie wziąłbym cię ze sobą. Załóżmy, że Paul i Bill nie podejdą od razu? Załóżmy, iż dojdą do wniosku, że kiedy skierują się w stronę ogrodzenia, zostaną zastrzeleni. Utkniesz tam na widoku strażników. Będziesz w cholernych opałach.

- Tak.

- Jeżeli chodzi o mnie, to mam sześćdziesiątkę i swoje już przeżyłem. Do diabła, nie mam nic do stracenia. Ale ty jesteś młody i Marva jest w ciąży, prawda?

- Tak.

- I jesteś zupełnie pewny, że chcesz brać udział?

- Tak.

Pracował nad nimi wszystkimi. Bezcelowe było mówienie im, że on, mający tyle doświadczenia, wie lepiej. Musieli sami dojść do takiego wniosku. Jego przedstawienie pod tytułem: „Twardy facet” miało na celu wbicie im do głowy, że od tej pory takie rzeczy jak ciepło, jedzenie, picie i martwienie się o niewinnych przechodniów nie będzie zabierało im wiele czasu ani uwagi. Strzelanie i nauka posługiwania się nożem miały również ukryty cel: ostatnią rzeczą, jakiej Simons by pragnął, było

zabicie kogokolwiek w czasie tej akcji. Z drugiej strony jednak nauka zabijania przypominała wszystkim, że uwolnienie więźniów może być sprawą życia i śmierci.

Najważniejszy element jego kampanii psychologicznej stanowiło ciągle ćwiczenie ataku na więzienie. Simons był w stu procentach przekonany, że więzienie nie wygląda dokładnie tak, jak opisał je Coburn i że plan będzie musiał ulec zmianom. Rajd nigdy nie przebiega dokładnie według scenariusza - wiedział o tym najlepiej.

Próby rajdu na Son Tay trwały tygodniami. W bazie lotniczej Eglin na Florydzie wybudowano dokładną kopię obozu jenieckiego z belek dwa na cztery cale i płótna. Tę cholerną makietę trzeba było każdego ranka przed świtem rozmontować i zmontować z powrotem na noc, ponieważ dwa razy na dobę przelatywał nad Florydą radziecki satelita zwiadowczy Kosmos 355. Była to jednak wspaniała sprawa - każde cholerne drzewo i rów w obozie jenieckim Son Tay zostały odtworzone w bazie. I potem, po tych wszystkich próbach, kiedy robili to już na serio, jeden ze śmigłowców, ten właśnie, w którym był Simons, wylądował w niewłaściwym miejscu.

Simons nigdy nie zapomni momentu, w którym okazało się, że pomylił się. Jego śmigłowiec właśnie wystartował po wylądowaniu komandosów. Zaskoczony wietnamski wartownik wyjrzał z okopu i Simons strzelił mu w pierś. Rozpętało to kanonadę, w górę wzbiła się rakietą oświetlająca i Simons widział, że otaczające go budynki wcale nie są zabudowaniami obozu Son Tay. „Wezwij ten cholerny śmigłowiec z powrotem” - krzyknął do radiooperatora. Poleciał sierżantowi, aby natychmiast włączył lampę stroboskopową oznaczającą miejsce lądowania.

Wiedział już gdzie są - czterysta jardów od Son Tay, w umocnionym punkcie, oznaczonym na mapach wywiadowczych jako szkoła. To wcale nie była szkoła. Wszędzie były nieprzyjacielskie wojska. To były koszary i Simons zorientował się, że pomyłka pilota śmigłowca w gruncie rzeczy była szczęśliwą, mógł teraz bowiem przeprowadzić atak uprzedzający i zlikwidować zgrupowanie nieprzyjacielskie, które mogło

zagrozić całej operacji.

Tej właśnie nocy stał przed koszarami i zastrzelił osiemdziesięciu ludzi w gaciach.

Nie, nie zdarzyło się jeszcze, by jakaś operacja przebiegała zgodnie z planem. Sprawność w realizowaniu scenariusza była właściwie tylko celem połowicznym. To, co istotne - a w przypadku ludzi z EDS najważniejsze - było nauczenie się działania zespołowego. Oczywiście byli już znakomitymi „jajogłowymi”. Wystarczyło dać każdemu z nich biuro, sekretarkę i telefon a wspólnie skomputeryzowaliby cały świat. Ale jednak pracować razem - ramię w ramię - to było dla nich coś nowego. Kiedy zaczynali, 3 stycznia, nie potrafiliby wspólnie wiosłować w kajaku. Pięć dni później stanowili już mechanizm.

I to było już wszystko, co mogli zrobić tutaj. W Teksasie.

Teraz powinni zobaczyć, jak naprawdę wygląda to więzienie. Był czas najwyższy, aby wybrać się do Teheranu.

Simons powiedział Staufferowi, że chce ponownie spotkać się z Perotem.

### 3.

W czasie, gdy grupa ratownicza trenowała, prezydent Carter uzyskał ostatnią szansę zapobieżenia krwawej rewolucji w Iranie. I zmarnował ją. Oto jak się to stało...

Ambasador William Sullivan w nocy 4 stycznia z zadowoleniem położył się do łóżka w swych prywatnych apartamentach dużej, chłodnej rezydencji, położonej na terenie ambasady, na rogu alei Roosevelta i Takht-e-Jamshid w Teheranie.

Szef Sullivana, sekretarz stanu Cyrus Vance, przez cały listopad i grudzień zajęty był pertraktacjami w Camp David, teraz jednak powrócił do Waszyngtonu i skoncentrował się na sprawach irańskich. Rzeczywiście, rezultat był widoczny. Skończyło się wahanie i

niezdecydowanie. Depesze z instrukcjami dla Sullivana zaczęły być lapidarne i rzeczowe. I co najważniejsze, Stany Zjednoczone wreszcie przyjęły strategię postępowania w sytuacji kryzysowej - mieli rozmawiać z ajatollahem Chomeinim.

To był pomysł samego Sullivana. Doszedł już całkowicie do przekonania, że szach wkrótce opuści Iran i Chomeini triumfalnie powróci do kraju. Ambasador wierzył, że jego zadaniem będzie utrzymać amerykańsko - irańskie stosunki po zmianie rządu na dotychczasowym poziomie. Dzięki temu, gdy wszystko już się skończy, Iran pozostanie twierdzą wpływów Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Można było tego dokonać, pomagając irańskim siłom zbrojnym utrzymać swoją pozycję i kontynuując amerykańską pomoc wojskową dla każdej nowej władzy.

Sullivan porozumiał się z Vance'em przez specjalną linię telefoniczną i powiedział mu to. Nalegał przy tym, aby Stany Zjednoczone skierowały wysłannika do Paryża, który spotkałby się tam z ajatollahem. Chomeinim - go należy powiadomić, że głównym obiektem zainteresowania Stanów Zjednoczonych jest zachowanie nienaruszalności terytorialnej Iranu i zneutralizowanie wpływów radzieckich, że Amerykanie nie chcą, by doszło w Iranie do walk między wojskiem a rewolucjonistami islamskimi, i że natychmiast, gdy ajatollah będzie u władzy, Stany Zjednoczone zaproponują mu taką samą pomoc wojskową i dostawę broni jak szachowi.

Był to odważny plan. Z pewnością znajdą się tacy, którzy zarzucą Stanom Zjednoczonym, że opuściły przyjaciela. Sullivan był jednak przekonany, że nadeszła pora na zerwanie więzów z szachem i zadbanie o przyszłość.

Ku jego niezmiernej satysfakcji, Vance zgodził się.

Podobnie szach. Znużony, apatyczny i nie mający już ochoty przelewać krwi, aby utrzymać się u władzy, nawet nie okazał niechęci.

Wysłannikiem do ajatollaha Vance mianował Theodora H. Eliota, starszego rangą dyplomate, który pracował jako radca ekonomiczny w Teheranie i mówił płynnie w *farsi*. Sullivan był zachwycony tym



wyborem.

Ted Eliot miał przybyć do Paryża za dwa dni, 6 stycznia.

W jednej z sypialni dla gości w rezydencji ambasadora, generał lotnictwa Robert „Holender” Huyser również udawał się na spoczynek.

Sullivan nie traktował misji Huysera z równym entuzjazmem, jak misji Eliota. Huyser, za czasów Haiga zastępca głównodowodzącego sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Europie, przybył wczoraj, aby przekonać generałów irańskich o konieczności poparcia nowego rządu Bakhtiara w Teheranie. Sullivan znał Huysera. Był on wprawdzie świetnym żołnierzem, ale żadnym dyplomatą. Nie znał języka *farsi* i nie znał Iranu. Jednak, gdyby nawet nadawał się do tego doskonale, jego zadanie byłoby tak samo beznadziejne. Nowy rząd nie zdołał uzyskać poparcia nawet umiarkowanych ugrupowań; Szahpur Bakhtiar został wyrzucony z centrowej Partii Frontu Narodowego tylko za to, że przyjął propozycję szacha i sformował nowy gabinet. W tym samym czasie armia, którą Huyser na próżno usiłował przeciągnąć na stronę Bakhtiara, ciągle traciła na znaczeniu, ponieważ tysiące żołnierzy dezertowało i przyłączało się do zrewoltowanych tłumów ulicznych. Najlepszym rozwiązaniem, na które Huyser mógł obecnie liczyć, było powstrzymanie, choć na krótko, rozpadu armii, aby dać czas Eliotowi na zorganizowanie pokojowego powrotu ajatollaha.

Gdyby to się udało, byłoby wielkim osiągnięciem Sullivana, czymś, z czego każdy dyplomata mógłby być dumny do końca życia. Jego plan mógł umocnić pozycję Stanów Zjednoczonych i ocalić życie wielu ludziom.

Gdy ambasador kładł się spać, tylko jedno zmartwienie nie dawało mu spokoju. Misja Eliota, z którą wiązał tyle nadziei, była planem Departamentu Stanu, identyfikowanego w Waszyngtonie z sekretarzem stanu Vance’em. Natomiast misja Huysera była pomysłem Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Wrogość między Vance’em i Brzezińskim była powszechnie znana. I właśnie w tym momencie Brzeziński, po spotkaniu na szczycie w Gwadelupie, wraz z prezydentem Carterem łowił ryby na morzu w

poblizu Karaibów. Któż mógł wiedzieć, co Brzeziński szeptał prezydentowi do ucha, kiedy tak żeglowali po czystym, błękitnym morzu?

\* \* \*

Wczesnie rano obudził Sullivana telefon.

Z centrum telekomunikacyjnego, znajdującego się w budynku ambasady, dzwonił pełniący dyżur urzędnik. Z Waszyngtonu nadeszła pilna depesza. Być może ambasador zechce natychmiast się z nią zapoznać.

Sullivan wstał i pełen złych przeczuc przeszedł trawnikiem do ambasady. Depesza informowała, że misja Eliota została odwołana.

Decyzję tę podjął prezydent. Sullivan był proszony o niekomentowanie zmiany planów. Został poinstruowany, aby poinformować szacha, że rząd Stanów Zjednoczonych nie ma zamiaru rozpoczynać rozmów z ajatollahem Chomeinim. Sullivan był załamany.

Był to koniec amerykańskich wpływów w Iranie. Oznaczało to również, że sam Sullivan utracił swą szansę zapisania się w pamięci jako ambasador, który zapobiegł krwawej wojnie domowej.

Wysłał do Vance'a gniewną depeszę, w której stwierdził, że prezydent popełnił wielki błąd i powinien rozważyć swą decyzję ponownie.

Wrócił do łóżka, ale nie mógł już zasnąć.

Z porannej, kolejnej depeszy wynikało, że decyzja prezydenta została utrzymana w mocy.

Sullivan znużony pojechał do pałacu na wzgórzu, aby porozmawiać z szachem.

Tego ranka szach sprawiał wrażenie napiętego i wymizerowanego. Usiadł wraz z Sullivanem do nieodzownej filiżanki herbaty. Potem Sullivan powiedział mu, że prezydent Carter odwołał misję Eliota.

Szach był przygnębiony.

- Ale dlaczego ją odwołał? - zapytał, poruszony. - Nie wiem - odpowiedział Sullivan.

- W jaki więc sposób mają zamiar wywrzeć wpływ na tych ludzi, jeżeli nawet nie chcą z nimi rozmawiać?

- Nie wiem.

- Cóż więc Waszyngton zamierza teraz zrobić? - zapytał szach unosząc ręce w geście rozpaczy.

- Nie wiem - odrzekł Sullivan.

#### 4.

- Ross, to idiotyzm - powiedział głośno Tom Luce. - Zniszczysz firmę i siebie samego.

Perot popatrzył na prawnika. Siedzieli w gabinecie Perota. Drzwi były zamknięte.

Luce nie był pierwszym, który mu to mówił. W tym tygodniu, podczas gdy wiadomości rozprzestrzeniały się po szóstym piętrze, kilku dyrektorów naczelnych Perota przyszło do niego, aby powiedzieć mu, że operacja ratunkowa jest pomysłem niebezpiecznym i szaleńczym oraz że powinien z niej zrezygnować.

„Przestańcie się tym przejmować - powiedział im Perot. - Zajmijcie się tym, co do was należy”.

Luce był w charakterystyczny dla siebie sposób krzykliwy. Z agresywnym wyrazem twarzy, zachowując się jak na sali sądowej, argumentował tak, jakby słuchała go ława przysięgłych.

- Mogę ci tylko wyjaśnić sytuację prawną, ale muszę powiedzieć, że ta operacja ratunkowa może stworzyć jeszcze więcej problemów i to o wiele gorszych, niż obecne. Do diabła, Ross, czy mam sporządzić spis przepisów prawnych, które masz zamiar złamać?!

- Spróbuj - rzekł Perot.

- Będziesz miał grupę najemników, a to jest nielegalne tu, w Stanach,

w Iranie i w każdym kraju, przez który grupa ta będzie przejeżdżać. W każdym razie będą winni przestępstw kryminalnych i w rezultacie możesz mieć w więzieniu dziesięciu ludzi zamiast dwóch.

Jest jednak coś znacznie gorszego. Twoi ludzie znajdą się w o wiele gorszej sytuacji, niż żołnierze na polu walki - prawa międzynarodowe i Konwencja Genewska, które chronią wojskowych w mundurach, nie obejmują takiego prywatnego oddziału.

Jeżeli ich schwytają w Iranie... Ross, rozstrzelają ich! Jeżeli zostaną zatrzymani w jakimkolwiek kraju, który ma z Iranem układ o ekstradycji, zostaną odesłani do Iranu i rozstrzelani. Wtedy zamiast dwóch niewinnych pracowników w więzieniu, będziesz miał ośmiu winnych i martwych.

I jeżeli się to zdarzy, rodziny zabitych mogą wystąpić przeciwko tobie. To zrozumiałe, cała ta sprawa bowiem będzie wyglądać idiotycznie. Wdowy wystąpią przed amerykańskimi sądami o ogromne odszkodowania, które mogą doprowadzić firmę do bankructwa. Pomyśl o dziesięciu tysiącach ludzi, którzy zostaną bez pracy, jeżeli to nastąpi. Pomyśl o sobie, Ross, przecież mogą cię oskarżyć o przestępstwa kryminalne i wpakować do więzienia!

- Jestem ci wdzięczny za poradę, Tom - odparł spokojnie Perot.

- To wszystko do ciebie nie dociera, co? - Luce wytrzeszczył na niego oczy.

- Oczywiście, że dociera - Perot uśmiechnął się. - Ale jeżeli będziesz szedł przez życie martwiąc się o wszystko, co się może złego zdarzyć, to wkrótce dojdiesz do wniosku, że najlepiej nic nie robić.

\* \* \*

Rzecz w tym, że Perot wiedział coś, o czym Luce nie miał pojęcia: Perot był szczęściarzem.

Przez całe swoje życie był szczęściarzem.

Jako dwunastoletni chłopiec rozwoził gazety w biednej, czarnej

dzielnicy w Texarkanie. „Texarcana Gazette” kosztowała wówczas dwadzieścia pięć centów na tydzień i w niedziele, kiedy zbierał pieniądze, miał pod koniec dnia czterdzieści lub pięćdziesiąt dolarów ćwierć dolarówkami w kieszeni. I każdej niedzieli, gdzieś po drodze, jakiś biedak, który minionej <sup>ż</sup>nocy przepił w barze całą tygodniówkę, mógł spróbować odebrać mu pieniądze. Dlatego żaden inny chłopak nie chciał dostarczać gazet w tej części miasta. Ross jednak nigdy nie bał się. Był konno, napady nigdy nie były przeprowadzane w zbyt zdecydowany sposób. Miał szczęście - nigdy nie stracił pieniędzy.

Powtórnie szczęście Perota dało znać o sobie, kiedy przyjęto go Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Zgłoszenia musiały być poparte przez senatora lub kongresmena, ale rodzina Perotów nie miała takich wymaganych znajomości.

W każdym razie młody Ross nigdy nie widział morza - najdalszym miejscem, do którego dojechał, było Dallas oddalone o 180 mil. Ale w Texarkanie był młody człowiek o nazwisku Josh Morris junior, który był w Annapolis, opowiedział Rossowi o Akademii i Ross zakochał się w marynarce wojennej, nie widząc nawet okrętu na oczy. Pisał więc do senatorów błagając o poparcie. Udało mu się, podobnie jak zawsze później w życiu, bo był zbyt głupi, aby wiedzieć, że to niemożliwe.

Dopiero po wielu latach dowiedział się, jak do tego doszło. Otóż pewnego dnia w 1949 roku senator W. Lee O'Daniel porządkował swoje biurko. Jego kadencja dobiegła końca i nie kandydował ponownie. Sekretarz powiedział mu:

- Senatorze, mamy nie wykorzystane skierowanie do Akademii Marynarki Wojennej.

- Czy ktoś się ubiega o nie? - spytał senator.

- Cóż, jest ten chłopak z Texarkany, który od lat próbuje...

- Daj mu je - stwierdził senator.

Kiedy Perot słyszał tę historię, okazało się, że jego nazwisko nie padło ani razu w czasie tej rozmowy.

I znów miał szczęście, kiedy w odpowiednim momencie założył EDS. Jako sprzedawca w IBM zorientował się, że klienci nie robią

najlepszego użytku z urządzeń, które im sprzedaje. Opracowanie danych było nową i wyspecjalizowaną umiejętnością. Banki były dobre w bankowości, agencje ubezpieczeniowe w ubezpieczeniach, producenci - w produkowaniu, komputerowcy zaś - byli dobrzy w opracowywaniu danych. Klient nie chciał urządzenia, chciał szybkiej, taniej informacji, którą mogło ono mu dostarczyć. Ale pomimo to klient zbyt często tracił zbyt wiele czasu, organizując swój nowy dział opracowania danych i ucząc się zastosowania aparatury. W tej sytuacji komputer przysparzał mu tylko kłopotów i wydatków, zamiast ich oszczędzać. Pomysł Perota polegał na sprzedawaniu kompletu - pełnego działu opracowania danych wraz z aparaturą, oprogramowaniem i personelem. Klient musiał jedynie powiedzieć zwyczajnie i po prostu, jakiej informacji potrzebuje, i EDS dostarczała mu wszystkiego. I wtedy mógł zajmować się tym, w czym był dobry - bankowością, ubezpieczeniami albo produkcją.

IBM odrzuciło pomysł Perota. Była to dobra koncepcja, ale przynosiła zbyt małe zyski. Z każdego dolara wydanego na opracowanie danych osiemdziesiąt centów szło na oprzyrządowanie, a tylko dwadzieścia centów na programy, które miał zamiar sprzedawać Perot. IBM nie miało ochoty uganiać się za drobniakami. Wtedy Perot podjął tysiąc dolarów ze swoich oszczędności i zaczął na własną rękę. W ciągu dziesięciu lat proporcje ulegały zmianie, aż wreszcie oprogramowanie zaczęło pochłaniać siedemdziesiąt centów z każdego dolara włożonego w opracowanie danych, Ross zaś o własnych siłach doszedł do pozycji jednego z najbogatszych ludzi na świecie.

Prezes IBM, Tom Watson, spotkał pewnego dnia Perota w restauracji i zapytał:

- Chciałbym się dowiedzieć tylko jednego, Ross. Czy przewidziałeś, że proporcje te ulegną zmianie?

- Nie - odpowiedział Perot. - Wydawało mi się wtedy, że dwadzieścia centów będzie przyzwoitym zyskiem.

Tak, miał szczęście, ale musiał mu dawać pole do popisu. Nie wystarczało siedzieć w kącie i być ostrożnym. Nigdy nie będzie się

miało szansy zostać szczęściarzem, jeżeli nie podejmie się ryzyka. Przez całe swoje życie Perot podejmował ryzyko.

Tak się zdarzyło, że tym razem było owo największe. Do gabinetu wszedł Merv Stauffer.

- Jesteś gotów? - zapytał.

- Tak.

Perot wstał i obaj mężczyźni wyszli z biura. Zjechali windą i wsiedli do samochodu Stauffera - nowiutkiego, czterodrzwiowego „Lincolna Versailles”. Perot przeczytał wizytówkę na tablicy przyrządowej. „Merv i Helen Staufferowie”. Wnętrze samochodu cuchnęło cygarami Simonsa.

- Czeka na ciebie - rzekł Merv.

- Dobrze.

Towarzystwo naftowe Perota, Petrus, mieściło się tuż obok, w następnym domu przy Forest Lane. Merv zawiózł już tam Simonsa, a teraz przyjechał po Perota. Potem odwiezie Perota do EDS i wróci po Simonsa. Było to konieczne ze względu na zachowanie tajemnicy - możliwie jak najmniej osób powinno było widzieć Perota i Simonsa razem.

W ciągu ostatnich sześciu dni, w czasie których Simons i jego grupa robili swoje nad jeziorem Grapevine, perspektywy prawnego rozwikłania problemu Paula i Billa zmniejszyły się. Kissinger, po tym jak nie udało mu się z Ardeshirem Zahedim, nie był w stanie przyjąć z jakąkolwiek pomocą. Prawnik Tom Luce wydzwaniał bez przerwy do każdego z dwudziestu czterech kongresmenów z Teksasu, obu teksańskich senatorów i w ogóle do każdego w Waszyngtonie, kto tylko mógł odebrać jego telefon. Wszyscy oni jednak ograniczali się wyłącznie do rozmów z Departamentem Stanu, aby dowiedzieć się, co słychać w tej sprawie i wszystkie te ich działania kończyły się na biurku Henry’ego Prechta.

Dyrektor działu finansowego EDS, Tom Walter, wciąż nie mógł znaleźć banku, który wystawiłby list kredytowy na 12 750 000 dolarów. Jak wyjaśnił to Perotowi, problem polegał na tym, że zgodnie z amerykańskimi przepisami prawnymi, każda osoba, czy też

przedsiębiorstwo mogli oprotestować list kredytowy, jeżeli istniał dowód, że został on podpisany pod przymusem, na przykład z powodu szantażu lub kidnapingu. Banki uważały uwięzienie Paula i Billa za klasyczny przykład wymuszenia i wiedziały, że EDS mogła wystąpić przed amerykańskim sądem ze stwierdzeniem, że list kredytowy jest nieważny, a pieniądze nie powinny zostać wypłacone. Teoretycznie wprowadzie nie miałoby to znaczenia, ponieważ w tym czasie Paul i Bill byliby już w domu i amerykański bank mógłby po prostu - i to całkowicie legalnie - odmówić uznania listu kredytowego w momencie, kiedy zostałby on przedstawiony do realizacji przez rząd irański. Jednakże większość banków amerykańskich udzieliła Iranowi poważnych pożyczek, obawiały się więc, że Irańczycy mogliby zastosować środki odwetowe, potrącając tę sumę ze swoich zadłużeń. Walter wciąż poszukiwał dużego banku, który nie prowadziłby interesów z Iranem.

Tak więc operacja „Hotfoot” była wciąż, niestety, najlepszą stawką Perota.

Perot wysiadł z samochodu Stauffera na parkingu i wszedł do budynku towarzystwa naftowego.

Simons czekał na niego w niewielkim gabinecie, zarezerwowanym wyłącznie dla Perota. Zjadał orzeszki ziemne i słuchał przenośnego radia. Perot domyślił się, że orzeszki były jego lunchem, radio zaś miało zagłuszyć podsłuch, który mógł znajdować się w pokoju.

Uścisnęli sobie dłonie. Perot spostrzegł, że Simons zapuścił brodę.

- Jak leci? - zapytał.

- Są dobrzy - odparł Simons. - Zaczynają być coraz bardziej zgrani.

- Zdaje pan sobie sprawę - stwierdził Perot - że może pan odrzucić każdego członka grupy, jeżeli uzna go pan za nieodpowiedniego.

Parę dni wcześniej Perot zaproponował, aby dołączyć do grupy człowieka, który znał Teheran i miał znakomitą opinię wojskową. Po krótkiej rozmowie Simons odrzucił go jednak, mówiąc: „Ten facet wierzy w te pierdoły, które mówi”. Obecnie Perot zastanawiał się, czy Simons w okresie treningów znalazł coś, co mogłoby zdyskwalifikować



któregoś z członków grupy.

- To pan - ciągnął dalej - dowodzi akcją i...

- Nie ma potrzeby - odpowiedział Simons. - Nie chcę nikogo odrzucać.

- Roześmiał się cicho. - Jest to na pewno najbardziej inteligentna drużyna, z jaką kiedykolwiek pracowałem. Stwarza to oczywiście pewne problemy, ponieważ uważają, że rozkazy należy przedyskutować, a nie słuchać i wykonywać. Ale już się uczą, jak w razie potrzeby wyłączać te swoje maszynki do myślenia. Powiedziałem im bardzo wyraźnie, że w pewnym momencie tej zabawy kończą się dyskusje i zaczyna ślepe posłuszeństwo.

- W takim razie - uśmiechnął się Perot - udało się panu zrobić więcej przez sześć dni, niż mnie przez szesnaście lat.

- Nie mamy już nic do roboty w Dallas - stwierdził Simons. - Naszym kolejnym ruchem jest dotarcie do Iranu.

Perot skinął głową. Możliwe, że była to ostatnia szansa, by odwołać operację „Hotfoot”. Gdy opuszczą Dallas, może nie mieć z nimi łączności, tym samym więc wyjdą spod jego kontroli. Kości zostaną rzucone.

Ross, to idiotyzm. Zniszczysz firmę i zniszczysz samego siebie.

Do diabła, Ross, czy mam sporządzić spis przepisów prawnych, które masz zamiar złamać?!

Zamiast dwóch niewinnych pracowników w więzieniu, będziesz miał ośmiu winnych i martwych.

Cóż, jest ten chłopak z Texarkany, który próbuje od lat...

- Kiedy chce pan wyruszyć? - zapytał Simonsa.

- Jutro.

- Powodzenia - rzekł Perot.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### 1.

Podczas gdy Simons rozmawiał z Perotem w Dallas, Pat Sculley, najbardziej nieudolny kłamca na świecie, był w Istambule i próbował okpić przebiegłego Turka.

Mr Fish był właścicielem jednoosobowego biura podróży, które Merv Stauffer i T. J. Marquez „odkryli” w czasie grudniowej ewakuacji. Wynajęli go, aby zajął się sprawami ewakuowanych w czasie ich postoju w Istambule, okazało się przy tym, że Mr Fish dokonał cudów. Zakwaterował ich wszystkich w hotelu Sheraton i zorganizował autobusy z portu lotniczego do hotelu. Kiedy przyjechali na miejsce, czekał na nich posiłek. Pozostawili go na lotnisku, aby odebrał bagaże i załatwił odprawę celną, one zaś jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - zjawily się przed odpowiednimi pokojami hotelowymi. Następnego dnia załatwił filmy wideo dla dzieci i zwiedzanie miasta dla dorosłych, wypełniając wszystkim czas przed odlotem do Nowego Jorku. Mr Fish dokonał tego w czasie, gdy większość pracowników hotelowych strajkowała... T. J. dowiedział się później, że Mrs Fish słała łóżka w pokojach hotelowych. Kiedy odloty do kraju były już zarezerwowane, Merv Stauffer chciał powielić kartkę z instrukcjami dla wszystkich, ale kopiarka hotelowa była zepsuta. Mr Fish znalazł

technika, który naprawił ją o piątej rano w niedzielę. Jeden Mr Fish mógł tego dokonać.

Simons wciąż martwił się sprawą przemytu Waltherów PPK do Teheranu i gdy usłyszał, jak Mr Fish załatwił odprawę bagaży ewakuowanych w tureckim urzędzie celnym, zaproponował, żeby ten sam człowiek rozwiązał problem pistoletów. Sculley odleciał do Istambułu 8 stycznia.

Następnego dnia spotkał się z panem Fishem w kawiarni hotelu Sheraton. Mr Fish był wielkim, ubranym na ciemno, tęgim mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Był niezwykle cwany: Sculley nie miał co równać się z nim.

Sculley powiedział, że EDS potrzebuje pomocy w dwóch sprawach.

- Po pierwsze - potrzebny jest nam samolot, aby polecieć nim do Teheranu i z powrotem. Po drugie - musimy przenieść niektóre nasze bagaże przez odprawę celną bez przeprowadzania kontroli. Oczywiście, zapłacimy panu każdą rozsądną sumę za współpracę przy rozwiązaniu tych problemów.

- Ale dlaczego chcecie to zrobić? - zapytał Mr Fish z powątpiewaniem.

- Cóż, mamy trochę taśm magnetofonowych do systemów komputerowych w Teheranie - odparł Sculley. - Musimy je przewieźć i nie możemy ryzykować, że ktoś je prześwietli; albo zrobi z nimi coś takiego, co mogłoby je uszkodzić, ani że nie skonfiskuje ich jakiś podrzędny celnik.

- I po to chce pan wynająć samolot i załatwić przeniesienie pańskich bagaży przez kontrolę celną bez otwierania ich?

- Tak, o to właśnie chodzi. - Sculley wyraźnie widział, że Mr Fish nie wierzy w ani jedno jego słowo.

Mr Fish pokręcił głową. - Nie, panie Sculley. Z przyjemnością pomagałem pańskim przyjaciółom poprzednio, ale jestem właścicielem biura podróży, nie przemytnikiem. Nie zrobię tego.

- A co z samolotem? Czy może pan załatwić samolot? Mr Fish znowu pokręcił głową.

- Będzie pan musiał pojechać do Ammanu w Jordanii. Linia „Arab Wings” ma stamtąd czarterowe loty do Teheranu. To najlepsza rada, jaką mogę panu udzielić.

- W porządku - Sculley wzruszył ramionami.

Kilka minut później pożegnał się z Mr Fishem i wrócił do swojego pokoju, aby zadzwonić do Dallas.

Jego pierwsze zadanie jako członka grupy ratowniczej nie wyszło najlepiej. Kiedy Simons otrzymał tę wiadomość, postanowił zostawić Walthery PPK w Dallas.

Swą decyzję tak wytłumaczył Coburnowi:

- Nie narażamy całej operacji już na samym wstępie, kiedy nawet nie jesteśmy pewni, czy w ogóle będziemy tych pistoletów potrzebować. Jest to ryzyko, którego nie musimy podejmować, w każdym bądź razie nie teraz. Jeżeli w jakimś momencie okaże się, że są nam niezbędne, Schwebach wróci do Dallas i przywiezie je.

Pistolety złożono w sejfie EDS wraz z narzędziami, które Simons zamówił, aby usunąć numery seryjne - ponieważ było to niezgodne z prawem, należało działać w ostatnim momencie. Tak, czy inaczej wezmą jednak walizy z podwójnymi dnami i zrobią z nimi próbny kurs. Wezmą również śrut numer 2 - Davis przeniesie go w swoim woreczku z grochem - i te urządzenia, których Simons będzie potrzebował do wymiany śrutu w nabojach. Przeniesie je sam.

Nie było sensu lecieć przez Istanbuł, Simons wysłał więc Sculleya do Paryża, żeby zamówił tam miejsca w hotelu i spróbował zarezerwować bilety na przelot grupy do Teheranu.

Reszta odleciała z miejscowego portu lotniczego Dallas - Fort Worthy. 10 stycznia o 11. 05, samolotem linii „Braniff”, lot 341 do Miami. Tam przesiedli się na „National 4” do Paryża.

Następnego ranka, spotkali się ze Sculleyem na lotnisku Orły, w galerii obrazów, pomiędzy restauracją i kawiarnią.

Coburn zauważył, że Sculley jest podenerwowany. Pomyślał, że wszyscy zostali zarażeni przez Simonsa dbałością o zachowanie środków bezpieczeństwa. Podczas lotu ze Stanów, chociaż znajdowali

się w tym samym samolocie, podróżowali oddzielnie, siedzieli osobno i udawali, że w ogóle się nie znają. W Paryżu Sculley uznał, że personel Hiltona na Orły, podsłuchuje jego rozmowy telefoniczne. W związku z tym Simons, który zawsze czuł się niepewnie w hotelach, postanowił, że porozmawiają w galerii.

Nie powiodło się także Sculleyowi z kolejnym zadaniem: zarezerwowaniem biletów lotniczych z Paryża do Teheranu.

- Połowa linii lotniczych nie lata do Iranu z powodu niestabilnej sytuacji politycznej i strajku w porcie lotniczym - powiedział. - Te loty, które pozostały, przepełnione są Irańczykami, którzy chcą dostać się do domu. Dowiedziałem się tylko, że „Swissair” lata tam z Zurychu.

Rozdzielili się na dwie grupy. Simons, Coburn, Poche i Boulware polecą do Zurychu i spróbują dostać się na lot „Swissairu”. Sculley, Schwebach, Davis i Jackson pozostaną w Paryżu.

Grupa Simonsa leciała do Zurychu pierwszą klasą „Swissairu”. Coburn siedział koło Simonsa. Cały lot spędzili jedząc wspaniały lunch, składający się z krewetek i steku. Simons piał hymny pochwalne na temat jedzenia. Coburna bawiło to, bo wciąż pamiętał, jak Simons mówił: „Kiedy jestem głodny, otwieram puszkę”.

Na lotnisku w Zurychu, punkt rezerwacji biletów do Teheranu oblegał tłum Irańczyków. Udało się zdobyć tylko jedno miejsce w samolocie. Który z nich powinien lecieć? Postanowili, że Coburn miał zająć się kwatermistrzowską częścią akcji. Jako szef personelu i główny organizator ewakuacji najlepiej orientował się w zasobach EDS w Teheranie: było to 150 pustych domów i mieszkań, 60 pozostawionych samochodów, w tym jeepów, 200 irańskich pracowników - byli tam tacy, którym można było zaufać, i tacy, którym ufać nie należało. Była tam także żywność, napoje i narzędzia pozostawione przez ewakuowanych. Przyjeżdżając do Teheranu, Coburn najlepiej przygotuje środki transportu, zapasy i kryjówkę dla reszty grupy.

Tak więc Coburn pożegnał się z przyjaciółmi i wsiadł do samolotu kierując się w stronę chaosu, przemocy i rewolucji.

\* \* \*

Tego samego dnia, o czym nie wiedział ani Simons, ani reszta grupy, lotem 172 British Airways Ross Perot podążył z Nowego Jorku do Londynu. On również był w drodze do Teheranu.

\* \* \*

Lot z Zurychu do Teheranu był zbyt krótki. Coburn przez cały czas raz po raz przypominał sobie, co ma zrobić. Nie mógł sporządzić żadnego planu - Simons nie pozwalał niczego zapisywać.

Jego pierwszym zadaniem będzie przedostanie się przez odprawę celną z walizami o podwójnych dnach. Pistoletów w nich nie było. W przypadku, gdyby skrytki odkryto, Coburn miał wyjaśnić, że służą one do przewozu delikatnej aparatury fotograficznej.

Następnie powinien był znaleźć kilka opuszczonych domów i mieszkań. Simons wybierze z nich te najlepiej nadające się na kryjówki. Potem będzie musiał wyszukać samochody i upewnić się, że mają wystarczający zapas paliwa.

Dla Keane'a Taylora, Richa Gallaghery i irańskich pracowników EDS przygotował bajeczkę o tym, że dyrekcja zleciła mu przygotowanie przewozu do Stanów przedmiotów osobistego użytku należących do ewakuowanych. Coburn zaproponował Simonsowi, żeby dopuścić do tajemnicy Taylora - będzie on wartościowym nabytkiem dla zespołu. Simons stwierdził, że sam podejmie decyzję po spotkaniu z Keane'em.

Coburn zastanawiał się, jak by tu zamydlić oczy Taylorowi. Wciąż myślał o tym, kiedy samolot wylądował.

W budynku portu lotniczego cały personel był w mundurach wojskowych.

„Ach to dlatego lotnisko działa pomimo strajku - uświadomił sobie Coburn. - Obsadziła go armia”.

Wziął walizę z podwójnym dnem i przeszedł przez kontrolę celną.

Nikt go nie zatrzymywał.

Sala przylotów wyglądała jak ogród zoologiczny. Oczekujący tłum był jeszcze bardziej niezdyscyplinowany niż zazwyczaj, armia nie zaprowadziła jeszcze na lotnisku swoich porządków.

Przecisnął się do postoju taksówek. Wyminął dwóch ludzi, którzy chyba bili się o taksówkę, i wsiadł do następnej.

Kiedy jechał przez miasto, zauważył po drodze sporo sprzętu wojkowego, zwłaszcza w okolicy lotniska. Czołgów było tu teraz o wiele więcej, niż w dniu jego wyjazdu. Czyżby był to znak, że szach wciąż jeszcze panował nad sytuacją?

W wypowiedziach prasowych szach zachowywał się tak, jakby sprawował kontrolę, podobnie jednak robił i Bakhtiar. W gruncie rzeczy to samo robił też i ajatollah, który właśnie ogłosił powstanie Rady Rewolucji Islamskiej, tak jakby to on rządził w Teheranie, a nie siedział w wili na przedmieściach Paryża przy słuchawce aparatu telefonicznego. Tak naprawdę władzy nie sprawował nikt i choć utrudniało to negocjacje w sprawie uwolnienia Paula i Billa, to z drugiej strony mogło jednak dopomóc grupie ratowniczej.

Coburn dojechał taksówką do „Bukaresztu”, spotkał tam Keane’a Taylora. Po wyjeździe do Nowego Jorku Lloyda Briggsa, który miał tam poinstruować osobiście prawników EDS, sprawami w Teheranie kierował Taylor. Siedział teraz za biurkiem Paula Chiapparone, ubrany w nienaganny garnitur z kamizelką, zupełnie jakby znajdował się od najbliższej rewolucji o milion mil, a nie w samym jej środku. Zdumiał się, gdy zobaczył Coburna.

- Jay! Co ty tu robisz, u diabła?

- Właśnie przyjechałem - odpowiedział Coburn.

- Po co ci ta broda? Chcesz, żeby cię wylali?

- Myślałem, że dzięki temu wydam się tu mniej amerykański.

- A widziałeś kiedyś Irańczyka z rudą brodą?

- Nie - roześmiał się Coburn.

- No, to skąd się tutaj wziąłeś?

- Cóż, wygląda na to, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie

sprowadzimy ludzi z powrotem do Teheranu. Przyjechałem więc, aby skompletować ich ruchomości i przerzucić je do Stanów.

Taylor przyjrzał mu się dziwnie, ale nie skomentował tych słów.

- A gdzie masz zamiar zatrzymać się? Wszyscy przenieśliśmy się do hotelu Hyatta, tam jest bezpieczniej.

- Czy mógłbym skorzystać z twojego dawnego domu?

- Kiedy tylko zechcesz.

- A teraz jest sprawa taka. Czy masz może koperty, które każdy z nich zostawiał? Te z kluczami do samochodów, domów i poleceniami, co zrobić z ich wyposażeniem.

- Oczywiście... Postępowałem zgodnie z tymi instrukcjami. I wszystko, co polecili przesłać - sprzedaję: zmywarki, suszarki, lodówki... Człowieku, prowadzę tu regularną wyprzedaż.

- Czy mogę dostać te koperty?

- Naturalnie.

- A jak wygląda sytuacja z samochodami?

- Zgromadziliśmy większość z nich. Kazałem zaparkować samochody obok szkoły i paru Irańczyków, jeżeli ich jeszcze nie sprzedano, to powinno je pilnować.

- A co z benzyną?

- Rich zdobył od pilotów cztery pięćdziesięciopięciogalonowe beczki. Trzymamy je w piwnicy.

- Kiedy wchodziłem, miałem wrażenie, że śmierdzi benzyną.

- Nie zapal tam czasem zapałki, bo wszystkich nas szlag trafi.

- Czy robicie coś, żeby uzupełnić zapasy?

- Używamy dwóch samochodów jako cystern - „Buicka” i „Chevy”, mają duże, amerykańskie zbiorniki. Dwóch naszych kierowców spędza całe dnie w kolejkach na stacjach benzynowych. Kiedy zatankują, wracają tutaj, wtedy przepompowujemy benzynę ze zbiorników do beczek, i znów wysyłamy samochody na stację benzynową. Czasami można kupić benzynę od kogoś z początku kolejki. Zatrzymuje się takiego, co właśnie zatankował, i proponuje dziesięciokrotną cenę. Tutaj, wokół kolejek po benzynę powstaje cała gałąź gospodarki.



- A co z olejem opałowym do ogrzewania domów?
- Mam źródło, ale facet zdziera ze mnie cenę dziesięciokrotnie wyższą od dawnej. Wydaję tu forszę, jak pijany marynarz.
- Będę potrzebował dwunastu samochodów.
- Co takiego? Jay? Dwunastu samochodów?!
- To, co słyszałeś.
- Będziesz mógł trzymać je koło mojego domu. Tam jest duże, ogrodzone podwórko. Czy będziesz chciał... obojętne z jakiego powodu... zajmować się tankowaniem samochodów w taki sposób, żeby żaden z irańskich pracowników tego nie widział?
- Oczywiście.
- W takim razie przyprowadzaj samochód do Hyatta, a ja ci go zamienię na zatankowany.
- Ilu Irańczyków jeszcze mamy?
- Dziesięciu najlepszych, plus czterech kierowców.
- Chciałbym mieć ich spis.
- Czy wiesz, że Ross jedzie tutaj?
- O cholera, nie! - Coburn był zaskoczony.
- Właśnie dostałem wiadomość. Przywozi z Kuwejtu Boba Younga, żeby przejął ode mnie sprawy administracyjne i Johna Howella, by zajął się stroną prawną. Chcą, żebyśmy współpracowali z Johnem w sprawie rokowań i kaucji.
- Tak to jest - Coburn zastanawiał się, o co chodzi Perotowi. - No dobra, jadę do ciebie.
- Jay, dlaczego nie powiesz mi, co jest grane?
- Nie ma tu nic do powiedzenia.
- Nie pieprz, Coburn. Chcę wiedzieć, o co chodzi.
- Usłyszałeś wszystko, co miałem do powiedzenia.
- Mówię ci, nie pieprz. Zobaczysz, jakie samochody dostaniesz... będziesz miał fart, jeżeli będą w nich kierownice.
- Przykro mi.
- Jay...
- Tak?

- Masz najśmieszniejszą walizkę pod słońcem.
- Różnie bywa...
- Słuchaj, Coburn. Ja wiem, po co tu jesteś. Coburn westchnął.
- No to chodźmy się przejść.

Wyszli na ulicę i Coburn powiedział Taylorowi o grupie ratowniczej.

\* \* \*

Następnego dnia zaczęli organizować kryjówki.

Dom Taylora przy Aftab Street 2 nadawał się idealnie. Był położony blisko hotelu Hyatt, co ułatwiało zamianę samochodów i znajdował się w amerykańskiej części miasta, miejscu, które, gdyby zamieszki przybrały na sile, mogło okazać się mniej niebezpieczne dla Amerykanów. Telefon działał, było dość oleju opałowego. Ogrodzone murem podwórze mogło pomieścić sześć samochodów. Istniało również tylne wyjście, mogło być wykorzystane jako droga ucieczki, gdyby przed frontowymi drzwiami pojawił się oddział policji. A poza tym, właściciel nie mieszkał w domu.

Posługując się planem Teheranu wiszącym na ścianie gabinetu Coburna, na której od chwili ewakuacji zaznaczone były wszystkie domy EDS w mieście, wybrali jeszcze trzy, nadające się na kryjówki.

W ciągu dnia, kiedy Taylor zatankował już samochody, Coburn odprowadził je po kolei z „Bukaresztu” do każdego z domów i zaparkował przy każdym po trzy.

Patrząc ponownie na plan, próbował sobie przypomnieć, czyje żony pracowały w amerykańskich instytucjach wojskowych, rodziny bowiem, które miały prawo zaopatrywania się w kantynie, zawsze posiadały lepszą żywność. Zanotował osiem najbardziej prawdopodobnych możliwości. Jutro odwiedzi te miejsca i zabierze stamtąd do kryjówek wszystkie konserwowane produkty żywnościowe i napoje.

Wybrał również piąte mieszkanie, ale nie odwiedził go. Miało to być alarmowe miejsce schronienia, wykorzystywane w razie poważnej potrzeby i nikt nie mógł się tam pokazywać, dopóki nie zaistniała taka konieczność.

Tego wieczoru, kiedy był sam w mieszkaniu Taylora, zadzwonił do Dallas i poprosił Merva Stauffera.

Stauffer był, jak zawsze, w dobrym nastroju.

- Cześć, Jay! Jak się masz?

- W porządku.

- Cieszę się, że cię słyszę. Mam do ciebie prośbę. Masz coś do pisania?

- Jasne.

- OK. Honky Keith Goofball Zero Honky Dummy...

- Merv - przerwał mu Coburn.

- Co?

- Co ty u diabła gadasz?

- To kod, Jay.

- Co to takiego Honky Keith Goofball?

- H jak Honky, K jak Keith...

- Merv, H to Hotel, K to kilo...

- O! - powiedział Stauffer. - O, nie wiedziałem, że powinno się używać określonych słów... Coburn roześmiał się.

- Posłuchaj - rzekł. - Przed następnym telefonem poproś kogoś o wojskowy kod literowy.

Stauffer też się roześmiał.

- Oczywiście, że to zrobię - odparł. - Ale przypuszczam, że tym razem będziemy musieli posłużyć się moją wersją.

- Dobra, zaczynaj.

Coburn odebrał zakodowaną informację, a potem, wciąż używając kodu, przekazywał Staufferowi swoje miejsce pobytu i numer telefonu. Po skończeniu rozmowy rozszyfrował przekazaną mu przez Stauffera wiadomość.

Była dobra. Następnego dnia przylatywali do Teheranu Simons i Joe

Poche.

## 2.

11 stycznia, w dniu, w którym Coburn przyleciał do Teheranu a Perot odleciał do Londynu, mijał dokładnie drugi tydzień pobytu Paula i Billa w więzieniu.

W tym czasie raz byli pod prysznicem. Kiedy strażnicy dowiedzieli się, że jest ciepła woda, dali każdej celi pięć minut na kąpiel. Gdy mężczyźni zaczęli tłoczyć się w kabinach, aby choć na chwilę dostąpić rozkoszy bycia czystym i rozgrzanym, wszelkie uczucie wstydu poszło w ką. Nie tylko umyli się, ale również wyprali swoją odzież.

Po tygodniu wyczerpały się butle z gazem w kuchence więziennej. Jedzenie złożone głównie z potraw mącznych i ubogie w warzywa, od tej pory było również zimne. Całe szczęście, że pozwolono im uzupełniać więzienny wikt pomarańczami, jabłkami i orzechami, które przynosili ze sobą odwiedzający.

Wieczorami przeważnie wyłączano elektryczność na godzinę lub dwie i wtedy więźniowie mogli używać świec lub latarek. W więzieniu było pełno wiceministrów, dostawców rządowych i biznesmenów teherańskich. W celi nr 5, wraz z Paulem i Billem, siedziało dwóch członków dworu cesarzowej, ostatnim zaś, który znalazł się w ich celi, był dr Siaz, który pracował w Ministerstwie Zdrowia pod kierownictwem dr Sheika jako dyrektor departamentu rehabilitacji. Dr Siaz był psychiatrą i wykorzystywał swoją wiedzę do polepszenia samopoczucia więźniów. Ciągłe wymyślał gry i rozrywki, które miały urozmaicić codzienną monotonię. Wprowadził na przykład zwyczaj, zgodnie z którym każda osoba w celi przed przystąpieniem do obiadu musiała opowiedzieć jakiś dowcip. Kiedy dowiedział się, jak wysoką kaucję wyznaczono za Paula i Billa, zapewnił ich, że mogą spodziewać się wizyty Farrah Fawcett Majors, której męża wyceniono zaledwie na

sześć milionów dolarów.

Paul nawiązał zadziwiająco serdeczne stosunki z „ojcem” celi, więźniem o najdłuższym stażu, który zgodnie z tradycją był zarazem starszym celi. Niski mężczyzna w podeszłym wieku, robił wszystko, co leżało w jego nader ograniczonych możliwościach, aby pomóc Amerykanom. Namawiał ich do jedzenia i przekupywał strażników, aby zdobyć dla nich choć trochę większe porcje. Znał zaledwie około tuzina słów po angielsku, Paul wprawdzie słabo mówił w *farsi*, ale jakoś udawało się im porozumieć. Paul dowiedział się, że jest znaczącym biznesmenem, właścicielem spółki budowlanej i hotelu w Londynie. Paul pokazał mu przyniesione przez Taylora fotografie Karen i Ann Marie, a staruszek nauczył się ich imion. Z tego, co Paul wiedział, jego rozmówca mógł być winien jak diabli wszystkiemu, co mu zarzucano, ale zainteresowanie i ciepło, jakie okazywał cudzoziemcom, dodało mu otuchy.

Paul był także wzruszony odwagą, jaką okazywali jego koledzy z EDS w Teheranie. Lloyd Brigss, który teraz poleciał do Nowego Jorku, Rich Gallagher, który w ogóle nie wyjechał, i Keane Taylor, który wrócił. Wszyscy oni narażali życie za każdym razem, kiedy jechali niespokojnymi ulicami do więzienia. Wszyscy ryzykowali, że Dadgar wpadnie na pomysł, aby zatrzymać ich jako dodatkowych zakładników. Paul czuł również szczególną wdzięczność dla Boba Younga, odkąd dowiedział się, że jest on w drodze do Teheranu, żona Boba bowiem urodziła właśnie dziecko i niewątpliwie było mu bardzo trudno narażać się na niebezpieczeństwo.

Paul myślał początkowo, że w każdej chwili może zostać zwolniony. Wmawiał sobie, że może wyjść każdego dnia.

Wypuszczono jednego ze współwięźniów, Lucia Randone’a, włoskiego inżyniera budowlanego, zatrudnionego przez spółkę budowlaną Condotti d’Aqua. Kiedy Randone odwiedził ich, przyniósł ze sobą dwie olbrzymie tabliczki włoskiej czekolady i powiedział Paulowi oraz Billowi, że rozmawiał o nich z ambasadorem Włoch w Teheranie. Ambasador obiecał, że spotka się ze swoim amerykańskim

kolegą i podzieli się sekretem, jak wyciągać ludzi z irańskiego więzienia.

Największym jednak źródłem optymizmu Paula był Ahmad Houman, adwokat, wynajęty przez Briggsa, w miejsce prawników irańskich, którzy tak źle poradzi mu w sprawie kaucji. Z jakiegoś powodu przebywali w pokoju przyjęć więzienia, a nie w rozmównicy położonej w niskim budynku po drugiej stronie podwórka. Paul obawiał się, że może to źle wpłynąć na szczerść rozmowy pomiędzy adwokatem i klientem. Houmana jednak nie powstrzymywała obecność strażników więziennych.

- Dadgar próbuje wyrobić sobie nazwisko - oznajmił Irańczyk. Czy to było możliwe? Nadgorliwy urzędnik śledczy, który próbuje wyrzucić swoim antyamerykańskim zapałem wrażenie na swoich zwierzchnikach - a może rewolucjonistach?

- Urząd Dadgara jest bardzo wpływowy - ciągnął dalej Houman. - Ale w tym przypadku ma on za krótkie ręce. Nie miał podstaw, żeby was aresztować, a kaucja jest zbyt wygórowana - powiedział.

Houman wywarł na Paulu dobre wrażenie. Wyglądał na zręcznego i pewnego siebie.

- Więc co ma pan zamiar zrobić?

- Postaram się uzyskać zmniejszenie wysokości kaucji?

- W jaki sposób?

- Najpierw porozmawiam z Dadgarem. Mam nadzieję, że uda mi się wykazać mu, jak skandalicznie wysoka jest ta kaucja. A jeżeli będzie w dalszym ciągu nieprzejednany, udam się do jego zwierzchników w Ministerstwie Sprawiedliwości i przekonam ich o konieczności zmniejszenia kaucji.

- I jak długo, sądzi pan, to potrwa?

- Może tydzień.

Zajęło to więcej niż tydzień, ale Houman czynił postępy. Przyszedł do więzienia z informacją, że zwierzchnicy Dadgara z Ministerstwa Sprawiedliwości zgodzili się przekonać go, aby zmniejszył kaucję do sumy, którą EDS mogła zapłacić łatwo i szybko z funduszy znajdujących się w Iranie. Był pełen lekceważenia dla Dadgara i

oznajmił triumfalnie, że sprawa zostanie sfinalizowana 11 stycznia podczas drugiego spotkania Paula i Billa z Dadgarem.

Rzeczywiście, tego dnia Dadgar zjawił się w więzieniu przed południem. Chciał, jak poprzednio, najpierw zobaczyć się z samym Paulem. Paul był we wspaniałym nastroju, kiedy strażnik prowadził go przez podwórko. „Dadgar to tylko nadgorliwy urzędnik śledczy - myślał - teraz został przywołany do porządku i będzie musiał wszystko odszczekać”.

Dadgar czekał na niego z tą samą tłumaczką, co poprzednio. Skinął chłodno głową i Paul usiadł „Nie wygląda na zbyt pokornego” - pomyślał.

Dadgar powiedział coś w *farsi* i pani Nourbash przetłumaczyła:

- Jesteśmy tu, żeby przedyskutować wysokość waszej kaucji.

- Dobrze - odparł Paul.

- Pan Dadgar otrzymał w tej sprawie list z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.

Zaczęła tłumaczyć list.

Przedstawiciele ministerstwa domagali się, aby kaucję za obu Amerykanów zwiększyć do wysokości dwudziestu trzech milionów dolarów w celu zrekompensowania strat, jakie ministerstwo poniosło w rezultacie wyłączenia przez EDS komputerów - czyli praktycznie podwoić ją.

W umyśle Paula zaświtało, że nie będzie dzisiaj zwolniony.

Cały ten list był sprawą ukartowaną z góry. Dadgar zręcznie wywiódł w pole dr Houmana. Całe to spotkanie było tylko kolejną rozgrywką. Paul wpadł we wściekłość.

„Do diabła z uprzejmością dla tego przekłętego bękarta!” - pomyślał. Kiedy tłumaczka doczytała list do końca, Paul powiedział:

- A teraz chciałbym coś oświadczyć i pragnąłbym, żeby pani przetłumaczyła każde słowo. Czy to jasne?

- Oczywiście - odpowiedziała pani Nourbash. Paul zaczął mówić wolno i wyraźnie:

- Trzymacie mnie w więzieniu już od czternastu dni. Nie zostałem

postawiony przed sądem. Nie zostały mi przedstawione żadne zarzuty. Wciąż nie możecie przedstawić ani jednego dowodu, który obciążyłby mnie jakąkolwiek odpowiedzialnością za przestępstwo. Nie określił pan nawet, o jakie przestępstwo mógłbym być oskarżony. Czyżby był pan dumny z irańskiego wymiaru sprawiedliwości?

Ku zdziwieniu Paula, tyrada ta zdawała się nieco zmniejszyć chłód w spojrzeniu Dadgara.

- Przykro mi - odpowiedział - że musi pan być tym, który płaci za zło wyrządzone przez pańską firmę.

- Nie, nie, nie! - odrzekł Paul. - Ja jestem firmą. Ja jestem odpowiedzialną osobą. Jeżeli firma postąpiła źle, to ja powinienem ponieść karę. Ale nie uczyniliśmy nic złego. W gruncie rzeczy, zrobiliśmy o wiele więcej, niż byliśmy do tego zobowiązani. EDS uzyskała ten kontrakt dlatego, że jesteśmy jedynym przedsiębiorstwem na świecie, które jest w stanie wykonać tę pracę - stworzyć w pełni zautomatyzowany system opieki społecznej w słabo rozwiniętym kraju zamieszkałym przez trzydzieści milionów chłopów. I udało nam się. Nasz system opracowania danych wydaje legitymacje ubezpieczeniowe. Utrzymuje rejestr wpływów na konto bankowe ministerstwa. Każdego dnia przedstawia sumę roszczeń ubezpieczeniowych z poprzedniego dnia. Blokuje listy płac dla całego Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Opracowuje tygodniowy i miesięczny raport o sytuacji finansowej ministerstwa. Dlaczego nie pójdzie pan tam i nie spojrzy na wydruki? Nie, proszę poczekać - powiedział, nie dopuszczając Dadgara do głosu.

- Jeszcze nie skończyłem. Dadgar wzruszył ramionami.

- Istnieje niezwykle łatwy do zdobycia dowód, że EDS wypełniła swoje warunki kontraktu. Równie łatwo ustalić, że ministerstwo nie dotrzymało swojej strony umowy, to znaczy nie płaci nam od sześciu miesięcy i obecnie jest nam winne w przybliżeniu dziesięć milionów dolarów. A teraz proszę chwilę pomyśleć o ministerstwie. Dlaczego nie zapłaciło EDS? Dlatego, że nie ma pieniędzy. Dlaczego? Obaj wiemy, że wyczerpało ono cały swój budżet w ciągu siedmiu miesięcy bieżącego



roku, a rząd nie przyznał uzupełniających funduszy. Może też wchodzić w grę brak kompetencji niektórych departamentów. Co z tymi, którzy przekroczyli swój budżet? Być może szukają oni wymówki, kogoś, kogo mogliby obciążyć winą za niepowodzenia, jakiegoś kozła ofiarnego? I czy EDS nie jest takim właśnie kozłem? Kapitalistyczne, amerykańskie przedsiębiorstwo, tu, pod ręką, pracujące dla nich. W obecnej atmosferze politycznej, ludzie chętnie słuchają o podstępnych Amerykanach i chętnie wierzą, że oszukujemy Iran. Ale pan, panie Dadgar, jest podobno przedstawicielem prawa. Pan nie powinien wierzyć, że Amerykanie są winni, dopóki nie ma pan na to dowodów. O ile dobrze rozumiem rolę urzędnika śledczego, powinien pan odkryć prawdę. Najwyższy czas, żeby zadał pan sobie pytanie, dlaczego ktoś mógłby rzucać fałszywe oskarżenia na mnie i moją firmę? Czy to nie jest najwyższa pora, żeby zaczął pan prowadzić śledztwo w tym cholernym ministerstwie?!

Kobieta przetłumaczyła ostatnie zdanie. Paul przyglądał się Dadgarowi. Rysy Irańczyka znowu skamieniały. Powiedział coś w *farsi*.

- Zobaczmy się teraz z następnym - przetłumaczyła pani Nourbash. Paul wytrzeszczył na nią oczy.

Uświadomił sobie, że niepotrzebnie strzępił język. Równie dobrze mógł recytować wierszyki dla dzieci. Dadgar był niewzruszony.

Paul był głęboko przygnębiony. Leżał na materacu patrząc na zdjęcia Karen i Ann Marie, które przyczepił do spodu górnej pryczy. Bardzo mu ich brakowało. Fakt, że nie mógł się z nimi zobaczyć, uzmysłowił mu, że poprzednio ich obecność uważał za coś oczywistego. Również i Ruthie. Spojrzał na zegarek - w Stanach był teraz środek nocy. Ruthie zapewne śpi, sama w wielkim łóżku. Jakże byłoby cudownie położyć się obok niej i wziąć ją w ramiona. Porzucił tę myśl - rozczulanie się nad sobą tylko pogarszało sprawę. Nie musiał się o nie martwić. Były poza Iranem, poza zasięgiem niebezpieczeństwa i cokolwiek by się z nim stało, Perot zaopiekuje się jego rodziną. To było dobrą stroną Perota. Wymagał wiele - był chyba najbardziej wymagającym pracodawcą na świecie - ale kiedy szukało się w nim

oparcia, był jak opoka.

Paul zapalił papierosa. Było mu zimno. Nigdy się nie mógł ogrzać w tym więzieniu. Czuł się zbyt przygnębiony, aby cokolwiek robić. Nie miał ochoty iść do „Chattanooga” i na herbatę, nie miał ochoty oglądać bełkotu dziennika telewizyjnego, nie miał wreszcie ochoty grać w szachy z Billem. Nie chciało mu się iść po nową książkę do biblioteki. Przeczytał „Ptaki ciernistych krzewów” Colleen McCullough. Uznał tę powieść za bardzo wzruszającą. Mówiła o kilku pokoleniach rodzin i dzięki niej zaczął myśleć o swojej rodzinie. Główną postacią był ksiądz - Paul, jako katolik, doskonale mógł go zrozumieć. Przeczytał książkę trzy razy. Przeczytał również „Hawaje” Jamesa Michenera, „Port lotniczy” Artura Haileya i „Księgę rekordów Guinnessa”. Nie miał ochoty na żadną książkę więcej.

Czasami myślał, co będzie robić, kiedy stąd wyjdzie, i pozwalał, aby jego myśli krążyły wokół ulubionych zajęć - żeglarstwa i wędkarstwa. Ale to tylko potęgowało jego przygnębienie.

Nie mógł przypomnieć sobie w swoim dorosłym życiu takiej chwili, w której nie miałby co robić. Zawsze był zajęty. W biurze przeważnie starczało mu pracy na trzy dni naprzód. Nigdy, nigdy nie zdarzyło mu się leżeć, palić papierosa i zastanawiać się, czym, u diabła, mógłby się zająć!

Najgorsze jednak było uczucie bezradności. Choć zawsze był tylko podwładnym, który jechał tam, gdzie wysyłał go przełożony, i robił to, co mu kazano, to zawsze wiedział, że w każdej chwili może wsiąść do samolotu i wrócić do domu albo rzucić pracę, czy powiedzieć szefowi „nie”. W ostatecznym rozrachunku decyzje należały do niego. A teraz nie był w stanie powziąć żadnych decyzji, dotyczących jego własnego życia. Nie miał najmniejszego wpływu na swoją sytuację. Zawsze, kiedy miał w życiu jakieś problemy, mógł działać, próbować, walczyć. Teraz musiał po prostu siedzieć i cierpieć.

Zrozumiał, że nigdy nie wiedział, co to naprawdę jest wolność, dopóki jej nie utracił.

### 3.

Demonstracja była stosunkowo spokojna. Płonęło wprawdzie kilka samochodów, ale poza tym nie było ataków przemocy. Demonstranci maszerowali tam i z powrotem niosąc portrety Chomeiniego i kładąc kwiaty na wieżyczki czołgów.

Żołnierze zachowywali się biernie.

Ruch samochodowy został zablokowany.

14 stycznia, nazajutrz po przylocie Simonsa i Pochego, Boulware wrócił do Paryża i wraz z pozostałą czwórką oczekiwał tam na lot do Teheranu. Natomiast Simons, Coburn i Poche jechali w stronę centrum, na rekonesans więzienia.

Po kilku minutach jazdy Joe Poche wyłączył silnik samochodu. Siedział teraz cicho i okazywał tyle samo emocji co zawsze - to znaczy nie okazywał ich wcale.

Simons przeciwnie, był podniecony.

- Przed nami Historia tworzy się na naszych oczach - powiedział. - Niewielu ludzi miało okazję oglądać z bliska przebieg rewolucji.

Coburn zorientował się, że Simons zakochany był w historii, a rewolucje stanowiły jego specjalność. Kiedy w porcie lotniczym zapytano go, czym się zajmuje i jaki jest cel jego wizyty, odpowiedział, że jest emerytowanym rolnikiem i że jest to dla niego jedyna w życiu szansa, aby przyjrzeć się rewolucji z bliska. Mówił prawdę.

Coburna wcale nie podniecało to, że tkwi w jej środku. Nie cieszył go fakt, że siedzi w niewielkim „Renaulcie 4” otoczony przez tłum agresywnych fanatyków islamskich. Pomimo swojej świeżo zapuszczonej brody, nie wyglądał na Irańczyka. Poche również. Ale Simons tak - miał obecnie dłuższe włosy, białą brodę i przy jego oliwkowej cerze i dużym nosie wystarczyłoby mu dać muzułmański różaniec i postawić gdzieś na rogu ulicy, a nikt nie podejrzewałby ani przez chwilę, że to Amerykanin.

Ale tłum nie interesował się Amerykanami i po jakimś czasie Coburn nabrał na tyle pewności siebie, że wyszedł z samochodu i udał się do piekarni. Przyniósł stamtąd chleb babari - długie, świeże, płaskie bochenki o delikatnej skórce, sprzedawane po siedem riali, czyli dziesięć centów. Przypominały francuskie bagietki i kiedy były świeże smakowały wspaniale, czerstwiały jednak bardzo szybko. Jadano je zazwyczaj z masłem, albo z serem. Najważniejszymi artykułami spożywczymi w Iranie były właśnie chleb babari i herbata.

Obserwując demonstrację siedzieli i żuli chleb, aż wreszcie ruch na jezdni zaczął powracać do normy. Poche trzymał się trasy, którą poprzedniego wieczoru wykreślił na mapie. Coburn zastanawiał się, co zobaczą, gdy wreszcie dotrą do więzienia. Na rozkaz Simonsa, trzymał się do tej pory z daleka od centrum. Nie można było mieć zbyt wielkiej nadziei, że więzienie będzie wyglądać dokładnie tak, jak opisywał je jedenaście dni temu w domku nad jeziorem Grapevine. Opracował bardzo dokładny plan ataku na podstawie nader niedokładnych danych. Jak bardzo niedokładnych, mieli się wkrótce przekonać.

Dotarli do Ministerstwa Sprawiedliwości i skręcili w Khayyam Street, gęsto zabudowaną ulicę. Na jej końcu znajdowała się brama więzienna.

Poche jechał wolno - ale nie za wolno - wzdłuż budynku więzienia.

- Cholera jasna! - zaklął Simons. Coburnowi zamarło serce.

Więzienie w niczym nie przypominało teraz obrazu utrwalonego w pamięci.

Wejście zamykała dwuskrzydłowa stalowa brama o wysokości czternastu stóp.

Po jednej jej stronie znajdował się piętrowy budynek z zasiekami z drutu kolczastego wzdłuż całego dachu, po drugiej zaś - wyższy, czteropiętrowy gmach z szarego kamienia.

Nie było żelaznych sztachet. Nie było podwórka.

- Gdzie jest ten pieprzony wybieg? - zapytał Simons.

Poche pojechał kawałek dalej, zawrócił i przejechał znowu wzdłuż Khayyam Street, ale w przeciwnym kierunku.

Tym razem Coburn zobaczył niewielkie podwórko, na którym rosła trawa i kilka drzew. Od ulicy oddzielał je płot z żelaznych sztachet o wysokości dwunastu stóp. Najwyraźniej jednak nie miało nic wspólnego z położonym dalej więzieniem. W jakiś sposób, w rozmowie telefonicznej z Majidem, poplątali miejsce spaceru więźniów z tym małym ogródkiem.

Poche przejechał jeszcze raz wokół bloku.

Simons zastanawiał się. - Możemy się tam dostać - powiedział po chwili.

- Ale musimy wiedzieć, co nas czeka, kiedy przedostaniemy się przez mur. Ktoś musi tam pójść na zwiady.

- Kto? - zapytał Coburn. - Ty - odparł Simons.

\* \* \*

Coburn podszedł do bramy więziennej wraz z Richem Gallagherem i Majidem. Majid nacisnął przycisk dzwonka. Czekali.

Coburn stał się „zewnątrznym kontaktem” grupy ratowniczej. W „Bukareszcie” widzieli go już urzędnicy irańscy, a więc jego obecności w Teheranie nie sposób było utrzymać w tajemnicy. Simons i Poche będą przebywali, o ile tylko się da, w ukryciu i z dala od EDS. Nikt nie powinien wiedzieć, że tu są. Do Coburna należały też spotkania z Taylorem w hotelu Hyatta i wymiana samochodów. Do niego wreszcie należało przedostanie się do środka więzienia.

Czekając, aż zostaną wpuszczeni, przypomniał sobie wszystkie punkty, na które Simons kazał mu zwrócić szczególną uwagę - zabezpieczenie, liczbę strażników, uzbrojenie, rozplanowanie terenu, osłony, wysokie punkty... Lista była długa, a Simons potrafił sprawić, że człowiek starał się zapomnieć każdy szczegół jego instruktażu.

W bramie otworzyło się okienko. Majid powiedział coś w *farsi*. Brama otworzyła się i wszyscy trzej weszli do środka.

Bezpośrednio przed sobą, Coburn zobaczył podwórko z trawiastym

klombem pośrodku kolistego podjazdu i zaparkowane dalej samochody. Za nimi stał czteropiętrowy gmach. Po lewej stronie znajdował się parterowy budynek, który widział z ulicy - ten z drutem kolczastym na dachu. Z prawej strony były następne stalowe drzwi.

Coburn miał na sobie długi, rozszerzający się ku dołowi płaszcz - Taylor nazywał go płaszczem „Maskotki Michelina” - można było bez trudu ukryć pod nim strzelbę, ale strażnicy przy bramie nie zrewidowali go. „Mógłbym mieć przy sobie osiem sztuk broni”, pomyślał. To dodawało otuchy - straż przy bramie była niedbała.

Zauważył też, że strażnik uzbrojony jest w niewielki pistolet.

Wszyscy trzech zostali zaprowadzeni do niskiego budynku po lewej stronie.

W rozmównicy był zarządzający więzieniem pułkownik wraz z drugim Irańczykiem. Gallagher ostrzegł Coburn, że ów drugi mężczyzna zawsze jest obecny w czasie odwiedzin i doskonale mówi po angielsku. Najprawdopodobniej jego zadaniem było przysłuchiwanie się rozmowom. Coburn powiedział Majidowi, że nie chce być podsłuchiwany w czasie rozmowy z Paulem, i Majid zgodził się odwrócić uwagę drugiego Irańczyka.

Coburn został przedstawiony pułkownikowi, ten zaś łamaną angielszczyzną oznajmił, że przykro mu z powodu Paula i Billa i ma nadzieję, iż wkrótce zostaną zwolnieni. Sprawiał wrażenie, że mówi szczerze. Coburn zauważył, że ani pułkownik, ani jego podsłuchujący towarzysze nie są uzbrojeni.

Drzwi otworzyły się i weszli Paul oraz Bill.

Obaj gapili się na Coburn. Byli zaskoczeni. Żadnego z nich nie uprzedzono, że Jay jest w mieście, a jego broda była dla nich dodatkowym wstrząsem.

- Co tu robisz, do cholery?! - zapytał Bill, uśmiechając się szeroko. Coburn uściskał ich serdecznie.

- Chłopie, nie mogę uwierzyć, że cię widzę - rzekł Paul.

- A co tam u mojej żony? - spytał Bill.

- Emily ma się świetnie, Ruthie także - odparł Coburn.

Majid zaczął mówić coś głośno do pułkownika i jego towarzysza.

Można się było domyślić po jego żywej gestykulacji, że opowiada im jakąś skomplikowaną historię. Rich Gallagher zaczął rozmawiać z Billelem, a Coburn usiadł obok Paula.

Simons polecił Coburnowi wypytać Paula o rozkład zajęć w więzieniu i poinformować go o planie uwolnienia. Wybrali Paula, a nie Billa, ponieważ według Coburna, to Paul był w tej dwójce przywódcą.

- Jeżeli jeszcze się nie domyśliłeś - zaczął Coburn - to chcę ci powiedzieć, że mamy zamiar was wyciągnąć stąd. Choćby siłą, jeśli zajdzie potrzeba.

- Domyśliłem się - przytaknął Paul. - Ale nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Mogą być ofiary.

- Słuchaj. Ross zaangażował do tej operacji najlepszych ludzi na świecie.

Mamy wolną rękę...

- Nie jestem pewien, czy tego chcę.

- Nie będziemy pytać cię o pozwolenie, Paul. Paul uśmiechnął się.

- W porządku.

- A teraz potrzebuję nieco informacji. Gdzie spacerujecie?

- Tutaj, na podwórku.

- Kiedy?

- W czwartki.

Dziś był poniedziałek, Następny spacer odbędzie się więc 18 stycznia.

- Jak długo trwa ten spacer?

- Około godziny.

- O której?

- Różnie.

- Cholera! - Coburn próbował zachowywać się swobodnie, unikać podejrzanego ściszenia głosu, czy zerkania przez ramię, aby zobaczyć, czy ktoś nie słucha. Miało to przecież wyglądać jak zwykła, towarzyska

wizyta.

- Ilu strażników jest w więzieniu?

- Około dwudziestu. Wszyscy umundurowani, część uzbrojona w broń krótką.

- Nie mają karabinów?

- Cóż... żaden ze strażników nie ma karabinu, ale... Słuchaj, nasza cela jest akurat po drugiej stronie podwórka i ma okno. Widziałem, że rankiem zbiera się tam grupa około dwudziestu innych strażników, coś w rodzaju gwardii. Mają karabiny i noszą takie błyszczące hełmy. Najpierw mają apel, a potem nie widać ich przez resztę dnia... Nie wiem, co robią.

- Spróbuj się dowiedzieć.

- Spróbuję.

- Gdzie jest twoja cela?

- Kiedy stąd wyjdiesz, zobaczysz, że jej okno jest mniej więcej naprzeciwko. Gdyby liczyć od prawego kąta podwórza do lewego, będzie to trzecie okno. Ale wówczas gdy przychodzą odwiedzający, zamykają nam okiennice. Mówią, że nie powinniśmy oglądać przychodzących kobiet.

Coburn skinął głową, starając się to wszystko zapamiętać.

- Musicie zrobić dwie rzeczy - powiedział. - Po pierwsze: zbadać więzienie i wykonać możliwie dokładne pomiary. Przyjdę tutaj znowu i zabiorę je od ciebie, na ich podstawie będziemy mogli sporządzić plan. Po drugie: dbajcie o kondycję, ćwiczcie codziennie. Musicie być sprawni.

- OK.

- A teraz podaj mi rozkład dnia.

- Budzą nas o szóstej rano... - zaczął Paul.

Coburn natężył uwagę, wiedząc, że będzie musiał powtórzyć to wszystko Simonsowi. Mimo to w głębi duszy męczyła go myśl: „Skoro nie wiemy, o której mają spacer, to skąd u diabła będziemy wiedzieć, kiedy przeskoczyć przez mur?”



\* \* \*

- Jest rozwiązanie. Odwiedziny - to właściwy moment - oznajmił Simons.

- Jak to - spytał Coburn.

- Jest to tak naprawdę jedyna sytuacja, kiedy możemy mieć pewność, że obaj znajdą się poza pawilonem więziennym i w ściśle określonym momencie można będzie ich przechwycić.

Coburn przytaknął. Siedzieli w trójkę w salonie domu Keane'a Taylora. Był to duży pokój zasłany perskim dywanem. Siedzieli na krzesłach blisko siebie, wokół stolika do kawy. Obok krzesła Simonsa rósł na dywanie mały pagórek popiołu z cygar. Taylor wścieknie się.

Coburn czuł się wykończony. Przesłuchanie, jakie urządził mu Simons - było o wiele bardziej męczące, niż się spodziewał. Kiedy był już pewien, że powiedział wszystko, Simons wymyślał następne pytania. Kiedy coś niezbyt dokładnie zapamiętał, Simons zmuszał go, aby sobie przypomnieć. Zadając odpowiednie pytania wydusił z niego także informacje, których nawet świadomie nie zarejestrował.

- Scenariusz z furgonetką i drabiną odpada - stwierdził Simons. - Słabym punktem więzienia jest teraz kiepska dyscyplina strażników. Możemy przemycić tam dwóch ludzi jako odwiedzających ze strzelbami albo pistoletami schowanymi pod płaszcami. Założmy, że Paul i Bill wyjdą do rozmównicy, nasi dwaj ludzie po cichu obezwładnią pułkownika i jego podsłuchującego kompana, po cichu i bez trudu. Gdyby jednak podniósł alarm...

- Co wtedy?

- Wtedy powstaje problem. Czterej ludzie będą musieli wyjść z budynku, przekroczyć podwórko, dotrzeć do bramy, otworzyć ją albo przeskoczyć, wyjść na ulicę i wsiąść do samochodu...

- To jest możliwe - wtrącił Coburn. - Przy bramie jest tylko jeden strażnik.

- Niepokoi mnie jednak kilka rzeczy - stwierdził Simons. - Po

pierwsze: okna w wysokim budynku wychodzą na podwórko. Kiedy nasi ludzie będą na podwórzu, każdy kto spojrzy przez okno, zobaczy ich. Po drugie: gwardziści w połyskujących hełmach i z karabinami. Cokolwiek się zdarzy, nasi ludzie będą musieli zwolnić przy bramie. I jeżeli chociaż jeden gwardzista z karabinem ich zobaczy, będzie walił, jak na strzelnicę.

- Nie wiemy, czy gwardziści są w wysokim budynku.

- Nie wiemy, czy ich tam nie ma.

- To chyba niewielkie ryzyko...

- Nie będziemy podejmować żadnego niepotrzebnego ryzyka. Po trzecie: poruszanie się w tym przeklętym mieście jest zupełnie do kitu. Nie możemy liczyć na to, że po prostu wskoczymy do samochodu i odjedziemy. Możemy nadzieć się na demonstrantów i o pięćdziesiąt jardów dalej. Nie. To wszystko musi się odbyć spokojnie. Musimy mieć czas. Jaki jest ten pułkownik więzienia?

- Niby sprawia wrażenie nastawionego przyjaźnie - odrzekł Coburn.

- Wygląda na to, że szczerze współczuje Paulowi i Billowi.

- Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy go wykorzystać. Czy coś o nim wiadomo?

- Nie.

- No to się dowiedz.

- Zlecę do Majidowi.

- Ten pułkownik mógłby załatwić, żeby w pobliżu rozmównicy nie było strażników. Możemy stworzyć mu alibi wiążąc go, możemy go nawet ogłuszyć... Jeżeli da się go przekupić, tym lepiej.

- Natychmiast się tym zajmę - oznajmił Coburn.

#### 4.

13 stycznia Ross Perot wystartował z Ammanu w Jordanii odrzutowcem „Lear”, linii „Arab Wings”, czarterowej filii Royal

Jordanian Airlines. Samolot leciał do Teheranu. W bagażniku znajdował się druciany pojemnik, zawierający pół tuzina profesjonalnych taśm wideo, takich jakich używają operatorzy telewizyjni. Był to podstęp. Perot wiozł je dla uprawdopodobnienia swojej historyjki o powodach podróży.

Kiedy mały odrzutowiec leciał na wschód, jego brytyjski pilot wskazał miejsce, w którym łączy się Tygrys i Eufrat. Parę minut później okazało się, że system hydrauliczny samolotu wysiadł i muszą zawrócić.

Taka to była podróż.

W Londynie spotkał się z prawnikiem Johnem Howellem i kierownikiem z EDS, Bobem Youngiem. Obaj od wielu dni próbowali dostać się na samolot do Teheranu. W pewnym momencie Young ustalił, że „Arab Wings” lata na tej trasie i cała trójka wyruszyła do Ammanu. Przylot do Ammanu w środku nocy był doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju. Perot odniósł wrażenie, że wszystkie oprychy z całej Jordanii nocują właśnie na lotnisku. Zdobyli taksówkę, która zawiozła ich do hotelu, gdzie okazało się, że w pokoju Johna Howella nie ma łazienki, a kibel jest bezpośrednio pod łóżkiem. W pokoju Perota ubikacja i łazienka były położone tak blisko siebie, że gdy siedział na sedesie, musiał trzymać nogi w wannie. I tak dalej...

Bob Young wymyślił historyjkę z taśmami. „Arab Wings” regularnie przewoził taśmy z - i do Teheranu dla sieci telewizyjnej NBC. Czasami taśmy przewoził pracownik NBC, innym zaś razem zabierał je pilot. Dzisiaj, choć NBC wcale o tym nie wiedziało, rolę kuriera spełniał Perot. Ubrany był w sportową kurtkę, na głowie miał czapkę w szkocką kratę, był bez krawata. Każdy, kto chciałby wysledzić Perota, nawet nie spojrzalby w stronę zwykłego posłańca NBC z jego zwyczajnym, drucianym pojemnikiem.

„Arab Wings” wyraził zgodę na ten podstęp. Potwierdził także, że mogą zabrać Perota z Teheranu regularnym rejssem dla NBC.

Po przylocie do Ammanu, Perot, Howell i Young oraz pilot wsiedli do drugiego samolotu i ponownie wystartowali. Gdy nabierali

wysokości nad pustynią, Perot zastanawiał się, czy już całkiem oszalał, czy też jest najzdrowszym na umyśle człowiekiem na świecie.

Było wiele niezwykle ważnych powodów, dla których nie powinien był lecieć do Teheranu. Przede wszystkim tłuszcza może uznać go za najjaskrawszy symbol ciemniącego ich amerykańskiego kapitalizmu i po prostu zlinczować. Niewykluczone było, że Dadgar dowie się, iż Perot jest w mieście, i spróbuje właśnie go aresztować. Ross nie bardzo rozumiał motywy, które skłoniły Dadgara do zamknięcia Paula i Billa w więzieniu, ale realizacja jego tajemniczych planów byłaby niewątpliwie ułatwiona, gdyby miał Perota za kratkami. Jeżeli Dadgarowi chodziło właśnie o pieniądze, mógłby wyznaczyć kaucję w wysokości stu milionów dolarów i być pewnym, że je dostanie.

Ale pertraktacje w sprawie uwolnienia Paula i Billa utknęły w martwym punkcie. Perot chciał dostać się do Teheranu, żeby podjąć ostatnią próbę rozwiązania prawnego, zanim Simons wraz z grupą zaryzykuje życie w ataku na więzienie.

Zdarzały się takie sytuacje w interesach, kiedy EDS było skłonne uznać porażkę. Ostatecznie jednak wszystko zawsze kończyło się zwycięstwem, Sam Perot bowiem uparcie nalegał, aby zrobić jeszcze jeden krok. Na tym właśnie polegało bycie szefem.

Właśnie w taki sposób tłumaczył sobie to wszystko. Była to święta prawda, istniał jednak jeszcze jeden powód tej podróży. Po prostu nie mógł siedzieć wygodnie i bezpiecznie w Dallas, podczas gdy inni na jego polecenie ryzykowali życie.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby został aresztowany w Iranie, jego koledzy i jego firma znaleźliby się w o wiele gorszej sytuacji, niż obecnie. Zastanawiał się też czy powinien być ostrożny i pozostać, czy też iść za głosem sumienia i pojechać? Był to dylemat moralny. Rozmawiał na ten temat ze swoją matką.

Wiedziała, że umiera. I wiedziała również, że nawet jeżeli Perot zdoła po kilku dniach powrócić cały i zdrowy, może już jej nie zastać wśród żywych. Rak gwałtownie wyniszczał organizm matki, ale nikt nie miał najmniejszego wpływu na jej umysł. Pojmowała dobro i zło równie

precyzyjnie jak zawsze.

- Nie masz wyboru, Ross - powiedziała. - To twoi ludzie. Wysłałeś ich tam. Nie uczynili nic złego. Nasz rząd im nie pomoże. Jesteś za nich odpowiedzialny. To ty musisz ich stamtąd wyciągnąć. Musisz lecieć.

Znalazł się więc tutaj, przekonany, że postępuje najwłaściwiej, jeżeli nawet nie najmądrzej.

„Lear” pozostawił za sobą pustynię i nabierał wysokości nad górami zachodniego Iranu. W przeciwieństwie do Simonsa, Coburna i Poche’a, Perot nie zetknął się z fizycznym niebezpieczeństwem. Był zbyt młody, by wziąć udział w drugiej wojnie światowej i za stary do Wietnamu, wojna koreańska zaś skończyła się, kiedy chorąży Perot podążał na nią na pokładzie niszczyciela USS „Sigourney”. Strzelano do niego tylko raz, w czasie kampanii na rzecz jeńców wojennych, kiedy lądował w laotańskiej dżungli starym DC - 3. Słyszał świst, ale dopiero po wylądowaniu zorientował się, że samolot został trafiony. Jego najbardziej przerażającym przeżyciem, od czasów spotkań ze złodziejem na gazeciarskich trasach w Texarkanie, był moment, kiedy w innym samolocie nad Laosem wyleciały drzwi tuż koło jego fotela. Spał i kiedy się obudził, przez parę sekund poszukiwał lampki, zanim nie uświadomił sobie, że wychyla się z samolotu. Na szczęście, był przypięty pasem.

Dzisiaj nie siedział koło drzwi.

Wyrzwał przez okno i w przypominającej czarę dolinie między górami zobaczył Teheran: bezładną zabudowę koloru błota ze sterczącymi z niej białymi wieżowcami. Samolot zaczął tracić wysokość.

„Dobra - pomyślał - lądujemy. Najwyższa pora, Perot, żebyś ruszył głową i zaczął wyęzgać umysł”.

W chwili, gdy samolot lądował, poczuł się spięty, podekscytowany, uważny, jego organizm na zwiększonych obrotach produkował adrenalinę.

Samolot kołował na miejsce zatrzymania. Kilku żołnierzy z pistoletami maszynowymi przerzuconymi przez ramię leniwie wlekło się przez pas startowy.

Perot wysiadł. Pilot otworzył luk bagażowy i podał mu druciany pojemnik z taśmami.

Perot i pilot ruszyli przez pas startowy. Howell i Young poszli za nimi z walizkami w rękach.

Perot błogosławił swój niepozorny wygląd. Pomyślał o swoim norweskim przyjacielu, jasnowłosym, wysokim adonisie, który narzekał, że wygląda zbyt imponująco. „Jesteś szczęściarzem, Ross - mówił - Kiedy wchodzisz do pokoju, nikt cię nie zauważa. A kiedy ludzie widzą mnie, spodziewają się zbyt wiele i nie mogą sprostać ich oczekiwaniom”. Na pewno nikt by go nie wziął za posłańca.

Ale Perot ze swoją przeciętną twarzą, mizernym wzrostem i ubraniami z domu towarowego był w tej roli przekonujący.

Weszli do budynku dworca lotniczego. Perot tłumaczył sobie w myślach, że wojsko, które zarządza lotniskiem, i Ministerstwo Sprawiedliwości, w którym pracuje Dadgar, to dwie zupełnie różne instytucje rządowe i gdyby jedna z nich wiedziała, co druga robi lub kogo szuka, to byłaby to najskuteczniej przeprowadzona operacja w historii tego rządu.

Podszedł do biurka i podał swój paszport. Podstemplowano go mu i oddano z powrotem. Poszedł dalej.

Kontrola celna nie miała nic przeciwko temu.

Pilot wskazał, gdzie ma zostawić pojemnik z taśmami. Zostawił go i podziękował pilotowi.

Odwrócił się i zobaczył wśród oczekujących wysokiego, dystyngowanego wyglądającego przyjaciela - Keane'a Taylora. Perot lubił Taylora.

- Cześć, Ross, jak poszło? - zapytał Taylor.

- Wspaniale - odparł Perot z uśmiechem. - Nie szukali nikogo takiego jak ja.

Wyszli z lotniska.

- Przekonałeś się - zapytał Perot - że nie przysłałem cię tu po to, żebyś zajmował się jakimiś administracyjnymi bzdurami.

- Tak, wiem - odpowiedział Taylor.

Wsiedli do samochodu Taylora. Howell i Young zajęli miejsca z tyłu. Kiedy ruszyli z parkingu, Taylor oznajmił:

- Pojedziemy okrężną drogą, żeby uniknąć najgorszych zamieszek. Perot pomyślał, że nie brzmi to zbyt obiecująco.

Wzdłuż drogi wznosiły się na wpół wykończone betonowe budynki, z dźwigami na dachach. Wyglądało na to, że prace przy nich zostały wstrzymane. Kiedy Perot przyjrzał się im dokładnie, zauważył, że mieszkają w nich ludzie. Sprawiało to wrażenie trafnego symbolu tego, jak szach zbyt szybko starał się ucywilizować swój kraj.

Taylor mówił o samochodach. Zgromadził samochody EDS na boisku szkolnym i wynajął kilku Irańczyków, aby ich pilnowali. Zorientował się jednak przy tym, że Irańczycy zaczęli w gruncie rzeczy prowadzić sklep z używanymi samochodami, wyprzedając je, jak leci.

Perot zauważył przy okazji, że przed każdą stacją benzynową stały długie kolejki. Pomyślał o tym, iż w kraju tak bogatym w ropę zakrawa to na ironię. W kolejkach stały jednak nie tylko samochody, ale również i ludzie z kanistrami.

- Co oni tu robią? - zapytał. - Jeżeli nie mają samochodów, to po co im benzyna?

- Sprzedają ją temu, kto da więcej - wyjaśnił Taylor. - Albo możesz ich wynająć, żeby stali za ciebie w kolejce. Zatrzymali się przy blokadzie ulicznej. Po drodze zobaczyli kilka płonących samochodów. Wokół było wielu facetów z pistoletami maszynowymi. Jechali dalej. I Perot zauważył znowu płonące samochody, karabiny maszynowe i zablokowaną ulicę. Mogło to zapewne kogoś przestraszyć, ale jednak wrażenia przestachu nie odniósł. Zobaczył po prostu, że ci ludzie spontanicznie dawali wyraz swym uczuciom, odkąd osłabł zupełnie żelazny ucisk szacha. Zauważył także, że armia nie próbowała nawet kiwnąć palcem, aby utrzymać ład i porządek w tym kraju.

I cóż, dotychczas przyglądał się tylko czemuś - co nazywa się „przemoc” - z boku, jako turysta. Przypomniawszy sobie, że w Laosie z małego samolotu widział kiedyś walczących ludzi. Był wtedy spokojny i obojętny. Przypuszczał wówczas, że tak właśnie wygląda bitwa. Jest

zaciekła, kiedy znajdziesz się w jej centrum, ale w odległości pięciu minut marszu nic się nie dzieje. Wjechali na wielkie rondo, w jego centrum stał pomnik przypominający statek kosmiczny z dalekiej przyszłości. Sterczał nad ulicą, na czterech gigantycznych, rozstawionych nogach.

- A cóż to takiego? - zapytał Perot.

- To pomnik Szahyad - odparł Taylor. - To takie muzeum na wierzchołku. Za chwilę wjechali na podjazd hotelu „Hyatt Court Regency”.

- To nowy hotel - wyjaśnił Taylor. - Dopiero go otworzyły te przekłete łobuzy. Ale to nieźle - wspaniale żywią, podają niegorsze wina, wieczorami grają... Żyjemy tu jak królowie w mieście, które się rozpada.

Weszli do hallu i wsiedli do windy.

- Nie musisz się tutaj meldować - powiedział Taylor Perotowi. - Apartament jest wynajęty na mnie. Lepiej, żeby twoje nazwisko nigdzie nie figurowało.

- W porządku.

Wysiedli na dziesiątym piętrze. - Wszystkie pokoje należą do nas – wyjaśnił Taylor, otwierając drzwi.

- Czy zechcesz się rozejrzeć? - zaproponował Taylor.

Perot wszedł, popatrzył i uśmiechnął się. Gabinet był duży. Obok niego była wielka sypialnia. Zajrzał do łazienki - była dostatecznie obszerna, aby urządzić w niej cocktail party.

- Czy wszystko w porządku? - spytał Taylor z uśmiechem.

- Gdybyś zobaczył, jaki pokój miałem ubiegłej nocy w Ammanie, to byś nie pytał.

Taylor wyszedł, a Perot pozostał sam.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Z okien apartamentu obejrzał podjazd. „To może dać kilka dodatkowych minut - pomyślał - jeżeli przyjdzie po mnie oddział wojska albo ten motłoch.

A co ja wtedy zrobię?”

Postanowił nakreślić plan ewentualnej ucieczki. Wyszedł z



apartamentu i przeszedł korytarzem tam i z powrotem. Po drodze minął kilka pustych pokoi z nie zamkniętymi drzwiami. Na każdym końcu korytarza było wyjście na klatkę schodową. Zszedł piętro niżej. Było tu jeszcze więcej pustych pokoi, niektóre z nich w ogóle nie były umeblowane. Hotel, podobnie jak wiele budynków w całym mieście, był nie wykończony.

„Mógłbym schodzić tymi schodami w dół - pomyślał - i gdybym usłyszał, że wchodzi na górę, wpadnę do jednego z korytarzy i schowam się w pustym pokoju. W ten sposób dotrę do parteru”. Dotarł schodami aż na sam dół i zwiedził parter.

Przeszedł przez kilka sal bankietowych, które przeważnie wcale nie były wykorzystywane. Był tam cały labirynt kuchni z tysiącem kryjówek: - szczególnie zapamiętał wielkie kontenery na żywność, w których bez trudu mógł się zmieścić człowiek niewielkiego wzrostu. Z sal bankietowych można było wyjść na teren rekreacyjno - sportowy. Był zupełnie niezły: z sauną i basenem. Otworzył drzwi prowadzące z klubu i znalazł się na zewnątrz, na parkingu hotelowym. Tutaj mógł wziąć samochód EDS i zniknąć w mieście, mógł przejść stąd do następnego hotelu Evin albo po prostu wbiec w las tych nie wykończonych wieżowców, po drugiej stronie parkingu.

Powrócił do hotelu i wsiadł do windy. Gdy jechał do góry, pomyślał, że przez cały czas w Teheranie będzie ubierał się tak samo niedbale. Zakupił przecież luźne spodnie koloru khaki, kilka flanelowych koszul w kratę, miał też ze sobą swój dres do joggingu. Nic nie mógł jednak na to poradzić, że ze swoją bladą, gładko wygoloną twarzą, niebieskimi oczyma i przyciętymi krótko włosami wyglądał na Amerykanina. Ale przynajmniej mógł się za to postarać, aby nie wyglądać na ważnego Amerykanina, a zwłaszcza na multimilionera, właściciela firmy Electronic Data Systems.

Odnalazł pokój Taylora i chciał zacząć naradę. Chciałby pójść do ambasady Stanów Zjednoczonych i porozmawiać z ambasadorem Sullivanem. Chciał także iść do kwatery głównej Amerykańskiej Grupy Doradztwa Wojskowego w Iranie i zobaczyć się z generałami Huyserem

i Gastem. Chciał też, żeby Taylor i John Howell popędzili Dadgarowi kota. Chciał ruszać się, działać, chciał rozwiązać cały ten problem, chciał wyciągnąć Paula i Billa z więzienia, i to szybko.

Stuknął pięścią w drzwi pokoju Taylora i wszedł do środka. - W porządku, Keane - oznajmił. - Wprowadź mnie w sytuację.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### 1.

Matka Johna Howella często powtarzała, że urodził się on w dziewiątej minucie dziewiątej godziny dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca 1946 roku.

Był to niski, szczupły mężczyzna, o lekko niezgrabnym kroku i przerzedzonych - mimo młodego wieku - delikatnych, kasztanowych włosach. Miał też lekkiego zeza i delikatną chrypkę, jakby był stale przeziębiony. Mówił bardzo wolno i często mrugał.

Miał trzydzieści dwa lata i był bliskim współpracownikiem Toma Luce'a w jego firmie prawniczej w Dallas. Podobnie, jak wiele osób w otoczeniu Rossa Perota, Howell osiągnął odpowiedzialne stanowisko w stosunkowo młodym wieku. Jego największą zaletą jako prawnika była wytrzymłość. „John wygrywa przepracowując swoich przeciwników” zwykł żartować Luce. W czasie weekendów sobotę albo niedzielę spędzał w biurze porządkując sprawy, kończąc to, co zostało przerwane jakimś telefonem i przygotowując zajęcia na następny tydzień. Czuł się nieszczęśliwy wtedy, gdy sprawy domowe pozbawiały go tego szóstego dnia roboczego. W dodatku bardzo często pracował do późnych godzin wieczornych i zapominał o obiadach w domu, czym sprawiał wielką przykrość swojej żonie, Angeli.

Podobnie jak Perot, Howell urodził się w Texarkanie. I podobnie jak Perot, był mały wzrostem, ale wielki duchem. Pomimo to jednak, w południe 14 stycznia, był przerażony. Miał właśnie spotkać się z Dadgarem.

Poprzedniego wieczoru, natychmiast po przylocie do Teheranu, Howell spotkał się z Ahmadem Houmanem, nowym miejscowym przedstawicielem prawnym EDS. Dr Houman doradził mu, żeby nie spotykał się z Dadgarem, a w każdym razie jeszcze nie teraz. Było całkiem możliwe, że Dadgar ma zamiar aresztować wszystkich Amerykanów z EDS, jakich zdoła znaleźć, nie wykluczając również prawników.

Howell uznał, że Houman sprawia dobre wrażenie. Potężny, pulchny mężczyzna około sześćdziesiątki, dobrze ubrany jak na standardy irańskie, był poprzednio prezesem Irańskiej Izby Adwokackiej. Chociaż nie mówił dobrze po angielsku, za to francuski stanowił jego drugi język, sprawiał wrażenie zręcznego i pewnego siebie.

Porada Houmana odpowiadała przekonaniom Howella. Zawsze lubił przygotowywać się bardzo dokładnie do jakiegokolwiek konfrontacji. Wierzył w starą zasadę prawników procesowych: nigdy nie zadawaj pytania, jeżeli nie znasz na nie odpowiedzi.

Zdanie Houmana poparła Bunny Fleischaker. Bunny, Amerykanka z kontaktami w irańskim Ministerstwie Sprawiedliwości, jeszcze w grudniu ostrzegła Jaya Coburn, że Paul i Bill zostaną aresztowani, wówczas jednak nikt jej nie uwierzył. Fakty nadały poniewczesne wiarygodności jej słowom; kiedy w pierwszych dniach stycznia zadzwoniła do Richa Gallaghery o jedenastej wieczór, potraktowano ją poważnie.

Rozmowa ta przypominała Gallagherowi telefoniczne dialogi z „Wszystkich ludzi prezydenta”, kiedy to nerwowy informator porozumiewał się z dziennikarzami zaimprovizowanym szyfrem. Bunny powiedziała:

- Czy pan wie, kto mówi?

- Tak sędzę - odparł Gallagher.

- Powiedziano panu o mnie.

- Tak.

Wyjaśniła mu, że telefony EDS są na podsłuchu, a rozmowy są nagrywane. Chciała uprzedzić, iż istnieje poważna obawa, że Dadgar zaaresztuje jeszcze więcej osób z kierownictwa EDS. Zasugerowała, że powinni oni albo opuścić kraj, albo przenieść się do hotelu, gdzie będzie wielu reporterów. Lloyd Briggs, który jako zastępca Paula mógł zostać najbardziej prawdopodobnym celem Dadgara, wyjechał z kraju - tak czy owak musiał pojechać do Stanów, aby poinstruować prawników EDS. Inni, Gallagher i Keane Taylor przenieśli się do Hyatta.

Dadgar nie aresztował - jak na razie - innych pracowników EDS.

Howell nie potrzebował dodatkowych dowodów. Miał zamiar schodzić Dadgarowi z drogi, dopóki nie zorientuje się, jakie są zasady gry.

Tymczasem, o ósmej trzydzieści tego ranka, Dadgar zrobił nalot na „Bukareszt”.

Pojawił się wraz z szóstką współpracowników i zażądał okazania mu akt EDS. Howell, który ukrywał się w biurze na innym piętrze, zadzwonił do Houmana. Po krótkiej dyskusji irański prawnik doradził, aby cały personel EDS współpracował z Dadgarem.

Dadgar chciał zapoznać się z dokumentami Paula Chiapparone. Szafka w gabinecie sekretarza Paula była zamknięta i nikt nie mógł znaleźć klucza. Oczywiście spotęgowało to zainteresowanie Dadgara tymi papierami.

Keane Taylor rozwiązał problem w najprostszy sposób: wyłamał zamek szafki łomem.

W tym samym czasie Howell wymknął się z budynku, spotkał z dr Houmanem i poszedł do Ministerstwa Sprawiedliwości.

To również było paskudne przeżycie, ponieważ musiał przebijać się przez roznamiętniony tłum, demonstrujący przed Ministerstwem przeciwko przetrzymywaniu więźniów politycznych.

Howell i Houman mieli umówione spotkanie z dr Kianem,

przełożonym Dadgara.

Howell oznajmił Kianowi, że EDS jest godną szacunku firmą, która nie popełniła żadnych przestępstw. Jest gotów współpracować w każdym prowadzonym postępowaniu, aby oczyścić przedsiębiorstwo ze stawianych mu zarzutów, pragnie jednak, aby pracowników EDS zwolniono z więzienia.

Kian oznajmił, iż polecił jednemu ze swoich zastępców, aby poprosił Dadgara o dokonanie rewizji sprawy.

Dla Howella nie oznaczało to niczego.

Rozmowa prowadzona była w *farsi*. Tłumaczył ją Houman. Irański adwokat powiedział, że Kian w zasadzie nie jest zupełnie przeciwny zmniejszeniu kaucji. Zdaniem Houmana można było liczyć, że zostanie zmniejszona do połowy.

Kian dał też Howellowi list upoważniający go do odwiedzenia Paula i Billa w więzieniu.

Spotkanie to było całkowicie bezowocne. Howell i tak był zachwycony tym, że Kian go nie aresztował.

Kiedy powrócił do „Bukaresztu”, dowiedział się, że Dadgar również nikogo nie zatrzymał.

Jego instynkt prawnika ciągle przestrzegał go przed spotkaniem z Dadgarem. Obecnie jednak owo instynktowne uczucie walczyło z drugą stroną jego osobowości: niecierpliwością. Były takie chwile, gdy Howella męczyły analizy, przygotowania, przewidywania i planowanie - chwile, kiedy chciał wyjść naprzeciw trudnościom, a nie jedynie myśleć o nich. Lubił przejmować inicjatywę, lubił, gdy przeciwnicy musieli reagować na jego posunięcia, a nie na odwrót. Skłonność ta była potęgowana obecnością w Teheranie Rossa Perota, który zawsze wstawał pierwszy z samego rana i siedział ludziom na karku pytając, co osiągnęli wczoraj i co zamierzają zrobić dzisiaj. Tak więc niecierpliwość przeważała tym razem ostrożność - i Howell postanowił stawić czoło Dadgarowi.

Dlatego właśnie był przerażony.

Jeżeli jednak był nieszczęśliwy, to jego żona tym bardziej.

Angela Howell w ciągu ostatnich dwóch miesięcy nie widywała męża zbyt często. Większą część listopada i grudnia spędził w Teheranie próbując przekonać Ministerstwo, aby zapłaciło rachunek wystawiony przez EDS. Od chwili powrotu do Stanów przesiadywał w dyrekcji EDS, godzinami zajmując się sprawą Paula i Billa, chyba że pędził do Nowego Jorku na spotkania z prawnikami irańskimi. 31 grudnia rankiem Howell powrócił do domu po przepracowaniu całej nocy w EDS. Zastał tam Angelę tulącą w ramionach przed płonącym kominkiem dziewięciomiesięcznego Michaela. W domu było ciemno i zimno - burza śnieżna spowodowała awarię prądu. Przewiózł ich do mieszkania swojej siostry i znowu poleciał do Nowego Jorku.

Angela miała już tego wszystkiego po uszy i kiedy oznajmił jej, że znowu leci do Teheranu, bardzo ją to przygnębiło.

- Wiesz, co się tam dzieje - powiedziała. - Dlaczego musisz tam wrócić? Kłopot polegał na tym, że nie miał prostej odpowiedzi na to pytanie. Nie było również jasne, co właściwie ma tam robić. Miał wymyślić rozwiązanie problemu, ale nie wiedział jak. Gdyby powiedział: „Słuchaj, to trzeba zrobić, jest to mój obowiązek i tylko ja mogę się tym zająć”, może by go zrozumiała.

- John, jesteśmy rodziną. Potrzebuję twojej pomocy - stwierdziła, mając na myśli burze, przerwy w dopływie prądu i dziecko.

- Przykro mi, ale musisz sobie radzić, najlepiej jak potrafisz. Będziemy w kontakcie - Howell mógł jej powiedzieć tylko tyle.

Nie byli małżeństwem, które okazywałoby swoje uczucia wykrzykując nawzajem. Bardzo często, kiedy sprawiał jej przykrość pracując do późna, kiedy musiała siedzieć sama w domu i jeść obiad, który przygotowała dla niego, pewien chłód w jej zachowaniu był czymś najbardziej zbliżonym do kłótni. Ale było to gorsze, niż samotna kolacja - opuszczał ją i dziecko, kiedy potrzebowali go najbardziej.

Tego wieczoru mieli ze sobą długą rozmowę. Angela nie była może po niej szczęśliwsza, ale przynajmniej pogodzona z losem.

Od tej pory zadzwonił do niej kilka razy z Londynu i Teheranu. W dzienniku telewizyjnym widziała zamieszki i niepokoiła się o niego.

Gdyby wiedziała, co on ma teraz zrobić, byłaby jeszcze bardziej zaniepokojona.

Przestał myśleć o kłopotach domowych i poszedł szukać Abolhasana. Abolhasan był najstarszym rangą irańskim pracownikiem EDS. Kiedy Lloyd Briggs odleciał do Nowego Jorku, Abolhasan kierował placówką irańską firmy (Rich Gallagher, jedyny Amerykanin, który tam pozostał, nie był dyrektorem). Potem powrócił Keane Taylor i przejął w pełni kierownictwo, czym Abolhasan poczuł się nieco urażony. Taylor nie był dyplomatą. (Bill Gayden, wspaniały prezes EDS World, puścił w obieg sarkastyczne zdanie: „wrażliwość weterana piechoty morskiej”). Powstały tarcia. Ale Howell dobrze zgadza] się z Abolhasanem, który nie tylko potrafił tłumaczyć z *farsi*, ale także wyjaśniał amerykańskim pracownikom perskie obyczaje i sposoby działania.

Dadgar znał ojca Abolhasana, zasłużonego prawnika. Abolhasana poznał podczas przesłuchania Paula i Billa. Dlatego też owego ranka Abolhasan spełniał rolę łącznika z urzędnikami śledczymi Dadgara. Polecono mu przy tym dopilnować, aby otrzymali wszystko, czego zażądata.

- Doszedłem do wniosku - powiedział Howell Abolhasanowi - że powinienem spotkać się z Dadgarem. Co o tym myślisz?

- Jasne - odparł Abolhasan. Miał żonę Amerykankę i mówił po angielsku z akcentem amerykańskim. - Nie sądzę, żeby był z tym jakiś problem.

- W porządku. No to chodźmy.

Abolhasan zaprowadził Howella do sali konferencyjnej Paula Chiapparone. Dadgar i jego pomocnicy siedzieli wokół wielkiego stołu, przeglądając dokumenty finansowe EDS. Abolhasan poprosił Dadgara, aby zechciał przejść do sąsiedniego pokoju - gabinetu Paula - a potem przedstawił Howella.

Dadgar przywitał go chłodno.

Usiedli przy stoliku w rogu gabinetu. Dadgar nie sprawiał na Howella wrażenia jakiegoś potwora. Był to mężczyzna w średnim



wieku raczej zmęczony i zaczynający łysieć.

Howell zaczął powtarzać Dadgarowi to samo, co mówił już dr Kianowi.

- EDS jest godną szacunku firmą, która nie uczyniła nic złego i jest gotowa współpracować z każdym prowadzącym dochodzenie. Nie może jednak tolerować przetrzymywania dwóch kierowników wyższego szczebla w więzieniu.

Przetłumaczona przez Abolhasana odpowiedź Dadgara zaskoczyła go.

- Skoro nie uczyniliście nic złego, to dlaczego nie zapłaciliście kaucji?

- Nie widzę tu żadnego związku - odparł Howell. - Kaucja jest formą gwarancji, że ktoś stawia się na procesie, nie zaś sumą, która ulegnie przepadkowi, jeżeli zostanie orzeczona jego wina. Kaucja zostaje zwrócona, gdy tylko oskarżony pojawi się w sądzie, niezależnie od wyroku.

Podczas gdy Abolhasan tłumaczył, Howell zastanawiał się, czy słowo „kaucja”, którego Dadgar użył, gdy zażądał zapłacenia owych ponad dwunastu milionów dolarów było właściwie przełożone. Poza tym Howell przypominał sobie obecnie coś, co mogło mieć znaczenie. W dniu, kiedy aresztowano Paula i Billa, rozmawiał przez telefon z Abolhasanem, który poinformował go, że wymieniona kwota stanowi według Dadgara ogólną sumę, jaką EDS otrzymało do tej chwili z Ministerstwa Zdrowia. Dadgar wyraził pogląd, że jeśli kontrakt został przyznany na skutek przekupstwa, to owe pieniądze nie należą się EDS. Abolhasan nie przetłumaczył wtedy tej uwagi Paulowi i Billowi.

W rzeczy samej EDS otrzymało o wiele więcej niż trzynaście milionów dolarów, w związku z czym uwaga ta nie miała sensu i Howell pominął ją. Możliwe, że był to błąd, mogło się przecież zdarzyć, że po prostu obliczenia Dadgara były błędne.

Abolhasan tłumaczył odpowiedź Dadgara.

- Jeżeli ci ludzie są niewinni, to nie widzę powodu, dla którego nie mieliby się stawić na procesie. W związku z tym płacąc kaucję nic państwo nie ryzykujecie.

- Amerykańska korporacja nie może tego zrobić - Howell, mówiąc to, wprawdzie nie kłamał, ale świadomie wprowadzał Dadgara w błąd.  
- EDS jest przedsiębiorstwem udziałowym i - zgodnie z amerykańskimi przepisami dotyczącymi papierów wartościowych - może obracać swoimi pieniędzmi jedynie po to, aby przynieść korzyść akcjonariuszom. Paul i Bill są całkowicie niezależnymi osobami i firma nasza nie może zagwarantować, że stawia się na procesie.

W związku z tym nie możemy wydatkować pieniędzy naszego przedsiębiorstwa w taki sposób.

Był to wstępny warunek pertraktacji, który Howell sformułował już poprzednio, w miarę jednak, gdy Abolhasan tłumaczył jego słowa, widział wyraźnie, że sprawiają one na Dadgarze niewielkie wrażenie.

- W takim razie kaucję muszą złożyć ich rodziny - ciągnął dalej Howell.

- Właśnie gromadzą one w Stanach pieniądze, ale trzynaście milionów dolarów nie wchodzi w grę. Jednak gdyby kaucja została obniżona do bardziej rozsądnej sumy, może będą w stanie zapłacić ją.

Oczywiście, wszystko to było kłamstwem, kaucję zapłaciłby Ross Perot - gdyby musiał i gdyby Tom Walter zdołał znaleźć sposób przekazania pieniędzy do Iranu.

Tym razem Dadgar był zaskoczony.

- Czy to prawda, że nie możecie zmusić swoich ludzi, aby zjawili się na procesie?

- Oczywiście - odparł Howell. - A co moglibyśmy zrobić? Zakuć ich w łańcuchy? Nie jesteśmy policją. Jak pan widzi, trzyma pan w więzieniu ludzi za rzekome przestępstwa firmy.

- Nie - odparł Dadgar. - Przebywają w więzieniu za to, czego dopuścili się osobiście.

- To znaczy?

- Uzyskali pieniądze z Ministerstwa Zdrowia na podstawie sfałszowanych sprawozdań o postępie prac.

- To w żaden sposób nie może odnosić się do Billa Gaylorda, ministerstwo bowiem nie zapłaciło żadnego z przedstawionych

rachunków od chwili jego przyjazdu do Teheranu. O co więc jest oskarżony?

- Fałszował sprawozdania, a poza tym nie mam zamiaru pozwolić, żeby mnie pan przesłuchiwał, panie Howell.

Howell przypomniał sobie nagle, że Dadgar może wpakować go do więzienia.

- To ja prowadzę dochodzenie - ciągnął dalej Dadgar. - A kiedy zostanie ukończone - albo zwolnię pańskich klientów, albo przedstawię im akt oskarżenia.

- Pragniemy współpracować z panem w prowadzeniu przez pana dochodzenia - stwierdził Howell. - A tymczasem, w jaki sposób możemy spowodować uwolnienie Paula i Billa?

- Płacąc kaucję.

- A jeśli zostaną zwolnieni za kaucją, czy uzyskają pozwolenie na opuszczenie Iranu?

- Nie.

## 2.

Jay Coburn szedł do hallu hotelu Sheraton przez podwójne, rozsuwane szklane drzwi. Po prawej stronie znajdował się długi kontuar recepcji, po lewej - sklepy hotelowe. Na środku hallu stała kanapa.

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami kupił w kiosku egzemplarz „Newsweeka”. Usiadł na kanapie twarzą do drzwi, tak że mógł widzieć każdą wchodzącą osobę, i udawał, że czyta.

Czuł się jak bohater szpiegowskiego filmu.

Plan uwolnienia zawieszono do czasu, gdy Majid dostarczy danych o pułkowniku zarządzającym więzieniem. Coburn natomiast wykonywał pracę dla Perota. Miał umówione spotkanie z człowiekiem przezwany „Głębokie Gardło”, na wzór tajemniczej postaci, która

przekazywała „głębokie tło” reporterowi Bobowi Woodwardowi we „Wszystkich ludziach prezydenta”. „w „Głębokie Gardło” był amerykańskim konsultantem, który urządzał dla kierownictw zagranicznych firm szkolenia na temat prowadzenia interesów z Irańczykami. Przed aresztowaniem Paula i Billa Lloyd Briggs zaangażował „Głębokie Gardło”, aby ten dopomógł EDS zmusić ministerstwo do zapłacenia rachunków „Głębokie Gardło” poinformował Briggsa, że EDS ma poważne kłopoty, ale za dwa i pół miliona dolarów może mieć czyste konto. Wtedy EDS odrzuciło tę radę - to rząd był winien pieniądze EDS, nie zaś na odwrót. To Irańczykom powinno było zależeć na uzyskaniu czystego konta.

Aresztowanie potwierdziło wiarygodność „Głębokiego Gardła” (podobnie jak wiarygodność Bunny Fleischaker) i Briggs znowu skontaktował się z nim. „Cóż, teraz są na was wściekli”, powiedział „Głębokie Gardło”. „Będzie to trudniejsze niż kiedykolwiek, ale zobaczę, co się da zrobić”.

Zadzwoił ponownie wczoraj. Może rozwiązać problem, oznajmił. Zażądał bezpośredniego spotkania z Rossem Perotem.

Taylor, Howell, Young i Gallagher jednogłośnie uznali, że pod żadnym pozorem Perot nie może narażać się na takie spotkanie. Byli przerażeni, że „Głębokie Gardło” w ogóle wie o obecności Perota w mieście. Dlatego też Perot zapytał Simonsa, czy może zamiast siebie wysłać Coburna, Simons wyraził zgodę.

Coburn zadzwonił do „Głębokiego Gardła” i oznajmił, że będzie reprezentować Perota.

- Nie - zaprotestował „Głębokie Gardło” - to musi być sam Perot.
- W takim razie sprawa jest nieaktualna - odparł Coburn.
- Dobrze już, dobrze - wycofał się „Głębokie Gardło” i udzielił Coburnowi instrukcji.

Coburn powinien o ósmej wieczorem podejść do pewnej budki telefonicznej w rejonie Vanak, niedaleko domu Keane’a Taylora.

Dokładnie o ósmej telefon w budce zadzwonił. „Głębokie Gardło” powiedział Coburnowi, aby poszedł do położonego niedaleko hotelu

Sheraton i usiadł w hallu czytając „Newsweeka”. Spotkają się tam i rozpoznają dzięki hasłu. „Głębokie Gardło” zapyta go: „Czy wie pan, gdzie jest Pahlavi Avenue?” Była przecznicę dalej, ale Coburn miał odpowiedzieć: „Nie, nie wiem. Jestem w mieście od niedawna”.

Dlatego właśnie Jay Coburn czuł się jak szpieg z filmu.

Zgodnie z radą Simonsa miał na sobie długi, podniszczony płaszcz, nazwany przez Taylora płaszczem „Maskotki Michelina”. Dzięki temu miało się okazać, czy „Głębokie Gardło” spróbuje go przeszukać. Jeżeli nie, będzie mógł przy następnych spotkaniach schować pod płaszczem magnetofon i nagrać rozmowę.

Przerzucał kartki „Newsweeka”.

- Czy wie pan, gdzie jest Pahlavi Avenue?

Coburn podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę mniej więcej jego wzrostu i tuszy, tuż po czterdziestce, o ciemnych, przylizanych włosach i w okularach.

- Nie, nie wiem. Jestem w mieście od niedawna. „Głębokie Gardło” rozejrzał się nerwowo.

- Chodźmy - powiedział. - Tam - wskazał ręką.

Coburn wstał i poszedł za nim na tyły hotelu. Zatrzymali się w ciemnym przejściu.

- Muszę pana przeszukać - oznajmił „Głębokie Gardło”. Coburn podniósł ręce.

- Czego pan się obawia?

„Głębokie Gardło” roześmiał się pogardliwie.

- Nie można nikomu ufać. W tym mieście nie przestrzega się już żadnych zasad. - Zakończył rewizję.

- Czy wrócimy do hallu?

- Nie! Może być pod obserwacją... Nie mogę ryzykować, że ktoś mnie z panem zobaczy.

- W porządku. Co pan proponuje?

„Głębokie Gardło” znowu roześmiał się pogardliwie.

- Jesteście w tarapatkach, panowie - powiedział. - Już raz spartoli - liście sprawę nie chcąc słuchać ludzi, którzy znają ten kraj.

- W jaki sposób spartoliliśmy?  
- Myślicie, że to Teksas. Gruby błąd.  
- Ale w jaki sposób spartoliliśmy?  
- Mogliście się z tego wypłatać za dwa i pół miliona dolarów. Teraz będzie to kosztowało sześć.

- Na czym polegać ma umowa?  
- Jeszcze chwilę. Ostatnim razem zostawiliście mnie na lodzie. Teraz macie ostatnią szansę. Tym razem nie będzie wycofywania się w ostatniej chwili.

Coburn nie mógł poczuć sympatii do „Głębokiego Gardła”. Facet był cwaniakiem. Cały jego sposób bycia mówił: „Jesteście tacy głupi, a ja wiem o tyle więcej od was, że trudno mi się zniżać do waszego poziomu”.

- Komu mamy zapłacić? - spytał Coburn.  
- Na numer konta w Szwajcarii.  
- A skąd mamy mieć pewność, że otrzymamy to, za co płacimy?  
- Proszę pana - roześmiał się „Głębokie Gardło” - tak się mają rzeczy w tym kraju, że nie można wypuszczać forsy z ręki, dopóki towar nie zostanie doręczony. Tak się to tutaj załatwia.

- W porządku. Więc jak wygląda umowa?  
- Lloyd Briggs spotka się ze mną w Szwajcarii i otwieramy zastrzeżony rachunek oraz podpisujemy umowę, która zostanie złożona w banku. Pieniądze na koncie zostaną odblokowane, kiedy Chiapparone i Gaylord zostaną wypuszczeni - a to nastąpi niezwłocznie, jeżeli pozwolicie mi działać.

- Kto otrzyma pieniądze?  
„Głębokie Gardło” pokręcił tylko z pogardą głową.  
- Dobrze - powiedział Coburn - skąd jednak mamy wiedzieć, że istotnie ma pan na tę sprawę wpływ?

- Proszę pana, ja tylko przekazuję informację od ludzi zbliżonych do osoby, która sprawia wam kłopoty.

- Mówi pan o Dadgarze?  
- Nigdy się pan nie nauczy, co?

Coburn nie tylko miał zorientować się, na czym polega oferta „Głębokiego Gardła”, ale także dokonać oceny tego człowieka. No cóż, zrobił to: „Głębokie Gardło” był zwykłym gnojkiem.

- W porządku - rzekł. - Będziemy w kontakcie.

\* \* \*

Keane Taylor nalał do dużej szklanki trochę rumu, dodał lodu i uzupełnił wszystko Coca. Tak wyglądał jego zwykły drink.

Taylor był potężnym facetem. Miał sześć stóp i dwa cale wzrostu, ważył 210 funtów, a jego klatka piersiowa przypominała beczkę. W piechocie morskiej grał w amerykański futbol. Dbał o swój wygląd, najbardziej lubił nosić garnitury z głęboko wyciętymi kamizelkami i koszule z kołnierzykami o rożkach zapiętych na guziki. Nosił duże okulary w złotej oprawie. Miał trzydzieści dziewięć lat i zaczynał łyseć.

W młodości był z niego kawał awanturnika. Wyrzucono go z college'u, zdegradowano z sierżanta w piechocie morskiej za wykroczenia dyscyplinarne. Ale nadal nie cierpiał ścisłego nadzoru. Wolał pracować w filii EDS World - był wtedy z dala od dyrekcji.

A teraz znalazł się pod ścisłym nadzorem. Po czterech dniach pobytu Rossa Perota w Teheranie był wściekły.

Taylor nienawidził wieczornych odpraw sprawozdawczych u szefa. Po tym, jak on i Howell spędzili cały dzień uganiając się po mieście, przedzierając się przez demonstracje, walcząc z ruchem ulicznym i nieprzejeżdżanym oporem irańskich oficjeli, musieli tłumaczyć Perotowi, dlaczego nic nie zdołali osiągnąć.

Co gorsza, Perot przez prawie cały czas musiał przebywać w hotelu. Wyszedł z niego tylko dwa razy: raz, aby pojechać do ambasady Stanów Zjednoczonych, i drugi raz - do Kwatery Głównej Amerykańskiej Misji Wojskowej. Taylor poczynił wszelkie kroki, aby upewnić się, że nikt nie da Perotowi kluczyków do samochodu ani miejscowych pieniędzy. Chciał zapobiec w ten sposób jakiegokolwiek jego próbie wyjścia do miasta. Na

skutek tego Perot zachowywał się jak niedźwiedź w klatce i zdawanie mu sprawozdania przypominało wchodzenie do klatki z niedźwiedziem.

Taylor przynajmniej nie musiał już dłużej udawać, że nie wie nic o grupie ratowniczej. Coburn zabrał go na spotkanie z Simonsem. Rozmawiali ze sobą przez trzy godziny. Właściwie to Taylor mówił - Simons tylko zadawał pytania. Siedzieli w salonie w domu Taylora i Simons strząsał popiół z cygara na dywan. Taylor powiedział mu wtedy, że Iran przypomina zwierzę bez głowy. Głowa - ministrowie i urzędnicy wciąż próbują wydawać polecenia, ale ciało - naród irański - robi swoje. W związku z tym naciski polityczne nie są w stanie pomóc Paulowi i Billowi, należy albo zapłacić kaucję, albo uwolnić ich siłą. Przez trzy godziny Simons nie zmienił tonu, nie wyraził swojej opinii ani nawet nie ruszył się z krzesła.

Ale chłód Simonsa był łatwiejszy do zniesienia od ognia Perota. Każdego ranka, gdy Taylor golił się, Perot stukał do drzwi. Taylor wstawał każdego dnia nieco wcześniej, żeby być przygotowanym na przyjście Perota, który jednak również codziennie wstawał coraz wcześniej. Ostatecznie Taylor zaczął wyobrażać sobie Perota podsłuchującego pod drzwiami przez całą noc, aby zaskoczyć go podczas golenia. Jego przełożony tryskał wówczas pomysłami, które przyszły mu na myśl podczas nocy, nowymi dowodami niewinności Paula i Billa, nowymi koncepcjami przekonania Irańczyków, żeby ich uwolnili. Taylor i John Howell - wysoki i niski, jak Batman i Robin, pędzili następnie do Ministerstwa Sprawiedliwości albo Ministerstwa Zdrowia, gdzie urzędnicy w ciągu kilku sekund roznosili pomysły Perota na strzępy. Perot wciąż jeszcze prezentował racjonalne, legalistyczne, amerykańskie podejście do sprawy i - zdaniem Taylora - musiał dopiero zrozumieć, że Irańczycy nie grają zgodnie z tymi zasadami.

Nie tylko to zaprzętało myśli Taylora. Mary oraz ich dzieci, Mikę i Dawn, przebywali u jego rodziców w Pittsburgu. Ojciec i matka Taylora mieli już ponad osiemdziesiąt lat i oboje czuli się nie najlepiej. Matka



chorowała na serce i Mary sama musiała się nią opiekować. Nie skarżyła się, ale gdy rozmawiał z nią przez telefon, pojął, że nie jest uszczęśliwiona tą sytuacją.

Taylor westchnął. Nie może rozwiązać wszystkich problemów całego świata za jednym zamachem. Dolał sobie do szklanki, a potem, trzymając ją w ręku, poszedł do apartamentu Perota na wieczorną odprawę.

\* \* \*

Perot chodził tam i z powrotem po saloniku swojego apartamentu czekając, aż zbierze się grupa negocjatorów. Tu, w Teheranie, niewiele było z niego pożytku i dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

W Ambasadzie Stanów Zjednoczonych spotkał się z chłodnym przyjęciem. Wprowadzono go do pokoju Charlesa Naasa, charge d'affaires. Naas był bardzo uprzejmy, ale udzielił Perotowi tej samej starej rady, aby EDS dążyło do uwolnienia Paula i Billa zgodnie z prawem. Perot wymusił spotkanie z ambasadorem. Przeleciał przecież pół świata, żeby zobaczyć się z Sullivanem i nie ma zamiaru odlecieć nie porozmawiawszy z nim. Ostatecznie Sullivan zjawił się, uściśnął Perotowi rękę i oznajmił, że jego przylot do Iranu jest posunięciem nader nierozsądnym. Najwyraźniej Perot stanowił problem, Sullivan zaś nie chciał już żadnych problemów więcej. Przez chwilę rozmawiał z Rossem na stojąco i wyszedł, jak mógł najszybciej. Perot nie przywykł do takiego traktowania. W końcu był ważną osobistością i w normalnych okolicznościach taki dyplomata jak Sullivan byłby przynajmniej grzeczny, jeżeli nie pełen szacunku.

Perot rozmawiał również z Lou Goelzem, który sprawiał wrażenie szczerze przejętego losem Paula i Billa, ale nie zaproponował żadnej konkretnej pomocy. Przed biurem Naasa spotkał grupę attache wojskowych, którzy poznali go. Od czasu swojej kampanii na rzecz jeńców wojennych, Perot mógł zawsze liczyć na ciepłe przyjęcie ze

strony amerykańskich czynników wojskowych. Usiadł wraz z nimi i opowiedział im o swoim kłopotcie. Odpowiedzieli szczerze, że nie mogą mu pomóc. „Proszę posłuchać, niech pan zapomni o tym, co pan czytał w gazetach, zapomni o tym, co twierdzi publicznie Departament Stanu - powiedział mu jeden z nich. - Nie reprezentujemy tu żadnej siły, nie panujemy nad niczym.

W ambasadzie traci pan tylko czas”.

Perot zmarnował również swój czas w Kwaterze Głównej Amerykańskiej Misji Wojskowej. Przełożony Cathy Gallagher, pułkownik Keith Barlow, szef Dowództwa Amerykańskiego Wsparcia Wojskowego w Iranie przysłał do hotelu Hyatta samochód kuloodporny. Perot pojechał razem z Richem Gallagherem. Kierowca był Irańczykiem i Ross zastanawiał się, po której jest stronie.

Spotkali się z generałem lotnictwa Philipem Gastem, dowódcą Amerykańskiej Grupy Doradztwa Wojskowego w Iranie, oraz generałem „Holendrem” Huyserem. Perot znał nieco Huysera, zapamiętał go jako silnego, energicznego mężczyznę. Teraz jednak sprawiał on wrażenie wyczerpanego. Perot wiedział z gazet, że Huyser był wysłannikiem prezydenta Cartera, mającym przekonać irańskich wojskowych, żeby poparli skazany na przegraną rząd Bakhtiara. Ross domyślał się, że generał nie ma serca do tego zadania.

Huyser powiedział mu szczerze, że bardzo by chciał pomóc Paulowi i Billowi, ale w chwili obecnej nie posiada żadnego wpływu na Irańczyków, nie ma bowiem im nic do zaproponowania. Powiedział również, że nawet jeśli wyjdą z więzienia, w dalszym ciągu będą w niebezpieczeństwie. Perot oznajmił mu, że już się o to zatroszczył: Bull Simons jest tu, żeby zaopiekować się Paulem i Billem, gdy tylko wyjdą na wolność. Huyser wybuchnął śmiechem i chwilę potem Gast również zrozumiał żart. Wiedzieli, kim był Simons, i zdawali sobie sprawę, że na pewno przygotowuje się on do czegoś więcej niż zwykłej opieki.

Gast zaproponował, że dostarczy Simonsowi paliwo, ale to było wszystko, co mógł zrobić. Ciepłe słowa od wojskowych, zimny prysznic z ambasady, niewielka albo żadna pomoc z jednej i drugiej strony. A ze

strony Howella i Taylora nic, tylko wymówki.

Bezczynne siedzenie przez cały dzień w hotelu doprowadzało Perota do szaleństwa. Dzisiaj Cathy Gallagher poprosiła go, żeby zaopiekował się jej pudłem, Buffy. Zabrzmiało to tak, jakby czyniła mu zaszczyt, było świadectwem jej wielkiego szacunku dla Perota. Jego tak to zaskoczyło, że zgodził się. Kiedy teraz siedział, patrząc na zwierzę, uzmysłowił sobie, że jest to dość zabawne zajęcie dla szefa wielkiego, międzynarodowego przedsiębiorstwa i zastanawiał się, jak, u diabła, dał się na to namówić. Keane Taylor nie okazał mu współczucia, przeciwnie, uznał to za bardzo śmieszne. Po kilku godzinach Cathy wróciła od fryzjera, czy gdzie tam była, i zabrała psa, ale nie poprawiło to humoru Perota.

Rozległo się stukanie do drzwi i wszedł Taylor niosąc swojego tradycyjnego drinka. Za nim pojawił się John Howell, Rich Gallagher i Bob Young. Wszyscy usiedli.

- Czy powiedzieliście im - zapytał Perot - o naszej gwarancji, iż Paul i Bill stawią się w terminie trzydziestodniowym na przesłuchanie w dowolnym miejscu Stanów Zjednoczonych lub Europy w ciągu najbliższych dwu lat?

- Nie są tym zainteresowani - odparł Howell.

- Jak to „nie są zainteresowani”?

- Powtarzam ci po prostu, co mi powiedzieli...

- A jeżeli jest to dochodzenie, a nie próba szantażu, muszą tylko mieć pewność, że Paul i Bill będą osiągalni, kiedy zechcą ich przesłuchać.

- Już mają taką pewność. Przypuszczam, że nie widzą potrzeby jakichkolwiek zmian.

To mogło doprowadzić do szata. Odniósł wrażenie, że nie ma sposobu, aby dojść z Irańczykami do porozumienia.

- Czy zaproponowaliście im przekazanie Paula i Billa pod nadzór ambasady amerykańskiej.

- Odrzucili i to.

- Dlaczego?

- Nie powiedzieli.
- Pytałeś ich?
- Ross, oni nie muszą nic uzasadniać. Rządzą tu i wiedzą o tym.
- Ale są odpowiedzialni za bezpieczeństwo swoich więźniów.
- Nie wydaje im się to zbyt ciężkie.
- Ross - wtrącił się Taylor - oni tu nie grają według naszych reguł.

Wsadzenie dwóch ludzi do mamra nie jest dla nich czymś szczególnym. Bezpieczeństwo Paula i Billa również nie jest - w ich rozumieniu - wielką sprawą...

- No więc, według jakich reguł grają? Możesz mi to powiedzieć?

Znowu zapukano do drzwi i wszedł Coburn ubrany w swój płaszcz „Maskotki Michelina” i czarną, wełnianą kominiarkę. Perot rozchmurzył się - może on przyniesie dobre wiadomości.

- Spotkałeś się z „Głębokim Gardłem”?
- Oczywiście - odparł Coburn zdejmując płaszcz.
- W porządku, mów.

- Powiedział, że może spowodować uwolnienie Paula i Billa za sześć milionów dolarów. Pieniądze mają zostać wpłacone na zablokowane konto w Szwajcarii i zwolnione, kiedy Paul i Bill opuszczą Iran.

- Do licha, to nieźle - rzekł Perot. - Oszczędzamy pięćdziesiąt centów na każdym dolarze. W świetle przepisów prawnych Stanów Zjednoczonych to nawet może być legalne - to okup. Co to za facet „Głębokie Gardło”?

- Nie dowierzam temu łobuzowi - stwierdził Coburn.
- Dlaczego?

- Nie wiem, Ross - Coburn wzruszył ramionami. - Jest jakiś śliski, cwany... Krętacz... Nie powierzyłbym mu nawet sześćdziesięciu centów na kupno papierosów. Takie mam wewnętrzne odczucie.

- Czego się spodziewałeś? - zapytał Perot. - To przecież łapówka... Kryształowi ludzie nie zajmują się takimi sprawami.

- Otóż to - odezwał się Howell. - Pan to powiedział. To jest łapówka. - Jego powolny, gardłowy głos był niezwykle podniecony. - Nie podoba mi się ten numer.

- Mnie też się nie podoba - stwierdził Perot. - Ale wciąż mi wszyscy powtarzacie, że Irańczycy nie grają zgodnie z naszymi regułami.

- Tak, ale niech pan mnie posłucha - żarliwie ciągnął dalej Howell. - Przez cały czas trzymam się tej niewielkiej słomki, czyli tego, że nie zrobiliśmy nic złego - i że gdzieś, kiedyś, w jakiś sposób, ktoś to zrozumie. Ale kiedy pójdziemy na ten numer, wszystko weźmie w łeb. Cholera mnie bierze na myśl, że miałbym puścić tę słomkę.

- To niewiele nam da.

- Ross, wierzę, że czas i cierpliwość przyniosą nam sukces. Ale jeżeli damy się wpłatać w przekupstwo, leżymy!

- Skąd mamy wiedzieć - Perot zwrócił się do Coburna - że „Głębokie Gardło” ma tę sprawę nagraną z Dadgarem?

- Nie wiemy - odrzekł Coburn. - Uzasadnia to mówiąc, że nie musimy płacić, dopóki nie uzyskamy rezultatów, cóż więc mamy do stracenia?

- Wszystko - stwierdził Howell. - Mniejsza o to, co jest zgodne z prawem w Stanach, ale może to zadecydować o naszym losie tu, w Iranie.

- To śmierdzi - dorzucił Taylor. - Cała ta sprawa śmierdzi. Perota zaskoczyły ich reakcje. On również nie cierpiał pomysłu z łapówką, ale był przygotowany na kompromis ze swoimi zasadami, byle tylko wyciągnąć Paula i Billa z więzienia. Dobre imię EDS było mu drogie i podobnie jak John Howell myślał ze wstrętem o tym, że może zostać powiązane z przekupstwem. Ale Perot wiedział coś, czego nie wiedział Howell - że pułkownik i grupa ratownicza narażała się na znacznie większe niebezpieczeństwo.

- Nasze dobre imię - stwierdził Perot - przyniosło niewiele korzyści Paulowi i Billowi.

- To nie tylko nasze dobre imię - nalegał Howell. - Dadgar musi już być zupełnie pewny, iż nie jesteśmy winni korupcji, ale gdyby udało mu się przychwycić nas na tym, mógłby jeszcze ocalić twarz.

„To słuszne”, pomyślał Perot.

- Czy może to być pułapka?

- Tak!

To miało sens. Dadgar, nie mogąc zdobyć dowodów przeciwko Paulowi i Billowi, udaje w rozmowie z „Głębokim Gardłem” człowieka, którego można przekupić, a potem, kiedy Perot da się na to złapać, oświadczy całemu światu, że EDS mimo wszystko winne jest korupcji. A wtedy wszyscy mogą zostać wpakowani do więzienia do towarzystwa Paulowi i Billowi. I ponieważ będą winni, pozostaną w nim.

- W porządku - rzekł Perot niechętnie. - Zadzwoń do „Głębokiego Gardła” i powiedz mu, że nie, dziękujemy. Coburn wstał.

- Dobra.

„Kolejny bezowocny dzień „, pomyślał Perot. Irańczycy zablokowali go ze wszystkich stron. Ignorowali naciski polityczne. Przekupstwo mogło tylko jeszcze pogorszyć sprawę. A jeżeli EDS zapłaci kaucję, Paul i Bill i tak wciąż będą trzymeni w Iranie.

Grupa Simonsa wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Ale nie powie o tym grupie negocjacyjnej.

- W porządku - rzekł. - Jutro spróbujemy znowu.

### 3.

Przypominający Batmana i Robina, wysoki Keane Taylor i niski John Howell, spróbowali znowu 17 stycznia. Pojechali do budynku Ministerstwa Zdrowia przy Eisenhower Avenue, biorąc ze sobą Abolhasana jako tłumacza i spotkali się z Dadgarem o dziesiątej rano. Razem z Dadgarem byli urzędnicy z Organizacji Ubezpieczeń Społecznych, departamentu, w którym pracowały komputery EDS. Howell postanowił zmienić swoje początkowe stanowisko negocjacyjne, które polegało na podtrzymywaniu twierdzenia, że EDS nie może zapłacić kaucji ze względu na amerykańskie przepisy dotyczące papierów wartościowych. Równie bezużyteczne było domaganie się

sprecyzowania zarzutów stawianych Paulowi i Billowi oraz przedstawienie dowodów. Dadgar był w stanie zablokować te działania mówiąc, że wciąż prowadzi dochodzenie. Ale Howell nie miał nowej strategii, żeby zastąpić nią starą. Grał w pokera nie mając żadnej karty w ręku. Być może Dadgar jakieś mu dziś rozda?

Dadgar rozpoczął od wyjaśnień, że personel Organizacji Ubezpieczeń Społecznych żąda, aby EDS przekazało im to, co znane jest pod nazwą „125 Centrum Danych”.

„Ten mały komputer - przypomniał sobie Howell - prowadził listy płac i emerytur personelu Organizacji Ubezpieczeń Społecznych. Ci faceci chcieli dostać swoje pobory, chociaż Irańczycy najczęściej nie otrzymywali przysługujących im zasiłków”.

- To nie takie proste - odparł Keane Taylor. - Takie przekazanie może być bardzo złożoną operacją wymagającą wielu wysokokwalifikowanych pracowników. Oczywiście, wszyscy oni powrócili już do Stanów.

- A więc musicie sprowadzić ich z powrotem - oznajmił Dadgar.

- Nie jestem taki głupi - stwierdził Taylor. „Charakterystyczna dla Taylora delikatność weterana piechoty morskiej zaczyna działać”, pomyślał Howell.

- Jeśli tak mówi, pójdzie do więzienia - rzekł Dadgar.

- Podobnie jak mój personel, gdybym sprowadził go z powrotem do Iranu - oznajmił Taylor.

- Czy jest pan w stanie - wtrącił się Howell - udzielić prawnej gwarancji, że nikt z powracającego personelu nie będzie aresztowany ani prześladowany w jakikolwiek sposób?

- Nie mogę dać urzędowej gwarancji - odparł Dadgar. - Mogłbym natomiast dać swoje osobiste słowo honoru.

Howell rzucił zaniepokojone spojrzenie na Taylora, który wprawdzie nie odezwał się ani słowem, lecz jego mina wyraźnie świadczyła, że nie dałby dziesięciu centów za słowo honoru Dadgara.

- Oczywiście, możemy rozważyć sposoby dokonania przekazania - oznajmił. Dadgar dał mu wreszcie punkt wyjścia do targów, nawet

jeżeli nie było to zbyt wiele. - Rzecz jasna, musimy uzyskać jakieś zabezpieczenie. Na przykład, będziecie musieli państwo zaświadczyć, że aparatura została przekazana wam w dobrym stanie, ale być może zaangażujemy do tego niezależnych ekspertów... - Howell prowadził walkę z cieniem. Jeżeli centrum danych miało zostać przekazane, to na pewno za określoną cenę - uwolnienie Paula i Billa.

Dadgar następnym zdaniem nie zostawił z tego pomysłu kamienia na kamieniu.

- Codziennie na ręce moich urzędników prowadzących dochodzenie wpływają pod adresem waszej firmy nowe zażalenia, które mogą uzasadnić podniesienie wysokości kaucji. Jednakże, jeżeli będziecie współpracować w przekazaniu „125 Centrum Danych”, mogę w zamian nie wziąć pod uwagę nowych zażaleń i powstrzymać się przed podniesieniem kaucji.

- Do diabła - warknął Taylor - przecież to klasyczny szantaż!

Howell uświadomił sobie, że „125 Centrum Danych” było sprawą uboczną. Dadgar niewątpliwie poruszył tę kwestię pod naciskiem urzędników z ubezpieczeń społecznych, ale nie zależało mu na niej aż do tego stopnia, aby dokonać poważnych ustępstw. Na czym więc mu zależało?

Howell pomyślał o Lucio Randone, który swego czasu dzielił celę z Paulem i Billem. Wysłuniętą przez Randone’a propozycją pomocy zajął się jeden z kierowników EDS Paul Bucha, który pojechał do Włoch, aby porozmawiać w przedsiębiorstwie Randone’a, Condotii d’Acqua. Bucha poinformował, że przedsiębiorstwo budowało domy mieszkalne w Teheranie, kiedy jego irańskim zleceniodawcom skończyły się pieniądze. Przedsiębiorstwo oczywiście przerwało pracę, ale wielu Irańczyków zapłaciło już za budowane mieszkania. Kiedy wzięło się pod uwagę panującą atmosferę, dla nikogo nie było zaskoczeniem, że winą za powstałą sytuację obarczono cudzoziemców, wybrano Randone’a jako kozła ofiarnego i wsadzono do więzienia. Firma wynalazła nowe źródło finansowania i znowu podjęła budowę, Randone zaś został jednocześnie zwolniony. Była to niejako transakcja



wiązana, przeprowadzona przez irańskiego prawnika, Alego Azmayesha. Bucha przekazał również wiadomość, że Włosi wciąż powtarzali: „Pamiętajcie, Iran zawsze pozostanie Iranem, tam nic się nie zmienia”. Zrozumiał to jako aluzję, że część tej transakcji stanowiła łapówka. Howell wiedział również, że tradycyjnym sposobem wręczenia łapówki było honorarium adwokata. Adwokat mógł zażądać za swoją pracę tysiąca dolarów i zapłacić łapówkę w wysokości dziesięciu tysięcy, a następnie obciążyć swojego klienta kwotą w wysokości jedenastu tysięcy. Ta aluzja do przekupstwa niepokoiła Howella, ale mimo to poszedł spotkać się z Azmayeshem, który powiedział mu: „To nie jest konflikt prawny, ale konflikt interesów. Jeżeli EDS zdoła dojść do porozumienia z Ministerstwem Zdrowia, Dadgar da wam spokój”. Azmayesh nic nie wspomniał o łapówce.

„Wszystko to zaczęło się, pomyślał Howell, od konfliktu interesów. Klient, który nie może płacić, wykonawca, który odmawia kontynuowania pracy. Czy możliwy byłby kompromis, w wyniku którego EDS uruchomiłoby komputery, a ministerstwo zapłaciłoby choć trochę pieniędzy?” Postanowił zapytać o to Dadgara wprost.

- Czy pomogłoby, gdyby EDS miało zamiar renegetować swój kontrakt z Ministerstwem Zdrowia?

- Byłoby to bardzo pomocne - odparł Dadgar. - Oczywiście nie byłoby to prawne rozwiązanie naszej kwestii, ale mogłoby się to stać rozwiązaniem praktycznym. W przeciwnym razie zmarnowanie całej pracy włożonej w skomputeryzowanie Ministerstwa Zdrowia byłoby wielką stratą.

„Ciekawe - pomyślał Howell. - Chcą mieć współczesny system ubezpieczeń społecznych - albo swoje pieniądze z powrotem. To, że wsadzili Paula i Billa do więzienia i wyznaczyli kaucję w wysokości trzynastu milionów dolarów, było z ich strony formą pozostawienia EDS możliwości wyboru dwóch rozwiązań - i ani jednego więcej. Zaczynamy wreszcie dochodzić do konkretów”. Postanowił mówić bez ogródek.

- Oczywiście, rozpoczęcie negocjacji nie wchodzi w grę, dopóki

Chiapparone i Gaylord będą przetrzymywani w więzieniu.

- Niemniej jednak - odparł Dadgar - jeżeli przystąpicie w dobrej wierze do negocjacji, ministerstwo wezwie mnie i wcale nie jest wykluczone, że mogą ulec zmianie zarzuty. Kaucja może zostać zmniejszona, a Chiapparone i Gaylord nawet uwolnieni za osobistą rękojmią.

„Nie można tego sformułować wyraźniej” - pomyślał Howell. - Lepiej będzie, jeżeli EDS postara się o spotkanie z ministrem zdrowia”.

Od chwili zaprzestania płacenia przez ministerstwo rachunków, rząd zmieniał się dwukrotnie. Dr Szeikholeslamizadeh, który obecnie znajdował się w więzieniu, został zastąpiony przez generała, a potem, kiedy premierem został Bakhtiar, generała zastąpił nowy minister zdrowia. „Kim jest ten nowy facet - zastanawiał się Howell - i jaki jest”?

\* \* \*

- Pan Young z amerykańskiego przedsiębiorstwa EDS telefonuje do pana, panie ministrze - powiedział sekretarz.

Dr Razmara nabrał głęboko powietrza do płuc.

- Proszę mu powiedzieć, że amerykański biznesmen nie może już wziąć słuchawki, dzwonić do ministrów rządu irańskiego i spodziewać się, że będzie z nami rozmawiał jak ze swoimi podwładnymi - rzekł. - To się już skończyło! - dodał podnosząc głos.

A potem poprosił o akta EDS.

Manuchehr Razmara w czasie Bożego Narodzenia znajdował się w Paryżu. Wykształcony we Francji (był kardiologiem) i ożeniony z Francuzką, uważał Francję za swój drugi dom i mówił płynnie po francusku. Był również członkiem irańskiej Narodowej Rady Medycznej i przyjacielem Shahoura Bakhtiara. Kiedy Bakhtiar został premierem, zadzwonił do swojego przyjaciela Razmary w Paryżu i poprosił go, aby wrócił do kraju i został ministrem zdrowia.

Akta EDS przekazał mu dr Emrani, wiceminister, w gestii którego

znajdowały się sprawy ubezpieczeń społecznych. Przetrwał on obie zmiany rządu i był tu, kiedy zaczęły się kłopoty.

Razmara czytał akta i czuł, jak wzbiera w nim gniew. Projekt EDS był szaleńczy. Podstawowy koszt kontraktu wynosił czterdzieści osiem milionów dolarów, a ewentualny jego wzrost mógł osiągnąć nawet dziewięćdziesiąt milionów. Razmara przypominał sobie, że w Iranie dwanaście tysięcy prowadzących praktykę lekarzy obsługiwało trzydzieści dwa miliony ludności i że sześćdziesiąt cztery tysiące wsi nie miało wodociągów. Doszedł do wniosku, że ci, którzy podpisali umowę z EDS, musieli być głupcami, zdrajcami albo jednym i drugim naraz.

W jaki sposób mogliby usprawiedliwić wydatek milionów dolarów na komputery, gdy tymczasem ludzie nie mieli tak podstawowej dla zdrowia czystej wody? Mogło być tylko jedno wytłumaczenie - zostali przekupieni.

No cóż, poniosą karę. Emrani przygotował ten materiał dla specjalnego trybunału, który prowadził sprawy skorumpowanych urzędników państwowych.

W więzieniu przebywało trzech ludzi: były minister dr Sheikholeslamizadeh oraz dwóch jego wiceministrów - Reza Neghabat i Nili Arame. Tak właśnie być powinno. Odpowiedzialność za ten skandaliczny stan rzeczy, w jakim się znaleźli, powinna spaść przede wszystkim na Irańczyków. Ale Amerykanie również byli winni. Amerykańscy biznesmeni i ich rząd udzielali poparcia szaleńczym pomysłom szacha, ciągnęli też z nich zyski: teraz muszą więc odpokutować. Poza tym, jak wynikało z akt, EDS była wyjątkowo niekompetentna - komputery po dwu i pół latach wciąż jeszcze nie działały, ale mimo to automatyzacja tak zdeorganizowała departament Emraniego, że nawet stary system przestał już działać i w rezultacie Emrani nie był w stanie prześledzić wydatków w obrębie własnego urzędu. Jest to podstawowa przyczyna przekroczeń budżetowych ministerstwa - informowały akta.

Razmara zauważył, że ambasada Stanów Zjednoczonych złożyła protest w sprawie aresztowania dwóch Amerykanów, Chiapparone'a i

Gaylorda, twierdząc, że nie ma dowodów ich winy. To typowe dla Amerykanów. Oczywiście, że nie ma dowodów - przecież łapówek nie płaci się czekiem. Ambasada wyrażała również zaniepokojenie sprawą bezpieczeństwa obu więźniów. Razmara pomyślał, że jest w tym jakaś ironia. On sam niepokoił się o swoje bezpieczeństwo. Każdego dnia, gdy szedł do swojego biura, zastanawiał się, czy wróci żywy do domu.

Zamknął teczkę. Nie czuł współczucia dla EDS ani jej uwięzionych pracowników. Pomyślał, że nawet gdyby chciał ich uwolnić, nie byłby w stanie tego zrobić. Nastroje antyamerykańskie w społeczeństwie sięgały poziomu hysterii. Rząd Bakhtiara, w którego składzie znajdował się Razmara, został powołany przez szacha i tym samym był powszechnie podejrzewany o tendencje proamerykańskie. Kiedy kraj jest w stanie takiego wrzenia, każdy minister, który zatroszczyłby się o parę chciwych amerykańskich lokajów kapitalizmu, zostałby natychmiast zwolniony, jeżeli nie zlinczowany - i zupełnie słusznie. Razmara zwrócił uwagę na bardziej istotne sprawy.

Następnego dnia jego sekretarz powiedział:

- Pan Young z amerykańskiego przedsiębiorstwa EDS jest tu i prosi, żeby pan minister go przyjął.

Bezczelność Amerykanów doprowadzała do pasji.

- Niech pan powtórzy mu to, co kazałem panu powiedzieć wczoraj - oznajmił Razmara. - A potem niech da mu pan pięć minut na opuszczenie ministerstwa.

#### 4.

Największym problemem był dla Billa czas.

Miał inny charakter niż Paul. Dla Paula - niespokojnego, napastliwego, ambitnego i o silnej woli - najgorszą rzeczą związaną z pobytem w więzieniu było uczucie bezradności. Bill, bardziej spokojny z natury, pogodził się z faktem, że może się tylko modlić. Więc modlił się.

Nie obnosił się ze swoją religijnością, odmawiał modlitwy albo późnym wieczorem, przed snem, albo wcześniej rano, zanim obudzili się pozostali więźniowie. Najbardziej dręczył go powolny upływ czasu. Dzień na wolności, pełen podejmowania decyzji, rozwiązywania problemów, telefonowania, uczestnictwa w zebraniach, mijał niezauważalnie. Dzień w więzieniu zdawał się nie mieć końca. Bill opracował wzór zamiany czasu rzeczywistego, na wolności, na czas więzienny.

Czas rzeczywisty Czas więzienny

1 sekunda = 1 minuta

1 minuta = 1 godzina

1 godzina = 1 dzień

1 dzień = 1 tydzień

1 tydzień = 1 miesiąc

1 miesiąc = 1 rok

Czas uzyskał dla Billa ów nowy wymiar po dwóch czy trzech tygodniach w więzieniu, kiedy uświadomił sobie, że nie będzie szybkiego rozwiązania problemu. W przeciwieństwie do osądzonego przestępcy nie został skazany na dziewięćdziesiąt dni, czy też na pięć lat, i w związku z tym nie mógł czerpać otuchy wydrapując kreski na ścianie i obliczając w ten sposób, ile dni pozostało mu do wolności. To, ile dni minęło, nie miało zupełnie znaczenia, jego czas przebywania w więzieniu był nieokreślony, a przez to i nieskończony.

Jego perscy współwięźniowie nie odbierali tego w taki sposób. Była między nimi znaczna różnica kulturowa. Amerykanów, których nauczono szybkiego osiągania rezultatów, dręczyła niepewność. Irańczycy zadowalali się oczekiwaniem na *fardah*, jutro, za tydzień, może kiedyś - podobnie jak w prowadzonych przez nich interesach.

Mimo to jednak, w miarę jak władza szacha słabła, Bill miał wrażenie, że u niektórych z nich dostrzega oznaki rozpacz i przestał mieć do nich zaufanie. Zwracał uwagę na to, aby nie mówić im, kto z

Dallas znajduje się w Teheranie, ani jaki postęp poczyniono w pertraktacjach w sprawie ich uwolnienia. Obawiał się, że w ostateczności spróbują przehandlować te informacje strażnikom.

Zaczynał już być dobrze przystosowanym więźniem. Nauczył się nie zwracać uwagi na brud i robactwo, przyzwyczaił się do zimnego, mącznego, niesmacznego jedzenia. Nauczył się żyć na niewielkiej, ściśle ograniczonej własnej przestrzeni, jego więziennej „działce”. Był wciąż aktywny.

Znalazł sposoby, aby wypełnić ciągnące się bez końca dni. Czytał książki, uczył Paula grać w szachy, robił ćwiczenia gimnastyczne w hallu, rozmawiał z Irańczykami, starając się zdobyć każde słowo przekazywanych przez radio i telewizję wiadomości. I modlił się. Przeprowadził niezwykle dokładne pomiary więzienia - cel i korytarzy, sporządził też plany i szkice. Prowadził dziennik, zapisując w nim każde, najzwyklejsze wydarzenie więziennego życia, wszystko, co powiedzieli mu więźniowie, i wszystkie wiadomości. Używał inicjałów zamiast nazwisk, czasami zamieszczał w pamiętniku wymyślone sytuacje lub zmienione wersje rzeczywistych sytuacji, dzięki czemu, gdyby dziennik został skonfiskowany lub przeczytany przez władze, na pewno zdeorientowałby je.

Podobnie jak więźniowie na całym świecie, oczekiwał odwiedzin równie gorąco, jak dzieci oczekują Gwiazdki. Koledzy z EDS dostarczali przyzwoite jedzenie, ciepłe ubranie, nowe książki i listy z domu. Pewnego dnia Keane Taylor przyniósł fotografię sześciolatniego synka Billa, Christophera, stojącego przed choinką. To, że zobaczył swojego małego synka, choćby tylko na fotografii, dodało Billowi sił. Przypomniało mu to, czego może oczekiwać, i umocniło jego postanowienie, aby trzymać się i nie rozpaczać.

Bill pisał listy do Emily i przekazywał je Keane'owi, który następnie czytał je jej przez telefon. Bill znał Keane'a od dziesięciu lat i był z nim dość blisko zaprzyjaźniony - mieszkali razem po ewakuacji personelu. Bill wiedział, że Keane nie jest tak gruboskórny, jak sądzono - dobra połowa tego była pozą - ale wciąż, kiedy pisał „Kocham cię”, krepowała

go myśl, że Keane będzie to czytał. Bill przełamał to uczucie, bardzo chciał bowiem na wypadek, gdyby nie miał już okazji powiedzieć tego osobiście żonie i dzieciom, przekazać im, jak bardzo ich kochał. Jego listy przypominały te, które w przeddzień niebezpiecznego zadania pisali piloci.

Najważniejszym podarkiem przynoszonym przez odwiedzających były zawsze wiadomości. Te zawsze zbyt krótkie spotkania w niskim budynku po drugiej stronie podwórka poświęcano omawianiu najrozmaitszych prób uwolnienia Paula i Billa. Odnosił wrażenie, że najistotniejszy czynnik stanowi czas. Prędzej czy później, taka lub inna taktyka powinna poskutkować. Na nieszczęście, w miarę upływu czasu Iran staczał się po równi pochyłej. Rewolucja nabierała rozpędu. Czy EDS zdoła wydobyć Paula i Billa na wolność, zanim cały kraj eksploduje?

Również przyjazdy do południowej części miasta, gdzie znajdowało się więzienie, stawały się stopniowo coraz bardziej niebezpieczne dla ludzi z EDS. Paul i Bill nigdy nie wiedzieli, kiedy i czy w ogóle dojdzie do następnych odwiedzin. Gdy mijał czwarty, a potem piąty dzień, Bill zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem wszyscy nie powrócili już do Stanów i nie pozostawili go tutaj wraz z Paulem. Biorąc pod uwagę, że kaucja była niewiarygodnie wysoka, a ulice Teheranu niewiarygodnie niebezpieczne, może uznali sprawę Paula i Billa za przegraną? Mogli zostać zmuszeni, wbrew swojej woli, do wyjazdu, aby ocalić własne życie. Bill przypominał sobie wycofanie się Amerykanów z Wietnamu, kiedy ostatnich pracowników ambasady zabierano z dachów do śmigłowców i mógł wyobrazić sobie tę scenę powtarzającą się w ambasadzie amerykańskiej w Teheranie. Od czasu do czasu podtrzymywały go na duchu odwiedziny pracowników ambasady. Oni również przyjeżdżając tu podejmowali ryzyko, ale nigdy nie przynosili żadnych konkretnych informacji na temat wysiłków podejmowanych przez rząd, aby pomóc Paulowi i Billowi. I Bill doszedł więc do wniosku, że Departament Stanu jest bezradny.

Odwiedziny dr Houmana, ich irańskiego adwokata, początkowo

bardzo dodawały im otuchy. Wkrótce jednak Bill zorientował się, że Houman w typowo irański sposób wiele przyrzeka i niewiele osiąga. Fiasko spotkania z Dadgarem pogrążyło Billa w rozpacz. Łatwość natomiast, z jaką Dadgar wywiódł w pole Houmana oraz jego niewzruszone postanowienie, aby zatrzymać Paula i Billa w więzieniu, przeraziły go. Bill nie mógł usnąć przez całą noc.

Samą wysokość kaucji uznał za oszałamiającą. Nikt nigdy na świecie nie zapłacił dotąd takiego okupu. Przypomniawszy sobie historie o amerykańskich biznesmenach porwanych w Ameryce Południowej i trzymanyh dla okupu w wysokości miliona lub dwóch milionów dolarów. (Najczęściej ich zabijano). Inne porwania - milionerów, polityków czy jakichś znakomitości, wiązały się z żądaniami trzech albo czterech milionów - nigdy jednak trzynastu. Nikt nie zapłacił aż tyle za Paula i Billa.

Poza tym nawet tak olbrzymia suma pieniędzy nie kupi im możliwości wyjazdu z Iranu. Najprawdopodobniej będą trzymani w areszcie domowym tu, w Teheranie - do czasu, kiedy tłum weźmie górę. Niekiedy kaucja sprawiała na nim wrażenie w większym stopniu pułapki niż drogi ucieczki. Był to swego rodzaju paragraf 22.

Wszystkie te przeżycia uczyły hierarchii wartości. Bill zorientował się, że może dać sobie radę bez swego pięknego domu, samochodów, wyszukanego jedzenia i czystego ubrania. Nie było czymś szczególnie trudnym żyć w brudnym pokoju z pełzającym po ścianie robactwem. Wszystko, co miał w życiu, zostało mu zabrane i uświadomił sobie, że jedynym, na czym mu zależy, jest jego rodzina. Kiedy zrozumie się istotę sprawy, to naprawdę liczą się tylko Emily, Vicki, Jackie, Jenny i Chris.

Wizyta Coburna dodała mu nieco otuchy. Gdy zobaczył Jaya w obszernym, sięgającym niemal do ziemi płaszczu i wełnianej czapce, z rudym zarostem na policzkach, natychmiast domyślił się, że nie przyjechał on do Teheranu, aby działać oficjalnymi kanałami. Coburn większą część odwiedzin spędził na rozmowie z Paulem i jeżeli nawet przekazał Paulowi jakieś informacje, Chiapparone nie powtórzył mu



tego. Bill był zadowolony - dowie się, gdy nadejdzie pora.

Ale następnego dnia po odwiedzinach Coburna nadeszły złe wieści. 16 stycznia szach opuścił Iran.

Telewizor w więziennym hallu został włączony wyjątkowo po południu i Paul wraz z Billem oraz innymi więźniami obserwowali tę niewielką ceremonię pożegnalną, która odbywała się w Pawilonie Cesarskim na lotnisku Mehrabad. Był tam szach z żoną, troje z czwórki dzieci, jego teściowa i mnóstwo dworzan. Żegnał ich premier Shahpour Bakhtiar i tłum generałów. Bakhtiar ucałował dłoń szacha i władca z orszakiem wsiadł do samolotu.

Siedzący w więzieniu ludzie z ministerstwa byli przygnębieni. Większość z nich, w taki czy inny sposób, przyjaźniła się z członkami rodziny szacha lub osobami z najbliższego jej otoczenia. A teraz ich protektorzy wyjeżdżają. Oznaczało to, iż w najlepszym wypadku muszą się pogodzić z długim pobytem w więzieniu. Bill czuł, że szach wyjeżdżając zabrał ze sobą ostatnią szansę na pomysły dla Stanów Zjednoczonych obrót wydarzeń w Iranie. Teraz nastąpi tu jeszcze większy chaos i zamieszanie, zwiększy się zagrożenie wszystkich Amerykanów przebywających w Teheranie - i zmniejszy możliwość szybkiego uwolnienia Paula i Billa.

Wkrótce po tym, jak telewizja pokazała wzbijający się w niebo odrzutowiec szacha, do uszu Billa zaczął dochodzić niewyraźny szum - jakby odległego tłumu gromadzącego się na zewnątrz więzienia. Hałas przekształcił się szybko w pandemonium krzyków, wiwatów, klaksonów samochodowych. Telewizja pokazała źródło tego hałasu - setki tysięcy Irańczyków wypełniało ulice krzycząc: Szah raft! - Szach odszedł! Paul orzekł, że przypomina mu to paradę noworoczną w Filadelfii. Wszystkie samochody jechały z włączonymi światłami i większość z nich trąbiła bez przerwy. Wielu kierowców odchyliło wycieraczki na przednich szybach i przyczepiło do nich gałganki - po włączeniu wycieraczek powiewały miarowo w obie strony. Po ulicach krążyły ciężarówki pełne świętującej, rozradowanej młodzieży, w całym mieście tłumy przewracały i niszczyły pomniki szacha. Bill zastanawiał

się, jakie będą następne poczynania tłumu. Zaczął wtedy zastanawiać się, co zrobią strażnicy i więźniowie, jak zachowają się wobec nich? Może kiedy nastąpi owo historyczne uwolnienie wszystkich spętanych irańskich emocji, właśnie Amerykanie staną się ich celem?

Razem z Paulem starali się jak najmniej rzucać w oczy i cały dzień spędzili w celi. Leżeli na swoich pryczach i rozmawiali bezładnie. Paul palił papierosy. Bill starał się nie myśleć o przerażających scenach, widzianych w telewizji, ale ryk nieokiełznanego mrowia ludzkiego, powszechny krzyk rewolucyjnego triumfu przenikał mury i wypełniał mu uszy, jak ogłuszający trzask i łoskot grzmotu poprzedzający bliskie uderzenie pioruna.

\* \* \*

Dwa dni później, rankiem 18 stycznia, do celi nr 5 przyszedł strażnik i powiedział coś w *farsi* do Rezy Neghabata, byłego wiceministra. Neghabat przetłumaczył jego słowa Paulowi i Billowi:

- Musicie zabrać swoje rzeczy. Przenoszą was.

- Dokąd? - zapytał Paul.

- Do innego więzienia.

W głowie Billa zadźwięczał dzwonek alarmowy. Do jakiego innego więzienia ich zabierają?. Czy takiego, w którym ludzi torturuje się i zabija? Czy EDS zostanie poinformowane, dokąd ich przeniesiono, czy też obaj znikną bez śladu? To miejsce, w którym się znajdują, trudno nazwać rozkosznym, ale przynajmniej już je znają.

Strażnik odezwał się znowu i Neghabat ponownie przetłumaczył:

- Mówi, żebyście się nie przejmowali, to dla waszego dobra.

W ciągu kilku minut zapakowali swoje szczoteczki do zębów, wspólną maszynkę do golenia i trochę zapasowej odzieży. Potem usiedli i czekali - przez trzy godziny.

To było denerwujące. Bill przyzwyczał się już do tego więzienia i mimo chwilowych ataków podejrzliwości, zasadniczo ufał swoim

współwięźniom. Obawiał się zmiany na gorsze.

Paul poprosił Neghabata, aby spróbował przekazać do EDS wiadomość o ich przenosinach. Może uda mu się to zrobić przekupując pułkownika - komendanta więzienia.

Starszy celi, leciwy mężczyzna, który tak troszczył się o nich, był zmartwiony tym, że ich zabierają. Patrzył ze smutkiem, jak Paul odczepia fotografie Karen i Ann Marie. Pod wpływem nagłego impulsu Paul dał mu obie fotografie. Staruszek był tym wyraźnie wzruszony i podziękował mu wylewnie.

Wreszcie wyprowadzono ich na podwórko i wraz z pół tuzinem innych więźniów z różnych cel wciśnięto do mikrobusu. Bill patrzył na nich, próbując ustalić, coś mogą mieć z nimi wspólnego. Jednym z nich był Francuz. A może wszystkich cudzoziemców zabierano do przeznaczonego dla nich więzienia, aby zapewnić im bezpieczeństwo? Ale innym więźniem był rosły Irańczyk, starszy celi na dolnym piętrze, tej, w której spędzili pierwszą noc. Bill przypuszczał, że był to zwykły kryminalista.

Gdy mikrobus wyjeżdżał z podwórka, Bill zapytał Francuza:

- Czy wie pan, dokąd jedziemy?

- Mam zostać zwolniony - odparł Francuz.

Serce Billa zabiło. To była dobra wiadomość! Może wszyscy mają zostać uwolnieni?

Zaczął przyglądać się ulicom. Po raz pierwszy od trzech tygodni widział świat poza murami więzienia. Rządowe budynki wokół Ministerstwa Sprawiedliwości nosiły ślady uszkodzeń - tłum rzeczywiście oszalał. Wszędzie stały spalone samochody, okna były porozbijane. Na ulicach roilo się od żołnierzy i czołgów, ale wojsko nie podejmowało żadnych działań - nie utrzymywało porządku, nawet nie kierowało ruchem. Bill odniósł wrażenie, że obalenie słabego rządu Bakhtiara jest tylko kwestią czasu.

Co się stało z pracownikami EDS - Taylorem, Howellem, Youngiem, Gallagherem i Coburnem? Nie pojawili się w więzieniu od chwili wyjazdu szacha. Czy dla ratowania własnego życia zmuszono ich do

ucieczki? Bill był jakoś wewnętrznie przekonany, że wciąż są w mieście, wciąż próbują wydostać ich z więzienia. Zaczynał mieć nadzieję, że owe przenosiny zostały przez nich zaaranżowane. Być może mikrobus zamiast zawieźć ich do innego więzienia zakręci i dostarczy prosto do amerykańskiej bazy lotniczej. Im dłużej o tym myślał, tym silniej wierzył, że wszystko to zostało zorganizowane, aby ich uwolnić. Bez wątplenia ambasada amerykańska uświadomiła sobie, że od chwili wyjazdu szacha Paul i Bill znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie i wreszcie zabrała się do rzeczy na serio. Ta przejażdżka jest podstępem, wybiegiem, który ma na celu wydobyć ich z więzienia bez budzenia podejrzeń wrogo nastrojonych irańskich urzędników takich jak Dadgar.

Mikrobus kierował się na północ. Przejeżdżał przez dzielnice, które Bill znał dobrze i czuł się coraz bezpieczniej w miarę, jak oddalali się od burzliwego południa miasta.

Poza tym na północy była baza 3 lotnicza.

Samochód wjechał na rozległy plac przytłoczony potężnym budynkiem przypominającym fortecę. Bill spojrzał na budowlę z zaciekawieniem. Jej mury z rozstawionymi gęsto wieżyczkami strażniczymi i stanowiskami karabinów maszynowych miały jakieś dwadzieścia pięć stóp wysokości. Plac wypełniony był straszliwie hałasującymi irańskimi kobietami w tradycyjnych, czarnych czadorach. Czy to jakiś pałac albo meczet? A może baza wojskowa? Autobus zbliżył się do fortecy i zwolnił.

Och, nie!

Pośrodku frontonu budynku widniały potężne dwuskrzydłowe stalowe wrota. Mikrobus, ku przerażeniu Billa, zatrzymał się tuż przy nich.

To przerażające miejsce było nowym więzieniem, nowym koszmarem. Wrota otworzyły się i mikrobus wjechał do środka.

Nie jechali do bazy lotniczej. EDS nie doprowadziła do porozumienia, ambasada nic nie zrobiła, wcale nie zamierzano ich uwolnić.

Samochód ponownie stanął. Stalowe wrota zamknęły się, przed

nimi otworzyły się następne. Mikrobus przejechał przez nie i zatrzymał się na olbrzymim dziedzińcu z wieloma budynkami. Strażnik powiedział coś w *farsi*, wszyscy więźniowie wstali i wysiedli.

Bill czuł się jak zawiedzione dziecko. „Życie jest parszywe - pomyślał. -

Czym sobie na to zasłużyłem?

Co takiego zrobiłem?”

\* \* \*

- Nie jedź tak szybko - powiedział Simons.

- Czy prowadzę niebezpiecznie? - zapytał Joe Poche.

- Nie. Po prostu nie chcę, żebyś łamał przepisy.

- Jakie przepisy?

- Po prostu uważaj.

- Jesteśmy na miejscu - przerwał im Coburn. Poche zatrzymał samochód. Popatrzyli ponad głowami niesamowitych kobiet w czerni i zobaczyli olbrzymią fortecę - więzienie Gasr.

- Jezu Chryste - rzekł Simons. W jego głębokim, ochrypłym głosie brzmiały nuty lęku. - Patrzcie na to draństwo.

Gapili się na wysokie mury, olbrzymie wrota, wieżyczki strażnicze i gniazda kaemów.

- To jest gorsze niż Alamo - stwierdził Simons.

Coburnowi przyszło na myśl, że ich mała grupa nie może podjąć ataku na to miejsce, chyba że z pomocą całej armii Stanów Zjednoczonych. Oswobodzenie więźniów, które tak starannie planowali i tyle razy ćwiczili, stało się teraz całkowicie niewykonalne. Nie będzie już modyfikacji czy też ulepszeń planu, nie będzie nowych scenariuszy. Cały pomysł wziął w łeb.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w samochodzie zagłębieni w swoich myślach.

- Kim są te kobiety? - zdziwił się głośno Coburn.

- Mają krewnych w więzieniu - wyjaśnił Poche. Coburn usłyszał jakiś szczególny dźwięk.

- Posłuchajcie - powiedział. - Co to takiego?

- Kobiety - odparł Poche. - Lamentują.

\* \* \*

Pułkownik Simons kiedyś już patrzył na niedostępną fortecę.

Miał wtedy dopiero stopień kapitana i przyjaciele nazywali go Art, nie zaś „Bull”, czyli „Byk”.

Było to w październiku 1944 roku. Art Simons, wówczas dwudziesto - sześciolatek, dowodził kompanią B 6 batalionu komandosów. Amerykanie wygrywali wojnę na Pacyfiku i mieli właśnie zaatakować Filipiny, 6 batalion komandosów był już na wyspach, przed amerykańskimi siłami inwazyjnymi, dokonując aktów sabotażu i wprowadzając zamęt za liniami nieprzyjaciela.

Kompania B wylądowała na wyspie Homonhon w zatoce Leyte i ustaliła, że nie ma na niej Japończyków. Simons zawiesił gwiazdzisty sztandar na palmie kokosowej w obecności dwustu potulnych krajowców.

Tego dnia otrzymali komunikat, że japoński garnizon na położonej nieopodal wyspie Suluan masakruje ludność cywilną. Simons poprosił o zezwolenie zdobycia Suluan. Zezwolenia nie otrzymał. Kilka dni później zwrócił się o to ponownie. Odpowiedziano mu, że nie ma w pobliżu żadnego okrętu, który mógłby ich przetransportować. Simons poprosił o zezwolenie na wykorzystanie miejscowych środków pływających. Tym razem otrzymał zgodę.

Simons wziął pod swoją komendę trzy łodzie żaglowe krajowców oraz jedenaście canoe i mianował się admirałem floty. Wyruszył o drugiej w nocy wraz z osiemdziesięcioma ludźmi. Zerwał się sztorm, siedem canoe przewróciło się i flota Simonsa zawróciła do brzegu - większość wplaw.

Wyruszyli ponownie następnego dnia. Tym razem żeglowali w białą dzień, a ponieważ lotnictwo japońskie wciąż panowało w powietrzu, żołnierze zdjęli mundury oraz wyposażenie i ukryli na dnach łodzi, dzięki czemu wyglądali jak miejscowi rybacy. Podstęp się udał i kompania B wylądowała na wyspie Suluan. Simons natychmiast przeprowadził rozpoznanie japońskiego garnizonu.

To był właśnie ów moment, kiedy zobaczył niedostępną fortecę.

Japończycy stacjonowali w południowej części wyspy, w latarni morskiej usytuowanej na trzystustopowym, koralowym urwisku.

Od zachodniej strony do połowy wysokości zbocza prowadziła ścieżka kończąca się na stromych schodkach wyciętych w koralu. Całe schody i znaczna część ścieżki były doskonale widoczne z sześćdziesięciostopowej latarni morskiej i trzech obróconych na zachód budynków, usytuowanych na platformie u podstawy latarni. Była to doskonała pozycja obronna. Dwóch ludzi mogło na tych koralowych schodach powstrzymać pięćsetosobowy oddział.

Ale zawsze jest jakiś sposób.

Simons postanowił zaatakować od wschodu, pokonując urwisko.

Natarcie rozpoczęło się 2 listopada o pierwszej w nocy. Simons z czternastoma ludźmi przycupnęli u podstawy zbocza, bezpośrednio pod japońską załogą. Mieli pomalowane na czarno twarze i ręce. Była jasna księżycowa noc i cały teren był odsłonięty jak preria w Iowa. Aby zachować ciszę, porozumiewali się znakami, na buty nałożyli skarpety.

Simons dał znak i zaczęli się wspinać.

Ostre krawędzie koralu raniły im palce i dłonie. Miejscami, kiedy nie mogli znaleźć żadnego punktu podparcia, wspinali się po zwisających pnączach. Byli całkowicie odsłonięci. Gdyby jakiś ciekawski strażnik podszedł do krawędzi platformy i spojrzał w dół wschodniej ściany urwiska, zobaczyłby ich natychmiast i bez najmniejszego trudu wystrzelałby jednego po drugim.

Znajdowali się już w pół drogi na górę, kiedy ciszę zakłócił ogłuszający łomot. Czyjaś kolba uderzyła o wystający stożek koralu. Wszyscy zamarli i przywarli bez ruchu do zbocza. Simons wstrzymał

oddech i oczekiwał wystrzału, który rozpocznie masakrę. Ale strzał nie padał.

Po dziesięciu minutach ruszyli znowu. Wspinaczka trwała całą godzinę.

Simons znalazł się na górze pierwszy. Przykucnął na platformie czując się zupełnie nagi w jaskrawym świetle księżyca. Nie widać było ani jednego Japończyka, ale słyszał głosy dochodzące z położonego nieopodal niskiego budynku. Skierował lufę karabinu w stronę latarni morskiej.

Na platformie zaczęli pojawiać się jego pozostali ludzie. Atak miał się zacząć w chwili, gdy ustawią karabin maszynowy.

Dokładnie w chwili, gdy przez krawędź platformy podawano kaem, pojawił się rozespany japoński żołnierz, kierujący się w stronę latryny.

Simons dał znak ubezpieczeniu, które zastrzeliło Japończyka. Zaczęła się wymiana ognia.

Simons natychmiast rzucił się do kaemu. Przytrzymał jedną nóżkę i skrzynkę amunicyjną, podczas gdy celowniczy trzymał drugą i prowadził ogień. Zaskoczeni Japończycy wybiegali z budynku prosto w śmiercionośną strugę pocisków. Dwadzieścia minut później było już po wszystkim. Zabito około piętnastu nieprzyjaciół. W oddziale Simonsa było dwóch przypadkowo rannych, żaden śmiertelnie.

„Niedostępna” forteca została zdobyta. Zawsze jest jakiś sposób.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### 1.

Mikrobus Volkswagen, należący do ambasady amerykańskiej, przeciskał się ulicami Teheranu w stronę placu Gasr. Wewnątrz pojazdu siedział Ross Perot. Był 19 stycznia, nazajutrz po przeniesieniu Paula i Billa, a Perot jechał odwiedzić ich w nowym więzieniu.

Sytuacja była z lekka zwariowana.

Wszyscy dokładali starań, aby ukryć Perota w Teheranie, z obawy, że Dadgar, widząc w nim znacznie cenniejszego zakładnika niż Paul i Bill, każe go aresztować i zamknąć w więzieniu. A teraz on sam jechał do więzienia, z własnej woli i to jeszcze z paszportem w kieszeni, aby łatwiej go było zidentyfikować.

Całą nadzieję pokładał w obowiązującej we wszystkich administracjach na całym świecie zasadzie najlepiej wyrażonej powiedzeniem: „nie wie lewica, co czyni prawica”. Może Ministerstwo Sprawiedliwości chciałoby go aresztować, ale więzieniami zajmowało się wojsko, a ono nie było nim zainteresowane.

Niemniej jednak podjął pewne środki ostrożności. Do więzienia wejdzie wraz z grupą ludzi - w mikrobusie obok niego siedzieli Rich Gallagher i Jay Coburn, a także kilka osób z personelu ambasady odwiedzających w więzieniu pewną Amerykankę - ubrany w nie

rzucający się w oczy strój, trzymając w rękach karton z żywnością, książkami i ciepłą bielizną dla Paula i Billa.

Nikt w więzieniu nie znał jego twarzy. Wchodząc będzie musiał podać swoje personalia, ale skąd mogą one być znane jakiemuś urzędnikowi więziennemu czy strażnikowi? Z pewnością wpisano go już na listę poszukiwanych na lotnisku, w komisariatach policji i w hotelach, lecz ostatnim miejscem, w którym Dadgar spodziewał się go znaleźć, było więzienie.

W każdym razie zdecydował się na to ryzyko. Chciał podbudować morale Billa i Paula, a także pokazać im, że nie uchyla się od nadstawiania za nich karku. Będzie to jedyny pozytywny skutek tej wyprawy: jego wysiłki na rzecz przyspieszenia negocjacji spełzły na niczym.

Mikrobus wjechał na plac Gasr i Perot po raz pierwszy ujrzał nowe wiezienie. Przytłaczało swoim ogromem. Nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób Simons ze swą niewielką grupą ratowniczą ma zamiar wdrzeć się do środka.

Na placu znajdowało się mnóstwo osób, w większości kobiet o zasłoniętych twarzach. Panował nieopisany hałas. Mikrobus zatrzymał się w pobliżu wielkich stalowych wrót. Perot myślał o kierowcy: był Irańczykiem i wiedział, kim jest Perot...

Wszyscy wysiedli. Perot dostrzegł w pobliżu wejścia kamerę telewizyjną. Serce zabiło mu mocniej.

Była to amerykańska ekipa. Co oni tu robili, u diabła?

Przepychając się przez tłum z kartonem w rękach, Perot opuścił nisko głowę.

Z okienka w murowanej ścianie nie opodal bramy wyjrzał strażnik. Ekipa telewizyjna nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. W chwilę później otworzyły się niewielkie drzwi w bramie i odwiedzający weszli do środka.

Drzwi zamknęły się z metalicznym trzaskiem.

Perot wkroczył na drogę, z której nie było już odwrotu.

Szedł dalej, przez drugą parę stalowych drzwi, w stronę kompleksu

więziennego. Był ogromny, między budynkami ciągnęły się ulice, po których pętały się kury i indyki. Perot wraz z innymi wszedł do sali przyjęć.

Wyjął paszport. Urzędnik wskazał mu rejestr. Perot wziął pióro i dość czytelnie napisał: „H. R. Perot”.

Urzędnik oddał mu paszport i skinieniem odesłał go dalej. Miał więc słuszość: nikt tu nic nie słyszał o Rossie Perocie. Wszedł do poczekalni - i stanął jak wryty.

W poczekalni rozmawiał z Irańczykiem w mundurze generalskim ktoś, kto doskonale wiedział, kim jest Ross Perot.

Był to Ramsey Clark, teksańczyk, który za czasów prezydenta Lyndona Johnsona piastował stanowisko Prokuratora Generalnego USA. Perot spotykał się z nim kilkakrotnie i doskonale znał siostrę Clarka, Mimi.

Za chwilę zamarł. „To wyjaśnia, skąd się wzięły te kamery telewizyjne” - pomyślał. Zastanawiał się, czy zdoła uniknąć wzroku Clarka. W każdej chwili Ramsey mógł go spostrzec i powiedzieć do generała: „Mój Boże, przecież to Ross Perot z EDS” - i jeśli będzie wyglądać na to, że próbuje się schować, sytuacja będzie jeszcze gorsza.

Podjął szybką decyzję.

Podszedł do Clarka, wyciągnął dłoń i powiedział:

- Cześć, Ramsey, co ty robisz w więzieniu?

Clark spojrział na niego z góry - miał ponad metr dziewięćdziesiąt - i roześmiał się.

Wymienili uścisk dłoni.

- Jak tam Minii? - spytał Perot, zanim Clark zdążył dokonać prezentacji na rzecz Irańczyka, który właśnie mówił coś w *farsi* do podwładnego.

- Mimi czuje się świetnie - odparł Clark.

- Miło było cię spotkać - powiedział Perot i ruszył dalej.

Kiedy wychodził z poczekalni do budynku więzienia, w towarzystwie Gallaghera, Coburna i ludzi z personelu ambasady, poczuł w ustach nienaturalną suchość. Jego bezpieczeństwo wisiało na

włosku. Dołączył do nich Irańczyk w mundurze pułkownika: Gallagher powiedział, że przydzielono go im do towarzystwa. Perot zastanawiał się, co Clark mówi teraz do generała...

\* \* \*

Paul był chory. Powróciło przeziębienie, które złapał w pierwszym więzieniu. Kaszłał i odczuwał silne bóle w piersi. Narzekał na chłód zarówno w tym więzieniu, jak i w pierwszym - od trzech tygodni był przeziębiony. Prosił ludzi z EDS, którzy go odwiedzali, o ciepłą bieliznę, ale z jakiegoś powodu nigdy się jej nie doczekał.

Zresztą - i bez tego czuł się fatalnie. Bardzo liczył na to, że Coburn wraz z grupą ratowniczą zrobią zasadzkę na autobus, który przywiózł go tu wraz z Billem z Ministerstwa Sprawiedliwości. Ale gdy autobus wjechał do niedostępnego więzienia Gasr, Paul był gorzko rozczarowany.

Generał Mohari, naczelnik więzienia, wyjaśnił Paulowi i Billowi, że podlegają mu wszystkie więzienia w Teheranie, nakazał więc przenieść tu obu Amerykanów dla ich własnego bezpieczeństwa. Niewielka to była pociecha: aczkolwiek niedostępne dla tłumów, więzienie to było również trudniejsze, o ile nie niemożliwe do zdobycia przez grupę ratowniczą.

Więzienie Gasr stanowiło fragment wielkiego kompleksu wojskowego. Po jego zachodniej stronie znajdował się stary pałac Gasr Ghazar, zamieniony przez ojca szacha w szkołę policyjną. Kompleks więzienny mieścił się w dawnych ogrodach pałacowych. Na północy stał lazaret, na wschodzie zaś obóz wojskowy, w którym przez cały dzień startowały i lądowały helikoptery.

Samo więzienie otoczone było murem wewnętrznym o wysokości dwudziestu pięciu lub trzydziestu stóp oraz murem zewnętrznym, liczącym stóp dwanaście. Za nimi stało kilkanaście osobnych budynków, między innymi piekarnia, meczet oraz sześć bloków dla

więźniów, w tym jeden dla kobiet.

Paul i Bill znajdowali się w budynku nr 8. Był to dwupiętrowy blok z podwórzem otoczonym płotem z wysokich stalowych prętów przeplatanych siatką. Jak na więzienie, otoczenie budynku prezentowało się całkiem nieźle. Pośrodku podwórza znajdowała się fontanna, po obu stronach bloku rosły różane krzewy i kilkanaście drzew. Więźniom pozwalano w ciągu dnia przebywać na zewnątrz budynku. Mogli grać na podwórku w siatkówkę czy ping - ponga, nie wolno im było jednak wychodzić poza ogrodzenie, pilnowane przez uzbrojonego wartownika.

Na parterze budynku znajdował się niewielki szpital, w którym przebywało około dwudziestu pacjentów, w większości umysłowo chorych. Ciągłe słyszeć było ich wrzaski. Paul i Bill znaleźli się wraz z kilkoma innymi więźniami na pierwszym piętrze. Umieszczono ich w dużej celi, około sześć na dziesięć metrów. Poza nimi był w niej jeszcze jeden więzień, irański adwokat po pięćdziesiątce, który mówił po angielsku i francusku równie dobrze, jak w *farsi*. Pokazał im zdjęcia swojej wili w Francji. W celi stał telewizor.

Posiłki przygotowywali niektórzy spośród więźniów, za co pozostali im płacili. Jadano w oddzielnym pokoju. Jedzenie tu było lepsze niż w poprzednim więzieniu. Można też było sobie kupić dodatkowe przywileje, jeden z więźniów zaś, najwyraźniej ogromnie bogaty, miał osobny pokój, a posiłki przynoszono mu z zewnątrz. Regulamin był dość łagodny: nie przestrzegano ściśle godzin pobudki ani ciszy nocnej.

Pomimo to Paul popadł w całkowitą depresję. Dodatkowa porcja wygód znaczyła niewiele. Jemu potrzebna była wolność.

Nie rozchmurzył też się zanedo, kiedy rankiem 19 stycznia powiadomiono ich, że mają widzenie.

Pokój widzeń znajdował się na parterze budynku nr 8, ale tym razem, bez żadnych wyjaśnień, wyprowadzono ich z budynku i poprowadzono ulicą.

Paul zdał sobie sprawę, że idą w kierunku budynku znanego pod

nazwą „Klubu Oficerskiego”. Znajdował się on w małym ogrodzie roślin tropikalnych, pełnego kaczek i pawi. Kiedy już doszli prawie na miejsce, rozejrzał się i spostrzegł nadchodzących z przeciwka gości.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Mój Boże! - wykrzyknął rozradowany. - To Ross! Zapominając, gdzie się znajduje, chciał pobiec ku Perotowi: strażnik powstrzymał go szarpnięciem.

- To nie do uwierzenia! - powiedział do Billa: - Perot jest tutaj. Strażnik popędził go przez ogród. Paul cały czas oglądał się na Perota, niepewny, czy przypadkiem wzrok go nie myli. Potem wprowadzono go do wielkiej, okrągłej sali otoczonej z zewnątrz stołami bankietowymi. Jej ściany były pokryte małymi trójkącikami luster. Była to chyba kiedyś sala balowa. W chwilę później do środka wszedł Perot w towarzystwie Gallaghery, Coburna i jeszcze kilku osób.

Perot uśmiechnął się szeroko. Paul najpierw potrząsnął jego dłonią, a potem chwycił go w ramiona. Była to chwila pełna wzruszenia. Paul poczuł się tak samo jak wówczas, gdy słuchał „Gwiazdzistego Sztandaru”, przenikał go dreszcz.

A więc kochano go, troszczono się o niego, miał przyjaciół! Perot przejechał pół świata, aby odwiedzić go w samym środku rewolucji!

Potem Bill i Perot objęli się i uścisnęli sobie dłonie.

- Ross - zapytał Bill - co ty, u diabła, tu robisz? Czy przyjechałeś nas zabrać?

- Nie całkiem - odparł Perot. - Jeszcze nie.

Strażnicy zebrali się w drugim końcu sali na herbatę. Ludzie z personelu ambasady, którzy przybyli tu z Perotem, skupili się dookoła innego stołu, rozmawiając z uwięzioną Amerykanką.

Perot postawił karton na stole.

- Mam tu dla ciebie ciepłe kalesony - powiedział do Paula. - Nie mogliśmy ich kupić w sklepie, więc dałem ci swoje i masz mi je potem oddać, słyszysz?

- Jasne - Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mamy też dla was parę książek i nieco jedzenia: masło fistaszkowe,

tuńczyka, soki i nie wiem, co tam jeszcze. - Perot wyjął z kieszeni kilka kopert. - Aha, listy dla was.

Paul obejrzał je. Był wśród nich list od Ruthie i jeden zaadresowano: „Chapanoodle”. Uśmiechnął się: to pewnie list od jego przyjaciela Davida Behne. Jego syn, Tommy, nie umiał wymówić nazwiska „Chiapparone” i ochrzcił Paula „Chapanoodle”. Włożył listy do kieszeni, żeby je przeczytać później, i spytał:

- A jak czuje się Ruthie?

- Nieźle. Rozmawiałem z nią przez telefon - odrzekł Perot. - Przydzieliliśmy waszym żonom kogoś do opieki, chcąc mieć pewność, że nie będzie im niczego brakowało. Ruthie mieszka na razie w Dallas, u Jima i Cathy Nyfelerów. Kupuje dom, a Tom Walter pomaga jej załatwić wszystkie formalności.

Zwrócił się do Billa.

- Emily mieszka u siostry w Karolinie Północnej. Musiała trochę odpocząć. Współpracuje z Timem Reardonem w Waszyngtonie, próbując wywrzeć nacisk na Departament Stanu. Pisała do Rosalynn Carter... wiesz, jak jedna żona do drugiej. Próbuje wszystkiego. Szczerze mówiąc, wszyscy próbujemy wszystkiego... Kiedy Perot wyliczał z długiej listy kolejne osoby, które proszono o pomoc - od kongresmanów z Teksasu, aż do Henry’ego Kissingera - Bill zdał sobie sprawę, że głównym celem odwiedzin Perota było podtrzymanie ich na duchu. Był jednak nieco zawiedziony. Przez chwilę, wówczas gdy zobaczył Perota idącego z innymi ludźmi przez teren więzienia, z szerokim uśmiechem na ustach, Bill pomyślał: „Oto nadchodzi ratunek - nareszcie wybrnięto z tego cholernego impasu i Perot idzie, aby powiedzieć nam o tym osobiście”. Cekało go rozczerowanie. Potem jednak Perot mówił i mówił, Bill nieco poweselał. Przynoszący listy z domu i karton prezentów Perot objawił mu się niczym święty Mikołaj, jego zaś obecność w więzieniu i szeroki uśmiech na twarzy stanowiły pogardliwe wyzwanie rzucone Dadgarowi, tłumom oraz wszystkiemu, co im zagrażało.

Teraz Bill się obawiał o stan ducha Emily. Instynktownie domyślał

się, co się dzieje w sercu jego żony. Fakt, że zdecydowała się wyjechać do Karoliny Północnej, oznaczał, że zbyt ciężko było jej zachować pozory normalności, kiedy przebywała wraz z dziećmi w domu rodziców. Domyślał się też, że znowu zaczęła palić. To z pewnością zdziwiło małego Chrisa. Emily rzuciła palenie, gdy poszła do szpitala, aby usunąć woreczek żółciowy, a Chrisowi powiedziała, że wyjęto jej „palacza”. Teraz mały zapewne dziwił się, że „palacz” powrócił.

- Jeśli wszystko zawiedzie - mówił Perot - mamy w mieście jeszcze jedną grupę, która wydostanie was innymi metodami. Będziecie znali wszystkich członków tej grupy z wyjątkiem dowódcy, starszego mężczyzny.

- I tu jest problem, Ross - odezwał się Paul. - Dlaczego kilku facetów ma dać się posiekać za dwóch innych?

Bill zastanawiał się, co mogli zaplanować. Czy zabiorą ich z więzienia helikopterem? Czy armia amerykańska zechce zdobyć te mury? Trudno to było sobie wyobrazić - ale z Perotem wszystko stawało się możliwe.

Wtrącił się Coburn:

- Paul, chciałbym, abyś obserwował i zapamiętał wszystkie szczegóły na temat terenu więzienia i regulaminu, tak jak poprzednio.

Bill odczuwał niejakie zażenowanie z powodu wąsów. Zapuścił je, aby bardziej upodobnić się do Irańczyka. Pracownikom EDS nie wolno było nosić wąsów ani brody. Bill przecież nie spodziewał się jednak zobaczyć tu Perota. Wiedział, że to głupie, lecz pomimo to czuł się nieswojo.

- Przepraszam za to - powiedział dotykając górnej wargi. - Chciałem nie rzucać się w oczy. Jak stąd wyjdziemy, zgolę je od razu.

- Zachowaj je - odrzekł Perot z uśmiechem. - Niech zobaczą je Emily i dzieciaki. I tak zresztą będziemy zmieniać wymogi co do wyglądu zewnętrznego. Ostatnio przeprowadzono w tej sprawie ankietę między pracownikami i zapewne pozwolimy na wąsy, a także kolorowe koszule.

Bill spojrzał na Coburna.



- A brody?

- Żadnych bród. Coburn ma szczególny powód. Nadeszli strażnicy. Widzenie było skończone.

- Nie wiemy - rzekł na koniec Perot - czy uda się nam wydostać was stąd szybko, czy też upłynie trochę czasu. Lepiej zostańcie przy tym drugim. Jeśli ciągle będziecie się budzić ze słowami: „To pewnie już dzisiaj”, czeka was wiele rozczarowań i przykrości. Przygotujcie się na dłuższy pobyt, a może spotka was przyjemna niespodzianka. Ale zapamiętajcie jedno: na pewno was stąd wydostaniemy.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować za to, żeś przyszedł, Ross - powiedział Paul.

Perot uśmiechnął się.

- Tylko nie zapomnij zabrać moich gaci.

Wszyscy opuścili budynek. Ludzie z EDS poszli przez teren więzienia ku bramie, Bill, Paul i strażnicy patrzyli za nimi. Kiedy przyjaciele niknęli już w oddali, Billa pochwyciła nagle chętką, aby pobiec za nimi.

„Nie dzisiaj - powiedział sobie. - Nie dzisiaj”.

\* \* \*

Perot zastanawiał się, czy go wypuszczą.

Ramsey Clark miał całą godzinę na to, aby się wygadać. Co powiedział generałowi? Czy w budynku administracji u bramy więzienia czekać będzie na Perota komitet powitalny?

Serce biło mu mocno, gdy wchodził do poczekalni. W środku nie dostrzegł jednak ani Clarka, ani generała. Przeszedł do sali przyjęć. Nikt nawet na niego nie spojrzał.

Mając tuż za plecami Coburna i Gallaghera, przeszedł przez pierwszą bramę. Nikt go nie zatrzymywał.

Wyglądało na to, że mu się uda.

Przeszedł przez niewielkie podwórko i zatrzymał się przy głównej bramie. Otworzyły się osadzone w niej drzwi.

Perot wyszedł poza teren więzienia.

Kamery telewizyjne nadal były na miejscu.

„Teraz tylko mi potrzeba, pomyślał, żeby amerykańska stacja pokazała moją twarz... „.

Przepchnął się przez tłum do mikrobusu ambasady i zajął miejsce wewnątrz. Coburn i Gallagher weszli zaraz za nim, ale ludzie z personelu ambasady gdzieś się zawieruszyli.

Perot siedział w mikrobusie i spoglądał przez okno. Tłum na placu wyglądał groźnie. Wykrzykiwali coś w *farsi*. Perot nie miał pojęcia, o co im chodzi.

Miał nadzieję, że ci z ambasady pośpieszą się.

- Gdzie są ci faceci? - zapytał z irytacją w głosie.

- Idą już - odparł Coburn.

- Myślałem, że wyjdziemy wszyscy, wsiądziemy i od razu odjedziemy. Po chwili drzwi w bramie więziennej otworzyły się znowu i wyszli maruderzy. Wsiadli do mikrobusu. Kierowca zapuścił silnik i ruszył przez plac Gasr.

Perot odetchnął z ulgą.

\* \* \*

Nie musiał się tak obawiać. Ramsey Clark, który przybył do więzienia na zaproszenie irańskich obrońców praw człowieka, miał kiepską pamięć. Poznał oczywiście twarz Perota, ale myślał, że to pułkownik Frank Borman, prezes Eastern Airlines.

## 2.

Emily Gaylord z robótką w ręku. Robiła to dla Billa.

Przeniosła się do domu rodziców w Waszyngtonie i spędzała kolejny dzień pogrążona w cichej rozpacz. Rano zawiozła Vicki do liceum, potem wróciła i zabrała Jackie, Jenny i Chrisa do szkoły. Wpadła na chwilę do swojej siostry Dorothy i pogadała trochę z nią oraz jej mężem, Timem Reardonem. Tim cały czas próbował poprzez senatora Kennedy'ego i kongresmana O'Neillę wywrzeć nacisk na Departament Stanu.

Emily prześladowała obsesja Dadgara, tajemniczego człowieka, który był dość potężny, aby wtrącić jej męża do więzienia i trzymać go tam. Chciała stanąć oko w oko z Dadgarem i zapytać go osobiście, dlaczego jej to zrobił. Nawet poprosiła Tima, aby spróbował jej załatwić paszport dyplomatyczny, żeby mogła pojechać do Iranu i po prostu zastukać do drzwi Dadgara. Tim stwierdził, że to bardzo głupi pomysł, i musiała przyznać mu rację. Rozpacz jednak podsuwała jej różne myśli - byle coś zrobić, cokolwiek, aby Bill powrócił.

Teraz czekała na codzienny telefon z Dallas. Zazwyczaj dzwonili Ross, T. J. Marquez albo Jim Nyfeler. Później odbierze dzieci ze szkoły i pomoże im w odrabianiu lekcji. Na koniec, pozostanie przed nią jeszcze samotna noc.

Dopiero niedawno powiedziała rodzicom Billa, że ich syn jest w więzieniu. Bill prosił ją w liście, który przez telefon odczytał jej Keane Taylor, aby nic im nie mówić, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Jego ojciec miał w przeszłości udar mózgu i wstrząs spowodowany tą wiadomością mógłby być dla niego groźny w skutkach. Ale po trzech tygodniach, kiedy udawanie stało się niemożliwe, powiedziała prawdę. Ojciec Billa rozgniewał się na nią za to, że tak długo nic nie mówiła. Czasem trudno jest podjąć właściwą decyzję.

Zadzwonił telefon. Schwyciła słuchawkę.

- Halo?

- Emily? Tu Jim Nyfeler.

- Cześć, Jim, co nowego?

- Tyle tylko, że przeniesiono ich do innego więzienia. Dlaczego wiadomości były zawsze złe?

- Nie ma się o co martwić - powiedział Jim. - Właściwie to dobrze: stare więzienie znajduje się w południowej części miasta, gdzie toczą się walki. To nowe jest na północy i zbudowano je solidniej - będą tam bezpieczniejsi.

Emily straciła panowanie nad sobą.

- Ależ Jim! - wrzasnęła. - Przez trzy tygodnie przekonujesz mnie, że są całkowicie bezpieczni w więzieniu, a teraz mówisz mi, że przenieśli ich do nowego więzienia i dopiero tam będą bezpieczni!

- Emily...

- Przestań mnie okłamywać!

- Emily...

- Powiedz po prostu, jak jest, i bądź ze mną szczery, dobrze?

- Emily, moim zdaniem nie znajdowali się dotąd w niebezpieczeństwie. Irańczycy po prostu podejmują rozsądne środki ostrożności. Czy nie mam racji?

Emily poczuła wstyd, że tak się na niego wściekła.

- Przepraszam, Jim.

- Nic się nie stało.

Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym Emily odłożyła słuchawkę i wróciła do swej robótki. „Zaczynam się rozklejać - pomyślała. - Chodzę jak w transie, zawożę dzieciaki do szkoły, rozmawiam z Dallas, kładę się wieczorem do łóżka, a rano znowu wstaję... „.

Kilkudniowe odwiedziny u Vickie nie były najgorszym pomysłem, ale to nie odmiana miejsca była jej naprawdę potrzebna. Ona potrzebowała Billa.

Trudno było nie tracić nadziei. Zaczynała już myśleć, jakby się jej życie ułożyło bez Billa. Miała ciotkę, która pracowała w domu

towarowym Woody'ego w Waszyngtonie; może pomogłaby jej zdobyć tam pracę? Albo mogła porozmawiać z ojcem o możliwości pracy w charakterze sekretarki. Zastanawiała się, czy potrafiłaby się jeszcze w kimś zakochać, gdyby Bill zginął w Teheranie. Pomyślała, że nie.

Przypominała sobie pierwsze dni po ślubie. Bill uczył się wtedy w college'u i wciąż brakowało im pieniędzy. Zdecydowali się jednak na małżeństwo, nie mogąc już znieść ciągłych rozstań. Później, kiedy kariera Billa rozwijała się, zaczęło się im lepiej powodzić i stopniowo kupowali lepsze samochody, większe domy, droższe ubrania... więcej rzeczy. „Jakże bezwartościowe były teraz te rzeczy” - pomyślała. Jak mało ważne było, czy jest bogata czy biedna. Chciała mieć tylko Billa i tylko jego zawsze potrzebowała. Zawsze będzie jej wystarczał, zawsze da jej szczęście.

O ile w ogóle wróci.

\* \* \*

- Mamusiu - zapytała Karen Chiapparone - dlaczego tatuś nie dzwoni? Zawsze dzwonił, kiedy wyjeżdżał.

- Telefonował dzisiaj - skłamała Ruthie. - Wszystko u niego w porządku.

- Dlaczego dzwonił, kiedy byłam w szkole? Tak chciałam z nim porozmawiać.

- Kochanie, trudno jest dostać połączenie z Teheranem. Linie są tak przeciążone, że po prostu dzwoni wtedy, kiedy może.

- Aha.

Karen odeszła, aby popatrzeć na telewizję, a Ruthie usiadła w fotelu. Na zewnątrz zapadała ciemność. Coraz trudniej było jej okłamywać wszystkich w sprawie Paula.

Dlatego właśnie wyjechała z Chicago do Dallas. Nie można było mieszkać z własnymi rodzicami i utrzymywać przed nimi tajemnicy. Mama od razu by zapytała: „Dlaczego Ross i ci inni ludzie z EDS ciągle

dzwonią?”

„Po prostu pytają, czy nic nam nie trzeba” - odparłaby Ruthie z wymuszonym uśmiechem.

„Jak to ładnie, że Ross dzwoni”.

Tutaj, w Dallas, mogła przynajmniej otwarcie rozmawiać z ludźmi z EDS. Ponadto teraz, kiedy placówka w Iranie z pewnością zostanie zamknięta, Paul pracowałby w szefostwie EDS, przynajmniej na razie, tak że zamieszkaliby w Dallas.

A Karen i Ann Marie musiały chodzić do szkoły.

Wszystkie zamieszkały na razie u Jima i Cathy Nyfelerów. Cathy szczególnie im współczuła, ponieważ jej mąż był na pierwszej liście czterech mężczyzn, których paszportów zażądał Dadgar. Gdyby był wówczas w Iranie, z pewnością siedziałby teraz w więzieniu razem z Paulem i Billem.

Mieszkajcie u nas, powiedziała Cathy. Potrwa to nie dłużej niż tydzień, a potem Paul wróci. To było na początku stycznia. Od tamtej pory Ruthie wiele razy proponowała, że wynajmie sobie mieszkanie, ale Cathy nie chciała o tym słyszeć. Teraz Cathy była u fryzjera, dzieci w sąsiednim pokoju oglądały telewizję, a Jim nie wrócił jeszcze z pracy, Ruthie była więc sama ze swymi myślami.

Z pomocą Cathy znajdowała sobie coraz to nowe zajęcia i starała się zachować równowagę psychiczną. Zapisła Karen do szkoły, a dla Ann Marie znalazła przedszkole. Wychodziła na lunch z Cathy, a także z innymi żonami pracowników EDS - Mary Boulware, Liz Coburn, Mary Sculley, Marvą Davis i Toni Dvoranchik. Pisała wesołe, optymistyczne listy do Paula i słuchała jego wesołych i optymistycznych odpowiedzi czytanych jej przez telefon z Teheranu. Chodziła do sklepów i na przyjęcia.

Wiele czasu zajmowało jej poszukiwanie domu. Nie знаła Dallas zbyt dobrze, ale przypomniła sobie, jak Paul mówił, że Autostrada Centralna to koszmarny, szukała więc ofert z miejsc oddalonych od autostrady. Znalazła jeden budynek, który się jej spodobał, i postanowiła go kupić, aby Paul mógł wrócić do prawdziwego domu.

Ale powstały komplikacje prawne - dokumenty wymagały podpisu głównego lokatora, którego tu nie było. Tom Walter próbował się z tym uporać.

Ruthie starała się zachowywać pozory, ale w duchu zamartwiała się na śmierć. Rzadko sypiała w nocy dłużej niż godzinę. Ciągłe budziła się i leżała myśląc, czy jeszcze zobaczy Paula. Zastanawiała się nad tym, co by zrobiła, gdyby on nie wrócił. Chyba powróciłaby do Chicago i została jakiś czas z rodzicami, z pewnością jednak nie na stałe. Z pewnością mogłaby dostać jakąś pracę... Jednak nie te praktyczne strony samodzielności tak ją dręczyły, lecz myśl, że już nigdy może nie ujrzeć Paula. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez niego. Co mogłaby robić, o co się troszczyć, czego chcieć, co mogło ją uszczęśliwić? Pojęła, że była całkowicie od niego zależna. Nie umiała już żyć bez Paula.

Usłyszała dźwięk nadjeżdżającego samochodu. To na pewno Jim, już po pracy. Może będzie miał jakieś wiadomości.

Jim zjawiał się w chwilę później.

- Cześć, Ruthie. Cathy nie ma w domu?

- Jest u fryzjera. Co się dziś wydarzyło?

- Hm...

Po jego twarzy poznała, że nie ma jej nic pocieszającego do powiedzenia i próbuje to ująć w jakichś pokrępiących słowach.

- No, więc mieli na dziś wyznaczone spotkanie w sprawie kaucji, ale Irańczycy nie zjawili się. Jutro...

- Ale dlaczego? - Ruthie usiłowała zachować spokój. - Dlaczego nie przyszli, skoro to oni ustalili warunki tych spotkań?

- Wiesz, czasem strajkują, a czasem po prostu nie można się poruszać po mieście ze względu... ze względu na demonstracje i tak dalej...

Odnosiła wrażenie, jakby już od wielu tygodni słyszała podobne relacje. Powtarzały się opóźnienia, zwłoki, frustracja.

- Ależ Jim - zaczęła. Łzy napłynęły jej do oczu i nie potrafiła ich wstrzymać. - Jim... - Gardło jej się ścisnęło, nie mogła już wykrztusić ani słowa. Myślała: chcę tylko odzyskać męża!

Jim stał z wyrazem bezsilności i zażenowania na twarzy. Ruthie zaś... Cały ból, który tak długo skrywała, nagle wytrysnął - i nie umiała się już opanować.

Wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju. Wpadła do swej sypialni, rzuciła się na łóżko i leżała szlochając rozpaczliwie.

\* \* \*

Liz Coburn sączyła drinka. Po drugiej stronie stołu siedziała Mary, żona Pata Sculleya, oraz Toni Dvoranchik, żona innego pracownika EDS, również ewakuowana z Teheranu. Wszystkie trzy siedziały przy stoliku w „Recipes”, restauracji w Dallas usytuowanej przy Greenville Avenue, popijając truskawkowe Daiquiri. Mąż Tony Dvoranchik był tutaj, w Dallas. Liz wiedziała, że Pat Sculley zniknął podobnie jak Jay, gdzieś w Europie. A teraz Mary Sculley mówiła takie rzeczy, jakby Pat wyjechał nie do Europy, lecz do Iranu.

- Czy Pat jest w Teheranie? - spytała Liz.

- Moim zdaniem oni wszyscy są w Teheranie - odparła Mary. Liz nie ukrywała przerażenia.

- Jay jest w Teheranie... - Chciało jej się płakać. Jay mówił jej, że jest w Paryżu. Dlaczego nie powiedział prawdy? Pat Sculley przyznał się Mary. Ale Jay był inny. Niektórzy mężczyźni potrafią grać w pokera przez kilka godzin, lecz Jay musiał grać całą noc i jeszcze następny dzień. Inni grali w golfa do dziewięciu czy osiemnastu dołków, a Jay - do trzydziestu sześciu. Wielu mężczyzn ma trudną pracę, ale Jay musiał akurat pójść do EDS. Nawet w wojsku, kiedy oboje byli jeszcze prawie dziećmi, Jay musiał się zgłosić do jednej z najtrudniejszych specjalności - pilota śmigłowca. Teraz zaś wybrał się do Iranu ogarniętego rewolucją. „To samo co zawsze - pomyślała. - Wyjechał, kłamie i grozi mu niebezpieczeństwo”. Nagle poczuła chłód ogarniający całe ciało, jakby znalazła się w stanie szoku. „On nie wróci - pomyślała tępo. - Nie uda mu się wydobyć ich stamtąd i wrócić”.



### 3.

Dobry nastrój Perota szybko minął. Dostał się do więzienia, drwiąc z Dadgara, i podniósł na duchu Paula i Billa. Ale Dadgar nadal miał wszystkie karty w ręku. Po sześciu dniach w Teheranie Perot zrozumiał, dlaczego wszystkie naciski polityczne w Waszyngtonie nie odnosiły skutku: dawny reżim w Iranie walczył o przetrwanie i nie panował nad sytuacją. Nawet gdyby zapłacił kaucję - a ile problemów trzeba było przezwyciężyć, aby to osiągnąć - Paul i Bill i tak musieliby pozostać w Iranie. W dodatku plan ratunkowy Simonsa rozleciał się w strzępy z chwilą zmiany więzienia. Wyglądało na to, że nie było już żadnej nadziei. Tej nocy Perot poszedł zobaczyć się z Simonsem.

Dla bezpieczeństwa odczekał, aż nastanie całkowita ciemność. Ubrany był w sportowy dres, tenisówki i ciemny płaszcz biznesmena. Samochód prowadził Keane Taylor.

Grupa ratownicza opuściła już dom Taylora. Taylor spotkał się już z Dadgarem twarzą w twarz. Dadgar zaczął sprawdzać archiwa EDS i możliwe - jak przypuszczał Simons, że przeprowadzi on w domu Taylora rewizję w poszukiwaniu dokumentów obciążających. Dlatego Simons, Coburn i Poche mieszkali teraz w domu Billa i Toni Dvoranchików, którzy wrócili do Dallas. Jeszcze dwóch członków oddziału przedostało się do Teheranu z Paryża: Pat Sculley i Jim Schwebach, para niewysokich zabijaków, wyznaczonych do osłony skrzydeł w pierwszym scenariuszu odbicia więźniów, teraz już bezużytecznym.

Tak jak zwykle w Teheranie, dom Dvoranchika stanowił parter piętrowego budynku. Na górze mieszkał właściciel domu. Taylor i grupa ratownicza pozostawili Perota sam na sam z Simonsem. Perot z obrzydzeniem rozglądał się po salonie. Bez wątplenia, kiedy mieszkała tu Toni Dvoranchik, dom był znakomicie utrzymany, ale teraz przebywało w nim pięciu mężczyzn, z których żaden nie dbał specjalnie

o porządek. Było tu brudno i śmierdziało cygarami Simonsa.

Potężne kształty tego ostatniego spoczywały w fotelu. Wąsy mu się postrzępiły, a włosy urosły ponad miarę. Odpalał jedno cygaro od drugiego, jak zresztą zwykle. Zaciągał się głęboko i z lubością wdychał dym.

- Widziałeś nowe więzienie - powiedział Perot.

- No - burknął Simons.

- I co myślisz?

- O pomysłe zdobycia więzienia frontowym atakiem nie ma mowy.

- Tak mi się zdawało.

- Ale pozostaje kilka innych możliwości.

„Czyżby?” - pomyślał Perot.

- Po pierwsze - zaczął Simons. - Jak rozumiem, na terenie więzienia parkują samochody. Może udałoby się nam jakoś umieścić Paula i Billa w skrzyni i wywieźć stamtąd. W ramach tego planu, a może jako alternatywę wobec niego, możemy próbować przekupić czy zaszantażować tego dowodzącego więzieniem generała.

- To generał Mohari.

- Właśnie. Jeden z twoich irańskich pracowników dostarczy nam o nim wszelkich danych.

- Dobrze.

- Druga możliwość: zespół negocjacyjny. Jeśli uda się im załatwić umieszczenie Paula i Billa w areszcie domowym, czy czymś w tym rodzaju, możemy ich wyciągnąć. Niech Taylor i tamci chłopcy skoncentrują się na koncepcji aresztu domowego. Niech się zgodzą na wszystkie warunki Irańczyków, aby wydostać Paula i Billa z więzienia. Opracujemy nowy plan akcji zakładający, że będą oni musieli przebywać stale w domu, pod nadzorem Irańczyków.

Perot poczuł się lepiej. To potężny mężczyzna roztaczał wokół siebie atmosferę spokoju i zaufania. Kilka minut temu Perot był niemal bezradny, teraz zaś Simons spokojnie wyliczał nowe sposoby podejścia do problemu, tak jakby przeniesienie do nowego więzienia, problemy z kaucją i upadek legalnego rządu stanowiły niewielką trudność, a nie

całkowitą katastrofę.

- Po trzecie - mówił dalej Simons - trwa tu teraz rewolucja. Jej przebieg można przewidzieć. Za każdym cholernym razem dzieje się to samo. Nie można z góry ustalić, kiedy to wszystko nastąpi, ale nastąpi prędzej czy później. A zawsze dochodzi do tego, że tłumy opanowują więzienia i wypuszczają uwięzionych.

Perot był zaintrygowany.

- Czy tak jest naprawdę? Simons skinął głową.

- Oto te trzy możliwości. Oczywiście na tym etapie gry nie możemy wybrać jednej z nich; musimy przygotowywać się do każdej. Gdy tylko któraś z nich się nawinie, musimy mieć plan ewakuacji wszystkich z tego przekłętego kraju, jak tylko Paul i Bill znajdą się w naszych rękach.

- Tak. - Perot obawiał się o swój własny wyjazd, a przecież przerzut Paula i Billa będzie o wiele bardziej niebezpieczny. - Armia amerykańska obiecała mi pomóc...

- Jasne - odrzekł Simons. - Nie mówię, że cię nabierają, ale z pewnością mają na głowie ważniejsze sprawy od ciebie i nie liczyłbym na nich za bardzo.

- W porządku.

Była to kwestia, którą właściwie ocenić mógł tylko Simons, Perot był zadowolony, że może mu to pozostawić. Tak naprawdę, najchętniej zostawiłby wszystko Simsonowi, z pewnością najlepiej na świecie nadającym się do tego zadania. Darzył go całkowitym zaufaniem.

- Co ja mogę zrobić?

- Wracaj do Stanów. Po pierwsze, grozi ci tu niebezpieczeństwo. Po drugie, jesteś mi potrzebny tam. Możliwe, że jeśli się wydostaniemy, to nie żadnym lotem rejsowym. Może w ogóle nie będzie to samolot. Będziesz musiał nas skądś zabrać - może z Iraku, może z Kuwejtu, Turcji czy Afganistanu. Trzeba to będzie zorganizować. Wracaj do domu i bądź w pogotowiu.

- OK - Perot wstał. Simons zrobił z nim to samo, co Perot robił ze swoim personelem: natchnął go mocą, by przejść jeszcze ten jeden kilometr, gdy wszystko wydawało się już stracone. - Wyjadę jutro.

Dostał rezerwację na rejs nr 200 British Airways do Londynu przez Kuwejt, na samolot odlatujący o godzinie 10.20 20 stycznia, czyli jutro.

Zadzwoił do Margot i poprosił, aby spotkała się z nim w Londynie. Chciał spędzić z nią kilka dni tylko we dwoje. Może potem, gdy ruszy akcja ratunkowa, nie będzie to już możliwe.

W przeszłości miło spędzali czas w Londynie. Zatrzymywali się w hotelu Savoy (Margot wolałaby Claridge, ale Perot go nie lubił: zbyt mocno tam grzali, a kiedy otwierał okno, nie dawał mu zasnąć hałas samochodów na Brook Street). Chodzili do teatru i na koncerty, a także do ulubionego nocnego klubu Margot -

„Annabel’s. Przez kilka dni mogli cieszyć się życiem. O ile wydostanie się z Iranu.

Aby zredukować do minimum czas, jaki musiał spędzić na lotnisku, do ostatniej chwili siedział w hotelu. Zadzwoił, aby się upewnić, czy lot będzie o czasie, i powiedziano mu, że tak.

Zgłosił się do rejestracji pasażerów kilka minut przed dziesiątą.

Rich Gallagher, który towarzyszył mu na lotnisko, poszedł pierwszy, aby się zorientować, czy władze zechcą się czepiać Perota. Gallagher robił już wcześniej podobne podchody. Wraz ze znajomym Irańczykiem, który pracował w PanAmie, poszedł do kontroli paszportowej niosąc dokumenty Perota. Irańczyk wyjaśnił, że są to papiery ważnej osobistości i poprosił o wcześniejsze sprawdzenie ich. Urzędnik za biurkiem uprzejmie przejrzał teczkę z luźnymi kartkami zawierającymi spis osób, których nie należy przepuszczać, i stwierdził, że pan Perot nie będzie miał problemów. Gallagher wrócił z dobrymi wieściami.

Perot w dalszym ciągu miał wątpliwości. Jeśli chcieli go zgarnąć, mogli sprytnie skłamać Gallagherowi.

Ugrzeczniony Bill Gayden, prezes EDS World, miał wkrótce przylecieć, aby przejąć kierownictwo zespołu negocjacyjnego. Gayden

już raz opuścił Dallas, aby lecieć do Teheranu, ale zawrócił w Paryżu usłyszawszy ostrzeżenie Bunny Fleischaker, że nastąpią nowe aresztowania. Teraz, podobnie jak Perot, zdecydował się zaryzykować. Przyleciał w momencie, gdy Perot oczekiwał na rejs, mieli więc okazję porozmawiać.

W walizce Gayden miał osiem amerykańskich paszportów należących do pracowników EDS, którzy wyglądem przypominali choć trochę Paula lub Billa.

- Myślałem, że przygotowują im fałszywe papiery - powiedział Perot. - Nie można było znaleźć jakiegoś sposobu?

- Owszem, znaleźliśmy sposób - odrzekł Gayden. - Jeśli potrzeba szybko paszportu, należy zabrać całą dokumentację do sądu w Dallas, tam zapakować wszystko do koperty i zawieźć do Nowego Orleanu, gdzie wydają paszport. To zwykła koperta urzędowa zaklejona przylepcem, więc łatwo można ją otworzyć po drodze do Nowego Orleanu, wyjąć tamte zdjęcia, włożyć zdjęcia Paula i Billa - które mamy - zakleić na nowo kopertę i - hokus - pokus - mamy paszporty dla Paula i Billa na fałszywe nazwiska. Ale to niezgodne z prawem.

- Więc co zrobiliście zamiast tego?

- Powiedziałem wszystkim ewakuowanym, że potrzebne mi są ich dokumenty, aby załatwić przewiezienie rzeczy z Teheranu. Dostałem ze sto czy dwieście paszportów, po czym wybrałem osiem najlepszych. Wymyśliłem list od kogoś ze Stanów do kogoś innego tu, w Teheranie: „Przesyłam okazją te paszporty, o które prosił pan w celu załatwienia spraw z władzami imigracyjnymi”. To na wypadek, gdyby ktoś zapytał, po cholerę mi osiem paszportów.

- Jeśli Paul i Bill użyją tych paszportów w celu przekroczenia granicy, to i tak złamią prawo.

- O ile uda się nam dostawić ich do granicy, pójdziemy na to.

- To rozsądne - Perot skinął głową.

Wywołano jego rejs. Perot pożegnał się z Gaydenem oraz Taylorem, który przywiózł go na lotnisko, i miał zabrać Gaydena do hotelu. Następnie ruszył, chcąc na własnej skórze sprawdzić, jak to jest z tą listą

osób, których nie należy wypuszczać.

Najpierw przekroczył drzwi z napisem „Wejście tylko dla pasażerów”, gdzie sprawdzono jego kartę pokładową. Przeszedł korytarzem do okienka: tu zapłacił niewielką sumę jako opłatę lotniskową. Następnie po prawej dostrzegł rząd biurk kontrolni paszportowej.

Tu znajdowała się lista.

Przy jednym z biurk siedziała dziewczyna zaczytana w jakiejś broszurce. Perot podszedł do niej. Wręczył paszport i żółty formularz wyjazdowy. U góry formularza widniało jego nazwisko.

Dziewczyna wzięła żółty arkusik, otworzyła paszport, podstemplowała go i zwróciła, nawet nie patrząc na Perota. Natychmiast znowu pogłężyła się w lekturze.

Perot wszedł do sali odlotów. Lot był opóźniony.

Usiadł. Był podminowany: w każdej chwili dziewczyna może skończyć czytać broszurę albo po prostu znudzić się nią i zacznie sprawdzać z listą nazwiska na żółtych formularzach. Potem - wyobrażał sobie - przyjdą po niego; policja, wojsko albo agenci Dadgara, pójdzie do więzienia i Margot znajdzie się w sytuacji Ruthie czy Emily - nie będzie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy męża.

Co parę sekund sprawdzał tablicę odlotów, ale napis głosił po prostu: „opóźniony”.

Przez pierwszą godzinę siedział na brzegu fotela.

Potem pogodził się z losem. Jeśli mają go złapać, to go złapią i nic na to nie poradzi. Zaczął czytać jakieś czasopismo. Przez kolejną godzinę przeczytał wszystko, co miał w walizeczce. Następnie zaczął rozmawiać z siedzącym obok niego mężczyzną. Dowiedział się, że sąsiad jest brytyjskim inżynierem pracującym w Iranie na zlecenie jakiejś wielkiej firmy brytyjskiej. Rozmawiali przez jakiś czas, a potem zamienili się czasopismami.

„Za kilka godzin - myślał Perot - będę w uroczym apartamencie hotelowym razem z Margot - albo w irańskim więzieniu”. Porzucił tę myśl.

Minęła pora obiadowa. Zaczynał wierzyć, że po niego nie przyjdą. Ostatecznie wywołano lot o szóstej po południu.

Perot wstał. Jeśli mieliby teraz przyjść po mnie...

Dołączył do tłumu idącego w kierunku wyjścia. Przeszedł kontrolę antyterrorystyczną: obszukano go i gestem pokazano, aby szedł dalej.

„Prawie mi się udało” - myślał wsiadając do samolotu. Usiadł między dwoma grubasami w klasie turystycznej. Zresztą w tym samolocie była tylko klasa turystyczna. „Chyba mi się udało”.

Drzwi zamknęły się i samolot ruszył z miejsca. Wykołował na pas startowy i nabrał szybkości. Wystartował.

Udało mu się.

Zawsze był szczęściarzem.

Powrócił w myślach do Margot. Podczas tego kryzysu zachowywała się tak samo, jak w sprawie jeńców wojennych: wiedziała, że jej mąż w ten sposób rozumie swoje obowiązki i nigdy się nie skarżyła. Dzięki temu mógł skupić się na tym, co miał robić, i odsunąć od siebie złe myśli, które mogłyby usprawiedliwić brak działania. Miał szczęście, że była jego żoną. Zaczął myśleć o wszystkich szczęśliwych wydarzeniach, które go spotkały: dobrzy rodzice, przyjęcie do Akademii Marynarki Wojennej, poznanie Margot, wspaniałe dzieci, praca w EDS, dobrzy współpracownicy, dzielni ludzie, tacy jak ci ochotnicy, których pozostawił w Iranie...

Zastanawiał się, czy człowiek nie ma jakiegoś limitu szczęścia w życiu. Myślał o swoim szczęściu jak o piasku w klepsydrze, przesypującym się powoli, lecz jednostajnie. Co się stanie, myślał, kiedy cały przesypie się?

Samolot podszedł do lądowania w Kuwejcie. A więc opuścił już przestrzeń powietrzną Iranu. Udało mu się uciec.

Kiedy tankowano samolot, Perot podszedł do otwartych drzwi. Stał wdychając świeże powietrze i ignorując nawoływania stewardesy, która kazała mu wracać na miejsce. Nad płytą lotniska wiał łagodny wietrzyk i Perot z ulgą pozbył się choć na chwilę swoich grubych sąsiadów. Stewardesa ostatecznie dała za wygraną i poszła do innych zajęć. Perot

spoglądał na zachód słońca. „Szczęście - pomyślał. - Ciekawe, ile mi go jeszcze zostało?”



## ROZDZIAŁ ÓSMY

### 1.

Grupa ratownicza w Teheranie składała się teraz z Simonsa, Coburna, Pochego, Sculleya i Schwebacha. Simons zdecydował, że Boulware, Davis i Jackson nie pojadą do Teheranu. Pomysł odbicia Paula i Billa bezpośrednim atakiem spełził na niczym, toteż zbyt duży skład nie był już potrzebny. Simons wysłał Glenna Jacksona do Kuwejtu, aby zbadał tamtejszą część ewentualnej południowej drogi ucieczki z Iranu. Boulware i Davis wrócili do Stanów, żeby oczekiwać tam na dalsze polecenia.

Majid przekazał Coburnowi informację, że generał Mohari, komendant więzienia Gasr, był człowiekiem nieprzekupnym, ale miał dwie córki studiujące w Stanach Zjednoczonych. Zespół Simonsa przez pewien czas rozważał możliwość porwania dziewcząt w celu zmuszenia Mohariego do udzielenia pomocy w ucieczce Paula i Billa, jednakże pomysł ów został odrzucony (Perot aż podskoczył, gdy się dowiedział, że w ogóle zamierzali coś takiego). Plan wydostania Paula i Billa w skrzyni samochodu ciężarowego na razie odłożono, choć go nie zarzucono.

Przez dwa albo trzy dni ludzie z EDS zastanawiali się nad tym, co zrobią, jeśli Paul i Bill zostaną wypuszczeni i umieszczeni w areszcie

domowym. Poszli nawet przyjrzeć się domom, które obaj więźniowie zajmowali przed aresztowaniem. Uwolnienie ich stamtąd nie byłoby trudne, chyba że Dadgar zarządziłby ciągłą obserwację Paula i Billa. Postanowiono, że grupa weźmie dwa samochody. Pierwszym pojadą Paul i Bill. W drugim, jadącym w pewnej odległości, będą Sculley i Schwebach, odpowiedzialni za zniszczenie każdego, kto zechciałby śledzić pierwszy wóz. Raz jeszcze przypadło tej dwójce mordercze zadanie.

Zdecydowali, że oba pojazdy będą utrzymywać łączność przez krótkofalówki. Coburn zadzwonił do Merva Stauffera w Dallas i zamówił potrzebny sprzęt. Boulware miał zabrać aparaty do Londynu; Schwebach i Sculley udali się tam, aby spotkać się z nim i zabrać sprzęt. W Londynie mieli też postarać się o dobre mapy Iranu, które przydadzą się podczas ucieczki, gdyby oddział opuszczał Iran drogą lądową. W Teheranie nie było bowiem żadnych dobrych map Iranu, o czym członkowie Jeep Clubu przekonali się na własnej skórze w lepszych czasach; Gayden mówił, że mapy irańskie są mniej więcej na poziomie instrukcji typu: „Skręć na lewo przy zdechłym koniu”.

Simons chciał się także przygotować na trzecią możliwość - że Paula i Billa uwolni tłum, który zdobędzie więzienie. Co wówczas powinna zrobić grupa? Coburn przez cały czas obserwował sytuację w mieście. Telefonował do znajomych w amerykańskim wywiadzie wojskowym i do tych spośród Irańczyków zatrudnionych przez Amerykanów, którym mógł zaufać. Jeśli więzienie zostanie zdobyte, od razu się o tym dowie. Co wtedy? Ktoś będzie musiał odnaleźć Paula z Billem i przeprowadzić ich w bezpieczne miejsce. Ale grupka Amerykanów jadąca samochodem w samym środku rozruchów to pewne nieszczęście. Paul i Bill będą więc bezpieczniejsi, jeśli niepostrzeżenie wmieszają się w tłum uciekających więźniów. Simons polecił Coburnowi, aby ten porozmawiał z Paulem o tej sprawie podczas najbliższego widzenia i kazał mu w razie czego kierować się do hotelu Hyatta.

Jednakże Irańczyk mógł próbować odszukać obu mężczyzn w czasie

zamieszek. Simons poprosił Coburna o wyszukanie jakiegoś irańskiego pracownika EDS, który naprawdę dobrze znał miasto.

Coburn natychmiast pomyślał o Rashidzie.

Był to ciemnoskóry, dość przystojny dwudziestotrzylatek z zamożnej rodziny teherańskiej. Ukończył kurs EDS dla techników komputerowych. Był inteligentny, zaradny i miał wiele wdzięku osobistego. Coburn przypominał sobie, kiedy ostatni raz Rashid zademonstrował swój talent improwizacyjny. Pracownicy Ministerstwa Zdrowia, którzy strajkowali, odmówili wprowadzenia danych dotyczących listy płac, lecz Rashid zabrał wszystkie dane, zaniósł je do Banku Omran, namówił tam kogoś, aby wpisał je do programu, po czym wpuścił to wszystko do komputera ministerstwa. Kłopot z Rashidem polegał na tym, że stale trzeba było mieć na niego oko, bo nigdy nie radził się nikogo przed wprowadzeniem w życie swych niekonwencjonalnych pomysłów. Takie wprowadzenie danych, jak w tamtym przypadku, równało się łamaniu strajku i mogło wpędzić EDS w kłopoty - prawdę mówiąc, kiedy Bill o tym usłyszał, bardziej się zaniepokoił, niż ucieszył. Rashid był porywczy i impulsywny, po angielsku zaś mówił niezbyt dobrze - stąd ta skłonność do realizowania swych zwariowanych koncepcji bez informowania kogokolwiek, która tak denerwowała jego zwierzchników. Ale zawsze wychodził obronną ręką. Potrafił się wytłumaczyć ze wszystkiego. Na lotnisku, gdy kogoś witał lub żegnał, zawsze zdołał przepchnąć się przez drzwi z napisem:

„Wejście tylko dla pasażerów”, choć nigdy nie miał żadnej karty pokładowej, biletu czy paszportu. Coburn znał go dobrze i lubił na tyle, że parę razy zaprosił go na kolację. Ufał mu całkowicie, szczególnie od tamtego strajku, kiedy Rashid był jednym z informatorów Coburna pośród wrogo nastawionych pracowników irańskich.

Jednakże Simons nie zaufa Rashidowi wyłącznie za poręką Coburna. Tak samo, jak upierał się przy osobistym spotkaniu z Keane'em Taylorem, nim dopuścił go do tajemnicy, zechce również porozmawiać z Rashidem.

Coburn zaaranżował więc spotkanie.

Kiedy Rashid miał osiem lat, chciał zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Jako dwudziestotrzylatek wiedział już, że prezydentem nigdy nie zostanie, ale nadal chciał pojechać do Ameryki. Miało mu to umożliwić EDS. Wiedział, że ma w sobie to coś, co robi z niego wielkiego biznesmena. Studiował psychologię i niezbyt wiele czasu zajęło mu zrozumienie mentalności ludzi z EDS. Potrzebne im były wyniki, nie wytłumaczenia. Jeśli powierzano ci zadanie, zawsze było lepiej zrobić trochę więcej, niż od ciebie oczekiwano. Jeśli z jakiegoś powodu zadanie było trudne lub wręcz niemożliwe do wykonania, najlepiej się do tego nie przyznawać: EDS nie darzyło sympatią tych, co skamlali o trudnościach. Zamiast:

„Nie mogę tego zrobić, bo... „, trzeba było powiedzieć: „Na razie udało mi się osiągnąć tyle, a teraz pracuję nad następującym problemem... „. I tak się złożyło, że ta postawa doskonale odpowiadała Rashidowi. Stał się pożyteczny dla EDS i wiedział, że firma to docenia.

Największym jego osiągnięciem było zainstalowanie terminali komputerowych w tych pomieszczeniach, gdzie personel irański był podejrzliwy i wrogo nastawiony. Tak wrogo, że Patowi Sculleyowi udawało się zainstalować nie więcej niż dwa w miesiącu, Rashid natomiast rozmieścił pozostałe osiemnaście w dwa miesiące. Miał zamiar zdyskontować ten sukces. Ułożył list do Rossa Perota, który - jak mu się wydawało - był szefem EDS, z prośbą, aby pozwolono mu ukończyć szkolenie w Dallas. Chciał poprosić wszystkich kierowników EDS w Teheranie, aby poparli ten list, ale wypadki potoczyły się zbyt szybko. Większość kadry kierowniczej ewakuowano, a EDS w Iranie zaczęło się rozpadać, nigdy więc nie wysłał tego listu. Musiał wymyślić coś innego.

Zawsze znajdował jakiś sposób. Dla Rashida wszystko było możliwe.

Mógł zrobić wszystko. Udało mu się nawet wykręcić od wojska. W czasie gdy tysiące młodych Irańczyków z zamożnych rodzin wydawały fortuny, aby uchronić się od służby wojskowej, Rashid po paru tygodniach w mundurze zdołał przekonać lekarzy, że jest nieuleczalnie chory na padaczkę. Jego koledzy i zwierzchnicy wiedzieli, że Rashid jest zdrow jak koń, ale za każdym razem, gdy znalazł się w pobliżu lekarza, dostawał napadu drgawek. Trafiał przed komisje lekarskie, gdzie drgawki trwały całymi godzinami - co, jak twierdził, było ogromnie wyczerpujące. Ostatecznie tylu lekarzy zaświadczyło, że jest chory, iż otrzymał papiery o demobilizacji. Cała sprawa była szalona, idiotyczna, niemożliwa do wykonania - ale właśnie niewykonalne sprawy stanowiły specjalność Rashida. Wiedział więc, że pojedzie do Ameryki. Nie wiedział jak, ale szczegółowe i wymyślne planowanie i tak nie leżało w jego stylu. Wykorzystywał chwilę, był mistrzem improwizacji. Jego szansa nadejdzie, a on ją pochwyci.

Pan Simons interesował go. Nie był podobny do innych szefów EDS. Tamci mieli po trzydzieści, czterdzieści lat, a pan Simons zbliżał się do sześćdziesiątki. Jego długie włosy i białe wąsy bardziej upodabniały go do Irańczyka niż do Amerykanina. Poza tym nigdy nie ujawniał od razu, o czym myśli. Tacy jak Sculley czy Coburn mawiali: „Oto sytuacja, to masz wykonać i nie później niż do jutra rana... „. Simons powiedział natomiast: „Chodźmy na spacer”.

Chodzili po ulicach Teheranu. Rashid stwierdził nagle, że opowiada o swej rodzinie, o pracy w EDS, o swych poglądach na ludzką psychikę. Słyszeli nieustanną strzelaninę, a po ulicy maszerowały rozśpiewane tłumy. Wszędzie mogli dostrzec barykady po niedawnych walkach, przewrócone samochody i wypalone domy.

- Marksiści niszczą drogie samochody, a muzułmanie rozwalają sklepy z alkoholem - powiedział do Simonsa Rashid.

- Dlaczego tak się dzieje? - zapytał Simons.

- Nadszedł czas, aby Irańczycy sprawdzili się, wcielili w życie swe idee i odzyskali wolność.

Znaleźli się na placu Gasr i stanęli przed murami więzienia.

- Tutaj znajduje się wielu Irańczyków, którzy chcieli tylko wolności - powiedział Rashid.

Simons wskazał gromadę kobiet w długich szatach, z zasłoniętymi twarzami.

- Co one robią?

- Ich mężowie i synowie zostali niesprawiedliwie uwięzieni, więc zbierają się tu, chcąc płaczem i krzykiem skłonić strażników, aby ich wypuścili.

- Tak... - powiedział Simons - a ja współczuję Paulowi i Billowi nie mniej niż te kobiety swoim mężom.

- Mnie też bardzo obchodzi ich los.

- A co robisz w tej sprawie? - zapytał Simons. Rashid poczuł się urażony.

- Robię wszystko, co mogę, aby pomóc moim amerykańskim przyjaciołom - odparł. Pomyślał o psach i kotach. Do jego aktualnych zadań należało opiekowanie się zwierzętami pozostawionymi przez ewakuowanych pracowników EDS - w sumie czterema psami i dwunastoma kotami. Rashid nigdy nie miał zwierzęcia domowego i nie umiał się obchodzić z wielkimi, agresywnymi psami. Za każdym razem, kiedy wchodził do mieszkania, w którym przebywały psy, aby je nakarmić, musiał najmować dwóch albo trzech mężczyzn z ulicy, którzy pomogliby mu je opanować. Dwa razy zabierał je wszystkie w klatkach na lotnisko, usłyszawszy, że będzie samolot, który weźmie je na pokład, ale za każdym razem lot odwoływano. Pomyślał, że mógłby opowiedzieć o tym Simonsowi, ale czuł, że Simons nie przejmie się tym zanedo.

„Simons coś chowa w zanadrzu - pomyślał Rashid - i nie chodzi tu o zwykłe obowiązki”. Rashid uważał Simonsa za doświadczonego człowieka - można było się o tym przekonać po prostu patrząc na jego twarz. Rashid nie miał zaufania do doświadczenia, wolał raczej szybką naukę. Rewolucję, nie ewolucję. Wybierał łatwiejszą drogę, na skróty, przyspieszony rozwój, intensyfikację. Simons był inny - cierpliwy, a Rashid, po zanalizowaniu psychiki Simonsa, uznał, że owa cierpliwość

wywodzi się z silnej woli. „Kiedy nadejdzie czas - pomyślał Rashid - powie mi, czego ode mnie oczekuje”.

- Słyszałeś o Rewolucji Francuskiej? - zapytał Simons.

- Trochę.

- To miejsce przypomina mi Bastylię, symbol ucisku. „Dobre porównanie”

- pomyślał Rashid.

- Francuscy rewolucjoniści - mówił dalej Simons - zdobyli Bastylię i wypuścili więźniów.

- Myślę, że to samo stanie się tutaj. Przynajmniej jest taka możliwość. Simons skinął głową.

- Jeśli tak się stanie, ktoś tu powinien być, żeby zająć się Paulem i Billem.

„Tak. To będę ja” - pomyślał Rashid.

Stali obaj na placu Gasr, patrząc na wysokie mury i ogromne wrota oraz na zawodzące kobiety w czarnych szatach. Rashid przypominał sobie swą zasadę: zawsze rób więcej, niż EDS od ciebie oczekuje. Co będzie, jeśli tłumy zignorują więzienie Gasr? Może powinien sprawić, aby się tak nie stało. W tłumie byli tylko ludzie tacy jak Rashid: młodzi, rozczarowani Irańczycy, którzy chcieli zmienić swe życie. Może uda mu się nie tylko wmieszać w tłum, ale nawet go poprowadzić. Może stanie na czele ataku na więzienie. On, Rashid, może uratować Paula i Billa. Nie ma rzeczy niemożliwych.

## 2.

Coburn nie wiedział o wszystkim, co działo się w duszy Simonsa w tym momencie. Nie był obecny przy jego rozmowach z Perotem i Rashidem, a sam Simons nie śpieszył się z informacjami. Z tego, co wiedział Coburn, wszystkie trzy możliwości - ucieczka w skrzyni ciężarówky, wydostanie więźniów z ewentualnego aresztu domowego i

zdobycie „Bastylii” - wydawały się dość wątpliwe. Co więcej, Simons nie robił nic, aby pomóc w zrealizowaniu którejkolwiek z tych możliwości, ale przesiadywał pozornie zadowolony z siebie w domu Dvoranchików i omawiał coraz to bardziej szczegółowe scenariusze. Nie martwiło to jednak zbytnio Coburna. Był zawsze optymistą i podobnie jak Ross Perot nie widział sensu w rozgryzaniu posunięć największego na świecie specjalisty od tego rodzaju akcji.

Podczas gdy owe trzy możliwości czekały na urzeczywistnienie, Simons skoncentrował się na drogach ucieczki z Iranu. Coburn nazwał ten problem „ucieczką z obleżonego miasta”.

Coburn badał możliwości wydostania Paula i Billa samolotem. Kręcił się po składach lotniskowych, zastanawiając się, czy nie można by więźniów wyekspediować jako ładunku. Rozmawiał z pracownikami wszystkich linii lotniczych, próbując nawiązać kontakty. Na koniec odbył kilka rozmów z szefem służby bezpieczeństwa PanAmu, informując go o wszystkim oprócz nazwisk Paula i Billa. Zastanawiali się obaj nad możliwością wywiezienia uciekinierów regularnym rejssem, w uniformach obsługi samolotu. Szef ochrony bardzo chciał pomóc, ale ostatecznie przepisy bezpieczeństwa linii lotniczych okazały się problemem nie do przeskoczenia. Następnie Coburn rozważał możliwość porwania śmigłowca. Przeprowadził rekonesans w bazie helikopterów na południe od miasta i doszedł do wniosku, że porwanie jest możliwe. Jednak chaos panujący w armii irańskiej kazał podejrzewać, że maszyna może być niesprawną, a części zamiennych brakowało. Ponadto paliwo w baku mogło być zanieczyszczone i nie nadawać się do użytku.

Wszystko to przekazał Simonsowi. Ten już przedtem niezbyt chętnie myślał o korzystaniu z lotniska, toteż trudności, jakie napotkał Coburn, jeszcze bardziej utwierdziły go w tym przekonaniu. Wokół portów lotniczych zawsze jest policja i wojsko. Jeśli coś się nie uda, nie będzie drogi ucieczki - lotniska projektuje się tak, aby ludzie nie chodzili tam, gdzie nie powinni. Na lotnisku człowiek zawsze jest na łasce innych. Ponadto w takiej sytuacji najgroźniejszym wrogiem są sami



uciekinierzy; powinni zachować absolutny spokój. Coburn był zdania, że Paula i Billa stać na to, ale Simonsowi nie było sensu tego tłumaczyć: Simons zawsze ufał tylko własnej ocenie charakteru człowieka, a ani Paula, ani Billa nie miał okazji poznać osobiście.

Ostatecznie więc zdecydował się na ucieczkę drogą lądową. Było sześć takich dróg.

Na północy Związek Radziecki, kraj niezbyt gościnny. Na wschodzie Afganistan, równie niegościnny, oraz Pakistan, którego granica znajdowała się zbyt daleko - ponad półtora tysiąca kilometrów, głównie przez pustynię. Na południu leżała Zatoka Perska i przyjazny Kuwejt, ze sto kilometrów po drugiej jej stronie. To brzmiało obiecująco. Na zachodzie był nieprzyjazny Irak, na północnym zachodzie - przyjazna Turcja.

Najbardziej zachęcająco wyglądały Kuwejt i Turcja.

Simons poprosił Coburna, aby wysłał godnego zaufania irańskiego pracownika na południe w celu zbadania drogi do Zatoki Perskiej - czy jest przejezdna i czy w okolicy nie ma jakichś rozruchów. Coburn wysłał „Motocyklistę”. Ten przydomek wziął się stąd, że jego posiadacz szalał na motocyklu po ulicach Teheranu. Podobnie jak Rashid, był technikiem komputerowym, miał dwadzieścia pięć lat, był niskiego wzrostu i znał Teheran jak własną kieszeń. Angielskiego nauczył się w szkole w Kalifornii i potrafił nim mówić z dowolnym amerykańskim akcentem regionalnym: południowym, portorykańskim - jakimkolwiek. EDS zatrudniło go pomimo braku tytułu naukowego, ponieważ miał znakomite wyniki w testach sprawności umysłowej. Kiedy irańscy pracownicy EDS przyłączyli się do strajku generalnego, a Paul i Coburn zarządzili ogólne zebranie, aby z nimi porozmawiać, „Motocyklista” zaskoczył wszystkich żarliwym wystąpieniem skierowanym przeciwko swoim kolegom, a na rzecz kierownictwa. Nie ukrywał swoich proamerykańskich sympatii, ale mimo to Coburn był całkowicie pewien, że „Motocyklista” ma coś wspólnego z rewolucjonistami. Pewnego dnia poprosił Keane’a Taylora o samochód; Taylor dał mu go. Następnego dnia poprosił o jeszcze jeden - i Taylor zrobił to znowu.

„Motocyklista” sam zwykle jeździł na motorze, toteż Taylor i Coburn nie wątpili, że samochody były przeznaczone dla rebeliantów. Niewiele ich to obeszło. Ważniejsze było, aby „Motocyklista” miał wobec nich dług wdzięczności.

Tak więc z wdzięczności za dawne przysługi „Motocyklista” pojechał nad Zatokę Perską.

Po paru dniach wrócił i powiedział, że wszystko jest możliwe pod warunkiem, że ma się dostatecznie dużo pieniędzy. Można było dostać się nad zatokę i kupić albo wynająć łódź.

Nie mógł natomiast powiedzieć, co się stanie, gdy łódź wyląduje w Kuwejcie. Odpowiedzi na to pytanie udzielił Glenn Jackson.

\* \* \*

Poza tym, że był myśliwym i baptystą, Glenn Jackson zajmował się również raketami. Dysponując zarówno znakomitym umysłem matematycznym, jak i umiejętnością zachowania spokoju w warunkach stresowych, Jackson znalazł się w ośrodku kierowania załogowymi lotami kosmicznymi NASA w Houston, gdzie pełnił funkcję kontrolera lotów. Do jego zadań należało układanie i obsługa programów wyliczających orbity do manewrów podczas lotu.

Nieomyślność Jacksona została wystawiona na ciężką próbę w Boże Narodzenie roku 1968 podczas ostatniego lotu, którym się opiekował - przelotu z Ziemi wokół Księżyca i z powrotem. Kiedy pojazd wyłonił się spoza tarczy Księżyca, astronauta Jim Lovell odczytał szereg liczb, które miały powiedzieć Jacksonowi, czy i w jakim stopniu pojazd odchylił się od zaplanowanej orbity. Jackson przeraził się: liczby znacznie przekraczały dopuszczalny margines błędu. Poprosił kierownictwo lotu na przykładu Kennedy’ego, aby astronauta odczytał liczby raz jeszcze, w celu powtórnego sprawdzenia. Następnie oświadczył kierownikowi lotu, że jeśli te liczby są poprawne, to już po załodze: pojazd nie ma tyle paliwa, aby wyrównać tak wielkie

odchylenie.

Jackson poprosił, aby Lovell przeczytał liczby po raz trzeci, wyjątkowo dokładnie. Były takie same. Potem jednak Lovell powiedział: - Och, jeden moment, zdaje się, że zrobiłem błąd...

Kiedy nareszcie do Jacksona dotarły prawdziwe liczby, okazało się, że manewr był niemal doskonały.

Stąd jednak było bardzo daleko do umiejętności wysadzania więzień.

Zaczynało wyglądać na to, że Jacksonowi nie dane będzie w końcu włamywać się do więzienia. Cały tydzień tkwił w Paryżu, kiedy w końcu otrzymał instrukcje od Simonsa (poprzez Dallas), żeby udać się do Kuwejtu.

Poleciał do Kuwejtu i zamieszkał w domu Boba Younga. Young wyjechał do Teheranu wspomóc zespół negocjujący, natomiast jego żona Kris oraz ich maleńkie dziecko wyjechali do Stanów na wakacje. Jackson poinformował Malloya Jonesa, pełniącego w czasie nieobecności Younga obowiązki szefa EDS na ten kraj, że przyjechał pomóc w badaniach wstępnych, które EDS prowadziło na zlecenie centralnego banku Kuwejtu. Trochę popracował, aby uprawdopodobnić swoje wytłumaczenie, po czym zaczął się rozglądać.

Spędził sporo czasu na lotnisku obserwując oficerów kontroli paszportowej. Wkrótce stwierdził, że są oni bardzo skrupulatni. Do Kuwejtu przybywały samolotami setki Irańczyków bez paszportów: zakuwano ich w kajdanki i odsyłano najbliższym lotem tam, skąd przybyli. Jackson doszedł do wniosku, że Paul i Bill w żaden sposób nie mogą tu przybyć drogą powietrzną.

Zakładając jednak, że przybędą łodzią, czy pozwolą im potem wyjechać bez paszportów? Jackson zwrócił się do amerykańskiego konsula, mówiąc, że jego dziecko prawdopodobnie zgubiło paszport, i pytając, w jaki sposób można otrzymać duplikat. Po długiej, pełnej dygresji rozmowie, konsul ujawnił, że Kuwejtczyki przy wyjeździe z ich kraju sprawdzają, czy dana osoba wjechała legalną drogą.

Był to problem, ale być może do załatwienia: kiedy już Paul i Bill

znajdą się w Kuwejcie, będą bezpieczni od Dadgara, a ambasada amerykańska z pewnością wyda im własne paszporty. Najważniejsze pytanie jednak brzmiało: Jeżeli uciekinierzy dotrą na południe Iranu i zdobędą niewielką łódź, czy uda im się wylądować niepostrzeżenie u brzegów Kuwejtu? Jackson objechał całe stukilometrowe wybrzeże kraju, od granicy z Irakiem na północy do granicy z Arabią Saudyjską na południu. Spędził wiele godzin na plaży zbierając zimą muszle. Normalnie, jak się dowiedział, patrole nie były zbyt liczne, ale exodus z Iranu wszystko zmienił.

Tysiące Irańczyków chciały wyjechać z kraju, tak samo usilnie jak Paul i Bill, a ci Irańczycy, podobnie jak Simons, umieli czytać mapę i widzieli na południu Zatokę Perską z przyjaznym Kuwejtem tuż po drugiej stronie. Straż przybrzeżna Kuwejtu świetnie o tym wiedziała. Gdziekolwiek Jackson się rozglądał, zawsze widział co najmniej jedną łódź patrolową, która, jak się wydawało, zatrzymywała wszystkie małe łodzie.

Perspektywy rysowały się ponuro. Jackson zadzwonił do Merva Stauffera w Dallas i stwierdził, że ucieczka przez Kuwejt jest niemożliwa.

\* \* \*

Pozostawała więc Turcja.

Simons od początku wołał Turcję. Po pierwsze droga do granicy była krótsza niż nad Zatokę Perską. Ponadto Simons znał ten kraj; służył tam w latach pięćdziesiątych, szkoląc turecką armię w ramach amerykańskiego programu pomocy wojskowej. Znał nawet miejscowy język. Wysłał zatem Ralpha Boulware'a do Istambułu.

Ralph Boulware wychowywał się w barach. Jego ojciec, Benjamin Russell Boulware, był twardym i niezależnym Murzynem, który prowadził jeden po drugim kilka niewielkich interesów: sklep spożywczy, wynajem nieruchomości, nielegalną sprzedaż alkoholu. Ale

przede wszystkim bary. Teoria wychowania dzieci Bena Boulware'a zakładała, że jeśli wiedział, gdzie one są, to wiedział też, co robią. Toteż trzymał swoich chłopaków w zasięgu wzroku - czyli głównie w barze. Nieszczerłone to było dzieciństwo i Ralph miał wrażenie, że był dorosły przez całe życie.

Zrozumiał, że jest inny niż rówieśnicy, kiedy zaczął studia w college'u i spostrzegł, że jego kolegów interesują głównie gry hazardowe, picie alkoholu i kobiety. On już wiedział wszystko o szulerach, pijakach i dziwkach. Zrezygnował z college'u i zaciągnął się do lotnictwa wojskowego.

Przez dziewięć lat służby nie uczestniczył w żadnej akcji i choć ogólnie był z tego zadowolony, zastanawiał się jednak, czy w razie prawdziwej wojny znalazłby w sobie to, co jest potrzebne do walki. „Akcja uwolnienia Paula i Billa mogła dać mu możliwość przekonania się o tym” - myślał, ale Simons odesłał go z Paryża do Dallas. Wyglądało na to, że znowu trafił do służby tyłowej. I wtedy nadeszły nowe rozkazy.

Przekazał je Merv Stauffer, prawa ręka Perota, który pełnił teraz funkcję łącznika między Simonsem i rozproszonymi członkami grupy ratowniczej. Stauffer poszedł do sklepu elektronicznego i zakupił sześć pięciokanałowych kieszonkowych radiostacji nadawczo - odbiorczych, dziesięć zasilaczy z zapasem baterii oraz urządzenie do zasilania radiostacji z akumulatora samochodowego. Cały ten sprzęt przekazał Boulware'owi i polecił mu spotkać się ze Sculleyem i Schwebachem w Londynie, przed udaniem się do Istanbułu.

Stauffer dał mu również czterdzieści tysięcy dolarów w gotówce na łapówki i inne wydatki.

Wieczorem przed wyjazdem Boulware'a jego żona zaczęła domagać się pieniędzy. Przed wyjazdem do Paryża nic jej nie mówiąc wyjął z banku tysiąc dolarów - zawsze uważał, że nie ma to jak gotówka - Mary zaś odkryła później, jak niewiele zostało na ich wspólnym rachunku. Boulware nie chciał jej wyjaśniać, dlaczego wziął pieniądze, i na co je wydał. Mary upierała się, że potrzebuje pieniędzy. Boulware nie

przejmował się tym zanadto; wiedział, że jego żona przebywa wśród dobrych przyjaciół, którzy zatroszczą się o nią. Jednak nie udało się mu zbyć jej jakimś wykrętem i - tak jak zawsze, kiedy Mary stawiała się uparta - postanowił zrobić jej przyjemność. Poszedł do sypialni, gdzie stało pudełko z radiostacjami oraz czterdziestoma tysiącami dolarów, i odliczył pięćset. Mary weszła do sypialni, gdy to robił, i zobaczyła, co jest w pudełku. Boulware dał jej te pięć setek.

- Czy to ci wystarczy? - zapytał.

- Tak - odrzekła.

Spojrzała na pudełko, potem na męża.

- Nawet nie będę pytać - powiedziała i wyszła.

Boulware wyjechał następnego dnia. Spotkał w Londynie Schwebacha i Sculleya, dał im pięć z sześciu radiostacji, zatrzymując jedną dla siebie, po czym odleciał do Istambułu.

Prosto z lotniska udał się do biura Mr Fisha, przedsiębiorcy turystycznego.

Mr Fish przyjął go w wielkim pomieszczeniu biurowym, w którym oprócz niego siedziało jeszcze parę osób.

- Nazywam się Ralph Boulware i pracuję w EDS - zaczął Boulware. - Zdaje się, że zna pan moje córki, Stacy Elaine i Kecie Nicole. - Dziewczynki bawiły się z córkami Fisha podczas postojów ewakuowanych rodzin w Istambule.

Fish nie był nastawiony zbyt życzliwie.

- Chciałbym z panem porozmawiać - rzekł Boulware.

- Proszę, niech pan rozmawia. Boulware rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Chcę porozmawiać z panem na osobności.

- Dlaczego?

- Zrozumię pan, gdy powiem panu to, co mam do powiedzenia.

- To są moi wspólnicy. Nie mamy przed sobą tajemnic.

Fish nie miał zamiaru ułatwiać sprawy Boulware'owi, ten zresztą domyślał się dlaczego. Były dwa powody. Po pierwsze, za wszystko, co Fish zrobił podczas ewakuacji, Don Norsworthy dał mu „napiwek” w

wysokości stu pięćdziesięciu dolarów, co zdaniem Boulware'a było policzkiem dla Fisha. „Nie wiedziałem, co zrobić - tłumaczył się Norsworthy. - Ten facet wystawił rachunek na dwadzieścia sześć tysięcy dolarów. Ile miałem mu dać, dziesięć procent?”

Po drugie Pat Sculley opowiedział Fishowi idiotyczną bajeczkę o przemycaniu taśm komputerowych do Iranu. Mr Fish nie był ani głupcem, ani przestępcą - jak ocenił go Boulware - i oczywiście nie chciał mieć nic wspólnego z planem Sculleya.

Obecnie zaś uważał, że ludzie z EDS są: a) sknerami, b) nieudolnymi przestępcami.

Lecz Fish był niewielkim biznesmenem. Boulware rozumiał takich ludzi - wszak do nich należał jego ojciec. Tacy jak on posługiwali się dwoma językami: szczerością i gotówką.

- OK. Zaczniemy jeszcze raz - powiedział Boulware. - Kiedy było tu EDS, naprawdę pan im pomógł, był miły dla dzieci i w ogóle wiele dla nas zrobił. Kiedy oni wyjechali, nastąpiło nieporozumienie w kwestii okazania panu naszej wdzięczności. Jesteśmy zażenowani, że nie zostało to załatwione właściwie, i chciałbym wyrównać ten rachunek.

- Nie ma o czym mówić...

- Bardzo nam przykro - zakończył Boulware i odliczył Fishowi tysiąc dolarów setkami.

W pokoju zapanowała cisza.

- Mam zamiar zatrzymać się w hotelu Sheraton - powiedział Boulware. - Może porozmawiamy później.

- Pójdę z panem - stwierdził Fish.

Osobiście zarejestrował Boulware'a w hotelu i upewnił się, że pokój jest dobry, po czym zgodził się przyjść tego wieczoru na obiad do hotelowej restauracji.

„Fish to znaczący kombinator” - rozpakowując się myślał Boulware. Musiał być sprytny, skoro miał - jak się wydawało - dochodowy interes w tym niezmiernie ubogim kraju. Z doświadczenia ewakuowanych wynikało, że zrobił dla nich więcej, niż załatwianie rezerwacji hotelowych czy wydawanie biletów lotniczych. Dysponował

odpowiednimi kontaktami, aby we właściwy sposób naoliwić kółka maszyny biurokratycznej, jeśli sądzić tylko na podstawie tego, jak przepchnął wszystkie bagaże przez komorę celną. Pomógł również załatwić problem adaptowanego irańskiego niemowlęcia, które nie miało paszportu. Błąd EDS polegał na tym, że widziało w nim tylko kombinatora, zapominając o jego wysokiej klasie. Powodem nieporozumienia mógł być jego wygląd - tusza i mało wytworne ubranie. Nauczony poprzednimi błędami Boulware uznał, że poradzi sobie z Fishem.

Tego wieczoru powiedział mu, że musi udać się nad granicę turecko - irańską, aby spotkać uciekinierów z Iranu.

Mr Fish był przerażony.

- Pan nic nie rozumie - powiedział. - To straszne miejsce. Zamieszkują je Kurdowie i Azerowie, zupełnie dzicy górscy ludzie, którzy nie słuchają żadnej władzy. Wie pan, jak tam żyją? Z przemytu, grabieży i zabójstw. Osobiście nie odważyłbym się tam pojechać. Pan zaś, jako Amerykanin, jeśli tam pojedzie, nigdy już nie wróci. Nigdy.

- Muszę tam pojechać, nawet jeśli to niebezpieczne. - Boulware uznał, że Fish jednak przesadza. - Gdzie mogę kupić lekki samolot? Fish potrząsnął głową.

- Posiadanie samolotów przez prywatne osoby jest w Turcji zabronione.

- A helikopter?

- Tak samo.

- Dobrze, więc czy mogę wynająć samolot?

- To jest możliwe. Tam, dokąd nie ma regularnych lotów, można zamówić czarter.

- Czy są regularne loty do strefy przygranicznej?

- Nie ma.

- No to dobrze.

- Jednakże czarterowanie jest tak niespotykane, że z pewnością zwróci uwagę władz...

- Nie chcemy robić niczego nielegalnego. Niemniej niepotrzebne



nam zamieszanie, związane z jakimś dochodzeniem. Pozostawmy więc sobie możliwość czarteru. Niech pan dowie się o możliwości i cenę, ale proszę nie robić żadnych wstępnych rezerwacji. Na razie muszę zbadać możliwość dotarcia do tamtego rejonu drogą lądową. Jeśli nie zechce mi pan towarzyszyć, to nie szkodzi, proszę jednak znaleźć mi kogoś do towarzystwa.

- Zobaczę, co da się zrobić.

W ciągu następnych kilku dni spotkali się obaj parokrotnie. Początkowy chłód Mr Fisha znikł całkowicie i Boulware odczuł, że nawiązuje się między nimi nić przyjaźni. Mr Fish był bystry i rzeczowy. Choć nie był przestępcą, zawsze potrafił złamać prawo - domyślał się Boulware - o ile zysk równoważył ryzyko. Boulware podzielał ten pogląd, on też potrafił złamać prawo, w sprzyjających okolicznościach Mr Fish umiał także zadawać pytania i po trochu wyciągnął z Boulware'a całą historię. Boulware przyznał, że Paul i Bill zapewne nie będą mieli paszportów, lecz kiedy znajdą się już w Turcji, otrzymają nowe dokumenty w najbliższym konsulacie amerykańskim. Paul i Bill mogą mieć pewne kłopoty z wydostaniem się z Iranu i Boulware był przygotowany na to, że sam będzie musiał przekroczyć granicę, być może w lekkim samolocie, aby ich stamtąd wydostać. Żadna z tych rzeczy nie zaniepokoiła Mr Fisha tak bardzo, jak pomysł jazdy przez strony opanowane przez bandytów.

Jednakże kilka dni później przedstawił Boulware'a człowiekowi, który miał krewnych wśród górskich rozbójników. Mr Fish poinformował szeptem, że ów człowiek sam jest przestępcą - i rzeczywiście, wyglądał na takiego. Miał na twarzy bliznę i oczka jak paciorki. Powiedział, że może zapewnić Boulware'owi bezpieczny przejazd do granicy i z powrotem, jego krewni zaś mogą nawet pomóc mu przekroczyć granicę, jeśli będzie to konieczne.

Boulware zadzwonił do Dallas i opowiedział o tym planie Marvowi Staufferowi. Stauffer przekazał kodem wiadomość do Coburna, a ten powiedział o planie Simonsowi. Simons nie zgodził się: stwierdził, że nie można ufać przestępcy.

Boulware zirytował się. Tyle kłopotów, żeby to wszystko zaaranżować... czy Simons sądzi, że łatwo dotrzeć do takich ludzi? Jeśli ktoś chce podróżować przez krainę bandytów, to któż jak nie bandyta może go eskortować? Ale Simons był szefem i Boulware'owi nie pozostało nic innego, jak poprosić Mr Fisha, aby zaczął poszukiwania od nowa.

Tymczasem do Istambułu przylecieli Sculley i Schwebach.

Ta para zabijaków poleciała z Londynu przez Kopenhagę do Teheranu, kiedy Irańczycy znowu zamknęli lotnisko, tak więc Sculley i Schwebach dołączyli do Boulware'a w Istambule. Byli uziemieni w hotelu, czekając na to, aby coś się wreszcie wydarzyło. Cała trójka dostawała ze zniecierpliwienia białej gorączki. Schwebach przypomniał sobie czasy służby w „Zielonych Beretach” i usiłował nakłonić wszystkich do utrzymywania kondycji fizycznej za pomocą biegania w górę i w dół po schodach hotelowych. Boulware zrobił to raz i dał temu spokój. Zaczął ich denerwować Simons, a także Coburn i Peche, którzy siedzieli w Teheranie i nie robili nic. Dlaczego ci faceci nie potrafili tego załatwić? Potem Simons odesłał Sculleya i Schwebacha do Stanów. Radiostacje zostawili Boulware'owi.

Kiedy Mr Fish je zobaczył, o mało szlag go nie trafił. Powiedział Boulware'owi, że w Turcji posiadanie nadajników radiowych jest surowo zakazane. Nawet zwykłe radia tranzystorowe trzeba rejestrować, a to dlatego, że ich części mogły być wykorzystane przez terrorystów do sporządzenia nadajników.

- Czy pan nie rozumie, jak bardzo się pan rzuca w oczy? - wykrzykiwał do Boulware'a. - Rachunek za pańskie telefony wynosi tysiące dolarów co tydzień, a płaci pan gotówką. Nie prowadzi pan tu żadnych interesów. Pokojówki z pewnością widziały radiostacje i opowiadały o tym. Teraz z pewnością wzięli pana pod nadzór. Niech pan zapomni o swych przyjaciółach w Iranie - na pewno skończy tu pan w więzieniu.

Boulware zgodził pozbyć się radiostacji. Pozornie nieskończona cierpliwość Simonsa wyraźnie powodowała coraz to nowe kłopoty w

wyniku kolejnych opóźnień. Teraz Sculley i Schwebach nie mogli już wrócić do Iranu, a w dalszym ciągu grupa nie miała radiostacji. Tymczasem Simons wciąż mówił „nie”. Fish wskazał, że są dwa przejścia graniczne między Iranem i Turcją, jedno w Sero, drugie w Barzaganie. Simons wybrał Sero. Fish dowodził, że Barzagan był większy i bardziej cywilizowany, a także, że będzie tam o wiele bezpieczniej, to nie przekonało Simonsa.

Boulware’owi znaleziono nowego towarzysza podróży do granicy. Fish miał znajomego, którego szwagier pracował w *Milli Istihbarat Teskilati* czyli MIT, jak tu nazywano turecki odpowiednik CIA. Nazwisko tego tajniaka brzmiało: Ilsman. Jego dokumenty miały zapewnić Boulware’owi opiekę ze strony armii w regionach opanowanych przez bandytów. „Bez tych papierów - powiedział Fish - zwykły obywatel narażony był na niebezpieczeństwo nie tylko ze strony bandytów, ale także armii tureckiej”.

Fish zachowywał się bardzo nerwowo. Po drodze na spotkanie z Ilsmanem przeciągnął Boulware’a przez cały rytuał tajemnych spotkań, ze zmienianiem samochodów i z przesiadaniem się do autobusu na pewnych odcinkach drogi, tak jakby chcieli zgubić ciągnący się za nimi „ogon”. Boulware nie uznał tego wszystkiego za potrzebne, ale przecież mieli odwiedzić całkowicie lojalnego obywatela, który całkiem przypadkowo pracował w wywiadzie. Boulware był jednak obcym w tym nie znanym mu kraju, a więc po prostu musiał zaufać Fishowi i postępować według jego rad.

Znaleźli się w wielkim, zaniedbanym domu mieszkalnym w nieznajomej dzielnicy miasta. Światła nie było, podobnie jak w Teheranie, toteż Mr Fish stracił nieco czasu, zanim odnalazł w ciemnościach właściwe mieszkanie. Na początku nikt nie odpowiedział na stukanie. Tym samym wszelkie próby dyskretnego postępowania spełzły na niczym - Mr Fish musiał przez dobre pół godziny walić do drzwi, tymczasem zaś wszyscy pozostali mieszkańcy budynku mieli okazję dobrze się przyjrzeć gościom. Boulware stał obok, czując się jak biały facet w Harleemie. W końcu jakaś kobieta otworzyła drzwi i Mr

Fish wraz z Boulware'em weszli do środka.

Było to małe, obskurne mieszkanie, zatłoczone antycznymi meblami i słabo oświetlone świecami. Ilsman okazał się niskim, pękatym człowieczkiem, mniej więcej w wieku Boulware'a - trzydzieści pięć lat. Był tak gruby, że już od dłuższego czasu nie mógł oglądać własnych stóp. Patrząc na niego Boulware pomyślał o stereotypowych sierżantach policji z filmów - ubranych w zbyt obcisłe garnitury, przepocone koszule i z krawatami w tym miejscu, gdzie powinna być szyja, gdyby w ogóle mieli oni szyje.

Usiedli, a kobieta - pani Ilsman, jak domyślał się Boulware - podała herbatę. Znów jak w Teheranie! Boulware wyjaśnił sprawę, a Mr Fish tłumaczył. Ilsman był podejrzliwy. Poddał Boulware'a przesłuchaniu w sprawie dwóch amerykańskich uciekinierów. Skąd Boulware miał pewność, że są niewinni? Dlaczego nie mają paszportów? Co chcą wwieźć do Turcji? W końcu uznał, że Boulware nic przed nim nie ukrywał i wyraził zgodę na przewiezienie Paula i Billa z granicy do Istambułu, w sumie za osiem tysięcy dolarów.

Boulware zastanawiał się, czy Ilsman go nie kiwa. Przemycanie Amerykanów do własnego kraju mogło mu się wydać dość niecodziennym zajęciem, jak na agenta wywiadu. Ale gdyby Ilsman istotnie pracował w MIT, to kogo obawiał się Mr Fish, jeśli zachowywał takie środki ostrożności, gdy jechał wraz z Ralphem przez miasto?

Być może Ilsman działał na własną rękę. Osiem tysięcy dolarów stanowiło w Turcji majątek. Niewykluczone, że Ilsman opowie swoim zwierzchnikom o tym, co ma zrobić. Ostatecznie - mógł rozumować Ilsman - jeśli opowieść Boulware'a jest prawdziwa, nic złego się nie stanie, gdy udzieli mu się pomocy. Jeśli zaś Boulware kłamie, najlepiej będzie przekonać się o jego zamiarach, towarzysząc mu do granicy.

W każdym bądź razie, Ilsman wydawał się najlepszą szansą, na jaką mógł liczyć Boulware. Przystał więc na żadaną cenę, Ilsman zaś otworzył butelkę whisky.

Podczas gdy inni członkowie grupy ratowniczej niepokoiili się w różnych częściach świata, Simons i Coburn jechali drogą prowadzącą z Teheranu do granicy z Turcją.

Simons zawsze był zwolennikiem szczegółowego rekonesansu i chciał zapoznać się z każdym centymetrem drogi ucieczki, zanim spróbuje jej z Paulem i Billem. Jakie wałki trwają w tej części kraju? Jak aktywna jest policja? Czy drogi są przejezdne zimą? Czy stacje benzynowe są czynne?

Właściwie to do wybranego przezeń przejścia granicznego prowadziły dwie drogi. Wolał Sero, ponieważ był to rzadko uczęszczany punkt graniczny, w małej wiosce. Będzie tam mało ludzi, a granica nie będzie tak dobrze strzeżona, jak w zalecanym przez Fisha Barzaganie. Najbliższym większym miastem od Sero było Rezaiyeh. Na drodze z Teheranu do Rezaiyeh leżało jezioro Rezaiyeh, długości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Można je było objechać albo od północy, albo od południa. Północna trasa prowadziła przez większe miasta i z pewnością były tam lepsze drogi. Simons wolałby szlak południowy - pod warunkiem, że będzie przejezdny. Podczas zwiadu postanowił jednak sprawdzić obie drogi, północną jadąc w kierunku granicy, a południową - w drodze powrotnej.

Zdecydował, że najlepszym pojazdem na tę wyprawę będzie brytyjski „Range Rover”, coś pośredniego między mikrobusem i samochodem terenowym. Obecnie w Teheranie nie było już mowy o czynnych salonach samochodowych, nie było też pośredników sprzedających używane pojazdy. Coburn powierzył więc zadanie zdobycia dwóch „Range Roverów” „Motocykliście”. „Motocyklista” rozwiązał ten problem z typową dla siebie przemysłowością: kazał wydrukować ogłoszenie o treści: „Jeśli chcesz sprzedać swój samochód, zadzwoń pod ten numer” i podał swój numer telefonu. Następnie przejechał się po ulicach Teheranu i wetknął ogłoszenie pod wycieraczki

wszystkich „Range Roverów”, jakie były zaparkowane na ulicach.

Zdobył dwa samochody po dwadzieścia tysięcy dolarów i w dodatku narzędzia i części zapasowe.

Simons i Coburn zabrali ze sobą dwóch Irańczyków: Majida oraz jego kuzyna, wykładowcę uczelni rolniczej w Rezaiyeh. Profesor przyjechał do Teheranu, aby zabrać swoją amerykańską żonę i dzieci i wsadzić je w samolot do Stanów; Simons teraz go odwoził i miał to być rzekomo jedyny powód jego wyprawy do Rezaiyeh.

Wyjechali z Teheranu wcześniej rano, wioząc z tyłu jedną z dwustulitrowych beczek benzyny od Keane’a Taylora. Przez pierwsze sto kilometrów, aż do Qazvin, jechali nowoczesną autostradą. Za Qazvin droga przeszła w dwupasmową asfaltówkę. Zbocza, gór zalegał śnieg, szosa była oczyszczona. „Jeśli będzie tak cały czas do granicy - pomyślał Coburn - dojedziemy tam w ciągu jednego dnia”.

Zatrzymali się w Zanjan, prawie trzysta kilometrów od Teheranu i tyle samo od Rezaiyeh i zagadnęli miejscowego komendanta policji, spokrewnionego z profesorem (Coburn nigdy nie potrafił rozgryźć stosunków rodzinnych Irańczyków: wydawało mu się, że dość swobodnie nazywali innych „kuzynami”). „Ten rejon kraju był spokojny - powiedział komendant. - Jeśli trafią wam się jakieś kłopoty, to dopiero w okolicach Tebrizu”.

Przez całe popołudnie jechali wąskimi, lecz niezłymi drogami wiejskimi. Po kolejnych stu pięćdziesięciu kilometrach dotarli do Tebrizu. Trwała tam właśnie demonstracja, nieporównywalna jednak z istnymi bitwami toczonymi w Teheranie. Uznali nawet, że bez obaw mogą przejść się po bazarze.

Po drodze Simons cały czas rozmawiał z Majidem i profesorem. Wyglądało to na zwykłą rozmowę, ale teraz Coburn zdążył już poznać technikę Simonsa i wiedział, że pułkownik sonduje tych dwóch, próbując zdecydować, czy może im zaufać. Jak na razie, prognozy zapowiadały się nieźle, ponieważ Simons zaczął rzucać aluzje co do prawdziwego powodu tej wycieczki.

Profesor stwierdził, że wsie wokół Tebrizu są za szachem, więc

zanim ruszyli dalej, Simons zatknął za szybą samochodu zdjęcie szacha.

Kłopoty zaczęły się kilka kilometrów na północ od Tebrizu, gdzie samochód natrafił na blokadę drogową. Była to zupełnie amatorska blokada - dwa pnie drzew ułożone w poprzek drogi w taki sposób, że wozy mogły przejechać obok, ale tylko z małą prędkością. Blokadę patrolowali wieśniacy uzbrojeni w siekiery i kije.

Majida i profesor wszczęli rozmowę z wieśniakami. Profesor okazał swoją legitymację uniwersytecką i powiedział, że Amerykanie są naukowcami, którzy towarzyszą mu, aby pomóc w badaniach. „To jasne - pomyślał Coburn - jeśli grupa podejmie tę drogę z Paulem i Billem, będą musieli zabrać ze sobą Irańczyków”. Warto było tym posłużyć się.

Chłopi pozwolili im przejechać.

Nieco później Majid zatrzymał samochód i zamachał w kierunku wozu jadącego z przeciwnej strony. Profesor rozmawiał przez chwilę z kierowcą tego drugiego samochodu, po czym oświadczył, że następne miasteczko, Khoy, opowiedziało się przeciwko szachowi. Simons zdjął fotografię szacha, a na jej miejsce wstawił zdjęcie ajatollaha Chomeiniego. Od tej pory regularnie zatrzymywali samochody jadące z naprzeciwka, pytając o nastroje, zmieniając portrety w zależności od nastrojów politycznych.

Na przedmieściach Khoy oczekiwała ich nowa blokada.

Podobnie jak pierwsza, wyglądała prymitywnie i obsadzona była przez cywilów. Tym razem jednak mężczyźni i chłopcy w łachmanach stojący za barykadą wymierzyli w nich broń. t Majid zatrzymał samochód i wszyscy wysiedli. Ku przerażeniu Coburna, młody chłopak wymierzył weń pistolet. Coburn zamarł.

Był to pistolet Llama, kaliber 9 mm. Chłopak wyglądał może na szesnaście lat.

„Prawdopodobnie nigdy przedtem nie miał w ręku broni” - pomyślał Coburn. Amatorzy z bronią są zawsze niebezpieczni. Chłopak trzymał pistolet tak mocno, że aż kostki mu zbieły.

Coburn bał się. Wiele razy strzelano do niego w Wietnamie, ale teraz najbardziej przerażała go możliwość, że może zginąć z powodu

cholerne go przypadku.

- Ruski - powiedział chłopak. - Ruski. „Myśli, że jestem Rosjaninem”  
- pojął Coburn.

To pewnie z powodu tej krzaczastej, rudej brody i wełnianej  
czapeczki.

- Nie, Amerykanin - odrzekł Coburn. Chłopak nadal trzymał pistolet  
gotowy do strzału.

Coburn patrzył na te pobielające kostki i myślał: „Mam nadzieję, że  
ten gówniarz nie kichnie”.

Wieśniacy przeszukali Simonsa, Majida i profesora. Coburn, który  
nie mógł odwrócić wzroku od chłopaka, usłyszał, jak Majid mówi:  
„Szukają broni”. Jediną bronią, jaką mieli przy sobie, był mały nóż, jaki  
Coburn miał w pochwie na plecach, pod koszulą.

Jeden z chłopów zrewidował Coburna i w końcu chłopak opuścił  
pistolet. Coburn odetchnął z ulgą.

Zastanowił się potem, co będzie, jeśli odnajdą ten nóż.

Przeszukiwanie nie było jednak zbyt dokładne i noża nie  
znaleziono. Wieśniacy uwierzyli w historyjkę o badaniach naukowych.

- Przepraszają, że rewidowali starca - powiedział Majid. „Starcem”  
był Simons, który wyglądał teraz jak wiekowy irański wieśniak. -  
Możemy jechać dalej - dodał.

Ponownie weszli do samochodu.

Gdy minęli Khoy, skręcili na południe, objeżdżając północny koniec  
jeziora i zachodnim brzegiem dotarli do przedmieść Rezaiyeh.

Profesor poprowadził ich do miasta bocznymi ulicami, gdzie nie  
było blokad. Cała podróż z Teheranu trwała dwanaście godzin, do  
przedmieścia granicznego w Sero pozostała im jeszcze godzina.

Tego wieczoru wszyscy zjedli kolację - chella kebab, irańską potrawę  
z ryżu i jagnięcia - wraz z właścicielem domu, w którym mieszkał  
profesor. Właściciel domu okazał się jednocześnie urzędnikiem celnym.  
Majid delikatnie spróbował go wypytać i dowiedział się, że w punkcie  
granicznym w Sero ruch jest minimalny.

Noc spędzili w domu profesora, piętrowej willi na przedmieściu.



Rankiem Majid i profesor pojechali do granicy i z powrotem. Oświadczyli, że po drodze nie ma żadnych blokad drogowych i że trasa jest bezpieczna. Następnie Majid wybrał się do miasta poszukać kogoś, od kogo można by kupić broń, a z kolei Simons i Coburn udali się w stronę granicy.

Znaleźli tam posterunek graniczny obsadzony jedynie przez dwóch ludzi.

W jego skład wchodził magazyn celny, waga dla ciężarówek i wartownia. Droge przegradzał niski łańcuch rozciągnięty między słupkiem i ścianą wartowni. Za łańcuchem było około dwustu metrów strefy neutralnej, a następnie jeszcze mniejszy posterunek graniczny po stronie tureckiej.

Wyszli z samochodu, aby się rozejrzeć. Powietrze było czyste i lodowato zimne. Simons wskazał stok góry.

- Widzisz?

Coburn spojrzał w kierunku wskazanym przez Simonsa. W śniegu, tuż za posterunkiem, znajdował się ślad niewielkiej karawany, która przekroczyła granicę wyzywająco blisko wartowników.

Simons znowu coś wskazał, tym razem nad ich głowami.

- Łatwo będzie ich odciąć.

Coburn spojrzał w górę i zobaczył pojedynczy kabel telefoniczny prowadzący z posterunku w dół wzgórza. Szybkie cięcie i wartownicy zostaną odizolowani. Obaj Amerykanie zeszli ze wzgórza i ruszyli w głąb pagórków boczną drogą, niewiele się różniącą od ścieżki. Po paru kilometrach doszli do niewielkiej wioski, kilkunastu domów zbudowanych z drewna albo po prostu ulepionych z gliny. Łamaną turczyzną Simons zapytał o naczelnika. Pojawił się mężczyzna w średnim wieku, w workowatych spodniach, kamizelce i czapce. Coburn słuchał rozmowy Simonsa, nic z niej nie rozumiejąc. W końcu Simons potrząsnął ręką naczelnika i wraz z Coburnem ruszyli w drogę powrotną.

- O co chodziło? - zapytał Coburn, gdy już odeszli dalej.

- Powiedziałem mu, że chcę ze znajomymi przejechać konno przez

granicę.

- I co?

- Da się załatwić.

- Skąd wiedziałeś, że mieszkańcy właśnie tej wioski są przemytnikami?

- Rozejrzyj się dookoła - powiedział Simons. Coburn popatrzył na puste stoki pokryte śniegiem.

- I co widzisz? - zapytał Simons.

- Nic.

- Właśnie. Nie ma tu ani rolnictwa, ani przemysłu. Jak twoim zdaniem ci ludzie zarabiają na życie? To sami przemytnicy.

Powrócili do samochodu i pojechali do Rezaiyeh. Tego wieczoru Simons wyjaśnił Coburnowi swój plan.

Simons, Coburn, Poche, Paul i Bill mieli przyjechać z Teheranu do Rezaiyeh w obu „Range Roverach”. Zabiorą ze sobą Majida i profesora w charakterze tłumaczy. W Rezaiyeh zatrzymają się w domu profesora. Willa nadawała się do tego idealnie: nikt więcej w niej nie mieszkał, stała osobno, a do miasta prowadziły z niej ciche, boczne drogi. Pomiedzy Teheranem i Rezaiyeh będą jechać nie uzbrojeni - sądząc po tym, co się działo przy blokadach, broń tylko przysporzyłaby im kłopotów. Kupią ją dopiero w Rezaiyeh. Majid nawiązał kontakt z człowiekiem, który sprzeda im strzelby „Browninga” kaliber 12 po sześć tysięcy dolarów za sztukę. Ten sam człowiek mógł też załatwić pistolety „Llama”. Coburn przekroczy granicę legalnie w jednym z samochodów, po czym przyłączy się do Boulware’a, który również będzie miał samochód, po tureckiej stronie. Simons, Poche, Paul i Bill przekroczą granicę konno z przemytnikami. Dlatego właśnie potrzebna była im broń, na wypadek, gdyby przemytnicy zechcieli „zgubić” ich w górach. Po drugiej stronie spotkają się z Coburnem i Boulware’em. Potem udadzą się do najbliższego konsulatu amerykańskiego i wezmą nowe paszporty dla Paula i Billa. Następnie polecą do Dallas.

Był to dobry plan, musiał przyznać Coburn. Teraz uznał, że Simons słusznie upierał się przy przejściu granicznym w Sero, a nie w

Barzaganie. W bardziej cywilizowanym, gęściej zaludnionym rejonie trudniej byłoby przekraść się przez granicę.

Do Teheranu powrócili następnego dnia. Wyjechali późno i większą część trasy przebyli nocą, aby zdążyć do miasta nad ranem, tuż po zakończeniu godziny policyjnej. Tym razem jechali południową trasą, przez niewielkie miasteczko Mahabad. Była to po prostu jednopasmowa polna droga, prowadząca przez góry. Pomimo fatalnej pogody - śniegu, lodu i silnych wiatrów - okazała się przejezdna i Simons postanowił tę właśnie drogę, nie zaś północną, wykorzystać do ucieczki.

O ile ta kiedykolwiek nastąpi.

### 3.

Pewnego wieczoru Coburn przyszedł do hotelu Hyatt i powiedział Keane'owi Taylorowi, że na rano potrzebuje dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w irańskich rialach.

Nie powiedział po co.

Taylor wziął od Gaydena dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w setkach, a potem zadzwonił do znanego handlarza dywanów mieszkającego w południowej części miasta i uzgodnił kurs wymiany.

Kierowca Taylora, Ali, nie bardzo chciał jechać do miasta, szczególnie po zapadnięciu ciemności, ale po krótkim sporze ustąpił.

Poszli do sklepu. Taylor usiadł i zaczął pić herbatę z handlarzem dywanów. Weszło jeszcze dwóch Irańczyków. Jeden został przedstawiony jako ten, który dokona wymiany pieniędzy Taylora, drugi był jego gorylem - i wyglądał na to. Od czasu telefonu Taylora, powiedział handlarz dywanów, kurs wymiany zmienił się dość radykalnie - na korzyść handlarza.

- Czuję się obrażony! - rzekł gniewnie Taylor. - Nie będę z wami robił żadnych interesów!

- Lepszego kursu nigdzie pan nie dostanie - powiedział handlarz

dywanów.

- Bzdura!

- To niebezpiecznie chodzić po tej części miasta z taką sumą pieniędzy.

- Nie jestem sam - powiedział Taylor. - Na zewnątrz czeka na mnie sześciu ludzi.

Skończył herbatę i wstał. Powoli wyszedł ze sklepu i wskoczył do samochodu.

- Wynosmy się stąd szybko, Ali!

Pojechał na północ. Taylor polecił Alemu jechać do innego handlarza dywanów, irańskiego Żyda, który miał sklep nie opodal pałacu. Handlarz właśnie zamykał, kiedy Taylor wszedł do środka.

- Potrzebuję wymienić dolary na riale - rzekł Taylor.

- Niech pan przyjdzie jutro - odparł tamten.

- Nie, potrzebuję to zrobić dzisiaj.

- Ile?

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Nie mam tyle tutaj.

- Naprawdę muszę je mieć dzisiaj.

- A po co panu te pieniądze?

- To w związku z Paulem i Billem.

Handlarz dywanami skinął głową. Robił interesy z paroma ludźmi z EDS i wiedział, że Paul i Bill siedzą w więzieniu.

- Zobaczą, co się da zrobić.

Zawołał brata, który siedział na zapleczu, i wysłał go na zewnątrz. Następnie otworzył sejf i wyjął wszystkie swoje riale. Wraz z Taylorem liczyli pieniądze: handlarz dolary, a Taylor riale. Parę minut później zjawił się jakiś chłopak z naręczem riali. Rzucił je na kontuar i odszedł bez słowa. Taylor pojął, że handlarz dywanów zbiera wszystkie riale, jakie miał w zasięgu.

Jakiś młody mężczyzna przyjechał na skuterze, zaparkował przed sklepem i wszedł z torbą pełną riali. W tym czasie ktoś ukradł jego skuter. Młody człowiek rzucił pieniądze i pobiegł za złodziejem

wrzeszcząc wniebogłosy.

Taylor cały czas liczył.

Ot, zwykły dzień pracy w ogarniętym rewolucją Teheranie.

\* \* \*

John Howell przechodził metamorfozę. Z każdym dniem coraz mniej czuł się uczciwym amerykańskim adwokatem, a coraz bardziej - perfidnym perskim negocjatorem. Szczególnie zmieniły się jego poglądy na temat korupcji.

Mehdi, irański księgowy, który czasami pracował dla EDS, wyjaśniał mu tę sprawę tak:

- W Iranie wiele rzeczy załatwia się po znajomości. Jest kilka sposobów, aby zostać znajomym Dadgara. Ja na przykład siedziałbym co dzień przed jego domem, aż by do mnie przemówił. Ktoś inny mógłby zostać jego przyjacielem, dając mu dwieście tysięcy dolarów. Więc jeśli pan chce, mogę coś podobnego zaaranżować.

Howell przedyskutował tę propozycję z innymi członkami grupy negocjującej. Założono, że Mehdi zaoferował się jako pośrednik w sprawie łapówki, tak jak uprzednio zrobił to „Głębokie Gardło”. Tym razem jednak Howell nie odrzucił propozycji przekupstwa natychmiast. Stawką była przecież wolność Billa i Paula. Postanowiono skorzystać z propozycji Mehdiego. Mogliby ujawnić prowadzone negocjacje i skompromitować Dadgara. Mogliby też uznać, że umowa jest korzystna i zapłacić. Tak czy inaczej potrzebny był konkretny dowód, iż Dadgar jest przekupny.

Howell i Keane Taylor odbyli szereg rozmów z Mehdim. Księgowy był tak samo nerwowy, jak uprzednio „Głębokie Gardło”. Nie zapraszał ludzi z EDS do swego gabinetu w czasie normalnych godzin pracy, lecz spotykał się z nimi zawsze wczesnym rankiem lub późną nocą, we własnym domu albo w jakichś zaułkach. Howell domagał się wyraźnego znaku: Dadgar miał przyjść na spotkanie w skarpetkach nie

od pary albo z odwrotnie zawiązanym krawatem. Mehdi proponował sygnały bardziej dyskretne: na przykład, że Dadgar zacznie piętrzyć trudności. Podczas jednego ze spotkań Dadgar istotnie zachowywał się tak, jak zapowiadał Mehdi. Ale na dobrą sprawę zachowywał się tak przez cały czas.

Nie tylko Dadgar przysparzał Howellowi zmartwień. Co cztery, pięć dni rozmawiał przez telefon z Angelą, która chciała wiedzieć, kiedy wróci do domu. Nie potrafił jej tego powiedzieć. Paul i Bill naciskali go oczywiście o konkrety, ale postępy w negocjacjach były zbyt powolne i wątpliwe, aby mógł im podać jakiegokolwiek terminy. Był tym zdenerwowany, gdy Angelą przepytывała go w tej samej sprawie, musiał opanowywać irytację.

Inicjatywa Mehdiego spełzła na niczym. Mehdi przedstawił Howella adwokatowi, który stwierdził, że ma dojście do Dadgara. Nie żądał łapówki, tylko zwykłego honorarium. EDS zatrudniło go, ale podczas następnego spotkania Dadgar oświadczył: „Nikt nie ma do mnie żadnych dojść. Gdyby ktoś wam mówił coś innego, nie wierzcie mu”.

Howell nie wiedział, co o tym sądzić. Może od samego początku coś w tej sprawie było nie tak? Czy może ostrożność EDS tak przestraszyła Dadgara, że zrezygnował z łapówki? Nigdy już tego się nie dowie.

30 stycznia Dadgar powiedział Howellowi, że interesuje go Abolfatah Mahvi, irański partner EDS. Howell zaczął przygotowywać materiały na temat współpracy EDS z Mahvim.

Teraz wiedział już, że Paul i Bill są zwykłymi zakładnikami. Dochodzenie w sprawie korupcji prowadzone przez Dadgara może było i prawdziwe, ale musiał on już do tej pory wiedzieć, że Paul i Bill są niewinni. Zapewne więc trzymał ich w więzieniu wskutek rozkazów z góry. Irańczycy z początku chcieli obiecanego im skomputeryzowanego systemu opieki społecznej albo zwrotu pieniędzy. Przekazanie im tego systemu oznaczało konieczność renegotjacji umowy - ale nowy rząd nie był zainteresowany renegotiacjami, zresztą i tak nie utrzymałby się u władzy wystarczająco długo, aby z tej umowy skorzystać.

Jeśli Dadgara nie można było przekupić, przekonać o niewinności

Paula i Billa albo za pośrednictwem jego zwierzchników nakazać mu zwolnienie więźniów na podstawie nowej umowy między EDS i ministerstwem, Howellowi pozostawało tylko zapłacić kaucję. Wysiłki doktora Houmana, aby zmniejszyć jej wysokość, do niczego nie doprowadziły. Howell skupił się teraz na sposobie przekazania trzynastu milionów dolarów z Dallas do Teheranu.

Zupełnie mimochodem dowiedział się, że w Teheranie przebywa grupa ratownicza EDS. Był zaskoczony, że szef firmy amerykańskiej zdecydował się na takie wyjście. Odczuł jednak także pewną ulgę: jeżeli tylko uda mu się wydobyć Paula i Billa z więzienia, będzie ktoś, kto wywiezie ich z Iranu.

\* \* \*

Liz Coburn niemal szalała ze zdenerwowania.

Siedziała w samochodzie wraz z Toni Dvoranchik oraz mężem Toni, Billem. Jechali w stronę restauracji „Royal Tokyo”. Restauracja ta znajdowała się na Greenville Avenue, opodal „Recipes”, gdzie jakiś czas temu Liz i Toni piły Daiquiri z Mary Sculley, i gdzie Mary zburzyła cały świat Liz słowami: „Moim zdaniem oni wszyscy są w Teheranie”.

Od tamtej pory Liz żyła w stanie ciągłego, zwierzęcego wręcz strachu.

Jay był dalej dla niej wszystkim. Wielkim bohaterem, Supermanem, całym jej światem. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Myśl o utracie Joya przejmowała ją śmiertelną trwogą.

Ciągle telefonowała do Teheranu, ale nigdy nie mogła go zastać. Co dzień rozmawiała z Mervem Staufferem, pytając: „Kiedy Jay wróci do domu? Czy nic mu nie jest? Czy wyjdzie z tego?” Merv starał się ją uspokoić, ale nie chciał powiedzieć nic konkretnego, więc Liz żądała rozmowy z Rossem Perotem, a wtedy Merv odpowiadał, że to niemożliwe.

Potem dzwoniła do matki i wybuchiała płaczem, wylewając do

telefonu całą swą trwogę, lęk i frustrację.

Dvoranchikowie byli dla niej dobrzy. Próbowali pomóc jej zapomnieć o kłopotach.

- Co dzisiaj robiłaś? - zapytała Toni.

- Byłam na zakupach - odparła Liz.

- Kupiłaś coś?

- Tak. - Liz zaczęła płakać. - Kupiłam czarną sukienkę. Bo Jay już nie wróci.

\* \* \*

W tych dniach, spędzonych na oczekiwaniu, Jay Coburn dowiedział się wiele rzeczy o Simonsie.

Pewnego dnia zadzwonił z Dallas Merv Stauffer, mówiąc, że telefonował zaniepokojony syn Simonsa, Harry. Harry uprzednio dzwonił do domu ojca i zastał tam Paula Walkera, który opiekował się farmą. Walker stwierdził, że nie wie, gdzie jest jego ojciec. Poradził mu, aby skontaktował się z Mervem Staufferem z EDS.

„Harry bardzo się denerwował” powiedział Stauffer. Simons zadzwonił do syna z Teheranu i dodał mu otuchy.

Simons powiedział Coburnowi, że Harry ma pewne problemy, ale w gruncie rzeczy jest dobrym chłopcem. O swym synu wyrażał się z miłością, ale i z pewną rezygnacją. Nigdy przy tym nie wspominał Bruce’a i dopiero znacznie później Coburn dowiedział się, że Simons ma dwóch synów.

Simons mówił wiele o swojej zmarłej żonie Lucille i o tym, jak oboje byli szczęśliwi, kiedy Simons przeszedł na emeryturę. Przez ostatnie lata byli sobie bardzo bliscy: Simons zdawał się żałować, że tyle czasu zajęło mu zrozumienie tego, jak bardzo ją kocha. - Trzymaj się swej żony - pouczał Coburn. - To najważniejsza osoba w twoim życiu.

Paradoksalne, ale rada Simonsa wywarła na Coburnie zupełnie odwrotny wpływ. Zazdrościł Simonsowi tego jego związku z Lucille i



chciał dla siebie tego samego. Był jednak przekonany, że z Liz nie może na to liczyć i zastanawiał się, czy inna kobieta mogłaby się stać dla niego prawdziwie bratnią duszą.

Pewnego wieczoru Simons zaśmiał się i powiedział:

- Wiesz, nie zrobiłbym tego dla nikogo innego.

Była to typowa dla Simonsa tajemnicza uwaga. Czasem, kiedy Coburn już się nauczył, wyjaśniał, co chciał powiedzieć, a czasem nie. Tym razem wyjaśnił. Powiedział Coburnowi, dlaczego ma dług wobec Rossa Perota.

Następstwa rajdu na Son Tay stały się dla Simonsa gorzkim doświadczeniem. Chociaż uczestnicy akcji nie sprowadzili żadnych amerykańskich jeńców wojennych, było to śmiałe przedsięwzięcie i Simons uważał, że amerykańskie społeczeństwo podzieli jego zdanie. Podczas śniadania z sekretarzem obrony, Melvinem Lairdem, opowiedział się za ujawnieniem prasie wiadomości o akcji. „To całkowicie uzasadniona operacja - powiedział do Lairda. - Tam są amerykańscy jeńcy. Zrobiliśmy to, co Amerykanie zawsze robią dla Amerykanów. - Na litość boską, czego się boimy we własnym kraju?”

Dowiedział się wkrótce. Prasa i społeczeństwo uznały akcję za niepowodzenie i kolejną wpadkę wywiadu. Następnego dnia nagłówek z pierwszej strony „Washington Post” głosił: NIEPOWODZENIE AMERYKAŃSKIEJ AKCJI ODBICIA WIĘŹ NIÓW. Kiedy senator Robert Dole proponował rezolucję pochwalającą akcję, mówiąc: „Niektórzy z tych ludzi tkwią w więzieniu od pięciu lat!”, to senator Kennedy odparł: „I dalej tam są!”

Simons udał się do Białego Domu, gdzie otrzymał z rąk prezydenta Nixona Krzyż DSC za wyjątkowe bohaterstwo. Pozostałych uczestników akcji miał udekorować sekretarz obrony, Laird. Simons z wściekłością dowiedział się, że ponad połowa jego ludzi miała dostać jedynie „Wojskową Wstęgę Pochwalną”, wyższą ledwie od „Wstęgi Dobrej Służby”, a potocznie nazywaną przez żołnierzy „Zielonym Fiutem”. Wściekły jak cholera złapał za telefon i zażądał połączenia z szefem sztabu wojsk lądowych, generałem Westmorelandem. Połączono

go z zastępującym Westmorelanda generałem Palmerem. Simons opowiedział Palmerowi o „Zielonych Fiutach” i dodał: „Generale, nie chciałbym kompromitować armii, ale jeden z moich ludzi obiecał wepchnąć swoją „Wojskową Wstęgę Pochwalną” panu Lairdowi w dupę”. Postawił na swoim. Laird przyznał cztery „Krzyże Wojennej Zasługi”, pięćdziesiąt „Srebrnych Gwiazd” i ani jednego „Zielonego Fiuta”.

Rajd na Son Tay podniósł na duchu jeńców, którzy usłyszeli o nim od nowych więźniów. Ważnym efektem ubocznym akcji było zamknięcie obozów jenieckich, w których wielu więźniów trzymano stale w odosobnieniu i przeniesienie wszystkich Amerykanów do dwóch wielkich więzień, gdzie nie było warunków na to, by trzymać jeńców osobno. Niemniej świat uznał akcję za porażkę, a Simons uważał, że jego ludziom wyrządzono wielką krzywdę.

Rozczarowanie gryzło go przez wiele lat - aż pewnej soboty Ross Perot wydał to ogromne przyjęcie w San Francisco, namówił wojsko, by sprowadziło z całego świata uczestników rajdu, i przedstawił ich byłym jeńcom, których tamci starali się uratować. Owego dnia, zdaniem Simonsa, komandosi otrzymali nareszcie należną im satysfakcję. A spowodował to Ross Perot.

- Dlatego tutaj jestem - powiedział Simons do Coburna. - To pewne, jak cholera, że nie zrobiłbym tego dla nikogo innego.

Coburn pomyślał o swym synu, Scotcie. Doskonale wiedział, o co Simonsowi chodzi.

#### 4.

22 stycznia setki homafarów - młodych oficerów lotnictwa - zbuntowało się w bazach lotniczych w Dezful, Hamadan, Isfahan i Mashadzie, deklarując jednocześnie lojalność wobec ajatollaha Chomeiniego.

Znaczenie tego wydarzenia nie było oczywiste dla doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Zbigniewa Brzezińskiego, który nadal oczekiwał, że irańska armia stłumi rewolucję islamską. Nie docenił go także premier Shahpour Bakhtiar, mówiący o reakcji na rewolucyjne wezwanie jak najmniejszą siłą, a także szach, który zamiast udać się do Stanów Zjednoczonych, tkwił w Egipcie, czekając, aż zostanie wezwany, by zbawić swój kraj w godzinie potrzeby.

Wśród tych, co docenili znaczenie owego faktu, znaleźli się ambasador William Sullivan oraz generał Abbas Gharabaghi, irański szef sztabu.

Sullivan oświadczył Waszyngtonowi, że pomysł przeprowadzenia „kontrzamachu” na rzecz szacha jest całkowicie nierealny, że rewolucja zakończy się powodzeniem i że rząd USA powinien raczej przemyśleć swoje stanowisko wobec nowego porządku. Otrzymał ostrą odpowiedź z Białego Domu z sugestią, że jest nielojalny wobec prezydenta. Postanowił podać się do dymisji, lecz jego żona odradziła mu to: przypomniawszy mu, że ma zobowiązania wobec tysięcy Amerykanów nadal znajdujących się w Iranie i nie może ich teraz opuścić.

Generał Gharabaghi także zastanawiał się nad rezygnacją. Znajdował się w sytuacji nie do pozazdroszczenia: przysięgę składał nie parlamentowi czy rządowi Iranu, ale osobiście szachowi - a szacha nie było. Na razie Gharabaghi przyjął, że wojsko powinno być lojalne wobec konstytucji z 1906 roku, ale niewiele to znaczyło w praktyce. Teoretycznie wojsko powinno wspierać rząd Bakhtiara. Gharabaghi już od pewnego czasu nie był pewien, czy jego żołnierze będą wykonywać rozkazy i walczyć po stronie Bakhtiara przeciwko siłom rewolucji. Bunt homafarów udowodnił, że nie. Zrozumiał to, czego nie rozumiał Brzeziński - że armia to nie maszyna, którą można dowolnie włączać i wyłączać, lecz zbiorowisko ludzi, którzy podzielają dążenia, gniew i odradzające się uczucia religijne reszty kraju. Żołnierze pragnęli rewolucji tak samo jak cywile. Gharabaghi uznał, że nie panuje już nad swymi oddziałami i postanowił ustąpić.

Tego samego dnia, gdy ogłosił swoją decyzję innym generałom,

ambasador William Sullivan został o szóstej wieczorem wezwany do gabinetu premiera Bakhtiar. Sullivan słyszał od generała „Holendra” Huysera o planowanej rezygnacji Gharabaghiego i domyślał się, że Bakhtiar pragnie z nim mówić właśnie o niej.

Bakhtiar gestem wskazał Sullivanowi miejsce i powiedział z tajemniczym uśmiechem: *Nous serons trois*. Będzie nas trzech. Bakhtiar zawsze rozmawiał z Sullivanem po francusku.

Kilka minut później wszedł generał Gharabaghi. Bakhtiar zaczął mówić o komplikacjach, jakie spowoduje dymisja generała. Gharabaghi zaczął odpowiadać w *farsi*, ale Bakhtiar polecił mu mówić po francusku. W czasie swojej mowy generał bawił się wystającą z kieszeni kopertą: Sullivan domyślił się, że była to jego rezygnacja.

W czasie gdy obaj Irańczycy spierali się po francusku, Bakhtiar cały czas prosił amerykańskiego ambasadora o wsparcie. Sullivan w głębi duszy uważał, że Gharabaghi ma zupełną słuszność, że chce ustąpić, ale instrukcje z Białego Domu polecały mu, aby zachęcał wojsko do wspierania Bakhtiar. Wbrew własnym przekonaniom, namawiał więc uporczywie Gharabaghiego, aby nie rezygnował. Po półtoragodzinnej dyskusji generał wyszedł nie zostawiając swojej rezygnacji. Bakhtiar wylewnie dziękował za pomoc Sullivanowi, ten jednak wiedział, że niewiele mu z tego przyjdzie.

24 stycznia Bakhtiar zamknął lotnisko w Teheranie, aby uniemożliwić Chomeiniemu powrót do Iranu. Efekt był taki sam, jakby próbował parasolką zatrzymać falę przypływu. 26 stycznia żołnierze zabili w walkach ulicznych piętnastu demonstrantów opowiadających się za Chomeinim... Dwa dni później Bakhtiar zaproponował, że uda się do Paryża na rozmowy z ajatollahem. Oferta rządzącego premiera złożenia wizyty u wygnanego buntownika była ostatecznym wyrazem jego słabości, i tak właśnie ją Chomeini odebrał: nie zgodził się na żadne rozmowy, dopóki Bakhtiar nie ustąpi. 29 stycznia zginęło w walkach na ulicach Teheranu trzydzieści pięć osób, a dalsze pięćdziesiąt w innych miastach kraju. Gharabaghi, działając bez zgody swego premiera, rozpoczął rozmowy z buntownikami w Teheranie i udzielił zgody na

powrót ajatollaha. 30 stycznia Sullivan zarządził ewakuację całego personelu ambasady, poza osobami absolutnie niezbędnymi, oraz wszystkich członków rodzin, 1 lutego Chomeini powrócił do domu.

Wiozący go „Jumbo Jet” należący do linii Air France wylądował o dziewiątej piętnaście. Na lotnisko wyległo dwa miliony Irańczyków, aby powitać ajatollaha, który zaraz po wylądowaniu wygłosił swe pierwsze publiczne oświadczenie:

„Proszę Boga, aby odciął ręce wszystkim złym obcokrajowcom i ich pomocnikom”.

Simons oglądał to wszystko w telewizji i powiedział do Coburn: - To właśnie to. Ludzie to za nas robią. Tłum zdobędzie więzienie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### 1.

W południe 5 lutego John Howell był niemal o krok od wydostania Paula i Billa z więzienia.

Dadgar oświadczył, że przyjmie kaucję w jednej z trzech form: gotówki, poręczenia bankowego albo listu zastawnego. O gotówce nie mogło być mowy. Po pierwsze, nikt, kto przyleciałby do Teheranu, miasta bezprawia, z ponad dwunastoma milionami dolarów w walizce, nie dotarłby żywy do biur Dadgara. Po drugie, Dadgar mógłby zainkasować pieniądze i w dalszym ciągu zatrzymywać Paula i Billa podwyższając sumę kaucji lub aresztując ich ponownie pod byle jakim pretekstem. Tom Walter zasugerował, by zapłacić fałszywymi pieniędzmi, ale nikt nie wiedział, skąd je wziąć. Musiał istnieć jakiś dokument przekazania pieniędzy Dadgarowi, dający gwarancję wolności Paula i Billa. Tom Walter znalazł w końcu w Dallas bank gotowy wystawić list kredytowy na sumę kaucji, ale Howell i Taylor mieli trudności ze znalezieniem irańskiego banku, który by ten list zaakceptował wydał wymagane przez Dadgara poręczenie. Tymczasem szef Howella, Tom Luce, rozważał trzecią możliwość - list zastawny. Wystąpił z propozycją z pozoru szaloną, mogącą jednak przynieść pożądaný skutek. Propozycja przewidywała jako zastaw za

Paula i Billa amerykańską ambasadę w Teheranie. Departament Stanu wprawdzie powoli zmieniał swoje nastawienie, ale jeszcze nie na tyle, aby oddać w zastaw ambasadę teherańską. Jednakże godził się złożyć poręczenie rządu Stanów Zjednoczonych. Już to samo było czymś niespotykanym: Stany Zjednoczone Ameryki jako kaucja za dwóch więźniów!

Na początek Tom Walter wziął z banku w Dallas list kredytowy na sumę 12 750 000 dolarów, wystawiony na Departament Stanu. Ponieważ cała transakcja miała miejsce na terenie Stanów Zjednoczonych, do jej przeprowadzenia wystarczyło kilka godzin. Kiedy już Departament Stanu w Waszyngtonie otrzymał list, posłał Charles Naas, zastępcę ambasadora Sullivana, miał doręczyć notę dyplomatyczną stwierdzającą, że gdy Paul i Bill zostaną uwolnieni, będą zawsze do dyspozycji Dadgara. W innym wypadku ambasada wypłacić miała kaucję.

Obecnie Dadgar konferował z Lou Goelzem, konsulem generalnym ambasady. Howella na spotkanie nie zaproszono, EDS reprezentował Abolhasan.

Howell odbył poprzedniego dnia wstępne spotkanie z Goelzem. Razem przestudiowali warunki poręczenia: Goelz odczytywał poszczególne sformułowania swym cichym, precyzyjnym głosem. Goelz ulegał przemianie. Dwa miesiące temu Howell uważał go za wręcz irytującego pedanta. To on właśnie odmówił zwrotu Paulowi i Billowi paszportów bez poinformowania o tym Irańczyków. Teraz zaś Goelz sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego na nietypowe rozwiązania. Być może przebywanie w samym środku rewolucji trochę nadważyło jego zasady. Goelz mówił uprzednio Howellowi, że decyzję o uwolnieniu Paula i Billa podejmie premier Bakhtiar uzgodniwszy ją wcześniej z Dadgarem. Howell miał nadzieję, że Dadgar nie będzie robił trudności - Goelz nie należał do ludzi, którzy potrafiliby wałnąć pięścią w stół i zmusić Dadgara do zmiany stanowiska. Rozległo się stukanie do drzwi i wszedł Abolhasan.

Jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało Howellowi, że wieści są

niepomyślne.

- Co się stało?
- Odrzucił naszą propozycję - rzekł Abolhasan.
- Dlaczego?
- Nie przyjmie gwarancji rządu USA.
- Czy podał jakiś powód?
- Tutejsze prawo tego nie przewiduje. Musi otrzymać gotówkę,

poręczenie bankowe...

- Albo list zastawny, wiem. - Howell czuł tylko zmęczenie. Było już tyle rozczarowań, tyle ślepych zaułków, że nie potrafił już czuć ani złości, ani urazy.

- Czy mówiliście coś o premierze?

- Tak. Goelz powiedział mu, że prześlemy tę propozycję Bakhtiarowi.

- I co na to Dadgar?

- Stwierdził, że to typowe dla Amerykanów. Próbują załatwiać sprawy wywierając nacisk na wyższym szczeblu, nie dbając o to, co się dzieje na niższym. Powiedział też, że jeżeli jego zwierzchnikom nie spodoba się jego postępowanie w tej sprawie, mogą mu ją odebrać, i że on tylko się z tego ucieszy, bo ma jej już dość.

Howell zmarszczył czoło. Co to wszystko mogło oznaczać? Jeszcze niedawno sądził, że Irańczykom zależy tylko na pieniądzach. Teraz zaś zwyczajnie je odrzucali. Czy rzeczywiście chodziło tylko o problem formalny - że prawo nie przewidywało poręczenia rządowego jako dopuszczalnej formy kaucji - czy też był to jedynie pretekst? Przeszkoda prawna mogła istnieć rzeczywiście. Sprawa EDS zawsze była politycznie drażliwa i możliwe, że teraz, po powrocie ajatollacha, Dadgar nie chciał podejmować żadnych kroków, które później uznano by za proamerykańskie. Łamanie prawa dla przyjęcia niekonwencjonalnej formy kaucji mogło wpędzić go w tarapaty. Co by się jednak stało, gdyby Howellowi udało się przekazać kaucję w prawnie dopuszczalnej formie? Czy Dadgar uznałby wówczas, że wystarczająco zabezpieczył sobie tyły i uwolniłby Paula i Billa? A może



znalazłby inną wymówkę?

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

\* \* \*

W tym samym tygodniu, kiedy ajatollah powrócił do Iranu, Paul i Bill poprosili o księdza.

Przeziębienie Paula wyraźnie przeszło w bronchit. Poprosił o lekarza więziennego. Doktor nie mówił po angielsku, ale Paul nie miał kłopotów z objaśnieniem swej dolegliwości: wystarczyło, że zakasłał.

Dał Paulowi jakieś pigułki, chyba penicylinę, oraz butelkę z lekarstwem na kaszel. Smak lekarstwa był uderzająco znajomy i Paul w nagłym przeblysku pamięci ujrzał siebie jako małego chłopca oraz swoją matkę, która nalewała gęsty syrop ze staromodnej butelki na łyżkę i podawała mu ją. Było to dokładnie to samo lekarstwo. Ulżyło jego kaszlowi, ale Paul zdążył już nadwerężyć mięśnie klatki piersiowej i przy każdym głębszym oddechu odczuwał ostre bóle.

Dostał list od Ruthie. Wciąż czytał go od nowa. Był to zwykły list pełen wiadomości: Karen poszła do nowej szkoły i miała trochę kłopotów z przystosowaniem się do nowego środowiska. Było to normalne: za każdym razem, kiedy Karen zmieniała szkołę, przez pierwsze parę dni była wręcz chora. Ann Marie, młodsza córka Paula, czuła się w takich sytuacjach swobodniej. Ruthie nadal wmawiała matce, że Paul wróci do domu za parę tygodni, ale historyjka ta stawała się coraz mniej prawdopodobna, ponieważ owe „parę tygodni” trwało już od dwóch miesięcy. Ruthie kupowała dom, a Tom Walter pomagał jej w załatwianiu formalności. Jeśli ciężko to wszystko przeżywała, nie można było tego poznać po jej listach.

Najczęściej odwiedzał więźniów Keane Taylor. Podczas każdej wizyty wręczał Paulowi paczkę papierosów, do której uprzednio wkładał zwinięte pięćdziesiąt czy sto dolarów. Paulowi i Billowi te pieniądze przydawały się na specjalne przywileje w rodzaju kąpieli. W

czasie jednego z widzeń strażnik wyszedł na chwilę z pokoju i wtedy Taylor przekazał więźniom cztery tysiące dolarów.

Na kolejne widzenie Taylor przyszedł z ojcem Williamsem.

Williams był proboszczem misji katolickiej, gdzie w lepszych czasach Paul i Bill spotykali się z założoną przez pracowników teherańskiego EDS Niedzielną Szkołą Pokerową. Ojciec Williams miał już osiemdziesiąt lat i jego kościelni przełożeni zezwolili mu na wyjazd z Teheranu ze względu na niebezpieczeństwo, on jednak wołał pozostać. Ten bieg wydarzeń nie był dla niego czymś nowym: w czasie II wojny światowej i najazdu Japończyków był misjonarzem w Chinach, a także i później, podczas rewolucji, która wyniosła do władzy Mao Tsetunga. Też przebywał kiedyś w więzieniu. Potrafił więc wyobrazić sobie, co czują Paul i Bill. Ojciec Williams podniósł więźniów na duchu w nie mniejszym stopniu niż Ross Perot. Bill, bardziej wierzący niż Paul, poczuł głęboki przypływ sił wewnętrznych, które dały mu odwagę, aby stanąć twarzą w twarz z nieznaną przyszłością. Przed odejściem ojciec Williams udzielił więźniom rozgrzeszenia. Bill nadal nie był pewien, czy uda mu się wyjść z tego z życiem, ale teraz poczuł się już przygotowany, aby zająrzeć śmierci w oczy.

\* \* \*

9 lutego 1979 roku Iran eksplodował rewolucją.

Tylko niewiele więcej niż tydzień wystarczyło Chomeiniemu do zniszczenia resztek legalnej władzy. Wezwał wojsko do buntu, a posłom do parlamentu nakazał rezygnację ze swych mandatów. Wyzaczył „rząd tymczasowy” pomimo faktu, iż Shahpour Bakhtiar nadal był oficjalnie premierem. Zwolennicy Chomeiniego, zorganizowani w komitety rewolucyjne, przejęli odpowiedzialność za prawo, porządek i wywóz śmieci. Otworzyli w mieście ponad setkę muzułmańskich sklepów spółdzielczych. 8 lutego ponad milion osób maszerował ulicami Teheranu, manifestując poparcie dla ajatollacha. Trwały

nieustanne walki uliczne pomiędzy nielicznymi grupkami żołnierzy lojalnych wobec rządu Bakhtiara a bandami stronników Chomeiniego.

9 lutego w dwóch bazach lotniczych nie opodal Teheranu - Doshen Toppeh i Farahabadzie - oddziały homafarów i kadetów oddały honory Chomeiniemu.

To rozwścieczyło brygadę Jaradan, z której wywodziła się straż pałacowa szacha i żołnierze z tej brygady zaatakowali obie bazy. Homafarowie zabarykowali się i odparli natarcie lojalistów, przy wsparciu tłumów uzbrojonych rewolucjonistów, kłębiących się na zewnątrz i wewnątrz baz.

Oddziały zarówno marksistowskich fedainów, jak i muzułmańskich mudzahedinów, pośpieszyły do Doshen Toppeh. Zdobyto magazyn broni, którą rozdano, nie przebierając, żołnierzom, partyzantom, rewolucjonistom, demonstrantom i przechodniom.

Tej nocy o jedenastej brygada Jaradan powróciła z posiłkami. Zwolennicy Chomeiniego w armii ostrzegli buntowników z Doshen Toppeh, że brygada się zbliża, toteż ci zaatakowali, zanim lojaliści dotarli do bazy. We wczesnym stadium bitwy zginęło kilku wyższych oficerów dowodzących brygadą. Walki trwały całą noc i rozprzestrzeniły się na okolicę.

Nazajutrz w południe starcia toczyły się już w przeważającej części miasta.

\* \* \*

Tego samego dnia John Howell i Keane Taylor pojechali do centrum Teheranu na spotkanie.

Howell był przekonany, że uda się załatwić uwolnienie Paula i Billa w ciągu kilku godzin. Był przygotowany na zapłacenie kaucji.

Tom Walter trzymał w pogotowiu teksański bank, który miał wystawić list kredytowy na 12 750 000 dolarów na nowojorski oddział Banku Melli. Plan przewidywał, że następnie teherański oddział Banku

Melli wystawi poręczenie bankowe dla Ministerstwa Sprawiedliwości i Paul oraz Bill zostaną zwolnieni. Nie poszło to jednak tak łatwo. Zastępca dyrektora Banku Melli, Sadr - Haszemi, wiedział - tak samo jak inni bankierzy - że Paul i Bill zostali wzięci jako zakładnicy dla okupu i gdy tylko znajdą się poza więzieniem, EDS może dowodzić w amerykańskim sądzie, że pieniądze zostały wymuszone i nie powinny być wypłacone. Gdyby tak się stało, Bank Melli w Nowym Jorku nie mógłby zrealizować swego listu kredytowego - ale oddział w Teheranie w dalszym ciągu musiałby zapłacić całą sumę irańskiemu Ministerstwu Sprawiedliwości. Sadr - Haszemi oświadczył, że zmieni zdanie tylko wtedy, gdy jego nowojorski radca prawny upewni go, iż EDS w żaden sposób nie może zablokować realizacji listu kredytowego. Howell doskonale wiedział, że żaden uczciwy amerykański prawnik nie wyda takiej opinii.

Wówczas Keane Taylor pomyślał o Banku Omran. EDS miało kiedyś kontrakt z tym bankiem na instalacje systemu księgowości, a do Taylora należał nadzór nad wykonaniem kontraktu, znał więc szefów banku. Teraz spotkał się z Farhadem Bakhtiarem, jednym z dyrektorów, krewnym premiera Shahpoura Bakhtiara. Jasne było, że premier lada dzień utraci władzę i Farhad przygotowywał się do opuszczenia kraju. Może dlatego właśnie mniej niż Sadr - Haszemiego obchodziła go możliwość, że ponad dwanaście milionów dolarów nigdy nie zostanie wypłacone. Tak czy inaczej, z sobie tylko znanych powodów postanowił pomóc Amerykanom.

Bank Omran nie miał filii w Stanach Zjednoczonych. W jaki więc sposób EDS mogło przekazać pieniądze? Uzgodniono, że bank w Dallas przekaże list kredytowy do oddziału Banku Omran w Dubaju za pomocą teletekstu. Oddział w Dubaju potwierdzi przyjęcie listu kredytowego telefonicznie i teherański oddział wystawi wówczas poręczenie dla Ministerstwa Sprawiedliwości.

Jedno opóźnienie goniło drugie. Każde posunięcie musiało być zaaprobowane przez radę dyrektorów Banku Omran oraz przez radców prawnych banku. Kto tylko spojrzał na tekst umowy, sugerował jakieś

poprawki w sformułowaniach. Owe poprawki, po angielsku i w *farsi*, musiały być przekazane do Dubaju i do Dallas, następnie stamtąd nowa umowa szła teletekstem do Dubaju, skąd przez telefon uzgadniano ją z Teheranem. Ponieważ w Iranie czwartek i piątek były dniami wolnymi od pracy, w tygodniu zostawały jedynie trzy dni, kiedy oba banki były otwarte, a i to, ze względu na dziewięciogodzinną różnicę czasu, nigdy jednocześnie. Ponadto irańskie banki przeważnie strajkowały. Tym samym zmiana dwóch słów w umowie mogła zająć i tydzień.

Na samym końcu umowę musiał zatwierdzić Irański Bank Generalny. Zdobycie odpowiedniego podpisu Howell i Taylor wyznaczili sobie na sobotę 10 lutego.

O wpół do dziewiątej rano, kiedy obaj jechali do Banku Omran, miasto było stosunkowo spokojne. W banku spotkali Farhada Bakhtiara. Ku swemu zdziwieniu dowiedzieli się od niego, że prośba o zgodę została już przekazana do Banku Centralnego. Howell był wniebowzięty: nareszcie coś w Iranie wydarzyło się przed terminem! Zostawił u Farhada kilka dokumentów - w tym podpisane upoważnienie - i obaj z Taylorem pojechali w głąb śródmieścia, do siedziby Banku Centralnego.

Miasto budziło się już ze snu. Ruch uliczny był jeszcze bardziej koszmarny niż zwykle, ale ryzykancka jazda stanowiła specjalność Taylora. Rwał ulicami, przeskakiwał z jednego pasa ruchu na drugi, zawracał na autostradach - krótko mówiąc, pokonywał irańskich kierowców w ich własnej grze.

Pan Farhang z Banku Centralnego, który miał wydać akceptację, przyjął ich po długim oczekiwaniu. Odbyło się to w ten sposób, że wytknął głowę spoza drzwi swego gabinetu i stwierdził, iż umowa została zaakceptowana i opinie przekazano już do Banku Omran.

To były dobre wieści!

Wsiedli ponownie do samochodu i skierowali się w stronę Banku Omran. Teraz było już widać, że w niektórych częściach miasta toczą się zaciekle walki. Odgłosy strzelaniny nie cichły ani na chwilę, a z płonących budynków unosiły się kłęby dymu. Bank Omran znajdował

się naprzeciwko szpitala, dokąd cały czas przywożono zabitych i rannych samochodami, półciężarówkami oraz autobusami. Wszystkie miały przywiązane do anten białe szmaty, oznaczające, że są to pojazdy ratunkowe i wszystkie cały czas trąbiły. Ulica była całkowicie zapchana ludźmi. Jedni przychodzili, aby oddać krew, inni odwiedzali chorych, jeszcze inni identyfikowali zabitych.

Sprawa kaucji nie została więc załatwiona ani trochę wcześniej. Nie tylko Paul i Bill, ale Howell, Taylor i cała reszta byli w wielkim niebezpieczeństwie. Musieli szybko wydostać się z Iranu.

Howell i Tylor weszli do banku i spotkali Farhada.

- Bank Centralny zaaprobował umowę - powiedział do niego Howell.

- Wiem.

- Czy upoważnienie jest w porządku?

- Nie ma problemu.

- Więc jeśli zechce pan nam dać poręczenie bankowe, moglibyśmy od razu pójść z nim do Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Nie dzisiaj.

- Dlaczego nie?

- Nasz radca prawny, doktor Emami, przejrzał dokument kredytowy i chce wprowadzić kilka drobnych poprawek.

- Jezu Chryste! - mruknął Taylor.

- Muszę wyjechać na kilka dni do Genewy - powiedział Farhad. Raczej na zawsze.

- Moi koledzy zajmą się panami. Gdyby były jakieś problemy, proszę tylko zatelefonować do mnie do Szwajcarii.

Howell stłumił gniew. Farhad doskonale wiedział, że kiedy go nie będzie, wszystko stanie się o wiele trudniejsze. Ale wybuch emocji niczego nie załatwi, toteż Howell zapytał po prostu:

- Co to za zmiany?

Farhad zadzwonił po doktora Emamiego.

- Potrzebne mi będą również podpisy jeszcze dwóch dyrektorów banku - dodał. - Mogę je dostać jutro, na zebraniu rady. Muszę też

sprawdzić referencje Krajowego Banku Handlowego w Dallas.

- A ile czasu to zajmie?

- Niedługo. Moi asystenci zajmą się tym, póki nie wrócę. Doktor Emami pokazał Howellowi, jakie zaproponował poprawki do sformułowań listu kredytowego. Howell z radością się na nie zgodził, ale poprawiony list musiał i tak wędrować długą drogą z Dallas do Dubaju teletekstem, a z Dubaju do Teheranu przez telefon.

- Niech pan posłucha - rzekł Howell - spróbujmy zrobić to dzisiaj. Może pan teraz sprawdzić referencje banku w Dallas. Znajdziemy tych dwóch dyrektorów, obojętnie gdzie się znajdują, i dostaniemy ich podpisy dziś po południu. Możemy zadzwonić do Dallas, podać im zmiany w sformułowaniach i każemy im natychmiast wysłać potwierdzenie teletekstem. Dubaj może to wam potwierdzić dziś po południu. Możecie wydać poręczenie bankowe...

- Dziś w Dubaju jest święto - oświadczył Farhad.

- No więc dobrze, Dubaj może potwierdzić jutro rano...

- Jutro jest strajk. W banku nie będzie nikogo.

- No to w poniedziałek...

Rozmowę przerwał dźwięk syreny. Przez drzwi wsunęła głowę sekretarka i powiedziała coś w *farsi*.

- Wprowadzono godzinę policyjną - przetłumaczył Farhad. - Wszyscy musimy opuścić budynek.

Howell i Taylor siedzieli, patrząc na siebie w milczeniu. Dwie minuty później poza nimi nie było w biurze nikogo. Znowu im się nie udało.

\* \* \*

Tego wieczoru Simons powiedział do Coburna:

- Jutro.

Coburn pomyślał, że Simons zwariował.

## 2.

Rankiem w niedzielę 11 lutego zespół negocjujący poszedł jak zwykle do „Bukaresztu”. John Howell i Abolhasan udali się na jedenastą na spotkanie z Dadgarem w siedzibie Ministerstwa Zdrowia. Pozostali - Keane Taylor, Bill Gayden, Bob Young i Rich Gallagher - wyszli na dach, aby popatrzeć, jak płonie miasto.

„Bukareszt” nie był wysokim budynkiem, ale stał na zboczu jednego ze wzgórz wznoszących się na północy Teheranu, toteż z dachu widzieli wszystko jak na dłoni. Na południu i wschodzie, gdzie ponad domki jednorodzinne i slumsy wyrastały nowoczesne wieżowce, były w pochmurne niebo wielkie kłęby dymu, a wokół palących się domów krążyły niczym ćmy wokół świecy uzbrojone śmigłowce. Jeden z irańskich kierowców zatrudnionych w EDS przyniósł na dach radio tranzystorowe i nastroił je na stację przejętą przez rewolucjonistów. Z pomocą radia i tłumaczenia kierowcy Amerykanie usiłowali zidentyfikować płonące budynki.

Keane Taylor, który zarzucił swe eleganckie garnitury z kamizelkami na rzecz dżinsów i butów kowbojskich, zszedł na dół, aby odebrać telefon. Dzwonił „Motocyklista”.

- Musicie stąd wyjechać - powiedział do Taylora. - Uciekajcie z kraju, jak najszybciej.

- Wiesz, że nie możemy tego zrobić - odparł Taylor. - Nie możemy wyjechać bez Paula i Billa.

- Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo.

Taylor słyszał słowa „Motocyklisty” na tle odgłosów silnych walk.

- A gdzie ty w ogóle jesteś, do cholery?

- Niedaleko bazaru - odrzekł „Motocyklista”. - Przygotowuję butelki z benzyną. Dziś rano wezwali helikoptery i właśnie nauczyliśmy się je rozwalać. Spaliliśmy cztery czołgi...

Połączenie zostało przerwane.



„Niesamowite - pomyślał Taylor odkładając słuchawkę. - W środku piekła bitwy „Motocyklista” pomyślał nagle o swych amerykańskich przyjaciółach i zadzwonił, aby ich ostrzec. Irańczycy nigdy nie przestaną mnie zadziwiać”. Wrócił na dach.

- Popatrz na to - rzekł do niego Bill Gayden. Ów jowialny prezes EDS World również przebrał się w swobodniejszy strój - nikt już nawet nie udawał, że wypełnia swoje obowiązki. Gayden wskazał słup dymu na wschodzie. - Jeśli to nie więzienie Gasr, to coś cholernie blisko niego. Taylor wyteńczył wzrok. Trudno było coś powiedzieć.

- Zadzwoni do gabinetu Dadgara w Ministerstwie Zdrowia - Gayden polecił Taylorowi. - Howell już powinien tam być. Niech poprosi Dadgara, aby wypuścił Paula i Billa pod nadzór ambasady, dla ich własnego bezpieczeństwa. Jeśli ich nie wydostaniemy, upieką się tam żywcem.

\* \* \*

John Howell nie spodziewał się, że Dadgar przyjdzie. Miasto było jednym wielkim polem bitwy, a dochodzenie w sprawie korupcji pod rządami szacha zakrawało teraz na problem czysto akademicki. Dadgar jednak siedział w gabinecie i czekał na Howella. Howell zastanawiał się, co powoduje tym człowiekiem. Poświęcenie? Nienawiść do Amerykanów? Obawa przed nadchodzącymi rządami rewolucjonistów? Nigdy się pewnie tego nie dowie.

Dadgar pytał niedawno Howella o powiązania EDS z Abolfatahem Mahvim i Howell obiecał mu pełne dossier. Wydawało się, że te informacje są potrzebne Dadgarowi do jemu tylko znanych celów, ponieważ kilka dni później upomniał się o owo dossier, mówiąc: „Mogę przesłuchać ludzi tutaj i zdobyć potrzebne mi informacje” - co Howell odebrał jako groźbę aresztowania następnych pracowników EDS.

Howell przygotował dwunastostronicowe dossier po angielsku, z pismem przewodnim w języku *farsi*. Dadgar przeczytał pismo i

przemówił. Abolhasan przetłumaczył: „Pomoc udzielona przez waszą firmę tworzy podstawy pod zmianę mojego nastawienia wobec Chiapparone i Gaylorda. Nasze prawo umożliwia taką wspaiałomyślność wobec tych, którzy dostarczają informacji”.

Była to zwykła farsa. Mogli wszyscy zginąć w ciągu najbliższych paru godzin, a oto Dadgar nadal przemawiał o postanowieniach prawa.

Abolhasan zaczął na głos tłumaczyć dossier na farsi. Howell wiedział, że wybór Mahiego na współnika ze strony irańskiej nie było najrozsądniejszym posunięciem EDS: Mahvi wywalczył dla EDS jego pierwszy, niewielki kontrakt, lecz potem dostał się na czarną listę szacha i namącił przy umowie z Ministerstwem Zdrowia. Jednakże EDS nie miało nic do ukrycia. Zresztą szef Howella, Tom Luce, chcąc uwolnić EDS od wszelkich podejrzeń, przekazał szczegóły powiązań między Mahvim a EDS Amerykańskiej Komisji do Spraw Wymiany Papierów Wartościowych, toteż większość z tego, co zawierało dossier, było już powszechnie znane.

\* \* \*

Tłumaczenie Abolhasana przerwał dzwonek telefonu. Dadgar podniósł słuchawkę, następnie wręczył ją Abolhasanowi, który słuchał przez chwilę, po czym rzekł:

- To Keane Taylor.

Po niedługim czasie odłożył słuchawkę.

- Keane był na dachu „Bukaresztu” - powiedział do Howella. - Mówi, że w okolicy więzienia Gasr szaleją pożary. Jeśli tłum zaatakuje więzienie, Paul i Bill mogą doznać obrażeń. Taylor zaproponował, abyśmy poprosili Dadgara o przekazanie ich pod nadzór ambasady amerykańskiej.

- Dobrze - odparł Howell. - Proszę go zapytać.

Czekał, podczas gdy Abolhasan i Dadgar rozmawiali po persku. W końcu Abolhasan powiedział:

- Zgodnie z naszym prawem muszą pozostawać w więzieniu irańskim. On nie może uznać terenu ambasady amerykańskiej za irańskie więzienie.

Sytuacja stawała się coraz bardziej groteskowa - cały kraj się rozpadał, a Dadgar wciąż trzymał się kurczowo swoich przepisów.

- Proszę go zapytać, w jaki sposób zamierza zagwarantować bezpieczeństwo dwóch obywateli amerykańskich, którzy nie zostali oskarżeni o żadne przestępstwo.

Dadgar powiedział tylko:

- Nie martwcie się. Najgorsze, co się może stać, to ewentualne zdobycie więzienia.

- A jeśli tłum zaatakuje Amerykanów?

- Chiapparone będzie pewnie bezpieczny. Może uchodzić za Irańczyka.

- Wspaniale - zadrwił Howell. - A Gaylord? Dadgar wzruszył tylko ramionami.

\* \* \*

Tego ranka Rashid wcześniej wyszedł z domu.

Jego rodzice, brat oraz siostra zamierzali cały dzień pozostać w domu i nakłaniali go, aby poszedł w ich ślady, on jednak nie chciał słuchać. Wiedział, że na ulicach będzie niebezpiecznie, ale nie mógł kryć się w domu, podczas gdy jego rodacy tworzyli historię. Poza tym nie zapomniał swojej rozmowy z Simonsem. Kierował się emocjami. W piątek trafił do bazy lotniczej Farahabad w czasie starcia między homafarami a lojalistyczną brygadą Jaradan. Nie mając ku temu żadnego powodu, poszedł do magazynu broni i zaczął wydawać karabiny. Pół godziny później to zajęcie znudziło go, więc wyszedł z magazynu.

Tego samego dnia po raz pierwszy w życiu ujrzał martwego człowieka. Był w meczecie, gdy wniesiono tam ciało zastrzelonego

przez żołnierzy kierowcy autobusu. Powodowany niezrozumiałym impulsem Rashid odsłonił twarz zabitego. Pocisk zmasakrował całą skroń, zmieniając ją w mieszaninę krwi i mózgu. Widok przyprawiał o mdłości. Było to jak ostrzeżenie, ale Rashid nie dbał o ostrzeżenia. Na ulicach działy się ważne rzeczy i chciał tam być.

Tego ranka powietrze było jakby naładowane elektrycznością. Wszędzie kłębiły się tłumy. Setki mężczyzn i chłopców wymachiwało pistoletami maszynowymi. Rashid, ubrany w koszulę i płaską angielską czapkę, mieszał się z nimi, czując podniecenie. Dziś wszystko się mogło zdarzyć.

Kierował się jakby w stronę „Bukaresztu”. Nadal miał tam obowiązki: negocjował z dwiema firmami spedycyjnymi warunki przewiezienia do Stanów rzeczy należących do ewakuowanych pracowników EDS, a poza tym musiał nakarmić porzucone psy i koty. Plotka głosiła, że wczoraj zdobyto więzienie Evin. Dziś mogła przyjść kolej na Gasr, gdzie znajdowali się Paul i Bill.

Rashid żałował, że nie miał broni, tak jak inni.

Minął budynek wojskowy, który wyglądał na opanowany przez tłum. Był to sześciopiętrowy dom; znajdował się w nim magazyn broni i komisja poborowa. Pracował tu znajomy Rashida, Malek. Rashidowi przyszło do głowy, że z Malekiem może być niedobrze. Jeśli przyszedł do pracy dziś rano na pewno miał na sobie mundur wojskowy, a już to samo mogło wystarczyć, aby tłum go zlinczował. „Mogę pożyczyć Malekowi moją koszulę” - pomyślał Rashid i tknięty nagłą myślą wszedł do budynku.

Przecisnął się przez tłum na parterze i dotarł do schodów. Reszta budynku wyglądała na opuszczoną. Wchodząc po schodach zastanawiał się, czy przypadkiem na wyższych piętrach nie ma żołnierzy. Jeśli są, mogli strzelać do każdego, kto się zbliża. Jednak szedł naprzód, aż do najwyższego piętra. Maleka tu nie było. Nie było tu nikogo. Armia ustąpiła miejsca tłumowi.

Rashid powrócił na parter. Tłum zgromadził się przy wejściu do magazynu broni w piwnicy, ale nikt nie wchodził do środka. Rashid

przepchnął się naprzód i zapytał:

- Czy drzwi są zaryglowane?

- To może być pułapka - odezwał się ktoś.

Rashid popatrzył na drzwi. Przestał myśleć o udaniu się do „Bukaresztu”. Chciał iść do więzienia Gasr, i to z bronią.

- Nie sądzę, żeby magazyn broni był pułapką - powiedział i otworzył drzwi. Zszedł po schodach.

Piwnica składała się z dwóch pomieszczeń przedzielonych kolumnadą. Była słabo oświetlona poprzez wąskie świetliki znajdujące się wysoko w ścianach, tuż ponad poziomem ulicy. Podłogę ułożono z czerwonych, ceramicznych płytek.

W pierwszym pomieszczeniu znajdowały się otwarte pudła pełne naładowanych magazynków. W drugim leżały karabiny maszynowe G3.

Po jakimś czasie niektórzy z tłumu zeszli za Rashidem na dół.

Schwycił trzy karabiny maszynowe, torbę magazynków i wyszedł. Kiedy znalazł się na zewnątrz budynku, obskoczyli go ludzie, żądając broni. Oddał im dwa karabiny i część amunicji.

Następnie odszedł w stronę placu Gasr. Część tłumu ruszyła za nim.

Po drodze mijali garnizon wojskowy. W środku trwały walki. Wielkie stalowe drzwi w otaczającym garnizon murze zostały rozbite, jakby przejechał przez nie czołg. Po obu stronach bramy leżały rozkruszone cegły, pośrodku stał płonący samochód.

Rashid obszedł samochód i znalazł się na obszernym podwórku. Z miejsca, w którym stał, kilku ludzi strzelało bezładnie w stronę odległego o kilkaset jardów budynku. Rashid ukrył się za murem. Ci, którzy przyszli tu z nim, zaczęli również strzelać, on jednak nie otwierał ognia. Nikt właściwie porządnie nie celował - chodziło po prostu o wystraszenie broniących budynku żołnierzy. To nie była poważna walka. Rashid nigdy nie wyobrażał sobie, że rewolucja będzie tak wyglądać: bezładny tłum ludzi nie potrafiących obchodzić się z bronią, łażących po mieście, strzelających do murów, natrafiających na słaby opór ze strony niewidocznych żołnierzy.

Nagle człowiek obok niego padł martwy.

Zdarzyło się to tak szybko, że nawet nie dostrzegł, jak padał. W jednej chwili stał półtora metra od Rashida i strzelał z karabinu, a następnie już leżał na ziemi z kulą w głowie.

Jego ciało wyniesiono z podwórza. Ktoś znalazł jeepa. Zwłoki ułożono na samochodzie i wywieziono. Rashid powrócił na miejsce walki.

Dziesięć minut później, bez jakiegoś szczególnego powodu, w jednym z okien ostrzeliwanego budynku pojawił się kij z przymocowaną do niego białą podkoszulką. Żołnierze się poddali.

Tak po prostu.

Pojawiło się uczucie rozczarowania.

„To moja szansa” - pomyślał Rashid.

Ludźmi łatwo jest manipulować komuś, kto rozumie psychikę człowieka. Po prostu trzeba studiować ludzkie zachowania, pojmować sytuację i ustalić potrzeby. Tym ludziom, doszedł do wniosku Rashid, potrzebne jest podniecenie i przygoda. Po raz pierwszy w życiu mają broń w rękach. Potrzebny im cel. Jakikolwiek cel, symbolizujący reżim szacha.

W tej chwili chodzili to tu, to tam, zastanawiając się, dokąd pójść. - Posłuchajcie! - wykrzyknął Rashid.

Słuchali wszyscy - nie mieli nic lepszego do roboty.

- Idę do więzienia Gasr! Ktoś okrzykiem wyraził uznanie.

- Ci, którzy tam siedzą, to więźniowie reżimu! Jeśli sprzeciwiamy się reżimowi, powinniśmy ich uwolnić!

Rozległy się okrzyki aprobaty. Ruszył.

Poszli za nim.

„Pójdą za każdym, kto uważa, że wie, dokąd iść” - pomyślał.

Wyruszył z grupą dwunastu, może piętnastu mężczyzn i chłopców. Ale po drodze oddział się rozrastał. Dołączali doń automatycznie wszyscy ci, którzy nie wiedzieli, dokąd iść.

Rashid został przywódcą rewolucji. Wszystko było możliwe.

Zatrzymał się tuż przed więzieniem Gasr i zwrócił się do swej armii.

- Lud musi zająć więzienia, podobnie jak komisariaty policji i garnizony wojskowe! To jest nasze zadanie! W więzieniu Gasr znajdują się niewinni ludzie.

To nasi bracia, nasi krewni! Tak jak my, pragną tylko wolności. Ale byli mężniejsi od nas, ponieważ żądali tej wolności, gdy jeszcze szach był u władzy i zostali za to wtrąceni do więzienia. Teraz my ich uwolnimy! Rozległy się okrzyki uznania.

Rashid przypomniał sobie słowa Simonsa.

- Więzienie Gasr jest naszą Bastylią - zawołał. Aplauz potęgował.

Rashid odwrócił się i wbiegł na plac.

Schował się w zaułku naprzeciwko wielkich stalowych wrót więzienia. Spostrzegł, że na placu jest już dość liczny tłum. Więzienie zapewne zostałoby dzisiaj zdobyte nawet bez jego pomocy. Przede wszystkim jednak należało pomóc Paulowi i Billowi.

Uniósł karabin i wystrzelił w powietrze.

Tłum na placu rozperszył się i strzelanina rozgorzała na dobre.

Tu również opór był słaby. Kilku strażników strzelało z wieżyczek na murze i z okien w pobliżu bramy. O ile Rashid mógł dostrzec, nikt nie został trafiony. Raz jeszcze bitwa zakończyła się bez szczególnych wydarzeń. Po prostu strażnicy zniknęli z murów i strzelanina ustała.

Rashid odczekał parę minut, aby upewnić się, że już ich nie ma, po czym pobiegł przez plac do wrót.

Brama była zaryglowana.

Otoczył go tłum. Ktoś puścił serię w zamek, próbując go roztrzaskać. „Za dużo naogładał się westernów” - pomyślał Rashid. Inny znalazł gdzieś łom, ale otwarcie bramy siłą okazało się niemożliwe. „Potrzebny będzie dynamit”, pomyślał Rashid.

W murze obok wrót znajdowało się niewielkie, zakratowane okienko, przez które strażnik mógł widzieć ludzi stojących przed bramą. Rashid rozbił szybę kolbą karabinu, po czym zaatakował cegły, w których tkwiły kraty. Pomagał mu człowiek z łodem, potem stanęło obok jeszcze trzech lub czterech innych, próbując obluzować metalowe pręty to dłoń mi, to lufami karabinów, to czymkolwiek innym, co tylko

wpadło w rękę. Wkrótce kraty zwały się z okna na bruk.

Rashid przecisnął się przez okienko. Był w środku!

Wszystko było możliwe.

Znalazł się w niewielkiej wartowni. Strażników nie było. Wystawił głowę poza drzwi. Nikogo.

Zastanawiał się, gdzie trzymają klucze do poszczególnych bloków.

Wyszedł z gabinetu i mijając bramę wszedł do innej wartowni. Znalazł tam wielki pęk kluczy.

Wrócił do bramy. Wbudowane w nią były niewielkie drzwi zaparte zwykłą stalową belką.

Rashid uniósł belkę i otworzył drzwi. Tłum wdarł się do środka.

Rashid cofnął się. Rozdawał klucze wszystkim, kto chciał brać, krzycząc:

- Otwórzcie wszystkie cele! Wypuście ich!

Przebiegli obok niego. Jego kariera przywódcy rewolucyjnego już się zakończyła. Osiągnął cel. On, Rashid, poprowadził szturm na więzienie Gasr!

Raz jeszcze Rashid wykonał zadanie niemożliwe do wykonania.

Teraz musiał wśród jedenastu tysięcy ośmiuset więźniów znaleźć Paula i Billa.

\* \* \*

Bill obudził się o szóstej. Panowała cisza.

Z niejakim zdziwieniem uświadomił sobie, że spał tej nocy dobrze. W ogóle nie spodziewał się wczoraj, że zaśnie. Zapamiętał tylko, iż leżał na pryczy i przysłuchiwał się odgłosom jakiejś zażartej bitwy. „Jeśli się jest zmęczonym - pomyślał - można spać wszędzie. Żołnierze śpią w okopach. Można się przyzwyczaić. Niezależnie od stopnia przerażenia, w końcu twój umysł ulega potrzebom ciała i zapadasz w sen”.

Odmówił różaniec.

Umył się, wyczyścił zęby, ogolił się i ubrał, po czym usiadł



wyglądając przez okno, czekając na śniadanie i zastanawiając się, co EDS planuje na dzisiaj.

Paul obudził się około siódmej. Popatrzył na Billa i zapytał:

- Nie możesz spać?

- Spałem - odparł Bill. - Obudziłem się z godzinę temu.

- Ja nie mogłem zasnąć. Całą noc strzelali jak diabli. - Paul zlaźł z pryczy i poszedł do łazienki.

Kilka minut później przyniesiono śniadanie: chleb i herbatę. Bill otworzył jedną z przyniesionych przez Keane'a Taylora puszek soku pomarańczowego.

Strzelanina rozpoczęła się na nowo około ósmej.

Więźniowie gubili się w domysłach na temat tego, co dzieje się na zewnątrz, ale nikt nie miał pewnych informacji. Widać było tylko przemykające na tle nieba śmigłowce, wyraźnie ostrzeliwujące stanowiska buntowników. Za każdym razem, gdy helikopter przelatywał nad więzieniem, Bill spodziewał się zobaczyć drabinę, spadającą wprost z nieba na podwórze budynku nr 8. Marzył o tym co dzień. Marzył również o niewielkiej grupie ludzi z EDS, prowadzonej przez Coburna i jakiegoś starszego mężczyznę, przedostającej się na teren więzienia po sznurowych drabinach. Zwidywał mu się także silny oddział wojsk amerykańskich wpadający w ostatniej chwili niczym kawaleria USA na westernach i wywalający dynamitem mury.

Jednak nie tylko śnił na jawie. W cichy, niemal niezauważalny sposób spenetrował każdy cal budynku i podwórza, wyliczając najszybszą drogę ucieczki w różnych możliwych okolicznościach. Wiedział, ilu jest strażników i jak są uzbrojeni. Cokolwiek miało się zdarzyć, był przygotowany. Sytuacja pozwalała wierzyć, że zdarzy się to dzisiaj.

Strażnicy nie przestrzegali zwykłego porządku dnia. W więzieniu wszystko odbywało się ustalonym trybem: więzień, który nie miał nic do roboty, obserwował to i szybko zapamiętywał. Dziś wszystko było inaczej. Strażnicy byli podenerwowani, szeptali w kącie, gdzieś się śpieszyli. Odgłosy walki wzmożyły się. Widząc to wszystko, czy można

było sądzić, że ten dzień skończy się tak samo jak poprzednie? „Może uda się nam uciec - myślał Bill - albo może zginie, ale z pewnością nie wyłączymy telewizora i nie położymy się na pryczach jak zwykle”.

Około wpół do jedenastej zobaczył, jak większość oficerów idzie przez plac więzienny, kierując się na północ, jakby szli na jakieś zebranie. Wrócili pół godziny później. Major dowodzący budynkiem 8 wszedł do swego gabinetu. Po kilku minutach zjawił się ponownie, w cywilnym ubraniu! Wyniósł z budynku jakąś bezkształtną paczkę. Mundur? Wyglądając przez okno Bill zobaczył, jak major kładzie paczkę do bagażnika swego BMW, zaparkowanego tuż pod płotem, po czym wsiada do samochodu i odjeżdża.

Co to miało znaczyć! Czy wszyscy oficerowie znikną? Czy tak się to ma stać? Czy Paul i Bill będą mogli po prostu wyjść?

Obiad przyniesiono kilka minut przed południem. Paul jadł, ale Bill nie był głodny. Strzelanina wydawała się teraz bardzo bliska, a ponadto z ulic słychać było okrzyki i śpiewy.

Trzech strażników z budynku nr 8 pojawiło się nagle w ubraniach cywilnych. To musiał być koniec.

Paul i Bill zeszli na dół i na podwórko. Wydawało się, że chorzy umyślowo z parteru krzyczeli wszyscy naraz. Teraz strażnicy w wieżyczkach strzelali na zewnątrz. Zapewne przypuszczono stamtąd atak na więzienie.

„Czy to dobrze, czy źle? - zastanawiał się Bill. Czy EDS wie, co się dzieje? Czy może to część planu Coburn? Od dwóch dni nie mieli widzenia. Czy wszyscy wyjechali? Czy jeszcze żyją?”

Wartownik stojący zazwyczaj przy bramie zniknął, a brama stała otworem. Brama była otwarta!

Czy strażnicy chcieli, aby więźniowie wyszli?

Inne bloki też z pewnością zostały otwarte, bo po placu biegali więźniowie oraz strażnicy. Między drzewami świstały kule i odbijały się od ścian budynków.

Jeden z pocisków uderzył w ziemię u stóp Paula. Obaj wlepili weń wzrok.

Strażnicy z murów ostrzeliwali teraz plac więzienny.

Paul i Bill obrócili się i ponownie wbiegli do budynku nr 8.

Stali przy oknie przyglądając się coraz większemu zamieszaniu na placu. Ironia losu: od tygodni nie myśleli o niczym innym poza wolnością, a teraz, gdy mogli wyjść, bali się.

- Co powinniśmy zrobić, twoim zdaniem? - zapytał Paul.

- Nie wiem. Gdzie jest bardziej niebezpiecznie - tu czy tam? Paul wzruszył ramionami.

- Hej, idzie miliarder. - Dostrzegli bogatego więźnia z budynku nr 8, tego, który miał oddzielną celę, a posiłki mu przynoszono z zewnątrz, jak przechodzi przez plac z dwoma ze swych bandziorów. Zgolił swe fantazyjne, podkreścone wąsy. Zamiast podbitego norkami płaszcza z wielbłądziej sierści miał na sobie koszulę i krótkie spodnie. Ubrany do akcji, nie obciążony bagażem, gotów był do szybkiej ucieczki. Kierował się na północ, w inną stronę niż wrota więzienne. Czy to oznaczało, że jest jeszcze inna droga na zewnątrz?

Strażnicy z budynku nr 8, wszyscy już w cywilnych ubraniach, przeszli przez podwórko i wyszli przez bramę.

Wszyscy opuszczali to miejsce, a Paul i Bill nadal się wahali.

- Widzisz ten motocykl? - zapytał Paul.

- Widzę.

- Możemy wyjechać na nim. Kiedyś jeździłem na motocyklu.

- A jak go przerzucimy przez mur?

- Ach, prawda. - Paul zaśmiał się z własnej głupoty.

Ich towarzysz z celi znalazł parę toreb i zaczął pakować ubrania. Billa aż korciło, aby uciekać, aby się po prostu stąd wydostać, obojętne czy należało to do planu EDS, czy też nie. Wolność była tak blisko. Jednak kule wszędzie świstały, a tłum atakujący więzienie mógł równie dobrze być wrogo nastawiony do Amerykanów. Z drugiej strony, jeśli władze odzyskają jakąś kontrolę nad więzieniem, Paul i Bill stracą ostatnią szansę ucieczki...

- Ciekaw jestem, gdzie jest ten cholerny Gayden - zastanawiał się Paul. - Gdyby mnie nie wysłał do Iranu, nie siedziałbym tu.

Bill spojrzał na Paula. Zdał sobie sprawę, że tylko żartuje.

Pacjenci z parteru wybiegli na podwórko, ktoś musiał otworzyć drzwi ich cel. Bill słyszał przeraźliwy hałas, jakby płacz, ze znajdującego się po drugiej stronie drogi bloku kobiecego. Na placu coraz więcej ludzi przepychało się ku bramie więzienia. Patrząc w tamtą stronę, Bill spostrzegł dym. Paul zobaczył go w tej samej chwili.

- Jeśli chcą podpalić więzienie... - zaczął Bill.

- Lepiej się stąd wynośmy.

Ogień przechylił szalę. Powzięli decyzję.

Bill rozejrzał się po celi. Nie mieli tu zbyt wielu rzeczy. Bill pomyślał o dzienniku, który skrupulatnie prowadził przez ostatnie czterdzieści trzy dni. Paul sporządził spis rzeczy, które zrobi, kiedy wróci do Stanów, a poza tym kartkę, na której spisał obmyślony sposób spłacenia domu, kupionego przez Ruthie. Obaj mieli też bezcenne listy od rodzin, które wciąż odczytywali na nowo.

- Lepiej nie zabierajmy niczego - powiedział Paul - co mogłoby zdradzić, że jesteśmy Amerykanami.

Bill zdążył już wziąć dziennik. Teraz go odrzucił.

- Masz rację - powiedział niechętnie.

Włożyli płaszcze: Paul niebieski angielski deszczowiec, a Bill pelisę z futrzanym kołnierzem.

Mieli przy sobie po około dwu tysięcy dolarów z pieniędzy, które przyniósł Keane Taylor. Paul zabrał trochę papierosów. Poza tym nie wzięli niczego.

Wyszli z budynku i przebiegli przez niewielkie podwórko. Zatrzymali się u bramy. Droga więzienna wypełniona była morzem głów, jak na opuszczanym przez tłum stadionie. Wszyscy szli i biegli ku wrotom więzienia.

Paul wyciągnął dłoń.

- Powodzenia, Bill. Bill uścisnął rękę Paula.

- Ty też się trzymaj.

„Pewnie obaj zginiemy w ciągu paru minut - pomyślał Bill - najprawdopodobniej od zabłąkanej kuli. Nie zobaczę, jak dzieciaki

dorastają” - pojął ze smutkiem. Rozzłościło go, że Emily będzie teraz musiała radzić sobie ze wszystkim sama.

Co dziwne, nie czuł jednak strachu.

Przeszli przez bramę podwórza budynku nr 8 - i nie mieli już czasu na myślenie.

Zostali porwani przez tłum, niczym gałązki wrzucone do bystrego potoku. Bill robił wszystko, aby trzymać się blisko Paula i utrzymać równowagę, nie dać się stratować. Wciąż trwała strzelanina. Jeden samotny strażnik pozostał na murze i nadal, jak się wydawało, strzelał z wieżyczki. Dwoje czy troje ludzi upadło - wśród nich Amerykanka, którą kiedyś widzieli - ale nie wiadomo, czy trafiły ich kule, czy też po prostu się potknęli. „Nie chcę jeszcze umierać - myślał Paul. - Mam plany, chcę coś zrobić wraz z rodziną, w pracy. To nie czas i nie miejsce na moją śmierć. Ależ parszywe karty los mi rozdał... „.

Minęli klub oficerski, gdzie spotkali się z Perotem zaledwie przed trzema tygodniami - a wydawało się, że minęło już wiele lat. Opanowani żądzą zemsty więźniowie demolowali klub i niszczyli stojące na zewnątrz samochody oficerów. Jaki był w tym sens? Przez moment cała ta scena wydawała się nierealna, jak w koszmarным śnie.

U wrót więzienia chaos był jeszcze większy. Paul i Bill zatrzymali się. Udało im się wydostać z tłoku - obawiali się wcześniej, że tłum ich strąci. Bill przypominał sobie, że niektórzy więźniowie siedzieli tu już dwadzieścia pięć lat. Nic dziwnego, że teraz, poczuwszy wolność, stracili rozum.

Wydawało się, że brama więzienia jest nadal zamknięta, ponieważ dziesiątki osób próbowało sforsować potężny mur zewnętrzny. Niektórzy stawali na samochodach i ciężarówkach przysuniętych pod mury. Inni wspinali się na drzewa i pęzli ostrożnie po zwieszających się gałęziach. Jeszcze inni opierali o mur deski i próbowali wspinać się po ceglach. Kilka osób wdrapało się już jakimś sposobem na górę i teraz spuszczało liny i prześcierała do tych, którzy znajdowali się w dole, ale liny były zbyt krótkie.

Paul i Bill patrzyli na to, zastanawiając się, co robić. Dołączyli do

nich inni więźniowie obcokrajowcy z budynku nr 8. Jeden z nich, Nowozelandczyk, oskarżony o przemyt narkotyków, miał na twarzy szeroki uśmiech, jakby wszystko, co widział, cieszyło go niepomiarownie. W powietrzu wisiała jakaś historyczna radość i Bill zaczął się nią zarażać. „Jakimś sposobem - myślał - wyjdziemy z tego żywi”.

Rozejrzał się. Po prawej stronie wrót płonęły budynki. Na lewo, w pewnej odległości, dostrzegł więźnia Irańczyka, który machał rękami, jakby chciał powiedzieć: „Tędy!” W tamtym sektorze muru prowadzono prace budowlane - wznoszono jakiś blok - i w mur wstawiono stalowe drzwi, aby ułatwić dostęp do miejsca budowy. Przyglądając się uważnie, Bill dostrzegł, że wymachującemu rękami Irańczykowi udało się te drzwi wyważyć.

- Hej, spójrz tam! - zawołał do Paula.

- Idziemy - orzekł Paul.

Pobiegli, a za nimi kilku innych więźniów. Przedostali przez drzwi - i znaleźli się w pułapce, jakby w celi, lecz pozbawionej drzwi i okien. Czuć było zapach świeżego cementu. Wokół leżały narzędzia budowlane. Ktoś chwycił kilof i uderzył w ścianę. Świeży beton kruszył się łatwo. Kilku innych więźniów rzuciło się na mur z tym, co wpadło im pod rękę. Wkrótce otwór był dostatecznie duży. Zaczęli się przezeń przeciskać, zostawiając narzędzia.

Znaleźli się między dwoma murami więziennymi. Wewnętrzny, ten wysoki na dwadzieścia pięć albo trzydzieści stóp, był już za nimi. Zewnętrzny, który oddzielał ich od wolności, był o połowę niższy.

Jeden z więźniów, dobrze zbudowany mężczyzna, zdołał się na niego wdrapać. Inny stanął obok na ziemi i machał ręką. Podbiegł trzeci: człowiek na dole wypchnął go w górę, ten na murze pociągnął i po chwili więzień już był na zewnątrz.

Potem poszło już bardzo szybko. Paul zaczął biec w stronę muru. Bill tuż za nim.

Bill miał pustkę w głowie. Biegł. Poczł pchnięcie w górę, potem ktoś go wciągnął i już był na murze. Zeskoczył.

Wylądował na chodniku. Wstał.

Paul stał tuż obok niego.

„Jesteśmy wolni! - tłukło mu się po głowie. - Jesteśmy wolni!”

Chciało mu się tańczyć.

\* \* \*

Coburn odłożył słuchawkę i powiedział:

- To Majid. Tłum zdobył więzienie.

- Dobrze - rzekł Simons. Rankiem tego dnia kazał Coburnowi wysłać Majida na plac Gasr.

„Simons jest bardzo opanowany - pomyślał Coburn. - To było właśnie to: wielki dzień !” Teraz mogli opuścić kryjówkę w apartamencie, zabrać się do roboty, wprowadzić w życie plany „ucieczki z miasta bezprawia”. A tymczasem Simons nie okazywał żadnych oznak podniecenia.

- Co teraz robimy? - zapytał Coburn.

- Nic. Majid tam jest. Rashid też. Jeśli ci dwaj nie będą mogli się zaopiekować Paulem i Billem, nam się to z pewnością nie uda. Jeśli Paul i Bill nie pokażą się do zmroku, zrobimy to, co postanowiliśmy: pojedziesz wraz z Majidem na motocyklu i będziecie ich szukać.

- A na razie?

- Trzymamy się planu. Siedzimy cicho. Czekamy.

\* \* \*

Sytuacja w ambasadzie amerykańskiej była napięta.

Ambasador William Sullivan dostał pilny telefon z prośbą o pomoc od generała Gasta, dowódcy Amerykańskiej Grupy Doradztwa Wojskowego w Iranie. Doradztwo AGDW zostało otoczone przez tłum. Pod budynkiem zatrzymały się czołgi i trwała wymiana strzałów. Gast i jego oficerowie, wraz z większością personelu irańskiego sztabu

generalnego, znajdowali się w bunkrze pod budynkiem. Sullivan kazał wszystkim sprawnym mężczyznom znajdującym się w ambasadzie usiąść przy telefonach i znaleźć jakiegoś przywódcę rewolucyjnego, który mógłby opanować tłum. Telefon na biurku Sullivana dzwonił nieustannie. W samym środku tego oblędu zaanonsowano połączenie z podsekretarzem stanu Newsomem z Waszyngtonu.

Newsom dzwonił z pokoju operacyjnego w Białym Domu, gdzie Zbigniew Brzeziński przewodniczył właśnie spotkaniu na temat Iranu. Podsekretarz stanu poprosił Sullivana o ocenę aktualnej sytuacji. Sullivan przedstawił mu ją w kilku krótkich zdaniach, po czym oświadczył, że akurat w tej chwili jest zajęty ratowaniem życia najstarszego stopniem amerykańskiego żołnierza w Iranie.

Kilka minut później zadzwonił do Sullivana jeden z urzędników ambasady, któremu udało się dotrzeć do Ibrahima Yazdi, bliskiego współpracownika Chomeiniego. Urzędnik mówił właśnie, że Yazdi może pomóc, kiedy rozmowę przerwano, aby wznowić połączenie z Newsomem.

- Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego - powiedział podsekretarz stanu - prosi o pański pogląd na temat możliwości dokonania zamachu stanu przez armię irańską, która mogłaby przejąć władzę z rąk Bakhtiara, wyraźnie nie panującego nad sytuacją.

Pytanie było tak absurdalne, że Sullivan stracił panowanie nad sobą.

- Niech pan powie Brzezińskiemu, żeby się odpięprzył!

- To niewiele wnoszący komentarz - rzekł Newsom.

- Czy mam to przetłumaczyć na polski?! - wrzasnął Sullivan i rzucił słuchawkę.

\* \* \*

Na dachu „Bukaresztu” grupa negocjacyjna obserwowała, jak pożary rozprzestrzeniają się na przedmieścia. Strzelanina była już znacznie bliżej miejsca, gdzie się znajdowali.



John Howell i Abolhasan wrócili z kolejnego spotkania z Dadgarem.

- No i co? - zapytał Gayden Howella. - Co powiedział ten drań?

- Że ich nie wypuści.

- Łobuz.

Kilka chwil później wszyscy usłyszeli dźwięk jakby przelatującej kuli. Zaraz potem dźwięk się powtórzył. Postanowili zejść na dół.

Weszli do pokoju i patrzyli przez okna. Na ulicy w dole pojawili się chłopcy i młodzi mężczyźni uzbrojeni w karabiny. Najwyraźniej tłum wdarł się do pobliskiego magazynu broni. Działo się to zbyt blisko, aby obserwujący mogli zachować spokój - nadszedł czas, żeby opuścić „Bukareszt” i przenieść się do hotelu Hyatt, jeszcze dalej od centrum miasta.

Wsiedli do dwóch samochodów, po czym skierowali się w stronę autostrady szachinszacha, pędząc z najwyższą szybkością. Ulice pełne były ludzi. Panowała karnawałowa atmosfera. W oknach pojawiały się twarze wykrzykujące: *Allah ar akbar!* - Bóg jest wielki! Ruch kierował się przeważnie w stronę centrum, tam gdzie toczyły się walki. Taylor przejechał przez trzy blokady drogowe, ale nikt na to nie reagował - wszyscy tańczyli.

Dotarli do Hyatta i zebrali się w salonie apartamentu w końcu korytarza na jedenastym piętrze, przejętym przez Gaydena po Perocie. Dołączyła do nich Cathy, żona Richa Gallaghery, oraz biały pudel Buffy.

Gayden zaopatrzył apartament w alkohol z domów porzuconych przez ewakuowanych pracowników EDS i miał teraz najlepszy bar w Teheranie. Nikt jednak nie czuł specjalnego pragnienia.

- Co robimy teraz? - zapytał Gayden. Nikt nie miał żadnego pomysłu. Gayden uzyskał połączenie telefoniczne z Dallas, gdzie była teraz szósta rano.

Opowiedział Tomowi Walterowi o pożarach, walkach i dzieciakach chodzących po ulicach z karabinami maszynowymi.

- Tyle mam do przekazania - zakończył.

- Niezbyt spokojny dzień, co? - skomentował to Walter swym powolnym zaśpiewem z Alabamy.

Zaczęli się zastanawiać, co zrobią, jeśli linie telefoniczne zostaną przerwane. Gayden powiedział, że spróbuje przekazywać informacje amerykańską linią wojskową. Cathy Gallagher pracowała dla wojska i Gayden był pewien, że uda się to przez nią załatwić.

Keane Taylor poszedł do sypialni i położył się. Myślał o swojej żonie Mary. Przebywała w Pittsburgu, u jego rodziców. Matka i ojciec Taylora byli już po osiemdziesiątce i zdrowie niezbyt im dopisywało. Mary dzwoniła niedawno z wiadomością, że matkę zabrano do szpitala - niedomagała na serce. Mary chciała, żeby Taylor wracał do domu. Potem rozmawiał z ojcem, który powiedział niejasno: - Wiesz, co masz robić. - Była to prawda. Taylor wiedział, że musi tu zostać, ale nie było to łatwe ani dla niego, ani dla Mary.

Drzemał na łóżku Gaydena, gdy zadzwonił telefon. Sięgnął do stolika przy wezglowiu i podniósł słuchawkę. - Hallo? - odezwał się sennie.

- Czy są tam Paul i Bill? - zapytał zdyszany głos Irańczyka.

- Co takiego? - zdziwił się Taylor. - Czy to ty, Rashid?

- Czy są tam Paul i Bill? - powtórzył Rashid.

- Nie. O co ci chodzi?

- Dobrze, już jadę. Już jadę. Rashid odłożył słuchawkę. Taylor wstał z łóżka i wszedł do salonu.

- Dzwonił Rashid - powiedział do pozostałych. - Pytał, czy nie ma tu Paula i Billa.

- O co mu chodziło? - zdziwił się Gayden. - Skąd telefonował?

- Nic więcej z niego nie wydusiłem. Był podniecony, a wiecie, jak mówi po angielsku, kiedy się rozgorączkuje.

- Nic więcej nie powiedział?

- Mówił tylko: „Już jadę”, a potem odłożył słuchawkę.

- Cholera. - Gayden obrócił się do Howella. - Daj mi telefon. Howell siedział przy telefonie i nic nie mówił. Cały czas utrzymywali połączenie z Dallas.

Po drugiej stronie prowadziła nasłuch telefonistka z EDS, która czekała, aby ktoś się odezwał. - Daj jeszcze raz Toma Waltera -

powiedział Gayden.

Kiedy mówił Walterowi o telefonie od Rashida, Taylor zastanawiał się, co to mogło znaczyć. Dlaczego Rashid myślał, że Paul i Bill są w hotelu? Siedzieli przecież w więzieniu. Czyż nie?

Kilka chwil później Rashid wpadł do pokoju, brudny, cuchnący dymem wystrzałów, z wypadającymi z kieszeni magazynkami do G3, trajkocząc jak katarynka, że nikt zrazu nie rozumiał ani słowa. Taylor go uspokoił; w końcu Rashid zdołał wykrztusić:

- Zdobyliśmy więzienie. Paula i Billa tam nie było.

\* \* \*

Paul i Bill stali pod murem więziennym i rozglądali się wokoło.

To, co działo się na ulicy, przypominało Paulowi nowojorską paradę. W budynku po drugiej stronie ulicy wszyscy tkwili w oknach, witając ucieczkę więźniów entuzjazmem. Na rogu sprzedawca uliczny handlował owocami. Nie opodał trwała walka, ale w najbliższej odległości nikt nie strzelał. Potem, jakby dla przypomnienia Paulowi i Billowi, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, przemknął obok samochód pełen rewolucjonistów, ze sterzczącymi ze wszystkich okien lufami karabinów.

- Wynośmy się stąd - powiedział Paul.

- Dokąd pójdziemy? Do ambasady amerykańskiej? A może do francuskiej?

- Do Hyatta.

Paul ruszył naprzód, kierując się na północ. Bill trzymał się tuż za nim, z uniesionym kołnierzem palta i pochyloną głową, by ukryć swą bladą amerykańską twarz. Doszli do skrzyżowania. Było opuszczone: żadnych samochodów ani ludzi. Zaczęli przechodzić. Padł strzał.

Obaj schylili się i pobiegli z powrotem. A więc nie będzie to łatwe.

- Jak leci? - zapytał Paul.

- Jeszcze żyję.

Znowu podeszli pod więzienie. Sytuacja wciąż była taka sama. W każdym razie władze nie zorganizowały się jeszcze na tyle, by rozpocząć pościg za uciekającymi.

Paul kierował się ulicami na południe i wschód, mając nadzieję, że zdoła obejść ten rejon aż do miejsca, skąd będzie można ruszyć na północ. Wszędzie widział chłopców, często ledwie trzynasto - czy czternastoletnich, uzbrojonych w broń automatyczną. Na każdym rogu stał chroniony workami z piaskiem bunkier obronny, jakby miasto zostało podzielone na terytoria plemienne. Dalej obaj musieli się przeciskać przez tłum wrzeszczących, śpiewających, niemal ogarniętych histerią ludzi. Paul starannie unikał wzroku otaczających, nie chciał, aby go dostrzeżono czy choćby doń przemówiono - gdyby tłum zorientował się, że są wśród nich dwaj Amerykanie, mogłoby być niedobrze.

Zamieszki przebiegały nieregularnie. Było tak jak w Nowym Jorku, gdzie wystarczy tylko przejść parę kroków i skrócić za róg, aby znaleźć się w dzielnicy o zupełnie odmiennym charakterze. Paul i Bill przeszli około kilometra przez spokojny teren, potem zaś trafili w sam środek walk. Ulicę przegrodzono barykadą z wywróconych samochodów, zza której grupka młodych chłopców ostrzeliwała coś, co wyglądało na wojskowe instalacje. Paul szybko zawrócił, bojąc się jakiegś zabłąkanej kuli.

Za każdym razem, gdy chcieli skierować się na północ, natrafiali na przeszkodę. Znajdowali się teraz dalej od Hyatta, niż gdy byli pod więzieniem. W sumie posuwali się na południe, a walki na południu były zawsze gorsze.

Zatrzymali się przed nie wykończonym budynkiem.

- Możemy tu się przyczaić i poczekać na noc - powiedział Paul. - W ciemnościach nikt nie pozna, że jesteś Amerykaninem.

- Mogą do nas strzelać za wychodzenie po godzinie policyjnej.

- Myślisz, że jest jeszcze godzina policyjna? Bill wzruszył ramionami.

- Na razie idzie nam nie najgorzej - powiedział Paul. - Pójdźmy jeszcze kawałek.

Ruszyli dalej.

Dopiero po dwóch godzinach - dwóch godzinach tłumów, walk ulicznych i strzałów snajperów - mogli w końcu skierować się na północ. I wtedy okolica się zmieniła. Strzelanina nieco przycichła, a Paul i Bill znaleźli się w stosunkowo zamożnej dzielnicy ładnych domków jednorodzinnych. Zobaczyli dziecko na rowerze ubrane w koszulkę z jakimś napisem o południowej Kalifornii.

Paul był zmęczony. Siedział w więzieniu czterdzieści pięć dni i prawie cały ten czas przechorował. Nie miał już sił chodzić całymi godzinami.

- Może złapiemy jakąś okazję? - zapytał Billa.

- Możemy spróbować.

Paul stanął przy krawężniku i zamachał na pierwszy nadjeżdżający samochód (pamiętał, żeby nie wystawiać kciuka na sposób amerykański - w Iranie był to obraźliwy gest). Samochód zatrzymał się. W środku siedziało dwóch Irańczyków; Paul i Bill usiedli z tyłu.

Paul postanowił nie wymieniać nazwy hotelu.

- Chcemy się dostać do Tajrish - powiedział. Był to bazar na północy miasta.

- Możemy was kawałek podwieźć - odparł kierowca.

- Dziękuję. - Paul poczęstował Irańczyków papierosami, po czym oparł się wygodnie i sam zapalił.

Irańczycy wysadzili ich przy Kuroshe - Kabir, kilka kilometrów na południe od Tajrish, niedaleko domu, w którym mieszkał Paul. Znaleźli się na głównej ulicy, pełnej samochodów i przechodniów. Paul wołał nie zwracać na siebie uwagi zatrzymywaniem następnego samochodu.

- Możemy się schronić w misji katolickiej - zaproponował Bill. Paul zastanowił się. Władze prawdopodobnie wiedziały, że ojciec Williams odwiedził ich w więzieniu zaledwie przed dwoma dniami.

- Dadgar na pewno będzie nas szukał najpierw w misji - odparł.

- Może.

- Powinniśmy iść do Hyatta.

- Naszych może już tam nie być.

- Ale będą telefony, jakiś sposób zdobycia biletów na samolot...
- I gorący prysznic.
- Słusznie. Ruszyli dalej. Nagle rozległo się wołanie:
- Panie Paul! Panie Bill!

Serce Paula zamarło. Rozejrzał się. Zobaczył samochód pełen ludzi, powoli przejeżdżający obok. Rozpoznał jednego z pasażerów. Był to strażnik z więzienia Gasr.

Strażnik przebrał się w cywilne ubranie i wyglądał tak, jakby przystał do rewolucjonistów. Jego szeroki uśmiech mówił wyraźnie: nie mówcie im, kim jestem, a ja was też nie wydam.

Pomachał ręką. Samochód nabrał szybkości i zniknął w dali. Paul i Bill roześmiali się z ulgą.

Skręcili w cichą uliczkę i Paul znowu zaczął szukać okazji. Stanął na środku drogi, podczas gdy Bill czekał na chodniku, tak by kierowcy myśleli, że jest tu tylko jeden mężczyzna, Irańczyk.

Zatrzymało się młode małżeństwo. Paul wsiadł do samochodu, a Bill wskoczył za nim.

- Chcemy się dostać na północ - powiedział Paul. Kobieta popatrzyła na męża.

- Możemy was zabrać do pałacu Niavron - odrzekł mężczyzna.

- Dziękujemy. Samochód ruszył.

Obraz miasta znowu się zmienił. Słysząc było więcej strzałów, a ruch uliczny stał się gęstszy i bardziej nerwowy. Wszystkie samochody nieustannie trąbiły. Zobaczyli fotografów prasowych i ekipy telewizyjne, robiące zdjęcia z dachów samochodów. Tłum podpalił komisariat policji znajdujący się niedaleko domu Billa. Irańskie małżeństwo niespokojnie rozglądało się dookoła, gdy samochód przeciskał się przez tłum. Dwóch Amerykanów w wozie z pewnością mogło wpakować ich w tarapaty.

Zaczęło się ściemniać. Bill pochylił się naprzód.

- Och, zrobiło się późno - powiedział. - Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby państwo mogli nas zawieźć do hotelu Hyatt. Moglibyśmy zapłacić, jeśli państwo się zgodzą.

- OK - odparł kierowca. Nie zapytał, ile.

Minęli pałac Niavron, zimową rezydencję szacha. Na zewnątrz jak zwykle stały czołgi, ale teraz do ich anten przywiązane były białe flagi. Żołnierze poddali się rewolucjonistom.

Samochód jechał dalej, obok zrujnowanych i palących się domów, co jakiś czas zawracając przy barykadach ulicznych. W końcu zobaczyli Hyatta.

- O rany - odezwał się Paul wzruszony. - Amerykański hotel. Wjechali na dziedziniec.

Paul był tak wdzięczny, że dał Irańczykom dwieście dolarów.

Samochód odjechał. Paul i Bill pomachali za nim, po czym weszli do hotelu. Nagle Paul pożałował, że nie ma na sobie stroju pracownika EDS - służbowego garnituru i białej koszuli - a tylko więzienne łachy i brudny płaszcz deszczowy.

Imponujący hall był pusty.

Podeszli do recepcji. Po chwili zjawił się ktoś z zaplecza. Paul zapytał o numer pokoju Gaydena.

Recepcjonista sprawdził, po czym odparł, że nikt o takim nazwisku w hotelu nie mieszka.

- A Bob Young?

- Nie.

- Rich Gallagher?

- Nie.

- Jay Coburn?

- Nie.

„Chyba trafiłem nie do tego hotelu - pomyślał Paul. - Ale jak mogłem zrobić taki błąd?”

- A może John Howell? - zapytał, przypomniał sobie adwokata.

- Tak - powiedział w końcu recepcjonista i podał im numer pokoju na jedenastym piętrze.

Pojechali na górę windą.

Znaleźli pokój Howella i zastukali. Nikt nie odpowiedział.

- I co mamy teraz zrobić? - zapytał Bill.

- Ja tu zostanę - odrzekł Paul. - Jestem zmęczony. Chodź, weźmiemy tu pokój, zjemy coś. Zadzwonimy do Stanów, powiemy, że wyszliśmy z więzienia. Wszystko będzie dobrze.

- W porządku. Ruszyli do windy.

\* \* \*

Słowo po słowie, Keane Taylor wyciągnął z Rashida całą opowieść.

Rashid stał przed bramą więzienia przez mniej więcej godzinę. Panował nieopisany chaos: jedenaście tysięcy ludzi usiłowało się wydostać jednocześnie przez niewielkie drzwi. W ścisku stratowano wiele kobiet i starców. Rashid czekał, myśląc o tym, co powie Paulowi i Billowi, kiedy ich zobaczy. Po godzinie potok ludzi przeszedł w strumyczek i Rashid uznał, że większość ludzi już wyszła na zewnątrz. Zaczął rozpytywać: „Czy widzieliście tu jakichś Amerykanów?” Ktoś mu odrzekł, że wszystkich obcokrajowców trzymano w budynku nr 8. Poszedł tam, ale budynek był pusty. Przeszukał wszystkie budynki wokół placu. Wrócił następnie do Hyatta drogą, którą mogli pójść Paul i Bill. Idąc i podjeżdżając okazją, wypatrywał ich przez całą drogę. W hotelu nie chciano go wpuścić, bo nadal miał swój karabin. Oddał go pierwszemu napotkanemu chłopakowi i pojechał na górę.

Kiedy to wszystko mówił, przybył Coburn, gotów szukać Paula i Billa na motocyklu Majida. Coburn miał kask z owiewką, która skrywała jego białą twarz.

Rashid zaofiarował się, że weźmie samochód EDS i przejedzie drogą między hotelem a więzieniem tam i z powrotem, zanim Coburn pójdzie nadstawiać karku wśród tłumów. Taylor dał Rashidowi kluczyki do samochodu. Gayden dopadł telefonu, aby przekazać najnowsze wiadomości do Dallas. Rashid i Taylor wyszli z apartamentu i pomaszerowali korytarzem. Nagle Rashid wrzasnął:

- Myślałem, że nie żyjecie! - i pędem puścił się naprzód. I wtedy Taylor zobaczył Paula i Billa.



Rashid ściskał ich obu, wrzeszcząc:

- Nie mogłem was znaleźć! Nie mogłem was znaleźć! Taylor podbiegł i objął Paula i Billa.

- Dzięki Bogu! - zawołał.

Rashid wbiegł na powrót do apartamentu Gaydena, wołając:

- Paul i Bill są tutaj! Paul i Bill są tutaj!

W chwilę potem Paul i Bill weszli do środka i zapanował nieopisany zgiełk.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### 1.

Była to niezapomniana chwila.

Wszyscy krzyczeli, nikt nie słuchał i wszyscy rzucili się jednocześnie obejmować Paula i Billa. Gayden ryczał do telefonu:

- Mamy ich! Mamy ich! Fantastyczne! Po prostu weszli przez drzwi! Fantastyczne!

Ktoś krzyczał:

- Daliśmy im! Daliśmy tym sukinsynom!

- Udało się!

- Możesz nam skoczyć, Dadgar! Buffy ujadła jak oszalała.

Paul rozglądał się po swoich przyjaciółach. Zostali tu, w samym środku rewolucji, aby mu pomóc. Poczuł, że wzruszenie odbiera mu głos.

Gayden rzucił słuchawkę i podszedł uścisnąć im dłonie. Paul, ze łzami w oczach, powiedział do niego:

- Zaoszczędziłem ci dwanaście i pół miliona dolarów, Gayden. Myślę, że zasłużyłem na kielicha.

Gayden nalał mu szkockiej.

Paul po raz pierwszy od sześciu tygodni miał w ustach alkohol. Gayden znowu wziął słuchawkę. - Tu jest ktoś, kto chce z tobą

porozmawiać - powiedział i oddał słuchawkę Paulowi.

- Halo? - zaczął Paul.

Usłyszał dźwięczny głos Toma Waltera.

- Cześć, kolego!

- Boże wszechmogący - wydusił z siebie Paul tonem krańcowego wyczerpania i ulgi.

- Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteście, chłopaki!

- My też nie, przez ostatnie trzy godziny.

- Jak się dostałeś do hotelu, Paul?

Nie miał siły odpowiadać Walterowi całej historii.

- Na szczęście Keane zostawił mi swego czasu sporo pieniędzy.

- Fantastycznie. Hej, Paul! Czy Bill się dobrze czuje?

- Tak. Jest trochę wstrząśnięty, ale nic mu nie jest.

- My wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. O rany. Rany, jak to dobrze słyszeć twój głos.

W słuchawce rozległ się inny głos. - Paul? Tu Mitch. - Mitch Hart był poprzednim prezesem EDS. - Wiedziałem, że ten włoski opryszek da sobie radę.

- Co u Ruthie?

Odpowiedział na to Tom Walter. Paul odgadł, że używają centralki do telekonferencji. - Czuje się świetnie, Paul. Niedawno z nią rozmawiałem. Jean właśnie dzwoni do niej z drugiego telefonu.

- Z dziećmiakami wszystko dobrze?

- Tak, znakomicie. Boże, ale żona się ucieszy!

- Dobrze, daję ci drugą połówkę. - Paul przekazał telefon Billowi. W czasie rozmowy przybył jeden z irańskich pracowników, Gholam.

Usłyszawszy o zdobyciu więzienia, szukał Paula i Billa na okolicznych ulicach.

Jay Coburn zaniepokoił się przybyciem Gholama. Przez parę chwil był zanadto przepełniony radością, by myśleć o czymś więcej, ale teraz powrócił do swej roli zastępcy Simonsa. Po cichu wyszedł z apartamentu, znalazł inne otwarte drzwi, wszedł do środka i zadzwonił do apartamentu Dvoranchików.

Telefon odebrał Simons.

- Mówi Jay. Są tutaj.

- Dobrze.

- Całą konspirację szlag trafił. Przez telefon lecą nazwiska, wszyscy się włączą dookoła, przychodzą irańscy pracownicy...

- Wynajmij dwa pokoje z dala od pozostałych. Zaraz tam będziemy.

- W porządku. - Coburn odłożył słuchawkę.

Zszedł do recepcji i poprosił o apartament z dwiema sypialniami na dwunastym piętrze. Nie było żadnego problemu: hotel miał setki wolnych pokoi. Coburn podał fałszywe nazwisko. Nikt go nie pytał o paszport.

Wrócił do apartamentu Gaydena.

Kilka minut później wkroczył Simons i powiedział: - Odłóż ten cholerny telefon.

Bob Young, utrzymujący stale połączenie z Dallas, położył słuchawkę. Joe Poche, który wyłonił się zza pleców Simonsa, zaczął zasuwać story.

Było to niewiarygodne: nagle komendę objął Simons. Najstarszy rangą był tu Gayden, prezes EDS World. Jeszcze godzinę temu mówił do Toma Waltera, że „Słoneczni Chłopcy” - Simons, Coburn i Poche - są wyraźnie bezużyteczni i nieefektowni, a teraz poddał się pod komendę Simonsa nawet o tym nie myśląc.

- Rozejrzyj się, Joe - powiedział Simons do Pochego. Coburn wiedział, co Simons miał na myśli. Podczas tygodni oczekiwania, grupa dostatecznie rozpoznała hotel i przyległe doń tereny. Poche miał teraz sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

Zadzwoił telefon. Odebrał John Howell.

- To Abolhasan - rzekł do pozostałych. Słuchał przez kilka minut, po czym powiedział: - Chwileczkę. - Zakrył mikrofon dłonią i odwrócił się do Simonsa:

- To nasz irański pracownik, który tłumaczy podczas moich spotkań z Dadgarem. Jego ojciec jest przyjacielem Dadgara. Abolhasan jest teraz u ojca i tam właśnie odebrał telefon od Dadgara.

W pokoju zapanowała cisza.

Dadgar zapytał Abolhasana: „Czy wiesz, że Amerykanów nie ma w więzieniu?” Abolhasan odparł, że o niczym nie słyszał. Dadgar na to: „Skontaktuj się z EDS i przekaz im, że jeśli pojawią się Chiapparone i Gaylor, należy ich przekazać władzom irańskim. A także to, że jestem gotów ponownie rozważyć sprawę kaucji, która powinna być znacznie niższa”.

- Niech się odpieprzy - odezwał się Gayden.

- Dobra - rzekł Simons. - Powiedz Abolhasanowi, aby przekazał Dadgarowi, że szukamy Paula i Billa, ale na razie to Dadgar jest odpowiedzialny za ich osobiste bezpieczeństwo.

Howell uśmiechnął się, skinął głową i wrócił do rozmowy z Abolhasanem. Simons zwrócił się do Gaydena.

- Proszę zadzwonić do ambasady. Niech pan na nich nawrzeszczy. W końcu to przez nich Paul i Bill znaleźli się w więzieniu, a teraz, gdy więzienie zostało zdobyte i nie wiemy, gdzie są Paul i Bill, to oni odpowiadają za ich bezpieczeństwo. Niech to zabrzmi przekonywająco. Z pewnością w ambasadzie są irańscy szpiedzy - mogą się założyć o własny tyłek, że Dadgar będzie znał treść tej rozmowy po kilku minutach.

Gayden poszedł szukać telefonu.

Simons, Coburn i Poche przenieśli się wraz z Paulem i Billem do nowego apartamentu, wynajętego przez Coburna.

Coburn zamówił dwa befsztyki dla Paula i Billa. Poleciał obsłudze hotelowej, aby przyniesiono je do apartamentu Gaydena. Nie należało zwracać uwagi na nowe pokoje.

Paul wziął gorącą kąpiel. Bardzo za nią tęsknił. Nie kąpał się od sześciu tygodni. Rozkoszował się czystą, białą łazienką, strumieniem gorącej wody, świeżym kawałkiem mydła... Nigdy już nie będzie lekceważył takich rzeczy. Zmywał z włosów więzienie Gasr. Czekala na niego czysta odzież: ktoś zabrał jego walizkę z Hiltona, gdzie mieszkał aż do chwili aresztowania.

Bill wziął prysznic. Jego euforia minęła. Kiedy wszedł do

apartamentu Gaydena, wyobrażał sobie, że koszmar skończył się. Ale stopniowo uświadomił sobie, że nadal jest w niebezpieczeństwie, że nie czeka na niego odrzutowiec wojskowego lotnictwa amerykańskiego, który zawiezie go do domu z podwójną prędkością dźwięku. Wiadomość od Dadgara, przekazana przez Abolhasana, przybycie Simonsa, a także nowe środki bezpieczeństwa - ten apartament, zaciąganie zasłon przez Pocheho, przenoszenie jedzenia - wszystko to uświadomiło mu, że ucieczka dopiero się rozpoczęła.

Niemniej jednak befsztyk mu smakował.

Simons wciąż czuł niepokój. Hyatt znajdował się w pobliżu hotelu Evin, w którym mieszkali amerykańscy oficerowie, więzienia Evin oraz magazynu broni. Wszystko to były pierwszorzędne obiekty dla rewolucjonistów. Również telefon Dadgara stanowił problem. Wielu Irańczyków wiedziało, że pracownicy EDS mieszkają w Hyacie, Dadgar z łatwością mógł dowiedzieć się o tym i wysłać swych ludzi, żeby poszukali tam Paula i Billa.

Podczas gdy Simons, Coburn i Bill omawiali te wszystkie sprawy w salonie, zadzwonił telefon.

Simons utkwiał w nim wzrok. Telefon zadzwonił znowu.

- Kto, do jasnej cholery, wie, że tu jesteśmy? - zapytał Simons. Coburn wzruszył ramionami.

Simons podniósł słuchawkę i powiedział: - Halo? Cisza.

- Halo?

- Nikt się nie odzywa. - Odłożył słuchawkę. Paul wszedł do pokoju w piżamie.

- Ubieraj się - polecił Simons. - Zjeżdżamy stąd.

- Dlaczego? - zaprotestował Paul.

- Ubieraj się. Zjeżdżamy stąd - powtórzył Simons.

Paul wzruszył ramionami i wrócił do sypialni. Bill nie mógł w to uwierzyć. Znowu trzeba uciekać! W jakiś sposób Dadgar utrzymał się u władzy pomimo tego całego zamętu i gwałtu rewolucji. Ale kto dla niego pracował? Strażnicy uciekli z więzień, komisariaty policji spalono, wojsko się poddało - kto jeszcze został, żeby wykonywać rozkazy

Dadgara?

„Piekło i szatani” - pomyślał Bill.

W czasie gdy Paul się ubierał, Simons zszedł do apartamentu Gaydena. Jego samego oraz Taylora odciągnął na bok.

- Wyproście stąd wszystkich miejscowych - powiedział ściszonego głosem.

- Oficjalnie Paul i Bill poszli spać. Wy wszyscy przyjedziecie do nas jutro rano. Wyjedźcie o siódmej rano, tak jakbyście wybierali się do biura. Nic nie pakujcie, nie zwalnijcie pokoi, nie płaćcie rachunków za hotel. Joe Poche będzie czekał na was na zewnątrz: wykombinuje jakąś bezpieczną drogę do naszego domu. Ja zabieram tam Paula i Billa teraz, ale nie mówcie tego innym aż do rana.

- W porządku - odrzekł Gayden.

Simons wrócił na górę. Paul i Bill byli gotowi. Coburn i Poche już czekali. Cała piątka poszła do windy.

- Musimy wyjść tak, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie - powiedział Simons, kiedy zjeżdżali.

Dojechali do parteru. Przeszli przez ogromny hall i wyszli na dziedziniec.

Stały tam zaparkowane oba „Range Rovery”.

Kiedy przecinali dziedziniec, podjechał wielki, ciemny samochód. Wskoczyło z niego czterech czy pięciu mężczyzn w łachmanach, z pistoletami maszynowymi.

- Cholera - mruknął Coburn.

Piątka Amerykanów nadal kroczyła przed siebie. Rebelianci wbiegli do hotelu.

Poche gwałtownie otworzył drzwi pierwszego „Range Rovera”. Paul i Bill wskoczyli do środka. Simons i Coburn weszli do drugiego samochodu i pojechali w ślad za nim.

Rewolucjoniści weszli do hotelu.

Poche skierował się do autostrady Vanak, która przechodziła obok Hyatta i Hiltona. Poprzez warkot silników można było usłyszeć odgłosy strzelaniny. Przejechawszy prawie dwa kilometry, na skrzyżowaniu z

Pahlavi Avenue w pobliżu Hiltona, natrafili na blokadę drogową.

Poche zatrzymał wóz. Bill rozejrzał się. On i Paul przejeżdżali przez to skrzyżowanie kilka godzin temu wraz z irańskim małżeństwem, które podwiozło ich do Hyatta - ale wówczas nie było żadnej blokady, ledwie jeden wypalony samochód. Teraz płonęło tu kilka wozów, a barykadę otaczał tłum rebeliantów uzbrojonych w najróżniejszą broń palną.

Jeden z nich zbliżył się do „Range Rovera” i Joe Poche opuścił szybę w drzwiach.

- Dokąd jedziecie? - zapytał rewolucjonista doskonałą angielszczyzną.

- Jadę do mojej teściowej. Mieszka w Abbas Abad - odparł Poche.

„Mój Boże - pomyślał Bill - co za głupie tłumaczenie”. Paul odwrócił głowę, kryjąc twarz.

Podszedł inny i przemówił w *farsi*. Pierwszy zapytał:

- Macie papierosy?

- Nie, nie palę - odparł Poche.

- Dobrze, jedźcie dalej.

Poche ruszył autostradą Shahanshahi.

Coburn zatrzymał drugi samochód w miejscu, gdzie stali rebelianci.

- Czy jesteście z tamtymi? - zapytano go.

- Tak.

- Macie papierosy?

- Tak. - Coburn wyjął paczkę z kieszeni i próbował wytrząsnąć jednego. Ręce mu drżały i nie mógł się z tym uporać.

- Jay - odezwał się Simons.

- Tak?

- Daj mu całą tę cholerną paczkę.

Coburn podał paczkę rewolucjonście, który gestem nakazał im odjechać.



## 2.

Kiedy w domu Nyfelerów w Dallas zadzwonił telefon, Ruthie Chiapparone była w łóżku, ale już nie spała.

Usłyszała kroki na korytarzu. Dzwonienie ustało i rozległ się głos Jima Nyfelera: „Halo?... No, ona teraz śpi”.

- Nie śpię! - zawołała Ruthie. Wskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i wyszła na korytarz.

- To żona Toma Waltera, Jean - powiedział Jim, oddając jej słuchawkę.

- Cześć, Jean - powiedziała do mikrofonu Ruthie.

- Mam dla ciebie dobre nowiny, Ruth. Chłopcy są wolni. Wydostali się z więzienia.

- Och, dzięki Bogu!

Jeszcze nie zaczęła się zastanawiać, jak Paul wydostanie się z Iranu.

\* \* \*

Kiedy Emily Gaylord wróciła z kościoła, matka powiedziała do niej:

- Telefonował Tom Walter z Dallas. Powiedziałam, że do niego zadzwonisz. Emily schwyciła słuchawkę, nakręciła numer EDS i poprosiła o Waltera.

- Witaj, Emily - powiedział Walter. - Paul i Bill wydostali się z więzienia.

- Tom, to cudownie!

- Opanowano więzienie. Chłopcy są bezpieczni i w dobrych rękach.

- Kiedy wracają do domu?

- Jeszcze nie wiemy, ale będziemy cię informować.

- Dziękuję ci, Tom - powiedziała Emily. - Dziękuję.

\* \* \*

Ross Perot leżał w łóżku z Margot. Telefon obudził ich oboje. Perot sięgnął i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Ross, mówi Tom Walter. Paul i Bill wydostali się z więzienia. Nagle Perot rozbudził się całkowicie. Usiadł.

- To wspaniale!

- Wyszli? - zapytała sennie Margot.

- Tak. Uśmiechnęła się.

- Doskonale.

- Więzienie zostało zdobyte przez rebeliantów - mówił Tom Walter. - Paulowi i Billowi udało się uciec.

Umysł Perota zaczynał pracować.

- Gdzie oni teraz są?

- W hotelu.

- To niebezpieczne, Tom. Czy jest tam Simons?

- Hm, kiedy z nimi rozmawiałem, nie było go.

- Powiedz im, żeby go wezwali. Taylor zna jego numer. I każ im wynosić się stamtąd!

- Tak jest.

- Zawiadam wszystkich w biurze. Będę tam za parę minut.

- Tak jest.

Perot położył słuchawkę. Wyskoczył z łóżka, narzucił jakieś ubranie, pocałował Margot i zbiegł po schodach. Przebiegł przez kuchnię i wyszedł tylnymi drzwiami. Mężczyzna z ochrony zdziwił się, widząc go na nogach tak wcześnie.

- Dzień dobry, panie Perot - powiedział.

- Dobry. - Perot postanowił wziąć „Jaguara” Margot. Wskoczył za kierownicę i pomknął ku bramie.

Przez sześć tygodni czuł się jak we wnętrzu maszynki do prażonej kukurydzy. Próbował wszystkiego i nic nie wychodziło: złe wieści

dochodziły ze wszystkich stron, nie robił żadnych postępów. A teraz nareszcie coś się działo.

Pomknął wzdłuż Forest Lane, przejeżdżając na czerwonych światłach i przekraczając dozwoloną prędkość. „Wydostanie ich z więzienia było najłatwiejszą częścią operacji - zdał sobie sprawę. - Teraz trzeba ich wydostać z Iranu. Najgorsze jeszcze się nawet nie zaczęło”.

W ciągu kilku minut w kierownictwie EDS przy Forest Lane zebrał się cały zespół: Tom Walter, T. J. Marquez, Merv Stauffer, sekretarka Perota Sally Walther, adwokat Tom Luce oraz Mitch Hart, który chociaż już nie pracował w EDS, próbował wykorzystać swe znajomości w Partii Demokratycznej, aby pomóc Paulowi i Billowi.

Do tej chwili łączność z grupą negocjacyjną w Teheranie utrzymywano poprzez gabinet Billa Gaydena na piątym piętrze, podczas gdy na siódmym Merv Stauffer po cichutku załatwiał wsparcie i łączność z nielegalną grupą ratowniczą, rozmawiając z nimi przez telefon kodem. Teraz wszyscy pojęli, że Simons jest w Teheranie najważniejszą osobą: cokolwiek się zdarzy, będzie zapewne nielegalne. Przenieśli się zatem do gabinetu Stauffera, tym chętniej, że był on bardziej kameralny.

- Jadę natychmiast do Waszyngtonu - powiedział do nich Perot. - Najlepszym wyjściem byłby nadal samolot wojskowy z Teheranu.

- Nie wiem, czy coś lata w niedzielę z Dallas do Waszyngtonu... - zastanowił się Stauffer.

- Wyczarteruj odrzutowiec - polecił mu Perot. Stauffer podniósł słuchawkę.

- Przez następne parę dni ktoś będzie tu musiał czuwać przez okrągłą dobę - mówił dalej Perot.

- Załatwię to - rzekł T. J.

- Jeszcze jedna sprawa. Wojsko obiecało nam pomoc, ale możemy na nich polegać - mogą mieć pilniejszą robotę. Najpewniejszą możliwością dla ekipy ratowniczej jest jazda przez Turcję. W takim wypadku plan zakłada spotkanie z nimi na granicy albo - o ile to się okaże konieczne - przelot na teren Iranu, aby ich stamtąd zabrać. Musimy zorganizować

Turecką Grupę Ratowniczą. Boulware siedzi już w Istambule. Schwebach, Sculley i Davis są w Stanach - niech ktoś do nich zadzwoni i umówi ze mną w Waszyngtonie. Może nam również być potrzebny pilot śmigłowca, a także inny, do jakiegoś niedużego samolotu, gdybyśmy chcieli się przekraść do Iranu. Sally, zadzwoń do Margot i powiedz jej, żeby mi zapakowała walizkę. Potrzebne mi jest luźne ubranie, latarka, pionierki, ciepła bielizna, śpiwór i namiot.

- Tak, proszę pana. - Sally wyszła z pokoju.

- Wiesz co, Ross? - powiedział T. J. - Myślę, że źle zrobisz. Margot może się wystraszyć.

Perot stłumił westchnienie. T. J. zawsze się spierał. Ale tym razem miał rację.

- Dobrze, pojedę do domu i zrobię to sam. Jedź ze mną. Pogadamy, gdy będę się pakował.

- Jasne.

- Na lotnisku Love Field czeka na ciebie odrzutowiec „Lear” - powiedział Stauffer, odkładając słuchawkę.

- Dobrze.

Perot i T. J. zeszli na dół i wsiedli do swoich samochodów. Po opuszczeniu terenu EDS skręcili na prawo, w Forest Lane. Kilka sekund później T. J. spojrział na szybkościomierz i zobaczył, że dochodzi do osiemdziesięciu mil na godzinę - a mimo to Perot, prowadzący „Jaguara” Margot, znika w przedzie.

\* \* \*

W terminalu Page na waszyngtońskim lotnisku Perot wpadł na dwoje starych znajomych: Billa Clementsa, gubernatora stanu Teksas i byłego sekretarza obrony, oraz na jego żonę, Ritę.

- Cześć, Ross! - zawołał Clements. - Co ty, u diabła, robisz w Waszyngtonie w niedzielę po południu?

- Jestem tu w interesach - odparł Perot.

- Ale co robisz naprawdę? - powiedział Clements z uśmiechem.

- Masz wolną chwilę?

Clements miał wolną chwilę. Cała trójka usiadła i Perot opowiedział historię Paula i Billa.

- Musisz porozmawiać z jednym facetem - stwierdził Clements, wysłuchawszy jego relacji. - Napiszę ci nazwisko.

- Gdzie ja go znajdę w niedzielę po południu?

- Dobrze, cholera, ja go znajdę.

Podeszli do automatu telefonicznego. Clements włożył monetę, wykręcił numer centrali Pentagonu i przedstawił się. Zażądał połączenia z domowym numerem jednego z najwyższych oficerów amerykańskich. Potem powiedział:

- Jest tu ze mną Ross Perot z Teksasu. To mój dobry znajomy i wielki przyjaciel sił zbrojnych. Chcę, żebyś mu pomógł. - Następnie przekazał słuchawkę Perotowi i odszedł.

\* \* \*

Pół godziny później Perot znajdował się w pokoju operacyjnym w podziemiach Pentagonu, otoczony terminalami komputerów i rozmawiał z pół tuzinem generałów.

Nigdy przedtem żadnego z nich nie spotkał, ale czuł się jak wśród przyjaciół. Generałowie słyszeli o jego kampanii na rzecz amerykańskich jeńców wojennych w Wietnamie Północnym.

- Chcę wydostać z Teheranu dwóch mężczyzn - powiedział do nich. - Czy można stamtąd odlecieć?

- Nie - odrzekł jeden z generałów. - W Teheranie jesteśmy przykuci do ziemi. Nasza baza lotnicza, Doshen Toppeh, znajduje się w rękach rewolucjonistów. Generał Gast ukrył się w bunkrze pod kwaterą główną AGDW, obleżony przez tłum. Linie telefoniczne zostały przecięte i nie mamy z nim połączenia.

- Dobrze - odparł Perot. Prawie się spodziewał takiej odpowiedzi. -

Będę musiał zrobić to sam.

- Na drugim końcu świata, gdzie trwa rewolucja - powiedział inny generał.

- Nie pójdzie panu łatwo. Perot uśmiechnął się.

- Mam tam Bull Simonsa. Generałowie wyraźnie się odprężyli.

- Cholera, Perot, niech pan da jakąś szansę Irańczykom! - zażartował jeden z nich.

- Jasne - uśmiechnął się Perot. - Pewnie będę musiał sam polecieć. Czy możecie mi, panowie, dać spis lotnisk między Teheranem i granicą turecką?

- Oczywiście.

- Jak można ustalić, czy któreś z tych lotnisk nie zostało zablokowane?

- Wystarczy popatrzeć na zdjęcia satelitarne.

- A co z radarem? Czy można tam przelecieć nie pokazując się na ekranach irańskich radarów?

- Oczywiście. Damy panu mapę radarową na wysokość stu pięćdziesięciu metrów.

- Znakomicie!

- Coś jeszcze?

„Cholera - pomyślał Perot. - Zupełnie jak w barze McDonalda!”

- Na razie dziękuję - odparł. Generałowie zaczęli naciskać guziki.

\* \* \*

T. J. Marquez podniósł słuchawkę. Dzwonił Perot.

- Mam dla ciebie pilotów - powiedział T. J. - Zadzwoń do Larry'ego Josepha. Był szefem Continental Air Services w Laosie, a teraz jest w Waszyngtonie. Wybrał mi ludzi: Dicka Douglasa i Juliana Kanaucha. Przylecą do Waszyngtonu jutro.

- Wspaniale - odrzekł Perot. - Ja byłem w Pentagonie, gdzie dowiedziałem się, że wojsko nie zabierze naszych, bo samo jest

uziemione. Ale mam wszystkie mapy i inne rzeczy, możemy lecieć sami. Potrzebny mi odrzutowiec, który zdoła przelecieć przez Atlantyk, wraz z całą załogą i nadajnikiem modulacyjnym, takim jaki mieliśmy w Laosie, żeby dało się prowadzić z samolotu rozmowy telefoniczne.

- Zrobi się - powiedział T. J.

- Jestem w hotelu Madison.

- Rozumiem.

T. J. zabrał się do telefonicznych poszukiwań. Skontaktował się z dwoma teksańskimi towarzystwami czarterowymi, ale żadne z nich nie dysponowało odrzutowcem transatlantyckim. Drugie z nich, Jet Fleet, podało mu nazwę firmy Executive Aircraft z Columbus, w stanie Ohio. Tam jednak również nie mogli mu pomóc i nie znali nikogo, kto by mógł.

T. J. pomyślał o Europie. Zadzwoił do Carla Nilssona, pracownika EDS, który opracowywał propozycję dla linii Martinair. Nilsson po niedługim czasie poinformował go, że Martinair nie poleci do Iranu, ale podał mu nazwę szwajcarskiej firmy, która się zgodzi. T. J. zadzwonił tam. Okazało się, że firma z dniem dzisiejszym zawiesiła loty do Teheranu.

T. J. wykręcił numer Harry'ego McKillopa, wiceprezesa linii Braniff, który mieszkał w Paryżu. Nie zastał go.

Zadzwoił do Perota i przyznał się do porażki.

Perotowi przyszło coś do głowy. Przypomniało mu się, że Soi Rogers, prezes Texas State Optical Company w Beaumont, miał chyba BAC 111 albo Boeinga 727. Nie wiedział na pewno. Nie miał też numeru telefonu Rogersa.

T. J. zadzwonił do informacji. Numer był zastrzeżony. Zatelefonował więc do Margot. Znalazła ten numer. Zadzwoił do Rogersa. Rogers nie miał już samolotu. Znał jednak firmę zwaną Omni International, w Waszyngtonie, która wynajmowała samoloty. Podał T. J. domowe numery prezesa i wiceprezesa. T. J. zadzwonił do prezesa. Nie było go.

Zadzwoił do wiceprezesa. Był.

- Czy ma pan samolot transatlantycki? - zapytał.

- Jasne. Mamy dwa.

T. J. wydał westchnienie ulgi.

- Mamy Boeingi 707 i 727 - ciągnął wiceprezes.

- Gdzie?

- 707 jest na lotnisku Meachem Field w Fort Worth...

- To prawie pod nosem! - wykrzyknął T. J. - Niech mi pan powie, czy ma on nadajnik modulujący?

- Oczywiście, że ma.

T. J. nie wierzył własnemu szczęściu.

- Ten samolot jest wyposażony dość luksusowo - zaznaczył wiceprezes. - Wykonano go dla jakiegoś księcia z Kuwejt, który się rozmyślił.

T. J. nie był zainteresowany luksusem. Zapytał o cenę. Wiceprezes oświadczył, że ostateczną decyzję będzie musiał podjąć prezes. Nie ma go w domu, ale T. J. może doń zadzwonić z samego rana.

O sprawdzenie samolotu T. J. poprosił Jeffa Hellera, wiceprezesa EDS i byłego pilota w Wietnamie, oraz dwóch znajomych Hellera: pilota w American Airlines oraz inżyniera pokładowego. Heller zawiadomił T. J., że samolot wygląda na oko nieźle. Wystrój jest jednak niezbyt gustowny, dodał z uśmiechem.

O wpół do ósmej następnego ranka T. J. zatelefonował do prezesa Omni i wyciągnął go spod prysznica. Prezes zdążył już porozmawiać z wiceprezesem i był przekonany, że dobiją targu.

- Dobrze - odrzekł T. J. - A co z załogą, obsługą lotniskową, ubezpieczeniem...

- My nie czarterujemy samolotów - odparł prezes. - My je wynajmujemy.

- A jaka to różnica?

- Taka sama jak między taksówką a samochodem z wypożyczalni. Nasze samoloty są do wynajęcia.

- Niech pan posłucha. Zajmujemy się komputerami i nie mamy nic wspólnego z lotnictwem - mówił T. J. - Chociaż normalnie pan tego nie



robi, może zawrzemy umowę, w ramach której załatwi pan wszystkie usługi dodatkowe, załogę i tak dalej? Zapłacimy panu za to.

- To będzie skomplikowane. Samo ubezpieczenie...

- Ale zrobicie to?

- Tak, zrobimy.

To było skomplikowane, jak T. J. przekonał się w ciągu reszty dnia. Niezwykły charakter umowy nie przypadł do gustu towarzystwom ubezpieczeniowym, które w dodatku nie lubiły, kiedy ktoś je popędział. Trudno było ustalić, jakie wymagania powinno spełniać EDS, skoro nie jest towarzystwem lotniczym. Omni zażądało depozytu sześćdziesięciu tysięcy dolarów złożonych w odległej filii jednego z banków amerykańskich. Wszystkie problemy rozwiązała jedna z dyrektorek EDS, Gary Fernandes z Waszyngtonu, oraz radca prawny EDS, Claude Chappellear z Dallas. Umowa, sporządzona pod wieczór, opiewała na „wynajem w celach reklamowych”. Omni znalazło załogę w Kalifornii i wysłało ją do Dallas, aby przejęła tam samolot i poleciała nim do Waszyngtonu.

O północy w poniedziałek załoga, dodatkowi piloci i pozostali członkowie ekipy ratowniczej znajdowali się w Waszyngtonie z Rossem Perotem.

T. J. dokonał cudu.

Dlatego tak długo to trwało.

### 3.

Zespół negocjujący - Keane Taylor, Bill Gayden, John Howell, Bob Young i Rich Gallagher, uzupełnieni obecnie przez Rashida, Cathy Gallagher i psa Buffy - spędzili noc z niedzieli 11 listopada na poniedziałek w Hyacie. Nie spali zbyt dobrze. Gdzieś w pobliżu tłum atakował magazyn broni. Najwyraźniej część wojska przyłączyła się do rebeliantów, ponieważ w natarciu brały udział czołgi. Nad ranem

wysadzono fragment muru i atakujący dostali się do środka. Od świtu sznur pomarańczowych taksówek przewoził broń z magazynu do centrum, gdzie nadal trwały ciężkie walki.

Przez całą noc grupa utrzymywała połączenie z Dallas. John Howell leżał na kanapie w salonie Gaydena, trzymając słuchawkę przy uchu.

Rankiem Rashid wyszedł dość wcześnie. Nie powiedziano mu, dokąd udają się pozostali - żaden Irańczyk nie miał prawa znać miejsca kryjówki.

Pozostali zapakowali walizki i pozostawili je w pokojach, na wypadek, gdyby udało im się zabrać je później. Nie zgadzało się to z instrukcjami Simonsa, który z pewnością by się sprzeciwił - spakowane bagaże wskazywały, że ludzie z EDS już tu nie mieszkają. Ale rankiem wszyscy byli zdania, że Simons przesadza ze środkami ostrożności. Zebrali się w salonie Gaydena kilka minut po wyznaczonej godzinie siódmej. Gallagherowie mieli kilka toreb i w ogóle nie wyglądali, jakby udawali się do biura.

W hallu spotkali dyrektora hotelu.

- Dokąd państwo idą? - zapytał z niedowierzaniem.

- Do biura - odrzekł Gayden.

- Czy państwo nie wiedzą, że trwa wojna domowa? Przez całą noc karmiliśmy rewolucjonistów. Pytali nas, czy nie ma tu jakichś Amerykanów - a ja im powiedziałem, że nie ma tu nikogo. Musicie wrócić na górę i pozostać w ukryciu.

- Życie toczy się dalej - odparł Gayden. Wyszli.

Joe Poche czekał na nich w „Range Roverze”. Wściekał się w milczeniu, gdyż spóźnili się piętnaście minut, on zaś miał instrukcje od Simonsa, żeby wrócić za piętnaście ósma - z nimi - lub bez nich. Gdy podchodzili do samochodów, Keane Taylor zobaczył, jak jeden z pracowników hotelu wjeżdża na dziedziniec i parkuje. Podeszedł do niego.

- Jak wyglądają ulice? - zapytał.

- Wszędzie naokoło blokady - odparł tamten. - Jedna jest zaraz tutaj, na końcu wyjazdu z hotelu. Nie powinniście wyjeżdżać.

- Dziękuję - odrzekł Taylor.

Wsiedli do samochodów i pojechali za „Range Roverem” Pochego. Strażnicy przy wjeździe byli zajęci próbami wepchnięcia zakrzywionego magazynka do pistoletu, który nie był do tego przystosowany, i wcale nie zwrócili uwagi na trzy samochody.

Widok na zewnątrz był przerażający. Znaczna część broni z magazynu dostała się w ręce kilkunastoletnich chłopców, dzieciaków, które pewnie nigdy przedtem nie miały niczego podobnego. Zbiegały z góry, wrzeszcząc, wymachując pistoletami i wskakiwały do samochodów, aby pomknąć w nich szosą, strzelając jednocześnie w powietrze.

Poche skierował się na północ autostradą Shahanshahi, okrężną drogą, aby uniknąć blokad. Na skrzyżowaniu z Pahlavi znajdowały się resztki barykady - wypalone samochody i pnie drzew przerzucone przez jezdnię - ale załoga barykady świętowała, śpiewała i strzelała w powietrze. Trzy samochody przejechały bezpiecznie.

Dojeżdżając do kryjówki trafili w rejon stosunkowo spokojny. Skręcili w wąską uliczkę. Potem, w połowie drogi do następnej przecznicy, przejechali przez bramę do otoczonego murem ogrodu z pustym basenem pływackim. Dvoranchikowie zajmowali dolną połowę domu; właścicielka mieszkała na piętrze. Weszli do środka.

\* \* \*

Przez cały poniedziałek Dadgar szukał Paula i Billa. Bill Gayden zadzwonił do „Bukaresztu”, gdzie niewielka już załoga lojalnych Irańczyków pozostawała przy telefonach. Dowiedział się, że ludzie Dadgara dzwonili dwukrotnie, rozmawiali z dwiema różnymi sekretarkami i pytali, gdzie mogą znaleźć panów Chiapparone’a i Gaylorda. Pierwsza sekretarka odparła, że nie zna nazwisk żadnych Amerykanów - co było odważnym kłamstwem, ponieważ pracowała w EDS od czterech lat i znała wszystkich. Druga powiedziała:

- Musi pan się porozumieć z panem Lloydem Briggsem, który kieruje biurem.

- A gdzie on jest?

- Poza krajem.

- To kto go zastępuje?

- Pan Keane Taylor.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

- Chwilowo go nie ma.

Dziewczęta, niech im Bóg wynagrodzi, zbyły Dadgara niczym.

Rich Gallagher utrzymywał kontakt ze swymi znajomymi w wojsku (Cathy była sekretarką jednego z pułkowników). Zadzwoił do hotelu Evin, gdzie mieszkała większość oficerów, i dowiedział się, że „jacyś rewolucjoniści” odwiedzili hotele: zarówno Evin, jak i Hyatt, pokazując fotografie dwu poszukiwanych Amerykanów.

Bezczelność Dadgara była wręcz niewiarygodna.

Simons uznał, że nie mogą przebywać w domu Dvoranchików dłużej niż dwie doby.

Plan ucieczki opracowany dla pięciu osób. Teraz było dziesięciu mężczyzn, kobieta i pies.

Mieli tylko dwa „Range Rovery”. Zwykły samochód nigdy nie pokona tych gór, szczególnie gdy są ośnieżone. Potrzebny był jeszcze jeden „Range Rover”. Coburn zadzwonił do Majida, żeby spróbował go zdobyć.

Najbardziej niepokoił Simonsa pies. Rich Gallagher zamierzał nieść Buffy’ego w tobołku na plecach. Ale gdyby musieli iść lub jechać na koniach przez granicę, jedno szczeknięcie mogłoby oznaczać śmierć wszystkich - a Buffy szczekał na wszystko.

- Musicie się pozbyć tego cholernego psa - powiedział Simons do Coburna i Taylora.

- Dobrze - odparł Coburn. - Może powiem, że wychodzę z nim na spacer i go puszczę?

- Nie - sprzeciwił się Simons. - Kiedy mówię: „pozbyć się”, to raz na zawsze.

Największy problem stanowiła Cathy. Tego wieczoru poczuła się źle - „kobiece sprawy”, wyjaśnił Rich. Miał nadzieję, że dzień czy dwa w łóżku pomogą jej zebrać siły. Ale Simons nie był takim optymistą. Wściekał się na ambasadę.

- Departament Stanu jeśli chce, ma mnóstwo sposobów, żeby wydostać kogoś z jakiegoś kraju - mówił. - Wsadzić do skrzyni, wysłać jako ładunek... gdyby tylko chcieli, sprawa byłaby prosta.

Bill czuł się odpowiedzialny za wszystkie kłopoty.

- Myślę, że to szalony pomysł, żeby dziewięć osób miało ryzykować życie dla dwu - powiedział. - Gdyby nie ja i Paul, nic wam by nie groziło. Moglibyście po prostu czekać tu, aż wznowią loty z Teheranu. Może powinniśmy z Paulem zdać się na łaskę ambasady?

- A co będzie, jeśli wy wyjedziecie i Dadgar postanowi wziąć innych zakładników? - zapytał Simons.

„W każdym razie - pomyślał Coburn - Simons nie spuści teraz oka z tych dwóch, dopóki nie znajdą się z powrotem w USA”. Zadzwoił dzwonek u furtki. Wszyscy zamarli.

- Wejdźcie do sypialni, tylko cicho - polecił Simons.

Coburn podszedł do okna. Właścicielka domu nadal myślała, że mieszkają tu jedynie Coburn i Poche - do tej pory nie spotkała się z Simonsem - i ani ona, ani ktokolwiek inny nie miał wiedzieć, że w domu przebywa obecnie jedenaście osób.

Coburn patrzył, jak gospodyni idzie przez podwórkę i otwiera furtkę. Stała przed nią kilka minut, rozmawiając z kimś, kogo Coburn nie mógł dostrzec, po czym zamknęła furtkę i wróciła sama do domu.

Kiedy usłyszał, jak gospodyni zatraskuje drzwi w górnej części domu, zawołał:

- Fałszywy alarm.

Zaczęli przygotowywać się do podróży. Polegało to głównie na ograbieniu domu Dvoranchików z ciepłej odzieży. Paul pomyślał, że Toni Dvoranchik umarłaby z zażenowania, wiedząc, iż obcy mężczyźni buszują w jej szufladach. Efektem poszukiwań okazał się szczególny zbiór źle dopasowanych kapeluszy, kurtek i swetrów.

Później pozostało im tylko oczekiwanie: na Majida, aż znajdzie jeszcze jeden samochód, na Cathy, aż poczuje się lepiej, na Perota, aż zorganizuje Turecką Grupę Ratowniczą.

Puścili sobie jakieś stare mecze piłkarskie na wideo. Paul grał w remika z Gaydenem. Pies działał wszystkim na nerwy, ale Coburn postanowił poderżnąć mu gardło dopiero w ostatnim momencie: gdyby nastąpiła zmiana planu, może udałoby się ocalić Buffy'ego. John Howell czytał „Głębie” Petera Benchleya. W czasie lotu obejrzał część filmu według tej książki. Nie zdążył jednak zobaczyć zakończenia, bo samolot wylądował za wcześnie. Chciał się dowiedzieć, którzy bohaterowie są dobrzy, a którzy źli. Simons oświadczył, że kto chce, może się napić, ale gdyby trzeba było się stąd szybko wynieść, lepiej byłoby nie mieć alkoholu w organizmie.

Niemniej jednak Gayden i Gallagher potajemnie wlewali sobie do kawy *Drambuie*. Dzwonek odezwał się ponownie i wszyscy wykonali te same czynności co poprzednio, ale i tym razem był to ktoś do właścicielki.

Zachowywali zdumiewająco dobry nastrój, zważywszy fakt, ile osób stłoczyło się w salonie i trzech sypialniach na parterze. Jedynym, który czuł irytację, był oczywiście Keane Taylor. Wraz z Paulem przygotował wielki obiad dla wszystkich, niemal całkowicie opróżniając zamrażarkę. Zanim jednak uporał się z kuchnią, pozostali zdążyli zjeść wszystko do ostatniego kęsa i nic dla niego nie zostało. Wymyślał więc im od zgrai głodnych psów i wszyscy się śmiali, jak zawsze, gdy Taylor się wściekał.

W nocy wściekł się ponownie. Spał na podłodze obok Coburna, który chrapał tak przeraźliwie, że Taylor nie mógł zasnąć. W dodatku nie mógł nawet dobudzić Coburna, aby przestał chrapać, co go rozwścieczyło jeszcze bardziej.

Tej nocy w Waszyngtonie spadł śnieg. Ross Perot był zmęczony i napięty.

Wraz z Mitchem Hartem spędził większość dnia na namawianiu władz, aby zorganizowały przelot jego ludzi z Teheranu. Rozmawiał z podsekretarzem stanu Davidem Newsomem, Thomasem V. Beardem z Białego Domu oraz młodym doradcą Cartera Markiem Ginsbergiem, którego zadaniem było utrzymywanie kon taktu między Białym Domem i Departamentem Stanu. Ludzie ci starali się, jak mogli, zorganizować ewakuację pozostałego jeszcze w Teheranie tysiąca Amerykanów i nie zamierzali przygotowywać jakichś specjalnych planów dla Rossa Perota.

Skoro pozostała mu jedynie Turcja, Perot udał się do sklepu sportowego i zakupił odzież na chłodną pogodę. Wynajęty Boeing 707 przyleciał z Dallas i Pat Sculley zadzwonił z lotniska imienia Dullesa z informacją, że w czasie lotu pojawiły się pewne problemy techniczne: źle funkcjonowały systemy przekaźników i nawigacji żyroskopowej, pierwszy silnik zużywał dwa razy za dużo oleju, w kabinie brakowało tlenu do oddychania, nie było zapasowego ogumienia, a zawory pojemnika na wodę całkowicie zamrzły.

Podczas gdy mechanicy zajmowali się samolotem, Perot siedział w Hotelu Madison z Mortem Meyersonem, wiceprezesem EDS.

W EDS była specjalna grupa współpracowników Perota, takich jak T. J. Marquez czy Merv Stauffer, do którego zwracał się o pomoc w sprawach nie związanych z codzienną pracą nad oprogramowaniem komputerowym. Chodziło o takie rzeczy jak kampania na rzecz jeńców w Wietnamie, Teksaska Wojna z Narkotykami, a także ratunek dla Paula i Billa. Chociaż Meyerson nie angażował się w te specjalne akcje Perota, był dokładnie poinformowany o planach działań ratowniczych i udzielił im swego błogosławieństwa. Dobrze znał Paula i Billa, ponieważ dawniej pracował z nimi jako projektant systemów. W

sprawach zawodowych był głównym współpracownikiem Perota i wkrótce miał zostać prezesem EDS (Perot był nadal przewodniczącym rady nadzorczej).

Obecnie Perot i Meyerson rozmawiali o interesach, przeglądając po kolei wszystkie najbliższe przedsięwzięcia i problemy EDS. Obaj wiedzieli, choć żaden nie powiedział tego głośno, że powodem tej rozmowy było to, iż Perot mógł nie powrócić z Turcji.

Na swój sposób ci dwaj mężczyźni byli tak różni, jak ogień i woda. Dziadek Meyersona był rosyjskim Żydem, który musiał dwa lata oszczędzać na bilet kolejowy z Nowego Jorku do Teksasu. Zainteresowania Meyersona rozciągały się od sportu do sztuk pięknych: grał w piłkę ręczną, był jednym z opiekunów orkiestry symfonicznej w Dallas i sam zresztą dobrze grał na fortepianie. Żartując z Perota i jego „orłów” sam nazywał swoich bliskich współpracowników „żabami Meyersona”. Jednak pod wieloma względami przypominał Perota: był twórczym i pomysłowym człowiekiem interesu, jego śmiałe pomysły przerażały co bardziej konserwatywnych członków kierownictwa EDS. Perot przekazał instrukcje, że jeśli coś by się mu przydarzyło w czasie akcji ratowniczej, prawo głosu wynikające z jego udziałów przejdzie na Meyersona. EDS przeszłoby więc w ręce prawdziwego przywódcy, a nie biurokraty.

Podczas gdy Perot omawiał interesy, martwił się o samolot i wściekał na Departament Stanu - jego największą troską była matka. Lulu May Perot gasła w oczach i Perot chciał być z nią. Gdyby umarła podczas jego pobytu w Turcji, nigdy by jej więcej nie zobaczył, a to złamałoby mu serce.

Meyerson wiedział, o czym myśli Perot. Przerwał rozmowę o sprawach zawodowych pytaniem:

- Ross, a może ja polecę?

- Co masz na myśli?

- Może ja pojadę do Turcji zamiast ciebie? Wykonałeś swoje zadanie: pojechałeś do Iranu. To, co ty chcesz zrobić w Turcji, mogę zrobić i ja. A ty chcesz zostać z matką.



Perot poczuł wzruszenie. „Mort nie musiał tego mówić - pomyślał. - Jeśli chcesz... „ - kusiła go ta propozycja.

- O tym na pewno chciałbym porozmawiać. Pozwól mi zastanowić się. Nie był pewien, czy ma prawo wysyłać Meyersona zamiast siebie.

- Zapytajmy innych o zdanie. - Wziął słuchawkę, zadzwonił do Dallas i otrzymał połączenie z T. J. Marquezem.

- Mort zaproponował, że pojedzie do Turcji zamiast mnie - powiedział. - Co ty na to?

- To najbardziej poroniony pomysł, jaki mógł się zdarzyć - odrzekł T. J. -

Ty siedzisz w tym od początku i nie ma żadnej możliwości, abyś przekazał Mortowi wszystko, co trzeba, w parę godzin. Znasz Simonsa i jego sposób myślenia, a Mort nie. Poza tym Simons nie zna Morta, a wiesz, jaki on jest wobec ludzi, których nie zna. Po prostu nie będzie mu ufał i tyle.

- Masz rację - odrzekł Perot. - Nie ma o czym mówić. Położył słuchawkę.

- Jestem ci wdzięczny za twoją propozycję, Mort, ale pojedę sam.

- Jak sobie życzysz.

Kilka minut później Meyerson wyszedł, aby powrócić do Dallas wycarterowanym „Learem”. Perot ponownie zadzwonił do EDS. Połączono go z Mervem Staufferem.

- Teraz, kochani, zacznijcie pracować na zmiany i prześpijcie się trochę - powiedział do Stauffera. - Nie mam zamiaru rozmawiać po powrocie z bandą lunatyków.

- Tak jest!

Perot też postąpił według własnej rady i poszedł spać.

O drugiej nad ranem obudził go telefon. To dzwonił z lotniska Pat Sculley: problemy z samolotem zostały rozwiązane.

Perot wziął taksówkę na lotnisko. Była to mroząca krew w żyłach pięćdziesięciokilometrowa jazda po oblodzonych drogach.

Turecka Grupa Ratownicza była już w komplecie: Perot, Pat Sculley i Jim Schwebach, młody Ron Davis, załoga Boeinga oraz dwaj

dodatkowi piloci, Dick Douglas i Julian „Szrama” Kanauch. Ale samolot nie był sprawny. Brakowało części, której nie udało się znaleźć w Waszyngtonie. Gary Fernandes - ów dyrektor EDS, który opracowywał kontrakt wynajmu samolotu - miał przyjaciela, kierującego obsługą naziemną jednego z towarzystw lotniczych na nowojorskim lotnisku La Guardia. Zadzwoił do niego, ten wstał z łóżka, znalazł właściwą część i wysłał ją samolotem do Waszyngtonu. Tymczasem Perot położył się na ławce na lotnisku i przespał jeszcze parę godzin.

Załadowali się o szóstej rano. Perot ze zdumieniem rozglądał się po wnętrzu samolotu. Było tam ogromne łóżko, trzy bary, kosztowny system hi-fi, telewizor i gabinet z telefonem. Poza tym jeszcze miękkie dywany, zamszowe obicia i pluszowe ściany.

- Wygląda to jak perski burdel - oświadczył Perot, chociaż nigdy nie był w perskim burdelu.

Samolot wystartował. Dick Douglas i „Szrama” Kanauch natychmiast zwinęli się w kłębek i poszli spać. Perot próbował pójść w ich ślady - przez szesnaście godzin nie miał nic do roboty. W miarę jak samolot przemierzał przestrzeń nad Atlantykiem, Perot zastanawiał się, czy zrobił dobry wybór.

Ostatecznie mógł pozostawić Paula i Billa w Teheranie ich własnemu losowi. Nikt by go za to nie winił. Ostatecznie to rząd amerykański powinien o nich zadbać. Może nawet ambasada amerykańska mogła wy dostać ich stamtąd bez szwanku.

Z drugiej strony mógł ich schwytać Dadgar i wsadzić do więzienia - a sądząc z poprzednich wydarzeń, ambasada w ich sprawie palcem nie ruszy. A co mogliby zrobić rebelianci, gdyby Paul i Bill wpadli w ich ręce? Zlinczowaliby ich?

Nie, Perot nie mógł pozostawić swych ludzi na pastwę losu - to nie byłoby w jego stylu. Odpowiadał za Paula i Billa - i matka nie musiała mu tego mówić. Problem polegał na tym, że teraz ryzykował życie innych ludzi. Zamiast dwóch ukrywających się w Teheranie, szło teraz o los jedenastu jego pracowników, uciekających przez dzikie rejony północno - zachodniego Iranu oraz jeszcze czterech, plus dwóch

pilotów, którzy będą ich szukać. Jeśli coś się nie uda, jeśli ktoś zginie, świat uzna to za rezultat wariackiej awantury, którą rozpoczął facet myślący, że wciąż jeszcze mieszka na Dzikim Zachodzie. Już widział te nagłówki w gazetach: PRÓBA RATOWANIA UCIEKINIER W Z IRANU PODJĘTA PRZEZ TEKSAŃSKIEGO MILIONERA KOŃCZY SIĘ ŚMIERCIA...

„Gdybyśmy stracili Coburna - pomyślał - to co mógłbym powiedzieć jego żonie? Liz na pewno nie zrozumiałaby, dlaczego zaryzykowałem życie siedemnastu ludzi, aby uratować tylko dwóch”.

Nigdy w życiu nie złamał prawa, teraz jednak zaplątany był w tyle nielegalnych przedsięwzięć, że nie mógłby ich nawet zliczyć.

Odsunął od siebie te myśli. Decyzja została podjęta. Jeśli ktoś idzie przez życie myśląc tylko o złych rzeczach, jakie mogą mu się przydarzyć, wmówi sobie wkrótce, że nie powinien robić nic. Trzeba skupić się na tym, co można załatwić.

Sztony leżą na stole, koło ruletki już się kręci. Zaczęła się ostatnia gra.

#### 4.

We wtorek ambasada amerykańska ogłosiła, że samoloty ewakuujące wszystkich Amerykanów w Teheranie odlecą w sobotę i niedzielę.

Simons wszedł z Coburnem i Pochem do jednej z sypialń Dvoranchików i zamknął drzwi.

- To w części rozwiązuje nasze problemy - powiedział. - Chcę ich teraz podzielić. Niektórzy mogą się ewakuować samolotami zapowiadzanymi przez ambasadę, pozostanie tylko tak sprawna grupa, która przebieje się lądem.

Coburn i Poche zgodzili się z nim.

- Oczywiście Paul i Bill powinni jechać, a nie lecieć - stwierdził

Simons.

- Dwaj z nas muszą udać się z nimi: jeden będzie ich eskortować przez góry, a drugi przekroczy granicę legalnie i spotka się z Boulware'em. Do każdego z „Range Roverów” potrzebny nam będzie kierowca Irańczyk. Zostają więc dwa wolne miejsca. Kto je zajmie? Nie Cathy - lepiej będzie, jeśli ona poleci.

- Rich chce lecieć z nią - rzekł Coburn.

- I jeszcze ten przeklęty pies - dodał Simons.

„Życie Buffy’ego zostało uratowane” - pomyślał Coburn. Był z tego raczej zadowolony.

- Zostają zatem - powiedział Simons - Keane Taylor, John Howell, Bob Young i Bill Gayden. A oto nasz problem: Dadgar może kogoś schwycić na lotnisku i znajdziemy się w punkcie wyjścia - ludzie EDS będą w więzieniu. Kto tu jest najbardziej zagrożony?

- Gayden - odparł Coburn. - Jest prezesem EDS World. Jako zakładnik byłby znacznie cenniejszy niż Paul i Bill. Właściwie to kiedy Dadgar aresztował Billa Gaylorda, zastanawialiśmy się, czy nie pomylił go z Billem Gaydenem ze względu na podobieństwo nazwisk.

- A więc Gayden jedzie lądem z Paulem i Billem.

- John Howell nie jest nawet zatrudniony przez EDS, a poza tym jest adwokatem. Nic mu nie grozi.

- Howell leci.

- Bob Young pracuje w EDS w Kuwejcie, nie w Iranie. Jeśli Dadgar ma listę pracowników EDS, Younga na niej nie będzie.

- Young leci, Taylor jedzie. Następna sprawa: jeden z nas będzie musiał udać się samolotem wraz z ewakuowaną Grupą „Czystych”. To twoja rola, Joe. Mniej się tu dałeś poznać niż Jay. On chodził po ulicach, spotykał się w Hyacie - a o tobie nikt nie wie.

- W porządku - odparł Poche.

- Tak więc Grupa „Czystych” składa się z Gallagherów, Boba Younga i Johna Howella, pod dowództwem Joego. Grupa „Podejrzanych”, to: Jay, Keane Taylor, Bill Gayden, Paul, Bill i dwóch irańskich kierowców. Chodźmy teraz im to powiedzieć.

Gdy weszli do salonu, wszyscy usiedli. Kiedy Simons mówił, Coburn podziwiał go, że ogłosił swoją decyzję w taki sposób, jakby pytał zainteresowanych o zdanie, a nie polecał im, co mają zrobić.

Były pewne dyskusje nad tym, kto powinien być w której grupie - John Howell i Bob Young uważali, że powinni być wśród „Podejrzanych”, gdyż ich zdaniem groziło im aresztowanie przez Dadgara. Ostatecznie jednak doszli do takiego samego wniosku jak Simons.

Zdaniem Simonsa Grupa „Czystych” powinna przenieść się szybko na teren ambasady. Gayden i Joe Poche poszli znaleźć konsula generalnego Lou Goelza, aby z nim wszystko to omówić.

Grupa „Podejrzanych” miała wyruszyć rankiem następnego dnia.

Zadaniem Coburna było zorganizowanie irańskich kierowców. Wśród nich był Majid i jego kuzyn profesor, profesor jednak przebywał teraz w Rezaïyeh i nie mógł się dostać do Teheranu, Coburn musiał więc znaleźć kogoś w zastępstwie.

Postanowił już, że będzie to Seyyed. Seyyed był młodym irańskim montażystą systemów komputerowych, podobnie jak Rashid i „Motocyklista”, pochodził jednak z o wiele bogatszej rodziny: za czasów szacha jego krewni zajmowali wysokie stanowiska we władzach i w armii. Seyyed kształcił się w Anglii i mówił z brytyjskim akcentem. Jego największą zaletą, z punktu widzenia Coburna, było to, że pochodził z północnego zachodu, a zatem znał teren i mówił po turecku.

Coburn zadzwonił do Seyyeda i spotkali się w jego domu. Coburn nie powiedział mu prawdy.

- Potrzebuję zebrać informacje o drogach między Teheranem i Khoy  
- oświadczył. - Ktoś musi poprowadzić samochód. Zrobisz to?

- Oczywiście - odparł Seyyed.

- Spotkamy się dziś wieczorem za piętnaście jedenasta na Argentine Square. Seyyed wyraził zgodę.

To Simons wydał Coburnowi wszystkie te instrukcje. Coburn ufał Seyyedowi, ale Simons - jak zwykle - nie. Seyyed zatem nie będzie

wiedział, gdzie czeka cała grupa, dopóki nie zostanie tam zawieszony i nie dowie się o Paulu i Billu, dopóki ich nie spotka. Później zaś - Simons będzie go miał na oku.

Kiedy Coburn ponownie zjawił się w domu Dvoranchików, Gayden i Poche zdążyli już powrócić ze spotkania u Lou Goelza. Powiedzieli konsulowi, że paru ludzi z EDS pozostanie w Teheranie, aby szukać Paula i Billa, ale pozostali chcą odlecieć pierwszym samolotem ewakuacyjnym, do tej pory zaś chcieliby pozostać na terenie ambasady. Goelz oświadczył, że ambasada jest przepełniona, ale mogą zatrzymać się w jego domu.

Wszyscy uznali, że to cholernie ładnie ze strony konsula. Większość niejednokrotnie wściekała się na niego w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i wyrażała opinię, iż to przez niego i jego kolegów Paul i Bill zostali aresztowani. Uznali więc, że po tym wszystkim decyzja otwarcia domu i przyjęcia ich była szlachetna. Kiedy wszystko w Iranie zaczęło się rozsypywać, Goelz stał się mniej pedantyczny i potrafił okazać, że ma serce na właściwym miejscu.

Obie grupy: „Czystych” i „Podejrzanych” pożegnały się, życząc sobie nawzajem szczęścia - choć trudno było mieć pewność, która z nich bardziej tego szczęścia potrzebuje. Następnie Grupa „Czystych” wyruszyła do domu Goelza.

Zapadł już wieczór. Coburn i Keane Taylor pojechali po Majida do jego domu. Miał spędzić z nimi tę noc w mieszkaniu Dvoranchików, podobnie jak Seyyed. Coburn i Taylor musieli również zabrać dwustulitrową beczkę paliwa, przechowywaną dla nich przez Majida.

Kiedy dotarli na miejsce, Majida nie było.

Czekali w zniecierpliwieniu. W końcu Majid pojawił się. Powitał ich, zaprosił do domu, zawołał przez całe mieszkanie o herbatę. Wreszcie Coburn mógł przystąpić do rzeczy.

- Wyjeżdżamy jutro rano - powiedział. - Chcemy, żebyś teraz pojechał z nami.

Majid poprosił Coburna, aby przeszedł z nim do drugiego pokoju.

- Nie mogę z wami jechać - powiedział na osobności.

- Dlaczego?
- Muszę zabić Howejdę.
- Co takiego? - zdziwił się Coburn. - Kogo?
- Amira Abbasa Howejdę. Byłego premiera.
- Dlaczego chcesz go zabić?

- To długa historia. Szach miał plany reformy rolnej i Howejda chciał odebrać ziemie plemienne mojej rodziny. My się zbuntowaliśmy i Howejda wtrącił mnie do więzienia... Przez te wszystkie lata czekałem na możliwość zemsty.

- Musisz go zabić już teraz? - zapytał zdumiony Coburn.

- Mam broń i okazję. Za dwa dni wszystko może się zmienić. Coburn zmieszał się. Nie wiedział, co powiedzieć. Było jasne, że Majid nie zmieni zdania.

Wraz z Taylorem załadowali beczkę paliwa na „Range Rovera”, po czym odjechali. Majid życzył im szczęścia.

Po powrocie do mieszkania Dvoranchików Coburn próbował odnaleźć „Motocyklistę”, mając nadzieję, że zastąpi on Majida w roli kierowcy. Jednak „Motocyklista” był równie nieuchwytny jak sam Coburn. Zazwyczaj można było zastać go pod pewnym numerem telefonu - Coburn podejrzewał, że to jakiś sztab rewolucyjny. - lecz tylko raz dziennie. Obecnie pora, o której się tam zjawiał, już minęła, ale Coburn zadzwonił i tak. „Motocyklisty” nie było. Spróbował potem wydzwonić jeszcze kilka numerów, ale bez powodzenia.

Przynajmniej mieli Seyyeda.

O wpół do jedenastej Coburn wyszedł, aby spotkać się z nim. Szedł ciemnymi ulicami w kierunku Argentine Square, która znajdowała się o półtora kilometra od domu Dvoranchików. Potem minął plac budowy i wszedł do pustego budynku, gdzie miał spotkać się z Seyyedem.

O jedenastej Seyyed nie pojawił się.

Simons polecił Coburnowi czekać tylko piętnaście minut, nie więcej, ale Coburn postanowił jednak dać Seyyedowi jeszcze trochę czasu.

Odczekał do wpół do dwunastej. Seyyeda nie było.

Coburn zachodził w głowę, co mogło się wydarzyć. Biorąc pod

uwagę powiązania rodzinne Seyyeda, było całkiem możliwe, że padł ofiarą rebeliantów.

Oznaczało to klęskę Grupy „Podejrzanych”. Nie mieli już teraz ani jednego Irańczyka, który pojechałby z nimi. „Jak, do diabła, przedostaną się teraz przez te blokady drogowe? - zastanawiał się Coburn. - Co za pieprzony zbieg okoliczności: odpada profesor, odpada Majid, „Motocyklisty” nie może znaleźć, w końcu odpada Seyyed. Cholera jasna”.

Wyszedł z placu budowy i ruszył z powrotem. Nagle usłyszał silnik samochodu. Obejrzał się i spostrzegł jeepa wypełnionego uzbrojonymi rebeliantami, okrążającego plac. Coburn ukrył się za pobliskim krzakiem. Samochód przejechał obok.

Coburn pospieszył naprzód, zastanawiając się, czy obowiązuje dziś godzina policyjna. Był już niemal na miejscu, kiedy jeep ponownie nadjechał z rykiem silnika.

„Zobaczyli mnie poprzednim razem - pomyślał Coburn. - A teraz przyjechali mnie zabrać”.

Było bardzo ciemno. Może go jeszcze nie zauważyli. Obrócił się i pobiegł z powrotem. Na tej ulicy nie było gdzie się schować. Warkot silnika jeepa zbliżał się. W końcu Coburn zobaczył jakieś zarośla i zanurkował prosto w nie. Leżał, słuchając bicia swego serca, a samochód był coraz bliżej. Czy to jego szukali? Czyżby ujeli Seyyeda i torturowali go, tak aż musiał im przyznać, że jest umówiony z kapitalistyczną amerykańską świnią na Argentine Square za piętnaście jedenasta...

Jeep przejechał nie zatrzymując się. Coburn podniósł się z ziemi.

Resztę drogi do domu Dvoranchików pokonał biegiem. Powiadomił Simonsa, że nie mają irańskich kierowców.

Simons zaklął.

- Czy jest jeszcze jakiś Irańczyk, do którego możemy zadzwonić?

- Tylko jeden. Rashid.

Coburn wiedział, że Simons nie chce angażować w to wszystko Rashida. Poprowadził wprawdzie atak na więzienie i jeśli ktoś, kto go



tam widział, spostrzegłby go za kierownicą samochodu pełnego Amerykanów, mogłyby być kłopoty. Ale Coburn nie miał już żadnych innych pomysłów.

- Dobrze - powiedział Simons. - Zadzwoń do niego. Coburn wykręcił numer Rashida.

Rashid był w domu!

- Mówi Jay Coburn. Potrzebna mi twoja pomoc.

- Jasne.

Coburn nie chciał podawać adresu kryjówki przez telefon, linia mogła być przecież na podsłuchu. Przypomniawszy sobie, że Bill Dvoranchik lekko zezował. Zapytał:

- Czy pamiętasz tego faceta z dziwnym okiem?

- Z dziwnym okiem? O, tak...

- Nie wymawiaj jego nazwiska! Czy pamiętasz, gdzie on mieszkał?

- Jasne.

- Nic nie mów. Tam właśnie jestem. Potrzebuję cię tu.

- Jay, mieszkam wiele kilometrów stąd i nie wiem, jak przedostanę się przez miasto...

- Postaraj się - powiedział Coburn. Znał pomysłowość Rashida. Kiedy otrzymał jakieś zadanie, nie znosił porażek. - Na pewno ci się uda.

- Dobrze.

- Dziękuję. - Coburn przerwał połączenie. Była północ.

Paul i Bill wybrali sobie paszporty z tych, które Gayden dostarczył ze Stanów. Simons kazał im się wyuczyć imion, nazwisk, dat urodzenia, rysopisów i wszystkich wiz oraz pieczęci kontroli granicznej. Fotografia w paszporcie Paula była być może do niego podobna, z Billem jednak było gorzej. Żaden z tych paszportów nie pasował. Wybrano w końcu dokumenty Larry'ego Humphreysa, blondyna o dość nordyckich rysach, właściwie zupełnie nie przypominającego Billa.

Napięcie rośnie w miarę, jak sześciu mężczyzn omawiało drogę, w którą mieli wyruszyć za kilka godzin. Wedle informacji uzyskanych przez Richa Gallaghery od jego wojskowych znajomych, w Tebrizie

trwały walki, postanowili więc pojechać drogą na południe od jeziora Rezaiyeh, przez Mahabad. Jeśli ktoś ich zatrzyma, będą składać wyjaśnienia możliwie najbliższe prawdy - Simons zawsze wybierał taką metodę, jeśli musiał kłamać. Mieli powiedzieć, że są handlowcami, którzy chcą wrócić do domu. Lotnisko jest zamknięte, więc jadą samochodami do Turcji.

Aby tę historię uczynić bardziej wiarygodną, nie zabrali żadnej broni. Była to trudna decyzja - wiedzieli, że mogą jeszcze pożałować tego, iż są nie uzbrojeni i bezsilni w samym środku rewolucji - ale Simons i Coburn stwierdzili w czasie wyprawy zwiadowczej, że blokujący drogi rebelianci zawsze szukają broni. Instynkt Simonsa podpowiadał mu, że łatwiej im będzie się wytłumaczyć w przypadku kłopotów, niż utorować sobie drogę ogniem.

Postanowili również zostawić beczkę z paliwem, aby wyprawa nie wyglądała na zbyt profesjonalną, zbyt zorganizowaną, jak na handlowców wracających do domu.

Zabrali jednak dużo pieniędzy. Joe Poche i Grupa „Czystych” odjechali z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, ale ekipa Simonsa nadal miała około ćwierć miliona, po części w irańskich rialach, a po części w zachodnioniemieckich markach, brytyjskich funtach i złocie. Zapakowali po pięćdziesiąt tysięcy dolarów do plastikowych toreb, obciążyli je śrutem i ukryli w baku na paliwo. Część schowali w pudełku od chusteczek higienicznych, a część w latarce, w pojemniku na baterie. Resztę rozdali, aby każdy ukrył trochę przy sobie.

O pierwszej wciąż Rashida jeszcze nie było. Simons posłał Coburna, żeby stanął przy bramie i czekał na niego.

Coburn stał w ciemnościach trzęsąc się z zimna i miał nadzieję, że Rashid wkrótce przybędzie. I tak wyjechaliby rankiem, z nim czy bez niego. Ale bez niego pewnie nie zajechaliby daleko. Wieśniacy z pewnością zatrzymaliby Amerykanów - tak sobie, dla zasady. Rashid byłby idealnym przewodnikiem pomimo wątpliwości Simonsa. Chłopak był obrotny w języku.

Coburn wrócił myślami do domu. Liz była na niego wściekła,

dobrze o tym wiedział. Zawracała głowę Mervowi Staufferowi codziennymi telefonami i pytaniami, gdzie jest jej mąż, co robi i kiedy wraca do domu.

Coburn wiedział, że po powrocie do domu będzie musiał podjąć jakieś decyzje. Nie był pewien, czy chce spędzić resztę życia z Liz. Może po tej całej sprawie ona będzie podobnego zdania. „Kiedyś, dawno temu, pewnie się kochaliśmy - pomyślał. - Co się stało z tą miłością?”

Usłyszał kroki. Niewysoka, kędzierzawa postać kierowała się w jego stronę, kuląc się z zimna.

- Rashid! - syknął Coburn.

- Jay?

- O rany, jak się cieszę, że już jesteś! - Coburn ujął Rashida pod ramię.

- Chodźmy do środka.

Weszli do salonu. Rashid przywitał się ze wszystkimi, uśmiechając się i mrużąc powieki. Często mrugał, szczególnie w chwilach podniecenia, a poza tym dręczył go nerwowy kaszel. Simons posadził go i wyjaśnił mu swój plan. Rashid zaczął mrugać jeszcze szybciej.

Kiedy zrozumiał, czego się odeń oczekuje, nabrał poczucia własnej ważności.

- Pomogę wam pod jednym warunkiem - oświadczył i zakasłał. - Znam ten kraj i znam jego kulturę. Jesteście bardzo ważni w EDS, ale to nie EDS. Jeśli mam was doprowadzić do granicy, musicie raz na zawsze się zgodzić na wszystko, co mówię, bez żadnych sprzeciwów.

Coburn wstrzymał oddech. Nikt nigdy tak nie mówił do Simonsa. Simons jednak uśmiechnął się.

- Jak sobie życzysz, Rashid.

Kilka minut później Coburn zaciągnął Simonsa do kąta i zapytał cicho:

- Pułkowniku, czy poważnie pan twierdzi, że Rashid tu rządzi?

- Oczywiście - odparł Simons. - On tu rządzi tak długo, dopóki robi to, co ja chcę.

Coburn wiedział, lepiej niż Simons, jak trudno było kontrolować

Rashida, nawet kiedy ten powinien wykonywać polecenia. Z drugiej strony, Simons był najlepszym przywódcą niewielkich grup operacyjnych, jakiego Coburn spotkał kiedykolwiek. To był jednak kraj Rashida, a Simons nie znał *farsi*... W żadnym wypadku niepotrzebny był im w tej podróży spór o kierownictwo między Simonsem i Rashidem.

Coburn połączył się z Dallas i rozmawiał z Mervem Staufferem. Paul zakodował opis proponowanej drogi Grupy „Podejrzanych” do granicy i Coburn przekazał Staufferowi zaszyfrowaną wiadomość.

Następnie omawiali sprawę łączności w drodze. Prawdopodobnie nie będzie można zadzwonić do Dallas z wiejskich automatów telefonicznych, toteż postanowili przekazywać wiadomości poprzez Gholam, pracownika EDS w Teheranie. Gholam jednak nie miał prawa wiedzieć, do czego jest wykorzystywany. Coburn miał dzwonić do Gholama raz dziennie. Jeśli wszystko szło dobrze, miał powiedzieć: „Mam wiadomość dla Jima Nyfelera: wszystko idzie dobrze”. Kiedy zespół dotrze do Rezaiyeh, wiadomość będzie brzmiała: „Jesteśmy na postoju”. Z drugiej strony Stauffer miał po prostu dzwonić do Gholama i pytać, czy nie ma jakichś wiadomości. Póki wszystko szło dobrze, Gholam miał nic nie wiedzieć. Gdyby jednak wydarzyło się coś złego, udawanie skończyłoby się - Coburn miał wszystko wyjaśnić Gholamowi, powiedzieć, na czym polega kłopot i poprosić go, aby zatelefonował do Dallas.

Stauffer i Coburn opanował kod na tyle dobrze, że mogli prowadzić zwykłą rozmowę po angielsku, wstawiając tu i ówdzie pewne grupy liter i kodowe słowa - klucze, mając pewność, że nawet gdyby ktoś ich posłuchał, nie pojąłby ani słowa.

Merv wyjaśnił, że Perot opracował plan alarmowy przelotu do północno - zachodniego Iranu z Turcji, aby zabrać ich stamtąd, jeśli zajdzie taka potrzeba. Perot chciał, aby „Range Rover” były łatwe do rozpoznania z powietrza, zaproponował więc, aby na dachach wymalowano im albo wyklejono taśmą izolacyjną wielką literę „X”. Jeśli pojazd miałby zostać porzucony - gdyby się popsuł, gdyby skończyło się paliwo albo był jeszcze jakiś inny powód - literę „X” należało

zmienić na „A”.

Nadeszła jeszcze jedna wiadomość od Perota. Rozmawiał on z admirałem Moorerem, który stwierdził, że sytuacja pogarsza się i że powinni się wycofać z Iranu. Coburn przekazał to Simonsowi. Simons odparł:

- Powiedz admirałowi, że jedyna woda, jaką tu mamy, cieknie z kranu. Wyglądam przez okno i nie widzę żadnych statków.

Coburn zaśmiał się i powiedział do Stauffera: - Zrozumieliśmy wiadomość. Dochodziła piąta rano. Nie było już czasu na rozmowy.

- Trzymaj się, Jay - powiedział Stauffer zduszonym głosem. - Nie wychylaj się za bardzo, słyszysz?

- Na pewno.

- Powodzenia.

- Cześć, Merv. Coburn odłożył słuchawkę.

O świcie Rashid wyjechał jednym z wozów, aby zbadać okolicę. Musiał znaleźć przejazd bez blokad. Jeśli w okolicy będą ciężkie walki, grupa rozważy odłożenie wyjazdu na dwadzieścia cztery godziny.

Jednocześnie Coburn wyjechał drugim „Range Roverem”, aby spotkać się z Gholamem. Przekazał mu pieniądze na najbliższą wypłatę dla personelu „Bukaresztu” i nic mu nie wspomniał o tym, że będzie mu przekazywać wiadomości dla Dallas. Chodziło o zachowanie pozorów normalności, tak aby dopiero po paru dniach pozostali pracownicy irańscy zaczęli podejrzewać, że amerykańskich szefów nie ma już w Teheranie.

Kiedy wrócił do domu Dvoranchików, omawiano właśnie, kto pojedzie którym samochodem. Ustalono, że Rashid oczywiście powinien kierować pierwszym, z Simonsem, Billem i Keane’em Taylorem w roli pasażerów. W drugim wozie mieli pojechać Coburn, Paul i Gayden.

- Coburn - powiedział Simons - nie masz prawa spuścić Paula z oka, dopóki obaj nie znajdziecie się w Dallas. Taylor, to samo dotyczy ciebie i Billa.

Wrócił Rashid i powiedział, że ulice są wyjątkowo spokojne.

- Dobra - stwierdził Simons - teatrzyk rusza w drogę.

Keane Taylor i Bill wyszli napełnić zbiorniki „Range Roverów” z beczki. Paliwo musieli przetoczyć na zasadzie naczyń połączonych: jedyną metodą było zassać je ustami. Taylor nałykał się przy tym tyle benzyny, że po powrocie do domu zaczął wymiotować. I przynajmniej ten jeden raz nikt się z niego nie śmiał.

Coburn miał trochę pigułek na otrzeźwienie, które kupił, według polecenia Simonsa, w teherańskiej aptece. On i Simons byli na nogach dwadzieścia cztery godziny, wzięli więc teraz po pigułce, aby nie zasnąć.

Paul opróżnił kuchnię ze wszystkich nie psujących się produktów spożywczych: herbatników, ciastek w foremkach, puszek z puddingiem i sera. Nie było to zbyt pożywne, ale wystarczało do zapchania żołądków.

- Sprawdź, czy wzięliśmy kasety - szepnął Coburn do Paula. - Niech nam coś gra w samochodzie.

Bill załadował do samochodów koce, latarki i otwieracze do puszek. Byli gotowi. Wyszli na zewnątrz.

- Paul, poprowadź, proszę, drugi samochód - odezwał się Rashid, kiedy wsiadali do samochodów. - Jesteś dość ciemny, aby ujść za Irańczyka, jeśli się nie będziesz odzywał.

Paul popatrzył na Simonsa, który lekko skinął głową. Paul zajął miejsce za kierownicą.

Wyjechali z podwórza na ulicę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### 1.

Gdy Grupa „Podejrzanych” odjeżdżała z podwórza domu Dvoranchików, Ralph Boulware był na lotnisku w Istambule, oczekując na Rossa Perota.

Boulware miał co do Perota dość mieszane uczucia. Kiedy przyszedł do EDS, był technikiem, teraz zaś pracował jako dyrektor. Miał wspaniały duży dom w białej dzielnicy Dallas i dochody, o których niewielu czarnych Amerykanów mogło w ogóle marzyć. Zawdzięczał to wszystko EDS oraz polityce promowania talentów, stosowanej przez Perota. Nie dostał oczywiście tego wszystkiego za darmo, dostał to za tęgą głowę, ciężką pracę i rzutkość w interesach. Tym, co miał za darmo, była możliwość pokazania swojej forsy.

Z drugiej strony Boulware podejrzewał, że Perot chciał zawładnąć swoimi ludźmi bez reszty. Dlatego właśnie byli żołnierze dobrze dawali sobie radę w EDS - nie krępowała ich dyscyplina i byli przyzwyczajeni do dwudziestoczterogodzinnego dnia pracy. Boulware obawiał się, że pewnego dnia będzie musiał zdecydować, czy należy jeszcze do siebie, czy do Perota.

Podziwiał Perota za wyjazd do Iranu. W przypadku człowieka tak bogatego, tak wygodnie urządzonego i strzeżonego, wystawianie tyłka

na pierwszą linię, tak jak to robił, wymagało sporej odwagi. Prawdopodobnie trudno byłoby znaleźć innego przewodniczącego zarządu jakiegokolwiek amerykańskiej korporacji, który nie dość, że ułożył plan ryzykownej akcji, to jeszcze brał w niej udział.

Tu znowu Boulware zastanawiał się - zastanawiał się przez całe życie - czy naprawdę mógłby kiedykolwiek zaufać białemu człowiekowi.

Wydzierżawiony Boeing 707 Perota wylądował o szóstej rano. Boulware wszedł na pokład. Ogarnął bogaty wystrój szybkim spojrzeniem i zaraz o nim zapomniał - spieszyło mu się.

Usiadł obok Perota.

- Mam za pół godziny samolot, więc muszę się streszczać - powiedział. - Nie kupisz tu helikoptera ani awionetki.

- Dlaczego?

- To jest sprzeczne z prawem. Możesz wyczerterować samolot, ale nie zabierze cię on wszędzie tam, gdzie byś zechciał. Czarterujesz na określony kurs.

- Kto tak mówi?

- Prawo. Poza tym, czartery zdarzają się tak rzadko, że od razu miałbyś na karku urzędników zadających pytania, co mogłoby nie być ci na rękę. Teraz...

- Chwileczkę, Ralph, nie tak szybko - przerwał Perot. Błysk w jego oczach mówił „ja tu jestem szefem”. - A gdybyśmy dostali helikopter z innego kraju i sprowadzili go tutaj?

- Jestem tu od miesiąca i przyjrzałem się wszystkiemu dokładnie. Nie możesz wynająć helikoptera, nie możesz wynająć samolotu, a ja muszę teraz wyjechać, aby spotkać Simonsa na granicy.

Perot wyprostował się.

- W porządku. Jak masz zamiar się tam dostać?

- Pan Fish załatwił nam autobus. Jest już w drodze. Jechałem nim, ale musiałem zostać w tyle, żeby spotkać się z tobą. Polecę do Adany - to mniej więcej w połowie drogi - i tam dogonię autobus. Mam ze sobą Ilsmana, faceta z wywiadu, a także drugiego faceta do tłumaczenia.



Kiedy tamci mają dotrzeć do granicy?

- Jutro o drugiej po południu.

- Nie będzie łatwo. Zobaczą się z wami później.

Wrócił biegiem do terminalu, akurat aby zdążyć na samolot. Ilsman, tłusty tajniak, oraz tłumacz - Boulware nie znał jego nazwiska, nazywał go „Charlie Brown” - byli już na pokładzie. Wystartowali o szóstej trzydzieści.

Polecieli na wschód, do Ankary, gdzie czekali kilka godzin na kolejne połączenie. W południe dotarli do Adany, niedaleko biblijnego miasta Tars, w południowo - centralnej Turcji.

Autobusu nie było. Czekali godzinę, w końcu Boulware stracił nadzieję, że przyjedzie. Razem z Ilsmanem i „Charlie Brownem” poszedł do informacji i zapytał o połączenie lotnicze z Adeny do Wan, miasta położonego jakieś sto mil od zbiegu granic.

Nie było w ogóle lotów do Wan.

- Zapytaj, czy możemy wyczarterować jakiś samolot - polecił „Charliemu” Boulware.

„Charlie” zapytał.

- Nie ma tu samolotów do wyczarterowania - brzmiała odpowiedź.

- Czy możemy kupić jakiś samochód?

- Samochody są w tej części kraju rzadkością.

- Nie ma w mieście handlarzy używanych wozów?

- Jeśli nawet są, nie będą nic mieli.

- Czy jest jakikolwiek sposób, by dostać się stąd do Wan? - Nie. Przypominało to dowcip o turyście, który spytawszy chłopca o drogę do Londynu, słyszy w odpowiedzi: „Gdybym jechał do Londynu, nie zaczynałbym stąd”. Wyszli z terminalu i stanęli obok pokrytej kurzem drogi. Nie było nawet chodnika. Prawdziwe zadupie. Boulware czuł się załamany. Jak dotąd szło mu łatwiej niż reszcie ratowniczej grupy, nie był nawet w Teheranie. Teraz, gdy przyszła jego kolej, wyglądało to, jakby miał przegrać. A Boulware nienawidził porażek. Zobaczył zbliżający się samochód z jakimiś tureckimi znakami na boku.

- Hej! - krzyknął. - Czy to taksówka?

- Tak - odparł „Charlie”.

- Do diabła, bierzemy taksówkę!

„Charlie” zatrzymał samochód i wsiedli do środka.

- Powiedz mu, że chcemy jechać do Wan - mruknął Boulware. Kierowca ruszył. Po kilku sekundach zapytał o coś i „Charlie przetłumaczył”.

- Co za Wan?

- Powiedz mu, że Wan w Turcji. Kierowca zatrzymał samochód.

- On pyta, czy wiecie, jak to daleko - powiedział „Charlie”. Boulware nie był pewien, ale pamiętał, że gdzieś w połowie drogi przez Turcję.

- Powiedz mu, że tak.

- Nie zabierze nas - oznajmił „Brown” po kolejnej krótkiej wymianie zdań.

- Czy zna kogoś, kto to zrobi? Kierowca odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Zabierze nas na postój taksówek, tam będziemy mogli popytać.

- Dobra.

Wjechali do miasta. Postój był po prostu jeszcze jednym kawałkiem zakurzonej drogi. Stało tam kilka samochodów, jeden starszy od drugiego.

Ilsmann zaczął rozmawiać z kierowcami. Boulware i „Charlie” znaleźli mały sklepik i kupili torebkę jaj na twardo. Gdy wyszli, Ilsmann już znalazł kierowcę i targował się o cenę. Taksówkarz dumnie wskazał swój samochód, którego widok wprowił Boulware’a w przerażenie. Był to mniej więcej piętnastoletni „Chevrolet”, na oko wciąż jeszcze jeżdżący na oryginalnych oponach.

- Mówi, że będziemy potrzebować jakiegoś jedzenia - rzekł „Charlie”.

- Mam trochę jajek.

- Możemy potrzebować więcej.

Boulware wrócił do sklepu i kupił dziesięć kilogramów pomarańczy. Wsiedli do „Chevroleta” i pojechali na stację benzynową. Kierowca kupił zapasowy kanister, napełnił go benzyną i włożył do

bagażnika.

- Tam, gdzie jedziemy, nie ma stacji benzynowej - wyjaśnił „Charlie”. Boulware oglądał mapę. Droga, którą mieli pokonać, miała około pięciuset mil i prowadziła przez góry.

- Słuchaj - powiedział. - Nie ma szans, żeby ten samochód dowiózł nas do granicy jutro do drugiej po południu.

- Nie rozumie pan - odparł „Charlie”. - Ten człowiek jest tureckim kierowcą.

- Ech, cholera... - machnął ręką Boulware. Wrócił na miejsce i zamknął oczy.

Wyjechali z miasta, kierując się w stronę gór środkowej Turcji zwirową, błotnistą i strasznie wyboistą, a w wielu miejscach niewiele starszą od samochodu drogą. Wiła się nad górskimi stokami, mając po jednej stronie zapierający dech w piersiach, prawie pionowy uskoki. Ani śladu balustrady, która mogłaby uchronić nieuwważnego kierowcę przed upadkiem w przepaść. Ale krajobraz był wspaniały, z fantastycznymi widokami na skąpane w słońcu doliny. Boulware postanowił powrócić tu pewnego dnia, z Mary, Stacy i Kesją, aby jeszcze raz, bez pośpiechu, odbyć tę podróż.

Z góry zbliżała się do nich jakaś ciężarówka. Taksówkarz zahamował i stanął.

Z ciężarówki wysiedli mężczyźni w mundurach.

- Patrol wojskowy - stwierdził „Charlie Brown”.

Kierowca opuścił szybę. Ilsman zagadał do żołnierzy i choć Boulware nic nie rozumiał, wyglądało na to, że patrol był zadowolony.

Taksówkarz ruszył.

Po godzinie zatrzymał ich inny patrol. Sytuacja powtórzyła się.

O zmroku dostrzegli przydrożną restaurację. Zatrzymali się przy niej. Lokal był prymitywny i obrzydliwie brudny.

- Mają tylko ryż i fasolę - powiedział przepaszającym tonem „Charlie”, gdy już usiedli.

Boulware uśmiechnął się.

- Przepadam za ryżem i fasolą.

Przyglądał się taksówkarzowi. Facet miał z sześćdziesiąt lat i wyglądał na zmęczonego.

- Może trochę poprowadzę - zaofiarował się Boulware. „Charlie” przetłumaczył. Taksówkarz zaprotestował gwałtownie.

- On mówi, że nie będzie pan umiał prowadzić tego samochodu. To amerykański wóz z bardzo szczególną zmianą biegów.

- Słuchaj, ja jestem Amerykaninem - odparł Boulware. - Powiedz mu, że wielu Amerykanów jest czarnych. I wiem, do diaska, jak prowadzić „Chevroleta” rocznik 64 ze standardową zmianą biegów.

Trzej Turcy spierali się o to przy jedzeniu.

- Może pan prowadzić - oznajmił w końcu „Charlie” - o ile obieca pan pokryć szkody, gdyby rozwalili pan samochód.

- Obiecuję - mruknął Boulware myśląc przy tym: „świetny interes”. Zapłacił rachunek i wyszli do samochodu. Zaczynało padać. Boulware’owi nie udało się rozwinąć większej prędkości, ale duży samochód był stabilny, a jego mocny silnik bez trudu radził sobie ze wzniesieniami.

Wtedy zostali po raz trzeci zatrzymani przez patrol wojskowy. Boulware pokazał swój amerykański paszport i znowu Ilsman jakoś ich ułagodził. Boulware zauważył, że tym razem żołnierze byli nie ogoleni i nosili dość sfatygowane mundury.

- Niech pan stara się nie zatrzymywać więcej przy patrolach - przetłumaczył „Charlie” uwagę Ilsmana.

- Dlaczego?

- Mogą nas obserwować.

„No, ładnie” - pomyślał Boulware.

Niedaleko miasta Maras, sto mil od Adeny i ponad czterysta od Wan, rozpadał się na dobre deszcz. Błotnista żwirowa droga stała się zdradziecko niebezpieczna i Boulware musiał zwolnić jeszcze bardziej.

Zaraz za Maras samochód stanął. Wszyscy wysiedli i podnieśli maskę. Boulware nie dostrzegł nic podejrzanego.

- On nie ma pojęcia, co się stało - tłumaczył „Charlie”. - Dopiero co własnymi rękami regulował silnik.

- Może nie zrobił tego, jak należy - zauważył Boulware. - Zobaczymy. Kierowca wyjął z bagażnika jakieś narzędzia oraz latarkę. Czterej mężczyźni, stojąc w deszczu wokół silnika, próbowali znaleźć usterkę. W końcu odkryli złe ustawienie zapłonu. Boulware orzekł, że tylko deszcz albo rozrzedzone górskie powietrze, a może oba te czynniki naraz sprawiły, że usterka była tak groźna. Dobrą chwilę zajęło im wyregulowanie zapłonu, zanim w końcu silnik zapalił. Zmarznięci, przemoczeni i zmęczeni wrócili do samochodu. Boulware ruszył. W miarę jak posuwali się na wschód, okolica stawała się bardziej wyludniona. Żadnych miast, domów, zwierząt, nic. Droga pogarszała się coraz bardziej - przypominała Boulware'owi szlak z Dzikiego Zachodu. Wkrótce deszcz przeszedł w śnieg i zrobiło się ślisko. Boulware ciągle rzucał wzrokiem na pionowy uskoki z boku.

„Jeśli z tego zlecisz, frajerze - pomyślał - nie poranisz się, ale po prostu zginiesz”.

Niedaleko Bingol, w połowie drogi do celu podróży, wspięli się powyżej poziomu śnieżycy. Przy czystym niebie i świecącym księżycu było jasno, prawie jak w dzień. Boulware widział śnieżne chmury oraz błyskawice w położonych niżej dolinach. Stoki były zmarznięte - białe, a droga przypominała tor bobslejowy.

„Jezu, zdechnę tutaj - pomyślał Boulware. - I nikt nawet się nie dowie, bo nie mają pojęcia, gdzie jestem”.

Nagle kierownica gwałtownie szarpnęła mu w rękach i samochód zwolnił. Boulware na moment struchlał, myśląc, że traci kontrolę. Dopiero po chwili zrozumiał, że złapał gumę. Łagodnie zatrzymał samochód.

Wszyscy wysiedli, kierowca otworzył bagażnik i wytaskał dodatkowy kanister, aby dostać się do zapasowego koła. Boulware drżał z zimna - musiało być sporo poniżej zera. Taksówkarz odmówił przyjęcia wszelkiej pomocy i uparł się, że sam zmieni koło. Boulware zaoferował mu swoje rękawiczki, ale kierowca przecząco pokręcił głową.

No cóż. Duma - pomyślał Ralph. Zanim skończyli, była czwarta

rano.

- Zapytaj go, czy chce prowadzić - rzucił Boulware. - Ja już padam na nos.

Taksówkarz zgodził się.

Boulware usiadł z tyłu. Gdy samochód ruszył, zamknął oczy i próbował nie zwracać uwagi na wstrząsy i drgania. Zastanawiał się, czy dotrą do granicy na czas.

„Cholera - pomyślał. - Nikt nie może powiedzieć, że nie próbowaliśmy”. Kilka sekund później spał.

## 2.

Grupa „Podejrzanych” wyleciała z Teheranu jak burza. Miasto wyglądało jak opuszczone pobojuwisko. Poprzewracane pomniki, popalone samochody i zwalone do wznoszenia barykad drzewa - potem barykady uprzątnięto, samochody przepchnięto do krawężników, a drzewa spalono. Niektóre z tych drzew od pięćdziesięciu lat podlewano ręcznie.

Ale walki ustały. Widać było bardzo niewielu ludzi i jeszcze mniej samochodów. Może rewolucja już się skończyła, a może powstańcy zrobili sobie tylko przerwę na herbatę.

Przejechali obok lotniska i wjechali na autostradę prowadzącą na północ, jadąc drogą, którą przybyli Coburn z Simonsem podczas zwiadu. Niektóre z planów Simonsa spełzły na niczym, ale nie ten. Mimo to Coburn był zaniepokojony. Co ich czekało? Czy wojska ciągle szaleją, pacyfikując miasta i wsie? A może jest już po rewolucji i wieśniacy wrócili do swoich owiec i pól?

Wkrótce dwa „Range Rovery” pręły u stóp górskiego łańcucha z prędkością 70 mil na godzinę. Po lewej stronie mieli płaską równinę, po prawej - strome, zielone wzgórza, nad którymi, na tle błękitnego nieba, górowały ośnieżone szczyty.

Coburn rzucił okiem na samochód przed nimi i zobaczył Taylora, robiącego przez tylną szybę zdjęcia swoim „Instamatikiem”.

- Patrzcie na Taylora - powiedział.

- On myśli, że co to jest? - zirytował się. - Wycieczka krajoznawcza? Coburn zaczynał być optymistą. Jak dotąd nie było problemów, może cały kraj już się uspokajał. Zresztą, dlaczego Irańczycy mieliby im przeszkadzać? Czy ktoś mógłby się przyczepić do cudzoziemców opuszczających kraj?

W rzeczy samej mógłby. Przynajmniej do Paula i Billa, którzy mieli fałszywe paszporty i byli ścigani przez władze.

Trzydzieści mil od Teheranu, zaraz za miastem Karaj, natknęli się na pierwszą blokadę drogową. Jak zwykle, była obstawiona przez mężczyzn z automatami i chłopców w obdartych ubraniach.

Pierwszy samochód stanął. Rashid wyskoczył, zanim jeszcze Paul zatrzymał swój wóz, dając do zrozumienia, że raczej on, a nie Amerykanie, będzie rozmawiał.

Od razu zaczął mówić głośnym i szybkim *farsi*, pomagając sobie gestami. Paul opuścił szybę. Z tego, co mogli zrozumieć, wyglądało, że Rashid nie opowiada ustalonej przedtem historyjki, ale fantazjuje coś o jakichś dziennikarzach.

Po kilku chwilach polecił im wysiąść z samochodów.

- Chcą sprawdzić, czy nie mamy broni - wyjaśnił.

Coburn, pamiętając, ile razy był rewidowany w czasie jazdy zwiadowczej, ukrył swój mały nóż w „Range Roverze”.

Irańczycy kazali im położyć się na ziemi, po czym pobieżnie przeszukali samochody. Nie znaleźli ani noża Coburna, ani pieniędzy.

- Możemy jechać - rzucił Rashid po kilku minutach.

Jakieś sto jardów w dół drogi była stacja benzynowa. Zajechali tam, bo Simons chciał, aby baki były jak najpełniejsze. Podczas tankowania Taylor wyjął butelkę koniaku i wszyscy wypili po łyku, oprócz Simonsa, który uważał, że nie powinni tego robić, i Rashida, któremu jego wiara zabraniała spożywania alkoholu. Simons był wściekły na Rashida. Zamiast powiedzieć, że są grupą biznesmenów próbujących wrócić do

domu, przedstawił ich jako dziennikarzy, jadących zrobić reportaż o walkach w Tebrizie.

- Trzymaj się tej pieprzonej historyjki - warknął Simons. - Jasne – odparł Rashid.

Coburn sądził jednak, że Rashid prawdopodobnie dalej będzie opowiadał, co mu w danej chwili przyjdzie do głowy. Taki już był jego sposób postępowania.

Na stacji zebrał się mały tłumek, przyglądający się cudzoziemcom. Coburn nerwowo patrzył na tych przypadkowych widzów. Nie okazywali wyraźnej wrogości, ale w ich niemym nadzorze czaiła się jakaś nieuchwytna groza.

Rashid kupił puszkę oleju. Następnie wyjął z tyłu samochodu kanister, w którym w obciążonych plastikowych torebkach trzymali większość pieniędzy, i wlał do niego olej.

„Nieźły pomysł - pomyślał Coburn. - Ale najpierw wspomniałbym o tym Simonsowi”. Starał się odczytać wyraz twarzy ludzi z tłumu. Czy byli po prostu ciekawi? Może zawzięci, podejrzliwi albo niechętni? Nie umiałby powiedzieć, ale chciał już opuścić to miejsce.

Rashid zapłacił rachunek i oba samochody wolno wyjechały ze stacji. Przez następne siedemdziesiąt mil mieli spokojną jazdę. Droga, nowa irańska autostrada państwowa, była w dobrym stanie. Prowadziła przez dolinę, wzdłuż pojedynczego toru kolejowego, u stóp pokrytych śniegiem gór. Świeciło słońce.

Na drugą blokadę trafili za Qazvinem. Tym razem wartownicy nie nosili mundurów, ale blokada była większa i bardziej zorganizowana od poprzedniej. Spostrzegli dwa punkty kontrolne, jeden za drugim, oraz rząd czekających samochodów. „Range Rover” dołączyły do kolejki. W czasie dokładnego przeszukiwania samochodu przed nimi strażnik otworzył bagażnik i wyjął coś, co przypominało zwinięte prześcieradło. Rozwinął je i znalazł karabin. Krzyknął coś i pomachał karabinem w powietrzu. Pobiegli inni strażnicy, zebrał się tłum. Przepytywano kierowcę, jeden ze strażników powalił go na ziemię.

Rashid wyprowadził swój samochód z kolejki. Coburn nakazał



Paulowi jechać za nim.

- Co on wyrabia? - dopytywał się Gayden.

Rashid cał po cał przeciskał się przez tłum. Ludzie ustępowali z drogi, w miarę jak „Rover” ich potraçał. Całe ich zainteresowanie skupiło się na człowieku z karabinem.

Paul posuwał się tuż za nim. Minęli pierwszy punkt kontrolny.

- Co on robi, do cholery? - powtarzał Gayden.

- To się nazywa szukanie guza - odparł Coburn.

Zbliżyli się do drugiego punktu kontrolnego. Bez zatrzymywania się Rashid krzyknął przez okno do warty. Strażnik rzucił coś w odpowiedzi i Rashid przyspieszył, wciąż mając za sobą Paula.

Coburn odetchnął z ulgą. To był właśnie cały Rashid - robił coś niespodziewanego, pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami i jakoś zawsze mu się udawało. Przydawało to nieco emocji życiu ludzi, którzy z nim przebywali.

Na postoju Rashid wyjaśnił, że po prostu powiedział wartownikom, iż oba „Range Rovery” zostały sprawdzone na pierwszym punkcie kontrolnym.

Przy kolejnej blokadzie namówił strażników do napisania fluorescencyjnym pisakiem przepustki na przedniej szybie samochodu i przy trzech następnych, bez przeszukiwania, kiwano im, aby jechali dalej.

Gdy pierwszy samochód prowadził Keane Taylor, na długim i krętym podejździe wzgórza zobaczyli dwie duże ciężarówki. Jedna przy drugiej, zajmując całą szerokość drogi, zjeżdżały szybko na ich stronę. Taylor skrecił gwałtownie hamując w rowie. Paul poszedł w jego ślady. Ciężarówki przejechały, ciągle bok przy boku, a wszyscy klęli nieudolność Taylora.

W południe zrobili przerwę. Stanęli na poboczu, niedaleko wyciągu narciarskiego i zjedli lunch złożony z suchych krakersów oraz herbatników. Chociaż zbocza gór pokryte były śniegiem, świeciło słońce i nie czuli zimna. Taylor wyciągnął swój koniak, ale alkohol wyciekł - butelka była pusta. Coburn podejrzewał, że to Simons ukradkiem

obluzował korek. Napili się wody.

Jadąc dalej przemierzali małe, czyste miasteczko Zanjan, gdzie w czasie jazdy zwiadowczej Coburn i Simons rozmawiali z miejscowym szefem policji. Zaraz za Zanjanem irańska autostrada państwowa skończyła się - zresztą dość gwałtownie. Jadący w drugim samochodzie Coburn zobaczył, jak „Rover” Rashida nagle znika. Paul zahamował gwałtownie i wyszli zobaczyć, co się stało. W miejscu, gdzie kończył się asfalt, Rashid zjechał w dół po stromej, długiej na około osiem stóp pochyłości i zarył nosem w błocie. Z boku, po prawej stronie, odchodziło przedłużenie autostrady, w postaci nie brukowanej górskiej drogi. Rashid ponownie zapalił zablokowany silnik, włączył napęd na cztery koła i wsteczny bieg. Powoli, cał po cał, wycofał się na nasyp i dalej, na drogę. „Range Rover” cały był w błocie. Rashid włączył wycieraczki i zmył przednią szybę. Razem z błotem zniknęła jednak z niej napisana fluorescencyjnym, pisakiem przepustka. Rashid mógłby ją napisać na nowo, ale nikt nie miał odpowiedniego pisaka.

Pojechali na zachód, zmierzając w kierunku południowego brzegu jeziora Rezaiyeh. „Range Rovers” były przystosowane do prymitywnych dróg i ciągle mogły jechać z prędkością 40 mil na godzinę. Droga wiodła cały czas pod górę. Temperatura spadła na dobre i okolicę pokrywał śnieg, ale droga była czysta. Coburn zastanawiał się, czy uda im się dojechać do granicy już wieczorem, zamiast, jak było zaplanowane, następnego dnia.

Siedzący na tylnym siedzeniu Gayden pochylił się do przodu i powiedział:

- Nikt nie uwierzy, że to było takie łatwe. Lepiej wymyślmy jakąś mrozącą krew w żyłach historię do opowiadania w domu. Powiedział to w złą godzinę.

Dzień chylił już ku zachodowi, gdy zbliżyli się do Mehabadu. Jego peryferie zaznaczało kilka lepianek z drzewa i cegły, porozrzucanych tu i ówdzie po obu stronach krętej drogi. „Range Rovers” minęły zakręt i gwałtownie zahamowały - drogę zablokowała stojąca ciężarówka i dość duża, ale najwyraźniej zdyscyplinowana grupa ludzi. Mężczyźni mieli

na sobie tradycyjne, workowate spodnie, czarne kamizelki, nakrycia głowy w czerwono - białą kratę oraz szarfy szczepu Kurdów.

Rashid wyskoczył z samochodu i przystąpił do dzieła. Coburn przyjrzał się broni rebeliantów: zauważył, że mieli automaty, zarówno radzieckie, jak i amerykańskie.

- Wyjdźcie z samochodów - polecił Rashid.

Jak dotąd obchodzono się z nimi rutynowo, przeszukując jednego po drugim. Tym razem badanie okazało się nieco bardziej szczegółowe. Znaleziono nóż sprężynowy Keane'a Taylora, ale pozwolono mu go zatrzymać. Nie odkryto natomiast noża Coburna ani pieniędzy.

Coburn czekał, aż Rashid powie: „Możemy jechać”. Trwało to dłużej niż zwykle.

- Musimy pojechać i spotkać się z miejscowym wodzem - oznajmił Rashid po kilkuminutowej dyskusji z Kurdami.

Wrócili do samochodów. Do każdego z nich wsiadł też jeden uzbrojony w karabin Kurd. Poprowadzili ich do miasteczka.

Kazano im się zatrzymać przed małym, pobielonym budynkiem. Jeden ze strażników wszedł do środka. Po minucie wyszedł i bez słowa wyjaśnienia ponownie usiadł w samochodzie.

Budynek, przy którym po chwili przystanęli, najwyraźniej wyglądał na szpital. Zabrali stamtąd jeszcze jednego pasażera, młodego Irańczyka w garniturze.

„Co się, u diabła, dzieje?” - zastanawiał się Coburn.

W końcu zjechali w dół jakąś aleją i zaparkowali przed czymś, co wyglądało na mały, prywatny dom. Weszli do środka. Rashid nakazał im zdjąć obuwie. Gayden miał w butach kilka tysięcy dolarów w studolarowych banknotach.

Wściekle upychał pieniądze w czubkach butów.

Wskazano im drogę do dużego pokoju, którego jedyne wyposażenie stanowił piękny perski dywan. Simons cicho powiedział każdemu, gdzie ma usiąść. Zostawiając w kole trochę wolnej przestrzeni dla Irańczyków, posadził Rashida na prawo od niej. Obok usiadł Taylor, potem Coburn, w końcu sam Simons, naprzeciw wolnego miejsca. Z

jego prawej strony, nieco z tyłu, aby jak najmniej rzucać się w oczy, siedli Paul i Bill. Po prawej stronie tego ostatniego znalazł się Gayden, dopełniając kręgu.

Siadając Taylor zauważył, że ma w skarpetce na palcach dużą dziurę, przez którą wystają banknoty. Zaklął pod nosem i w pośpiechu przepchnął pieniądze pod piętę.

Za nimi wszedł młody człowiek w garniturze. Wyglądał na wykształconego i mówił dobrą angielszczyzną.

- Zaraz spotkacie człowieka, który właśnie uciekł z więzienia. Spędził tam dwadzieścia pięć lat - odezwał się.

„Patrzcie, a to heca, ja sam dopiero co uciekłem z paki!” - chciał powiedzieć Bill, ale w porę ugryzł się w język.

- Macie być sądzeni i ten człowiek będzie waszym sędzią - mówił dalej młody Irańczyk.

Słowo „sądzeni” uderzyło Paula jak grom. „Przebyliśmy całą tę drogę na darmo” - pomyślał.

### 3.

Grupa „Czystych” spędziła środę w domu Lou Goelza w Teheranie.

Wcześniej rano zadzwonił z Dallas Tom Walter. Połączenie było nie najlepsze, rozmowa utrudniona, ale Joe Pochemu udało się powiedzieć Walterowi, że on i jego grupa są bezpieczni. Przeniosą się do ambasady jak najszybciej i opuszczą kraj, gdy tylko ambasada zorganizuje loty ewakuacyjne. Poche poinformował też swego rozmówcę, że stan Cathy Gallagher nie poprawił się i poprzedniego wieczoru zabrano ją do szpitala.

John Howell zawołał Abolhasana, który miał jeszcze wiadomość od Dadgara. Dadgar wyraził zainteresowanie rozmowami w sprawie zmniejszenia kaucji. Gdyby EDS ustaliło miejsce pobytu Paula i Billa, spółka powinna zostawić ich własnemu losowi i wysłać niższą kaucję.

Amerykanie muszą zdawać sobie sprawę, że próby opuszczenia Iranu legalnie byłyby dla tych dwóch beznadziejne, a wszelkie inne - bardzo niebezpieczne.

Howell zrozumiał to tak, że Paul i Bill nie będą mogli dostać się na lot ewakuacyjny. Zastanawiał się też, czy Grupa „Czystych” może być w większym niebezpieczeństwie niż Grupa „Podejrzanych”. To samo nurtowało Boba Younga. Właśnie gdy o tym rozmawiali, usłyszeli strzały, które wydawały się dochodzić od strony ambasady amerykańskiej.

\* \* \*

„Narodowy Głos Iranu”, stacja radiowa nadająca z Baku w Związku Radzieckim, od wielu już dni rozpowszechniała „wiadomości” o tajnych amerykańskich planach kontrrewolucji. W środę „Narodowy Głos” podał, że akta SAVAK, znienawidzonej tajnej policji szacha, przeniesiono do ambasady Stanów Zjednoczonych. Historia była zapewne zmyślona, ale nosiła wszelkie znamiona prawdopodobieństwa. SAVAK została stworzona przez CIA i pozostawała z nią w bliskim kontakcie, poza tym wszyscy wiedzieli, że ambasady USA - tak jak wszystkie zresztą ambasady - roiły się od szpiegów, którzy niezbyt przekonująco udawali dyplomatów. W każdym razie część rebeliantów w Teheranie uwierzyła w tę wiadomość i bez konsultacji z którymkolwiek z doradców ajatollaha Chomeiniego zdecydowała się na podjęcie akcji. Rankiem weszli do wysokich budynków otaczających ogrodzony teren ambasady, uzbrojeni w broń maszynową, i zajęli pozycje.

O wpół do jedenastej otworzyli ogień.

Ambasador William Sullivan znajdował się w sekretariacie, rozmawiając przez znajdujący się tam telefon z wiceministrem spraw zagranicznych Chomeiniego. Prezydent Carter zdecydował się uznać nowy, rewolucyjny rząd Iranu i Sullivan ustalał sprawę wręczenia oficjalnej noty dyplomatycznej. Gdy odłożył słuchawkę, odwrócił się i zobaczył swojego attache prasowego, Barry Rosena, w towarzystwie dwóch amerykańskich dziennikarzy. Sullivan wściekł się, bo Biały Dom wyraźnie żądał, aby decyzja o uznaniu nowego rządu została opublikowana w Waszyngtonie, a nie w Teheranie. Ambasador wezwał Rosena do gabinetu i zwymyślał go.

Rosen powiedział mu, że dwaj dziennikarze są tu po to, by wynegocjować wydanie ciała Joe Alexa Morrisa, korespondenta „Los Angeles Times”, który zginął od kuli w czasie walk o Doshen Toppeh. Sullivanowi zrobiło się głupio. Polecił Rosenowi, aby poprosił obu dziennikarzy o nieujawnianie tego, czego się dowiedzieli z przypadkowo podsłuchanej rozmowy telefonicznej ambasadora.

Rosen wyszedł. Zadzwonił telefon. Sullivan podniósł słuchawkę. Rozległ się nagły, straszliwy huk broni palnej i grad pocisków roztrzaskał okna gabinetu. Sullivan rzucił się na podłogę. Przeczochał się przez pokój do następnego biura, gdzie spotkał się nos w nos z Charliem Naasem, swoim zastępcą, który w momencie rozpoczęcia strzelaniny prowadził spotkanie w sprawie lotów ewakuacyjnych. Sullivan miał do dyspozycji dwa numery telefonów, których mógł użyć w razie niebezpieczeństwa, aby skontaktować się z przywódcami rewolucji. Poleciał teraz Naasowi zadzwonić pod jeden, a attache wojskowemu pod drugi. Ciągłe leżąc na podłodze, dwaj mężczyźni ściągnęli telefony z biurka.

Sullivan wyjął krótkofalówkę i zażądał relacji z terenu ambasady od jednostek marines.

Atak broni maszynowej stanowił osłonę dla oddziału około

siedemdziesięciu pięciu rebeliantów, którzy przeszli przez front muru otaczającego teren ambasady i nacierali teraz na rezydencję Sullivana. Na szczęście większość personelu znajdowała się razem z nim w budynku biurowym. Ambasador rozkazał marines wycofać się, nie używać karabinów i strzelać z rewolwerów tylko w samoobronie. Potem wyczołgał się z apartamentów na korytarz.

Przez następną godzinę atakujący zdobyli rezydencję i budynek mieszczący bar samoobsługowy. Sullivan zebrał wszystkich cywilów w pomieszczeniu sekcji telekomunikacyjnej na piętrze. Gdy usłyszał, jak atakujący rozwalają stalowe drzwi budynku, rozkazał, aby będący wewnątrz marines dołączyli do cywilów. Tam nakazał im złożyć broń na stos w kącie, a wszystkim poddać się jak najszybciej. W końcu sam dołączył do zebranych w pomieszczeniu sekcji, zostawiając na zewnątrz tylko attache wojskowego z tłumaczem. Gdy napastnicy dotarli do pierwszego piętra, Sullivan otworzył drzwi i wyszedł z podniesionymi rękoma. Inni - około stu osób - wyszli za nim. Wszyscy zostali stłoczeni w poczekalni apartamentów i zrewidowani. Doszło do jakiejś ostrej wymiany zdań między dwoma odłamami Irańczyków i Sullivan domyślił się, że ludzie ajatollaha wysłali odsiecz - przypuszczalnie w odpowiedzi na telefony Charliego Naasa i attache wojskowego - i oswobodziciele dotarli na pierwsze piętro równocześnie z atakującymi.

Nagle za oknem padł strzał. Wszyscy Amerykanie rzucili się na podłogę. Jeden z Irańczyków myślał chyba, że strzał pochodzi z wewnątrz i wściekle skierował swego AK - 47 w płataninę ciał na podłodze.

- To było na zewnątrz! To było na zewnątrz! - wrzasnął w *farsi* Rosen.

W tym momencie Sullivan zorientował się, że leży obok dwóch dziennikarzy, których przedtem widział w swoim sekretariacie.

- Mam nadzieję, że dokładnie to wszystko notujecie - powiedział. W końcu zostali wyprowadzeni na podwórze, gdzie Ibrahim Jazdi, nowy wicepremier ajatollaha, przeproszał Sullivana za ten atak. Jazdi dał mu też, jako osobistą eskortę, grupę studentów, która miała być odtąd

odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo. Przywódca grupy wyjaśnił Sullivanowi, że są dobrze przygotowani do tego, aby go chronić. Doskonale znali rozkład zajęć ambasadora i jego samego, ponieważ do niedawna mieli za zadanie zamordować go.

\* \* \*

Późnym południem zadzwoniła ze szpitala Cathy Gallagher. Dostała jakieś środki, które przynajmniej chwilowo pomogły i chciała wrócić do męża i innych w domu Lou Goelza. Joe Poche nie chciał, aby ktoś jeszcze z grupy wychodził, zależało mu też na tym, aby Irańczycy nie znali ich kryjówek. Zadzwoił więc do Gholama i poprosił go o zabranie Cathy ze szpitala oraz podrzucenie na róg ulicy, gdzie wyjdzie po nią mąż.

Przyjechała wieczorem, o jakiejś wpół do ósmej. Czuła się lepiej, ale Gholam, podwożąc ją, przekazał straszną wiadomość.

- Ostrzelali wczoraj nasze pokoje hotelowe - opowiadała Cathy. - Gholam poszedł do Hyatta zapłacić rachunek EDS i zabrać bagaże, które zostawili. Pokoje były zdemolowane, bagaże pocięte na strzępy, a wszędzie widniały dziury po kulach.

- Tylko nasze pokoje? - zapytał Howell.

- Tak.

- Czy dowiedział się, jak to się stało?

- Gdy Gholam poszedł zapłacić rachunek, dyrektor hotelu zapytał: „Kim, do diabła, byli ci ludzie? CIA?”

Najwyraźniej w poniedziałek rano, wkrótce po tym, jak ludzie EDS opuścili hotel, zajęli go rebelianci. Sterroryzowali wszystkich Amerykanów, żądając ich paszportów i pokazywali zdjęcia dwóch mężczyzn, których szukali. Ani dyrektor jednak, ani nikt inny nie rozpoznał osób na zdjęciach.

Howell zastanawiał się, co rebeliantów tak rozwścieczyło, że aż zniszczyli pokoje. Być może dobrze zaopatrzony bar Gaydena obraził



ich muzułmańskie uczucia. W walizce Gaydena był też dyktafon, kilka mikrofonów z przyssawkami do podsłuchiwania rozmów telefonicznych oraz dziecięcy zestaw krótkofalówek. Rebelianci mogli uznać to za wyposażenie agentów CIA.

Przez cały dzień, za pośrednictwem służącego Goelza, który wydzwaniał po znajomych, dochodziły do Howella i Grupy „Czystych” niejasne, alarmujące doniesienia na temat tego, co działo się w ambasadzie. Sam Goelz powrócił, gdy inni jedli obiad. Po paru głębszych nie widać było, aby wiele ucierpiał na tym, że spędził sporo czasu leżąc w korytarzu na swym opasłym brzuchu. Nazajutrz wrócił do biura, a wieczorem przyszedł do domu z dobrą nowiną - loty ewakuacyjne zaczną się w sobotę, a Grupa „Czystych” poleci pierwszym z nich.

„Dadgar może to sobie inaczej wyobrażać” - pomyślał Howell.

#### 4.

Ross Perot w Istambule miał przerażające uczucie, że cała operacja wymyka się spod kontroli.

Dowiedział się, via Dallas, o ataku na ambasadę USA w Teheranie. Wiedział też - bo Tom Walter rozmawiał wcześniej z Joe Pochem - że Grupa „Czystych” planowała przejść jak najszybciej na teren ambasady. Ale po napadzie prawie wszystkie linie telefoniczne z Teheranem rozłączono, a jedyne czynne zostały zmonopolizowane przez Biały Dom. W związku z tym Perot nie wiedział, czy podczas ataku jego ludzie byli w ambasadzie ani też, jakie niebezpieczeństwo mogłoby im grozić, gdyby ciągle pozostawali w domu Goelza.

Niemożliwość kontaktu telefonicznego oznaczała też, że Merv Stauffer nie mógł zadzwonić do Gholama, aby dowiedzieć się, czy Grupa „Podejrzanych” zostawiła „wiadomość dla Jima Nyfelera”: czy są bezpieczni, czy też mają kłopoty. Cała załoga szóstego piętra w

Dallas używała wszelkich wpływów, aby móc otrzymać połączenie przez jedną z działających linii i porozmawiać z Gholamem. Tom Walter dotarł nawet do Zarządu Poczty i rozmawiał z Rayem Johnsonem, który zajmował się rachunkami telefonicznymi EDS. Były to bardzo duże rachunki - komputery EDS w różnych częściach Stanów Zjednoczonych porozumiewały się ze sobą używając linii telefonicznych - i Johnson aż rwał się do tego, aby pomóc takiemu klientowi. Zapytał, czy telefon EDS do Teheranu to sprawa życia i śmierci. „Jak najbardziej”, brzmiała odpowiedź Waltera. Johnson usiłował uzyskać dla nich połączenie. W tym samym czasie T. J. Marquez podrywał panienkę z centrali międzynarodowej, usiłując nakłonić ją do złamania przepisów.

Perot stracił też kontakt z Ralphem Boulware'em, który miał spotkać Grupę „Podejrzanych” po tureckiej stronie granicy. Ostatnie wieści od Boulware'a pochodziły z Adany, pięćset mil od tego miejsca. Perot przypuszczał, że znajdował się on teraz w drodze, ale nie sposób było stwierdzić, jak daleko dotarł ani czy przybędzie na czas.

Większość dnia strawił na próbach zdobycia lekkiego samolotu lub śmigłowca, którym mógłby polecieć do Iranu. Nie mógł skorzystać z Boeinga 707, bo musiał lecieć nisko, szukając „Range Roverów” z wymalowanymi na dachach literami X lub A, a następnie lądować na małych, nie używanych lotniskach lub nawet drodze czy łące. Ale jak dotąd jego wysiłki potwierdzały tylko to, co Boulware powiedział mu tego ranka o szóstej - nie było szans.

Zdesperowany Perot zadzwonił do przyjaciela z Agencji Zwalczenia Narkotyków i poprosił o numer telefonu jej człowieka w Turcji, myśląc, że ludzie z branży narkotykowej z pewnością będą wiedzieć, jak zdobyć lekki samolot. Człowiek z AZN, w towarzystwie innego - który, jak wywnioskował Perot, pracował dla CIA - przyszedł do hotelu Sheraton. Ale nawet jeśli wiedzieli, gdzie zdobyć samolot, żaden z nich tego nie powiedział.

Merv Stauffer wydzwaniał z Dallas po całej Europie w poszukiwaniu odpowiedniego samolotu, który można by natychmiast kupić lub wynająć i polecieć nim do Turcji. Jak na razie, jemu również

się nie powiodło.

Późnym popołudniem Perot powiedział do Pata Sculleya:

- Chcę rozmawiać z najwyższym postawionym Amerykaninem w Istambule. Sculley poszedł i zrobił małe piekło w konsulacie amerykańskim, w wyniku czego o wpół do jedenastej wieczorem w swoich apartamentach w Sheratonie przyjmował konsula.

Był z nim szczery.

- Moi ludzie nie są żadnymi kryminalistami - oświadczył. - To zwykli biznesmeni, których żony i dzieci zamartwiają się teraz na śmierć. Irańczycy trzymali ich przez sześć tygodni w więzieniu, nie wysuwając żadnych zarzutów ani nie przedstawiając jakichkolwiek dowodów przeciwko nim. Teraz są wolni i usiłują wydostać się z kraju. Gdyby ich złapano, może się pan sam domyślić, że nie mieliby żadnych szans na sprawiedliwe potraktowanie. W sytuacji, jaka w tej chwili jest w Iranie, moi ludzie mogą nie dotrzeć do samej granicy. Chcę tam pojechać i znaleźć ich. Dlatego potrzebuję pańskiej pomocy. Muszę pożyczyć, wynająć lub kupić mały samolot. Czy może mi pan pomóc?

- Nie - odparł konsul. - W tym kraju posiadanie prywatnych samolotów jest sprzeczne z prawem. Z tego powodu nie ma tu w ogóle samolotów, nawet dla kogoś, kto chciałby złamać prawo.

- Ale wy musicie mieć jakiś samolot.

- Departament Stanu nie ma samolotów.

Perot był zrozpaczony. Czy miał siedzieć z założonymi rękami i nie robić nic, aby pomóc Grupie „Podejrzanych”?

- Panie Perot - odezwał się po chwili konsul. - Jesteśmy tutaj, aby pomóc obywatelom amerykańskim i spróbuję zdobyć dla pana samolot. Użyję wszelkich możliwych wpływów, ale od razu panu mówię, że szansę powodzenia są bliskie zera.

- No cóż, doceniam to. Konsul podniósł się do wyjścia.

- Jest bardzo ważne, aby moja obecność w Turcji została utrzymana w tajemnicy - powiedział Perot. - Obecnie władze irańskie nie mają pojęcia, gdzie są moi ludzie. Gdyby dowiedziały się, że jestem tutaj, mogłyby domyślić się, w jaki sposób moi ludzie wydostali się stamtąd, a

to byłoby katastrofą. Proszę więc o całkowitą dyskrecję.

- Rozumiem.

Konsul wyszedł. Po kilku minutach zadzwonił telefon. Był to T. J. Marquez z Dallas.

- Perot, jesteś dziś na pierwszych stronach gazet. Perot zamarł - wszystko wyszło na jaw...

- Gubernator właśnie mianował cię przewodniczącym Komisji do Spraw Narkotyków - wyjaśnił Marquez. Perot odetchnął z ulgą.

- Przestraszyłeś mnie, Marquez. Marquez zaśmiał się.

- Nie powinieneś tego robić staremu człowiekowi - powiedział Perot. - Naprawdę mnie zaintrygowałeś, stary.

- Poczekaj chwilę, jest tu Margot - rzucił Marquez. - Chce ci tylko złożyć życzenia z okazji Dnia św. Walentego.

Perot uświadomił sobie, że jest 14 lutego.

- Przekaż jej, że jestem absolutnie bezpieczny i cały czas pilnują mnie dwie blondynki.

- Zaczekaj, powiem jej.

Minutę później Marquez wrócił do telefonu, śmiejąc się.

- Ona mówi: czyż to nie interesujące, że potrzebujesz aż dwóch, aby ją zastąpić?

Perot zaśmiał się po cichu. Tym razem wpadł. Powinien był wiedzieć, że nie ma co próbować docinać Margot.

- A swoją drogą: czy nawiązałeś kontakt z Teheranem? - spytał.

- Tak. Panienka z centrali międzynarodowej połączyła nas, ale z niewłaściwym numerem. Potem łączył nas Johnson i rozmawialiśmy z Gholamem.

- I co?

- Nic. Nie miał od nich wiadomości. Chwilowy optymizm Perota osłabł.

- O co go pytaliście?

- Tylko o to, czy są jakieś wieści, a on zaprzeczył.

- Cholera.

Perot prawie żałował, że Grupa „Podejrzanych” nie zadzwoniła, aby

powiedzieć, że mają kłopoty, bo wtedy wiedzieliby chociaż, gdzie ich szukać.

Pożegnał się z Marquezem i poszedł do łóżka.

Stracił już Grupę „Czystych”, stracił Boulware’a, a teraz jeszcze przepadła Grupa „Podejrzanych”. Nie udało mu się zdobyć samolotu, którym mógłby ich poszukać. Cała operacja wzięła w łeb, a on nie mógł absolutnie nic na to poradzić. Niepewność go zabijała. Zdał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie był jeszcze w takim stresie. Widywał ludzi załamujących się pod naciskiem, ale nigdy nie potrafił pojąć ich cierpienia, bo jemu samemu nigdy się to nie przytrafiło. Zazwyczaj stres nie rozstrajał go - prawdę powiedziawszy, pomagał mu nawet w działaniu. Ale tym razem było inaczej.

Złamał swoją zasadę i pozwolił sobie myśleć o wszystkich złych rzeczach, które mogły się zdarzyć. Stawką w tej grze była jego wolność, bo gdyby ucieczka miała się nie powieść, skończyłby w więzieniu. I tak miał już niemało na sumieniu - zebrał grupę najemników, patrzył przez palce na sprzeczne z prawem używanie amerykańskich paszportów, zaaranżował sfałszowanie legitymacji wojskowych Armii Stanów Zjednoczonych, a także obmyślił i zorganizował nielegalne przekroczenie granicy. Miał nadzieję, że będzie siedział w Stanach, a nie w Turcji. Najgorsze jednak byłoby, gdyby Turcy przekazali go do Iranu, aby tam odpowiedział za swoje „zbrodnie”.

Leżał na swym hotelowym łóżku nie śpiąc, martwiąc się o obie grupy, o Boulware’a i o samego siebie. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko przetrwać to wszystko. W przyszłości będzie okazywał więcej zrozumienia ludziom, których sam poddaje presji. Jeśli będzie w ogóle miał jakąkolwiek przyszłość.

## 5.

Coburn w napięciu patrzył na Simonsa. Wszyscy siedzieli w kole na

perskim dywanie, czekając na „sędziego”. Zanim opuścili Teheran, Simons powiedział Coburnowi, żeby pilnie go obserwował. Jak dotąd Simons zachowywał się biernie, robiąc uniki, pozwalając Rashidowi mówić i godząc się na aresztowanie grupy. Ale mogła nadejść chwila, w której zmieni taktykę. Gdyby zdecydował się rozpocząć walkę, dałby Coburnowi znać ułamek sekundy wcześniej.

Nadszedł sędzia.

Miał około pięćdziesięciu lat i nosił granatową marynarkę, koszulę nie zapiętą pod szyją i jasnobrązowe spodnie. Wyglądał na człowieka wykonującego wolny zawód: lekarza albo prawnika. Za pasem miał zatknietą czterdziestkę piątkę.

Rashid rozpoznał go. Nazywał go Habid Bolourian i był przywódcą komunistycznym.

Usiadł w miejscu, które pozostawił dla niego Simons. Powiedział coś w *farsi* i młodzieniec w garniturze - który teraz przejął rolę tłumacza - poprosił o ich paszporty.

„No tak - pomyślał Coburn. - Teraz się zaczniesz. Bolourian spojrzy na paszport Billa i zobaczy, że nie należy do niego”. Wszystkie paszporty złożono na kupę przed sędzią. Rzucił okiem na leżący na wierzchu. Tłumacz zaczął spisywać szczegóły. Było trochę zamieszania przy nazwiskach i imionach.

Irańczycy często, z niewiadomego powodu, mylą je ze sobą. Rashid podawał paszporty Bolourianowi, a Gayden pochylał się nad nim i odczytywał treść. Coburn zdał sobie sprawę, że ci dwaj wprowadzają celowe zamieszanie.

Rashid kilka razy pokazywał Bourianowi ten sam paszport, a Gayden, odczytując go, zakrywał zdjęcie. Coburn podziwiał ich tupet i zimną krew. W końcu oddano dokumenty i wyglądało na to, że paszport Billa w ogóle nie był otwierany.

Bolourian zaczął wypytywać Rashida w *farsi*. Ten przedstawiał chyba uzgodnioną historyjkę o tym, że są zwykłymi amerykańskimi biznesmenami, próbującymi wrócić do domu, lekko upiękzoną wątkiem umierających z niepokoju rodzin w Stanach.

- Czy zechcielibyście nam dokładnie powiedzieć, co tu robicie? - odezwał się w końcu po angielsku tłumacz.

- No, widzi pan... - zaczął Rashid i w tym momencie stojący za nim strażnik odbezpieczył swój automat i wbił mu lufę w szyję. Rashid zamilkł. Najwyraźniej tłumacz chciał usłyszeć, co Amerykanie mają do powiedzenia i czy ich wersja pokrywa się ze słowami Rashida, a gest strażnika był brutalnym przypomnieniem, że są zdani na łaskę niepohamowanych rebeliantów.

Zabrał głos Gayden, jako najstarszy stanowiskiem pracownik EDS.

- Wszyscy pracujemy w ośrodku przetwarzania danych, zwanym PARS Data System, w krocie PDS - powiedział.

W rzeczywistości PDS było irańską spółką, której współwłaścicielami byli EDS i Abolfatah Mahvi. Gayden nie wspomniał o EDS, bowiem - na co zwrócił uwagę Simons, zanim opuścili Teheran - istniała możliwość, że Dadgar wystawił in blanco nakazy aresztowania wszystkich pracowników ich firmy.

- Mieliśmy kontrakt z Bankiem Orman - mówił dalej Gayden, co było prawdą, ale na pewno niecałą. - Nie dostawaliśmy pieniędzy, ludzie rzucali kamieniami w nasze okna, byliśmy bez grosza, tęskniliśmy za rodzinami i po prostu chcieliśmy wrócić do domu. Lotnisko było zamknięte, więc postanowiliśmy jechać samochodami.

- To się zgadza - stwierdził tłumacz. - To samo przydarzyło się i mnie. Chciałem lecieć do Europy, ale lotnisko było nieczynne.

„Możemy mieć w nim sprzymierzeńca” - pomyślał Coburn. Bolourian rzucił jakieś pytanie i młody człowiek przetłumaczył:

- Czy mieliście kontrakt z ISIRAN - em?

Coburn był zaskoczony. Jak na kogoś, kto spędził 25 lat w więzieniu, Bolourian był nadzwyczaj dobrze poinformowany. ISIRAN - Information Systems Iran - było przedsiębiorstwem przetwarzania danych, należącym kiedyś do Abolfataha Mahviego, a następnie wykupionym przez państwo. Powszechnie sądzono, że ma ono bliskie związki z tajną policją SAVAK. Co gorsza, EDS rzeczywiście miało kontrakt z ISIRAN - em - obie firmy, jeszcze w 1977 roku, opracowały

wspólnie system kontroli dokumentów dla Irańskiej Marynarki Wojennej.

- Nie mamy absolutnie nic wspólnego z ISIRAN - em - skłamał Gayden.

- Czy możecie nam jakoś udowodnić, dla kogo pracujecie?

To był problem. Przed wyjazdem z Teheranu, zgodnie z instrukcją Simonsa, zniszczyli wszystkie papiery związane z EDS. Teraz przeszukiwali własne kieszenie licząc na to, że coś przeoczyli.

Keane Taylor znalazł swoją kartę ubezpieczeniową na wypadek choroby, z wydrukowaną u góry nazwą „Electronic Data Systems Corp. „ Wręczył ją tłumaczowi.

- Electronic Data Systems to firma, której podlega EDS - powiedział. Bolourian wstał i wyszedł z pokoju. Tłumacz, uzbrojeni Kurdowie i ludzie z EDS czekali w milczeniu.

„Co teraz?” - pomyślał Coburn.

Czy było możliwe, żeby Bolourian wiedział, że EDS miało kiedyś kontrakt z ISIRAN - em? A jeśli tak, czy wyciągnąłby z tego wniosek, że ludzie EDS mają powiązania z SAVAK? Czy może jego pytanie o ISIRAN było strzałem w ciemno? A w takim razie, czy uwierzył w to, że są zwykłymi biznesmenami jadącymi do domu?

Siedzący naprzeciwko Coburna, po drugiej stronie koła Bill czuł się dziwnie spokojnie. Najadł się tyle strachu w czasie zadawania pytań, że teraz nie był już po prostu w stanie martwić się czymkolwiek.

„Zrobiliśmy wszystko, żeby się wydostać - pomyślał. - Więc jeśli teraz mają nas postawić pod ścianą i zastrzelić, niech tak będzie”.

Bolourian wrócił, nabijając broń.

Coburn spojrzał na Simonsa. Jego wzrok przykuwał stary karabinek typu M1, który wyglądał, jakby pochodził z czasów II wojny światowej.

„Nie uda mu się nas wszystkich z tego zastrzelić” - pomyślał Coburn. Bolourian wręczył karabin tłumaczowi i powiedział coś w *farsi*.

Coburn zebrał się do skoku. Powstałoby potworne zamieszanie, gdyby otworzyli ogień w tym pokoju...

Tłumacz wziął broń.



- Teraz będziecie naszymi gośćmi i napijecie się herbaty - oznajmił. Bolourian napisał coś na kawałku papieru i podał tłumaczowi. Coburn zrozumiał, że wydał on mu po prostu broń i dał pozwolenie na noszenie jej.

- Chryste, myślałem, że nas pozabija - wymamrotał. Twarz Simonsa nie wyrażała niczego.

Podano herbatę. Na zewnątrz było już ciemno. Rashid zapytał, czy nie znalazłoby się jakieś miejsce na nocleg dla Amerykanów.

- Będziecie naszymi gośćmi - odparł tłumacz. - Ja osobiście będę się wami zajmował.

„Czy do tego potrzebna mu broń?” - pomyślał Coburn. Tłumacz ciągnął dalej:

- Rano nasz mułła napisze parę słów do mułły Rezaiyeh, prosząc go, aby pozwolił wam przyjechać.

- Jak pan myśli? - spytał półgłosem Coburn Simonsa. - Powinniśmy tu zostać na noc, czy jechać dalej?

- Wątpię, czy mamy jakiś wybór - odparł Simons. - Nazywając nas „gośćmi” był po prostu grzeczny.

- Teraz pojedziemy na obiad - oznajmił tłumacz, gdy wypili herbatę. Wstali i włożyli buty. Gdy wychodzili do samochodów, Coburn zauważył, że Gayden utyka.

- Coś ci się stało w nogę? - spytał.

- Nie tak głośno - zasyczał Gayden. - Mam wszystkie pieniądze upchane w czubkach butów i piją mnie stopy. Coburn zaśmiał się.

Wsiedli do samochodów i ruszyli, ciągle w towarzystwie kurdyjskich strażników oraz tłumacza. Gayden ukradkiem poluzował buty i ułożył lepiej pieniądze. Zajechali na stację benzynową.

- Gdyby nie mieli zamiaru nas puścić, raczej nie dawaliby nam zatankować, nie? - mruknął Gayden.

Coburn wzruszył ramionami.

Pojechali do miejscowej restauracji. Gdy ludzie EDS zajęli miejsca za stołami, strażnicy obsiedli ich, odcinając w ten sposób od ludzi z miasta.

Włączony był telewizor i właśnie przemawiał Chomeini.

„Jezu, czy ten facet musiał dojść do władzy akurat teraz, gdy mamy kłopoty?” - pomyślał Paul.

Po chwili tłumacz powiedział im, że ajatollah prosił, aby nie naprzykrzano się Amerykanom i pozwolono im, całym i zdrowym, opuścić Iran. Paul odetchnął z ulgą.

Podano im chella kebab - mięso jagnięcia z ryżem. Strażnicy, położywszy karabiny obok talerzy, jedli z apetytem.

Keane Taylor zjadł trochę ryżu i odłożył łyżkę. Bolała go głowa - prowadził na zmianę z Rashidem i czuł się, jakby przez cały dzień miał słońce w oczy. Był też niespokojny, bo przyszło mu do głowy, że Bolourian może w nocy zadzwonić do Teheranu, aby wybadać sprawę EDS. Strażnicy cały czas gestami namawiali go do jedzenia, ale Keane siedział i popijał tylko Coca - Colę.

Coburn też nie był głodny. Przypomniało mu się, że miał zadzwonić do Gholama. Było już późno - w Dallas musieli się mocno denerwować. Ale co powinien powiedzieć Gholamowi - że wszystko w porządku czy też, że mają kłopoty?

Po posiłku wywiązała się krótka dyskusja co do uiszczenia rachunku. Rashid twierdził, chcą to zrobić strażnicy. Amerykanie za nic nie chcieli nikogo urazić propozycją zapłacenia, skoro mieli być gośćmi, z drugiej jednak strony chętnie zjednaliby sobie tych ludzi. W końcu Keane Taylor zapłacił za wszystkich.

- Bardzo chciałbym zadzwonić do Teheranu, aby przekazać naszym ludziom, że wszystko z nami w porządku - zagadnął tłumacza Coburn, gdy wychodzili.

- OK - odparł młodzieniec.

Pojechali na pocztę. Coburn i tłumacz weszli do środka. Tłum ludzi czekał, żeby skorzystać z trzech czy czterech automatów telefonicznych.

- Wszystkie linie do Teheranu są zajęte. Bardzo trudno uzyskać połączenie - powiedział tłumacz, porozmawiawszy chwilę z kimś z pracowników.

- Czy moglibyśmy wrócić później?

- W porządku.

Wyjechali z pogrążonego w ciemnościach miasta. Po kilku minutach zatrzymali się przed jakąś bramą. W świetle księżyca widać było odległe zarysy czegoś, co mogło być zaporą wodną. Długo trwało, zanim znalazły się klucze od bramy i wjechali do środka. Znaleźli się w małym parku, otaczającym nowoczesny, bogato zdobiony, piętrowy budynek z białego granitu.

- To jeden z pałaców szacha - wyjaśnił tłumacz. - Był w nim tylko raz, podczas otwarcia elektrowni. Dzisiaj my z niego skorzystamy.

Weszli do środka. Było przyjemnie ciepło.

- Ogrzewanie działa od trzech lat, na wypadek, gdyby szach zapragnął wpaść tu na chwilę - oznajmił z oburzeniem w głosie tłumacz.

Poszli na piętro obejrzeć kwaterę. Były tam wspańnięte, królewskie apartamenty z ogromną, fantazyjnie urządzone łazienką, a dalej wzdłuż korytarza mniejsze pokoje, każdy z dwoma pojedynczymi łózkami i łazienką, prawdopodobnie dla straży osobistej szacha. Pod każdym łóżkiem stała para pantofli.

Amerykanie zajęli pokoje straży, a powstańcy kurdyjscy rozgościli się w apartamentach szacha. Jeden z nich postanowił wziąć kąpiel - Amerykanie słyszeli, jak chlapał na wszystkie strony, pogwizdywał i pokrzykiwał z uciechy. Po jakimś czasie wyszedł. Był największy i najbardziej krzepki ze wszystkich i włożył na siebie jeden z wytwornych płaszczy kąpielowych szacha. Przeparadował wzdłuż korytarza, a jego koledzy pokładali się ze śmiechu. Podszedł do Gaydena.

- Skończony dżentelmen - powiedział po angielsku, z silnym akcentem.

Gayden nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Jaki jest plan na jutro? - spytał Coburn Simonsa.

- Chcą odeskortować nas do Rezaiyeh i przekazać tamtejszemu wodzowi - odparł Simons. - Lepiej będzie dla nas pozostać z nimi, na wypadek, gdybyśmy napotkali jeszcze jakieś blokady. A kiedy dojedziemy do Rezaiyeh, może uda nam się namówić ich, aby zabrali nas do domu profesora zamiast do wodza.

- W porządku - zgodził się Coburn. Rashid wyglądał na

zmartwionego.

- To są źli ludzie - wyszeptał. - Nie ufajcie im. Musimy się stąd wydostać. Coburn nie był pewien, czy ufa Kurdom, ale był całkowicie przekonany, że gdyby Amerykanie próbowali teraz wyjechać, narobili by sobie kłopotów. Zauważył, że jeden ze strażników ma karabin typu G3.

- Hej, to naprawdę ładna broń - rzucił. Strażnik chyba zrozumiał i uśmiechnął się.

- Nigdy przedtem takiego nie widziałem - ciągnął Coburn. - Jak się go ładuje?

- Ładować... tak - powiedział strażnik, pokazując.

Usiedli. Strażnik objaśnił mu zasadę działania karabinu. Pomagając sobie gestami, mówił po angielsku wystarczająco, by można go było zrozumieć.

W pewnej chwili Coburn zdał sobie sprawę, że to on trzyma broń. Powoli się odprężył.

Inni chcieli wziąć prysznic, ale Gayden, który wszedł pierwszy, zużył całą ciepłą wodę. Paul mimo to wykąpał się. Przyzwyczaił się ostatnio do zimnych pryszniców.

Tłumacz opowiedział im trochę o sobie. Studiował w Europie i był w domu na wakacjach, gdy złapała go rewolucja i uniemożliwiła powrót na uniwersytet - stąd właśnie wiedział, że lotnisko jest zamknięte.

- Czy możemy jeszcze raz spróbować zadzwonić? - spytał go Coburn o północy.

- Oczywiście - odparł.

Pod eskortą jednego ze strażników wrócili do miasta, na pocztę. Była jeszcze otwarta, ale połączenia z Teheranem nie otrzymali. Coburn czekał do drugiej w nocy, po czym zrezygnował. Gdy wrócili do pałacu przy zaporze, wszyscy byli już pogrążeni w głębokim śnie.

Coburn położył się.

Wciąż żyli, pocieszał się, a to już dużo. Nikt nie wiedział, co ich jeszcze czekało przed granicą. Jutro jednak będzie dosyć czasu, aby się o

to martwić.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### 1.

- Obudź się, Coburn! Dalej, jedziemy!

Chropowaty głos Simonsa wdarł się w sen Coburna. Otworzył oczy, myśląc:

„Gdzie jestem?”

W pałacu szacha w Mahabadzie. Niech to diabli.

Wstał.

Simons szykował całą grupę do drogi, ale nie było nawet śladu strażników. Widocznie wszyscy jeszcze spali. Amerykanie narobili sporo hałasu i w końcu Kurdowie wyłonili się z królewskich apartamentów.

- Powiedz im, że musimy jechać, śpieszy nam się, przyjaciele czekają na nas na granicy - polecił Rashidowi Simons.

Rashid przetłumaczył.

- Musimy poczekać - odezwał się po chwili. Simonsowi nie podobało się to.

- Na co?

- Oni wszyscy chcą się wykąpać.

- Nie widzę potrzeby pośpiechu - odezwał się Keane Taylor. - Większość z nich nie kąpała się co najmniej od roku, chyba jeden dzień

ich nie zbawi.

Simons hamował swoją niecierpliwość przez pół godziny, po czym kazał Rashidowi, aby ten powtórzył strażnikom, że grupa musi się spieszyć.

- Musimy zobaczyć łazienkę szacha - powiedział Rashid.

- Widzieliśmy ją, do cholery - warknął Simons. - Po co ta zwłoka? Wszyscy zebrali się w apartamentach i w sposób pełen szacunku - aby się nie narazić - wychwalali skandaliczny przepych nie używanego pałacu.

W dalszym ciągu jednak strażnicy nie chcieli ruszyć się z miejsca. Coburn zastanawiał się, co się dzieje. Czy zmienili zamiar odwiezienia Amerykanów do następnego miasta? Czy Bolourian zebrał w nocy informacje na temat EDS? W takim razie długo by tu nie posiedzieli...

W końcu zjawił się młody tłumacz. Okazało się, że strażnicy czekali właśnie na niego. Plan nie uległ zmianie: grupa Kurdów miała towarzyszyć Amerykanom w następnym etapie ich podróży.

- Mamy przyjaciół w Rezaiyeh - odezwał się Simons. - Wolelibyśmy być zaprowadzeni do nich, niż do przywódcy miasta.

- To niebezpieczne - odparł tłumacz. - Na północ stąd trwają zacięte walki - Tebriz jest ciągle w rękach zwolenników szacha. Muszę przekazać was ludziom, którzy mogą zapewnić wam ochronę.

- W porządku, ale czy możemy wreszcie wyjechać?

- Jasne. Ruszyli w drogę.

Wjechali do miasta, gdzie kazano im się zatrzymać pod jakimś domem. Tłumacz wszedł do środka, a wszyscy czekali. Ktoś kupił chleb i serek topiony na śniadanie. Coburn wysiadł ze swojego samochodu i podszedł do drugiego.

- Co się tam znowu dzieje? - zapytał.

- To jest dom mułły - wyjaśnił Rashid. - Píše on właśnie list do mułły Rezaiyeh, w naszej sprawie.

Minęła prawie godzina, zanim tłumacz wyszedł z obiecany listem.

Następnie pojechali na posterunek policji, gdzie zobaczyli pojazd mający ich eskortować: duży, biały ambulans, z błyskającym

czerwonym światłem na dachu, wybitymi szybami i nabazgrany na boku czerwonym pisakiem fluorescencyjnym napisem w *farsi*, prawdopodobnie głoszącym: „Komitet Rewolucyjny Mahabadu” albo coś w tym guście. Samochód pełen był uzbrojonych Kurdów.

A mieli podróżować nie rzucając się w oczy...

W końcu wydostali się na szosę. Kolumnę otwierał ambulans.

Simons był niespokojny z powodu Dadgara. W Mahabadzie najwyraźniej nikt nie dostał polecenia szukania Paula i Billa, ale Rezaiyeh było dużo większym miastem. Simons nie wiedział, czy władza Dadgara sięgała na prowincję, wiedział natomiast, że jak dotąd zawsze zdumiewał on wszystkich swoim poświęceniem i zdolnością przetrwania zmian rządu. Simons wolałby, by grupa nie musiała stawać przed władzami w Rezaiyeh.

- Mamy dobrych przyjaciół w Rezaiyeh - odezwał się do młodego tłumacza. - Gdybyście mogli zawieźć nas do ich domu, byłibyśmy tam bezpieczni.

- O nie - odparł tłumacz. - Jeżeli nie wypełnię rozkazów i coś wam się stanie, będą cholerne kłopoty.

Simons zrezygnował. Było jasne, że są w równym stopniu gośćmi, jak więźniami Kurdów. Rewolucję w Mahabadzie charakteryzowała raczej komunistyczna dyscyplina, niż muzułmańska anarchia i jedynym sposobem pozbycia się eskorty byłoby użycie siły. A Simons nie był jeszcze zdecydowany na rozpoczęcie walki. Zaraz za miastem ambulans zjechał z drogi i zatrzymał się przy małej kafejce.

- Dlaczego stajemy? - spytał Simons.

- Śniadanie - rzucił tłumacz.

- Obejdziemy się bez śniadania - powiedział z naciskiem Simons.

- Ale...

- Obejdziemy się bez śniadania!

Tłumacz wzruszył ramionami i krzyknął coś do wysiadających z ambulansu Kurdów. Wsiedli powrotem i konwój ruszył.

Późnym rankiem dojechali do przedmieść Rezaiyeh. Drogę jak zwykle zagrażała blokada. Wyglądała poważniej, niż poprzednie -



zbudowano ją na sposób wojskowy, ze stojących pojazdów, worków z piaskiem i drutu kolczastego. Konwój zwolnił, a uzbrojony strażnik machając rękami nakazał im zjechać z drogi i zatrzymać się na podjeździe do stacji benzynowej, zamienionej na posterunek dowództwa. Karabiny maszynowe w budynku obejmowały swym zasięgiem cały podjazd.

Kierowcy ambulansu nie udało się zahamować dosyć wcześnie i samochód wjechał prosto w płot z drutu kolczastego.

Oba „Range Rovery” zatrzymały się łagodnie i ustawiły równo.

Ambulans został natychmiast otoczony przez strażników i rozpoczęła się dyskusja. Rashid i tłumacz podeszli, aby się włączyć. Rewolucjoniści z Rezaiyeh nie od razu chcieli przyjąć do wiadomości, że ci z Mahabadu są po ich stronie. Byli to Azerbejdżanie, nie Kurdowie, i dyskusja toczyła się zarówno po turecku, jak i w *farsi*.

Wyglądało na to, że żądano od Kurdów, aby oddali broń, a ci gniewnie odmawiali. Tłumacz pokazywał pismo od mułły Mahabadu. Przestano zwracać większą uwagę na Rashida.

W końcu tłumacz i Rashid wrócili do samochodu.

- Zabierzemy was do hotelu - powiedział tłumacz. - A potem pojedę zobaczyć się z mułłą.

Ambulans zaplątał się dokumentnie w drut kolczasty i zanim mogli ruszyć, trzeba było go uwolnić. Strażnicy z blokady odeskortowali ich do miasta.

Jak na irańską prowincję było ono duże. Miało sporo betonowych i kamiennych budynków oraz kilka brukowanych ulic. Konwój zatrzymał się na głównej ulicy. Słysząc było odległe krzyki. Rashid z tłumaczem weszli do jakiegoś budynku, prawdopodobnie hotelu. Pozostali czekali.

Coburn poczuł kolejny przyptyw optymizmu. Nie wsadza się więźniów do hotelu przed zastrzeleniem ich. To były po prostu jakieś rewolucyjne formalności.

Odległe okrzyki stały się głośniejsze i na końcu ulicy pojawił się tłum.

- Co to jest, u diabła? - spytał Coburn, siedzący w drugim samochodzie. Kurdowie wyskoczyli z ambulansu i otoczyli dwa „Range Rover”, tworząc klin przed prowadzącym samochodem. Jeden z nich wskazał na drzwi Coburna i zrobił ruch, jakby przekręcał klucz.

- Zablokujcie drzwi - polecił wszystkim Coburn.

Tłum podszedł bliżej. Coburn zdał sobie sprawę, że był to rodzaj ulicznej parady. Na przedzie pochodu szła spora grupa oficerów w podartych mundurach. Jeden z nich płakał.

- Wiecie co? - odezwał się Coburn. - Wygląda na to, że wojsko właśnie poddało się i pędzą oficerów wzdłuż głównej ulicy.

Mściwy tłum przepłynął wokół samochodów, szturmując i popychając kurdyjskich strażników oraz rzucając przez szyby wrogie, pełne nienawiści spojrzenia. Kurdowie nie poddawali się i usiłowali odepchnąć tłum od samochodów. Wyglądało, jak gdyby za chwilę miało się to przemienić w walkę.

- Robi się nieprzyjemnie - mruknął Gayden.

Coburn cały czas patrzył na samochód z przodu, zastanawiając się, co zrobi Simons. Zauważył otwór lufy karabinu, celującego w szybę po stronie kierowcy.

- Paul, nie oglądaj się teraz, ale ktoś celuje ci w głowę - powiedział.

- Jezus Maria...

Coburn mógł sobie wyobrazić, co się potem stanie: motłoch zacznie kołysać samochodami, potem wywróci je...

Nagle wszystko się skończyło. Pokonani żołnierze stanowili główną atrakcję i gdy przeszli, tłum podążył za nimi. Coburn odetchnął z ulgą.

- Jeszcze chwila i... - wykrztusił Paul. Rashid i tłumacz wyszli z budynku.

- Nie chcą nawet słyszeć o gromadzie Amerykanów w ich hotelu – rzucił Rashid. - Nie będą ryzykować.

Coburn zrozumiał to tak, że emocje w mieście osiągnęły taki punkt, iż motłoch mógłby spalić hotel za przyjęcie cudzoziemców.

- Musimy jechać do kwatery głównej rewolucjonistów. Pojechali. Na ulicach panowało gorączkowe ożywienie. Rzędy półciężarówek

wszelkich kształtów oraz rozmiarów załadowywano towarami, przeznaczonymi prawdopodobnie dla rewolucjonistów ciągle walczących w Tebrizie. Konwój stanął przed czymś, co wyglądało na szkołę. Wielki, hałaśliwy tłum stał na zewnątrz przed dziedzińcem, najwyraźniej czekając, aby dostać się do środka. Po krótkiej dyskusji Kurdowie przekonali wartę przy bramie, aby wpuściła ambulans i dwa „Range Rovery”. Tłum zareagował gniewnie, gdy cudzoziemcy wjechali, a Coburn odetchnął z ulgą, kiedy brama dziedzińca zamknęła się za nimi.

Wysiedli z samochodów. Dziedziniec był zatłoczony zniszczonymi pociskami pojazdami. Na sterce skrzyń z karabinami stał mułła, prowadząc z tłumem mężczyzn jakąś podniosłą, acz hałaśliwą uroczystość.

- Zaprzysięga świeże oddziały, które pojadą do Tebrizu walczyć za rewolucję - wyjaśnił Rashid.

Strażnicy poprowadzili Amerykanów w kierunku budynku szkoły, stojącego po jednej stronie dziedzińca. Jakiś człowiek zszedł po schodach i zaczął wrzeszczeć na nich wściekle, wskazując na Kurdów.

- Nie wolno im wejść z bronią do budynku - przetłumaczył Rashid. Coburnowi wydawało się, że Kurdowie stają się nerwowi - ku ich zdziwieniu znaleźli się na wrogim terenie. Przedstawili pismo od mułły Mahabadu, co wywołało nową dyskusję.

- Poczekajcie tu wszyscy - powiedział w końcu Rashid. - Pójdę porozmawiać z przywódcą komitetu rewolucyjnego. Wszedł po stopniach i zniknął.

Paul i Gayden zapalili papierosy. Paul był przestraszony i przygnębiony. Czuł, że ci ludzie na pewno zadzwonią do Teheranu i wszystkiego się o nim dowiedzą. Groźba odesłania z powrotem do więzienia była w tej chwili jego najmniejszym zmartwieniem.

- Naprawdę doceniam to, co zrobiliście dla mnie, ale ze wstydem przyznaję, że chyba przegraliśmy - odezwał się do Gaydena.

Coburna bardziej martwił tłum za bramą. Tu, w środku, przynajmniej ktoś próbował utrzymać porządek - tam kłębiło się istne

stado wilków. Co by było, gdyby namówili jakiegoś głupkowatego strażnika do otwarcia bramy? Tłuszcza dokonałaby samosądu. Pewien facet w Teheranie - Irańczyk - który zrobił coś, co rozgniewało ludzi, został dosłownie rozszarpany na strzępy. Oszalały, rozhisteryzowany tłum powyrywał mu ręce i nogi.

Strażnicy, wymachując bronią, nakazali Amerykanom przesunąć się na jedną ze stron dziedzińca i ustawić pod murem. Bezbronni - posłuchali. Coburn spojrział na mur. Było w nim mnóstwo dziur po kulach. Paul też je zobaczył i twarz mu zbieleła.

- O Boże - powiedział. - Wpadliśmy w niezłe bagno.

Rashid zastanawiał się, jaki będzie sposób rozumowania przywódcy komitetu rewolucyjnego. „Ma przecież milion spraw do załatwienia - myślał. - Dopiero co przejął kontrolę nad miastem, nigdy przedtem zaś nie był u władzy. Musi zajmować się oficerami pokonanego wojska, powyłapywać ludzi podejrzanych o to, że są agentami SAVAK, i przesłuchać ich, musi sprawić, aby życie w mieście wróciło do normy, zabezpieczyć się przed kontrrewolucją oraz wysłać oddziały do walk w Tebrizie. Marzy tylko o tym - doszedł do wniosku Rashid aby uporać się z tym, co już ma na głowie. Nie ma czasu ani współczucia dla uciekających Amerykanów. Jeśli będzie musiał podjąć jakąś decyzję, po prostu wrzuci nas na razie do paki, a później, w wolnym czasie, zajmie się nami. Dlatego muszę zadbać, żeby to nie on decydował”.

Wskazano Rashidowi drogę do jednej z klas. Przywódca siedział na podłodze. Był to wysoki, silny mężczyzna, z miną zwycięzcy. Wyglądał na wyczerpanego, zakłopotanego i niespokojnego.

- Ten człowiek przybywa z Mahabadu z listem od mułły - odezwał się w *farsi* przewodnik Rashida. - Ma ze sobą sześciu Amerykanów.

Rashidowi przypomniawszy film, w którym człowiek dostał się do strzeżonego budynku błyskając prawem jazdy zamiast przepustki. Wystarczająca doza pewności siebie może osłabić podejrzenia.

- Nie, przybywam z Komitetu Rewolucyjnego Teheranu - odezwał się. -

W stolicy jest pięć do sześciu tysięcy Amerykanów i postanowiliśmy

odesłać ich do domu. Lotnisko jest nieczynne, więc wyprowadzimy ich wszystkich tą drogą.

Oczywiście musimy poczynić odpowiednie kroki i opracować sposób postępowania, aby przetransportować tych wszystkich ludzi. Dlatego właśnie jestem tutaj. Ale pan ma wiele palących spraw do załatwienia... Może powinienem omówić szczegóły z pańskim podwładnym?

- Tak - odparł krótko przywódca i kiwnął im, że mogą odejść. Była to technika „Wielkiego Kłamstwa”, ale zadziałała.

- Jestem zastępcą przywódcy - powiedział człowiek towarzyszący Rashidowi, gdy wyszli z klasy.

Poszli do innego pomieszczenia, gdzie pięć czy sześć osób piło herbatę. Rashid rozmawiał z zastępcą dosyć głośno, aby inni słyszeli.

- Ci Amerykanie chcą po prostu dostać się do domów i zobaczyć z rodzinami. Jesteśmy szczęśliwi, że się ich pozbywamy i chcemy ich traktować właściwie, żeby nie mieli nic przeciwko nowym rządóm.

- Dlaczego są z panem Amerykanie? - spytał zastępca przywódcy.

- Na próbę. Widzi pan, w ten sposób widzimy, jakie problemy mogą zaistnieć w czasie ewakuacji.

- Ale nie musicie pozwalać im przekraczać granicę.

- Ależ owszem. To są dobrzy ludzie, którzy nigdy nie działali na szkodę naszego kraju i mają w domach żony i dzieci. Jeden z nich ma małe dziecko umierające w szpitalu. Dlatego Komitet Rewolucyjny w Teheranie polecił mi przeprowadzić ich przez granicę...

Tłumaczył dalej, a zastępca co jakiś czas przerywał mu, zadając pytania: Dla kogo Amerykanie pracują? Co ze sobą mają? Skąd Rashid wie, że nie są agentami SAVAK, szpiegującymi na rzecz kontrewolucjonistów w Tebrizie? Na każde pytanie Rashid miał odpowiedź, możliwie zresztą jak najdłuższą. Tak długo, jak mówił, mógł być przekonujący, gdyby natomiast nie odzywał się, inni mieliby czas, żeby pomyśleć o zarzutach. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził, zastępca też wyszedł trzy czy cztery razy.

- Muszę to wyjaśnić z Teheranem - stwierdził w końcu. Rashidowi

serce podeszło do gardła. Oczywiście nikt w Teheranie nie potwierdziłby jego opowieści. Ale z drugiej strony uzyskanie połączenia zajęłoby wieki.

- Wszystko zostało już sprawdzone w Teheranie i nie ma potrzeby robić tego ponownie - powiedział. - Ale jeśli obstajecie przy swoim, zabiorę Amerykanów do jakiegoś hotelu i poczekamy. Lepiej poślijcie z nami kilku strażników - dodał.

Zastępca i tak posłałby straż, a prosząc o nią mógł uspokoić ewentualne podejrzenia.

- Nie wiem... - zawahał się zastępca.

- To nie jest dobre miejsce do przetrzymywania ich - powiedział Rashid.

- Mogłoby to spowodować kłopoty i zaszkodzić im w jakiś sposób.

Wstrzymał oddech. Tutaj byli jak w pułapce, z hotelu mieliby przynajmniej szansę przebić się do granicy.

- W porządku - rzucił zastępca.

Rashidowi ulżyło, ale nie dał po sobie tego poznać.

\* \* \*

Paul poczuł głęboką ulgę, widząc Rashida schodzącego po schodach szkoły. Czekali długo. Nie kierowano wprawdzie w ich stronę karabinów, ale za to okropnie dużo wrogich spojrzeń.

- Możemy jechać do hotelu - powiedział Rashid.

Kurdowie z Mahabadu podali im na pożegnanie rękę i pozostali w swoim ambulansie. Kilka chwil później Amerykanie wyjechali w obu „Range Roverach”, za którymi w innym samochodzie podążyło czterech czy pięciu uzbrojonych strażników. Pojechali do hotelu i tym razem wszyscy weszli do środka. Wywiązała się dyskusja między właścicielem a strażnikami, ale ci ostatni wyszli z niej zwycięsko i Amerykanie dostali cztery pokoje na drugim piętrze, na tyłach budynku. Kazano im zaciągnąć zasłony i trzymać się z dala od okien na wypadek, gdyby

miejscowi snajperzy uznali Amerykanów za łakomy cel.

Zebrali się w jednym z pokoi. Słysząc było odległe strzały. Rashid zorganizował lunch: kurczaka z rożna, ryż, chleb i coca colę. Zjadł z nimi, po czym wyszedł do szkoły.

Strażnicy, trzymając karabiny, kręcili się, wchodząc i wychodząc z pokoju. Jeden z nich zrobił na Coburnie wrażenie złośliwego. Był młody, niewysoki i dobrze umięśniony, miał czarne włosy oraz oczy węża. W miarę upływu popołudnia wydawał się coraz bardziej znudzony.

Raz wszedł i rzucił: „Carter niedobry”. Spojrzał wokół, czekając na reakcję.

- CIA niedobry - powiedział. - Ameryka niedobry. Nikt mu nie odpowiedział. Wyszedł.

- Ten gość może nam nawarzyć piwa - stwierdził cicho Simons. - Niech nikt nie da się sprowokować.

Trochę później strażnik spróbował ponownie.

- Jestem bardzo silny - oświadczył. - Zapaśnictwo. Mistrz w zapasach. Byłem w Rosji.

Nikt się nie odezwał.

. Usiadł i zaczął majsterkować przy swoim karabinie, jak gdyby nie umiał go ładować. Zwrócił się do Coburna.

- Znasz karabiny?

Coburn przecząco pokręcił głową. Strażnik spojrzał na innych.

- Znacie karabiny?

Był to typ M1, broń, z którą wszyscy byli obeznani, ale nikt nic nie powiedział.

- Chcecie zahandlować? - spytał strażnik. - Ten karabin za plecak.

- Nie mamy plecaka i nie chcemy karabinu - odparł Coburn. Strażnik zrezygnował i ponownie wyszedł na korytarz.

- Gdzie, u diabła, jest Rashid? - warknął Simons.

## 2.

Samochód szarpnął na wybojach. Podskok obudził Ralpha „Boulware’a. Czuł się zmęczony i rozbity po tym krótkim, niespokojnym śnie. Wyrzwał przez szyby. Był wczesny poranek. Zobaczył brzeg rozległego jeziora, tak dużego, że nie mógł dojrzeć jego przeciwległej strony.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- To jest jezioro Wan - odparł „Charlie Brown”.

Były tam domy, wsie i cywilne samochody - wyjechali już z dzikiej górskiej krainy i wrócili do tego, co w tej części świata uchodziło za cywilizację.

Boulware spojrział na mapę. Oceniał, że są o jakieś sto mil od granicy.

- Hej, to mi się podoba! - krzyknął.

Zauważył stację benzynową. Naprawdę wrócili do cywilizacji.

- Zatankujemy - zdecydował.

Na stacji dostali też chleb i kawę. Kawa zadziałała prawie tak dobrze jak prysznic. Boulware poczuł się świetnie i nabrał ochoty do dalszej jazdy.

- Powiedz staremu, że chcę prowadzić - odezwał się do „Charliego”. Taksówkarz jechał trzydzieści - czterdzieści mil na godzinę, ale Boulware wyciągnął z wiekowego „Chevroleta” siedemdziesiątkę. Wyglądało, jakby miał rzeczywiście szansę dotrzeć do granicy na czas, żeby spotkać Simonsa.

Prując drogą położoną nad jeziorem, Boulware usłyszał przytłumiony trzask, a zaraz po nim dźwięk, jakby coś się rozdzierało: samochód zaczął podskakiwać i turkotać, rozległ się zgrzyt metalu o kamień. Rozwalił oponę. Zahamował ostro, klnąc.

Wszyscy wysiedli i zaczęli oglądać oponę: Boulware, starszawy taksówkarz, „Charlie Brown” oraz tłusty Ilsmann. Była całkowicie porwana na strzępy, koło zaś zdeformowane. A zapasowe koło zużyli



już w nocy.

Boulware przyjrzał się bliżej. Nakrętki kół straciły gwint - nawet gdyby mogli zdobyć jeszcze jedno koło, nie byłiby w stanie wymienić zniszczonego.

Rozejrzał się. W pewnej odległości, na wzgórzu, stał dom.

- Chodźmy tam - powiedział. - Możemy zadzwonić. „Charlie Brown” pokręcił głową.

- Tu nie ma telefonów.

Po wszystkim, co przeszedł, Boulware nie miał zamiaru się poddać. Był zbyt blisko.

- OK - rzucił do „Charliego”. - Wróc stopem do ostatniego miasta i zorganizuj nam nową taksówkę.

„Charlie” ruszył. Dwa samochody przejechały nie zatrzymując się, chwilę później stanęła jakaś ciężarówka. Wiozła siano i gromadkę dzieciaków. „Charlie” wskoczył na skrzynię i samochód zniknął z pola widzenia.

Boulware, Ilsman oraz taksówkarz stali w miejscu, patrząc na jezioro i jedząc pomarańcze.

Godzinę później nadjechał pędem mały europejski samochód typu kombi i z piskiem zahamował. Wyskoczył z niego „Charlie”.

Boulware dał kierowcy z Adany pięćset dolarów, po czym wsiadł z Ilsmanem i „Charliem” do nowej taksówki. Odjechali, zostawiając nad jeziorem „Chevroleta” wyglądającego jak wieloryb na brzegu.

Nowy taksówkarz pędził jak wiatr i w południe byli w Wan, na wschodnim brzegu jeziora. Było to małe miasteczko, z budynkami z cegły w centrum oraz lepiankami na przedmieściach. Ilsman poprowadził kierowcę do domu kuzyna Mr Fisha.

Zapłacili za jazdę i weszli do środka. Ilsman wdał się w długą dyskusję z gospodarzem. Boulware siedział w salonie słuchając, choć nic nie rozumiał i niecierpliwiąc się z powodu przestoju.

- Słuchaj - powiedział po godzinie do „Charliego”. - Weźmy po prostu jeszcze jedną taksówkę, obejdziemy się bez tego kuzyna.

- Droga stąd do granicy jest bardzo niebezpieczna - odparł

„Charlie”. - Jesteśmy cudzoziemcami, potrzebujemy ochrony.

Boulware zmusił się do cierpliwości.

W końcu Ilsman i kuzyn Mr Fisha uścisnęli sobie ręce.

- Jego synowie zawiozą nas do granicy - oznajmił „Charlie”. Było dwóch synów i dwa samochody.

Wjechali w góry. Boulware nie widział nawet śladu niebezpiecznych bandytów, przed którymi go chroniono - tylko pokryte śniegiem pola, chude kozy i kilku obdartych, żyjących w ruderach ludzi.

W miasteczku Yuksekova, kilka mil od granicy, zostali zatrzymani przez policję i skierowani do małego, pobielonego posterunku. Ilsman pokazał swoje papiery i szybko ich wypuszczono. Na Boulware’em wywarło to wrażenie - może Ilsman rzeczywiście pracował dla tureckiej CIA?

Dotarli do granicy o czwartej, w czwartek po południu, po dwudziestu czterech godzinach drogi.

Posterunek graniczny znajdował się dokładnie w środku pustkowia. Strażnica składała się z dwóch drewnianych budynków. Była też poczta i Boulware zastanawiał się, kto może z niej korzystać. Być może kierowcy ciężarówek. Dwieście jardów dalej, po stronie irańskiej, widniało nieco większe skupisko budynków.

Nie było natomiast śladu po grupie „Podejrzanych”.

Boulware był zły. Leciał na złamanie karku, żeby dotrzeć tu mniej więcej na czas - gdzie, do cholery, podziewał się Simons?

Z jednego z baraków wyszedł strażnik i zbliżył się do niego.

- Szuka pan Amerykanów? - zapytał.

Boulware zdumiał się. Cała sprawa miała być trzymana w absolutnej tajemnicy. Wyglądało, że trafił ją szlag.

- Tak - odparł. - Szukam Amerykanów.

- Jest telefon do pana.

Boulware zdziwił się jeszcze bardziej. „Jakiś szwindel” - pomyślał. Synchronizacja była fenomenalna. Kto, u licha, wiedział, że on tu jest? Poszedł ze strażnikiem do baraku i wziął słuchawkę.

- Tak?

- Tu konsulat amerykański - powiedział głos. - Kim pan jest?  
- A o co chodzi? - ostrożnie spytał Boulware.  
- Dobra, czy może mi pan tylko powiedzieć, co pan tam robi?  
- Nie wiem, kim pan jest i nie mam zamiaru panu mówić, co robię.  
- W porządku, niech pan posłucha, ja wiem, kim pan jest i wiem co pan robi. Gdyby pan miał jakieś kłopoty, niech pan do mnie zadzwoni. Ma pan coś do pisania?

Boulware zapisał numer, podziękował rozmówcy i zdziwiony odłożył słuchawkę. „Godzinę temu sam nie wiedziałem, że tu będę” - pomyślał, więc jak mógł o tym wiedzieć ktokolwiek inny? A już najmniej konsulat amerykański. Znowu przyszedł mu na myśl Ilsman. Może był on w kontakcie ze swymi szefami, turecką MIT, która była w kontakcie z CIA, które z kolei było w kontakcie z konsulem? Ilsman mógł poprosić kogoś o telefon w Wan, czy nawet na posterunku w Yuksekovej.

Zastanawiał się, czy było to dobrze, czy źle, że konsulat wiedział, co się dzieje. Przypomniawszy sobie „pomoc”, jaką Paul i Bill otrzymali z ambasady USA w Teheranie. Jak się ma przyjaciel w Departamencie Stanu, wrogowie są już niepotrzebni.

Odsunął w myślach konsulat na dalszy plan. Głównym problemem w tej chwili było, gdzie są „Podejrzani”.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się po tym pustkowiu. Postanowił przejść się, porozmawiać z Irańczykami. Zawołał na Ilsmana i „Charliego Browna”, żeby z nim poszli.

Zbliżając się do strony irańskiej zauważył, że strażnicy nie mieli na sobie mundurów. Prawdopodobnie byli rebeliantami, którzy przejęli posterunek po upadku rządu.

- Zapytaj ich, czy słyszeli coś o jakichś amerykańskich biznesmenach, jadących w dwóch jeepach - polecił „Charliemu”.

„Brown” nie musiał tłumaczyć odpowiedzi: Irańczycy energicznie pokręcili głowami.

Po irańskiej stronie pojawił się jakiś ciekawski tubylec w obdartej opasce na głowie i z wiekową strzelbą. Nastąpiła dość długa wymiana

zdań.

- Ten człowiek mówi, że wie, gdzie są Amerykanie, i zaprowadzi pana do nich, jeśli pan zapłaci - odezwał się w końcu „Charlie”.

Boulware chciał wiedzieć ile, ale Ilsman sprzeciwił się przyjęciu oferty po jakiegokolwiek cenie. Gwałtownie przemówił do „Browna”, a ten przetłumaczył.

- Nosi pan skórzany płaszcz, skórzane rękawiczki i wspaniały zegarek. Boulware, który miał słabość do zegarków, miał właśnie na ręce ten, który dostał od Mary, gdy się pobrali.

- No i co?

- Z takim ubraniem myślą, że jest pan z SAVAK. A oni tu nienawidzą SAVAK.

- Przebiorę się. Mam inny płaszcz w samochodzie.

- Nie - rzucił „Charlie”. - Musi pan zrozumieć, że oni po prostu chcą pana dostać w swoje łapy i rozwalić panu łeb.

- No dobra - rzucił Boulware.

Wrócili na turecką stronę. Skoro już była w pobliżu poczta, postanowił zadzwonić do Istambułu i zameldować się u Rossa Perota. Wszedł do środka. Musiał podać nazwisko, a urzędnik poinformował go, że uzyskanie połączenia zajmie trochę czasu.

Wyszedł. „Charlie” powiedział mu, że tureccy strażnicy graniczni stają się nerwowi. Jeden z Irańczyków przyplątał się do nich, gdy wracali, a strażnicy nie lubili ludzi szwendających się po pasie ziemi niczyjej - wprowadzało to bałagan.

„No, niczego tu nie zdziałam” - pomyślał Boulware.

- Czy ci faceci zadzwoniliby po nas, gdyby grupa przekroczyła granicę, gdy będziemy w Yuksekovej? - zapytał.

„Charlie” przetłumaczył i strażnicy zgodzili się. „W miasteczku jest hotel - powiedzieli - tam zadzwonią”.

Boulware, Ilsman, „Charlie” oraz dwóch synów kuzyna Mr Fisha wsiedli do dwóch samochodów i odjechali z powrotem do Yuksekovej.

Zameldowali się w najgorszym hotelu pod słońcem. Zamiast podłóg miał klepisko, łazienkę stanowiła dziura w ziemi pod schodami, a

wszystkie łóżka znajdowały się w jednym pokoju. Gdy „Charlie Brown” zamówił jedzenie, przyniesiono je zawinięte w gazetę.

Boulware nie był pewien, czy postąpił właściwie opuszczając posterunek graniczny. Tak wiele rzeczy mogło się nie udać: wbrew obietnicy strażnicy mogli nie zadzwonić. Postanowił skorzystać z oferowanej przez konsulat pomocy i poprosił ich o załatwienie zezwolenia na przebywanie na granicy. Z jedyne go w hotelu staroświeckiego telefonu zadzwonił pod otrzymany numer. Dodzwonił się, ale było źle słyhać i obie strony miały kłopoty ze zrozumieniem się nawzajem. W końcu człowiek po drugiej stronie powiedział coś o oddzwonieniu i odłożył słuchawkę. Boulware stał przy ogniu, denerwując się. Po chwili stracił cierpliwość i postanowił wrócić na granicę bez zezwolenia. Po drodze złapali gumę.

Wszyscy stali na drodze, podczas gdy synowie zmieniali koło. Ilsman denerwował się.

- On mówi, że to jest bardzo niebezpieczne miejsce - wyjaśnił „Charlie”.

- Wszyscy ludzie to mordercy i bandyci.

Boulware nie był przekonany. Ilsman zgodził się zrobić to wszystko za ustaloną z góry zapłatę ośmiu tysięcy dolarów i Boulware podejrzewał teraz, że grubas szykuje się do podniesienia ceny.

- Zapytaj go, ile osób zabito na tej drodze w zeszłym miesiącu – polecił „Charliemu”.

Obserwował twarz Ilsmana, gdy ten odpowiadał.

- Trzydzieści dziewięć - przetłumaczył Charlie.

Wyglądało, że mówi poważnie. „Cholera - pomyślał Boulware - ten facet mówi prawdę”. Rozejrzał się wokoło. Góry, śnieg... Wzdrygnął się.

### 3.

W Rezaiyeh, Rashid wziął jeden z „Range Roverów” i pojechał z

hotelu z powrotem do szkoły zamienionej w kwaterę główną rewolucjonistów.

Zastanawiał się, czy zastępca przywódcy zadzwonił do Teheranu. Coburnowi nie udało się dostać połączenia poprzedniej nocy - czy rewolucyjne dowództwo mogło mieć ten sam problem? Rashid sądził, że prawdopodobnie tak. A w takim razie, jeśli zastępca nie dodzwonił się, to co postanowił? Miał tylko dwie możliwości: zatrzymać Amerykanów lub wypuścić ich bez sprawdzania. Facet mógłby czuć się głupio, pozwalając im odjechać w ten sposób - mógł nie chcieć, żeby Rashid wiedział, że organizacja tutaj jest taka beznadziejna. Postanowił działać tak, jakby było oczywiste, że telefon został wykonany i potwierdzenie nadeszło. Wjechał na dziedziniec. Zastępca stał tam, opierając się o „Mercedesa”. Rashid zaczął z nim rozmawiać o problemie przewiezienia przez miasteczko sześciu tysięcy Amerykanów w drodze do granicy. Ile osób można ulokować na noc w Rezaiyeh? Jak ułatwić ich odprawę na przejściu w Sero? Podkreślił, że ajatollah Chomeini wydał instrukcję, aby Amerykanie byli dobrze traktowani opuszczając Iran, bo nowy rząd nie chciał konfliktów ze Stanami Zjednoczonymi. Poruszył też sprawę dokumentów - może komitet w Rezaiyeh powinien wydać Amerykanom przepustki, upoważniające ich do przejścia przez Sero? On, Rashid, na pewno będzie potrzebował dzisiaj takiej przepustki, aby przewieźć tych sześciu Amerykanów. Podsunął zastępcy, aby wraz z nim udał się do szkoły i wydał dokument.

Zastępca zgodził się.

Poszli do biblioteki. Rashid znalazł papier i pióro. Podał je zastępcy.

- Co powinniśmy napisać? - spytał. - Chyba powinno to być, że osoba mająca ten list może przewieźć sześciu Amerykanów przez Sero. Nie, lepiej Barzagan i Sero, na wypadek, gdyby Sero było zamknięte.

Zastępca napisał.

- Może powinniśmy napisać, hm... „Oczekuje się, że wszystkie straże okażą jak największą pomoc i współpracę. Są całkowicie sprawdzeni oraz zidentyfikowani, a w razie potrzeby będą eskortowani”.

Zastępca napisał i złożył podpis.

- Może powinniśmy dodać Komitet Dowódczy Rewolucji Islamskiej? - podpowiedział Rashid. Zastępca zrobił to.

Rashid przyjrzał się dokumentowi. Wydawał się jakby niepełny, improwizowany. Potrzebne mu było coś, dzięki czemu wyglądałby bardziej oficjalnie. Rashid znalazł jakąś pieczętkę wraz z poduszeczką do niej. Przyłożył ją do listu. Potem przeczytał, co było na pieczętce: „Biblioteka Szkoły Religijnej, Rezaiyeh. Rok założenia 1344”. Włożył dokument do kieszeni.

- Powinniśmy chyba wydrukować sześć tysięcy takich przepustek, żeby wystarczyło tylko je podpisać - powiedział.

Zastępca skinął głową.

- Możemy o tym wszystkim porozmawiać szerzej jutro - mówił dalej Rashid. - Chciałbym teraz pojechać do Sero, aby na miejscu omówić sprawę z urzędnikami granicznymi.

- W porządku. Rashid wyszedł. Nic nie jest niemożliwe.

Wsiadł do „Range Rovera”. To był dobry pomysł, z jazdą do granicy - stwierdził: będzie mógł wybadać ewentualne kłopoty przed podróżą z Amerykanami.

Na przedmieściach Rezaiyeh ustawiono blokadę drogową, obsadzoną przez nastolatków z karabinami. Nie przeszkadzali Rashidowi, ale martwił się, jak mogą zareagować na szóstkę Amerykanów - wyraźnie swędziały ich ręce do użycia broni.

Dalej droga była czysta. Była to polna droga, ale dosyć gładka, i jechał całkiem szybko. Wziął jakiegoś autostopowicza i spytał go o przekroczenie granicy konno. „Żaden problem” - odparł podróżny. Da się zrobić i tak się składa, że jego brat ma konie.

Rashid przebył czterdziestomilową drogę w niewiele ponad godzinę. Zatrzymał swego „Range Rovera” na przejściu granicznym. Strażnicy byli w stosunku do niego nieufni. Pokazał im przepustkę napisaną przez zastępcę przywódcy. Wartownicy zadzwonili do Rezaiyeh i - jak powiedzieli - rozmawiali z zastępcą, który poręczył za Rashida.

Stał patrząc w stronę Turcji. Widok był przyjemny. Wszyscy przeszli liczne udręki właśnie po to, aby tu dotrzeć. Dla Paula i Billa miało to oznaczać wolność, dom i rodzinę. Dla wszystkich ludzi EDS miało to być koniec koszmaru. Dla Rashida oznaczało to coś innego - Amerykę.

Rozumiał mentalność członków kierownictwa EDS. Mieli silne poczucie obowiązku. Jeśli im pomogłeś, chętnie okazywali swoje uznanie, żeby wyrównać rachunki. Wiedział, że wystarczy mu poprosić, a zabiorą go z sobą do krainy jego marzeń.

Posterunek graniczny podlegał wsi Sero, położonej o pół mili w dół górskiej drogi. Rashid postanowił pojechać i zobaczyć się z przywódcą wioski, aby ustanowić przyjacielskie stosunki i przetrzeć szlak na później.

Właśnie wykręcał, kiedy po tureckiej stronie pojawiły się dwa samochody. Wysoki Murzyn w skórzanym płaszczu wysiadł z pierwszego z nich i podszedł do łańcucha na skraju ziemi niczyjej.

Serce Rashida zabiło mocniej z radości. Znał tego człowieka. Zaczął machać i krzyczeć.

- Ralph! Ralph Boulware! Hej, Ralph!

#### 4.

Czwartkowy poranek zastał Glenna Jacksona - myśliwego, baptystę i specjalistę od rakiet - w powietrzu nad Teheranem, w wycarterowanym odrzutowcu. Jackson został w Kuwejcie po tym, jak wymyślili, że może to być droga ucieczki z Iranu dla Paula i Billa. W niedzielę, w dniu, w którym ci dwaj wydostali się z więzienia, Simons, za pośrednictwem Merva Stauffera, przesłał rozkazy, że Jackson ma jechać do Ammanu w Jordanie i tam spróbować wycarterować samolot na lot do Iranu.

Jackson dotarł do Ammanu w poniedziałek i od razu przystąpił do pracy. Wiedział, że Perot poleciał do Teheranu z Ammanu



wycarterowanym odrzutowcem linii Arab Wings. Wiedział też, że szef Arab Wings, Akel Biltaji, okazał się pomocny, pozwalając Perotowi lecieć pod pretekstem przewozu taśm sieci NBC. Teraz Jackson skontaktował się z Biltajim i ponownie poprosił go o pomoc.

Powiedział mu, że dwóch ludzi EDS jest w Iranie i trzeba ich stamtąd wyciągnąć. Wymyślił dla Paula i Billa fałszywe nazwiska. Mimo że lotnisko w Teheranie było nieczynne, Jackson chciał polecieć i spróbować wylądować. Biltaji był skłonny zaryzykować.

W środę jednak Stauffer - zgodnie z poleceniem Simonsa - zmienił rozkazy Jacksona. Jego zadaniem było teraz dowiedzieć się o grupę „Czystych” - drugiej grupy nie było już w Teheranie, według tego, co wiadano w Dallas.

W czwartek Jackson odleciał z Ammanu w kierunku wschodnim. Gdy zbliżali się do położonej wśród gór niecki, w której mieścił się Teheran, z miasta wystartowały dwa samoloty. Gdy podleciały bliżej, Jackson zobaczył, że były to myśliwce Irańskich Sił Lotniczych.

Zastanawiał się, co nastąpi.

Radio jego pilota odezwało się serią zakłóceń. Myśliwce krążyły, a pilot rozmawiał - Jackson nie rozumiał treści, ale był zadowolony, że Irańczycy mówią, a nie strzelają.

Dyskusja trwała. Wyglądało na to, że pilot kłóci się. W końcu odwrócił się do Jacksona.

- Musimy wracać - powiedział. - Nie pozwolą nam wylądować.
- A co zrobimy, jeśli nie posłuchamy?
- Zastrzelą nas.
- OK - rzucił Jackson. - Spróbujemy jeszcze raz po południu.

\* \* \*

W czwartek rano w Istambule do apartamentów Perota w hotelu Sheraton dostarczono angielskojęzyczną gazetę.

Wziął ją i z ożywieniem przeczytał na pierwszej stronie relację z

wczorajszego zajęcia ambasady USA w Teheranie. Z ulgą zauważył, że nie wymieniono nikogo z grupy „Czystych”. Jediną osobą, która doznała obrażeń, był jakiś sierżant marines, Kenneth Krause. Jak twierdziła jednak gazeta, nie otrzymał on odpowiedniej pomocy lekarskiej.

Perot zadzwonił do Johna Carlena, kapitana Boeinga 707 i poprosił go o przyjsie do swego apartamentu. Pokazał Carlenowi gazetę.

- Co by pan powiedział na nocny lot do Teheranu i zabranie rannego marine? - zapytał.

Carlen, swobodny w zachowaniu Kalifornijczyk o opalanej cerze i siwiejących włosach, był bardzo spokojny.

- Da się zrobić.

Perot był zdziwiony, że Carlen nawet się nie zawahał. Musiałby lecieć w nocy nad górami bez pomocy kontroli ruchu powietrznego i lądować na zamkniętym lotnisku.

- Nie chce pan porozmawiać z resztą załogi? - zapytał Perot.

- Nie, chętnie to zrobią. Właściciele samolotu dostaną szalu.

- Niech pan im nic nie mówi. Odpowiadam za to osobiście.

- Muszę dokładnie wiedzieć, gdzie będzie ten marine - mówił dalej Carlen.

- Ambasada będzie musiała dowieźć go na lotnisko. Znam tam sporo osób i naginając trochę przepisy będę mógł załatwić sobie lądowanie. Podobnie z odlotem, a jeśli nie, to po prostu sam wystartuję.

„A ludzie z grupy „Czystych” wystąpią jako sanitariusze” - pomyślał Perot. Zadzwonił do Dallas, gdzie telefon odebrała Sally Walther, jego sekretarka. Poprosił, aby połączyła go z generałem Wilsonem, dowódcą Oddziałów Marines.

Byli przyjaciółmi. Wilson zgłosił się.

- Jestem w Turcji, w interesach - powiedział mu Perot. - Właśnie przeczytałem o sierżancie Krause. Mam pewien plan. Jeśli ambasada będzie mogła dowieźć go na lotnisko, polecimy w nocy zabrać go stamtąd i dopilnujemy, żeby otrzymał odpowiednią opiekę medyczną.

- W porządku - odrzekł Wilson. - Jeśli jest umierający, weźcie go.

Jeśli nie, nie chcę, aby twoja załoga ryzykowała. Zadzwoń do ciebie.

Ponownie włączyła się Sally. Było więcej złych wiadomości. Rzecznik prasowy Oddziału Specjalnego d/s Iranu w Departamencie Stanu rozmawiał z Robertem Dudneyem, waszyngtońskim korespondentem „Dallas Times Herald”, i wyjawiał mu, że Paul i Bill uciekają drogą lądową.

Perot kolejny raz przeklął Departament Stanu. Jeśli Dudney opublikuje tę historię i wieści dotrą do Teheranu, Dadgar na pewno nasili kontrole graniczne.

Ludzie z szóstego piętra w Dallas obwiniali za to wszystko Perota. Rozmawiał on przecież szczerze z konsulem, kiedy widział się z nim poprzedniego wieczoru i sądzili, że przeciek zaczął się od niego. Zawzięcie usiłowali teraz wyciszyć całą historię, ale gazeta nie obiecywała niczego.

Oddzwonił generał Wilson. Życiu sierżanta Krausego nie zagrażało niebezpieczeństwo, więc pomoc nie była konieczna.

Perot zapomniał o Krausem i skoncentrował się na własnych problemach. Zadzwoił konsul. Zrobił, co mógł, ale nie potrafił pomóc Perotowi w kupnie czy wynajęciu małego samolotu. Można było jedynie wycarterować samolot na lot w granicach Turcji, to wszystko.

Perot nie wspomniał mu nic o przecieku prasowym.

Wezwał Dicka Douglasa i Juliana „Szramę” Kanaucha, dwóch pilotów rezerwowych, których ściągnął specjalnie do lotu małym samolotem nad Iranem i powiedział im, że nie udało się takiego samolotu znaleźć.

- Niech się pan nie martwi - powiedział Douglas. - My coś zdobędziemy.

- Jak?

- Niech pan nie pyta.

- Nie, chcę wiedzieć jak?

- Latałem we wschodniej Turcji. Wiem, gdzie są samoloty. Jeśli potrzeba - ukradniemy.

- Dobrze to przemyślałeś? - spytał Perot.

- Niech pan to przemyśli - odparł Douglas. - Jeśli nas zestrzelą nad Iranem, to jakie znaczenie będzie miała kradzież samolotu? A jeśli nas nie zastrzelą, będziemy mogli oddać maszynę tam, skąd ją wzięliśmy. Nawet jeśli będzie miała z kilka dziur w boku, będziemy daleko, zanim ktokolwiek się dowie. Nad czym tu się jeszcze zastanawiać?

- W takim razie nie ma sprawy - powiedział Perot. - Lecimy. Wysłał Johna Carlena i Rona Davisa na lotnisko, aby zgłosili plan lotu do Wan, lotniska położonego najbliżej granicy.

Davis zadzwonił stamtąd i powiedział, że Boeing 707 nie mógłby lecieć do Wan. Był to port tylko tureckojęzyczny i nie miały prawa tam lądować żadne obce samoloty z wyjątkiem wojskowych maszyn Stanów Zjednoczonych z tłumaczem na pokładzie.

Perot przekreślił do Mr Fisha i poprosił go o zorganizowanie przelotu grupy do Wan. Fish oddzwonił po kilku minutach, mówiąc, że wszystko załatwione. Perot był zdziwiony - jak dotąd, Mr Fish twardo stał na stanowisku, że nie pojedzie do wschodniej Turcji. Być może złapał bakcyła przygody.

Sam Perot jednak będzie musiał zostać. Był główną sprężyną tego całego mechanizmu - musiał pozostawać w kontakcie telefonicznym ze światem zewnętrznym, odbierać wiadomości od Boulware'a, z Dallas, od grupy „Czystych” i „Podejrzanych”. Gdyby 707 mógł lądować w Wan, Perot poleciałby, bo zainstalowane na pokładzie radio o modulacji jednowstęgowej pozwalało mu uzyskiwać połączenia telefoniczne z całym światem. Bez tego radia jednak we wschodniej Turcji straciłby kontakt z uciekinierami w Iranie i ludźmi jadącymi im na spotkanie.

Wysłał więc do Wan Pata Sculleya, Jima Schwebacha, Rona Davisa, Mr Fisha oraz pilotów Dicka Douglasa i „Szramę” Kanaucha. Dowódcą Tureckiej Grupy Ratowniczej mianował Pata Sculleya.

Po ich odlocie znowu skazany był na przymusową bezczynność.

Kolejna grupa jego ludzi wyruszyła robić niebezpieczne rzeczy w niebezpiecznych miejscach - on mógł tylko siedzieć i czekać na wiadomości.

Spędził sporo czasu rozmyślając o Johnie Carlenie i załodze Boeinga

707. Znał ich dopiero od kilku dni. Byli zwykłymi Amerykanami, a jednak Carlen zgodził się ryzykować życie i lecieć do Teheranu, aby zabrać stamtąd ранnego żołnierza. Jak powiedziałby Simons, to jest to, co Amerykanie powinni dla siebie robić. Wprawilo to Perota w doskonały nastrój, na przekór wszystkiemu.

Zadzwoń telefon.

- Ross Perot, słucham.

- Tu Ralph Boulware.

- Cześć, Ralph, gdzie jesteś?

- Na granicy.

- Świetnie!

- Właśnie widziałem Rashida. Serce Perota zabiło radośnie.

- Wspaniale! Co mówił?

- Są bezpieczni.

- Bogu dzięki!

- Zatrzymali się w jakimś hotelu, trzydzieści czy czterdzieści mil od granicy. Rashid badał wcześniej teren - teraz już wrócił. Mówił, że prawdopodobnie przekroczą granicę jutro, ale to jego pomysł. Simons może myśleć inaczej. Skoro są tak blisko, nie przypuszczam, żeby czekał do jutra.

- Masz rację. Posłuchaj, Pat Sculley, Mr Fish i reszta chłopaków właśnie do was jadą. Lecą do Wan, potem wynajmą autobus. - Gdzie was znajdą?

- Ulokowałem się w wiosce Yuksekova, najbliższym miejscu od granicy, w hotelu, jedynym w okolicy.

- Powiem Sculleyowi.

- OK.

Perot odłożył słuchawkę. „O rany - pomyślał - wreszcie wszystko zaczyna się układać jak należy”.

W myśl polecenia, jakie Pat Sculley otrzymał od Perota, miał dojechać do granicy, zapewnić grupie „Podejrzanych” bezpieczne jej przekroczenie i sprowadzić ich do Istambułu. Gdyby „Podejrzany” nie udało się dotrzeć do granicy, Sculley miał udać się do Iranu - najlepiej samolotem ukradzionym przez Dicka Douglasa albo - gdyby to się nie powiodło, drogą lądową - i znaleźć ich.

Sculley i Turecka Grupa Ratownicza skorzystali z rozkładowego lotu z Istambułu do Wan, gdzie czekał na nich wycarterowany odrzutowiec. Miał on ich zabrać tylko do Wan i z powrotem, a nie gdziekolwiek by chcieli. Jedynym sposobem skłonienia pilota, aby zabrał ich do Iranu, byłoby porwanie samolotu.

Przylot odrzutowca wydawał się w Wan dużym wydarzeniem. Wsiadając z samolotu wpadli na oddział policjantów, którzy wyglądali na gotowych do narobienia im kłopotów. Mr Fish jednak rozmówił się z szefem policji i wrócił uśmiechnięty.

- Posłuchajcie - powiedział. - Zatrzymamy się w najlepszym hotelu w mieście, ale musicie wiedzieć, że to nie Sheraton, więc proszę nie narzekać. Wzięli dwie taksówki i pojechali.

Hotel miał duży centralny hall z trzema poziomami pokoi, do których wchodziło się przez galerie, tak że wszystkie drzwi pokoi były z niego widoczne. Gdy Amerykanie weszli, hall wypełniony był Turkami, którzy pili piwo i oglądali na czarno - białym telewizorze mecz piłkarski, wyjąc przy tym i pokrzykując. Gdy tylko zauważyli obcych, hałasy poczęły milknąć, aż zaległa kompletna cisza.

Przydzielono Amerykanom pokoje. W każdej sypialni były dwie prycze i stanowiąca ubikację dziura w kącie, zasłonięta kąpielowym parawanem. Obrazu dopełniały podłogi kryte deskami oraz pobielone ściany bez okien. Pokoje roily się od karaluchów. Na każdym piętrze znajdowała się tylko jedna łazienka.

Sculley i Fish poszli zorganizować autobus, który zawiózłby ich

wszystkich na granicę. Spod hotelu zabrał ich jakiś „Mercedes” i zawiózł, jak się okazało, do sklepu z urządzeniami elektrotechnicznymi. Na wystawie stało kilka wiekowych telewizorów. Sklep był zamknięty - zrobił się już wieczór - ale Fish zastukał w żelazną kratę ochraniającą szyby i ktoś wyszedł.

Poszli na zaplecze i usiedli przy stole, nad którym paliła się pojedyncza żarówka. Sculley nie rozumiał ani słowa z toczącej się rozmowy, ale w jej wyniku Fish załatwił autobus wraz z kierowcą. Autobusem tym wrócili do hotelu.

Reszta grupy zebrała się w pokoju Sculleya. Nikt nie chciał nawet siedzieć na tych łózkach, a co dopiero spać w nich. Wszyscy woleli natychmiast jechać w kierunku granicy, ale Fish wahał się.

- Jest druga w nocy - mówił - i policja pilnuje hotelu.

- No i co z tego? - spytał Sculley.

- To oznacza nowe pytania i nowe kłopoty. - Spróbujmy.

Wszyscy zeszli na dół. Pojawił się, wyglądający na zaniepokojonego, dyrektor hotelu i zaczął wypytywać Mr Fisha. Na odgłos rozmowy do hotelu weszli dwaj policjanci i przyłączyli się do dyskusji.

Fish odwrócił się do Sculleya.

- Nie chcę, żebyśmy jechali - powiedział.

- Dlaczego nie?

- Wyglądamy bardzo podejrzanie, czy nie zdaje pan sobie z tego sprawy?

- Niech pan posłucha, czy nasz wyjazd jest sprzeczny z prawem?

- Nie, ale...

- No więc jedziemy. Niech pan po prostu oznajmi im to. Dyskusja, prowadzona po turecku, potrwała jeszcze trochę, ale w końcu policjanci i dyrektor zrezygnowali. Grupa wsiadła do autobusu.

Wyjechali z miasta. Gdy znaleźli się między pokrytymi śniegiem wzgórzami, temperatura nagle spadła. Wszystkim bardzo przydały się ciepłe płaszcze i koce, które mieli w plecakach.

Fish usiadł obok Sculleya.

- Sprawa zaczyna być poważna - odezwał się. - Mogę uporać się z

policją, bo mam z nimi powiązania, ale obawiam się bandytów i żołnierzy - nie mam wśród nich żadnych znajomych.

- Co chciałby pan zrobić?

- Wydaje mi się, że jestem w stanie wyciągnąć nas z kłopotów, o ile jednak żaden z was nie będzie miał broni.

Sculley zastanowił się. I tak uzbrojony był tylko Davis. Simons zawsze ostrzegał, że broń może prędzej wpędzić w kłopoty, niż z nich wyciągnąć. - „Walthery” w końcu nigdy nie opuściły Dallas.

- OK - powiedział.

Trzydziestka ósemka Rona Davisa poleciała w śnieg.

Trochę później w światłach autobusu ukazał się żołnierz w mundurze. Stał na środku drogi i machał. Kierowca jechał dalej, jakby miał zamiar go przejechać, ale Fish wrzasnął coś i kierowca zahamował.

Wyglądając przez okno Sculley zobaczył na zboczu góry pluton żołnierzy, uzbrojonych w karabiny o dużej donośności i pomyślał: „Gdybyśmy się nie zatrzymali, po prostu skosiliby nas z drogi”.

Jakiś sierżant i kapral weszli do autobusu i sprawdzili wszystkie paszporty. Fish poczęstował ich papierosami. Stali i paląc rozmawiali z nim, a w końcu machnęli ręką i wysiedli.

Kilka mil dalej autobus został znowu zatrzymany. Spotkanie miało podobny przebieg.

Za trzecim razem mężczyźni, którzy weszli do autobusu, nie mieli na sobie mundurów. Fish stał się bardzo nerwowy.

- Zachowujcie się, jak gdyby nigdy nic - syknął do Amerykanów. - Czytajcie książki, nie patrzcie tylko na tych facetów.

Przez jakieś pół godziny rozmawiał z Turkami, a gdy w końcu pozwolono, aby autobus kontynuował jazdę, dwóch z nich zostało w środku.

- Opieka - rzucił zagadkowo Fish, wzruszając ramionami. Teoretycznie dowodził Sculley, ale nie miał właściwie innego wyboru, niż postępować zgodnie ze wskazówkami Fisha. Nie znał kraju, nie mówił jego językiem - przez większość czasu nie orientował się, co się dzieje. W takich warunkach trudno było utrzymać kontrolę. Doszedł do



wniosku, że najlepsze, co może zrobić, to pilnować Fisha i opierać się na nim, gdyby zaczynał tracić zimną krew.

O czwartej rano dotarli do Yuksekovej, wsi położonej najbliżej granicy. Tutaj, jak twierdził kuzyn Fisha w Wan, mieli znaleźć Ralpa Boulware'a.

Sculley i Fish weszli do hotelu. Było ciemno jak w stodole i śmierdziało jak w męskiej szatni na stadionie piłkarskim. Wołali przez chwilę, aż ukazał się jakiś chłopak ze świecą. Fish odezwał się do niego po turecku, po czym oznajmił:

- Boulware'a tu nie ma. Wyjechał kilka godzin temu. Nie wiedzą dokąd.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### 1.

W hotelu w Rezaiyeh Jay Coburn miał znowu to okropne, beznadziejne uczucie, którego doznał przedtem w Mahabadzie, a potem na dziedzińcu szkoły. Nie panował nad własnym przeznaczeniem, jego los był w rękach innych - w tym wypadku w rękach Rashida.

Gdzie on się, u diabła, podziewał?

Coburn spytał strażników, czy mógłby skorzystać z telefonu. Zaprowadzili go w dół, do hallu. Nakręcił numer kuzyna Majida, ale nikt nie odebrał. Bez specjalnej nadziei wykrecił do Gholama w Teheranie. Ku swemu zdziwieniu połączył się.

- Mam wiadomość dla Jima Nyfelera - powiedział. - Jesteśmy w polu działania.

- Ale gdzie? - spytał Gholam.

- W Teheranie - skłamał Coburn.

- Muszę się z panem zobaczyć.

Coburn był zmuszony brnąć dalej w oszustwa.

- W porządku, spotkamy się jutro rano.

- Gdzie?

- W „Bukareszcie”.

- OK.

Coburn wrócił na górę. Simons wziął jego i Keane'a Taylora do jednego z pokoi.

- Jeśli Rashid nie wróci do dziewiątej, wyjeżdżamy - powiedział. Coburn od razu poczuł się lepiej.

- Strażnicy zaczynają się nudzić - mówił dalej Simons. - Ich czujność słabnie. Albo prześlizgniemy się bokiem, albo załatwimy się z nimi inaczej.

- Mamy tylko jeden samochód - odezwał się Coburn.

- I zostawimy go tutaj, żeby ich zbić z tropu. Pójdziemy do granicy na piechotę. Do cholery, to tylko trzydzieści czy czterdzieści mil. Możemy iść przez pola. Unikając szos, unikniemy blokad.

Coburn skinął głową. Na to właśnie cały czas czekał - znowu przejmowali inicjatywę w swoje ręce.

- Zbierzmy pieniądze do kupy - odezwał się Simons do Taylora. - Poproś strażników, żeby cię sprowadzili do samochodu. Przynieś tu pudełko po chusteczkach higienicznych oraz latarkę i wyjmij z nich forsz.

Taylor wyszedł.

- Właściwie moglibyśmy najpierw coś zjeść - stwierdził Simons. - Zanosi się na dłuższy spacer.

\* \* \*

Taylor wszedł do pustego pokoju i wysypał pieniądze z latarki oraz z pudełka po chusteczkach na podłogę.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Serce podeszło Taylorowi do gardła. Spojrzał w górę i zobaczył uśmiechniętego od ucha do ucha Gaydena.

- Mam cię! - krzyknął Gayden. Taylor był wściekły.

- Gayden, ty sukinsynu! - wrzasnął. - Przestraszyłeś mnie, jak jasna cholera!

Gayden roześmiał się na całe gardło.

Strażnicy zabrali ich na dół, do jadalni. Amerykanie siedli przy dużym, kolistym stole, a strażnicy zajęli inny, w drugim końcu pokoju. Podano mięso jagnięcia z ryżem i herbatę. Był to ponury posiłek - wszyscy martwili się, co mogło się przytrafić Rashidowi i jak sobie poradzą bez niego.

Telewizor był włączony i Paul nie mógł oderwać wzroku od ekranu. Spodziewał się w każdej chwili zobaczyć na nim swoją twarz, jak w liście gończym.

Gdzie, u diabła, podział się Rashid?

Byli tylko o godzinę drogi od granicy, a jednak jak w pułapce, pod strażą i w ciągłym niebezpieczeństwie odesłania do Teheranu, do więzienia. Ktoś krzyknął: - Hej, patrzcie, kogo tu mamy!

Wszedł Rashid. Podszedł do ich stołu, wodząc wokół zarozumiałym wzrokiem.

- Panowie - odezwał się. - To jest wasz ostatni posiłek. Gapili się na niego, przerażeni.

- W Iranie, ma się rozumieć - dodał pośpiesznie. - Możemy wyjeżdżać. Wszyscy wznieśli radosny okrzyk.

- Dostałem list od komitetu rewolucyjnego - ciągnął Rashid - i pojechałem do granicy wypróbować go. Jest kilka blokad po drodze, ale wszystko zorganizowałem. Wiem, gdzie możemy dostać konie, żeby przejechać przez góry, ale nie sądzę, byśmy ich potrzebowali. Na granicy nie ma żadnych urzędników - przejście jest w rękach wieśniaków. Widziałem się z ich przywódcą, będziemy mogli spokojnie przejść. Poza tym jest tam Ralph Boulware. Rozmawiałem z nim. Simons wstał.

- Ruszajmy się - rzucił. - Szybko!

Zostawili na wpół tylko zjedzony posiłek. Rashid zagadał do strażników i pokazał im swój list od zastępcy przywódcy, a Keane Taylor zapłacił rachunek hotelowy. Rashid wręczył Billowi plik

plakatów przedstawiających Chomeiniego, zakupionych wcześniej, do rozlepienia na samochodach.

W kilka minut już ich nie było.

Bill odwalił z plakatami dobrą robotę. Z którejkolwiek strony by spojrzeć na „Range Rovera”, patrzącego przesywała wzrokiem dzika, brodata twarz ajatollaha.

Ruszyli. Rashid prowadził pierwszy samochód.

Przy wyjeździe z miasta nagle zahamował, wychylił się przez okno i gwałtownie zamachał na zbliżającą się taksówkę.

- Rashid, co ty, do cholery robisz?! - ryknął Simons.

Rashid bez słowa wyskoczył z samochodu i pobiegł w kierunku taksówki.

- Chryste Panie! - jęknął Simons.

Rashid porozmawiał przez chwilę z taksówkarzem, po czym ten odjechał.

- Poprosiłem go, żeby pokazał nam wyjazd z miasta bocznymi uliczkami - wyjaśnił Rashid. - Jest tu jedna blokada, którą chcę ominąć, bo siedzą na niej uzbrojone dzieciaki i nie wiem, co mogą wymyślić. Taksówkarz ma już pasażera, ale zaraz będzie wracał. Poczekamy.

- Nie będziemy czekać diabli wiedzą jak długo - powiedział Simons. Taksówka wróciła po dziesięciu minutach. Poprowadziła ich przez ciemne, nie brukowane ulice, aż do głównej drogi. Taksówkarz skręcił w prawo, Rashid za nim, szybko biorąc zakręt. Po lewej stronie, dosłownie o kilka jardów, znajdowała się blokada, którą chciał ominąć. Kilkunastoletni chłopcy strzelali w powietrze. Taksówka i dwa „Range Rovery” odjechały daleko za zakręt, zanim dzieciaki zorientowały się, że ktoś przemknął im przed nosem.

Pięćdziesiąt jardów dalej Rashid zajeżdżał na stację benzynową.

- Po jaką cholerę stajesz? - spytał Keane Taylor.

- Musimy zatankować.

- Mamy baki napełnione w trzech czwartych, aż nadto, by przekroczyć granicę. Spływajmy stąd!

- W Turcji mogą być duże kłopoty z dostaniem benzyny.

- Rashid, jedźmy! - polecił Simons. Rashid wyskoczył z samochodu.

Po napełnieniu zbiorników Rashid wciąż jeszcze targował się z taksówkarzem, oferując mu sto riali - trochę więcej niż dolara - za wyprowadzenie ich z miasta.

- Rashid, daj mu garść pieniędzy i jedźmy! - powiedział Taylor.

- Chce za dużo - wyjaśnił Rashid.

- Boże święty! - jęknął Taylor.

Rashid zgodził się zapłacić taksówkarzowi dwieście riali i wrócił do „Range Rovera”.

- Nabralby podejrzeń, gdybym się nie targował - wyjaśnił. Wyjechali za miasto. Droga wiała się, prowadząc coraz wyżej w góry.

Nawierzchnia była dobra i szybko posuwali się naprzód. Po jakimś czasie szosa zaczęła prowadzić wzdłuż granicy. Po obu stronach były głębokie, zalesione wąwozy.

- Po południu, mniej więcej gdzieś tutaj był punkt kontrolny - odezwał się Rashid. - Może poszli do domu?

W świetle reflektorów spostrzegli dwóch mężczyzn stojących przy drodze i machających rękami w ich kierunku. Nie było bariery. Rashid nie hamował.

- Chyba lepiej stańmy - zaczął Simons. Rashid jechał dalej, mijając już obu mężczyzn.

- Powiedziałem stój! - wrzasnął Simons. Rashid zatrzymał się. Bill spojrzął przez przednią szybę.

- Popatrzcie tylko na to - rzekł.

Kilka jardów w przedzie dostrzegli most nad parowem. Z obu jego stron zaczęli wynurzać się członkowie jakiegoś szczepu. Było ich coraz więcej - trzydziestu, czterdziestu - i byli uzbrojeni po zęby.

Wyglądało to na zasadzkę. Gdyby samochody próbowały przedrzeć się rozpędem, oberwałyby sporo pocisków.

- Dzięki Bogu, że zatrzymaliśmy się - wydyszał z przejęciem Bill.

Rashid wyskoczył z samochodu i zaczął rozmawiać. Napastnicy założyli w poprzek mostu łańcuch i otoczyli „Rovera”. Szybko stało się jasne, że byli wrogo usposobieni. Takich ludzi grupa do tej pory nie

spotkała. Okrążyli samochody, rzucając do środka nienawistne spojrzenia i podnosząc karabiny. Dwóch czy trzech z nich zaczęło wrzeszczeć na Rashida.

„To naprawdę irytujące - pomyślał Bill - zajeżdżać tak daleko, pokonując tyle niebezpieczeństw i przeciwności losu, tylko po to, żeby zostać zatrzymanym przez gromadę głupich chłopów. Może zadowoliliby się tymi dwoma wspaniałymi Range Roverami i wszystkimi naszymi pieniędzmi? Kto wie?”

Zrobiło się jeszcze gorzej: napastnicy zaczęli szturchać i popychać Rashida.

„Za chwilę będą strzelać” - pomyślał Bill.

- Nie róbcie nic - powiedział Simons. - Siedźcie w samochodzie i pozwólcie Rashidowi załatwić sprawę.

Bill doszedł do wniosku, że Rashid potrzebuje pomocy. Wyciągnął z kieszeni różaniec i zaczął się modlić. Odmówił wszystkie modlitwy, jakie znał. „Jesteśmy teraz w rękach Boga - pomyślał. - Tylko cud mógłby nas uratować”.

Siedzący w drugim samochodzie Coburn zamarł, gdy stojący na zewnątrz napastnik skierował karabin prosto w jego głowę.

Siedzącego z tyłu Gaydena ogarnęło przerażenie.

- Jay! - wyszeptał. - Zablokuj drzwi!

Coburn poczuł, jak do gardła napływa mu histeryczny śmiech.

\* \* \*

Rashid poczuł, że znalazł się na krawędzi śmierci. Ci napastnicy byli bandytami i zabiliby człowieka choćby za jego płaszczy - nie sprawiało im to żadnej różnicy. Rewolucja nic dla nich nie oznaczała. Nieważne, kto był u władzy - oni nie uznawali żadnego rządu, nie podporządkowywali się żadnym prawom. Nie mówili nawet w *farsi*, najpowszechniejszym języku Iranu, lecz po turecku.

Otoczyli go ciasno, wrzeszcząc na niego w jednym języku, podczas

gdy on odkrzykiwał im w drugim. Nie prowadziło to do niczego. „Dojdzie do tego, że nas wystrzelają”, pomyślał Rashid.

Usłyszał warkot silnika samochodowego - para reflektorów zbliżała się od strony Razaiyeh. Był to „Land Rover”. Zatrzymał się i wyskoczyli z niego trzech mężczyźni. Jeden z nich miał na sobie długi czarny płaszcz. Napastnicy odnosili się do niego z szacunkiem.

- Poproszę o wasze paszporty - zwrócił się do Rashida.

- Już się robi - odparł.

Poprowadził mężczyznę do drugiego „Range Rovera” - w pierwszym siedział Bill i Rashid chciał, żeby człowiek w płaszczu znudził się oglądaniem paszportów, zanim dojdzie do niego. Zastukał w szybę i Paul ją opuścił.

- Paszporty.

Wyglądało na to, że mężczyzna miał już kiedyś do czynienia z paszportami. Dokładnie zbadał każdy z nich, porównując fotografię z twarzą właściciela. Potem, doskonałą angielszczyzną, zaczął zadawać pytania: Miejsce urodzenia? Adres zamieszkania? Data urodzenia? Na szczęście Simons kazał Paulowi i Billowi nauczyć się wszystkich szczegółów zawartych w ich fałszywych paszportach, więc Paul był w stanie bez wahania odpowiadać na wszystkie pytania człowieka w płaszczu.

Nieco ociągając się, Rashid zaprowadził go do pierwszego „Range Rovera”. Bill zamienił się miejscami z Keanem Taylorem i siedział teraz w głębi, daleko od światła.

Wszystko odbyło się tak samo. Na końcu mężczyzna obejrzał paszport Billa.

- To nie jest zdjęcie tego człowieka - odezwał się.

- Owszem, jest - tłumaczył gorączkowo Rashid. - On był ostatnio bardzo chory. Schudł i jego skóra zmieniła barwę. Czy nie rozumie pan, że jest umierający? Musi powrócić do Ameryki najszybciej, jak to możliwe, żeby otrzymać odpowiednią opiekę lekarską, a pan mu w tym przeszkadza. Chce pan, żeby umarł, dlatego że Irańczycy nie mają litości dla chorego człowieka? Czy w ten sposób dba pan o honor



naszego kraju? Czy...

- Oni są Amerykanami - przerwał mężczyzna. - Proszę za mną. Odwrócił się i poszedł do stojącego przy moście małego baraku z cegieł. Rashid wszedł za nim.

- Nie macie prawa nas zatrzymywać - powiedział. - Dostałem instrukcje od Komitetu Rewolucji Islamskiej w Rezaiyeh, aby odeskortować tych ludzi do granicy. Opóźnianie naszego wyjazdu jest kontrewolucyjną zbrodnią przeciw narodowi irańskiemu.

Zamachał mu przed oczami listem napisanym przez zastępcę przywódcy i podstemplowanym pieczętą biblioteki. Mężczyzna obejrzał pismo.

- Niemniej jednak tamten Amerykanin nie jest podobny do zdjęcia w swoim paszporcie.

- Powiedziałem panu, że jest chory! - wrzasnął Rashid. - Komitet rewolucyjny sprawdził ich i pozwolił jechać na granicę. A teraz niech pan zabiera z mojej drogi tych bandytów!

- My mamy swój komitet rewolucyjny - mężczyzna nie wyglądał na stropionego. - Będziecie musieli wszyscy pojechać do naszej kwatery głównej.

Rashid nie miał wyboru. Musiał się zgodzić.

Jay Coburn przyglądał się Rashidowi wychodzącemu z baraku w towarzystwie człowieka w długim czarnym płaszczu. Młodzieniec wyglądał na wstrząśniętego.

- Udajemy się do ich wioski, żeby nas sprawdzili - oznajmił. - Mamy jechać w ich samochodach.

„Wygląda to kiepsko” - pomyślał Coburn. Jak dotąd, za każdym razem, kiedy byli aresztowani, pozwalano im zostać w „Range Roverach”, dzięki czemu trochę mniej czuli się więźniami. Opuszczenie samochodu przeżywali bowiem jak utratę kontaktu z bazą.

W dodatku Rashid nigdy jeszcze nie był tak przerażony.

Wszyscy wsiedli do pojazdów napastników: półciężarówki oraz małego, poobijanego kombi. Powieziono ich polną drogą przez góry. Kręty szlak tonął w ciemnościach. „No, cholera - pomyślał Coburn -

wpadliśmy: nikt nas już więcej nie zobaczy”.

Po przebyciu trzech czy czterech mil dojechali do wioski. Był tam jeden murowany budynek, otoczony podwórkim. Resztę zabudowań stanowiły pokryte strzechą lepianki, na podwórku jednak stało sześć czy siedem wspaniałych jeepów.

- Jezus Maria, ci ludzie żyją z kradzieży samochodów - powiedział Coburn.

„Dwa „Range Rovery” stanowiłyby niezły dodatek do ich kolekcji” pomyślał. Oba pojazdy, w których jechali Amerykanie, zaparkowano na podwórku, potem ustawiono „Range Rovery”, a na końcu jeszcze dwa jeepy, blokując w ten sposób wyjazd i uniemożliwiając szybką ucieczkę.

Wysiedli.

- Nie musicie się obawiać - oznajmił mężczyzna w płaszczu. - Chcemy tylko z wami chwilę porozmawiać, a potem będziecie mogli odjechać.

Wszedł do budynku z cegieł.

- Kłamie - szepnął Rashid.

Wepchnięto ich do środka i nakazano ściągnąć buty. Miejscowych wyraźnie fascynowały kowbojskie buciory Keane’a Taylora. Jeden z nich porwał je i obejrzał dokładnie, a następnie puścił w obieg, żeby każdy mógł zobaczyć.

Zaprowadzono Amerykanów do dużego, nie umeblowanego pokoju, z perskim dywanikiem na podłodze oraz zwiniętymi pod ścianą materacami. Pomieszczenie było słabo oświetlone czymś w rodzaju lampy. Siedli w kole, otoczeni przez uzbrojonych w karabiny napastników.

„Znowu będziemy sądzeni, całkiem jak w Mahabadzie” - pomyślał Coburn. Uważnie śledził Simonsa.

Do pokoju wszedł największy i najbardziej odpychający mułła, jakiego widzieli w życiu. Zaczęło się kolejne przesłuchanie. Mówił Rashid, używając mieszaniny *farsi*, tureckiego i angielskiego. Po raz kolejny przedstawił napisany w bibliotece list i podał nazwisko zastępcy przywódcy. Ktoś wyszedł, aby kontaktować się z komitetem w

Rezaiyeh i sprawdzić. Coburn zastanawiał się, jak to zrobić - lampa naftowa świadczyła, że nie było tu elektryczności, jak więc mogły być telefony?

Ponownie sprawdzono wszystkie paszporty. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził.

„A co jeśli mają telefon? - pomyślał Coburn. - I co, jeśli komitet w Rezaiyeh dostał wiadomość od Dadgara?”

„Może byłoby lepiej dla nas, gdyby rzeczywiście nas sprawdzili - zastanawiał się - wtedy ktoś przynajmniej by wiedział, gdzie jesteśmy. W obecnej sytuacji mogliby nas zabić - ciała zniknęłyby bez śladu w śniegu i nikt nigdy nie dowiedziałby się, że byliśmy tutaj”.

Wszedł jakiś miejscowy, oddał Rashidowi list i przemówił do mułły.

- W porządku - powiedział Rashid. - Jesteśmy czyści. Nagle atmosfera zmieniła się diametralnie.

Szkaradny mułła zrobił się niesamowicie przyjacielski i ścisnął wszystkim ręce.

- Wita was w swojej wiosce - przetłumaczył Rashid. Przyniesiono herbatę.

- Mamy zaproszenie, aby gościć we wsi przez noc - ciągnął Rashid.

- Powiedz mu, że absolutnie nie możemy z niego skorzystać - odezwał się Simons. - Nasi przyjaciele czekają na nas na granicy.

Pojawił się mały, może dziesięcioletni chłopiec. Starając się umocnić nową przyjaźń, Keane Taylor wyciągnął fotografię swojego jedenastoletniego syna Michaela i pokazał ją napastnikom. Bardzo się podnieśli.

- Chcą, żebyśmy im zrobili zdjęcia - wyjaśnił Rashid.

- Keane, wyjmij swój aparat - rzucił Gayden.

- Skończył mi się film - odparł Taylor.

- Keane, wyjmij ten swój pieprzony aparat!

Taylor wyjął aparat. W rzeczywistości miał jeszcze trzy klatki, ale nie miał lampy błyskowej i potrzebowałby czegoś dużo bardziej wymyślnego niż „Instamatic”, żeby zrobić zdjęcia przy takim świetle. Mieszkańcy ustawili się jednak w rząd, wymachując w powietrzu

swymi karabinami i Taylor zmuszony był ich pstryknąć.

To było niebywałe. Przed pięcioma minutami ci ludzie wyglądali, jakby gotowi byli zamordować Amerykanów, teraz zaś nosili się wokoło na barana, pogwizdywali i pokrzykiwali z uciechy, świetnie się przy tym bawiąc.

Prawdopodobnie równie szybko mogło się znowu odmienić.

W Taylorze wzięło górę jego poczucie humoru i zaczęło go roznosić - zachowywał się jak fotograf prasowy. Kazał napastnikom uśmiechać się albo stawać razem, żeby mógł ich objąć obiektywem i robił dziesiątki zdjęć.

Przyniesiono jeszcze herbaty. Coburn jęknął w duchu. Przez ostatnich kilka dni wypił tyle herbaty, że miał jej dosłownie po uszy. Ukradkiem wylał swoją porcję, robiąc brzydką brązową plamę na wspaniałym dywaniku.

- Powiedz im, że musimy jechać - polecił Rashidowi Simons. Nastąpiła krótka wymiana zdań.

- Musimy wypić jeszcze jedną herbatę - oznajmił Rashid.

- Nie - odparł stanowczo Simons i wstał. - Ruszajmy! Łagodnie uśmiechając się i kłaniając mieszkańcom, Simons zaczął wydawać ostre polecenia głosem, który zadawał kłam jego uprzejmemu zachowaniu się.

- Wszyscy na nogi! Wkładajcie buty! Dalej, spadamy stąd, jedziemy! Wstali. Wszyscy miejscowi chcieli uścisnąć dłoń każdemu z gości.

Simons ciągle przepychał ich w kierunku drzwi. Odnaleźli swoje buty i włożyli je, ciągle kłaniając się i ściskając ręce. W końcu udało im się wydostać na zewnątrz i wsiąść do „Range Roverów”. Musieli poczekać, aż wieśniacy wymanewrują jeepami, które blokowały wyjazd, a w końcu ruszyli, podążając za nimi górską drogą.

Byli ciągle żywi, ciągle wolni, ciągle w drodze. Wieśniacy odwieźli ich do mostu i pożegnali się.

- Nie odeskortujecie nas do granicy? - spytał Rashid.

- Nie - odparł jeden z nich. - Nasze terytorium kończy się na moście.

Druga strona należy do Sero.

Mężczyzna w długim czarnym płaszczu uściśnął wszystkim ręce.

- Nie zapomnij przysłać nam zdjęć - powiedział do Taylora.

- Macie to jak w banku - odparł Keane z kamienną twarzą. Opuszczono przeciągnięty w poprzek mostu łańcuch. „Range Rover” przejechały na drugą stronę i przyspieszyły.

- Mam nadzieję, że nie będziemy mieć takich samych kłopotów w następnej wiosce - odezwał się Rashid. - Widziałem się dziś po południu z przywódcą i wszystko z nim ustaliłem.

„Range Rover” nabrały szybkości.

- Zwolnij - rzucił Simons.

- Nie, musimy się spieszyć. Byli o jakąś milę od granicy.

- Zwolnij ten cholerny wóz - warknął Simons. - Nie mam ochoty zginąć na tym etapie.

Przejeżdżali obok czegoś, co wyglądało jak stacja benzynowa. W małym baraku paliło się światło.

- Stop! Stop! - wrzasnął nagle Taylor.

- Rashid... - rzucił Simons.

Prowadzący drugi samochód Paul zatrąbił, błysnął światłami.

Kątem oka Rashid zobaczył dwóch mężczyzn biegnących od strony stacji, w biegu odbezpieczających i ładujących karabiny.

Prawie stanął na pedale hamulca. Samochód zatrzymał się z piskiem. Paul stanął już wcześniej, przy samej stacji. Rashid wyskoczył z wozu.

Dwaj mężczyźni wycelowali w niego karabiny.

„Znowu się zaczyna” - pomyślał.

Zaczął po swojemu, ale nie słuchali go, wsiedli, każdy do innego „Range Rovera”. Rashid powrócił na siedzenie kierowcy.

- Jedź - rozkazano mu.

Minutę później znaleźli się u stóp wzgórza, na którym była granica. Mogli już dojrzeć światła posterunku granicznego.

- Skręć w prawo - rzucił anioł stróż Rashida.

- Nie - sprzeciwił się Rashid. - Mamy pozwolenie na jazdę do granicy i...

Mężczyzna groźnym gestem podniósł karabin. Rashid zatrzymał samochód.

- Posłuchaj, przyjechałem do waszej wioski dziś po południu i dostałem pozwolenie na przejechanie...

- Zjedź tam.

Byli mniej niż pół mili od Turcji i od wolności. Ich siedmiu przeciw dwóm strażnikom - to było kuszące...

Ze wzgórza, od strony posterunku granicznego, zjechał pędem jakiś jeep i zarzucając zatrzymał się przed „Range Roverem”. Wyskoczył zeń podniecony młodzieniec z pistoletem w rękę i podbiegł do okna Rashida.

Rashid opuścił szybę i odezwał się:

- Wykonuję rozkazy Komitetu Dowódczego Rewolucji Islamskiej... Młody człowiek skierował swój pistolet w jego głowę.

- Zjedź tamtą drogą! - krzyknął.

Rashid ustąpił. Pojechali drogą w dół. Była jeszcze węższa od poprzedniej. Wioska leżała o niecałą milę. Gdy dojechali, Rashid wyskoczył z samochodu, mówiąc: „Zostańcie tu. Ja to załatwię”.

Kilkunastu mężczyzn wyszło z chat, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wyglądali jeszcze bardziej na bandytów niż mieszkańcy poprzedniej wioski.

- Gdzie jest przywódca? - zapytał głośno Rashid.

- Tu go nie ma.

- To go przyprowadźcie. Rozmawiałem z nim dziś po południu. Jestem jego przyjacielem. Otrzymałem od niego pozwolenie, aby przekroczyć granicę z tymi Amerykanami.

- Dlaczego jesteś z Amerykanami? - zapytał ktoś.

- Wykonuję rozkazy Komitetu Dowódczego Rewolucji Islamskiej... Nagle, dosłownie znikąd, pojawił się przywódca wioski, z którym Rashid rozmawiał po południu. Podeszedł i pocałował Rashida w oba policzki.

- Hej, to mi się podoba - powiedział siedzący w drugim „Range Roverze” Gayden.

- Dziękujemy za to Bogu - zauważył Coburn. - Nie byłbym już w stanie wypić więcej herbaty dla uratowania życia.

Przywódca, ubrany w ciężki afgański płaszcz, podszedł do nich, nachylił się do okna i każdemu podał rękę.

Rashid i obaj strażnicy wrócili do samochodów.

Kilka minut później podjeżdżali pod wzgórze, do przejścia granicznego.

Paul, siedzący za kierownicą drugiego samochodu, znów pomyślał o Dadgarze. Cztery godziny temu, w Rezaiyeh, wydawało się rozsądne zrezygnować z pomysłu przekraczania granicy konno, aby ominąć drogi i posterunki. Teraz nie był już tego taki pewien. Dadgar mógł wysłać zdjęcia jego i Billa na każde lotnisko, przejście graniczne, do każdego portu morskiego. Nawet jeśli nie było tam ludzi wiernych rządowi, fotografie mogły gdzieś zostać wywieszone. Irańczycy najwyraźniej chętnie korzystali z każdego pretekstu, żeby zatrzymać Amerykanów i przepytывать ich. Od samego początku EDS nie doceniało Dadgara...

Posterunek graniczny był jasno oświetlony wysokimi lampami jarzeniowymi. Oba samochody wolno przejechały obok budynku i zatrzymały się w miejscu, w którym rozciągnięty w poprzek drogi łańcuch oznaczał koniec terytorium irańskiego.

Rashid wysiadł. Porozmawiał z wartownikami, po czym wrócił.

- Nie mają klucza do otworzenia łańcucha - oznajmił. Wysiedli.

- Przejdź na stronę turecką i sprawdź, czy jest tam Boulware - polecił Rashidowi Simons.

Irańczyk zniknął.

Simons uniósł łańcuch, nie mógł go jednak podnieść tak wysoko, aby „Range Rovery” przejechały pod spodem.

Ktoś znalazł kilka desek i oparł je o łańcuch, aby zobaczyć, czy samochody nie mogłyby po nich przejechać. Simons potrząsnął głową - tak nie da rady.

Zwrócił się do Coburna.

- Czy w torbie z narzędziami jest piła do metalu? Coburn powrócił

do samochodu.

Paul i Gayden zapalili papierosy.

- Musisz zdecydować, co chcesz zrobić z tym paszportem - odezwał się Gayden.

- Co masz na myśli?

- Zgodnie z prawem amerykańskim za używanie fałszywego paszportu grozi kara więzienia i grzywna w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Grzywnę zapłacę, ale będziesz musiał karę odsiedzieć.

Paul zastanowił się. Jak dotąd, nie naruszył żadnych przepisów. Okazywał swój fałszywy dokument, ale tylko bandytom i rewolucjonistom, którzy i tak nie mieli żadnego prawa do sprawdzania dokumentów. Byłoby dobrze, gdyby nadal nie musiał mijać się z prawem.

- Racja - odezwał się Simons. - Jak tylko wydostaniemy się z tego cholernego kraju, koniec z łamaniem prawa. Nie mam ochoty wyciągać was z jakiejś tureckiej paki.

Paul wręczył swój paszport Gaydenowi, Bill uczynił to samo. Gayden dał je Taylorowi, który włożył dokumenty do swych kowbojskich butów.

Coburn wrócił z piłą do metalu - Simons wziął ją i zaczął piłować łańcuch. Irańscy wartownicy rzucili się z krzykiem w jego kierunku. Simons zaprzestał piłowania.

Od strony tureckiej nadszedł Rashid, ciągnąc ze sobą kilku strażników i jakiegoś oficera. Porozmawiał chwilę z Irańczykami, potem odezwał się do Simonsa:

- Nie może pan przecinać łańcucha. Oni mówią, że musimy poczekać do rana. Poza tym Turcy też nie chcą, żebyśmy przechodzili dzisiaj.

- Mógłbyś się za chwilę źle poczuć - mruknął Simons do Paula.

- Co masz na myśli?

- Kiedy dam ci znak, po prostu źle się poczuj, OK?

Paul zrozumiał - strażnicy tureccy chcieli spać, a nie spędzić noc z gromadą Amerykanów. Za to gdyby jeden z nich nagle potrzebował



opieki szpitalnej, nie bardzo mogliby odprawić go z kwitkiem.

Turcy wrócili na swoją stronę granicy.

- Co teraz robimy? - spytał Coburn.

- Czekamy - odparł Simons.

Było bardzo zimno i prawie wszyscy irańscy strażnicy, z wyjątkiem dwóch, weszli do wartowni.

- Udawajcie, że jesteśmy gotowi czekać całą noc - powiedział Simons. Pozostali dwaj strażnicy też poszli się ogrzać.

- Gayden, Taylor - rzucił Simons. - Idźcie tam i zaproponujcie strażnikom pieniądze za zaopiekowanie się naszymi samochodami.

- Zaopiekowanie się? - powiedział z niedowierzaniem Taylor. - Oni je po prostu ukradną.

- Zgadza, się - rzekł Simons. - Będą mogli je ukraść, o ile przedtem nas puszczą.

Taylor i Gayden weszli do wartowni.

- To jest to - odezwał się Simons. - Coburn, weź Paula i Billa i po prostu przejdźcie granicę.

- Dalej, chłopaki, idziemy - rzucił Coburn.

Paul i Bill przeszli nad łańcuchem. Szli dalej. Coburn trzymał się blisko za nimi.

- Po prostu idźcie przed siebie, bez względu na to, co się może zdarzyć - powiedział. - Jeśli usłyszycie krzyki albo strzały, puśćcie się biegiem. Pod żadnym warunkiem nie zatrzymujemy się ani nie wracamy.

Podszedł do nich Simons.

- Idźcie szybciej - ponaglił. - Nie chcę mieć dwóch trupów na tym przeklętym pustkowiu.

Słyszeli jakąś dyskusję po irańskiej stronie.

- Nie odwracajcie się, po prostu idźcie - rzucił Coburn.

Po irańskiej stronie granicy Taylor wyciągał garść pieniędzy w stronę dwóch strażników, którzy najpierw zerkali na czwórkę przekraczających granicę mężczyzn, a potem na dwa „Range Rovery”, warte co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów każdy...

- Nie wiemy, kiedy będziemy mogli wrócić po te samochody - mówił Rashid - to może potrwać dość długo...

- Mielicie wszyscy zostać tu do rana... - odezwał się jeden ze strażników.

- Te samochody są naprawdę bardzo cenne i trzeba ich pilnować... Strażnicy przenieśli wzrok z samochodów na ludzi idących do Turcji, potem z powrotem na samochody - wahali się zbyt długo...

Paul i Bill przeszli na stronę turecką i zniknęli w baraku straży.

Bill spojrzął na zegarek. Był kwadrans do północy, wtorek, 15 lutego, dzień po dniu świętego Walentego. Tego samego dnia, w 1960 roku, włożył zaręczynowy pierścionek na palec Emily. Sześć lat później, też 15 lutego, urodziła się Jackie - dzisiaj były jej trzynaste urodziny.

„Oto twój prezent, Jackie - pomyślał Bill. - Ciągłe jeszcze masz ojca”. Coburn wszedł za nimi do baraku. Paul objął go ramieniem.

- Jay...

Po stronie irańskiej strażnicy zobaczyli, że połowa Amerykanów jest już w Turcji i postanowili zmyć się, dopóki była po temu okazja, zabierając ze sobą pieniądze oraz samochody.

Rashid, Gayden i Taylor podeszli do łańcucha. Gayden przystanął.

- Dalej, idźcie - powiedział. - Chcę być ostatni.

I był.

## 2.

Ralph Boulware, tłusty tajniak Ilsman, tłumacz „Charlie Brown” i dwaj synowie kuzyna Mr Fisha siedzieli wokół kopącego pieca w hotelu w Yuksekovej. Czekali na telefon z posterunku granicznego. Podano obiad: jakieś mięso, może jagnięce, zawinięte w gazetę.

Ilsman powiedział, że widział kogoś, kto zrobił Rashidowi i Boulware’owi zdjęcie na granicy.

- Gdybyście kiedykolwiek mieli jakieś problemy w związku z tymi

zdjęciami, mogę to załatwić - oznajmił, a „Charlie” przetłumaczył jego słowa.

Boulware zastanawiał się, co to miało oznaczać.

- On wierzy, że jest pan uczciwym człowiekiem i to, co pan robi, jest szlachetne - wyjaśnił „Charlie”.

Boulware poczuł, że propozycja tajniaka brzmiała dość złowrogo - jakby jakiś mafioso mówił ci, że jesteś jego przyjacielem.

Do północy nie usłyszeli ani słowa od grupy „Podejrzanych”, ani od Pata Sculleya i Mr Fisha, którzy powinni byli być już w drodze wynajętym autobusem. Boulware postanowił iść spać. Przed położeniem się do łóżka zawsze pił wodę. Na stole stał pełen dzbanek. „Do diabła - pomyślał - raz kozie śmierć”. Pociągnął łyk i poczuł, że połyka coś stałego. „O Boże, co to było”? Postanowił o tym zapomnieć.

Właśnie kładł się do łóżka, kiedy zawołano go do telefonu. Był to Rashid. - Ralph?

- Tak.

- Jesteśmy na granicy!

- Zaraz tam będę.

Zebrał pozostałych i zapłacił rachunek za hotel. Synowie kuzyna Mr Fisha prowadzili w czasie jazdy drogą, na której - jak ciągle powtarzał Ilsman - w poprzednim miesiącu bandyci zabili trzydzieści dziewięć osób. Po drodze złapali jeszcze jedną gumę. Musieli zmieniać koło w ciemności, bo wyczerpały im się baterie w latarce. Stojąc na drodze i czekając, Boulware nie wiedział, czy powinien bać się, czy nie. Ilsman mógł jeszcze okazać się kłamcą, oszustem wykorzystującym zdobyte zaufanie. Z drugiej strony, jego papiery chroniły ich wszystkich. Jeśli turecki wywiad był równie dobry, jak tureckie hotele, to, do licha, Ilsman mógł być tutejszym Jamesem Bondem.

Koło zmieniono i samochody ruszyły w dalszą drogę. Jechali nocą. „Wszystko będzie w porządku - pomyślał Boulware. - Paul i Bill są na granicy Sculley i Mr Fish jadą tu już autobusem, a Perot czeka w Istambule z samolotem. Musi nam się udać”.

Dotarli do granicy. W baraku straży paliło się światło. Boulware

wyskoczył z samochodu i wbiegł do środka. Powitały go okrzyki radości.

Wszyscy byli na miejscu: Paul i Bill, Coburn, Simons, Taylor, Gayden i Rashid.

Boulware wymienił gorące uściski dłoni z Paulem i Billem. Zaczęli zbierać swoje płaszcze i bagaże.

- Hej, hej, spokojnie, zaczekajcie chwilę - zawołał Boulware. - Mr Fish jedzie tu autem. Wyjął z kieszeni butelkę „Chivas Regal”, którą zachował na tę chwilę. - Możemy się za to wszyscy napić!

Wszyscy, oprócz Rashida, który nie brał alkoholu do ust, wzniesli uroczysty toast. Simons pociągnął Boulware’a w róg pokoju.

- No dobra, co się dzieje? - zapytał.

- Rozmawiałem po południu z Rossem. Mr Fish jest już w drodze, razem z Sculleyem, Schwebachem i Davisem. Mają autobus. Moglibyśmy wyruszyć wszyscy już teraz - w dwanaście osób akurat zmieścilibyśmy się do dwóch samochodów - ale myślę, że powinniśmy poczekać na ten autobus. Wtedy, po pierwsze, będziemy wszyscy razem i nikt się już nie zgubi, a po drugie - droga, którą mamy jechać, wygląda na „Krwawą Aleję”. Wie pan, bandyci i tym podobni. Nie wiem, czy to nie przesada, ale oni w kółko to powtarzają i zaczynam wierzyć. Jeśli droga jest rzeczywiście niebezpieczna, lepiej trzymać się razem. W końcu - po trzecie - jeśli pojedziemy do Yuksekovej i tam będziemy czekać na Mr Fisha, będziemy mogli jedynie zatrzymać się w najgorszym hotelu pod słońcem, narażając się na pytania i kłopoty ze strony nowej grupy urzędników.

- OK - powiedział niechętnie Simons. - Poczekamy trochę. „Wygląda na zmęczonego - pomyślał Boulware. - Jak stary człowiek, który chciałby odpocząć”. Coburn wyglądał podobnie: wyczerpany, bez sił, bliski załamania. Boulware myślał o tym, co też musieli przejść, żeby tutaj dotrzeć.

On sam czuł się wspaniale pomimo tego, że przez ostatnie czterdzieści osiem godzin spał bardzo niewiele. Przypomniawszy sobie nie kończące się dyskusje z Mr Fishem o tym, jak dotrzeć do granicy.

Niepowodzenie w Adanie, kiedy nawalił autobus, jazdę taksówką. W zamieci przez góry... I oto, mimo wszystko, udało mu się - jest tutaj.

Mała wartownia była przejmująco zimna, a piec na węgiel drzewny nie dawał nic poza zapewnianiem pomieszczenia dymem. Wszyscy byli zmęczeni, a wódka jeszcze bardziej ich usypiała. Jeden po drugim kładli się na drewnianych ławkach lub podłodze.

Simons nie spał. Rashid obserwował go, kiedy chodził w tę i z powrotem, jak uwięziony w klatce tygrys, paląc jeden za drugim swoje cygara z plastikowymi ustnikami. O świcie zaczął wyglądać przez okno, w stronę Iranu.

- Jest tam ze stu ludzi z karabinami - odezwał się do Rashida i Bulware'a.

- Jak myślicie, co zrobią, jeśli przypadkiem odkryją, kto prześlizgnął im się w nocy przez granicę?

Boulware też zaczął się zastanawiać, czy miał rację proponując czekanie na Mr Fisha.

Rashid wyjrzał przez okno. Widząc „Range Rovera” po drugiej stronie, przypomniał sobie coś.

- Kanister - powiedział. - Zostawiłem kanister z pieniędzmi. Mogą nam być potrzebne.

Simons tylko spojrzał na niego.

Pod wpływem nagłego impulsu Rashid wyszedł z wartowni i skierował się w stronę przejścia. Zastanawiał się nad sposobem myślenia strażników irańskich. Spisali nas już na straty, stwierdził. Jeśli mają jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy postąpili słusznie w nocy, to przez ostatnie kilka godzin musieli wymyślać wymówki usprawiedliwiające ich postępek. Do tej pory z pewnością przekonali się, że mieli rację. Tak szybko nie zmieniają zdania.

Dotarł do drugiej strony i przeszedł pod łańcuchem. Zbliżył się do pierwszego „Range Rovera” i otworzył tylne drzwi.

Dwaj strażnicy wylecieli biegiem z baraku.

Rashid wyjął kanister z samochodu i zamknął drzwi.

- Zapomnieliśmy oleju - rzucił, ruszając z powrotem w stronę

łańcucha.

- Po co wam olej? - spytał podejrzliwie jeden ze strażników. - Nie macie już samochodów.

- Do autobusu - oznajmił Rashid, przechodząc pod łańcuchem. - Ma nas zabrać do Wan.

Odszedł, czując na sobie ich spojrzenia. Nie obejrzał się, aż doszedł do baraku po stronie tureckiej.

Kilka minut później usłyszeli warkot motoru. Wyjrżeli przez okna i zobaczyli nadjeżdżający autobus. Po raz kolejny wznieśli radosne okrzyki.

Pat Sculley, Jim Schwebach, Ron Davis i Mr Fish wysiedli z autobusu, weszli do strażnicy i przywitali się ze wszystkimi. Ostatni z nowo przybyłych przyniósł nową butelkę whisky, wznieśli więc jeszcze raz uroczysty toast.

Mr Fish rozmawiał z Ilsmanem i strażnikami. Gayden objął ramieniem Pata Sculleya.

- Zauważyłeś, kto tu z nami jest? - zapytał i wskazał palcem. Sculley zobaczył Rashida, który leżał w kącie, pogrążony we śnie.

Uśmiechnął się. W Teheranie był przełożonym tego młodzieńca, a potem, podczas pierwszego spotkania z Simonsem w sali zarządu EDS - czy możliwe, że było to tylko sześć tygodni temu? - mocno obstawał przy tym, żeby Rashid wziął udział w akcji odbicia więźniów. Wyglądało teraz na to, że Simons doszedł do tego samego wniosku.

- Pat Sculley i ja musimy jechać do Yuksekovej porozmawiać z tamtejszym szefem policji - odezwał się Mr Fish. - Resztę panów proszę o oczekiwanie tutaj.

- Chwileczkę - rzucił Simons. - Najpierw czekaliśmy na Boulware'a, potem na pana. Na co teraz znowu mamy czekać?

- Jeśli zawczasu nie załatwimy wszystkich formalności, będą kłopoty. Paul i Bill nie mają paszportów - odparł Mr Fish. Simons odwrócił się do Boulware'a.

- Ten twój Ilsman miał już to załatwić - powiedział ze złością.

- Myślałem, że to zrobił - bronił się Boulware. - Że ich przekupił.

- No to o co chodzi?

- Tak będzie lepiej - stwierdził Mr Fish.

- To zróbcie to szybko, do jasnej cholery! - ryknął Simons. Sculley i Mr Fish wyszli. Pozostali zaczęli grać w pokera. Mieli tysiące dolarów pochowane w butach i byli w szampańskich humorach. W jednej partii Paul miał fulla z asów. Stawka osiągnęła ponad tysiąc dolarów. Keane Taylor ciągle przebijał. Pokazał parę króli i Paul domyślił się, że ma jeszcze jednego w ręku, co dawałoby mu fulla królewskiego. Miał rację - wygrał tysiąc czterysta dolarów.

Przybyła nowa zmiana straży granicznej wraz z jakimś oficerem, który wściekał się strasznie, zastawszy w swojej wartowni pełno niedopałków, studolarowych banknotów i grających w pokera Amerykanów, z których dwóch wjechało do jego kraju bez paszportów.

Ranek ciągnął się bez końca i wszyscy zaczęli odczuwać nadmiar alkoholu i niedobór snu. W miarę jak słońce wspinało się po niebie coraz wyżej, poker przestawał ich bawić. Simons zaczynał się denerwować, Gayden wyżywać na Boulware'em, a ten z kolei zastanawiał się, gdzie podzieli się Sculley i Mr Fish.

Był teraz pewien, że popełnił błąd. Powinni wszyscy wyruszyć do Yuksekovej, gdy tylko on przybył. Następnym błędem było pozwolenie Mr Fishowi na przejęcie dowodzenia, przez co Boulware stracił inicjatywę.

O dziesiątej, po czterech godzinach nieobecności, Sculley i Mr Fish wrócili.

Mr Fish powiedział oficerowi, że mają pozwolenie na wyjazd. Oficer rzucił coś ostrym tonem i jakby przypadkowo - odsłonił poły marynarki, ukazując pistolet. Pozostali strażnicy cofnęli się od Amerykanów.

- Mówi, że wyjedziemy, kiedy on na to pozwoli - oznajmił Mr Fish.

- Dość tego - rzucił Simons. Zerwał się na nogi i powiedział coś po turecku. Wszyscy Turcy spoglądali na niego zdumieni - nie zdawali sobie sprawy, że znał ich język.

Simons wziął oficera do przyległego pokoju, z którego wyszli po

kilku minutach.

- Możemy jechać - oznajmił.

- Dał mu pan w łapę, pułkowniku, czy śmiertelnie nastraszył? – zapytał Coburn, gdy wychodzili.

Zapytany uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie i nic nie odpowiedział.

- Czy chcesz pojechać do Dallas, Rashid? - spytał Pat Sculley. Rashid pomyślał, że przez ostatnie kilka dni rozmawiali tak, jak gdyby miał z nimi przebyć całą drogę, dopiero jednak teraz, po raz pierwszy, ktokolwiek zapytał go wprost, czy chce wyjechać. Musiał teraz podjąć najważniejszą decyzję w swoim życiu.

„Chcesz jechać do Dallas, Rashid?” To było spełnienie marzeń. Pomyślał o tym, co zostawiał za sobą. Nie miał dzieci, żony, nawet dziewczyny - nigdy nie był zakochany. Przyszli mu jednak na myśl rodzice, siostra i bracia. Mógł im być potrzebny - życie w Teheranie na pewno będzie przez jakiś czas ciężkie.

Z drugiej strony - jaką pomoc mógł im ofiarować? Przez kilka dni, może tygodni, miałby jeszcze pracę zajmując się ładowaniem na statek i odsyłaniem do Stanów dobytku Amerykanów, opiekowaniem się ich psami i kotami. A potem? EDS było w Iranie skreślone. Komputery prawdopodobnie też, i to na wiele lat. Bez stałego zatrudnienia stanowił tylko ciężar dla swojej rodziny. Jeszcze jedną gębę do żywienia w ciężkich czasach.

Za to w Ameryce...

W Ameryce mógłby kontynuować naukę. Mógłby rozwijać swoje talenty, może odnieść sukces w biznesie - zwłaszcza za pomocą takich ludzi, jak Pat Sculley i Jay Coburn.

„Chcesz jechać do Dallas, Rashid?”

- Tak - odpowiedział Sculleyowi. - Chcę pojechać do Dallas.

- No to na co czekasz? Wsiadaj do autobusu.

Weszli wszyscy, Paul z ulgą opadł na siedzenie. Autobus ruszył i Iran zaczął niknąć w oddali. „Pewnie nigdy już nie zobaczę tego kraju” - pomyślał.



Zauważył kilku obcych - jakichś ohydnych Turków w prowizorycznych mundurach i dwóch Amerykanów - jak ktoś mruknął - pilotów. Paul był zbyt zmęczony, żeby wyciągać dalsze informacje. Do kompanii dołączył również jeden z tureckich strażników z posterunku granicznego. Prawdopodobnie po prostu podwozili go kawałek.

Zatrzymali się w Yuksekovej.

- Musimy porozmawiać z szefem policji - odezwał się do Paula i Billa Mr Fish. - Rządzi tu od dwudziestu pięciu lat i nasz przejazd jest najważniejszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła. Ale nie martwcie się, to tylko formalność.

Wszyscy trzej wysiedli z autobusu i weszli do małego posterunku. Paul nawet się nie przejmował. Wydostał się z Iranu i chociaż Turcja nie jest krajem całkiem zachodnim, to przynajmniej, jak uznał, nie jest targana rewolucją. A może po prostu był zbyt zmęczony, aby się bać.

Przez dwie godziny przesłuchiowano jego i Billa, po czym zostali wypuszczeni.

W Yuksekovej dosiadło się do autobusu jeszcze sześć osób. Jakaś kobieta z dzieckiem, chyba żona któregoś ze strażników, oraz czterech okropnie brudnych facetów - „goryli”, jak wyjaśnił Mr Fish - którzy usiedli za firanką z tyłu pojazdu.

Wyjechali, kierując się ku Wan, gdzie oczekiwał wycarterowany samolot. Paul podziwiał krajobraz. „Ładniej niż w Szwajcarii - pomyślał - ale niesamowicie ubogo”. Na drodze leżały ogromne otoczaki. Odziani w łachmany ludzie udeptywali śnieg na polach, aby ich kozy mogły dostać się do zamrożonej pod spodem trawy. Tu i ówdzie widać było wyglądające na zamieszkane jaskinie z drewnianymi płotami wokół wlotów. Przejechali też obok ruin kamiennej fortecy, mogącej pochodzić jeszcze z czasów wypraw krzyżowych.

Kierowca autobusu zachowywał się, jakby był na wyścigach. Jechał ostro po krętej drodze, najwyraźniej wierząc, że absolutnie nic nie może nadjechać z przeciwka. Śmignął tylko koło jakiejś grupy żołnierzy, którzy machali mu i chociaż Mr Fish wrzasnął, żeby zatrzymał się, kierowca odkrzyknął coś w odpowiedzi i jechał dalej.

Kilka mil dalej czekał liczniejszy oddział wojska, który prawdopodobnie otrzymał wiadomość, że zlekceważyli ostatni punkt kontrolny. Żołnierze stali na drodze z podniesionymi karabinami i kierowca był zmuszony zatrzymać się. Jakiś sierżant wojskowy wskoczył do autobusu i wypchnął kierowcę na zewnątrz, wbijając mu łufę w szyję.

„Teraz dopiero się zacznie” - pomyślał Paul.

Była to niemal komiczna scena. Kierowca nie przestraszył się ani trochę, darł się na żołnierzy tak samo głośno i gniewnie, jak oni na niego. Mr Fish, Ilsman oraz tajemniczy pasażerowie wysiedli, wdali się w dyskusję i w końcu udobruchali wojskowych. Kierowcę dosłownie wrzucono z powrotem do autobusu, ale nawet to nie powstrzymało jego bojowości. Odjeżdżając ciągle jeszcze wymyślał żołnierzom przez okno i groził im pięścią.

Późnym popołudniem dojechali do Wan. Udali się do ratusza, gdzie przekazano ich miejscowej policji, a ohydni „goryle” zniknęli jak śnieg wiosną. Policjanci wypełnili odpowiednie formularze i odeskortowali grupę na lotnisko.

Gdy wchodzili na pokład samolotu, Ilsman został zatrzymany przez jednego z funkcjonariuszy - na pasie pod ramieniem miał umocowaną czterdziestkę piątkę; wyglądało na to, że również w Turcji pasażerom nie wolno wносить broni palnej do samolotu. Ilsman jednak jeszcze raz zamachał swymi papierami i sprawa została załatwiona.

Zatrzymano też Rashida - niósł kanister zawierający pieniądze, a wnoszenie na pokład łatwopalnych cieczy było oczywiście zabronione. Powiedział jednak gliniarzom, że w kanistrze jest olejek do opalania dla żon Amerykanów. Uwierzyli mu.

Weszli na pokład. Simons i Coburn, na których przestały działać pigułki pobudzające, wyciągnęli się wygodnie i po kilku sekundach spali już głęboko.

Gdy samolot kołował i odrywał się od ziemi, Paul czuł się tak podniecony, jakby to był jego pierwszy lot w życiu. Przypomniał sobie, jak nie tak dawno, siedząc w więzieniu w Teheranie, miał wielką ochotę

zrobić tę najzwyczajniejszą rzecz - wsiąść do samolotu i odlecieć. Teraz wznoszenie się w chmury przyniosło mu uczucie, którego nie zaznał od dawna. Uczucie wolności.

### 3.

Zgodnie ze specyficznymi przepisami tureckiego lotnictwa wycarterowany samolot nie mógł ich zabrać do miejsca, gdzie dochodziły loty rozkładowe. Nie mogli więc lecieć bezpośrednio do Istambułu, gdzie czekał Perot, ale musieli przesiąść się w Ankarze.

Czekając na połączenie rozwiązywali kilka problemów.

Simons, Sculley, Paul oraz Bill wzięli taksówkę i kazali się zawieźć do ambasady amerykańskiej. W czasie długiej jazdy przez miasto zauważyli, że powietrze ma brązowy kolor i silny zapach.

- Powietrze jest tu niedobre - stwierdził Bill.

- Węgiel o dużej zawartości siarki - wyjaśnił Simons, który mieszkał w Turcji w latach pięćdziesiątych. - Oni tu nigdy nawet nie słyszeli o pomiarach poziomu zanieczyszczenia.

Gdy taksówka zatrzymała się przy ambasadzie, Bill wyrzwał przez okno i serce zabiło mu mocniej z radości. Na warcie stał młody, przystojny mariner w nieskazitelnie czystym mundurze.

To były Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Zapłacili taksówkarzowi.

- Jest tu parking? - zapytał wartownika Simons, gdy wchodzili.

- Tak, proszę pana - odparł mariner, wskazując mu miejsce. Paul i Bill weszli do biura paszportowego. Mieli w kieszeniach odpowiedniego formatu zdjęcia, które Boulware przywiózł ze Stanów. Podeszli do biurka.

- Zgubiliśmy nasze paszporty - odezwał się Paul. - Opuszczaliśmy Teheran w pewnym pośpiechu.

- Ach, tak - rzucił urzędnik, jak gdyby się ich spodziewał. Musieli

wypełnić formularze. Jeden z pracowników poprosił ich do prywatnego biura, aby zasięgnąć rady w pewnej sprawie. Otóż konsulat USA w Tebrizie został zaatakowany przez rewolucjonistów i tamtejszy personel być może będzie musiał uciekać, tak jak Paul i Bill. Opowiedzieli, którędy jechali i jakie mieli problemy.

Kilka minut później opuścili biuro, trzymając w rękach ważne na sześćdziesiąt dni paszporty Stanów Zjednoczonych.

- Czy w całym twoim cholernym życiu widziałeś kiedykolwiek coś równie pięknego? - spytał Paul Billa, spoglądając na swój nowy dokument.

\* \* \*

Simons wylał z kanistra olej i wytrząsnął na ziemię pieniądze, schowane w obciążonych plastikowych torebkach. Powstał potworny bałagan, część woreczków bowiem pękła i banknoty były całe w oleju. Sculley zaczął ścierać olej i układać pieniądze w kupkach po dziesięć tysięcy dolarów - w sumie było sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, plus mniej więcej tyle samo w irańskich rialach.

Gdy był tym zajęty, wszedł jakiś marinę. Widząc dwóch nie ogolonych mężczyzn w wymiętych ubraniach, klęczących na podłodze i liczących małą fortunę w studolarowych banknotach, kompletnie zbaraniał.

- Czy myśli pan, że powinienem mu powiedzieć, pułkowniku? - spytał Sculley.

- Twój koleś przy bramie wie, co tu robimy - zagrzemiał Simons. Żołnierz zasalutował i wyszedł.

\* \* \*

Była jedenasta wieczorem, gdy wezwano ich do wejścia na pokład

samolotu do Istambułu. Kolejno przeszli przez ostatnią kontrolę bezpieczeństwa. Sculley siedł tuż przed Simonsem. Spoglądając do tyłu zobaczył, że strażnik chce zajrzeć do koperty, którą niósł Simons - zawierała ona wszystkie pieniądze z kanistra.

- O, cholera - mruknął.

Żołnierz zerknął do koperty i kiedy zobaczył sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów oraz cztery miliony riali, rozpętało się istne piekło. Kilku żołnierzy wyciągnęło broń, jeden z nich głośno krzyknął i nadbiegli oficerowie. Sculley zobaczył, jak Taylor, który w małej czerwonej torbie miał pięćdziesiąt tysięcy dolarów, przepycha się przez tłum wokół Simonsa, powtarzając: „Przepraszam, przepraszam bardzo...

Idący przed Sculleyem Paul przekroczył już punkt kontrolny. Sculley wepchnął mu w ręce swoje trzydzieści tysięcy dolarów, okręcił się i wrócił. Żołnierze właśnie zabierali Simonsa na przesłuchanie. Sculley, wraz z Mr Fishem, Ilsmanem, Boulwarem i Jimem Schwebachem poszli z nimi. Zaprowadzono Simonsa do małego pokoju. Jeden z oficerów odwrócił się, ujrzał pięć wchodzących osób i odezwał się po angielsku:

- Kim jesteście?

- Jesteśmy wszyscy razem - odparł Sculley. Usiedli i Mr Fish zaczął rozmawiać z oficerem.

- Chcą zobaczyć papiery udowadniające, że wwieźliście te pieniądze do kraju - powiedział po chwili.

- Jakie papiery?

- Trzeba deklarować każdą wwożoną obcą walutę.

- Nikt nas o to nie prosił, do diabła!

- Panie Fish - odezwał się Boulware. - Niech pan wytłumaczy tym błaznom, że wjechaliśmy do Turcji małym przejściem granicznym, na którym strażnicy pewnie nie umieją nawet czytać formularzy i nie prosili nas o wypełnienie czegokolwiek, chętnie jednak zrobimy to teraz.

Mr Fish jeszcze przez jakiś czas dyskutował z oficerami. W końcu wypuszczono Simonsa razem z pieniędzmi, ale żołnierze spisali jego

nazwisko, numer paszportu, a także rysopis, i w chwili, gdy wylądowali w Istambule, pułkownik został aresztowany.

O trzeciej w nocy, w sobotę siedemnastego lutego 1979 roku Paul i Bill weszli do apartamentów Rossa Perota w hotelu Sheraton w Istambule.

Była to najwspanialsza chwila w życiu Perota. Ścisnął ich obu z wielkim wzruszeniem. Oto byli cali i zdrowi, nareszcie, po tych wszystkich tygodniach czekania, niemożliwych decyzji i strasznego ryzyka. Spojrzał na ich rozpromienione twarze. Koszmar skończył się.

Również reszta grupy wtoczyła się za nimi. Ron Davis błaznował jak zwykle. Perot pożyczył mu przedtem ciepłe ubranie, teraz zaś udawał, że bardzo chce je odzyskać - Davis zdjął kapelusz, płaszcz oraz rękawiczki i dramatycznym gestem cisnął je na podłogę.

- Masz, Perot, oto twoje cholerne szmaty. Nagle wszedł Sculley.

- Simonsa aresztowano na lotnisku - powiedział. Cała radość Perota ulotniła się.

- Dlaczego? - przeraził się.

- Przewoził sporo pieniędzy w papierowej kopercie i przypadkiem akurat jego przeszukali.

- Do diabła, Pat, dlaczego miał przy sobie te pieniądze? - spytał ze złością Perot.

- To były pieniądze z kanistra. Widzisz...

- Jak mogliście po tym wszystkim, co Simons zrobił, pozwolić mu na podejmowanie całkiem niepotrzebnego ryzyka? - przerwał Perot. - Teraz posłuchaj. Odlatuję w południe. Jeśli Simons nie wyjdzie do tego czasu z więzienia, ty zostaniesz w tym pieprzonym Istambule, dopóki go nie zwolnią.

\* \* \*

Sculley i Boulware naradzali się z Fishem.

- Musimy wydostać pułkownika Simonsa z więzienia - zaczął

Boulware.

- Taaa - powiedział Fish. - To nam zabierze jakieś dziesięć dni...

- Nie ma rady - uciął Boulware. - Perot na to nie pójdzie. Chce go mieć na wolności zaraz.

- Jest piąta rano - zaprotestował Fish.

- Ile? - rzucił krótko Boulware.

- Nie mam pojęcia. Zbyt wielu ludzi o tym wie, zarówno w Ankarze, jak w Istambule.

- Pięć tysięcy dolarów wystarczy?

- Za taką sumę sprzedaliby własne matki.

- Świetnie - stwierdził Boulware. - Załatwmy to. Fish zadzwonił pod siebie tylko znany numer.

- Mój adwokat spotka się z nami przy więzieniu niedaleko lotniska - oznajmił, skończywszy rozmowę.

Boulware i Fish wsiedli do poobijanego, starego samochodu Fisha, a Sculley został, aby zapłacić rachunek za hotel. Podjechali do więzienia, gdzie czekał na nich adwokat. Prawnik dosiadł się.

- Sędzia jest w drodze - oznajmił. - Rozmawiałem już z policją. Gdzie są pieniądze?

- Więzień je ma - odparł Boulware. - Jak to?

- Pan tam pójdzie i wyprowadzi więźnia, a on da panu pięć tysięcy dolarów. Było to szaleństwo, ale adwokat zrobił tak, jak mu powiedziano - wszedł do więzienia i po kilku minutach wyszedł prowadząc ze sobą Simonsa. Wsiedli do samochodu.

- Nie będziemy płacić tym błaznom - powiedział Simons. - Przeczekam to. Oni po prostu zagadają się na śmierć i za kilka dni i tak mnie wypuszczą.

- Bill, proszę. Niech pan nie utrudnia - westchnął Boulware. - Proszę dać mi kopertę.

Simons wręczył mu kopertę, Boulware wyjął pięć tysięcy dolarów i dał je prawnikowi.

- Oto pieniądze - odezwał się. - Zrób z nich właściwy użytek. Adwokat posłuchał tej rady.

Pół godziny później Boulware, Simons i Fish zostali odwiezieni policyjnym samochodem na lotnisko. Jakiś gliniarz wziął ich dokumenty i przeprowadził przez kontrolę paszportową oraz celną. Kiedy wyszli na pole startowe, ten sam samochód stał tam, aby zawieźć ich do czekającego na pasie Boeinga 707.

Gdy weszli na pokład samolotu, Simons przyjrzał się aksamitnym zasłonom, pluszowej tapicerce, telewizorom i barkom.

- Co to, jak rany? - zapytał.

Załoga czekała już na pokładzie. Jedna ze stewardes podeszła do Boulware'a.

- Czy życzy pan sobie drinka? - zapytała. Boulware uśmiechnął się.

\* \* \*

W hotelowych apartamentach Perota zadzwonił telefon i przypadkiem odebrał go Paul.

- Halo? - powiedział głoś.

- Halo? - rzucił Paul.

- Kto mówi?

- A kto pyta? - spytał podejrzliwie Paul.

- Hej... Paul?

Paul rozpoznał głos Merva Stauffera.

- Cześć, Merv.

- Paul, mam tu kogoś, kto chce z tobą mówić. Nastąpiła krótka przerwa, po czym kobiety głos zapytał:

- Paul?

To była Ruthie.

- Witaj, Ruthie.

- Och, Paul!

- Cześć! Co porabiasz?

- Co to znaczy, „co porabiasz?” - powiedziała płaczliwym głosem Ruthie.



- Czekam na ciebie!

\* \* \*

Zadzwonił telefon. Zanim Emily odebrała, ktoś podniósł słuchawkę przy drugim aparacie, w pokoju dzieciennym. Chwilę później usłyszała dziewczęcy krzyk.

- To tatuś! To tatuś!

Wpadła pędem do pokoju. Wszystkie dzieciaki podskakiwały i biły się o słuchawkę. Emily opanowywała się przez kilka minut, po czym odebrała im telefon.

- Bill?

- Witaj, Emily.

- Na Boga, masz taki pewny głos. Nie spodziewałam się tego. Och, Bill...

\* \* \*

W Dallas Merv zaczął spisywać zakodowaną wiadomość od Perota. Weź... ten...

Znał teraz szyfr tak dobrze, że mógł od razu przepisywać tekst.

... kod... i...

Był lekko zdziwiony. Przez ostatnie trzy dni Perot robił mu tylko same kłopoty z szyfrem - nie miał cierpliwości, żeby go używać i Stauffer musiał nalegać, przypominając mu ciągle, że tak chce Simons. Teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, dlaczego Perot nagle zaczął posługiwać się kodem?

... wsadź... go... sobie... w...

Stauffer odgadł dalszy ciąg i wybuchnął śmiechem.

Ron Davis zadzwonił po obsługę i zamówił dla wszystkich jajka na boczku. Gdy już jedli, znowu zadzwoniono z Dallas. Przy telefonie był

Stauffer i prosił Perota.

- Ross, właśnie dostaliśmy „Dallas Times Herald”. Czy miał to być nowy dowcip?

- Główny tytuł na pierwszej stronie brzmi: „Według doniesień ludzie Perota wracają. Znana jest droga ucieczki lądem z Iranu” - mówił dalej Stauffer.

Perot poczuł, że krew zaczyna mu się gotować.

- Myślałem, że zniszczyliśmy tamten przeciek.

- Ross, stary, próbowaliśmy. Właściciele czy dyrektorzy gazety po prostu chyba nie są w stanie kontrolować wydawcy.

Słuchawkę przejął wściekły jak diabli Tom Luce.

- Ross, te sukinsyny chętnie doprowadzą do śmierci grupy ratowniczej, zniszczenia EDS i wsadzenia cię za kratki tylko po to, aby być pierwszymi, którzy o tym napiszą. Ostrzegaliśmy ich, ale to nic nie dało. Stary, jak to się skończy, powinniśmy ich skarżyć, bez względu na to, ile to potrwa i ile będzie kosztowało...

- Może - odparł Perot. - Nie podejmuj pochopnie walki z ludźmi, którzy farbę drukarską kupują na beczki, a papier na tony. Jak myślisz, jakie są szanse, aby te wieści dotarły do Teheranu?

- Nie wiem. W Teksasie jest pełno Irańczyków i większość z nich dowie się o tym. Ciągłe jest bardzo ciężko uzyskać połączenie z Teheranem, ale nam się kilka razy udało, więc im może też.

- I jeśli to zrobią...

- Wtedy oczywiście Dadgar połapie się, że Paul i Bill prześliznęli mu się przez palce...

- I może postanović wziąć innych zakładników - powiedział lodowatym głosem Perot.

Był oburzony na Departament Stanu za przeciek informacji, wściekły na „Dallas Times Herald” za wydrukowanie jej, a do szału doprowadzała go myśl, że nic na to nie może poradzić.

- A grupa „Czystych” ciągle jest w Teheranie - odezwał się. Koszmar jeszcze się nie skończył.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### 1.

W południe w piątek 16 lutego, Lou Goelz zadzwonił do Joe Pochego i powiedział mu, aby sprowadził ludzi EDS do ambasady amerykańskiej o piątej po południu. Rozdanie biletów i sprawdzenie bagaży nastąpi w nocy w ambasadzie i będą mogli odlecieć ewakuacyjnym lotem PanAm w sobotę rano.

John Howell był zdenerwowany. Wiedział od Abolhasana, że Dadgar ciągle działał, a nie miał pojęcia, co dzieje się z grupą „Podejrzanych”. Gdyby Dadgar odkrył, że Paul i Bill zniknęli, albo gdyby po prostu zrezygnował z nich i chciał wziąć jeszcze kilku zakładników, grupa „Czystych” zostałaby aresztowana. A gdzie lepiej dokonać aresztowania, niż na lotnisku, gdzie każdy musi pokazać paszport?

Zastanawiał się, czy z ich strony rozsądnie było korzystać z pierwszego możliwego lotu. Według Goelza miała ich być cała seria, może więc powinni poczekać i zobaczyć, co się stanie z pierwszą grupą ewakuowanych osób - czy w ogóle będą kogoś poszukiwać. Wtedy przynajmniej zawczasu wiedzieliby, jak sprawy stoją. Irańczycy jednak też. Dobrą stroną korzystania z pierwszego lotu było to, że prawdopodobnie będzie panował wielki bałagan, a to może pomóc

Howellowi i grupie „Czystych” przemknąć się niezauważenie.

W końcu zdecydował, że pierwszy lot jest najlepszy. Nadal jednak był niespokojny.

Podobnie czuł się Bob Young. Chociaż nie pracował już dla EDS w Iranie, tylko w Kuwejcie, był tutaj na początku negocjacji w sprawie kontraktu z Ministerstwem Zdrowia. Spotkał się wtedy oko w oko z Dadgarem i nazwisko Younga mogło figurować na jakiejś liście w jego aktach.

Joe Poche też wolał pierwszy lot, chociaż nie wypowiadał się specjalnie na ten temat - w ogóle zresztą nie mówił wiele. Howell stwierdził, że jest on bardzo skryty.

Rich i Cathy Gallagher nie byli pewni, czy chcą opuścić Iran. Stanowczo oznajmili Pochemu, że niezależnie od tego, co powiedział pułkownik Simons, Poche nie „dowodził” nimi i mieli prawo podjąć własną decyzję. Poche zgodził się z tym, zwracając jednak uwagę, że jeśli zdecydują się zaryzykować i zostać w Iranie, nie powinni liczyć na to, że Perot wyśle po nich jeszcze jedną grupę ratunkową, gdyby znaleźli się za kratkami. W końcu więc Gallagherowie również zdecydowali się lecieć.

Po południu przejrzeni wszystkie dokumenty i zniszczyli wszystko, co miało jakikolwiek związek z Paulem i Billem.

Poche dał każdemu po dwa tysiące dolarów, do własnej kieszeni włożył pięćset, a resztę pieniędzy ukrył w swoich butach, po dziesięć tysięcy dolarów w każdym. Zmieszczył je, bo nosił buty pożyczone od Gaydena, o numer za duże. W kieszeni miał też jeszcze milion riali, które planował dać Lou Goelzowi dla Abolhasana, aby ten dokonał ostatniej wypłaty dla pozostałych irańskich pracowników EDS.

Kilka minut przed piątą, gdy żegnali się ze służącym Goelza, zadzwonił telefon. Odebrał Poche. To był Tom Walter.

- Mamy tych ludzi - powiedział. - Rozumiesz? Mamy tych ludzi.

- Rozumiem - rzucił krótko Poche.

Wszyscy wsiedli do samochodu, Cathy ze swym pudłem Buffym, którego prowadził Poche. Nie przekazał pozostałym tajnej wiadomości

od Toma Waltera.

Zaparkowali w bocznej uliczce nie opodal ambasady i wysiedli z samochodu. Miał tam stać, dopóki ktoś nie zdecyduje się go ukraść.

Napięcie Howella nie zmalało, gdy wkraczał na teren ambasady. Wałęsało się tam co najmniej z tysiąc Amerykanów, ale także dziesiątki uzbrojonych Strażników Rewolucji. Teren ambasady teoretycznie był ziemią amerykańską, nietykalną, ale irańscy rewolucjoniści najwyraźniej nie zwracali najmniejszej uwagi na takie drobiazgi.

Całą grupę „Czystych” ustawiono w kolejce. Większość nocy spędzili w różnych ogonkach do wypełnienia formularzy, do oddania paszportów, do sprawdzenia bagaży. Wszystkie walizki zostały złożone w wielkim hallu, wysiedleńcy musieli odszukać swoje rzeczy i poprzyczepiać do nich etykiety z nazwiskami. Na koniec stali w kolejce do otwarcia bagaży, aby rebelianci mogli je przeszukać - każda sztuka została sprawdzona.

Howell dowiedział się, że będą dwa samoloty, oba należące do PanAm, Boeingi 747. Jeden miał lecieć do Frankfurtu, drugi do Aten. Ewakuowanych posegregowano według firm, ale ludzie EDS zostali włączeni do tej części personelu ambasady, która wylatywała również. Przydzielono im samolot do Frankfurtu.

O siódmej rano w sobotę wsadzono ich do autobusów jadących na lotnisko. Była to potworna jazda. Do każdego autobusu wsiadło dwóch lub trzech uzbrojonych rebeliantów. Wyjeżdżając za bramę ambasady zobaczyli tłum reporterów i ekip telewizyjnych - Irańczycy widocznie stwierdzili, że odlot upokorzonych Amerykanów będzie wydarzeniem telewizyjnym na skalę światową. Autobusy podskakiwały na drodze na lotnisko. Obok Pochego stał między siedzeniami może piętnastoletni strażnik, kołysząc się zgodnie z ruchami autobusu, z palcem na spuście swego karabinu. Poche zauważył, że broń była odbezpieczona.

Gdyby się potknął...

Ulice pełne były ludzi, panował duży ruch. Wyglądało na to, że wszyscy wiedzą, iż w autobusie są Amerykanie. Dawało się wyczuć powszechną nienawiść. Wznoszono okrzyki i wygrażano pięściami.

Kiedy mijała ich jakaś ciężarówka, jej kierowca wychylił się przez okno i splunął na jeden z autobusów.

Konwój zatrzymywano wiele razy. Wydawało się, że poszczególne obszary miasta są pod kontrolą różnych grup rebeliantów i każda z nich musiała zademonstrować swoją władzę zatrzymując autobusy, a następnie zezwalając im na dalszą jazdę.

Przebycie sześciu mil do lotniska zabrało dwie godziny.

Sytuacja była dość chaotyczna. Było tam jeszcze więcej kamer telewizyjnych i reporterów, plus setki uzbrojonych mężczyzn, niektórzy z nich mieli na sobie strzepy mundurów. Jedni biegali tam i z powrotem, inni kierowali ruchem, a wszyscy dowodzili i każdy miał odmienne zdanie co do tego, gdzie autobusy powinny jechać.

W końcu, o wpół do dziesiątej, Amerykanie dotarli do terminalu. Personel ambasady zaczął rozdawać paszporty zebrane w nocy. Pięciu z nich brakowało: Howella, Pochego, Younga i Gallagherów.

Przedtem, gdy Paul i Bill jeszcze w grudniu oddali swoje paszporty na przechowanie do ambasady, odmówiono ich zwrotu bez powiadomienia policji. Czy teraz robiliby tę samą sztuczkę?

Nagle nadszedł Poche, przepychając się przez tłum z pięcioma paszportami w ręku.

- Znalazłem je na półce za ladą - powiedział. - Sądzę, że położono je tam przypadkowo.

Bob Young zobaczył dwóch Amerykanów trzymających jakieś zdjęcia i badawczo przyglądających się tłumowi. Ku jego przerażeniu, zaczęli zbliżać się do ludzi EDS. Podeszli do Richa i Cathy.

Chyba Dadgar nie weźmie Cathy jako zakładnika?!

Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się i oznajmili, że mają część bagaży Gallagherów. Young odprężył się.

Przyjaciele Gallagherów uratowali niektóre pakunki z Hyatta i poprosili tych dwóch Amerykanów, aby przywieźli je na lotnisko i spróbowali przekazać właścicielom. Ci zgodzili się, ale nie znali Richa i Cathy - stąd właśnie zdjęcia.

Ten alarm okazał się wprawdzie fałszywy, ale i tak zwiększył ich

niepokój.

Joe Poche postanowił spróbować dowiedzieć się czegoś. Wyszedł i odszukał biletera linii PanAm.

- Pracuję dla EDS - powiedział mu. - Czy Irańczycy szukają kogoś?

- Tak - odparł agent. - gorączkowo szukają dwóch ludzi.

- Nikogo więcej?

- Nie. Zresztą listy osób do zatrzymania nie zmieniano od wielu tygodni.

- Dzięki.

Wrócił i zdał relację pozostałym.

Ewakuowani zaczęli przechodzić z hali odpraw pasażerów do hali odlotów.

- Proponuję, żebyśmy się podzielili - powiedział Poche. - W ten sposób nie będziemy wyglądać jak grupa i nawet jeśli jeden czy dwóch z nas wpadnie w tarapaty, pozostali będą mogli przejść. Ja będę ostatni, więc gdyby ktoś musiał pozostać w tyle, zostanę z nim.

Bob Young rzucił okiem na swoją walizkę i zobaczył, że miała ona etykietkę bagażową z napisem „William D. Gaylord”. Przeżył chwilę grozy - gdyby Irańczycy zobaczyli etykietkę, wzięliby go za Billa i aresztowali.

Domyślił się, jak do tego doszło. Jego własne walizki zostały zniszczone w Hyacie przez rebeliantów, którzy ostrzelali pokoje. Kilka innych zostało jednak w miarę nie uszkodzonych i Young pożyczył sobie jedną, właśnie tę.

Zerwał etykietkę i wepchnął ją głęboko w kieszeń z zamiarem pozbycia się jej przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Przeszli przez drzwi z napisem „Tylko dla pasażerów”, po czym musieli zapłacić cło lotniskowe. Rozbawiło to Pochego - rebelianci uznali widać, że jest to jedyne dobre zarządzenie szacha.

Następna kolejka ustawiła się do kontroli paszportów.

Nim Howell dotarł do bariery, minęło południe. Wartownik dokładnie sprawdził jego dokumenty wyjazdu i podstemplował je. Następnie spojrzał na zdjęcie w paszporcie i surowo spojrzał na twarz

Howella. W końcu porównał nazwisko w paszporcie z listą, którą miał na biurku.

Howell wstrzymał oddech, ale wartownik wręczył mu paszport i kiwnął, że może przejść.

Joe Poche przeszedł przez kontrolę paszportów jako ostatni. Wartownik przyjrzał mu się wyjątkowo dokładnie, bo Poche miał teraz brodę, w końcu jego również przepuszczono.

Gdy cała grupa „Czystych” znalazła się w hali odlotów, ogarnął ich radosny nastrój. Teraz, gdy już przeszli przez kontrolę paszportową, skończyły się wszelkie kłopoty, myślał Howell.

O drugiej po południu zaczęli przechodzić przez bramki, gdzie normalnie znajdowała się kontrola bezpieczeństwa. Tym razem, oprócz broni, strażnicy konfiskowali mapy, zdjęcia Teheranu i duże sumy pieniędzy. Nikt jednak z grupy „Czystych” nie stracił ani centa, strażnicy nie zajrzeli też do butów Pochego.

Za bramkami, na polu startowym, stała w rzędzie część bagaży. Pasażerowie musieli sprawdzić, czy nie było tam ich rzeczy i jeśli tak, otworzyć je do przeszukania przed załadowaniem na samolot. Na szczęście żaden z pakunków grupy „Czystych” nie został wybrany do tej specjalnej kontroli.

Weszli do autobusów. Przewieziono ich w poprzek pasa startowego do miejsca, gdzie czekały dwa Boeingi. Tam były kamery.

U stóp schodów przeprowadzono jeszcze jedną kontrolę paszportów. Howell ustawił się w pięciusetosobowej kolejce do samolotu do Frankfurtu. Niepokoił się teraz mniej niż przedtem - wyglądało na to, że nikt go nie szuka.

Wszedł do samolotu i znalazł miejsce. Na pokładzie kręciło się kilkunastu uzbrojonych rebeliantów, zarówno w kabinie pasażerskiej, jak i w pomieszczeniach załogi.

Kiedy ludzie, którzy mieli lecieć do Aten, zdali sobie sprawę, że są w samolocie do Frankfurtu i odwrotnie, nastąpiło zamieszanie. Wszystkie miejsca - również i te załogi - zostały zajęte i ciągle znajdowali się ludzie, którzy nie mieli gdzie usiąść.



Kapitan włączył głośniki pokładowe i poprosił wszystkich o uwagę. Trochę się uciszyło.

- Prosi się pasażerów: Paula Johna i Williama Deminga o ujawnienie się - powiedział.

Howella oblał zimny pot. John było drugim imieniem Paula Chiapparone, a Deming było drugim imieniem Billa Gaylorda. A więc jeszcze szukali tych dwóch.

Oczywiście nie była to po prostu kwestia nazwisk na jakiejś liście na lotnisku - Dadgar sprawował tu pełną kontrolę, a jego ludzie starali się znaleźć Paula i Billa za wszelką cenę.

Dziesięć minut później kapitan ponownie przemówił przez głośniki.

- Panie i panowie, w dalszym ciągu nie odnaleźliśmy Pula Johna ani Williama Deminga. Zostaliśmy poinformowani, że nie będziemy mogli wystartować, zanim ci dwaj ludzie nie zgłoszą się. Jeśli ktokolwiek na pokładzie zna ich miejsce pobytu, bardzo proszę, aby nas o tym powiadomił.

„Idźcie do diabła!” - pomyślał Howell.

Bob Young przypomniał sobie nagle o etykietce na bagażach, oznaczonej „William D. Gaylord”, którą miał w kieszeni. Poszedł do łazienki i wrzucił ją do toalety.

Rebelianci raz jeszcze przeszli między rzędami prosząc o paszporty. Sprawdzili każdy bardzo dokładnie, porównując zdjęcie z twarzą właściciela.

John Howell wyjął książkę, którą wziął z domu Dvoranchików - „Dubaj”, „dreszczowiec” Robina Moore’a o intrygach na Bliskim Wschodzie. Usiłował czytać, starając się wyglądać beztrzesko, ale nie mógł się skupić - przeżywał prawdziwy „dreszczowiec”. „Wkrótce - pomyślał - Dadgar musi zdać sobie sprawę, że Paula i Billa nie ma w tym samolocie”.

I co wtedy zrobi?

Jest taki zawzięty, a przy tym cwany. Czy jest lepszy sposób kontroli paszportów niż w samolocie, gdy wszyscy pasażerowie są na miejscach i nikt nie może się ukryć?

Ale co zrobi potem? Wejdzie sam na pokład tego cholernego samolotu i przejdzie się wzdłuż rzędów, przyglądając się każdemu? Nie pozna Richa, Cathy ani Pocheho, ale pozna Boba Younga. A najprędzej rozpozna mnie.

\* \* \*

T. J. Marquez w Dallas rozmawiał przez telefon z Markiem Ginsbergiem, pracownikiem Białego Domu, który próbował pomóc w sprawie Paula i Billa. Ginsberg był w Waszyngtonie i kontrolował sytuację w Teheranie.

- Pięciu waszych ludzi jest w samolocie stojącym na pasie startowym lotniska w Teheranie - powiedział.

- Świetnie - ucieszył się Marquez.

- Wcale nie świetnie. Irańczycy szukają Chiapparone'a i Gaylorda i nie pozwolą samolotowi odlecieć, dopóki ich nie znajdą.

- Och, cholera!

- Nad Iranem nie ma kontroli ruchu powietrznego, więc samolot musi wystartować przed zmrokiem. Nie wiemy dokładnie, co się będzie działo, ale nie zostało już dużo czasu. Mogą zabrać waszych ludzi z samolotu.

- Nie możecie im na to pozwolić!

- Będę z panem w kontakcie.

Marquez odłożył słuchawkę. Czy po tym wszystkim, co przeszli Paul, Bill i grupa „Podejrzanych”, EDS miało teraz skończyć mając za kratkami teherańskiego więzienia jeszcze więcej swoich ludzi? To nie mieściło się w głowie.

Do zapadnięcia ciemności zostały im jeszcze dwie godziny. T. J. podniósł słuchawkę.

- Dajcie mi Perota.

\* \* \*

- Panie i panowie - odezwał się pilot - Paul John i William Deming nadal nie zostali odnalezieni. Dowodzący lotniskiem dokona teraz kolejnego sprawdzenia paszportów.

Wśród pasażerów rozległy się pomruki niezadowolenia.

Howell zastanawiał się, kim jest ten dowodzący. Dadgar? Jeśli nie on, to w każdym razie ktoś z jego sztabu. Niektórzy z nich znali Howella, inni nie.

Popatrzył wzdłuż rzędów. Ktoś wszedł na pokład. Howell wytrzeszczył oczy, po chwili jednak odprężył się - był to człowiek w mundurze PanAm. Przeszedł wolno przez samolot, sprawdzając każdy z pięciuset paszportów, porównując twarze ze zdjęciami i badając, czy paszporty zostały podstemplowane.

- Panie i panowie - mówi ponownie kapitan. - Postanowiono sprawdzić załadowane bagaże. Jeśli usłyszycie państwo numer waszego bagażu, proszę się zgłosić.

Wszystkie kwitki miała w swojej torebce Cathy. Gdy wywołano pierwsze numery, Howell zobaczył, jak zaczyna je przeglądać. Próbował zwrócić na siebie jej uwagę, dać jej znać, aby się nie zgłaszała - to mógł być podstęp.

Wywołano więcej numerów, ale nikt nie wstał. Howell stwierdził, że wszyscy wolą raczej stracić bagaż, niż ryzykować opuszczenie samolotu.

- Panie i panowie, proszę się zgłaszać, gdy słyszycie państwo wasze numery. Nie będziecie musieli opuszczać samolotu, jedynie przekazać klucze, aby można było otworzyć i przeszukać walizki.

Nie rozproszyło to wątpliwości Howella. Patrzył na Cathy, ciągle starając się przyciągnąć jej wzrok. Wywoływano wciąż nowe numery, lecz ona nie wstawała.

- Panie i panowie, mam dobrą wiadomość. Skontaktowaliśmy się z kierownictwem linii PanAm na Europę i uzyskaliśmy zezwolenie na lot

z nadmiarem pasażerów.

Tu i ówdzie odezwały się stłumione okrzyki radości.

Howell spojrzał w kierunku Pochego. Włożywszy paszport do górnej kieszeni marynarki, siedział z zamkniętymi oczami, odchylony do tyłu i najwyraźniej spał.

„Musi mieć nerwy ze stali” - pomyślał Howell.

W miarę jak zachodziło słońce, na pewno ostro naciskano na Dadgara. Było już jasne, że Paula i Billa nie ma w samolocie. Gdyby trzeba było wysadzić z samolotu tysiąc osób i odeskortować z powrotem do ambasady, władze rewolucyjne musiałyby jutro jeszcze raz przechodzić przez te wszystkie nonsensy - i ktoś tam u nich z pewnością ostro się temu sprzeciwił.

Howell wiedział, że tak on, jak i reszta grupy „Czystych” byli teraz, w świetle tutejszego prawa, winni popełnienia przestępstw. Współdziałali w ucieczce Paula oraz Billa i czy Irańczycy zwali to spiskiem, czy współuczestnictwem w zbrodni, czy też jeszcze inaczej - z pewnością było to sprzeczne z przepisami.

Jeszcze raz przebiegł w myślach historyjkę, wymyśloną wcześniej przez wszystkich na wypadek aresztowania. Mieli powiedzieć, że wyjechali z Hyatta w poniedziałek rano i pojechali do domu Keane’a Taylora. (Howell chciał powiedzieć prawdę, że do domu Dvoranchików, ale inni zwrócili uwagę, że mogłoby to narobić kłopotu gospodyni Dvoranchików, podczas gdy gospodarz Taylora mieszkał gdzie indziej, więc nic mu nie groziło). Poniedziałek i część wtorku spędzili u Taylora, a we wtorek po południu przenieśli się do Lou Goelza - od tego momentu mieli mówić prawdę.

Historyjka ta zresztą i tak by ich nie ochroniła. Howell wiedział aż za dobrze, że Dadgara nie obchodziło, czy jego zakładnicy są winni czy nie.

- Panie i panowie - odezwał się o szóstej kapitan - mamy zezwolenie na start.

Zatrzaśnięto drzwi i po kilku sekundach samolot ruszył. Pasażerom, którzy nie mieli miejsc, stewardesy kazały usiąść na podłodze.

„Teraz już się na pewno nie zatrzymamy - pomyślał Howell, gdy kołowali.

- Nawet gdyby nam kazali...

Boeing nabrał prędkości i oderwał się od ziemi. Ciągłe jednak byli w przestrzeni powietrznej Iranu - Irańczycy mogli wysłać przeciw nim myśliwce...

Po jakimś czasie kapitan odezwał się po raz kolejny.

- Panie i panowie, właśnie opuściliśmy przestrzeń powietrzną Iranu. Zmęczeni pasażerowie wydali z siebie słaby okrzyk radości.

„Udało się” - pomyślał Howell, biorąc do ręki swój „dreszczowiec”. Joe Poche wstał z miejsca i poszukał głównego stewarda.

- Czy istnieje jakaś możliwość przesłania wiadomości do Stanów? - spytał.

- Nie wiem - odparł steward. - Proszę napisać swoją wiadomość, a ja zapytani.

Poche wrócił na miejsce, wyjął kawałek papieru i pióro. „ Do Merva Stauffera, 7171 Forest Lane, Dallas, Teksas”.

Zastanawiał się przez chwilę, co napisać. Przypomniawszy sobie motto EDS: „Orły nie latają stadami, trzeba je wynajdywać po jednym”. Napisał: „ Orły wyleciały z gniazda”.

## 2.

Ross Perot chciał przed powrotem do Stanów spotkać się z grupą „Czystych”. Aż palił się do tego, żeby zebrać wszystkich razem, żeby każdego mógł zobaczyć i dotknąć, upewnić się, że są bezpieczni, cali i zdrowi. W piątek w Istambule nie udało mu się jednak uzyskać potwierdzenia kierunku lotu ewakuacyjnego, którym mieli opuścić Teheran. Problem pomógł mu rozwiązać John Coburn, pilot wydzierżawionego Boeinga 707.

- Samoloty ewakuacyjne muszą przelatywać nad Istambułem -

powiedział.

- Będziemy po prostu siedzieć na pasie startowym, aż nadlecą, wtedy zawołamy ich przez radio i zapytamy o kierunek.

W końcu obyło się bez tego, bo w sobotę rano zadzwonił Stauffer i powiedział, że jego ludzie polecą do Frankfurtu.

Perot z pozostałymi wymeldowali się w południe z hotelu Sheraton i pojechali na lotnisko, aby dołączyć do Boulware'a i Simonsa w samolocie. Wystartowali późnym popołudniem.

Gdy byli w powietrzu, Perot połączył się z Dallas - przy użyciu radia o modulacji jednowstęgowej było to równie łatwe, jak zatelefonowanie z Nowego Jorku. Odebrał Merv Stauffer.

- Co się dzieje z grupą „Czystych”? - spytał Perot.

- Dostałem wiadomość - odparł Stauffer. - Przyszła z kierownictwa PanAm na Europę. Mówi tylko: „Orły wyleciały z gniazda”.

Perot uśmiechnął się. Wszystko było w porządku.

Wrócił z kabiny załogi na pokład pasażerski. Jego bohaterowie byli bladzi i zmęczeni. Na lotnisku w Istambule, Perrot wysłał Taylora do sklepu wolnocłowego po papierosy, jakieś przekąski i wino. Taylor wydał ponad tysiąc dolarów. Wzniesli toast na cześć ucieczki grupy „Czystych”, ale nikt jakoś nie był w odpowiednim nastroju i dziesięć minut później siedzieli na pluszowej tapicerce, ciągle z pełnymi kieliszkami. Ktoś zaczął pokera, ale nic z tego nie wyszło.

W załodze Boeinga były dwie śliczne stewardesy. Perot namówił je, by objęły Taylora i zrobił zdjęcie. Zagroził, że pokaże je jego żonie Mary, gdyby Taylor kiedykolwiek mu podpadł.

Większość z nich była zbyt zmęczona, żeby spać, ale Gayden poszedł do luksusowej sypialni i położył się na łożu królewskich rozmiarów, co zirytowało nieco Perota: uważał, że to łóżko powinien zająć Simons, który był starszy i wyglądał na całkowicie wyczerpanego.

Simonsa jednak zaprzętała rozmowa z jedną ze stewardes, Anitą Melton. Była to pełna życia, dwudziestokilkuletnia Szwedka o blond włosach, błazeńskim poczuciu humoru, żywej wyobraźni i pewnej skłonności do dziwactw. Była zabawna. Simons znalazł w niej

pokrewną duszę, indywidualność, kogoś, kto nie dbał za bardzo o to, co myślą inni. Podobała mu się. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od śmierci Lucille poczuł sympatię do kobiety.

Naprawdę wrócił do życia.

Ron Davis poczuł się senny. Pomyślał, że królewskie łóżko jest dość duże dla dwóch, więc poszedł do sypialni i położył się obok Gaydena.

Bill otworzył oczy.

- Davis? - bąknął z niedowierzaniem. - Co ty, do diabła, robisz ze mną w łóżku?

- Nie podniecaj się. Teraz będziesz mógł powiedzieć wszystkim swoim przyjaciołom, że spałeś z czarnuchem.

Zamknął oczy.

Gdy samolot zbliżał się do Frankfurtu, Simons przypomniał sobie, że wciąż jest odpowiedzialny za Paula i Billa. Jego umysł znowu zaczął pracować, przewidując możliwe posunięcia przeciwnika.

- Czy Niemcy mają układ o ekstradycji z Iranem? - zapytał Perota.

- Nie wiem - odparł Perot i widząc spojrzenie Simonsa dodał szybko: - Sprawdzę to.

Połączył się z Dallas i poprosił o prawnika Toma Luce'a.

- Tom, czy RFN ma układ o ekstradycji z Iranem?

- Jestem w 99%.

- Widywałem zabitych ludzi, bo byli w 99%.

- Upewnij się na 100%.

Wylądowali we Frankfurcie i zameldowali się w hotelu, położonym w obrębie lotniska. Niemiecki recepcjonista wyglądał na ciekawskiego. Zapisał dokładnie wszystkie numery paszportów, co jeszcze powiększyło niepokój Simonsa.

Zebrali się w pokoju Perota, który ponownie zadzwonił do Dallas. Tym razem rozmawiał z T. J. Marquezem.

- Zadzwoniłem do jednego prawnika w Waszyngtonie obeznanego z prawem międzynarodowym i on sądzi, że między Iranem a RFN jest układ o ekstradycji - oznajmił Marquez. - Powiedział też, że Niemcy są aż do przesady sumienni w takich sprawach i jeśli zostaną poproszeni o

zatrzymanie Paula i Billa, z pewnością to robią, nie oglądając się na nic.

Perot powtórzył to wszystko Simonsowi.

- OK - rzucił Simons. - W tym punkcie gry nie będziemy ryzykować.

W podziemiach lotniska jest kino z trzema salami. Paul i Bill mogą się tam ukryć... A gdzie jest Bill?

- Poszedł kupić pastę do zębów - odezwał się ktoś.

- Jay, idź poszukaj go. Coburn wyszedł.

- Paul idzie do jednej sali kinowej z Jayem, Bill z Keanem do drugiej

- mówił dalej Simons. - Pat Sculley pilnuje na zewnątrz. Ma bilet, więc może wejść i skontaktować się z resztą.

Perot pomyślał, że naprawdę miło patrzeć, jak wszystko zaczyna grać, gdy Simons przemienia się ze starego człowieka odpoczywającego w samolocie z powrotem w dowódcę grupy.

- W podziemiach, przy kinie, jest wyjście na stację metra - mówił Simons.

- Przy najmniejszej oznace zbliżającego się niebezpieczeństwa Sculley wyciąga naszą czwórkę z filmów i wszyscy kierują się do centrum miasta. Wynajmują samochód i jadą do Anglii. Jeśli natomiast nic nie będzie się działo, zabierzemy ich przed samym odlotem. Dobra, do roboty.

Bill przebywał na dole, w centrum handlowym. Wymienił trochę pieniędzy i kupił pastę, szczoteczkę do zębów oraz grzebień. Później stwierdził, że nowa, świeża koszula pozwoliłaby mu poczuć się znowu człowiekiem i poszedł wymienić więcej pieniędzy. Coburn znalazł go stojącego w kolejce do kantoru.

- Ross chce widzieć cię w hotelu - oznajmił.

- Po co?

- Nie mogę teraz o tym mówić, musisz wrócić na górę.

- Chyba żartujesz.

- Dalej, chodźmy.

Poszli do pokoju Perota i ten wyjaśnił Billowi, o co chodzi. Bill nie mógł w to uwierzyć. Był pewny, że w nowoczesnych, cywilizowanych Niemczech jest bezpieczny - „Czy kiedykolwiek będzie bezpieczny? -



zastanawiał się. Czy Dadgar będzie go ścigał po krańce ziemi i nie spocznie, póki Bill nie wróci do Iranu albo nie zginie?" Coburn nie wiedział, czy we Frankfurcie Paul i Bill rzeczywiście mogą popaść w tarapaty, ale znał wartość drobiazgowych środków bezpieczeństwa podejmowanych przez Simonsa. Wiele z jego planów w ciągu minionych siedmiu tygodni spełzło na niczym - atak na pierwsze więzienie, koncepcja wyrwania Paula i Billa z aresztu domowego, ucieczka przez Kuwejt. Z drugiej strony jednak niektóre z ewentualności branych pod uwagę przez Simonsa rzeczywiście miały miejsce i to często te najbardziej naciągane: zdobyto więzienie Gasr i Rashid tam był, droga do Sero, którą wraz z Coburnem dokładnie zbadał, rzeczywiście stała się w końcu ich trasą ucieczki. Nawet nakazanie Paulowi i Billowi, żeby nauczili się wszystkich informacji ze swych fałszywych paszportów, okazało się, że miało decydujące znaczenie w chwili, gdy człowiek w długim czarnym płaszczu zaczął ich wypytywać. Coburna nie trzeba było przekonywać - zgadzał się na wszystko, co powiedział Simons.

Zeszli do kina. Grano tam trzy filmy - „Szczęki II” i jakieś dwa porno. Billowi i Taylorowi trafiły się „Szczęki II”, a Paul z Coburnem poszli oglądać nagie syrenki z Morza Południowego. Paul, znudzony i zmęczony, siedział gapiąc się na ekran. Film był wprawdzie w niemieckiej wersji językowej, ale nie można powiedzieć, aby dialogi odgrywały w nim dużą rolę. „Cóż może być gorszego - pomyślał - niż kiepskie porno?” Nagle usłyszał głośnie chrapnięcie. Spojrzał na Coburna. Spał twardo.

\* \* \*

Gdy John Howell i reszta grupy „Czystych” lądowali we Frankfurcie, Simons miał już wszystko przygotowane do szybkiej przesiadki.

Ron Davis stał przy wejściu hali przylotów, czekając, aby wypchnąć

grupę „Czystych” z kolejki i skierować ją do przejścia, za którym stał Boeing 707. Ralph Boulware obserwował z pewnej odległości. Gdyby tylko zobaczył pierwszego z nich, miał zejść do kina i polecić Sculleyowi zgarnąć chłopaków ze środka. Jim Schwebach przechadzał się po ogrodzonej sznurem strefie prasowej, gdzie czekali reporterzy, aby ujrzeć ewakuowanych Amerykanów. Siedział obok pisarza Pierre’a Salingera (który nie wiedział nawet, jak blisko jest naprawdę dobrej historii) i udawał, że czyta reklamę mebli w jakiejś niemieckiej gazecie. Jego zadaniem było podążać w ślad za grupą „Czystych”, aby upewnić się, że nikt inny za nimi nie idzie. W razie jakichś kłopotów, Schwebach i Davis mieli wszcząć burdę. Nie szkodziło zbyt wiele, gdyby nawet zostali aresztowani przez Niemców, bo nie było powodu, dla którego miano by ich odesłać do Iranu.

Wszystko poszło jak w zegarku. Był tylko jeden szkopuł - Rich i Cathy Gallagher nie chcieli lecieć do Dallas. Nie mieli tam ani rodziny, ani przyjaciół, nie byli pewni, co ich czeka, nie wiedzieli, czy pies Buffy będzie mógł wjechać na terytorium USA, nie chcieli też wsiąść do innego samolotu. Pożegnali się i odeszli, aby zająć się swymi sprawami.

Reszta grupy „Czystych”: John Howell, Bob Young oraz Joe Poche - poszła za Ronem Davisem i weszła na pokład Boeinga. To samo zrobił Jim Schwebach, a Ralph Boulware zebrał pozostałych i wszyscy wsiedli do samolotu, który miał ich zawieźć do domu.

Merv Stauffer zadzwonił już wcześniej z Dallas do Frankfurtu i zamówił dla nich jedzenie. Poprosił o trzydzieści superluksusowych posiłków, na które składały się ryby, drób i wołowina. Do tego sześć półmisków małży z sosem, chrzanem i cytryną, sześć półmisków przystawek, sześć półmisków kanapek z serem i szynką, rostbefem, indykiem i serem szwajcarskim, sześć półmisków surowych jarzyn i Rockfortu w sosie vinaigrette oraz trzy półmiski serów wraz z odpowiednim pieczywem i krakersami. Potem cztery wspaniałe półmiski słodczy, cztery półmiski świeżych owoców, cztery butelki brandy, po dwadzieścia puszek Seven-Up i ginger ale, po dziesięć puszek wody mineralnej i toniku, dziesięć butelek soku

pomarańczowego, pięćdziesiąt kartoników mleka, cztery galony świeżo parzonej kawy w termosach, sto kompletów plastikowych sztućców, na które składały się nóż, widelce i łyżeczka, sześć tuzinów tekturowych talerzy w dwóch rozmiarach, sześć tuzinów plastikowych kubków, sześć tuzinów polistyrenowych filiżanek, po dwa kartony papierosów Kent, Marlboro, Kool i Salem Light oraz dwa pudełka czekoladek.

W wyniku małego zamieszania dostarczono to w podwójnej ilości.

Odlot opóźniał się. Całkiem niespodziewanie rozpuściła się burza lodowa i Boeing musiał stanąć w kolejce do odladzania - jako ostatni, bo loty rozkładowe miały pierwszeństwo. Bill zaczął się niepokoić - lotnisko zamykano o północy, więc istniała możliwość, że będą musieli opuścić samolot i wrócić do hotelu, a on nie chciał spędzić całej nocy w Niemczech. Chciał już czuć pod stopami amerykańską ziemię.

John Howell, Joe Poche i Bob Young opowiedzieli o swoim locie z Teheranu - Paul i Bill przerazili się słysząc, jak Dadgar za wszelką cenę próbował uniemożliwić im opuszczenie kraju.

W końcu samolot odladzono, ale wtedy z kolei pierwszy silnik nie chciał zaskoczyć. Pilot John Carlen szybko znalazł źródło awarii - zawór rozruchu. Mechanik Ken Lenz wysiadł z samolotu i ręką trzymał zawór otwarty, podczas gdy Carlen uruchamiał silnik.

Perot zaprosił Rashida do kabiny pilotów. Aż do wczoraj młodzieniec nigdy jeszcze nie leciał samolotem i teraz chciał siedzieć z załogą.

- Niech odlot będzie naprawdę widowiskowy - powiedział Perot do Carlena.

- Załatwione - rzucił Carlen. Pokołował na pas, po czym wystartował pod bardzo ostrym kątem.

W kabinie pasażerskiej Gayden właśnie dowiedział się, że po sześciotygodniowym pobycie w więzieniu, w wyłącznie męskim towarzystwie, Paul został zmuszony do siedzenia na filmie porno. Uważał to za diabelnie zabawne i pękał ze śmiechu.

Perot wyciągnął z hukiem korek szampana i zaproponował toast.

- Za ludzi, którzy powiedzieli, co mają zamiar zrobić, a potem poszli

i zrobili to.

Ralph Boulware upił nieco szampana i poczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po żyłach. „To się zgadza - pomyślał - powiedzieliśmy, co mamy zamiar zrobić, potem poszliśmy i zrobiliśmy to”.

Miał jeszcze jeden powód do radości: w następnym tygodniu miały być urodziny Keci. Skończy siedem lat. Za każdym razem, gdy dzwonił do Mary, słyszał:

„Wróć do domu na czas, na urodziny Keci” i teraz wyglądało, że miało mu się to udać.

Bill w końcu zaczął się odprężyć. „Teraz już tylko przejażdżka samolotem dzieli mnie od Ameryki, od Emily i dzieciaków - pomyślał. - Teraz jestem bezpieczny”.

Wiele już razy wydawało mu się przedtem, że jest bezpieczny - gdy dotarł do hotelu Hyatt w Teheranie, gdy przekroczył granicę Turcji, gdy odlatywał z Wan i gdy lądował we Frankfurcie. Za każdym razem jednak się mylił. Tym razem również miał się mylić.

### 3.

Paul zawsze miał fioła na punkcie samolotów, skorzystał więc teraz z okazji i rozsiadł się w kabinie załogi Boeinga.

Gdy przelatywali nad północną Anglią, zdał sobie sprawę, że pilot John Carlen, mechanik Ken Lenz i pierwszy oficer Joe Fosnot mają problemy. Przy włączonym automatycznym pilocie samolot zbaczał to na lewo, to na prawo. Okazało się, że zawiódł kompas, co spowodowało dziwaczne zachowanie się bezwładnościowego układu nawigacji.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Paul.

- To znaczy, że całą drogę przez Atlantyk musimy sterować ręcznie - odparł Carlen. - To się da zrobić, ale jest trochę wyczerpujące.

Kilka minut później w samolocie zrobiło się bardzo zimno, potem gorąco - zawodził system utrzymania zwiększonego ciśnienia. Carlen

obniżył lot.

- Nie możemy przelecieć Atlantyku na tej wysokości - odezwał się do Paula.

- Dlaczego?

- Nie mamy dosyć paliwa. Na niskich wysokościach samolot pali dużo więcej.

- Dlaczego nie możemy lecieć wyżej?

- Nie można tam oddychać.

- Przecież w samolocie są maski tlenowe.

- Ale nie ma dosyć tlenu na drogę przez Atlantyk. W żadnym samolocie nie ma tyle tlenu.

Carlen wraz z załogą manipulował przez chwilę przy instrumentach, po czym westchnął.

- Mógłbyś sprowadzić tu Rossa, Paul? - odezwał się. Paul przyprowadził Perota.

- Panie Perot - powiedział Carlen - myślę, że powinniśmy lądować tym pudłem jak najszybciej.

Jeszcze raz wytłumaczył, dlaczego nie mogą przelecieć nad Atlantykiem z wadliwym systemem regulacji ciśnienia.

- John, będę ci na zawsze wdzięczny, jeśli nie będziemy musieli lądować w Niemczech - odezwał się Paul.

- Nie martw się - odparł Carlen. - Polecimy do Londynu, na Heathrow. Perot wrócił do pozostałych. Carlen skontaktował się przez radio z Kontrolą Ruchu Powietrznego w Londynie. Była pierwsza w nocy i powiedziano mu, że lotnisko Heathrow jest nieczynne. Odparł jednak, że jest w krytycznej sytuacji i uzyskał zezwolenie na lądowanie.

Paul nie mógł w to uwierzyć - lądowanie awaryjne, po tym wszystkim, co przeszedł!

Ken Lenz zaczął wypompowywać część paliwa, żeby zmniejszyć wagę samolotu poniżej ciężaru dopuszczalnego przy lądowaniu.

Londyn powiedział Carlenowi, że nad południową Anglią jest mgła, ale w tej chwili widoczność na Heathrow sięga pół mili.

Gdy Ken Lenz zamknął zawory wypompowywania paliwa,

czerwona lampka, która powinna zgasnąć, paliła się nadal.

- Rynna ujścia nie cofnęła się - powiedział.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć - odezwał się Paul i zapalił papierosa.

- Paul, możesz mnie poczęstować? - zapytał Carlen.

Paul spojrzał na niego zdumiony.

- Mówiłeś, że rzuciłeś palenie dziesięć lat temu?

- Proszę, daj.

- Teraz to naprawdę się boję - powiedział Paul, podając mu papierosa. Wrócił do kabiny pasażerskiej, gdzie stewardesa kierowała uprzątnięciem półmisków, butelek i bagaży oraz zabezpieczaniem wszystkich luźno leżących przedmiotów w przygotowaniu do lądowania.

Paul poszedł do sypialni. Na łóżku leżał Simons, którego cała twarz - po goleniu się w zimnej wodzie - była pozalepiana kawałkami plastra. Pograżony był w głębokim śnie.

Paul wyszedł.

- Czy Simons wie, co się dzieje? - zapytał Joya Coburna.

- Jasne. Powiedział, że nie zna się na prowadzeniu samolotu i nic nie może pomóc, więc utnie sobie drzemkę.

Paul pokręcił głową w zdumieniu. Czy można być tak spokojnym?

Wrócił do kabiny załogi. Carlen zachowywał się również swobodnie, jak zawsze - głos miał spokojny, ręce pewne, Paula niepokoił tylko ten papieros.

Po kilku minutach czerwona lampka zgasła - rynna ujścia paliwa cofnęła się.

W gęstej chmurze zbliżyli się do Heathrow i zaczęli tracić wysokość. Paul obserwował wysokościomierz - spadł do sześciuset stóp, potem pięciuset, a na zewnątrz ciągle kłębiła się tylko wirująca szara mgła. Tak samo na wysokości trzystu stóp. Potem nagle wypadli z chmury prosto na pas startowy, oświetlony niczym choinka. Paul odetchnął z ulgą.

Dotknęli ziemi. Natychmiast nadjechały na sygnale karetki i wozy straży pożarnej, lądowanie było jednak całkowicie bezpieczne.

Do Rashida od kilku lat dochodziły wiadomości na temat Rossa Perota. Był on multimilionerem, założycielem EDS, czarodziejem interesu, człowiekiem, który siedział w Dallas i przesuwiał po świecie ludzi takich, jak Coburn czy Sculley, niczym figury na szachownicy. Silnym przeżyciem było dla Rashida pierwsze spotkanie z Perotem, gdy przekonał się, że jest to zupełnie normalny człowiek, dość niskiego wzrostu i nadspodziewanie przyjazny. Rashid wszedł wtedy do pokoju hotelowego w Istambule, a ten mały facet z wielkim uśmiechem i zakrzywionym nosem po prostu wyciągnął rękę, mówiąc: „Cześć, jestem Ross Perot”, na co Rashid najnaturalniej w świecie uściśnął podaną dłoń, mówiąc: „Jestem Rashid Kazemi”.

Od tej pory bardziej niż kiedykolwiek czuł się członkiem zespołu EDS. Na lotnisku Heathrow brutalnie przypomniano mu jednak, że nim nie jest.

Gdy tylko samolot dokołował i stanął, cała furgonetka policjantów, celników i urzędników imigracyjnych wlaźła na pokład i zaczęła zadawać różne pytania. Nie podobało im się to, co zobaczyli: gromada brudnych, zapyziałych, cuchnących i nie ogolonych facetów, mających przy sobie istną fortunę w różnych walutach, na pokładzie niewiarygodnie urządzonego samolotu z oznaczeniami Wielkich Wysp Kajmana na ogonie.

Było to, mówiąc najogólniej, bardzo niezgodne z przepisami - jak ujęli to na swój brytyjski sposób.

Po jakiejś godzinie przepytывania nie udało im się jednak znaleźć żadnego dowodu, że ludzie EDS są przemytnikami narkotyków, terrorystami lub członkami OWP, a jako posiadacze amerykańskich paszportów nie potrzebowali oni wiz ani innych dokumentów do wkroczenia na terytorium Wielkiej Brytanii. Wszyscy więc zostali wpuszczeni... z wyjątkiem Rashida.

Perot stanął przed oficerem imigracyjnym.

- Nie ma powodu, dla którego powinien pan wiedzieć, kim jestem, ale nazywam się Ross Perot i gdyby zechciał pan tylko sprawdzić - może w Urzędzie Celnym Stanów Zjednoczonych - sądzę, że dojdzie

pan do wniosku, że można mi zaufać. Mam zbyt wiele do stracenia, aby zajmować się szmuglowaniem nielegalnych imigrantów do Wielkiej Brytanii. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za tego młodego człowieka. Nie będzie nas w Anglii w ciągu dwudziestu czterech godzin. Rano zameldujemy się u waszych kolegów na lotnisku Gatwick, a potem odlecimy linią Braniff do Dallas.

- Obawiam się, że to niemożliwe, sir - odparł urzędnik. - Ten pan będzie musiał pozostać z nami do czasu, gdy wsadzimy go do samolotu.

- Jeśli on zostanie, ja też - odparł Perot.

Rashid był zdumiony. Ross Perot wolał spędzić noc na lotnisku, a może nawet w celi więziennej, niż zostawić Rashida! To było nie do wiary. Gdyby Pat Sculley złożył taką propozycję albo Jay Coburn, Rashid byłby wdzięczny, ale nie zdziwiony. Ale to był sam Ross Perot.

Oficer imigracyjny westchnął.

- Czy zna pan kogoś w Wielkiej Brytanii, kto mógłby poręczyć za pana, sir? Perot łamał sobie głowę, zastanawiając się, kogo tutaj zna.

- Nie sądzę... Nie, chwileczkę.

Jasne. Jeden z największych bohaterów Wielkiej Brytanii zatrzymywał się kilka razy u Perotów w Dallas, a Ross i Margot gościli w jego domu w Anglii, w miejscu zwanym Broadlands.

- Znam lorda Mountbatten of Burma - powiedział.

- Muszę zamienić słowo z moim przełożonym - oznajmił oficer i wysiadł z samolotu.

Długo go nie było.

- Jak tylko się stąd wydostaniemy - odezwał się Perot do Sculleya - twoim zadaniem będzie załatwić nam wszystkim miejsca w pierwszej klasie na ten ranny samolot Braniff do Dallas.

- Oczywiście, proszę pana - odparł Sculley. Oficer imigracyjny wrócił do samolotu.

- Mogę panu dać dwadzieścia cztery godziny - powiedział do Rashida.

Rashid spojrzał na Perota. „O rany! - pomyślał - Pracować z takim facetem!”



\* \* \*

Zameldowali się w położonym niedaleko lotniska hotelu Post House i Perot zadzwonił do Merva Stauffera w Dallas.

- Merv, mamy tu jedną osobę z irańskim paszportem i bez wizy amerykańskiej - wiesz, o kim mówię.

- Tak.

- Uratował on życie Amerykanom i nie życzę sobie, żeby miał jakieś kłopoty, gdy dotrzemy do Stanów.

- Tak.

- Zadzwon do Harry'ego McKillopa, niech on to załatwi.

- Tak.

\* \* \*

Sculley obudził wszystkich o szóstej. Coburn musiał wywlec z łóżka. Odczuwał on ciągle następstwa przeciwsennych pigułek Simonsa, był rozdrażniony, wyczerpany i nie obchodziło go, czy złapie samolot, czy nie.

Sculley zorganizował autobus do przewiezienia ich na lotnisko Gatwick, dobre dwie godziny drogi od lotniska Heathrow. Gdy wychodzili, Keane Taylor zmagął się z plastikową skrzynką zawierającą część z dużego zapasu alkoholu i papierosów, kupionych na lotnisku w Istambule.

- Hej, chłopaki - zawołał. - Czy ktoś z was zechce pomóc mi dźwigać to paskudztwo.

Nikt nie odpowiedział. Wsiedli do autobusu.

- W takim razie niech was diabli porwą! - krzyknął Taylor i oddał wszystko portierowi hotelowemu.

Po drodze do Gatwick usłyszeli w radiu, że Chiny dokonały inwazji na Wietnam Północny.

- To będzie nasze następne zadanie - powiedział ktoś.

- Jasne - rzucił Simons. - Mogliby nas rzucić między obie armie. Wszystko jedno. Wszystko jedno, w którą stronę byśmy strzelali i tak mielibyśmy rację.

Na lotnisku, idąc za swymi ludźmi, Perot zauważył, że inni pasażerowie odsuwają się, robiąc im miejsce. Nagle zdał sobie sprawę, jak okropnie wyglądają. Większość z nich od wielu dni nie myła się porządnie ani nie goliła, a ubrani byli w dziwaczny zestaw źle dopasowanej i bardzo brudnej odzieży. Prawdopodobnie też mocno cuchnęli.

Zapytał o oficera od spraw obsługi pasażerów. Braniff było linią lotniczą z Dallas i Perot latał nią wiele razy do Londynu, tak że większość personelu znała go.

- Czy mogę wynająć dla mojego towarzystwa cały górny pokład Boeinga 747? - spytał oficera.

Oficer wytrzeszczył na nich oczy. Perot wiedział, o czym myśli - towarzystwo pana Perota stanowiło zazwyczaj kilku spokojnych, dobrze ubranych biznesmenów, a teraz pojawił się z czymś, co wyglądało jak tłum mechaników samochodowych, którzy właśnie skończyli robotę przy wyjątkowo zasmarowanym silniku.

- Ehm... Nie możemy wynająć panu pokładu, sir, z powodu międzynarodowych przepisów lotniczych. Ale sądzę, że jeśli pańscy towarzysze wejdą na górny pokład, reszta pasażerów nie będzie wam zbyt przeszkadzać - brzmiała odpowiedź oficera.

Perot zrozumiał.

Wsiadając odezwał się do stewardesy.

- Chcę, by ci ludzie dostali wszystko, czego tylko zapragną. Przeszedł dalej, a stewardesa z szeroko otwartymi oczami odwróciła się do koleżanki. - „A to kto u diabła?”

Koleżanka powiedziała jej.

Miała być wyświetlana „Gorączka sobotniej nocy”, ale nie działał projektor. Boulware był rozczarowany - widział już ten film i czekał na okazję do ponownego obejrzenia. Zamiast tego usiadł więc obok Paula i uciał sobie z nim pogawędkę.

Większość pozostałych poszła na górny pokład. Simons oraz Coburn znowu wyciągnęli się wygodnie i zasnęli.

W połowie drogi przez Atlantyk Keane Taylor, który od tygodni obracał sumą około ćwierć miliona dolarów i rozdawał pieniądze pełnymi garściami, postanowił zrobić podliczenie. Rozłożył na podłodze koc i zaczął zbierać banknoty. Członkowie grupy podchodzili jeden po drugim, wyciągali zwitki banknotów z kieszeni, butów, czapek oraz rękawów koszul, rzucając je na podłogę.

Kilku innych pasażerów z pierwszej klasy siedziało jednak na górnym pokładzie pomimo nieprzyjemnego wyglądu towarzystwa Perota, ale gdy teraz ta cuchnąca, łajdacko wyglądająca grupa brodaczy w wełnianych czapkach, brudnych butach i jakichś piekielnych płaszczach wywaliła na podłogę kilkaset tysięcy dolarów i zaczęła je liczyć, oni również zniknęli.

Kilka minut później przysła stewardesa i zbliżyła się do Perota.

- Niektórzy pasażerowie pytają, czy nie powinniśmy powiedzieć o pańskim towarzystwie policji - powiedziała. - Czy zechciałby pan zejść na dół i rozproszyć ich obawy?

- Z przyjemnością.

Zszedł do kabiny pierwszej klasy i przedstawił się pasażerom na przednich siedzeniach. Jak się okazało, część z nich słyszała o nim. Zaczął opowiadać, co zdarzyło się Paulowi i Billowi.

Gdy mówił, zbliżyli się inni pasażerowie. Obsługa kabiny przestała pracować i stanęła w pobliżu, później. podeszła część załogi z klasy turystycznej. Wkrótce zebrał się cały tłum.

Perotowi przyszło do głowy, że jest to historia, którą świat będzie chciał usłyszeć.

Na górze grupa po raz ostatni zabawiała się kosztem Keane'a Taylora.

W czasie zbierania pieniędzy upuścił on trzy zwitki, każdy po dziesięć tysięcy dolarów i Bill niepostrzeżenie schował je do kieszeni. Oczywiście podliczanie się nie zgadzało. Powstrzymując śmiech, wszyscy siedli indiańskim sposobem w koło na podłodze, a Taylor

przeliczył wszystko jeszcze raz.

- Jak może mi brakować trzydziestu tysięcy dolarów? - powiedział ze złością. - Cholera, przecież to jest wszystko! Może coś pochrzaniłem? Co się ze mną dzieje, do diabła?

W tym momencie podszedł do niego Bill.

- Masz jakieś kłopoty, Keane? - zapytał.

- Boże, brakuje nam trzydziestu tysięcy dolarów i nie mam pojęcia, co mogłem z nimi zrobić.

Bill wyjął z kieszeni trzy zwitki.

- Czy tego szukasz? - spytał. Wszyscy ryknęli śmiechem.

- Daj mi to! - ryknął ze złością Taylor. - Do diabła, Gaylord, żałuję, że nie zostawiłem cię w pacie!

Roześmiali się jeszcze głośniej.

#### 4.

Samolot zbliżał się do Dallas.

Ross Perot przysiadł się do Rashida i podawał mu nazwy miejsc, nad którymi przelatywali. Rashid patrzył przez okno na płaską, brązową ziemię i duże, szerokie, proste drogi, ciągnące się milami. Ameryka...

Joe Poche czuł się wspaniale. Doświadczył już podobnego uczucia jako kapitan klubu rugby w Minnesocie, po długim meczu, który wygrała jego drużyna.

To samo towarzyszyło mu, gdy wrócił z Wietnamu. Należał do dobrego zespołu, przeżył, sporo się nauczył, dorósł. Jediną rzeczą, której mu teraz brakowało do pełni szczęścia, była czysta bielizna.

Ron Davis usiadł obok Jaya Coburna.

- Hej, Jay, co będziemy teraz robić? - zapytał. Coburn uśmiechnął się.

- Nie wiem.

Davis pomyślał, że dziwnie byłoby znowu usiąść za biurkiem. Nie był pewny, czy mu to odpowiadało.

Przypomniał sobie nagle, że Marva jest w trzecim miesiącu ciąży. Niedługo powinno to już być widać. Zastanawiał się, jak będzie wyglądać z wydętym brzuchem.

„Wiem, czego mi potrzeba - pomyślał. - Coca coli... w puszcze... z automatu na stacji benzynowej. I Kentucky Fried Chicken”.

Pat Sculley myślał: „Nigdy więcej pomarańczowych taksówek!”

Siedział obok Jima Schwebacha - znowu byli razem, para niewysokich, ale zawziętych zabijaków, choć podczas całej przygody nie wystrzelili ani razu. Rozmawiali o tym, czego EDS może się nauczyć z tej wyprawy. Firma pracowała w innych krajach Bliskiego Wschodu, wchodziła też na rynki dalekowschodnie. Może powinna istnieć stała grupa ratownicza, zespół do szybkiego rozwiązywania problemów - wytrenowany, sprawny, uzbrojony i chętny do potajemnych operacji w dalekich krajach? Stwierdzili jednak, że nie. Tym razem, w Iranie, sytuacja była wyjątkowa. Sculley zdał sobie sprawę, że ma dosyć prymitywnych krajów. Będąc w Teheranie nie cierpiał porannych usiłowań wciśnięcia się do pomarańczowej taksówki razem z dwoma trzema gderliwymi facetami, ogłuszającej perskiej muzyki, dobiegającej z samochodowego radia i nieuniknionych kłótni z kierowcą o zapłatę. „Gdziekolwiek będę teraz pracować - pomyślał - cokolwiek będę robić, do biura będę jeździć sam, własnym samochodem, wielkim amerykańskim wozem z klimatyzacją i łagodną muzyką. A gdy będę iść do łazienki, będzie tam czysta, biała, amerykańska ubikacja zamiast jakiejś cholernej dziury w podłodze”.

Gdy samolot lądował, Perot odezwał się do Sculleya.

- Pat, będziesz ostatni. Chcę, żebyś dopilnował, aby wszyscy bez kłopotów załatwili formalności, i zajął się ewentualnymi problemami.

- Jasne.

Samolot wykołował i zatrzymał się. Drzwi otworzyły się i natychmiast na pokład weszła jakaś kobieta.

- Gdzie jest ten człowiek? - zapytała.

- Tutaj - powiedział Perot, wskazując na Rashida. Młody Irańczyk opuścił samolot pierwszy.

„Merv Stauffer zadbał o wszystko” - pomyślał Perot.

Wszyscy pozostali również wysiedli i przeszli przez kontrolę celną.

Pierwszą osobą, jaką Coburn zobaczył po drugiej stronie, był krępy człowiek w okularach, uśmiechający się do ucha do ucha - Merv Stauffer. Coburn objął go ramieniem i mocno uściskał, a Stauffer sięgnął do kieszeni i wyjął jego obrączkę. Jay był wzruszony. Wyjeżdżając zostawił ją Staufferowi na przechowanie. Od tamtej pory Merv był osiłą całej operacji, siedząc w Dallas ze słuchawką przy uchu i kierując wszystkim. Coburn rozmawiał z nim prawie codziennie, przekazując polecenia i prośby Simonsa, odbierając informacje i rady - wiedział lepiej, niż ktokolwiek inny, jak ważną rolę odegrał Stauffer, do jakiego stopnia można było ufać, że zrobi wszystko, co trzeba. I mimo tylu spraw na głowie, Merv nie zapomniiał o obrączce.

Coburn włożył ją na palec. Długo i intensywnie rozmyślał nad swoim małżeństwem w czasie bezczynnych godzin w Teheranie, teraz jednak wszystko to wyleciało mu z głowy i czekał niecierpliwie na spotkanie z Liz.

Merv powiedział mu, aby wyszedł z lotniska i wsiadł do czekającego na zewnątrz autobusu. Jay posłuchał jego wskazówek. W autobusie zobaczył Margot Perot - uśmiechnął się i uściskał jej dłoń. Nagle powietrze wypełniło się piskami i czwórka oszalałych z radości dzieciaków rzuciła się na niego. Byli to Kim, Kristi, Scott i Kelly. Coburn roześmiał się głośno i próbował objąć ich wszystkich razem.

Za dziećmi stała Liz. Jay łagodnie uwolnił się od uścisków dzieci, oczy zaszczyły mu łzami. Objął żonę nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Gdy Keane Taylor wszedł do autobusu, żona w pierwszej chwili go nie poznała. Jej zazwyczaj tak elegancki mąż paradował w potwornie brudnej pomarańczowej kurtce narciarskiej i wełnianej czapce. Miał tygodniowy zarost i schudł piętnaście funtów. Stał tak przed nią przez kilkadziesiąt sekund, aż w końcu Liz Coburn odezwała się:

- Mary, nie masz zamiaru przywitać się z Keanem?

W tym momencie rzuciły się na niego dzieci, Mikę i Dawn. Był to dzień urodzin Taylora - skończył czterdzieści jeden lat. To były najszczęśliwsze urodziny w jego życiu.

John Howell zobaczył swoją żonę, Angelę, siedzącą na przedzie autobusu, za kierowcą, i trzymającą na kolanach jedenastomiesięcznego Michaela. Dziecko ubrane było w dżinsy i pasiastą koszulkę do rugby. Howell podniósł synka mówiąc: „Cześć, Michael, pamiętasz swojego tatusia?”

Usiadł obok Angeli i objął ją ramieniem. Było to trochę krepujące, poza tym Howell w ogóle był zbyt nieśmiały, żeby publicznie okazywać swoje uczucia, dalej jednak przytulał żonę i było mu tak bardzo dobrze.

Na Ralpha Boulware'a czekała Mary i dziewczynki - Stacy i Kecia. Podniósł Kecie ze słowami: „Wszystkiego dobrego w dniu urodzin”.

„Wszystko jest tak, jak powinno być” - pomyślał ściskając je. Zrobił to, co miał zrobić, a rodzina była tu, gdzie powinna być. Czuł się, jakby udało mu się coś udowodnić, nawet jeśli udowodnił to tylko sobie samemu. Przez wszystkie lata spędzone w lotnictwie, manipulując przy przyrządach czy siedząc w samolocie i patrząc na spadające bomby, nigdy nie czuł, aby jego odwaga była wystawiona na próbę. Jego koledzy dostawali medale za walkę w terenie, ale on sam zawsze miał to nieprzyjemne uczucie, że jego rola była łatwiejsza, tak jak tego faceta w filmach wojennych, który w porze śniadania nalewa jedzenie, zanim prawdziwi żołnierze wyjdą do walki. Zawsze się zastanawiał, czy miał w sobie to, co potrzeba. Teraz pomyślał o Turcji i o tym, jak ugrzązł w Adanie, o jeździe przez śnieżycę w tamtym cholernym „Chevrolecie” rocznik 64, o zmianie koła na „Krwawej Alei” z synami kuzyna Mr Fisha. Pomyślał też o toaście Perota za ludzi, którzy powiedzieli, co robią, a potem poszli i zrobili to. I znał już odpowiedź. Tak, miał w sobie to coś.

Córki Paula, Karen i Ann Marie, miały na sobie takie same spódniczki w szkocką kratę. Mniejsza Ann Marie dopadła do niego pierwsza - porwał ją w ramiona i uściskał mocno. Kaen była za duża, żeby ją podnieść, ale przytulił ją również silnie. Za nimi stała Ruthie,

jego największa dziewczynka, ubrana w odcienie miodowokremowe. Pocałował ją, długo i mocno, po czym przyjrzał się jej z uśmiechem. Nie mógłby przestać się uśmiechać, nawet gdyby chciał - czuł się tak wspaniale. Było to najwspanialsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznał. Emily patrzyła na Billa tak, jak gdyby nie wierzyła, że naprawdę tam jest.

- Och - powiedziała słabym głosem - jak dobrze widzieć cię znowu, złotko.

Gdy ją całował, w autobusie zaległa cisza. Rachel Schwebach rozplakała się. Bill ucałował dziewczynki, Vicki, Jackie i Jenny, po czym spojrzał na syna.

Chris wyglądał bardzo dorosło w niebieskim garniturze, który dostał na Gwiazdkę. Bill widział ten garnitur już wcześniej. Przypomniawszy sobie zdjęcie syna stojącego w nim przed choinką. Wisiało ono nad jego pryczą w więziennej celi, dawno temu i bardzo daleko...

Emily ciągle go dotykała, aby przekonać się, że naprawdę jest przy niej.

- Wyglądasz wspaniale - stwierdziła. Bill wiedział, że wygląda okropnie.

- Kocham cię.

Do autobusu wszedł Ross Perot.

- Wszyscy są? - zapytał.

- Nie ma mojego taty - odezwał się płaczliwy dziecięcy głos. Należał do Seana Sculleya.

- Nie martw się - powiedział Perot. - Zaraz tu będzie. Załatwia ostatnie sprawy.

Pat Sculley został zatrzymany przez celnika i poproszony o otwarcie walizki. Niósł w niej wszystkie pieniądze i urzędnik oczywiście je zobaczył. Przywołano jeszcze kilku celników i wzięto go na przesłuchanie.

Gdy wyciągnęli jakieś formularze, Sculley zaczął wyjaśniać, ale celnicy nie chcieli słuchać - chcieli tylko, żeby je wypełnić.

- Czy to pańskie pieniądze?



- Nie. Należą do EDS.

- Czy miał je pan przy opuszczaniu Stanów?

- Większość tak.

- Kiedy i jak opuścił pan Stany?

- Tydzień temu, prywatnym Boeingiem 707.

- Gdzie pan był?

- W Istambule, a potem na irańskiej granicy. Jeszcze jeden mężczyzna wszedł do biura.

- Czy pan Sculley? - zapytał.

- Tak.

- Jest mi bardzo przykro z powodu pańskich kłopotów. Proszę nam wybaczyć. Pan Perot czeka na pana na zewnątrz.

Zwrócił się do celników.

- Możecie podrzeć te formularze.

Sculley uśmiechnął się i wyszedł. Nie był już na Bliskim Wschodzie. To było Dallas, tu Perot był Perotem.

Wszedł do autobusu i zobaczył Mary, Seana i Jennifer. Uściskał i wycałował ich wszystkich, po czym zapytał:

- Co słychać?

- Czeka na ciebie małe przyjęcie - powiedziała Mary. Autobus ruszył, ale nie zajeżdżał daleko - zatrzymał się zaledwie kilkanaście jardów dalej, przy innej bramie, gdzie wszystkich poproszono o przejście z powrotem na lotnisko i zaprowadzono do drzwi z napisem „Pokój Concorde”.

Gdy weszli, blisko tysiącosobowy tłum powstał z miejsc, klaszcząc i wznosząc radosne okrzyki. Ktoś rozwinął wielki transparent, głoszący: „JOHN HOWELL - TATUŚ NUMER 1”.

John Coburn czuł się zawstydzony rozmiarami tłumu i jego reakcją. Świetny pomysł z tym autobusem, miał im umożliwić przywitanie się z rodzinami na osobności, przed przyjazdem tutaj. A kto to w ten sposób zorganizował? Oczywiście Stauffer.

Gdy przechodził przez salę, ludzie z tłumu wyciągali do niego ręce, mówiąc:

„Dobrze cię znowu widzieć!”, „Witaj w domu!” Uśmiechał się i ścisnął podawane dłonie - był tam David Behne, był Dick Morrison, było wiele innych zamglonych twarzy i słów zlewających się w jedno potężne powitanie.

Gdy oczom zebranych ukazali się Paul i Bill w towarzystwie swoich żon i dzieci, radosne okrzyki przeszły w grzmot.

Ross Perot, stojąc przed tłumem, poczuł, jak napływają mu do oczu łzy. Był zmęczony bardziej niż kiedykolwiek w życiu, ale bezgranicznie szczęśliwy. Pomyślał o tym, ile szczęśliwych przypadków i ile zbiegów okoliczności przyczyniło się do tego, że wyprawa ratownicza w ogóle była możliwa - fakt, że znał Simonsa, że Simons był chętny do jazdy do Iranu, że wśród pracowników EDS byli weterani z Wietnamu i że oni też byli chętni, że załoga z szóstego piętra wiedziała, jak się zabrać do rzeczy dzięki doświadczeniu z Kampanii Jeńców Wojennych, że T. J. Marquiezowi udało się wynająć samolot, że motłoch zaatakował więzienie Gasr...

Pomyślał też o wszystkich rzeczach, które mogły się nie udać. Przypomniał sobie przysłowie: sukces ma tysiąc ojców, ale porażka jest sierotą. Za kilka minut wstanie i powie tym ludziom o wszystkim, co się wydarzyło oraz w jaki sposób Paul i Bill zostali sprowadzeni do domu. Ciężko jednak będzie ująć w słowa ryzyko, które tyle razy podejmowano, i straszliwe koszty, gdyby wyprawa nie powiodła się i zakończyła w sądzie albo jeszcze gorzej. Przypomniał sobie dzień, w którym opuścił Teheran, kiedy przesądnie porównywał swoje szczęście do piasku przelatującego przez klepsydrę. Nagle zobaczył znowu tę klepsydrę, w której cały piasek był już jednak na dole. Uśmiechnął się do samego siebie, podniósł swą wyimaginowaną klepsydrę i odwrócił ją do góry nogami.

Simons nachylił się do ucha Perota.

- Pamięta pan, że miał mi pan zapłacić? - odezwał się.

Perot nigdy by o tym nie zapomniał. Pod wpływem lodowatego spojrzenia pułkownika można by zamarznąć.

- Jasne.

- Widzi pan to? - rzucił Simons, pokazując głowę.

Przez tłum wiwatujących przyjaciół zbliżał się do nich Paul, niosąc w ramionach Ann Marie.

- Widzę.

- Właśnie dostałem zapłatę - oznajmił Simons i wyciągnął cygaro. W końcu sala uspokoiła się i Perot zaczął mówić. Zawołał Rashida i objął go ramieniem.

- Chcę, żebyście poznali głównego członka grupy ratowniczej - odezwał się do zebranych. - Jak powiedział pułkownik Simons, Rashid waży tylko sto czterdzieści funtów, ale ma w sobie pięćset funtów odwagi.

Ponownie rozległa się wrzawa, śmiechy i oklaski. Rashid rozejrzał się wokoło. Wiele, wiele razy myślał o przyjeździe do Ameryki - ale nigdy nawet w swych najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie takiego powitania.

Perot zaczął opowiadać. Słuchając, Paul poczuł się dziwnie skromnie. Nie on był bohaterem - to inni zasłużyli na to miano. On był tylko szczęściarzem. Należał po prostu do najlepszej grupy ludzi na całym świecie.

Bill rozejrzał się po tłumie i dostrzegł Rona Sperberga, swojego dobrego, starego przyjaciela i współpracownika. Sperberg miał na głowie wielki kowbojski kapelusz. „Wróciliśmy do Teksasu - pomyślał Bill. - To jest serce Stanów Zjednoczonych, najbezpieczniejsze miejsce na Ziemi - nie dostaną nas tutaj.

Tym razem koszmar skończył się naprawdę. Jesteśmy z powrotem. Jesteśmy bezpieczni.

Jesteśmy w domu”.

## EPILOG

Jay i Liz Coburn rozwiedli się. Kristi, druga córka, ta bardziej uczuciowa, wybrała życie z ojcem. Coburn został mianowany dyrektorem EDS do spraw zatrudnienia na kraj. We wrześniu 1982 r. wraz z Rossem Perotem juniorem jako pierwszy obleciał świat helikopterem. Maszyna, na której tego dokonali, znajduje się obecnie w National Air and Space Museum w Waszyngtonie. Nazywa się „Duch Teksasu”.

Paul został rewidentem księgowym EDS, a Bill dyrektorem Programu Pomocy Medycznej w Dziale Ochrony Zdrowia.

Joe Poche, Pat Sculley, Jim Schwebach, Ron Davis i Rashid nadal pracowali w EDS w różnych częściach świata. Żona Davisa, Marva, 18 lipca 1979 r. urodziła chłopca, Beniamina.

Keane Taylor został dyrektorem oddziału EDS w Holandii, gdzie przyszedł potem także Glenn Jackson. Gayden dalej był prezydentem EDS World, a przez to szefem Taylora.

John Howell został pełnoprawnym udziałowcem firmy Toma Luce'a - Hughes & Hill. Angela Howell 19 czerwca 1980 r. urodziła jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę o imieniu Sarah.

Rich Gallagher 1 lipca 1979 r. opuścił EDS. Pochodząc ze wschodu USA, nigdy tak naprawdę nie czuł się jednym z chłopaków firmy. Dwaj inni pracownicy z tych samych stron - Lloyd Briggs i Paul Bucha - odeszli mniej więcej w tym samym czasie.

Również Ralph Boulware rozstał się z EDS.

Lulu May Perot, matka Rossa, zmarła 3 kwietnia 1979 r.

Ross Perot junior ukończył uniwersytet i na jesieni 1981 r. zaczął pracować dla swojego ojca. Rok później to samo zrobiła Nancy Perot. Sam Perot po prostu dalej robił coraz większe pieniądze. Jego nieruchomości zyskały na wartości, jego spółka naftowa znalazła nowe źródła, a EDS zdobywało coraz liczniejsze i większe kontrakty. Akcje EDS, wyceniane w okresie pobytu Paula i Billa w więzieniu na około osiemnaście dolarów za sztukę, cztery lata później były warte sześć razy tyle.

Pułkownik Simons zmarł 21 maja 1979 r., po serii zawałów serca. W ostatnich tygodniach życia jego nieodłączną towarzyszką stała się Anita Melton, wesoła stewardesa z Boeinga 707. Ich związek był dziwny, a zarazem tragiczny - nigdy nie zostali kochankami w sensie fizycznym, ale byli w sobie zakochani. Mieszkali razem w domku gościnnym, przy posiadłości Perota w Dallas. Ona uczyła go gotować, a on namówił ją do joggingu i mierzył jej czas. Dużo chodzili razem, trzymając się za ręce. Po śmierci Simonsa jego synowi Harry'emu i żonie Harry'ego Shawn urodził się chłopiec. Nazwali go Arthur Simons junior.

4 listopada 1979 r. ambasada USA w Teheranie została ponownie zaatakowana przez wojowniczych Irańczyków. Tym razem wzięli oni zakładników. Pięćdziesięciu dwóch obywateli amerykańskich przetrzymywano w zamknięciu przez ponad rok. Misja mająca na celu uwolnienie ich, zorganizowana przez prezydenta Cartera, znalazła swój sromotny koniec w pustyniach środkowego Iranu.

Wtedy jednak Carterowi nie pomagał Simons.

Dodatek

Sąd Okręgowy Stanów Zjednoczonych w północnym Teksasie,  
rejon Dallas.

Electronic Data Systems Corporation Iran (EDSCI)

Przeciw

Organizacji Ubezpieczeń Publicznych (SSO) Rządu Iranu,  
Ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej Rządu Iranu,  
Rządowi Iranu  
NO. CA3 - 79 - 218 - F  
(Wyjątki z rozpoznania faktów)

Ani EDSCI, ani też nikt inny działający w imieniu tej firmy nie otrzymał kontraktu, będącego przedmiotem sprawy, nielegalnie. Nie znaleziono żadnych dowodów wskazujących na przekupstwo jakiegoś urzędnika czy pracownika Strony Pozwanej, mającego na celu uzyskanie kontraktu. Zebrane w sprawie dowody nie wskazują też na istnienie oszustwa ani korupcji w procesie otrzymania kontraktu (...).

Cena kontraktu nie była wygórowana, przeciwnie - zebrane dowody wskazują, że była ona racjonalna i zbliżona do opłat pobieranych przez EDS za podobne usługi od innych. Podobny wniosek wypływa również z porównania tej ceny z opłatami za podobne usługi, pobieranymi przez innych w dziale opieki zdrowotnej (...).

Zaniedbanie przez SSO i Ministerstwo dostarczenia pisemnego powiadomienia o nieakceptacji nie zapłaconej faktury było błędem niewybaczalnym i stanowiło naruszenie kontraktu. Przydzielenie Towliatiego do SSO, jako Zastępcy Dyrektora, nie mogło tutaj stanowić wytłumaczenia. Sąd nie znajduje dowodów na to, że czynności służbowe dr Towliatiego wpłynęły na proces zatwierdzenia faktur ani też, że postępował on niewłaściwie w swoim badaniu realizacji kontraktu. Dowody wykazały, że Ministerstwo i SSO miały pełną i permanentną możliwość kontrolowania działalności EDSCI. Ponadto, nie są wiarygodne dowody oszustwa, lub tego, że EDSCI było w zмовie z kimkolwiek w celu zdobycia bezprawnego zatwierdzenia zapłaty swoich faktur lub uniemożliwienia Stronie Pozwanej przeprowadzenia rzetelnej oceny działalności EDSCI w ramach kontraktu (...).

EDSCI nie naruszyło w sposób istotny swoich zobowiązań

dotyczących działalności w ramach kontraktu, działało faktycznie w zgodzie z opisem i harmonogramem swoich obowiązków w każdej fazie, aż do dnia 16 stycznia 1978 r., daty wygaśnięcia kontraktu (...).

Rewindykacja w ramach kontraktu nie sprzeciwia się roszczeniom Strony Pozwanej, nie popartym dowodami, jakoby EDSCI otrzymało kontrakt przez oszustwo lub przekupstwo.

Konkretnie, dowody nie wykazały, aby stosunki EDS z Grupą Mahiego były nielegalne. W czasie wykonywania kontraktu i działalności w jego ramach prowadzonej przez EDSCI nie złamano prawa obowiązującego w Iranie (...).

Strona Powodowa dostarczyła aż nadto dowodów ukazujących fakty i rezultaty swoich usług - zeznania osób, które kierowały operacją podłączania systemów przetwarzania danych, fotografie przedstawiające różne etapy rozbudowy funkcji przygotowywania danych, jak również raporty o korzyściach płynących z realizacji kontraktu, przygotowane wspólnie przez EDSCI i Ministerstwo. Żadne wiarygodne dowody nie przeczą temu (...).

(Wyjątki z sentencji wyroku)

Nakazuje się, przyznaje i zarządza, aby Strona Powodowa - Electronic Data System Corporation Iran - otrzymała i zrewindykowała od Strony Pozwanej - Rządu Iranu, Organizacji Ubezpieczeń Publicznych Rządu Iranu oraz Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej Rządu Iranu - razem i oddzielnie, sumę piętnastu milionów stu siedemdziesięciu tysięcy czterystu czterech dolarów (15170404 \$) plus dwa miliony osiemset dwanaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt jeden dolarów (2812251 \$) tytułem odsetek, plus jeden milion siedemdziesiąt dziewięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów (1079875 \$) tytułem opłaty adwokackiej, plus odsetki od tych wszystkich sum w wysokości dziewięciu procent (9%) rocznie od daty dzisiejszej, plus wszystkie koszty niniejszego powództwa (...).

## PODZIĘKOWANIA

Wiele osób pomogło mi niezmiernie, rozmawiając ze mną godzinami, odpowiadając na moje listy, a także czytając fragmenty książki i nanosząc poprawki. Następujące osoby, za ich cierpliwość, szczerłość i chętną współpracę, proszę o przyjęcie moich szczególnych podziękowań:

Paul i Ruthie Chipparone, Bill i Emily Gaylord;

Jay i Liz Coburn, Joe Poche, Pat i Mary Sculley, Ralph i Mary Boulware, Jim Schwebach, Ron Davis, Glenn Jackson;

Bill Gayden, Keane Taylor, Rich i Cathy Gallagher, Paul Bucha, Lloyd Briggs, Bob Young, John Howell, Rashid, Toni Dvoranchik, Kathy Marketos;

T. J. Marquez, Tom Walter, Tom Luce;

Merv Stauffer, dla którego nic nie jest niemożliwe;

Margot Perot, Bette Perot;

John Carlen, Anita Melton;

Henry Kissinger, Zbigniew Brzeziński, Ramsey Clark, Bob Strauss, William Sullivan, Charles Naas, Lou Goeltz, Henry Precht, John Stempel; dr Manauchehr Razmara;

Stanley Simons, Bruce Simons, Harry Simons;

Podpułkownik Charles Krohn z Pentagonu;

Major Dick Meadows, generał dywizji Robert McKinnon, dr Walther Stewart, Dr Harold Kimmerling.



Jak zwykle skorzystałem też z pomocy dwójki nieustraszonych badaczy - Dana Sterera w Nowym Jorku i Caren Meyer w Londynie.

Pomogła mi również liczna grupa pracowników centrali telefonicznej w głównej siedzibie EDS w Dallas.

Ponad sto godzin nagranych na taśmę wypowiedzi zostało przeniesione na papier, zwłaszcza przez następujące osoby: Sally Walther, Claire Woodward, Linde Huff, Cheryl Hibbits i Becky DeLuna.

Na koniec pragnę podziękować Rossowi Perotowi, bez którego energii i determinacji nie tylko ta książka, ale sama przygoda w niej opisana nie stałaby się faktem.